

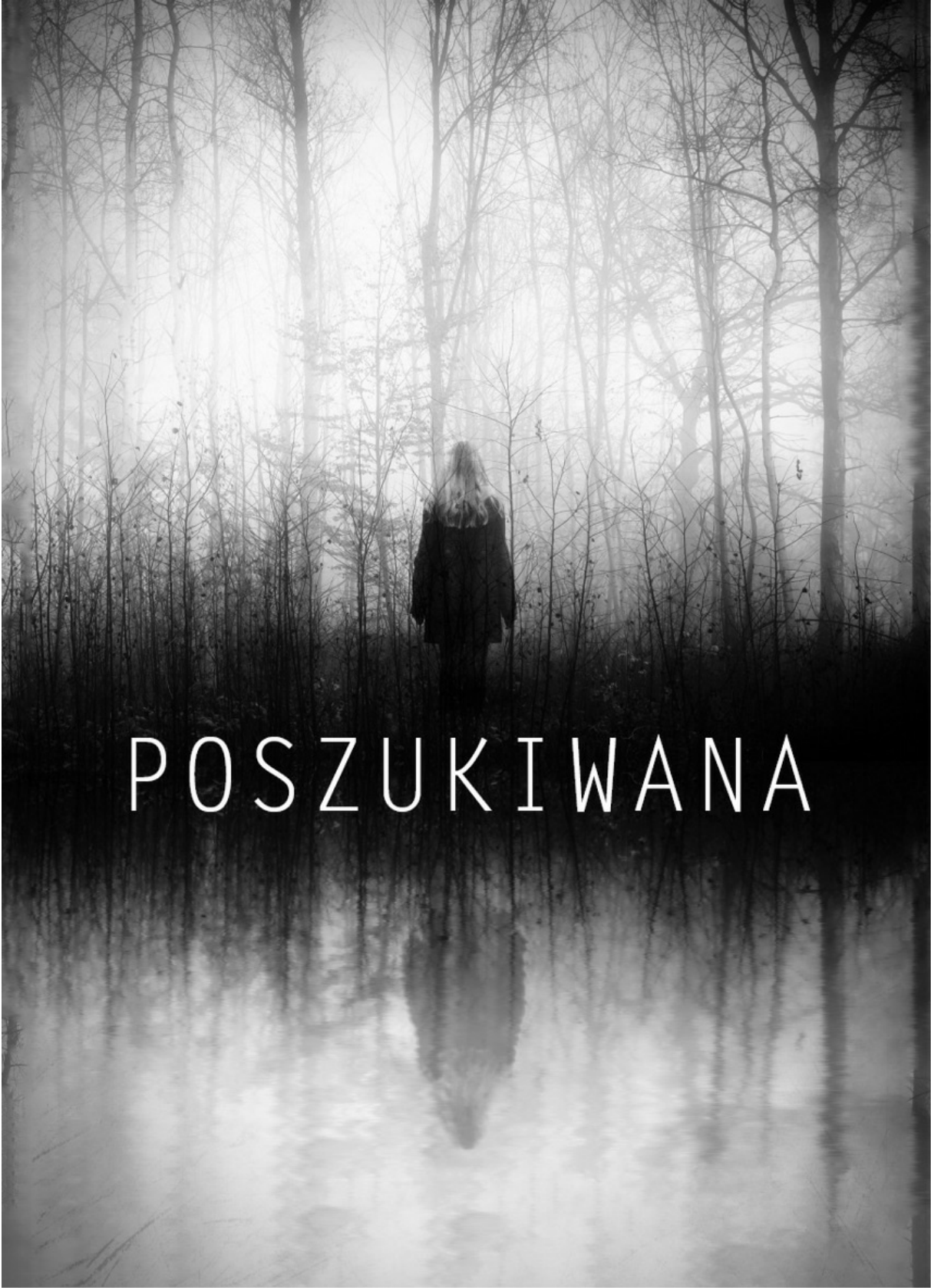
BESTSELLER „NEW YORK TIMESA”

# DEAN KOONTZ



## POSZUKIWANA

Kim jest Ashley Bell?



POSZUKIWANA



DEAN  
KOONTZ

POSZUKIWANA

Tłumaczył  
Jacek Spólny

  
Replika

Tytuł oryginału  
*Ashley Bell*

Copyright © 2015 by Dean Koontz  
Published by arrangement with Lennart Sane Agency AB and P. & R. Permissions &  
Rights Ltd.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2017  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja  
Marzena Demska

Korekta  
Joanna Pawłowska

Skład i łamanie  
Dariusz Nowacki

Projekt okładki  
Mikołaj Piotrowicz

Zdjęcie na okładce  
Copyright © depositphoto/magann Copyright © depositphoto/hramovnick

Wydanie elektroniczne 2017

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej  
Dariusz Nowacki

eISBN: 978-83-7674-846-7

Wydawnictwo Replika  
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo  
tel./faks 061 868 25 37  
replika@replika.eu  
www.replika.eu

*Całym sercem dedykuję tę książkę Susan (Allison) Cathers,  
mojej siostrze z innej matki.  
Dziękuję za trzydzieści lat życzliwości i dobrego przykładu.*

Kobieta [...]  
Słyszy pieśń w jajku ptaka.

James Dickey  
*Wielkanoc, śpiąc pod gołym niebem*  
(tłum. Tadeusz Sławek)

# I

*Kobieta, która chciała wyjść za bohatera*



# **1**

## ***Dziewczynka, w której głowie kłębią się myśli***

W roku, gdy Bibi Blair skończyła dziesięć lat, czyli dwanaście przed odwiedzinami Śmierci, niebo od stycznia do połowy marca wyglądało jak sklepienie ponurego grobowca, a aniołowie zsyłali na południową Kalifornię potop za potopem łez. Tak opisywała to w swoim dzienniku: zasępione niebo, dnie i noce skąpane w anielskim żalu, choć nie starała się domyślać przyczyn rozpacz w niebie.

Już wtedy poza prowadzeniem dziennika pisała też opowiadania. Tamtej deszczowej zimy jej proste opowieści niezmiennie dotyczyły psa imieniem Jasper, którego zły pan zostawił na smaganej ulewami plaży na południe od San Francisco. W każdej z tych historii Jasper, szaro-czarny kundel, znajdował nowy dom. Ale z czasem ocalenie zawsze okazywało się z różnych powodów nietrwałe. Nie załamując się, dobry Jasper przemierzał setki mil na południe w poszukiwaniu prawdziwego domu.

Bibi była wesołym dzieckiem, nieznającym melancholii, dlatego zdawało jej się dziwne – i wtedy, i długo później – że pisze seryjnie epizody o samotnym, udręczonym psiaku, który znajduje miłość tylko na chwilę. Pojęła wszystko dopiero po dwudziestych drugich urodzinach.

Każdy jest w pewnym sensie sroką. Bibi nie była wyjątkiem, lecz wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. Dopiero po upływie

długiego czasu uświadomiła sobie pewne prawdy, które ukryła w swoim sroczym sercu.

Sroka, ptak o uderzająco kontrastowym upierzeniu i długim ogonie, często zbiera przedmioty, które uzna za ważne: guziki, kawałki sznurka, zwitki wstążek, barwne kulki, okruchy szkła. Rok później buduje nowe gniazdo i zapomina, gdzie jest schowek. I tak, ukrywszy swoje zbiory przed samym sobą, ptak od nowa rozpoczyna gromadzenie kolekcji.

Ludzie ukrywają przed sobą prawdę o samych sobie. To samooszukiwanie się jest mechanizmem umożliwiającym radzenie sobie z życiem, a większość ludzi, w większym czy mniejszym stopniu, zaczyna oszukiwać siebie już w dzieciństwie.

Tamtej ociekającej wodą zimy dziesięcioletnia Bibi mieszkała z rodzicami w parterowym bungalowie w Corona del Mar, malowniczej dzielnicy Newport Beach. Nie mieli widoku na ocean, chociaż od Pacyfiku dzieliły ich zaledwie trzy przecznice. W pierwszą sobotę kwietnia została sama i siedziała w bujanym fotelu na ganku wejściowym tego osobliwego, krytego gontem domku, a ciepły deszcz przelewał się przez liście palm i fikusów, skwiercząc na asfalcie jak rozgrzany olej na ruszcie.

Nie była leniwym dzieckiem. W jej głowie ciągle kłębiły się wiecznie niespokojne myśli. Miała tabliczkę w żółte linie i mnóstwo ołówków, za pomocą których układała kolejny odcinek sagi o samotnym Jasperze. Kątem oka zauważyła jakiś ruch, podniosła głowę i zobaczyła przemoczonego, znużonego psa, który wchodził na chodnik od strony odległego morza.

Jako dziesięciolatka nie zatraciła jeszcze zdolności do dziwienia się i wyczuła, że zdarzy się coś zaskakującego. Przyjemnie podniecona odłożyła tabliczkę i ołówek, wstała z fotela i podeszła do schodów na ganek.

Pies w niczym nie przypominał opuszczonego kundla z jej opowieści. Ubłocony golden retriever przystanął w miejscu, gdzie ścieżka od domku stykała się z ulicznym chodnikiem.

Dziewczynka i zwierzę przyglądali się sobie. Zawołała:

– Chodź! No, chodź!

Trzeba go było zachęcać, lecz w końcu podszedł do ganku i wspiał się na schody. Bibi schyliła się i zajrzała mu w oczy, złociste jak jego sierść.

– Ty śmierdzisz.

Retriever ziewnął, jakby nie było to dla niego niczym nowym.

Na szyi miał popękaną i brudną skórzaną obrozę. Bez identyfikatora. Nie przytwierdzono do niej tabliczki z nazwiskiem i numerem telefonu, o którą powinien zadbać odpowiedzialny właściciel.

Bibi w deszczu zaprowadziła psa na wykładane kostką podwórko za domem, mierzące trzydzieści stóp, od wschodu i zachodu otoczone – biegnącymi granicami działek – tynkowanymi murami. Na południe stał garaż na dwa samochody, z którego wyjeżdżało się w zaułek. Zewnętrzne schody wiodły na nieduży balkon przy mieszkaniu nad garażem. Bibi wołała nie patrzeć w stronę tamtych okien.

Kazała retrieverowi czekać na ganku z tyłu bungalowu, a sama weszła do środka. Zdziwiła się, że ciągle na nią czeka, gdy wróciła z dwoma plażowymi ręcznikami, szamponem, suszarką i szczotką do włosów. Przebiegł z nią przez podwórko do garażu, w suche miejsce.

Gdy zapaliła światło i zdjęła mu zaplamioną i oblepioną błotem obrozę, zauważyła coś, czego przedtem nie dostrzegą. Zastanawiała się, czy nie wyrzucić obroży na śmieci, zagrzebując ją, ale wiedziała, że tak nie będzie dobrze. Zamiast tego otworzyła szufladę w szafce przy warsztacie ojca, wzięła jedną z jego zamszowych szmatek i owinęła nią obrozę.

Z mieszkania ponad nią dobiegł odgłos, krótki i nieprzyjemny. Wystraszona spojrzała na sufit garażu, na niezabudowane belki cztery na sześć cali, obleczone girlandami pajęczyn.

Zdawało jej się, że słyszy też cichy, wyrażający cierpienie głos. Nasłuchiwała przez dłuższą chwilę, by dojść do wniosku, że

chyba się przesłyszała.

Między dwiema belkami, oświetlany przez zakurzoną, gołą żarówkę w białej ceramicznej oprawie, pląsał na strunach tłusty pająk, dobywając z jedwabnej harfy muzykę niesłyszalną dla ludzkich uszu.

Bibi pomyślała o pajęczycy Charlottcie, która uratowała prosiaka Wilusia, swojego przyjaciela, w książce E. B. White'a *Pajęczyna Charlotty*. Bibi zapomniała na chwilę o garażu, a rzeczywistość zastąpił obraz, który pojawił się przed oczami jej wyobraźni:

*Setki malutkich pajęczków, dzieci Charlotty, które wykluły się z kokonu wiele tygodni po jej smutnej śmierci, stojących na głowach i kierujących gruczoły przędne w niebo, wypuszczających obłoczki miękkiego jedwabiu. Z obłoków powstają miniaturowe baloniki i pajęczki wzbijają się w powietrze. Świnkę Wilusia ogarnia zdumienie i radość, a jednocześnie smutek, gdy patrzy, jak napowietrzna armada odlatuje w dal. Życzy im dobrze, ale jest mu żal, że oto traci ostatnią więź z utraconą przyjaciółką, Charlottą...*

Cienki pisk i cichy warkot psa sprowadziły Bibi z powrotem do garażu.

Potem, gdy deszcz przestał na jakiś czas padać, zabrała umytego, wysuszonego i wyszczotkowanego retrievera do domu. Pokazała mu swój mały pokój i zapowiedziała:

– Jak rodzice nie dostaną hopla na twój widok, będziesz spał tutaj ze mną.

Pies przyglądał się z zainteresowaniem, jak Bibi wyciąga z szafy tekturowe pudło z książkami, które nie mieściły się na już obładowanych regałach po bokach jej łóżka. Ułożyła książki tak, by stworzyć otwór, w którym umieściła zawiniętą w zamsz obrozę, i schowała pudełko z powrotem do szafy.

– Wabisz się Olaf – oznajmiła retrieverowi, który zareagował na te chrzciny merdaniem. – Olaf. Kiedyś powiem ci, czemu.

Z czasem Bibi zapomniała o obroży, bo chciała o niej

zapomnieć. Odnalazła ją na dnie pudła po dziewięciu latach. Wtedy raz jeszcze owinęła ją zamszem i wyszukała nowe miejsce, w którym można by ją schować.

## 2

DWANAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

### ***Kolejny doskonały dzień w raju***

Drugi wtorek marca tamtego roku, przynoszący straszliwe rewelacje i nagłą groźbę śmierci, mógł być dla niektórych początkiem końca, ale Bibi Blair, licząca już dwadzieścia dwa lata, z czasem miała go nazwać Dniem Pierwszym.

Zbudziła się o świcie i stanęła przy oknie, ziewając i patrząc, jak jeszcze schowane słońce zapowiada swoje nadejście smugami koralowego światła, by w końcu wychynąć na świat i powędrować ku zachodowi. Lubiła wschody słońca. Początki. Każdy dzień zapowiadał się tak obiecująco. Mogło zdarzyć się tyle dobrego. Dla Bibi słowo „rozczarowanie” zastrzeżone było dla wieczorów i to tylko po dniach, które okazały się kompletną klapą. Była optymistką. Matka powiedziała kiedyś, że z cytryn Bibi zrobiłaby nie lemoniadę, tylko *limoncello*.

Odległe góry, rysujące się na tle porannego błękitu, wyglądały jak wały chroniące magiczne królestwo hrabstwa Orange przed brzydota i nieporządkiem, zmorami współczesnego świata. Wysadzone drzewami sieci ulic i niezliczone parki na planowo zabudowanych, południowych równinach hrabstwa obiecywały gładkie i czyste życie wśród niekończących się uroków.

Ale Bibi potrzeba było czegoś więcej niż zwykłej obietnicy. Miała wielkie marzenia, chociaż wcale ich tak nie nazywała, bo marzenia są fantazjami ze snów, które rzadko się spełniają. Dlatego nazywała je sobie nadziejami. Miała wielkie nadzieje i znała środki, za pomocą których na pewno je zrealizuje.

Czasami umiała wyobrazić sobie własną przyszłość tak jasno, jakby już ją przeżyła, a teraz tylko wspominała. Przy osiągnięciu celów wyobraźnia była niemal tak samo ważna jak ciężka praca. Nie da się zdobyć nagrody, gdy człowiek nie może sobie wyobrazić, jak ona wygląda i gdzie się może znajdować.

Ze wzrokiem wlepionym w góry Bibi myślała o mężczyźnie, za którego wyjdzie, miłości swego życia, przebywającym teraz na drugim końcu świata, w miejscu pełnym krwi i zdrad. Wolała za bardzo się o niego nie martwić. Da sobie radę w każdych okolicznościach. Był nie księciem z bajki, tylko prawdziwym bohaterem. Kobieta mająca zostać jego żoną miała obowiązek zachować postawę co najmniej tak samo stoicką jak on wobec zagrożeń, jakie na niego czekały.

– Kocham cię, Paxton – mruknęła, co zdarzało się często, jak gdyby deklaracja miała stać się zaklęciem, które będzie go chronić niezależnie od tego, jaka dzieliła ich odległość.

Wzięła prysznic i ubrała się. Zgarnęła przed drzwiami gazetę i poszła do kuchni, gdzie z zaprogramowanego ekspresu lała się do dzbanka z pireksu szósta filiżanka kawy. Jej ulubiona mieszanka była aromatyczna i tak nasyczona kofeiną, że same opary zdołałyby uleczyć z narkolepsji.

Stylowe krzesła w kącie jadalnym miały chromowane, stalowe nóżki i siedzenia obite czarnym winylem. Całkiem jak w latach pięćdziesiątych. Lubiła tamte czasy. Świat jeszcze wtedy nie oszalał. Usiadła przy chromowanym stole z czerwonym blatem z formiki, wertując gazetę i pijąc pierwszą kawę w ciągu dnia, którą nazywała „filiżanką na rozruch”.

Chcąc przetrwać w czasach, gdy elektroniczne media przynosiły informacje o wiele szybciej niż drukowane, wydawca gazety poświęcał tylko kilka stron ważniejszym wydarzeniom w kraju i na świecie, by zarezerwować miejsce na dłuższe artykuły, często dotyczące mieszkańców hrabstwa. Jako powieściopisarka Bibi pochwalała takie rozwiązanie. Podobnie jak dobre powieści, najlepsze książki historyczne opowiadały

nie tyle o wielkich wydarzeniach, ile o ludziach, których życie odmieniło się pod wpływem sił pozostających poza ich zasięgiem. Jednak na każdą historię o żonie walczącej z obojętnymi biurokratami o odpowiednią opiekę dla męża – inwalidy wojennego, przypadała opowieść o kimś, kto wszedł w posiadanie ogromnej kolekcji dziwacznych kapeluszy albo starał się o pozwolenie na ślub z własną papugą.

Druga kawa była tak samo czarna jak pierwsza i Bibi wypijała ją do czekoladowego croissanta. Wbrew całej propagandzie nie wierzyła, by morze kawy czy jedzenie mnóstwa masła i cukru były niezdrowe. Jadła, co chciała, czując się prawie jak buntowniczką, zachowując szczupłą sylwetkę i zdrowie. Miała jedno życie i zamierzała je przeżyć, choćby tylko na bekonie.

Przy drugim croissancie poczuła smak zjełczałego tłuszczu. Wypluła kęs na talerz i wytarła język serwetką.

Piekarnia, w której robiła zakupy, zawsze była solidna. W wyplutej grudzie ciasta nie zauważyła niczego złego. Powąchała, croissant był w porządku. Obejrzała go, ale nie dostrzegła nic niepokojącego.

Niepewnie ugryzła znowu. W smaku nie wyczuła niczego dziwnego. A może...? Jakiś nieznacznym ślad... czegoś. Odstawiła croissanta. Straciła apetyt.

W gazecie pisali dużo o kolekcjonerach dziwnych kapeluszy i tym podobnych osobnikach. Odłożyła ją. Nalała sobie trzecią filiżankę i przeszła do większego z dwóch pokoi.

W komputerze otworzyła niedokończone opowiadanie, które pisała z przerwami od kilku tygodni, i popatrzyła na nazwisko autorki: *Bibi Blair*.

Rodzice nazwali ją Bibi nie dlatego, że byli okrutni czy nieczuli na niedolę dziecka cierpiącego z powodu nietypowego imienia, ale wskutek swej niezmiernej lekkomyślności. „Bibi” wywodziło się od starofrancuskiego *beubelot*, oznaczającego zabawkę bądź bibelot. Nie była niczyją zabawką. Nigdy, i to się nie zmieni.

Z *beubelot* wywodziło się także imię Bubbles. Tak byłoby



gorzej. Musiałaby zmienić Bubbles na coś mniej figlarnego albo zostać tancerką na rurze.

Mając szesnaście lat, przyzwyczała się już do tego imienia. W wieku dwudziestu uważała, że Bibi Blair brzmi intrygująco. Mimo to czasami zastanawiała się, czy z takim imieniem i nazwiskiem będzie traktowana poważnie jako pisarka.

Przesunęła kursor do drugiego akapitu, gdzie zauważyła zdanie wymagające poprawy. Zaczęła pisać: prawa ręka sprawowała się dobrze, za to lewa myliła klawisze, rozpraszając po ekranie przypadkowe litery.

Zdziwienie zmieniło się w popłoch, gdy zdała sobie sprawę, że nie czuje klawiszy pod drżącymi palcami. Straciła czucie.

Zdezorientowana, uniosła zdradliwą rękę i zgięła palce. Widziała, jak się poruszają, ale nie *czuła* tego ruchu.

Mimo że kawa wypłukała smak zgnilizny, który przeszkodził jej w uraczeniu się drugim croissantem, usta znowu wypełnił ten obrzydliwy posmak. Skrzywiła się z obrzydzeniem i prawą ręką sięgnęła po kawę. Brzeg filiżanki zastukał o zęby, ale płyn ponownie oczyścił język.

Lewa ręka zsunęła się z klawiatury na kolana. Przez chwilę nie była w stanie nią poruszyć i pomyślała w popłochu: „Paraliż”.

Nagle dłoń i całą rękę przeszył dreszcz – nie drżące odrętwienie jak po mocnym uderzeniu w łokieć, tylko mrowienie, jak gdyby po ciele i kościach rozpełzało się stado owadów. Gdy odsuwała fotel od biurka i wstawała, mrowienie obejmowało całą lewą połowę ciała, od czaszki po stopę.

Mimo że nie wiedziała, co się dzieje, przeczuła, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Ale ja mam tylko dwadzieścia dwa lata – powiedziała.

# **3**

## **Salon**

Nancy Blair zawsze umawiała się jak najwcześniej w liczącym sześć stanowisk salonie Heather Jorgenson w Newport Beach, ponieważ była święcie przekonana, że nawet najlepsze stylistki, takie jak Heather, pracowały najlepiej na początku dnia. Nancy za żadne skarby świata nie obciąłaby włosów po południu, tak samo jak nigdy nie zgodziłaby się na lifting twarzy po kolacji.

Nie można powiedzieć, żeby potrzebowała operacji plastycznych. Mając czterdzieści osiem lat, wyglądała na dziesięć mniej – w najgorszym razie na trzydzieści dziewięć. Mąż — Murphy, znany wszystkim jako Murph — zapowiadał, że jeśli jakiś chirurg zepsuje jej twarz, będzie ją nadal kochał, ale zacznie nazywać Cruellą de Vil, na cześć czarnego charakteru o sztywno naciągniętej skórze ze *101 dalmatyńczyków*.

Włosy też miała wspaniałe, gęste i ciemne, bez siwego kosmyka. Obcinała je co trzy tygodnie, lubiła bowiem wyglądać dokładnie tak, jak trzeba.

Jej córka, Bibi, miała takie same włosy: bujne i ciemnobrązowe, prawie czarne, tyle że zapuszczała długie. Kochane dziecko nieustannie namawiało matkę do porzucenia krótkiej, niesfornej czupryny. Lecz Nancy była kobietą aktywną, ruchliwą i nie miała cierpliwości do niekończących się zabiegów, koniecznych przy dłuższych włosach.

Po spryskaniu głowy Nancy Heather oświadczyła:

– Czytałam powieść Bibi, *Lampę ślepego człowieka*. Naprawdę

mi się podobała.

– Kochana, moja córka ma więcej talentu w małym palcu niż większość pisarzy w obu rękach. – Mimo nieskrywanej dumy, jaka towarzyszyła tym słowom, Nancy zdawała sobie sprawę, że nie są zbyt wymowne, że brzmią wręcz pretensjonalnie. W każdym razie Bibi nie odziedziczyła zdolności do wyrażania myśli po matce.

– Powinna znaleźć się na listach bestsellerów – stwierdziła Heather.

– Znajdzie się. Jeżeli tego zechce. Bo sama nie wiem. Wiesz, rozmawia ze mną o wszystkim, ale w sprawach pisania jest dyskretna, nie zwierza się z tego, co planuje. Bywa tajemnicza. Już w dzieciństwie taka była. Gdy miała osiem lat, zmyślała historyjki o kolonii inteligentnych myszy, które mieszkały w tunelach pod naszym domem. Bez sensu, ale brzmiały prawdopodobnie. Przez jakiś czas wydawało nam się, że ona *wierzy* w te nieznośne myszy. Mało nie posłaliśmy jej do psychologa. Ale zdaliśmy sobie sprawę, że jest po prostu sobą, Bibi – urodzoną opowiadaczką.

Jako namiętna czytelniczka magazynów opowiadających o życiu celebrytów za pomocą mnóstwa zdjęć i minimum prozy Heather prawdopodobnie przestała słuchać długiego monologu Nancy po trzecim zdaniu.

– A niby czemu miałyby nie chcieć napisać bestsellera i stać się *sławna*?

– Może i chce. Ale nie dlatego pisze. Pisze, bo musi. Mówi, że w jej wyobraźni jak w kotle ciągle rośnie ciśnienie. Jak co dzień nie wypuści trochę pary, kocioł wybuchnie i urwie jej głowę.

– Wow. – Oczywiście Heather w lustrze były okrągłe jak u wiewiórki. Była uroczą dziewczynką, a wyglądałaby jeszcze śliczniej, gdyby aparat naprostował jej w swoim czasie górne siekacze.

– Bibi nie mówi oczywiście dosłownie. Głowa nie wybuchnie jej tak samo, jak pod domem u nas nigdy nie mieszkały inteligentne myszy.

Krzywe zęby Heather dodawały jej zatroskanej minie komicznego akcentu. Była rozkoszna.

Murph oświadczył kiedyś, że jeśli dziewczyna jest wystarczająco ładna, niektórzy faceci lecą na krzywy zgryz. Od tego czasu Nancy podejrzliwie patrzyła na każdą atrakcyjną kobietę w życiu swojego męża, która potrzebowała pomocy ortodonta. Murph nie znał Heather. Jeśli będzie zależec to od Nancy, tak pozostanie na zawsze. Nie żeby ją zdradzał. Nie. I to się nie zmieni. Być może nie wierzył, że żona wykastruje go szczypcami do cięcia drutu, jak mu to solennie przyrzekła, ale miał na tyle oleju w głowie, by wiedzieć, że konsekwencje niewierności nie będą przyjemne.

– Zamknij oczy – przykazała Heather. Rozległ się syk rozpylanej wody. Potem odrobina aromatycznej pianki, końcowe dosuszanie i modelowanie szczotką.

Fryzura idealna, jak zawsze. Jako utalentowana fryzjerka Heather nie nazywała się kosmetyczką czy stylistką. Na wizytówce określiła się mianem *coiffeuse* i ta odrobina pretensjonalności, tak bardzo w guście Newport Beach, była w jej przypadku uzasadniona.

Nancy zapłaciła, zostawiając napiwek. Właśnie zapewniała *coiffeuse*, że przekaże autorce pochlebną recenzję *Lampy ślepego człowieka*, gdy przerwał jej dzwonek telefonu – kilka taktów starej piosenki Bobby’ego McFerrina, *Don’t Worry, Be Happy*. Sprawdziła, kto dzwoni, odebrała i zaczęła:

– Co tam, Bibi?

Bibi odpowiedziała jak gdyby zza przepaści o wiele groźniejszej niż odległość:

– Mamo, dzieje się ze mną coś złego.

# 4

## ***Szukanie dobrej strony***

Bibi siedziała właśnie w fotelu w salonie z torebką na kolanach, starając się rozproszyc złowrogie uczucie mrowienia w całym ciele pozytywnym myśleniem, gdy do mieszkania – jak dowódca jednostki specjalnej policji dobrego stylu, poszukującej ludzi w świadczących o braku wyobraźni, dopasowanych ubraniach – wpadła jej matka. Nancy wyglądała jak bogini eklektyzmu w płaszczu o męskim kroju z miękkiej jak tkanina, czarnej skóry od St. Croix, topie écru Louisa Vuittona w zawiłe wzorki, czarnych dżinsach Mavi z subtelnymi i starannie rozplanowanymi przetarciami oraz czarno-czerwonych butach sportowych od projektanta, którego nazwiska Bibi nie mogła sobie przypomnieć.

Nie miała tak jak matka obsesji na punkcie mody, o czym świadczyły niemarkowe dżinsy i koszulka z długim rękawem.

Nancy szła w kierunku fotela, wyrzucając z siebie lawinę słów:  
– Jesteś blada, dosłownie szara... O Boże, wyglądasz okropnie!

– Nieprawda, mam. Wyglądam normalnie, co jest gorsze, niż gdybym była szara jak kamień i krwawiły mi oczy. Jak mogę wyglądać normalnie i mieć takie objawy?

– Dzwonię na pogotowie.

– Nic z tych rzeczy – zaoponowała stanowczo Bibi. – Nie będę robić z siebie widowiska. – Wspierając się na zdrowej ręce, wstała z fotela. – Po prostu zawieź mnie na izbę przyjęć.

Nancy patrzyła na córkę jak na jakieś żalosne, potrącone przez ciężarówkę stworzenie, leżące bezwładnie na poboczu autostrady. Jej oczy zaszyły mgiełką łez.

– Tylko nie to, mamó. Tylko bez płaczu. – Bibi pokazała niewielką torebkę ze ściąganyymi troczkami, która leżała przy fotelu. – Możesz ją zabrać? Jest w niej pidżama, szczoteczka do zębów i bielizna na wypadek, gdybym musiała nocować. Nigdy w życiu nie założę jednej z tych zawiązywanych z tyłu szpitalnych koszul, z których wystaje ci tyłek.

Nancy oświadczyła głosem trzęsącym się jak galareta:

– Tak bardzo cię kocham...

– Ja ciebie też, mamó. – Bibi zrobiła ruch w stronę drzwi. – No, chodźmy. Nie boję się. Przynajmniej nie bardzo. Zawsze powtarzasz: „Będzie, jak ma być”. Teraz pora zrobić z tego użytek. Jedziemy.

– Ale jak miałaś udar, trzeba zadzwonić na pogotowie. Każda minuta jest ważna.

– To nie udar.

Wyprzedzając córkę, otwierając drzwi, ale stając na drodze, Nancy powiedziała:

– Przez telefon mówiłaś, że masz sparaliżowany...

– Nie sparaliżowany. Tylko z mrowieniem. Jakby przypięli do mnie pięćdziesiąt wyciszonych komórek, które równocześnie wibrują. I lewa ręka jest trochę słabsza. To wszystko.

– To wygląda na udar. Skąd wiesz, że nie?

– To nie udar. Nie bełkoczę. Dobrze widzę. Nie boli mnie głowa. Nie jestem dezorientowana. *I mam tylko dwadzieścia dwa lata, do cholery!*

Twarz Nancy wyrażała już nie tyle trwoźny niepokój, co wyrzuty sumienia, że zamiast pomagać córce, wpędza ją w jeszcze większy niepokój.

– Dobrze. Tak, masz rację. Zawiozę cię.

Z mieszkań na drugim piętrze wychodziło się na zadaszony balkon i Bibi trzymała się prawą ręką balustrady, gdy zmierzały

ku jego północnemu krańcowi. Przyjemnie chłodny dzień. Odświętny śpiew ptaków. Palmy i paprocie na dziedzińcu szumiały cicho na łagodnym wietrze. Ławice widmowych, srebrzystych rybek słonecznego blasku przepływały basen i ta prosta scena wydała jej się jak jeszcze nigdy przedtem przesycona tak prostym pięknem.

Na końcu balkonu Nancy zapytała:

– Skarbie, na pewno dasz radę zejść ze schodów?

Otwarta, żelazna klatka schodowa miała betonowe stopnie z wtopionymi otoczakami. Symetria schodów, wdzięk, z jakim schodziły na dziedziniec, nadawały im cechy rzeźby. Bibi nigdy przedtem nie spoglądała na nie jak na dzieło sztuki. Ten nowy punkt widzenia wynikał chyba z tego, że może ich już nigdy nie ujrzeć.

– Pewnie, że dam – zniecierpliwiona zapewniła matkę. – Byle tylko nie trzeba było przy tym *tańczyć*.

Zaliczała kolejne stopnie schodów bez poważniejszych wpadek. Tylko trzy razy lewa noga nie poruszyła się wtedy, kiedy należało, i musiała przeciągać ją ze stopnia na stopień.

Gdy na parkingu znalazły się przy bmw z indywidualnymi tablicami rejestracyjnymi najlepszej na świecie agentki, Nancy już chciała podejść do drzwi od strony pasażera, gdy raptem przypomniała sobie, że nie ma do czynienia z niemowlęciem, i spieszenie przeszła na stronę dla kierowcy.

Bibi z ulgą stwierdziła, że wsiadanie do samochodu nie jest trudniejsze od znalezienia się w łagodnie rozkołysanej gondoli diabelskiego młyna.

Zapalając silnik, Nancy ją upomniała:

– Zapnij pas, skarbie.

– Zapięłam, mamo. – Usłyszała głos nastolatki, niezbyt samodzielnej i z pretensjami do całego świata, i wcale jej się to nie spodobało. – Jestem zapięta.

– A, tak. Tak, oczywiście.

Nancy wyjechała z parkingu bez zatrzymywania się, skręciła

w prawo i przyspieszyła, żeby zdążyć przejechać skrzyżowanie na zielonym świetle.

– Byłoby ironią losu – zauważyła Bibi – gdybyś nas zabiła po drodze do szpitala.

– Nigdy nie miałam wypadku, skarbie. Dostałam jeden, jedyny mandat, i to tylko przy podstępnie ukrytym radiowozie. Gliniarz był skończonym smogolem, bezmózgim kakusem, który nie odróżniłby szklanki od pasztetu.

Gwara surferska. Smogol to szczur lądowy. Kakus to kutas. Szklanka to gładka powierzchnia oceanu, idealna do surfowania, a pasztety to fale, przy których surferzy myślą o przerzuceniu się na skateboarding.

Czasami Bibi zapominała, że matka dawno temu była supersurferką, jak nikt jeżdżącą na beczkach i stawiającą czoła nadchodzącej fali. Nancy wciąż uwielbiała spieczony słońcem piasek i morską pianę. Co pewien czas odbijała od brzegu i łapała fale. Jednak surfowanie nie było już tak jak kiedyś istotne w jej życiu. Poza plażą używała tego żargonu tylko wtedy, gdy miała coś przeciwko jakimś autorytetom.

Skupiła się na drodze. Łzy obeschły, usta się zacisnęły, a czoło zmarszczyło. Spoglądała we wsteczne i boczne lusterka, częściej niż zwykle zmieniała pas, całkowicie pochłonięta zadaniem, co zdarzało się tylko wtedy, gdy wypatrzyła jakąś nieruchomość albo uznała, że niewiele brakuje do dopięcia jakiejś transakcji.

– O kurde! – Bibi chwyciła kilka chusteczek ze schowka i dwa razy w nie splunęła, ale bez skutku.

– Co jest, co ty wyprawiasz?!

– Co za ohydny posmak.

– Jaki znowu posmak?

– Jakby skwaszonego mleka, zjełczanego masła. Czasem go czuję.

– Od kiedy?

– Odkąd... to się zaczęło.



- Mówiłaś tylko o zwiotczącej ręce i pieczeniu.
- Bo to chyba nie ma związku.
- Ma – zdecydowała matka.

W oddali zamajaczył budynek szpitala i na jego widok Bibi doszła do wniosku, że boi się bardziej, niż chciałyby przyznać przed samą sobą. Budowla była zwyczajna, pozbawiona wyrazu, a mimo to im bardziej się zbliżała, tym bardziej złowrogie robiła wrażenie.

- Nie ma tego złego... – zaczęła.
- Coś ty?! – przerwała jej matka. W jej głosie było słychać niepokój i powątpiewanie.
- Pisarzowi wszystko wychodzi na dobre. To materiał. Potrzebujemy nowego materiału do opowieści.

Nancy przyspieszyła i przejechała na żółtym, po czym skręciła na teren szpitala.

- Będzie, co ma być – powiedziała ledwie słyszalnie, jak gdyby te słowa były zaklęciem, takie abrakadabra, które odpędzi zło.
- Nie chcę już tego słyszeć – odpowiedziała Bibi, chyba bardziej gwałtownie, niż zamierzała. – Nigdy. Zawsze to mówisz, a ja nie mam ochoty tego słuchać.

Zgodnie z drogowskazem Nancy skręciła w lewo w kierunku pogotowia i popatrzyła na córkę.

- W porządku. Czego sobie tylko życzysz, skarbie.
- Bibi od razu pożałowała swojego burknięcia.
- Przepraszam. Bardzo przepraszam. – Pierwsze słowo zabrzmiało normalnie, lecz w dwóch następnych usłyszała zniekształcenie, przez co zabrzmiały jak „balco pszpszam”.

Gdy zajeżdżały przed izbę przyjęć, Bibi zrozumiała, dlaczego nie zadzwoniła na 911: jak przystało na pisarkę, miała subtelne wyczucie konstrukcji opowieści. Być może już w chwili, kiedy lewa ręka nie chciała trafiać w klawisze komputera tak, jak jej to nakazywała, a już na pewno wtedy, gdy poczuła pieczenie, wiedziała, dokąd zmierza to wszystko i dokąd doprowadzi: do bardzo ciemnego miejsca. Każde życie jest opowieścią lub

zbiorem opowieści, z których nie wszystkie kończą się zgrabnym happy endem. Zawsze tkwiła w przeświadczeniu, że jej życie będzie opowiadaniem o szczęściu, że tak je *skonstruuje*, a przy pierwszych objawach nie chciała się przed sobą przyznać, że takie przekonanie może być naiwne.

# 5

## ***Pogłaskaj Kota***

Mimo że nad wybrzeżem południowej Kalifornii nie zagościł jeszcze na dobre wiosenny żar, Murphy Blair wybrał się tego dnia do pracy w sandałach, szortach kąpielowych, czarnej koszulce i rozpiętej koszuli Pendletona w niebiesko-czarną kratę z podwiniętymi rękawami. W czuprynie jasnobrązowych włosów było mnóstwo pasemek blond, od słońca, a nie farbowanych, bo nawet w chłodne dni udawało mu się pobyć kilka godzin na słońcu. Był chodzącym dowodem na to, że dostateczny upór i pogarda dla czerniaka wystarczą, by cały rok utrzymać letnią opaleniznę.

Jego sklep, Pogłaskaj Kota, znajdował się na Półwyspie Balboa, oddzielającym Newport Harbor od oceanu, w pobliżu pierwszego mola. Nazwa sklepu opisywała ruch surfera na desce, który kuca i gładzi powietrze albo wodę, jakby chciał przygotować sobie równiejszą drogę.

Witryny były pełne desek i zarąbistych koszulek Mowgli, Wellen, Billabong, Aloha, Reyn Spooner. Murph sprzedawał wszystko – od okularów Otis z soczewkami mineralnymi po buty SurfSiders, od kombinezonów do nurkowania po skarpetki Stance w desenie inspirowane obrazami mistrza surfingu, Johna „Johna” Florence’a.

Pięćdziesięcioletni Murph żył pracą i pracował dla zabawy, która nadawała smak jego życiu. Drzwi Pogłaskaj Kota zastał otwarte, światła włączone, a za ladą stał Pogo, z uwagą czytając

instrukcję do Search, zegarka do surfowania z GPS-em firmy Rip Curl.

Spoglądając na szefa, Pogo oznajmił:

– Na mur beton kupię sobie taki.

Przed trzema laty ukończył liceum z idealną średnią dwa przecinek zero i zniweczył próby rodziców, którzy usiłowali pchnąć go na ścieżkę do college'u. Mieszkał z dwoma innymi fanami surfingu, Mikiem i Nate'em, w kawalerce nad sklepem z rzeczami używanymi w pobliskiej Costa Mesa i jeździł poszarzałą ze starości, trzydziestoletnią hondą, która wyglądała jak samochód nadający się wyłącznie do pokazów niszczenia aut przez monstrualne ciężarówki.

Zdarzało się, że jakiś nieudacznik uciekał w świat surfingu i spędzał życie pozbawione w zasadzie damskiego towarzystwa, by umrzeć przed odebraniem ostatniego zasiłku. Z dwóch powodów nie groziło to jednak Pogo. Po pierwsze, był królem fal, nieustraszonym i pełnym gracji na desce, chętnie mierzącym się nawet z ogromnymi monolitami, jakie przygnał huragan Marie, podziwianym za styl i serce. Mógłby zostać mistrzem, gdyby wytarczyło mu ambicji na startowanie w zawodach. Po drugie, był tak śliczny, że kobiety oglądały się za przechodzącym Pogo, jakby miały głowy na obrotowych zawiasach.

– Dostanę upust jak zwykle? – spytał Pogo, wskazując na zegarek do surfowania z GPS-em.

– Nie ma sprawy – zgodził się Murph.

– Dwanaście tygodniowych rat na zero procent?

– Co to ja jestem, organizacja dobroczynna? Nie kosztuje aż tak dużo.

– Osiem tygodni?

– Dobra, niech będzie – westchnął Murph. Wskazał na pusty, płaski ekran telewizyjny na ścianie za ladą, który dla stworzenia w sklepie odpowiedniego klimatu powinien pokazywać stare filmy o surfingu. – Tylko nie mów, że jest

zepsuty.

– Nie jest. Po prostu zapomniałem. Sorry, brachu.

– Brachu? Kochasz mnie jak brata, Pogo?

– Jasne, brachu. Mój prawdziwy brat, Clyde, jest zamóżdżonym maklerem, koleśiem prosto z Marsa.

– Przecież ma na imię Brandon. Co to znowu za Clyde?

– Domyślisz się. – Pogo mrugnął.

Murph zaczerpnął tchu.

– Chcesz, żeby sklep się rozwijał?

– Jasne. I żebyś został królem surferów, brachu – oświadczył Pogo, puszczając filmy Billabong.

– To bardzo byś mi pomógł, gdybyś poszedł robić w innym sklepie.

Pogo uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Byłbym się załamał, gdybym uwierzył, że mówisz serio. Ale widzisz, kumam ironię. Powinieneś robić w stand-upie.

– Pewnie, boki zrywać.

– Naprawdę. Bonnie też uważa, że jesteś przekomiczny.

– Bonnie, twoja siostra, która haruje od rana do nocy, żeby utrzymać restaurację? A, już rozumiem. Bonnie i Clyde. Zresztą ona też jest zamóżdżona. Chcesz mi powiedzieć, że macie podobne poczucie humoru?

Pogo westchnął.

– Dla mnie „zamóżdżony” nie jest określeniem pejoratywnym. Mam dużo wspólnego ze swoim rodzeństwem.

– Pejoratywnym, co? Czasem się nie pilnujesz, Pogo. – Zadzwoiła komórka Murpha. Sprawdził, kto dzwoni. Nancy. – Co tam, słonko?

Poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach i dobiera się do serca, kiedy usłyszał słowa żony:

– Boję się, że Bibi miała udar.

## **6**

### ***Przerażające tempo badań***

We wtorkowy poranek na pogotowiu nie było tak dużego zamieszania jak na nocnej zmianie. Noc przynosiła ofiary pijanych kierowców, bandytów, pobite żony i różnego rodzaju agresywnych bądź halucynujących narkomanów na cienkiej granicy przedawkowania. Prócz Bibi i jej matki w poczekalni siedziało tylko pięć osób, z których żadna nie krwawiła obficie.

Wstępnym diagnozowaniem stanu chorych zajmował się akurat felczer o nazwisku Manuel Rivera, niski, krępy mężczyzna w niebieskim szpitalnym kitlu. Zmierzył jej tętno i ciśnienie krwi, słuchając opisu objawów.

Bibi wypowiedziała co prawda kilka słów niewyraźnie, ale poza tym mówiła normalnie. W szpitalu czuła się lepiej i bezpieczniej do czasu, gdy słodka twarz Manuela, podobna niemal do oblicza Buddy, przybrała mroczny wyraz zatroskania i gdy posadził ją na wózku. Z widocznym pośpiechem przewiózł ją przez dwoje automatycznych drzwi na pogotowie przed ludźmi czekającymi w kolejce.

Każda z sal oddziału intensywnej opieki miała podłogę w płytkach z szarego winylu, trzy bladoniebieskie ściany i ścianę od strony korytarza wykonaną ze szkła. W głowach łóżka stał kardiomonitor i inny sprzęt, czekający na uruchomienie.

Nancy usadowiła się na jednym z krzeseł dla odwiedzających, trzymając tak kurczowo torebkę swoją i Bibi, jak gdyby

spodziewała się napadu.

Manuel opuścił łóżko i pomógł Bibi usiąść na krawędzi.

– Nie kładź się jeszcze, chyba że zaczniesz się kręcić w głowie – polecił.

Wyjechał wózkiem na korytarz, gdzie natknął się na wysokiego, wysportowanego mężczyznę w fartuchu operacyjnym, na pewno lekarza. Ten toczył przed sobą stanowisko komputerowe do wprowadzania informacji o wstępnej diagnozie i leczeniu każdego pacjenta, którym się zajmował.

– Nic ci nie jest, skarbie? – spytała Nancy.

– Nic, mamó. Wszystko dobrze. Nic mi nie będzie.

– Potrzebujesz czegoś? Wody? Masz ochotę się napić?

Bibi miała usta pełne śliny, jak gdyby zamierzała wymiotować, ale przełknęła i opanowała odruch. Akurat woda nie była jej teraz do niczego potrzebna.

Po krótkiej rozmowie z Manuelem lekarz wszedł na salę i przedstawił się jako doktor Armand Barsamian. W innych okolicznościach jego spokój i pewność siebie dodałyby Bibi otuchy.

Badał jej oczy za pomocą wziernika, zadając pytania – imię i nazwisko, data urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego – i zdała sobie sprawę, że sprawdza, czy to, co się z nią dzieje, ma wpływ na jej pamięć.

– Musimy zrobić tomografię komputerową mózgu – oznajmił doktor Barsamian. – Jeśli to udar, im szybciej znajdziemy przyczynę, czyli zakrzep lub krwotok, i zaczniemy kurację, tym większe prawdopodobieństwo całkowitego wyzdrowienia.

W progu stał już sanitariusz z wózkiem. Lekarz pomógł jej się położyć.

Matka stała na korytarzu zrozpaczona, jak gdyby miała już nigdy w życiu nie zobaczyć córki. Sanitariusz skręcił za róg i Bibi straciła mamę z oczu.

Na sali z tomografem było chłodno. Nie poprosiła o koc. Miała

nieracjonalne przeczucie, że im większy zachowa spokój, tym lepsze wyjdą wyniki.

Przeszła z wózka na stół do prześwietleń.

Sanitariusz wyszedł, gdy pojawiła się pielęgniarka z tacą, na której niosła gumową opaskę uciskową, foliowy woreczek z jednorazową szmatką nasączoną roztworem przeciwbakteryjnym i strzykawkę ze środkiem kontrastowym, na tle którego naczynia krwionośne i urazy mózgu miały być lepiej widoczne.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

– Tak, dziękuję. Dobrze.

Po odejściu pielęgniarki z sąsiedniego pomieszczenia odezwała się niewidoczna technik, wyjaśniając Bibi przebieg zabiegu. Miała miły, dziewczęcy głos z nikłym śladem japońskiego akcentu, przez co po zamknięciu oczu Bibi ujrzała scenę barwniejszą niż pracownia tomografii...

*Ścieżka z kamiennych płyt prowadzi do bramy Czerwonego Księżyca, oplecionej olśniewająco białymi chryzantemami. Dalej, w zaciszu kwitnących wiśni, stoi herbaciarnia. Garść bladych płatków zdobi ciemne kamienie pod stopami. W środku siedzą gejsze w jedwabnych kimonach o długich, czarnych, kunsztownie ułożonych włosach, spiętych spinkami z kości słoniowej w kształcie wążek.*

Blat z Bibi wjechał do otworu tomografu, przerywając marzenie z herbaciarni. Prześwietlenie skończyło się tak szybko, że nie wiedziała, czy wszystko przebiegło prawidłowo, choć czuła, że kompetencjami personelu szpitala powinna martwić się najmniej.

Przerażało ją tempo, z jakim zajęli się nią od chwili, gdy znalazła się na izbie przyjęć. Do czasu postawienia diagnozy nie miała co liczyć na spokój. Mimo to im szybciej pracowali, tym mocniej czuła, że zsuwa się, nabierając prędkości, w otchłań.



# 7

DWANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

## ***Moc ciastek***

Po niecałym tygodniu Olaf, golden retriever – przybłęda z ulewy – nabrał zwyczaju wchodzenia po schodach do mieszkania nad garażem. Lubił leniuchować na niewielkim balkonie z parą bujanych krzeseł. Opierał brodę na dolnej listwie pomalowanej na biało balustrady i między tralkami – jak książkę z zadowoleniem oglądający swoje włości – wpatrywał się w podwórko za domem.

Mała Bibi przywoływała go na dół, początkowo szeptem, który na pewno słyszał, bo psy mają słuch lepszy niż ludzie. Olaf spoglądał na nią z wysoka, ale udawał głuchego. Gdy przechodziła do szeptu scenicznego, nadal nie schodził, choć ciche postukiwanie ogona o balkonową posadzkę świadczyło, że rozumie jej polecenia.

Bała się wejść, wziąć psa za obrozę i sprowadzić go na dół. Na balkonie znalazłaby się jedynie kilka stóp od drzwi wejściowych do mieszkania. Za blisko.

Bezsilna Bibi chodziła po podwórku, raz po raz spoglądając na Olafa, choć nigdy na troje okien. W słońcu szyby zmieniały się w lustra, tak że nie zobaczyłaby nikogo, nawet gdyby stał w środku i ją obserwował. W każdym razie nigdy bezpośrednio nie przyglądała się żadnemu z okien.

Poszła do domu i z puszki w spiżarni wyjęła dwa ciastka z mączki chleba świętojańskiego, którym retriever nie potrafił się oprzeć. Po powrocie na podwórko podniosła ręce, trzymając

w każdej po ciastku, tak by Olaf poczuł rozkoszny zapach nagrody za posłuszeństwo. Wiedziała, że poznał mączkę świętojańską, widziała, jak za tralkami marszczy wilgotny, czarny nos.

Ciastka dotąd zawsze skutkowały, ale tym razem stało się inaczej. Po paru minutach Bibi przeszła na ganek z tyłu domu i usiadła na wiklinowej sofie z grubymi poduszkami we wzór z liści palmy.

Olaf lubił tam przy niej leżeć z łbem na jej kolanach, kiedy głaskała go po pysku, drapała po klatce piersiowej i masowała po brzuchu. Dach nad gankiem zasłaniał okna mieszkania, choć dostrzegą ją jeszcze stamtąd dolną część balustrady i psa z nosem wsuniętym między dwie tralki. Jak najbardziej ją obserwował.

Bibi przysunęła jedno z ciasteczek do nosa, powąchała i uznała, że ludzki język jakoś je zniesie. Przegryzła ciastko i zaczęła żuć. Nie smakowało źle, ale też nie było to nic szczególnego. Podobno mączka świętojańska przypominała smakiem czekoladę, której psy jeść nie mogły, ale interesom Hersheya raczej nie zaszkodzi.

Z punktu obserwacyjnego na balkonie Olaf widział, jak ktoś bezczelnie zjada połowę jego przysmaku. Nie leżał już z brodą na dolnej listwie balustrady. Wetknął pysk między dwie tralki stopę od górnej listwy, co znaczyło, że wstał.

Bibi pomachała połową ciastka przed własnym nosem, w tę i z powrotem, unosząc głos, żeby mocniej wyrazić uznanie dla takiej pyszności:

– Mmm, mmmmm, mmmmmm.

Olaf pędem zbiegł po schodach z balkonu, przeciął wykładany kostką dziedziniec i jednym susem znalazł się na sofie, lądując z takim impetem, że wiklina zatrzeszczała i zajęczała w proteście.

– Grzeczny piesek – powiedziała Bibi.

Miękką mordą wyjął połówkę ciastka spomiędzy jej kciuka

i palca wskazującego. Drugie dała mu całe, a gdy przeżuwał z hałaśliwą rozkoszą, napomniała go:

– Już nigdy tam nie wchodzić. Trzymaj się z dala od tego mieszkania. To złe miejsce. Okropne. Piekielnie złe.

Pies skończył się oblizywać i spojrzał na nią z czymś, co uznała za poważny namysł: szerokie źrenice w cieniu ganku, złote tęczęwki palące się jakby wewnętrznym światłem.

# 8

## ***Pod młotem i w ogniu nagonki***

Nancy upominała się, że trzeba wrzucić na luz, wyżelować się, prześliznąć przez tę chwilę, okiwać bałwana, po prostu posiedzieć i poczekać, aż Bibi przywiozą z tomografii. Ale nawet jako surfingowy bobasek nigdy nie była spokojna jak lalka Barbie. Na desce zawsze miała ochotę kroić fale, rwać je na strzępy, a gdy morze krzepło na pasztet, jej mimo wszystko nie opuszczała zwykła energia.

Tak więc gdy Murph skręcił w drugi korytarz OIOM-u, Nancy chodziła w tę i z powrotem przed salą, z której Bibi zabrano na wózek. Nie zauważyła go od razu, lecz domyśliła się jego obecności po pełnych zaskoczenia reakcjach, przymilnych uśmiechach i szeptach kilku pielęgniarek. Nawet w wieku pięćdziesięciu lat Murphy wyglądał jak Don Johnson z czasów *Miami Vice* i gdyby poczuł chęć na inne kobiety, uwiesiłyby się go jak remory, ryby, które potężnymi ssawkami przytwierdzały się do rekinów.

Murph wciąż miał na sobie czarną koszulkę, pendletona z podwiniętymi rękawami i kąpielowe szorty, za to z szacunku do szpitala zmienił sandały na czarne surf sidery z niebieskimi sznurówkami, które założył bez skarpetek. Newport Beach było jednym z nielicznych miast w kraju, gdzie gość ubrany jak Murph nie dziwił nikogo w szpitalu czy nawet w kościele.

Objął Nancy, która odwzajemniła uścisk, i przez chwilę żadne nie wymówiło ani słowa. Nie było takiej potrzeby. Musieli tylko

trzymać się blisko.

Gdy odsunęli się od siebie, trzymając się tylko za ręce, Murph zapytał:

– Gdzie ona jest?

– Robią jej tomografię. Powinna już być z powrotem. Nie wiem, dlaczego jej jeszcze nie przywieźli. To nie powinno trwać tak długo, prawda?

– Dobrze się czujesz?

– Czuję się jak miażdżona młotem, gdy zbliża się nagonka. – Użyła surferskich wyrażeń na opisanie bycia zmytą i bezlitośnie rozjechaną przez monstrualną falę.

– A Bibi?

– Znasz ją. Daje radę. Na pewno już obmyśla, co będzie robić, gdy to się skończy, bo może jest to dobry materiał na opowieść.

Doktor Barsamian, kierujący OIOM-em na tej zmianie, podszedł do nich ze swoim przewoźnym komputerem i powiadomił ich, że po tomografii Bibi została przyjęta do szpitala.

– Leży na sali 456.

Lekarz miał oczy czarne jak oliwki kalamata. Nawet jeżeli wiedział coś strasznego o stanie Bibi, Nancy nie mogła z nich nic wyczytać.

– Tomografia nie dała jednoznacznych wyników – powiedział Barsamian. – Musimy wykonać więcej badań.

W windzie, między parterem a trzecim piętrem, Nancy przeżyła niepokojącą chwilę pomieszania zmysłów. Choć podświetlana cyfra nad drzwiami zmieniła się z 0 na 1, potem na 2, gotowa była przysiąc, że kabina, zamiast przemieszczać się w górę, zjeżdża w dół, w nieznanne podziemie budynku, że za pomocą liny z przeciwwagą są ściągani w jakąś odwieczną ciemność, z której nie będzie już powrotu.

Gdy na wyświetlaczu pojawiła się cyfra 3 i drzwi się otworzyły, niepokój nie ustąpił. Sala 456 była na prawo. Drzwi stały otworem. W środku ujrzeli dwa puste łóżka ze świeżą, gładką

pościelą.

Torebka z troczkiem Bibi leżała na stoliku obok tego bliżej okna. Nancy zajrzała do środka i zobaczyła pastę, szczoteczkę i kilka innych rzeczy, za to nie było pidżamy.

Obok każdego łóżka stała wąska szafka. Jedna pusta, w drugiej wisiały džinsy i koszulka z długimi rękawami Bibi. Buty stały przy sobie na dole szafki z wepchniętymi w nie skarpetami.

Przy akompaniamencie skrzywienia butów na gumowych podszwach i zapachu mydła na salę weszła młoda blondynka w błękitnym kitlu. Wyglądała tak młodo, jakby miała dopiero piętnaście lat i bawiła się w szpital.

- Poinformowano nas, że jest tu nasza córka – zaczął Murph.
- Państwo Blair? Bibi jest na badaniach.
- Jakich? – spytała Nancy.
- Krew, rezonans, to co zwykle.
- My nie jesteśmy przyzwyczajeni – wypaliła Nancy, bez skutku siląc się na lekki ton.
- Nic jej nie będzie. Badania są nieinwazyjne. Dobrze sobie radzi.

Zapewnienia o wiele za młodej siostry wypadły równie pusto jak obietnice polityka.

- To chwilę potrwa. Mogą państwo zejść do stołówki na obiad. Na pewno zdążycie – dodała.

Po wyjściu pielęgniarki Nancy i Murph stali chwilę, nie wiedząc, co począć, rozglądając się po sali, jak gdyby zostali do niej przeniesieni czarodziejską siłą.

- Stołówka? – zapytał.
- Nie jestem głodna. – Potrząsnęła głową.
- Miałem na myśli kawę.
- W szpitalach powinny być też bary.
- Nigdy nie pijesz przed szóstą.
- Ale dzisiaj zaczęłabym wcześniej. – Odwróciła się w stronę okna, po czym z powrotem obróciła się na pięcie, jak gdyby

tknięta jakąś myślą. – Trzeba powiadomić Paxtona.

Murph pokręcił głową i odrzekł:

– To niemożliwe. Nie teraz. Nie pamiętasz? Jest na tajnej misji. Nie ma z nim kontaktu.

– Musi być! – zaproponowała Nancy.

– Gdybyśmy próbowali, a Bibi by się dowiedziała, zażądałaby naszych skalpów. Nie są jeszcze małżeństwem, a ona już z każdym dniem się do niego upodabnia. Jest coraz twardsza i zaangażowana w życie, które on wybrał.

Nancy wiedziała, że ma rację.

– Kto by pomyślał, że będziemy się martwić o nią, a nie o niego?

Włączyła telewizor. Nie bawił ją żaden z programów. Wszystkie wydawały się nieznośnie bez sensu. Z wiadomości biła rozpacz.

Zeszli do stołówki na kawę.

# 9

## ***W tunelu losu***

Już później Bibi dowiedziała się, że tomografia dała wyniki niejednoznaczne, lecz sugestywne, a lekarze woleliby udar od tego, co podejrzewali. Po wykluczeniu możliwości zatoru i krwotoku zajmowali się nią z coraz większym niepokojem, o którym z nią nie rozmawiali. Ich uśmiechy były maskami nie dlatego, że chcieli ją oszukać, tylko dlatego, że lekarze, tak samo jak pacjenci, żyją nadzieją.

Później dowiedziała się także, że po wykluczeniu zatoru i krwotoku najwięcej szans na całkowite wyleczenie dawał ropień mózgu, napełniona ropą jama, otoczona tkanką w stanie zapalnym. Tę groźną dla życia chorobę można było leczyć antybiotykami i kortykosteroidami, często bez konieczności operacji.

Pobrali krew na posiew. Zrobili rentgen klatki piersiowej. Podłączyli ją do EEG, żeby przez godzinę badać aktywność elektryczną mózgu.

Gdy Bibi jechała na kolejny rezonans, czuła się jak po przebiegnięciu wielu kondygnacji schodów. Była nie tyle zmęczona, co *znużona*. Stan taki nie mógł wynikać ze znikomej aktywności fizycznej, jakiej wymagał od niej ten dzień. Założyła, że narastające wyczerpanie jest jeszcze jednym objawem choroby, takim jak mrowienie w lewej połowie ciała, zjęłczały posmak, który pojawiał się i znikał, i osłabienie lewej ręki.

Nie miała apetytu, a dali jej tylko wodę. Być może niektóre



badania trzeba było robić na czczo. Albo koniecznie chcieli zebrać wszystkie informacje potrzebne do pilnego rozpoznania choroby.

Ponieważ aparat do rezonansu magnetycznego stanowił zamknięty tunel o średnicy niewiele większej niż ludzkie ciało, pielęgniarka spytała:

– Czy ma pani klaustrofobię?

– Nie – odpowiedziała Bibi, nie chcąc brać łagodnego środka uspokajającego przed wjazdem do złowróbnego cylindra.

Nie dopuszczała do siebie nawet możliwości, że cierpi na taką słabość. Nie była mięczakiem, nigdy, i tak już zostanie. Podziwiała twardość, męstwo i determinację.

Wzięła za to wkładane do uszu słuchawki, dzięki którym będzie mogła słuchać muzyki, i przenośny przyrząd, którym będzie mogła dać operatorowi znać, że dzieje się coś złego.

Miała spędzić dłuższy czas w urządzeniu. Nowoczesna technologia rezonansu magnetycznego umożliwi wykonanie bardzo konkretnych skanów. Rezonans funkcjonalny zmierzy aktywność komórek nerwowych w mózgu. Angiografia oceni pracę serca i przepływ krwi przez naczynia w całym ciele. Spektrografia umożliwi drobiazgową analizę zmian chemicznych w mózgu wywoływanych przez szereg schorzeń.

Przez słuchawki płynęły pozbawione słów, łagodne, orkiestrowe wersje piosenek, których nie umiałaby nazwać. Co pewien czas maszyna wydawała słyszalne stukoty, jak gdyby technik musiał popęczać aparat uderzeniami młotka. Bibi czuła, jak serce bije jej z trudem. Przyrząd do sygnalizacji zapotniał w jej ręce.

Zamknęła oczy i próbowała zapomnieć o sytuacji, myśląc o Paxtonie Thorpie. Mężczyzna piękny pod każdym względem: ciało i twarz, oczy, serce i umysł. Poznała go ponad dwa lata temu. Przed pięcioma miesiącami przyjęła oświadczyzny. Jego imię, tak samo jak jej, było znaczące: Paxton to „miasto pokoju”, co nabierało ironicznego wydźwięku wobec faktu, że

był zaprawionym w bojach żołnierzem sił specjalnych amerykańskiej marynarki, SEAL. Pax pojechał na supertajną misję, w której ramach robili coś złym ludziom, z pewnością zasługującym na jeszcze gorsze traktowanie. Oddział miał działać bez kontaktu ze światem przez tydzień, może dziesięć dni. Żadnych telefonów. Żadnego tweetowania. Nie mógł dowiedzieć się, co się dzieje z narzeczoną.

Strasznie za nim tęskniła. Powiedział, że ona jest probierzem, według którego pod koniec życia stwierdzi, czy był dobrym człowiekiem, zrobionym z tombaku czy prawdziwego złota. Ona już wiedziała: ze złota. Był jej opoką i potrzebowała go teraz, lecz przesiąknęła już wojskowym stoicyzmem i nie chciała zalewać się łzami z powodu jego nieobecności. Czasami wręcz myślała, że w innym życiu była żoną żołnierza, skoro taka mentalność wydawała jej się czymś naturalnym.

Mruczące urządzenie stuknęło i huczało, gdy usta Bibi raptem napełniły się śliną. Tak jak wcześniej nie towarzyszyły temu mdłości i groźba wymiotów oddaliła się.

W duchu usłyszała słowa matki: „Będzie, co ma być”. Te słowa stanowiły mantrę Nancy i Murphy’ego, ich ustępstwo wobec praw natury i losu. Bibi kochała ich jak każde dziecko kocha rodziców, jednak ich rozumienie istoty świata nie zgadzało się z jej pojęciami. Ona nie będzie czynić ustępstw na rzecz losu. Żadnych.

# **10**

## ***Co z niej za dziewczyna***

O czwartej po południu Bibi zaczął zajmować się doktor Sanjay Chandra.

Nancy od razu się spodobał, choć z bardzo dziwnego powodu. W dzieciństwie zauroczyła ją książka o pierniku, który ożył. Na ilustracjach piernik, mający na imię Cookie, był jaśniejszego koloru, w ciepłym odcieniu cynamonu, miał śliczną, krągłą twarzyczkę i oczy z czekoladowych groszków. Gdyby książka nie miała co najmniej czterdzieści lat, czyli mniej więcej tyle samo co lekarz, mogłaby sobie pomyśleć, że grafik go znał i zaczerpnął od niego wygląd bajkowej postaci. Doktor Chandra mówił słodkim, melodyjnym głosem, prawdziwie godnym ożywionego ciastka, i zachowywał się równie przyjemnie.

Po serii badań wyczerpana Bibi wróciła na szpitalną salę. Mimo niepokoju miała ochotę przespać się przed kolacją. Odplynęła jak po kroplówce ze środkami nasennymi.

Doktor Chandra nie chciał jej budzić i w ogóle wolałby odczekać i dopiero nazajutrz usiąść przy niej i omówić wyniki, na których analizę miałby też więcej czasu. Lecz chociaż Bibi miała dwadzieścia dwa lata i nie była już pod opieką rodziców, lekarz chciał najpierw porozmawiać z nimi, i to szybko, żeby ustalić – jak to ujął – co z niej za dziewczyna.

Nancy i Murph zasiedli z nim przy stole w pokoju socjalnym w północnym krańcu trzeciego piętra, gdzie akurat nikt z personelu nie miał przerwy. Automaty z jedzeniem i napojami

mruczały cicho, jak gdyby przetrwały jakąś doniosłą decyzję, a bezlitosne światło jarzeniówek nie sprzyjało pogodnemu nastawieniu do życia.

– Powiedziałem Bibi tylko tyle, że potrzebuję czasu na zapoznanie się z wynikami, postawienie diagnozy i zaplanowanie leczenia – oznajmił doktor Chandra. – Umówiłem się z nią na jutro na dziesiątą rano. Zawsze staram się przekazać pacjentowi informację na temat diagnozy i rokowania w sposób jak najbardziej optymistyczny. Okazuje się, że zawczasu dobrze jest poznać charakter danej osoby.

Nancy się to nie spodobało. Dobre wieści nie wymagają starannego doboru słów, w jakich zostają przekazane. Pewnie by się wypowiedziała na ten temat, tyle że nagle zabrakło jej sił.

– Bibi to wyjątkowa dziewczyna – zaczął Murph. Chyba nikt poza Nancy nie wyczułby napięcia w jego głosie. Patrzył wyłącznie na lekarza, jak gdyby spojrzenie w oczy żony miało mu podciąć skrzydła. – Jest inteligentna, o wiele mądrzejsza ode mnie. Domyśli się, jeżeli na milimetr rozminie się pan z prawdą. Zdenerwuje ją to. Będzie wolała usłyszeć nagą prawdę, bez upiększeń. Jest twardsza, niż wygląda.

Murph zaczął opowiadać o śmierci Olafa, golden retrievera, który odszedł przed niemal sześcioma laty, kilka miesięcy po szesnastych urodzinach Bibi. Z początku Nancy nie rozumiała, jaki związek między tamtym zdarzeniem a obecną chwilą widzi jej mąż, jednak słuchając, zdała sobie sprawę, że ta historia najlepiej na świecie pokazuje, jaką dziewczyną jest Bibi.

Lekarz słuchał spokojnie, nie przerywał, tylko kilkakrotnie kiwnął głową, jak gdyby nie miał innych pacjentów poza Bibi.

Gdy Murph skończył opowiadać o śmierci Olafa, Nancy zdobyła się na zadanie pytania drżącym głosem:

– Doktorze Chandra... jakim jest pan lekarzem? To znaczy... jakiej specjalności?

Popatrzył jej w oczy, jakby zakładał, że ma takie samo jak córka niezłomne i stoickie usposobienie, i odparł:

– Jestem onkologiem, pani Blair. Specjalistą chirurgii onkologicznej.

– Rak – powiedziała Nancy z taką grozą, jakby to słowo było synonimem śmierci.

Z jego ciemnoczekoladowych oczu tchnęły ciepło i współczucie. Dostrzegła w nich też coś, co uznała za smutek.

– Muszę jeszcze dokładnie przeanalizować wyniki, ale już jestem pewien, że mamy do czynienia z glejakiem mózgu. Nowotwór rozwija się początkowo w tkance łącznej, ale szybko wnika głęboko w sąsiednie tkanki.

– Jakie są przyczyny? – zapytał Murph.

– Nie wiadomo. Nie nadarza się wiele okazji do badania tej choroby. Jest niezmiernie rzadka. W całych Stanach Zjednoczonych opisano nie więcej niż sto przypadków.

Nancy uświadomiła sobie, że przesunęła się na brzeg krzesła i złapała obydwoma rękami za krawędź stołu, jak gdyby potrzebowała oparcia przed nadciągającym wielkim wirem.

– Usunięcie guza – powiedział Murph tonem raczej pełnego nadziei stwierdzenia niż pytania.

Po chwili wahania onkolog odparł:

– Guz nie jest zlokalizowany miejscowo, tak jak w innych typach raka. Wygląda jak pajęczyna. Składa się z błonkowatych nici, które rozprzestrzeniają się na płaty czołowe. Jest trudny do wykrycia. Trudno rozróżnić złośliwego od łagodnego. W niektórych przypadkach, zwłaszcza u małych dzieci, operacja jest możliwym, choć nie najlepszym wyjściem.

Jak gdyby trudności z wykryciem glejaka pocieszały go i dawały nadzieję, Murph zapytał:

– To jak się go leczy – chemią, napromienianiem?

– Często właśnie tak. Dlatego muszę dokładnie przeanalizować wyniki badań Bibi, by zdecydować, w jaki sposób można przedłużyć jej życie.

Mimo kurczowego trzymania się stołu Nancy czuła się tak, jakby odpływała na fali rozpaczy równie mocnej jak odpływ

oceanu.

– Przedłużyć?!

Oczy lekarza kryły w sobie świetliste głębie, gdzie czaiła się wiedza, której Nancy wolałaby nie poznawać.

Doktor Chandra wbił oczy w stół, ponownie spojrzął na oboje i rzekł niemal szeptem:

– Z bólem muszę państwu oznajmić, że nie ma na to lekarstwa. Średni czas od rozpoznania do zgonu wynosi rok.

Nancy nie mogła złapać tchu. Nie mogła, a może wolała nie oddychać.

– A przy chemii i napromienianiu? – dopytywał się Murph.

Współczucie onkologa było tak oczywiste, sympatia tak łagodna, że mimo irracjonalnej chęci znienawidzenia go Nancy nie była w stanie zdobyć się nawet na gniew.

– Rok *przy* chemii i napromienianiu – oznajmił Sanjay Chandra. – A rak u państwa córki jest mocno zaawansowany.

# 11

## ***Wierzyła jeszcze w czary***

Po przebudzeniu z drzemki Bibi poszła odświeżyć się w łazience. Widok własnej twarzy w lustrze zaskoczył ją. Iskra w oku, rumieniec na policzkach i czerwień warg bez szminki. Nadal wyglądała lepiej, niż się czuła, jak gdyby zaglądała w równoległy świat, w którym żyła inna, zdrowsza, pozbawiona poważnych trosk Bibi Blair.

Odzyskawszy apetyt, wróciła do łóżka, żeby poczekać na rodziców i kolację. Pieczenie w lewej części ciała złagodniało. Lewa dłoń odzyskała po trosze siły, lewą nogą nie powłóczyła ani razu. W ciągu ostatnich kilku godzin w ustach nie pojawił się obrzydliwy smak.

Wiedziała, że wyciąganie z ustąpienia objawów wniosku, że jej schorzenie jest chwilowe, byłoby pochopne. Pomimo niezliczonych cudów i niezziemskiego piękna świat był trudnym miejscem: za wygody i radość, za wszystkie rozkoszne chwile płaciło się dniami milczącego niepokoju, bólu i cierpienia. Taki to świat stworzyła sobie ludzkość. Ona dotąd zaznała dużo więcej sielanki niż melancholii, więcej powodzeń niż przeciwności, i od pewnego czasu już wiedziała, że w końcu, tak jak wszyscy, będzie musiała przejść przez jakąś próbę ogniową. Dopóki będzie szansa na wyjście z niej obronną ręką, oszczędzi ludziom narzekania i nie będzie tracić energii, licząc na czarodziejskie rozwiązanie obecnego problemu.

W dzieciństwie jakiś czas wierzyła w czary. Była pod urokiem

popularnej serii powieści o młodych czarodziejach, choć jeszcze większy wpływ miały inne książki. Poza tym niektóre rzeczywiste zdarzenia sugerowały istnienie istot nie z tego świata, zarówno dobrych, jak i mrocznych. Pies Olaf pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki akurat wtedy, gdy go potrzebowała. I przed przyjściem golden retrievera i potem w mieszkaniu nad garażem zdarzały się incydenty sprawiające wrażenie nadprzyrodzonych.

Tamte przeżycia należały do odległej przeszłości, a upływ czasu zwykle zacierał kontury wszystkiego, co w dzieciństwie wydawało się cudem. W jej wspomnieniach lśniąca niegdyś tajemnica tych zdarzeń nabrała barwy matowego srebra i można już było poszukiwać dla nich logicznego wytłumaczenia.

Gdy piętnaście po piątej pojawiła się taca z kolacją, jedzenie było tak odmienne od standardowych skojarzeń ze szpitalną dietą, że niemal odżyła w niej wiara w czary. Duży klops mięsny, tłuczone ziemniaki o konsystencji kremu, mały, styropianowy, jednorazowy termos gorącego sosu, mieszanka warzyw, które nie smakowały jak z puszki... Założyła papierową serwetkę i zaczęła pałaszować z zapałem spracowanego drwala.

Zajadała właśnie placek z wiśniami, popijany gorącą kawą, gdy w końcu wrócili rodzice. Byli jak dwoje sprytnych oszustów ulepionych z kosmicznej mazi – pod względem fizycznym podobni do prawdziwych Nancy i Murphy’ego, ale nie do końca umiejętnie naśladowujący ich zachowanie i gesty. Za dużo się uśmiechali, w dodatku nieszczercze. Rodzice zawsze byli wesołymi duchami, ale teraz wyglądali, jakby podłączono ich do bomby zegarowej.

Być może wiedzieli więcej niż ona. Prawdopodobnie jednak nie. Najwyraźniej w taki stan wprawiały ich jej pobyt w szpitalu i niepokojące objawy. „Brać życie, jakim jest” zawsze okazywało się dobrą filozofią tylko do czasu, gdy życie stawało się za ciężkie, żeby je wziąć i unieść. W tej chwili oboje wyglądali na



przytłoczonych i bezradnych.

W każdym razie nawet jeśli wiedzieli o czymś złym, Bibi nie chciała dowiadywać się o tym od nich. Oznajmia to zbyt roztrzęsieni i to ona będzie musiała ich pocieszać. Podczas spotkania z doktorem Chandrą chciała zachować spokój i mieć jasny umysł. Będzie musiała *myśleć*, zrozumieć, co ją może spotkać. Znaleźć dobre wyjście z tego ciemnego miejsca albo, jeśli jej położenie było jeszcze straszniejsze, wymknąć się przez ucho igielne Śmierci, zanim ta zszyje jej całun.

Kiedy zorientowała się, że rodzice woleliby nie wychodzić z końcem pory odwiedzin, udała, że zasypia, mimo że łóżko wymuszało na niej pozycję siedzącą. Wreszcie wprowadziła ich w ruch całusami, przytuleniami i zapewnieniami, że wszystko jest w porządku.

Zatęskniła za nimi, gdy tylko wyszli z sali, ale nie zawołała. Wzięła ze stolika torebkę z troczkiem i wyciągnęła z niej mały notatnik i pióro. Nie była w nastroju do lektury paperbacku, który ze sobą przywiozła, telewizja także nie zapowiadała się ciekawie. Zamiast tego schludnym ręcznym pismem zanotowała wypadki dnia, zwracając szczególną uwagę na wszystko, co czuła i myślała w reakcji na każdy niepokojący obrót zdarzeń. Najbardziej intrygowało ją, i to z nie do końca zrozumiałych powodów, że kilka razy wracała do czasów spędzonych w Corona del Mar, gdy jako małe dziecko wierzyła jeszcze w czary.

# 12

DWANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

## ***Kroki niewidocznego człowieka***

Wczesnie rano w lutową niedzielę tamtej deszczowej zimy, sześć tygodni przed tym, jak ociekający wodą, bezimienny pies wyłonił się z morza i stanął na chodniku, Bibi Blair zdjęła jeden z zapasowych kluczy do mieszkania z kółka w spiżarni, cicho wyszła z kuchni i ostrożnie zamknęła drzwi, wychodząc na ganek za domem.

Rodzice jeszcze spali, jak zwykle długo rankiem pierwszego dnia tygodnia. Nancy nie musiała pilnować żadnych domów, a poza sezonem Pogłaskaj Kota zapraszało klientów tylko od poniedziałku do soboty. Długo w noc bawili się na mieście ze znajomymi, pozostawiając Bibi pod opieką Chastity Brickle, nieznośnie samolubnej piętnastolatki, która z całą pewnością, i to nieraz, sprzeniewierzyła się imieniu Chastity, oznaczającemu czystość. Nie wstaną jeszcze przez kilka godzin.

Deszcz spadł przed świtem. Teraz niskie, szare niebo przypominało raczej popiół niż mokrą szmatę sprzątaczkę. Bibi nie zawracała sobie głowy parasolką, tylko szybko przemknęła między kałużami na podwórku i znalazła się przy garażu.

Z balkonu obejrzała się na dom, jak gdyby spodziewała się, że zostanie przyłapana. Rodzice nie wiedzieli, że bywała w mieszkaniu, a chociaż nie było w tym nic złego, wołałaby, żeby nie dowiedzieli się o tych wizytach.

Wchodziło się najpierw do niewielkiej kuchni. Błaty z niebieskiej formiki. Szaroniebieskie linoleum w cętki na

podłodze. Stół i dwa krzesła. Ubiegłoroczny kalendarz na ścianie ze stroną na listopad. Cyfrowy zegar mikrofalni wyświetlał dobrą godzinę, za to lodówka nie szumiała, wyłączona przed tygodniami. Mimo chłodnego powietrza czuć było lekki zaduch.

Bibi nigdy nie zapalała światła, żeby nie zdradzać swojej obecności, co na pewno stałoby się w ten mroczny poranek. Nawet bez żaluzji przez oba okna w kuchni wpadało jedynie szare światło, blade jak mglista poświata księżycyca.

Na środku stołu stał okrągły biały wazon z wąską szyjką, w którym często rozkwitały róże albo goździki. Teraz był pusty i łagodnie lśnił w półmroku, niczym kula z mlecznego kryształu umieszczona tam w oczekiwaniu na seans.

Bibi stała ze wzrokiem wbitym w podłogę obok krzesła, w miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. Choć krew została już dawno starta, Bibi zdawało się — wyobrażała sobie? — że w powietrzu pozostał nieznaczny ślad, okrutny zapach. Zmarszczyła nos z odrazą.

Miejsce wyzbyło się wcześniejszego uroku. Czuła tylko smutek i niepokój. Potem miała czasami koszmary. Mimo to wracała. Nie do końca rozumiała, co ją tutaj ciągnęło. Nigdy nie znajdzie tu niczego, co pozwoli jej zrozumieć, co się stało. „Po prostu tak było” – powiedzieli rodzice i oczywiście mieli rację.

Poza kuchnią mieszkanie składało się z salonu i sypialni, umeblowanych, łazienki oraz szafy ciągnącej się od sufitu do podłogi. Zwykle obchodziła wszystkie te pomieszczenia, czujna i z napiętą uwagą, choć jednocześnie jakby w półśnie, jakby szukała, sama nie wiedząc czego. Jednak tym razem, gdy szła przez kuchnię w kierunku lekko uchylonych drzwi do salonu, zatrzymała się, słysząc odgłos kroków w innej części mieszkania.

Podłogi sypialni i salonu były z drewna, niecałą połowę okrywały dywany. Zdawało się, że stąpa ktoś duży. Kilka desek skrzypnęło pod ciężarem, nie przy każdym kroku, ale na tyle

często, by mieć pewność, że dźwięk dochodzi z mieszkania, a nie z zewnątrz.

Mimo że to ona pierwsza znalazła wtedy trupa, teraz wcale się nie bała, była raczej zaciekawiona. Uświadomiła sobie nawet, że przychodziła tutaj, licząc na jakieś spotkanie. Nie bardzo wiedziała, co to by mogło być za spotkanie, ale spodziewała się go. I oto się doczekała.

Odgłos kroków narastał. Zdecydowanie w salonie. Powoli zbliżając się do kuchni.

I wtedy Bibi dopadł strach. Strach, ale nie ślepe przerażenie czy panika. Wymijając stół, cofała się na balkon, z którego tu weszła.

Złowieszcze kroki niewidocznego człowieka ucichły na progu salonu. Cisza, jaka zapanowała, była charakterystyczna dla pewnych niepokojących snów: zapada tak, jakby po odpowiedniej przerwie na scenie miała zasunąć się kurtyna, a śpiący miał się zbudzić, choć zawsze okazuje się, że to tylko spokój tuż przed końcowym wstrząsem, po którym śpiący budzi się, z trudem łapiąc oddech.

Obrotom zawiasów na nienaoliwionych sworzniach towarzyszyło nieznaczne drapanie i pocieranie. Drzwi otwierały się wolno na kuchnię, w stronę Bibi. Zasłoniły jej widok stojącego na progu.

Przypominając sobie krew i upiorne oczy listopadowego trupa, czmychnęła. Jednak uświadomiła sobie, że ucieka, dopiero wtedy, gdy zeskakiwała z ostatnich schodów na kostkę podwórka.

Obejrzała się na schody. Nikogo. Drzwi do mieszkania nad nią były zamknięte. Na pewno zatrzasnęła je, kiedy się wymknęła.

Wyczerpane niebo ociężałe napełniało zbiorniki brzemienymi chmurami z wodą czerpaną z oceanu, a Bibi obserwowała dwa kuchenne okna. W żadnym nie pojawiła się twarz. W mroku za szybami nie działo się nic sugerującego ruch.

W końcu przeszła za dom i usiadła na wiklinowej sofie, gdzie

zostawiła książkę i notatnik, w którym układała historię o Jasperze, samotnym psie.

Później zjawił się ojciec, szykujący się do cotygodniowej kontroli mieszkania oraz naprawy dziur w dachu i innych awarii.

– Tato. – Obejrzał się, stojąc przy schodach na ganek. – Uważaj.

– Na co? – Zmarszczył czoło.

– Nie wiem. Chyba słyszałam tam jakiś odgłos.

Jak zawsze lekkomyślny, rzucił:

– Może znowu szop dostał się przez strych do środka. Tym razem wydebię od niego czynsz.

Po dziesięciu minutach nie znalazł w mieszkaniu ani szopa, ani innego nieproszonego lokatora.

Zbierało się na deszcz, a mała Bibi wróciła do siebie, żeby napisać o Jasperze. Dopiero dwa tygodnie później starczyło jej odwagi, by znów wejść do mieszkania.

# **13**

## ***Na nowo odrodzeni żalem***

W drodze powrotnej ze szpitala, która wiodła przez obcą noc, Murph i Nancy zachowywali okropną, podniosłą ciszę. Ten spokój stał się tak wymuszony i duszący, że kilka razy usiłowali rozproszyć go słowami, ale obojgu brakowało jasności myśli i równowagi uczuć w obliczu straty, która zdawała się ich czekać. Straty nie do pomyślenia.

Dzięki powodzeniu w handlu i obrocie nieruchomościami trzy lata temu przenieśli się z drewnianego bungalowu do piętrowego, tynkowanego domu o nowoczesnej linii w kolorze piasku pustyni. Ciągłe mieszkali w dzielnicy Corona del Mar, zwanej Wioską, ale już nie trzy, tylko półtorej przecznicy od Pacyfiku. Z dachu, z jednego pokoju na piętrze i z tarasu przed domem mieli widok na morze na krańcu biegnącej ze wschodu na zachód ulicy.

Murph był dumny, że dwoje surferów – jak wciąż myślał o sobie i Nancy – potrafiło nie zapomnieć o plażowych korzeniach, a mimo wszystko zrealizować swoją część kalifornijskiego marzenia. Jednak tego wieczoru dom nie miał żadnego znaczenia. Wydawał się wręcz zimny i obcy, jak gdyby przez pomyłkę znaleźli się w obcym mieszkaniu.

Zawsze doskonale rozumieli się z Nancy, zawsze sobie pomagali, we wszystkich okolicznościach łączyła ich jakaś nadludzka więź. Zakładał, że usiądą przy kuchennym stole, przyciemnią światła, może zapalą świece, i będą razem brnąć

przez grozę i ból tego, co ich spotkało.

Okazało się jednak, że żadne z nich nie jest na to gotowe. Jak gdyby wstrząs, z czasem coraz bardziej przybierający na sile, nie tylko zerwał ich z kotwicy, ale w dodatku cofnął daleko w czasie – każde wróciło do sposobów radzenia sobie z trudnościami wyuczonych w młodości. Na pewno wkrótce się spotkają, ale jeszcze nie teraz.

Nancy weszła do toalety na parterze, złapała pudełko z chusteczkami, opuściła z trzaskiem deskę klozetową i usiadła, wydobywając z siebie najbardziej rozdzierające odgłosy bólu, jakie Murphy kiedykolwiek słyszał. Kiedy do niej przemówił i próbował wejść, powiedziała:

– Nie, nie teraz. Nieee... – I zamknęła mu drzwi przed nosem.

Bezradny i bezużyteczny stał, wysłuchując rozpaczliwych jęków, cienkich, przenikliwych pisków bezdenne smutku, które wyrwały się z niej pomiędzy rwanymi oddechami. Robiła wrażenie dziecka rozrywanego jednocześnie strachem i nieszczęściem. Jej załamanie pogarszało jego stan, aż w końcu nie mógł już dłużej znieść tej sceny.

Nancy wracała w swoim żalu do dzieciństwa, za to Murphy odnalazł w sobie gniewny bunt nastolatka. Wziął z lodówki sześciopak piwa i wyszedł na dach. Miał ochotę komuś przywalić, wszystko jedno komu, bić pięścią, aż zabraknie sił, a knykcie opuchną. Chciał, żeby ktoś zapłacił – odcierpiął i poniósł karę – za niesprawiedliwość raka Bibi. Ale nie było nikogo, kogo można by oskarżyć, ani kogoś, kto mógłby go pocieszyć, przynajmniej nie w świecie, gdzie będzie, co ma być. Zamiast tego usiadł więc na sekwojowym leżaku, otworzył pierwszą puszkę budweisera i pociągnął z niej, spoglądając na dachy sąsiadów i nieliczne światła na ostatnim odcinku klifu. Wpatrywał się w przepastne nocne morze, czarne pod bezksiężycowym niebem, czarne pod wyższą czernią obsypaną lodowatymi gwiazdami, którego obecność potwierdzał tylko rytmiczny grzmot grzywaczy napierających na brzeg. W połowie

drugiego piwa zaczął płakać. Łzy tylko bardziej rozpały gniew i im bardziej był zły, tym głośniej łkał.

Szkoda, że po śmierci Olafa nie wzięli drugiego psa. Psy umieją pocieszać bez słów. Były najlepszymi terapeutami dotykowymi. Znały i przyjmowały twardą rzeczywistość, którą ludzie przyjmowali dopiero wtedy, gdy została wyczerpująco opisana słowami, a nawet wtedy było to raczej gorzkie pogodzenie niżli pokorna akceptacja.

Bez psa, a wkrótce może i bez dziecka już po drugim piwie Murphy poczuł się zagubiony. Gdyby wtedy spróbował zejść na dół i dostać się do żony, nie zdziwiłby się, gdyby nie znalazł zejścia z dachu.

Z dźwięcznym, metalicznym odgłosem otworzyła się trzecia puszcza.



# 14

## **Usiadła, usiadła, usiadła na łóżku**

Sen, który przyśnił się Bibi pierwszej nocy w szpitalu, zdarzał się jej co pewien czas od ponad dwunastu lat, jeszcze przed pojawieniem się Olafa:

*Ma dziesięć lat i śpi w swoim pokoju w tylnej części domku w Corona del Mar. Nie rzuca się ani nie jęczy, ale przez młodą twarz w łagodnym świetle przebiegają wyrazy męki.*

*Raptem siada na łóżku, choć to zbudzenie ma miejsce we śnie, który nadal trwa. Słyszac trzy krzyki nocnego ptaka, odsuwa pościel i podchodzi do okna.*

*Na podwórku, oświetlonym tylko przez roześmiany księżyc, jakieś dwie tajemnicze postacie w szatach z kapturami, wysokie i niezgrabne, niosą zwinięty chodnik w stronę mieszkania nad garażem. Widoczność jest słaba, ale Bibi wyczuwa, że mają zniekształcone kończyny i kręgosłupy.*

*Gdy zdaje sobie sprawę, że chodnik jest tak naprawdę trupem w całunie, wie, że odnoszą zmarłego na miejsce jego zgonu. Jak gdyby czując ciężar jej spojrzenia, jeden z niosących odwraca się do stojącej w oknie Bibi. Spodziewa się ujrzeć pod kapturem słabo widoczny kontur czaszki, klasyczne oblicze Śmierci, lecz czeka ją coś gorszego. Robi się nieco jaśniej, jakby po drugiej stronie planety rozblęzło wielkie słońce, odbijając się ogniem od sierpa księżyca. Kaptur skrywa tajemnice, których nie odśłania jaśniejsze światło. Lecz zanim intruz się odwróci, dziewczynka widzi coś, czego nie może znieść. Widok tak ją przeraża, że nie*

*chce i nie może donieść tego obrazu na jawę, zamykając go w świecie snu, zapomnianego lub co najmniej wypartego.*

*Mała Bibi po raz drugi w tym śnie siada na łóżku bez tchu, drżąca, przeniknięta do szpiku kości chłodem. Kiedy zapala lampkę, odkrywa ciężar w całunie, który niósł postaci w kapturach. Okutana postać siedzi na krześle w kącie, przez chwilę bez ruchu. Potem rusza się, jakby chciała zedrzeć całun, i przemawia.*

Kiedy Bibi usiadła w łóżku trzeci raz, była wybudzona i starsza. Nawracający koszmar stracił wiele ze swojej siły sprzed lat. Po przebudzeniu już nie płakała ani się nie trzęsła. Za to wciąż jeszcze dostawała gęsiej skórki na karku, a na czoło występował zimny pot.

Tak jak w innych przypadkach, ze snu podążał za nią ostry głos, wymawiający słowa wyrwane z kontekstu: *...to wszystko.*

Głos był zawsze ten sam, chociaż słowa bywały różne. Czasami mówił *najwyższy mistrz, takie smutne szukanie, podobno* albo inne, jeszcze bardziej niezrozumiałe strzępy wyrażeń.

Drugie łóżko pozostawało puste. Była sama.

Poświata z przedmieścia powlekała okno czymś podobnym do żółtej szadzi. Lampka nad łóżkiem, przy której spisywała wrażenia z dnia, była ustawiona na najmniejszą moc, pozwalającą pielęgniarce tylko na obejrzenie pacjentki.

Sen, częsty, gdy Bibi miała dziesięć lat, z czasem przychodził coraz rzadziej. Teraz śnił się raz, dwa razy w roku.

Początkowo myślała, że jest proroczy. Ale była to mroczna fantazja, na jaką nie było miejsca w rzeczywistym świecie.

Jako nastolatka zastanawiała się czasami nad ewentualną symboliką powracającego snu. Zastanawiała się też, czy – skoro nawraca tak często – nie jest niezrównoważona psychicznie, nie zapowiada się na wariatkę. Ale nie. To po prostu była najgorsza chała rodem z powieści dla starszych nastolatków: tragiczna bohaterka skrywa przed światem i samą sobą swoją prawdziwą

naturę trójbiegunowego paranoika i wilkołaka aż do załamania, które przeżywa na dzień przed wybraniem na najbardziej popularną dziewczynę w ostatniej klasie szkoły i do pocałunku z najśladszym buntowniczym chłoptasiem w szkole. Już wtedy nad wiek panowała nad sobą, pewna prawa do miejsca na tym świecie i zdolności do samodzielnego kształtowania własnego losu.

Teraz traktowała ten sen jak coś, czym z pewnością zawsze był: jedynie dowodem na to, że trafienie na ciało przy jadalnym stole było wstrząsem – rozlana krew, niewidzące oczy, usta rozwarte w niemym krzyku.

Na zegarze przy łóżku była 3:49 w nocy. Za niecałe sześć godzin pozna diagnozę z ust lekarza. Nie miała powodów, żeby obawiać się doktora Sanjaya Chandry, tak samo jak niosących trupa we śnie. Demony nie istniały. Wyzdrowieje, wszystko będzie dobrze, różne sprawy się ułożą.

Opadła z powrotem na poduszkę i zamknęła oczy. Obmyślała, gdzie będzie jutro, za tydzień, za rok. Wkrótce zasnęła i tym razem snu nie zmacił koszmar.

W chwili ataku ciałem Bibi wstrząsnęły konwulsje, a z gardła wydobyły się głuche stęknienia bez słów. Napad był krótki i łagodny i nie obudził jej.

# 15

## ***Jedna z wielu chwil prawdy***

Na sali 456 stały trzy krzesła dla gości. Tanie i wygodne tylko na tyle, żeby zasługiwały na nazwę krzesel.

Doktor Sanjay Chandra nie chciał opowiadać Bibi o jej stanie, stojąc nad nią. Ustawił dwa krzesła przy oknie i usiedli naprzeciw siebie. Bibi po swojej prawej stronie miała błękitne niebo i białe obłoczki, jak gdyby oznajmiano jej nowinę w przedsionku nieba.

Pomimo kitla zarzuconego na stalowoszare spodnie od garnituru, bladoniebieskiej koszuli i niebieskiego krawatu, i mimo ultracienkiego laptopu, na którym z pewnością mógł otworzyć wszystkie wyniki Bibi, doktor Chandra nie budził respektu, co niektórym lekarzom przychodziło naturalnie, a u innych bywało wystudiowaną pozą. Mówiący cicho i z pogodnym wyrazem twarzy, który sugerował, że pogodził się już z tym światem wiecznych rozczarowań i ze swoimi ambicjami, przypominał raczej doradcę strapionych niż lekarza.

Przygotowując się na tę rozmowę, Bibi wzięła prysznic, umyła długie, ciemne włosy, umalowała się i założyła na pidżamę szlafrok z szafirowego jedwabiu. Jeżeli wieści były złe, miała zamiar przyjąć je w wielkim stylu, nie sprawiać wrażenia godnej pożałowania czy pokonanej.

Diagnoza faktycznie okazała się fatalna, a rokowanie jeszcze gorsze. Rok życia. Rok rozpadu i bólu.

Teraz wiedziała, czemu doktor Chandra chciał mówić z nią

w cztery oczy. Zarówno matce, jak i ojcu brakowało emocjonalnej odporności, by patrzeć, jak przyjmuje tę wiadomość. Nie wytrzymałoby jej reakcji, nawet najbardziej stoickiej, i Bibi za bardzo przejęłaby się nimi, żeby z należyтым skupieniem zastanowić się nad tym, co ją może czekać.

Doktor Chandra tłumaczył, dlaczego nie może zaoferować jej żadnych skutecznych metod terapii, z łagodnością i współczuciem troskliwego kapelana w rozmowie ze skazanym na śmierć. Rak był mocno zaawansowany. Nawet we wczesnych fazach ten nowotwór jest już zbyt rozproszony, by operacja mogła dać gwarancję trwałego powodzenia. Na tym etapie chemioterapia i napromienianie dadzą bardzo niewiele czasu.

– A przez objawy uboczne czekają cię ciężkie dni. Obawiam się, że dużo cięższe, Bibi.

– Proszę się nie obrażać – powiedziała – ale czy konsultował pan tę diagnozę z innymi lekarzami?

– Poprosiłem o opinię doktor Beryl Chemerinski. Jest szanowanym chirurgiem onkologicznym w innym szpitalu, nie znamy się. Zgadza się z moimi wnioskami. Niestety. Mimo wszystko możesz zdecydować się na chemię i napromienianie. Tylko ty możesz podjąć tę decyzję.

Długo patrzyli sobie w oczy. Nie odwracał wzroku. W końcu odezwała się:

– To się chyba nazywa chwila prawdy.

– Ja wierzę w prawdę, Bibi. I wiem, że ty też.

Popatrzyła na swoje ręce. Zacisnęła je w pięści. Lewa nie chciała.

– Chcę walczyć. Biorę chemię, cokolwiek. Rok życia, tak? Naprawdę tylko jeden? Zobaczymy.

# **16**

## ***Wspomnienie niewytłumaczalne w tych okolicznościach***

Po wyjściu doktora Sanjaya Chandry, a przed przyjazdem Nancy z Murphym, Bibi usiadła z notatnikiem i piórem na krześle przy szpitalnym oknie, na świeżo zapisując swoje uczucia i myśli. Niepokoiła się, ale nie była zdjęta grozą. Jeszcze. Nowiny były brutalne, ale uważała je nie za katastrofę, tylko za bodziec do działania. Zeszyt często stawał się ucieczką od świata, wyjściem z czasu i znalezieniem się w miejscu, gdzie można się zastanowić nad swoimi uczuciami i wrażeniami przed przystąpieniem do czynu. Tego rodzaju przerwy często zapobiegały słowom i działaniom, których by żałowała.

Gdy usadowiła się na krześle, jej uwagę zwróciło stado dużych mew za oknem. Szpital znajdował się zaledwie kilka przecznic od oceanu. Ptaki wlatywały, nurkowały, znów się wznosiły, każdy po swojemu, niesione radością z daru latania, wyrażaną tak jasno, jak napisy na niebie rysowane przez samoloty ku uciechu zgromadzonych na plaży tłumów.

W myślach zjawilo się wspomnienie mew w pewien grudniowy ranek, gdy miała osiemnaście lat. Szła przez kampus do doktor Solange St. Croix, która wezwała ją mailem na rozmowę. Wtedy mewy też się cieszyły, ale jeśli zdawało jej się, że to zapowiada owocne spotkanie z wykładowczynią, czekały ją wkrótce zawód, dezorientacja, wstyd...



Pomimo dużej konkurencji Bibi zdołała się dostać na prowadzony przez uczelnię, szanowany i ekskluzywny kurs *creative writing*. Kilku absolwentów z czasem zostało autorami bestsellerów i gwiazdami literackiego świata. Przez trzy miesiące pracowicie szlifowała swoje rzemiosło, aż zwróciła na siebie uwagę doktor St. Croix, nazywanej czasami matką świętą programu pisarskiego.

Wystrój gabinetu pani profesor stanowił nowy szczyt minimalizmu. Biurko z chłodnej stali plus blat z czarnego granitu. Dwa krzesła. Tapicerka na miejscu dla gościa cienka jak papier, wskutek czego siedzenie ponad kwadrans stawało się katuszą. Na lewo od szerokiego okna stał wąski regał z ośmioma półkami, nie do końca zastawionymi książkami, jak gdyby dla zasugerowania, że tylko kilka tomów z całych dziejów literatury zasługiwało na znalezienie się w tym księgozborze. Na biurku laptop, w tej chwili zamknięty, a obok wydruk pracy z nazwiskiem Bibi na okładce.

Doktor St. Croix – wysoka, szczupła, atrakcyjna jakby wbrew samej sobie – wiązała siwiejące włosy w dawno niemodny kok i ubierała się surowo jak wdowa w żałobie. Emanowała stylem chłodnej, opanowanej i błyskotliwej guru pisarzy. Umiała być ciepła i zabawna, lecz uśmiechy rozdawała oszczędnie, ujawniając się z poczuciem humoru, gdy najmniej się tego spodziewano, co potęgowało efekt. Teraz jej oczy lśniły niebieskim chłodem jak żel chemiczny opakowany w lód. Usta tworzyły wąską kreskę.

Bibi wiedziała, że ma kłopoty, ale nie wiedziała, dlaczego.

– Panno Blair – zaczęła St. Croix – słyszałam, że podzieliła się pani z innymi studentami wątpliwością co do sensu kontynuowania kursu.

Przerazona jakby naiwną troską wyrażoną w tych słowach odpowiedziała:

- Ależ nie, tak dużo się już nauczyłam.
  - Martwi panią, że system inspiracji leżący u podwalin tego kursu jest zbiorem ograniczających reguł, które w pewnym stopniu nadają odrębnym głosom podobny ton.
  - Ktoś wyolbrzymił mój niepokój, pani doktor. To tylko taka mała myśl. Nie ma nic dziwnego w drobnych wątpliwościach.
  - Nasz system inspiracji nie jest zbiorem reguł, panno Blair.
  - Nie, oczywiście, że nie.
  - Nie narzucamy studentom ani sposobu myślenia, ani sztywnej hierarchii wartości.
- Bibi miała co do tego wątpliwości, lecz zachowała je dla siebie.
- Jeśli jest pani innego zdania – ciągnęła Solange St. Croix – ma pani doskonały powód do wypisania się, który nawet podenerwowani rodzice odbiorą jako rozsądny i etyczny.
- Bibi zdawało się, że się przesłyszała.
- Wypisania się?
- Z nieskrywaną pogardą pani profesor wskazała na liczący cztery strony rękopis.
- Ostatnie zadanie polegało na wyborze kogoś z kursu, studenta czy nauczyciela, kogo się znało, ale nigdy nie odwiedziło w miejscu zamieszkania – akademiku, mieszkaniu albo domu – i na stworzeniu jak najżywszego i wiarygodnego otoczenia, w którym ta osoba mieszka, na podstawie obserwacji jej zachowania.
- Ale pani doktor, sama podsunęła się pani jako temat.
  - Wiesz aż za dobrze, że oburzające jest nie to, co napisałaś, tylko to, co zrobiłaś.
  - Nie rozumiem. Co zrobiłam?
- Bibi wzdrygnęła się, widząc, że jej dezorientacja rozwściecza Solange St. Croix ponad wszelką miarę. Kobieta pałała świętym oburzeniem. Jej twarz nabrała ostrzejszych konturów od czegoś więcej niż rozdrażnienie, graniczącego z furją.
- To, co bierze pani za spryt, panno Blair, jest zwykłym mataczeniem. Nie mam do pani cierpliwości. Nie zaszczycę pani



zachowania rozmową. – Zaczerwieniła się, wstyd walczył w niej z wściekłością. – Jeżeli sama się pani nie wypisze, dopilnuję, żeby została pani usunięta, co skomplikuje pani ewentualną karierę naukową i pozostanie plamą na pisarstwie, o ile w ogóle będzie można kiedykolwiek mówić o czymś takim jak pani pisarstwo.

Już wtedy nie można było tak do woli pomiatać Bibi. Broniła się, gdy miała rację. Nie uciekała przed problemami. Miała też jednak na tyle zmysłu praktycznego, by wiedzieć, że w tym niezrozumiałym konflikcie nie ma szans. Gdyby została, musiałaby zmagać się z zaprzysiężonym wrogiem, który stworzył cały program pisarski. Tu nie było dla niej przyszłości. Choć rzeczywiście sporo nauczyła się w ciągu ostatnich kilku miesięcy, miała poważne wątpliwości co do sensu tych zajęć.

Gdy wyciągnęła rękę po rękopis, Solange St. Croix go odsunęła.

– To dowód na potwierdzenie moich słów. A teraz proszę wyjść.



Mewy za oknem żeglowały na zachód, w luźnej formacji i poza polem widzenia.

Bibi nie wiedziała, dlaczego ptaki przywołały wspomnienie doktor St. Croix, a nie jednego z setek godnych zapamiętania przeżyć związanych z plażą i surfingiem, któremu wszędzie towarzyszyły mewy. Chyba że to nadzieja wbrew wszystkiemu powiązała przeszłość i teraźniejszość. Odejście z kursu dla pisarzy wyszło jej na dobre, zaczęła publikować książki znacznie szybciej. Może dlatego śmierć na raka mózgu nie jest nieunikniona tak samo jak niegdyś kres kariery literackiej.

To miało jakiś sens. Ale intuicyjnie wiedziała, że nie jest to właściwe wyjaśnienie.

Nigdy nie dowiedziała się, co tak bardzo rozwścieczyło panią

profesor. A teraz zastanawiała się, czy występki, o który nie została nigdy naprawdę oskarżona, ma jakiś tajemniczy związek ze śmiercią na raka mózgu, która czekała ją teraz.

# 17

## **Godziny przed kryzysem**

Bibi siedziała na brzegu łóżka i robiła w notesie jakąś listę, gdy przyjechali rodzice z zamiarem podniesienia jej na duchu, co im się nie udało. Rozpacz w oczach kiepsko współgrała z uśmiechami.

Nie sprawili jej zawodu; nie było ich na to stać. Tylko ona mogła im dodać otuchy. W każdym razie nie popadła w przygnębienie, a już na pewno nie rozpaczała. Nie miała na to czasu. Ani ochoty. Nawet takie ponure rokowanie stanowiło wyzwanie, a jedyną rozsądną reakcją było stawienie mu czoła.

Ciągle była dziewczynką, w której głowie kłębią się myśli, na przykład zadania dla matki, które właśnie zapisywała. *Zatrzymaj mnie tu do jutra, a może nawet do pojutrze. Doktor Chandra chce jeszcze zrobić kilka badań, żeby przepisać chemię i napromienianie. Wybór należy do mnie, a ja chcę walczyć. Przywieź mi laptopa. Mam zamiar o tym poczytać. Potrzebuję bielizny na zmianę. No i skarpetki. Marzną mi nogi. Moje ładne, miękkie ręczniki. Te w szpitalu drapią. I wszystkie witaminy. iPod ze słuchawkami, tutaj trzeba zakładać słuchawki.* Trzeba było wyjąć listy ze skrzynki pocztowej. Dołączyła do listy jeszcze kilka sprawunków, oderwała dwie strony i podała je matce.

Ciesząc się, że jest coś do roboty zamiast zamartwiania się sytuacją córki, Murphy zaofiarował się:

– Podzielimy się pracą, Nancy. Ty jedź do mieszkania, ja zajmę się zakupami.

– Nie, tato – zaproponowała Bibi. – Niech mama to zrobi, a ty wracaj do pracy.

Robił wrażenie zagubionego, jakby zapomniał, że jest jeszcze kimś poza ojcem.

– Jakiej znowu pracy?

– Która właśnie podupada przez Pogo.

– Ale nie mogę. – Pokręcił głową.

– Możesz. Musisz. Jeżeli mam poświęcić cały swój czas na tę walkę, nie będę pisać. Przestanę zarabiać. Prowizje mamy prawdopodobnie się skończy, kiedy będziemy się z tym zmagać. Będziesz mnie musiał utrzymywać, jak gdybym miała dziesięć lat. Tak trzeba, tato.

Objęcia i całusy. Deklaracje miłości. Niezbornie wyrażane zobowiązania wspólnej walki o przyszłość i postanowienie zwycięstwa mimo okropnie małych szans. Potem rodzice sobie poszli.

Gdy skorzystała z toalety i myła ręce, Bibi przyjrzała się sobie w lustrze – aż obraz się zamazał, a jedna twarz zmieniła w dwie, niewyraźne i zniekształcone. Problemy ze wzrokiem to jeden z objawów glejakowatości. Chwyciła zlew obydwoma rękami i wolno oddychała, zastanawiając się, czy oślepie. Ale jeszcze nie. Wzrok powrócił do normy.

# 18

## ***Coś złego i coś gorszego***

Bibi zjadła obiad przy oknie do ostatniego kęsa. Z wyjątkiem operacji, leczenie innego typu często wywoływało długotrwałe napady nudności i zmniejszenie apetytu. Teraz musiała zapomnieć o smukłej figurze i odłożyć nieco rezerw na czekającą ją bitwę. Zakładała, że lepiej będzie zgolić głowę, zamiast czekać, aż włosy zaczną wypadać jak liniejącemu kundlowi. Im bardziej zapanuje nad własnym wyglądem, tym lepiej.

Biedny Paxton powróci z wojny i zostanie narzeczoną zmienioną w łysą sumoczkę. W sumie mówił, że zawsze będzie ją kochał, na dobre i na złe, i ona mu wierzyła. Jeśli się co do niego pomyliła – gdyby tak było – to lepiej poznać prawdę wcześniej niż później. Jediną zaletą raka mózgu była możliwość sprawdzenia prawdziwych zamiarów twojego faceta. Gdyby miała wybór między glejakiem a posadzeniem Paxtona przed wykrywaczem kłamstw, oczywiście wybrałaby to drugie, ale nie dano jej wyboru.

Energiczna wolontariuszka, pachnąca perfumami z nutą cytryny, przyszła zabrać tacę z naczyniami. Bibi poprosiła ją, żeby poszła do stołówki kupić batony PowerBars w różnych smakach.

- Do przyszłego tygodnia chcę wyglądać jak John Goodman.
- Kto to taki?
- Taki duży aktor. Grał męża Roseanne Barr w telewizji.

– A, tak. Gra w wielu filmach. Fajny.

Pielęgniarka przyszła pobrać mocz. Flebotomista napełnił pięć fiolek krwią. Kobieta z działu prawnego dała do podpisania dokumenty.

Bibi ograniczała rozmowy z nimi do minimum, chociaż przez większość życia była istną fontanną słów. Wszystko na świecie zdumiewało ją i fascynowało – od kruchej urody lilii po sekrety mechaniki kwantowej – i zwykle musiała dzielić się swym zdziwieniem, bo inaczej by pękła. Imię Bibi zachęcało ją do gadania, bo już w dzieciństwie chciała udowodnić każdemu, że nie jest bezmyślną zabawką, lecz ważnym obserwatorem świata, filozofem siedzącym na nocniku. Usta nigdy jej się nie zamykały – do czasu zdiagnozowania raka.

Matka wróciła o piątej ze wszystkim, o co poprosiła Bibi, a kilka minut później zadzwonił ojciec z propozycją, żeby zjedli kolację we trójkę w jej pokoju – nie jedzenie szpitalne, tylko oburzająco kaloryczne i tłuste żarcie na wynos, jakie tylko sobie zażyczy. Cheeseburgery i shaki mleczne. Burrito. Pizza z czterema serami. Cokolwiek tylko chce.

– Nie, tato. Mama jest wykończona. – Nancy zaczęła protestować, ale Bibi uciszyła ją podniesieniem ręki. – I ty też. Dwa ostatnie dni były dla nas wszystkich ciężkie. Zjedzcie sobie kolację we dwójkę, przy winie. Mnie nic nie jest. Nigdzie się nie wybieram. Po prostu przy kolacji poszukam czegoś na laptopie, a potem wcześniej się położę. Wczoraj prawie nie spałam. Poproszę o środek uspokajający. Niech co najmniej do siódmej rano śni mi się pewien żołnierz oddziałów specjalnych marynarki.

Żeby pozbyć się Nancy z sali i wyprawić ją na kolację, Bibi musiała odprowadzić ją do windy. Uważając na skłonność lewej nogi do zostawiania w tyle, za nic nie chcąc zostać quasimodo z cyckami, szła z wyprostowanymi ramionami i uniesioną głową.

– A mrowienie? – spytała matka. – Wibracja pięćdziesięciu

komórek w trybie cichym, od stóp do głów?

– Złagodniało. I ani razu nie czułam w ustach tego zjełczenia.

– Ale widzę, że lewą rękę masz cały czas słabą, skarbie.

– Dlatego będę się drapać po tyłku prawą.

Rozsunęły się drzwi do jednej z kabin. Nancy nie wsiadała.

– To nie w porządku. Nie mogę tak po prostu odejść.

Bibi zablokowała zasuwające się drzwi.

– Mamo, musimy zachowywać się w miarę możliwości normalnie. Nie możemy dzień i noc stać i obejmować się we trójkę, bo nigdy się nie pozbieramy.

Nancy nie mogła wykrztusić ani słowa. Wargi jej drżały.

Bibi pocałowała ją w policzek.

– Słodka jesteś. Ale teraz idź. Przejedź się. Wypij za dużo. Żyj, mamo. Żyj. Ja też mam taki zamiar.

Po powrocie na salę usiadła przy stoliku pod oknem i zaczęła szukać w internecie informacji o lekach przeciwnowotworowych i cytotoksycznych. Leki alkilujące. Nitrozomoczniki. Antymetabolity. Inhibitory mitotyczne. Przynajmniej uczyła się nowych słówek.

Marcowe popołudnie stroiło się w szkarłatne barwy na powitanie wieczoru, gdy sanitariusz przyniósł kolację. Przy jedzeniu lepiej było nie czytać o skutkach ubocznych chemii. Zamiast tego oglądała na YouTube zabawne filmiki z psami.

Pogorszyło jej się, gdy wstała, aby umyć ręce. Czaszkę rozdarł raptowny ból o intensywności migreny.

Nieomal padła na kolana. Zatoczyła się, opadła na łóżko i przywołała pielęgniarkę.

Niespodziewane bóle głowy zaliczały się do objawów gwałtowności mózgu, będąc skutkiem ucisku, jednak pojawiały się zwykle rano. Wczorajsze badania nie wykryły nadmiaru płynu mózgowo-rdzeniowego.

– Nie ma wodogłowia – stwierdził lekarz. Być może sytuacja się zmieniła.

Uniosła górną połowę łóżka i siedziała, obejmując rękami

głowę i wyobrażając sobie, że z każdym pulsem postępuje odkształcenie kości. Pielęgniarka zadała kilka pytań, po czym przyniosła aspirynę i jeszcze jeden proszek. Bibi nie wypytywała o to drugie lekarstwo, tylko po prostu je przełknęła, popijając dużą ilością wody.

– Będę do pani zaglądać – obiecała pielęgniarka – a teraz proszę wypoczywać.

Po jej wyjściu Bibi dwukrotnie próbowała się położyć, ale za każdym razem wystraszyła się dojmującego uczucia niekończącego się spadania. Było to więcej niż uczucie, bo stuprocentowe przekonanie, że zacznie wpadać w bezdenną próżnię, jakby siedziała na krawędzi wieczności. Co gorsza, sama czynność kładzenia się wzmagała ból głowy. Mimo świadomości, że łóżko pozwoli tylko na położenie się na wznak, nie zdobyła się na trzecią próbę. Usiadła wychylona do przodu, z zamkniętymi oczami i ze spuszczoną głową, obejmując się, jakby potrzebowała punktu zaczepienia.

Ku jej zaskoczeniu, po mniej więcej pięciu minutach ból zaczął ustępować. Aspiryna nie działała tak szybko. Najwyraźniej zawdzięczała ulgę drugiemu lekarstwu.

Gdy otworzyła oczy, wszystko było zalane czerwonym światłem. Najpierw pomyślała, że znowu szwankuje jej wzrok. Potem uświadomiła sobie, że wszystkie światła są zgaszone, a salę, wypełnioną wcześniej jasnym blaskiem słonecznym, oświetla teraz łuna zachodzącego słońca, która zmieniła niebo w rozplamioną rzekę płynnego szkła, toczącą się wolno na zachód.

Wyciągnęła rękę ku włącznikowi światła przypiętemu do poręczy łóżka. Owalny regulator był dziwny w dotyku, miękki i łuskowaty, jakby złapała łeb żywego gada, a błąd sznur wił się, jakby chciał uciec. Wypuściła przełącznik i ze zdumieniem patrzyła, jak jej dłoń o zeszywniałych raptem palcach orze powietrze jak ptak dziobiący pień drzewa w poszukiwaniu owadów, orze i miota się gwałtownie, a ona nie może nad nią



zapanować.

„Atak” – pomyślała i jakby na potwierdzenie własnej diagnozy stęknęła i zapiszczała jak zwierzę, a z głębi gardła zaczął wydobywać się charkot.

Zesztywnienie ręki posuwało się w górę, ogarniając ramię i całe ciało, aż opadła na podniesiony materac, który ją zatrzymał, chociaż wcale nie czuła, że coś powstrzymuje upadek. Oto znalazła się na skraju, którego się przedtem obawiała, i czuła, jak spada w próżnię, nurkuje w dół, chociaż szpitalna sala w drżącej purpurze nie oddalała się, co powinno się dziać, gdyby naprawdę stała się Alicją i wpadła do króliczej nory.

W polu widzenia pojawiło się kilka plam lśniącej ciemności unoszących się jak tłuste krople czarnego oleju w czerwonych promieniach. Najpierw kilka, potem kilkanaście, wreszcie dziesiątki i tysiące. Gdy całe światło zgasło zalane przez jedwabistą czern, próbowała wołać pomocy, ale, jak wszystkie inne topielice przed nią, utraciła głos.

# 19

DWANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

## ***Gdyby to był tylko duch***

Dwa tygodnie po czmychnięciu z mieszkania nad garażem, cztery tygodnie przed tym, jak przyczłapał do niej Olaf, w jeszcze jedną niedzielę, gdy rodzice wylegiwali się długo w łóżku, mała Bibi wstała i ubrała się, gdy jeszcze ostatnie zasieki nocy powstrzymywały natarcie brzasku. Wetknęła dwa batony z granoli w kieszenie dżinsowej kurtki z wełnianą podszewką i skręciła w Ocean Avenue, kiedy poranek rozkładał na wschodzie różowe skrzydła flaminga.

Siadła na ławce na Inspiration Point i patrzyła na rozbijające się fale i ciemne morze, zielono-czarne i pocętkowane jak skórka arbuza. Z tego miejsca wyobrażała sobie czasem, że płynie na statku piratów po wzburzonym morzu albo że jest wielorybem tak wielkim, że nie obawia się niczego w świecie wodnego cienia. Tego dnia wyobrażała sobie życie po śmierci, nie w niebie, lecz tu i teraz, na tym świecie, gdyby takie rzeczy jak duchy rzeczywiście istniały.

Po zjedzeniu pierwszego batonika nie chciała czekać, aż przyjdzie pora na drugiego, i wróciła do domu. Jeśli była dziewczynką czynu, nierezygnującą z raz obranego celu, jak podziwiane bohaterki książek, które najbardziej lubiła czytać, nie mogła dłużej cofać się przed najbardziej zaprzatającą jej uwagę tajemnicą.

Weszła na podwórko między bungalowem a garażem od strony alejki. Na schody. Na balkonie się zawahała.

Szary, deszczowy dzień przed dwoma tygodniami odpowiadał seansom i spekulacjom – i niepokojącym spotkaniom z niespokojnymi duchami. Przy dzisiejszym słonecznym niebie i radosnym pogwizdywaniu skowronków witających nastanie ranka nastrój sprzyjał raczej Puchatkowi niż Poemu.

Mimo to, nim odważyła się wejść, stała przed drzwiami, zaglądając przez cztery szybki w ich górnej połowie i lustrując kuchnię. Nie było widać żadnego trupa, ani leżącego na podłodze, ani stojącego w ponurej pozie i czekającego na nią. Weszła.

Przy ładniejszej pogodzie kuchnia sprawiała wrażenie miejsca nie tyle może gościnnego, co łagodnego, dopóki Bibi nie zauważyła jedynej zmiany, jaka zaszła od jej poprzedniej tu bytności. W okrągłej białej wazie na stole, w której przedtem nie było kwiatów, dziś stały trzy zwiędłe róże. Zielone niegdyś działki ich kielichów zrudziały, podobnie jak płatki, na których pozostało jeszcze kilka czerwonych smug. Kilka płatków leżało na stole, zmarszczonych i kruchych jak odwłoki zdechłych żuków.

Zeschłe i pomarszczone róże wyglądały, jakby stały dłużej niż dwa tygodnie. Były tak całkowicie pozbawione wody, że z powodzeniem mogły znajdować się tu od listopada.

Powinna była wyjść, ale nie mogła. W odróżnieniu od wielu innych dziesięciolatek nie marzyła o zostaniu księżniczką ani gwiazdą popu. Chciała być dzielna, nieustraszona i mieć lwie serce. Odważna. Bitna. Superman i Supergirl jej nie interesowali – im i innym nietykającym superbohaterom wszystko przychodziło za łatwo, bez autentycznego niebezpieczeństwa. Bibi wiedziała, że życie nie może takie być. Każdy surfer ślizgał się nad niewidocznymi rekinami i pływał, narażając się na spotkanie z prądami odpływowymi. Śmierć była rzeczywista. Żeby dorosnąć, trzeba było spojrzeć tej prawdzie w oczy. Nie chciała kostiumu z literą S na piersi, za to byłaby dumna ze sweterka z małą wyhaftowaną literą D –

Dzielna – ale tylko, gdyby sobie na to zasłużyła.

Dlatego nie cofnęła się przed tajemnicą róż i przeszła obok stołu do drzwi salonu otwartych tak, jak je zostawiła dwa tygodnie temu. Tak samo jak wtedy drzwi zasłaniały otwór, w którym wtedy ktoś stał.

Była przekonana, że tym razem nie będzie tam nikogo.

Gdy podchodziła, usłyszała kroki na skrzypiącej drewnianej podłodze, tak jak w czasie pierwszej wizyty. Przystanęła i nasłuchiwała: kroki oddalały się.

Dziewczyny o lwich sercach rzadko cofały się w obliczu zagrożenia, nigdy nie brały nóg za pas i nie uciekały bez powodu. Gdy wymijała drzwi, drżąc bardziej, niż by sobie tego życzyła, na progu nie ujrzała nikogo.

W głębi salonu zobaczyła zamykające się z trzaskiem drzwi.

Wszystkie meble zostały. Po tamtym zdarzeniu Nancy i Murphy nie szukali kolejnych lokatorów. Z czasem pozbędą się mebli, sprzedadzą je bądź dadzą organizacji dobroczynnej Goodwill.

Bibi zastanawiała się, czy zamiast przejść do sypialni, nie będzie lepiej siąść na brzegu fotela i czekać, co się stanie. Czasami cierpliwe oczekiwanie okazywało się mądrzejsze od prowokowania zdarzeń i to między innymi odróżniało dziewczyny z olejem w głowie z mądrych książek od pustogłowych dziewcząt w bezsensownych książkach.

Po chwili wahania, gdy nogi opanowała słabość, a wargi zaschły niemal tak bardzo, jak róże w kuchni, wstyd kazał jej ruszyć się z miejsca. Człowiek był dzielny albo nie, odważny albo nie, a ludzie o lwich sercach nie obmyślali wymówek, gdy był czas na szybkie działanie.

Stanęła przy drzwiach do pokoju. Starając się ignorować szybkie bicie własnego serca, nasłuchiwała odgłosów z tamtego pomieszczenia. Przechylała głowę na prawo i lewo, a gdy wzrok powędrował niżej, zauważyła krew na klamce. Czerwoną. Lśniącą. Mokną. Pojedyncza kropka ześlizgnęła się z klamki

i opadała na podłogę jakby w zwolnionym tempie.

Dzielne dziewczyny miały coś więcej niż ikrę i stanowczość. Były także przezorne, uważne i rozsądne. I z całkowitą jasnością wiedziały, kiedy należy działać zgodnie z tymi cechami. Nie rzuciła się do ucieczki, tylko wolno odsuwała się od sypialni. Odwróciła się, przeszła przez salon i cicho stąpając przez kuchnię, wyszła z mieszkania. Po zamknięciu drzwi na klucz musiała trzymać się balustrady, schodząc na podwórko.

Siedząc na wiklinowej sofie na werandzie za domem, Bibi zastanawiała się nad wypadkami. Myśli tkwały tysiące motywów, z których przędły przedziwną tkaninę. Nie powie rodzicom, co się stało. Nie znajdą w mieszkaniu żadnych kwiatów ani krwi, tak jak przed dwoma tygodniami ojciec nie natknął się na intruza. Poza tym przeczuwała, że jest coś, o czym wie, że tego nie wie, jakaś trudna do uchwycenia świadomość, dzięki której, gdyby tylko zdała sobie z niej sprawę, wszystko nabrałoby sensu.

Robiło się coraz cieplej, ale Bibi było zimno do szpiku kości.

## **20**

### ***Stan całkowitej prostoty***

Bibi uświadomiła sobie, że nie śpi, gdy usłyszała, jak pielęgniarka rozmawia z sanitariuszem. Nie była w stanie otworzyć oczu ani ust. Mogła jedynie słuchać. Jedno powiedziało: „Jest wyczerpana, biedaczka”, drugie zmierzyło jej tętno, chyba z zadowolającym wynikiem, i puściło nadgarstek. Zorientowała się, że oddycha płytko, wydając dźwięk podobny do cichego pochrapywania. Na pewno zdaje im się, że śpi. Nikt nie był przy gwałtownym ataku, który ją powalił. Przykryli ją po szyję. Usiłowała im przekazać, że uciszył ją nie sen, tylko coś gorszego. Słowa uformowały się w myślach, ale nie w ustach. Usłyszała, jak pielęgniarka i sanitariusz wychodzą, potem zapadła śmiertelna cisza.

Leżała bezgłośnie, zwiotczała i niewidząca, nie mając pewności, czy leży na plecach, brzuchu czy na boku. Żaden mięsień nie reagował na polecenia. Przypomniła jej się fragment wiersza, którego źródła chwilowo nie pamiętała: *Cztery kwartety* Eliota. Była rzeczywiście w stanie całkowitej prostoty, ale nie bała się, chociaż powinna. Będzie odważna, tak jak zawsze, dzielna, nieustraszona i bitna. O lwim sercu.

*[...] Stan całkowitej prostoty / (Kosztujący nie mniej niż wszystko) [...]*

Przy drugiej linijce przypomniało jej się pochodzenie tych słów: poemat *Little Gidding*.

Nieco pocieszał ją fakt, że mimo oderwania się ciała od duszy

umysł zachował jasność i pozostawał częścią jej królestwa. Przypominały się urywki innych wierszy Eliota:

*Żwawo teraz, tutaj, teraz, zawsze [...] w nieruchomym punkcie [...] ani od, ani do [...] gdzie przeszłość i przyszłość są połączone*[\[1\]](#).

Bibi znów odpłynęła w nicość, która była być może zapomnieniem bardziej wzniosłym niż prosty sen.



Zbudziła się w popłochu, dojmująco uświadamiając sobie gwałtowne pogorszenie swego stanu. Paraliż. Ślepotą. Język związany w supeł, co nie dopuszcza łaski słowa. Staczała się szybciej niż paplająca wierszyki Jill po potknięciu się o tego idiotę Jacka. Nagle Wielkie Pytanie brzmiało, czy w jej przypadku większy sens mają chemia i napromienianie, czy bardziej ludzkim wyjściem byłoby danie jej pudła lizaków z morfiną, żeby liżąc, odeszła z tego świata w jakimś hospicjum prowadzonym przez życzliwe zakonnice. Wbrew całej odwadze chciała nad sobą popłakać, ale jeśli nawet płakała, nie czuła ciepła łez ani śladów, jakie pozostawiały na twarzy.



Ponownie obudziła się w nocy i tym razem mogła otworzyć oczy i rozejrzeć się przy ściemnionym świetle z łóżka. Nie miała też wątpliwości co do położenia własnego ciała: leżała na prawym boku, zwrócona w stronę pierwszego – ciągle pustego – łóżka i drzwi na drugim końcu sali.

Drzwi te otwarły się i wszedł jakiś człowiek, podchodząc ku niej w świetle z korytarza. Jego sylwetka pozostała widoczna nawet po tym, jak drzwi zamknęły się, zasłaniając światło. Bibi zauważyła smycz, gdy znalazł się między łózkami. Wcześniej ktoś opuścił ramę łóżka. Pies stanął na tylnych łapach,

opierając przednie na materacu i obdarzając Bibi legendarnym uśmiechem swojej rasy: golden retriever. Każdy retriever ma charakterystyczny dla siebie pysk i tylko przez moment wydało jej się, że to Olaf.

Ale był to tylko jakiś dobry samarytanin z psem terapeutą o imieniu Brandy, Oscar czy jeszcze inaczej. Obecnie w szpitalach wprost roilo się od psów i ludzi o dobrych intencjach, którzy próbowali podnosić na duchu chorych i przygnębionych. Od chwili przyjęcia, jako pacjentka sławna z agresywnie rozwijającego się raka, widziała już podobne akcje miłych ludzi i psów, choć odrzucała ich starania, by pomóc jej w odnalezieniu jasnej strony glejakowości.

Lewa ręka leżała dłonią w dół na materacu. Widziała ją, ale nie mogła nią poruszyć.

Pies zaczął ją lizać. Początkowo nie czuła psiego dotyku, jednak wkrótce czucie wróciło i ruch języka pomiędzy palcami napełnił ją jakąś dziką nadzieją. Ku własnemu zdziwieniu wyrwała się z odrętwienia, ruszyła ręką i gładziła sierść na szlachetnym łbie retrievera.

Spotkały się spojrzenia ich oczu. Wiedziała, że jej są ciemne i nieprzeniknione, lecz oczy retrievera były tak złote, świetliste i głębokie, że na ich widok coś się w niej poruszyło. To promienne spojrzenie zbudziło w Bibi dawno śpiące dziecko, dającą się łatwo zaczarować dziewczynkę, która – zdając sobie sprawę z nieuniknionej dorosłości – wyrwała stronę z *Księgi Misiów* i zapadła w długi, zimowy sen.

Gdy pies opadł na ziemię, Bibi zawołała:

– Nie, proszę!

Lecz odwiedzający poszli dalej. W drzwiach, które mężczyzna uchylił tylko na tyle, by wysunąć się na korytarz, odwrócił się, ciągle widoczny tylko jako zarys postaci, i powiedział:

– Staraj się żyć...[\[2\]](#)

Bibi już kiedyś słyszała te słowa, chociaż w obecnym stanie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.



Samotna w mroku, nie potrafiła zdecydować, czy stało się coś niezwykłego, czy to spotkanie jej się przywidziało.

Zgięła lewą dłoń, wciąż wilgotną od śliny psa. Czuła całe ciało, wszystkie kończyny. Poruszyła palcami nóg. Nie miała żadnych trudności z odwróceniem się na wznak.

Czując wielkie znużenie, nie wiedziała, czy śni, czy czuwa. Pod nieobecność kochającego psa, wszystko jedno, czy prawdziwego czy nie, uczuła wszechogarniające osamotnienie i zagubienie. Wstydziła się rozpaczy, którą słyszało się w jej głosie. Dzielne dziewczęta nie obnażały tak otwarcie niedoli duszy i serca, wybijającego imię, które teraz wypowiadała:

– Paxton, Pax. Ach, Pax, gdzie jesteś?

Potem fala ciemności zaniósła ją w sen albo coś podobnego.

[1] Thomas Eliot, *Little Gidding*, tłum. Krzysztof Boczkowski

[2] Henry Davic Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, tłum. Halina Ciepłińska.

# **21**

## ***Na drugim końcu świata***

Planiści z centa – sztabu dowodzenia – nazwali to operacją *Próba ognia*. Dysponowali niewyczerpanym zapasem barwnych nazw na misje specjalne, z których część miała wartość literacką i dowodziła, że w Annapolis odebrali wszechstronne wykształcenie. Nie będzie żadnego chodzenia po rozżarzonych węglach, gołębi z szalików, kobiet przecinanych na pół ani innych sztuczek oklaskiwanych przez widownie magików, tylko zwykły atak, który dla czarnych charakterów powinien być nieoczekiwany jak trzęsienie ziemi.

Paxton Thorpe i trzech ludzi z jego ekipy zeszli nocą z zimnych gór po dwóch dniach marszu z punktu zrzutu, gdzie zostawił ich helikopter, i dotarli do obrzeży miasta. Gdyby wysadzono ich bliżej, hałas śmigłowca zdradziłby ich równie jednoznacznie, jak gdyby poprzedzała ich orkiestra grająca bluegrass na pace ciężarówki ozdobionej czerwonymi, białymi i niebieskimi chorągiewkami. Zanim przebyliby równinę i znaleźli się na tych ulicach, zostaliby skoszeni.

Miasto otaczały pola, niegdyś uprawne, dziś leżące odłogiem. Ostatnie plony nie zostały zebrane. Miesiące żaru, dojmującego chłodu i szalonych wiatrów zmłóciły zboże i wysuszyły łądygi, z których pozostały drobna sieczka i pył, wszystko tak miękkie, że prawie niesłyszalne pod nogami. W zależności od tego, gdzie postawił nogę, Pax wyczuwał stęchły odór, który kojarzył mu się ze żłobami i sąsiekiem w stodole na końskim ranczu

w Teksasie, gdzie dorastał.

Księżyc wzeszedł jeszcze za dnia i skrył się za górami przed północą. W wątłym blasku gwiazd, liczącym sobie setki tysięcy, a może i miliony lat, czterej mężczyźni posługiwali się lornetkami noktowizyjnymi.

Z punktu widzenia świata mieli przed sobą miasto duchów. Wierzący w duchy woleliby je omijać, bo ewentualne zjawy musiałyby być horrendalne. Miasteczko na pustkowiu zostało założone nad rzadkim tutaj złożem wodonośnym, a mieszkańcy wykorzystali płynące w głębi wody do przekształcenia okolicy w żyzne pola. Przez kilka pokoleń żyli tu sobie w sielankowym spokoju, niewykształceni i w zasadzie zadowoleni z tej niewiedzy. A potem nadjechali barbarzyńcy w kradzionych pojazdach wojskowych, z granatnikami i karabinami automatycznymi. Podczas zdobywania miasta padło około sześciuset mieszkańców, połowa ludności, i już drugiego dnia nad każdą ulicą powiewała flaga zdobywców – czarna ze skośną czerwoną kreską. Po zbiorowych gwałtach i ćwiartowaniu ładniejszych kobiet pozostali mieszkańcy – mężczyźni, kobiety i dzieci – zostali w ciągu trzech dni rozstrzelani. Z setek ciał ułożono stosy, oblano je benzyną i podpalono. W szóstym dniu po najeździe mordercy zabrali swoje flagi i odeszli. Nie szukali w tej osadzie niczego poza zniszczeniem.

Mimo że byli dzikusami, sfilmowali tę rzeź i nakręcili rekrutacyjny film, przemawiający do podobnie myślących radykałów na całym świecie. Znalazł on sobie chętną widownię w Internecie.

Siedemnaście miesięcy po rzezi starszy podoficer Paxton Thorpe i trzech wojowników, przyjaciół, najlepszych ludzi, jakich było mu dane poznać – Danny, Gibb i Perry – ruszyło na poszukiwanie grubego zwierza w miejscu, gdzie jeszcze tydzień temu uważano, że nie ma na co polować. W amerykańskich mediach czasami nazywano ich główny cel Duchem, co dodawało mu splendoru – być może nieświadomie. Pax

z kolegami mówili na ofiarę Płonący Dupek, w skrócie PD.

Swego czasu PD dowodził atakiem na tę wioskę, ale to nie była jedyna zbrodnia, z której powodu był teraz poszukiwany. Nie należało się raczej spodziewać, że wróci na miejsce masakry, z dala od wygod cywilizacji, które przywódcy terrorystów zwykli uważać za należne im przywileje, z dala od tłumów wielbicieli. Ale w cencie dostali informacje, które uznali za przekonujące, a oni dość rzadko się mylili.

Znajdowali się na terenie państwa, które nie zasługiwało na to miano, chociaż przynajmniej nie popierało aktywnie terrorystów i nie brało udziału w spiskach przeciwko Stanom Zjednoczonym. Zniszczona gospodarka nie była w stanie wyżywić armii zdolnej do utrzymania porządku na większej części terytorium. Ludzie Paxa znaleźli się na miejscu bez problemu, ale teraz można się było spodziewać najgorszego.

Miasto liczyło ponad dwieście budowli, przeważnie jedno i dwukondygnacyjnych, nigdy nie wyższych niż dwupiętrowe, jednych z kamienia, choć w większości z suszonej cegły i obrzuconych tynkiem, o prymitywnej konstrukcji, jakby w tym kraju brakowało inżynierów o umiejętnościach wykraczających poza średniowieczne. W czasie ataku jedna trzecia budynków została zmieciona z powierzchni ziemi, pozostałe zostały uszkodzone w mniejszym lub większym stopniu. Jeśli PD i jego sześciu najbardziej zaufanych zauszników faktycznie się tu kryło, najprawdopodobniej zaszyli się w budowli centralnej, dzięki czemu niezależnie od tego, z której strony nadejdzie nieprzyjaciel, z wystarczającym wyprzedzeniem dowiedzieliby się, że rozpoczęła się nagonka.

Z informacji wynikało, że dwupiętrowy budynek w północno-zachodnim rogu miasteczka stanowi idealny punkt obserwacyjny. Starczyło wypatrywać znaków życia na wschód i południe. Na dachu znajdował się murek, za którym mogli się ukryć, obserwując teren dwoma kamerami peryskopowymi.

Paxton, Danny, Gibb i Perry znaleźli się na tyłach budynku,

cicho przechodząc obok trzech rogatych szkieletów, prawdopodobnie kóz, które patrzyły na nich oczodołami głębokimi jak pieczary. Dzikusi, którzy wystrzelali mieszkańców, zabili też dobytek, pozostawiając go tam, gdzie upadł.

Tylne drzwi zostały dawno temu wyważone. Obeszli wszystkie pomieszczenia, jak gdyby spodziewali się oporu. Ściany nosiły ślady po kulach, na ziemi leżały łuski po nabojach, płaty tynku, potłuczone naczynia i coś podobnego do odłamków czaszek z wstążkami ludzkich włosów. Zasypane odłamkami schody wiodły na płaski dach. Wysoki na cztery stopy murek wyglądał tak, jak go opisywano. W płynnym mroku tej suchej nocy odważyli się stać, lustrując miasto upiorów w poszukiwaniu błysku światła, ziemskiego czy nadprzyrodzonego, lecz nie znajdując nic.

Po bezpiecznym dotarciu na miejsce przespali się – dwóch na zmianę, gdy druga dwójka czuwała, patrząc i nasłuchując. Każdy dźwięk niósłby się daleko po opustoszałym mieście, dlatego nic nie mówili. Tak dużo już razem przeżyli, że nie potrzebowali słów, żeby wiedzieć, co myślą inni.

Pozostali na dachu, choć nadal skryci za barierą, po wschodzie słońca, który przyniósł tylko częściowe ocieplenie. Na poszukiwania wypuszczą się dopiero po dwudziestu czterech godzinach, w czasie których ich ofiara i jego ludzie będą mieli okazję do nieświadomego ujawnienia swej obecności. Mieli kamery, uszy i cierpliwość.

O czwartej po południu Pax wyjął z zapasów suszoną wołowinę, gęsty rosół i baton PowerBar. Jadł, siedząc oparty o murek na dachu. Pozostał w kamizelce kuloodpornej, za to podobny do siatki system MOLLE, do którego mocuje się rozmaity sprzęt, zdjął i odłożył obok. Tuż obok umieścił pistolet: SIG-Sauer P220 z komorą na kaliber 45.

Znienacka w jego myślach z taką siłą pojawiła się Bibi, że wraz z batonem mało nie ugryzł sobie wargi. Myślał o swojej

wyjatkowej dziewczynie często, ale ten niespodziewany obraz jej ślicznej twarzy pojawił się tak żywo, jak jeszcze nigdy żadne jej wspomnienie. Pamiętał tamtą chwilę: płyną obok siebie na deskach z wiosłem w Newport Harbor w słoneczny letni dzień. Powiedziała coś zabawnego, a jego riposta tak ją rozwaliła, że mało nie spadła z deski.

Obraz jej twarzy, ładnie zmienionej śmiechem, tak bardzo dodał mu otuchy, że usiłował go zatrzymać, zrobić z tego wspomnienia stopklatkę ze wszystkimi zadziwiająco dokładnymi i przejmującymi szczegółami. Ale pamięć rządzi się swoimi prawami: Bibi zniknęła i dała się przywołać tylko w mniej wyrazistej postaci.

Paxton zerknął na zegarek G-Shock: 16:14 czasu lokalnego, czyli 4:14 rano tam, gdzie jest Bibi, na drugim końcu świata. Na pewno jest w domu i smacznie sobie śpi. Ogarnął go niepokój, nie zwykła troska, która czasami towarzyszyła myślom o Bibi, lecz głęboki, szczególny niepokój. Przyszło mu do głowy, czy przypadkiem nie wyjechał na tajną misję w najgorszym możliwym momencie.

## **22**

### **Co się, do diabła, stało?**

*Tym razem zakapturzone postacie niosą zwłoki szpitalnym korytarzem, znad którego zdjęto sufit i dach, przez co wszystko jest skąpane w poświacie księżycy. Wchodzą na salę Bibi i twarz jednego z nich wstrząsa nią tak jak zawsze. Nie chce na nią patrzeć. Siada na łóżku i budzi się, ale nie całkowicie – tylko przechodzi z jednego snu w drugi. Zniknęli dwaj siepacze Śmierci, czy ktokolwiek to był. Na krześle przy oknie, w czerwonym blasku zachodzącego słońca, siedzi trup w białym całunie. Materiał zakrywający twarz napina się i w miejscu, gdzie otwierają się usta, pojawia się płytki lej. Wydobywa się stamtąd dobrze jej znany głos:*

*– Formy... formy... nieznanne istoty.*

*Przerażona, nie chcąc usłyszeć więcej, zrywa się i siada, ale tym razem nie znajduje się w kolejnym śnie, tylko...*

*... na prawdziwej sali szpitala.*

*Wraz z nadejściem poranka coś się zmieniło.*

*Mrowienie w lewej części ciała zupełnie ustąpiło. Ani jednej igielki, swędzenia, dreszczu, żadnego szumu na szlakach nerwowych.*

*Zgięła lewą dłoń, która czasami zdawała się należeć do innej Bibi, mającej wobec tego narządu jakieś swoje zamiary. Teraz odzyskała całkowitą kontrolę nad ręką. Ani śladu słabości. Zacisnęła dłoń w pięść, która, choć niewielka, niezmiernie jej się spodobała.*

Bez bólu i zawrotów głowy. Bez ohydneho smaku.

W oszałamiającym tempie wyterkotała:

– Stół z powyłamowanymi nogami. Król Karol podarował królowej Karolinie korale koloru koralowego. – Każde słowo wychodziło idealnie uformowane, bez potknięcia i bełkotania.

Opuściła jedną z zabezpieczających barierek i usiadła na brzegu łóżka, gdzie na chwilę się zawahała, upominając się, że ustąpienie objawów nie oznacza, że została jakimś cudem wyleczona. Gdyby ośmieliła się wydać radosny okrzyk zdumienia, mogłoby to wywołać raptowny nawrót wcześniejszego stanu. Ale nie. To tylko głupie przesady. Nie istniały trzy boginie przeznaczenia, jak uważali starożytni Grecy, siostry przędące, odmierzające i przecinające nić każdego życia, które mogłyby obrazić jej zachwyt z powodu ocalenia przed rakiem. Wstała i założyła kapcie. Przeszła się, a potem puściła się w głupi taniec, a lewa noga, tak samo jak prawa, robiła wszystko, co jej kazała, bez najmniejszego oporu czy omyłki.

Do środka weszła pielęgniarzka, Petronella, o włosach ciasno ściągniętych i zaplecionych w warkocz. Miała dyżur już wczoraj i okazała się praktyczną, pewną siebie kobietą, która widziała w swojej pracy wszystko, co jest do zobaczenia, i której nic już nie dziwiło i nie zaskakiwało. Jej czekoladowa twarz rozjaśniła się teraz zdziwieniem i rozbawieniem, gdy stanęła na progu i spytała:

– Dziewczyno, co w ciebie znów wstąpiło?

– Mogę tańczyć – oznajmiła Bibi, wykonując prosty, kapciowy krok.

– Możliwe – przyznała pielęgniarzka. – Poczekamy, zobaczymy.

Bibi zaśmiała się i szybko klasnęła trzy razy w dłonie.

– Lewa stopa normalna. Od stóp do głów zero mrowienia, nic. Stół z powyłamowanymi nogami – wypowiedziane bezbłędnie, Petronello. Nie jestem już chora.

Uśmiech na twarzy siostry rozkwitł, a potem zbladł.



Powiedziała z litością w oczach i sympatią w głosie:

– Los bywa zmienny, dziecko. Lepiej zawsze o tym pamiętać.

Bibi pokręciła głową i odparła:

– To prawda. Tak właśnie jest. Nie wiem, co się, do diabła, stało, ale na pewno coś się odmieniło. Czuję to całą sobą. Czysta. Zdrowa. Muszę porozmawiać z doktorem Chandrą. Niech mnie obejrzy. Musimy się nad tym jeszcze raz zastanowić.

# 23

DWANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

## ***Po prostu nie umie dać sobie z tym spokoju***

Po kolejnej dwutygodniowej przerwie w kuszeniu: spokój niedzielnego poranka, mglisty i chłodny dzień bez słońca, klucz w zamku, skrzyp zawiasów, biały wazon na stole, tym razem bez kwiatów, otwarte drzwi wewnętrzne, próg salonu, sam pokój, zamknięte drzwi do sypialni. Jeśli krew na kłamce poprzednim razem nie była przywidzeniem, ktoś ją w międzyczasie stał.

Czasami Bibi nie rozumiała samej siebie. Nie była głupia, a jednak wróciła. Wiedziała, że nie jest tchórzem, nie musi się sprawdzać, a przecież tutaj stała. Była przekonana, że zmarli nie wracają, a mimo to się nad tym zastanawiała. Co gorsza, rozumiała, że nie byłoby dobrze, gdyby któryś zdołał *jednak* trafić z powrotem do świata żywych, ale mimo wszystko bez wątpienia czuła gdzieś w sobie coś w rodzaju tęsknoty za tego rodzaju spotkaniem, rzecz jasna pod warunkiem, że okazałoby się magiczne w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Bała się, że mogą czaić się w niej jakieś mroczne impulsy. Znała je z książek. Czytała lektury dla uczniów o pięć klas starszych od siebie, co skłaniało ją do wniosku, że wie sporo o nałogach, fiksacjach, obsesjach, maniach i ponurych żądach. Takie mroczne impulsy mogły brać się z umysłu albo serca. Była pewna, że nie jest obłąkana, dlatego miała nadzieję, że jej impulsy pochodzą z serca, dzięki czemu nie są szczególnie

niebezpieczne.

Dzielne dziewczyny często robiły coś odważnego, w przeciwnym bowiem razie traciły szansę na wyróżnienie się z tłumu. Potem stawały się smutnymi, nieśmiałymi kobietami, więdnącymi kwiatami, żalonymi wołami roboczymi skazanymi na ponure życie w szarych pokojach. Mając siedem lat, Bibi już uprawiała boogie-boarding, od prawie roku surfowała jak dorosła i nie miała zamiaru zostać przegraną z kretesem nieudacznicą ani teraz, ani za lat pięćdziesiąt.

Trzeba było spłynąć ze szczytu fali, sunąć pod fałdą, a następnie w dół, kiedy fale przestawały mieścić się na skali Richtera. Drobiazg. Na tym polegała różnica między prawdziwym surferem a pianką, wymoczkami, wilmą i dupkami. Dzielne dziewczyny nie mogą być piankami, wymoczkami, wilmami ani dupkami.

Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi do sypialni.

Wszystko pozostało w zasadzie bez zmian od czasu, kiedy mieszkanie było zajmowane. Z łóżka zdjęto pościel i koc, został tylko materac, a poduszki schowano do bielizniarki. Poza tym nic się nie zmieniło.

Gęsta mgła jak widmowe morze – przyptyw wysoki jak przed milionem lat – napierała na okna, a do środka przenikało jedynie mroczne, płynne światło. Pokój znajdował się w głębi mieszkania, dlatego zapalone przez Bibi światła nie mogły zostać zauważone z bungalowu, nawet gdyby nie było mgły.

Drzwi do łazienki stały otworem, za to garderoba była zamknięta. Sama się zaskoczyła, pukając do niej.

Bez odpowiedzi.

„Spłynąć ze szczytu fali, spadać, nie wymiękać” – pomyślała.

Otworzyła drzwi, zapaliła światło. Dzielne dziewczyny nie wierzą w złe duchy i żaden duch nie czekał na nią wewnątrz.

Z drzwiczek w suficie zwisał sznur. Wiedziała, że gdyby szarpnęła, drzwiczki na mocnych zawiasach i sprężynach otworzyłyby się i rozłożyłaby się składana drabinka.

Pierwszy raz podczas tej wizyty usłyszała odgłosy, których nie była przyczyną. Dobiegały ze strychu.

Popatrzyła na sznur, ale sprawiła sobie samej zawód, nie sięgając po niego od razu.

Ktoś musiał mocno naprzeć na drzwiczki od góry, bo otworzyły się gwałtownie, a sprężyny zajęczały jak rozdrażniony kot. Drabina rozłożyła się i wsparła na podłodze garderoby.

Unosząc wzrok, Bibi rzuciła w mrok:

– Kapitanie?! Jest pan tam, Kapitanie?!

## **24**

### ***Ale byłoby miło, gdyby mogło tak być naprawdę***

Tym razem aparat do rezonansu nie robił wrażenia ponurego tunelu zagłady, tylko korytarza ku zmartwychwstaniu. Bibi nie potrzebowała słuchawek, nie chciała muzyki, bo rozpedzone myśli brzmiały jak lepsza muzyka, odpowiednik jazzu o podkreślonym rytmie, pełnego iskier i wigoru, przesyconego zdumieniem, zaskoczeniem i sporą domieszką respektu. Zdarzyło się niemożliwe. Wiedziała o tym. *Wiedziała*. Nie musiała czekać na wyniki. *Czuła* prawdę remisji w kościach, w każdej części zdrowego ciała. Mówili, że glejakowatość mózgu nigdy nie ustępuje. Dotąd. Niech znowu to wszystko robią: funkcjonalny rezonans magnetyczny, angiografię, spektroografię. Niczego nie znajdą. Ani jednego gniazda komórek raka. Jej radośnie kłębiące się myśli raz po raz wracały do niewiarygodnej tajemnicy w sercu tej nowej szansy, niezbadanego powodu ulgi, zagadki, która domagała się od siedzącego w niej pisarza zrozumienia ukrytej opowieści.

Po rezonansie chcieli powtarzać jeszcze inne badania. Po ich minach widziała oszołomienie dotychczasowymi wynikami. Nikt nie był na tyle lekkomyślny, żeby oznajmić jej, że stało się niemożliwe, jeszcze nie, póki nie mieli całkowitej pewności, ale Bibi wiedziała. Ona *wiedziała*.



Mira Hernandez była młoda jak na przełożoną pielęgniarek w takim dużym szpitalu. Wyglądała na nie więcej niż czterdzieści lat. Była ładną kobietą o lśniących sobolowych włosach, szeroko osadzonych oczach czarnych jak futro halloweenowego kota i pełnych ustach, których dolną wargę zagryzała, słuchając odpowiedzi Bibi na pytania.

Siostra Hernandez siedziała na krześle przy oknie, tym samym, które dzień wcześniej zajmował doktor Sanjay Chandra, gdy przedstawiał okropne rokowania. Bibi usadowiła się naprzeciwko, na krześle, które zaczynała nazywać szczęśliwym. W sumie każdy sprzęt na sali stał się jakimś talizmanem szczęścia: szczęśliwy stół pomiędzy nimi, szczęśliwe łóżko, szczęśliwy telewizor, którego ani razu nie włączyła, szczęśliwy jedwabny szlafrok, szczęśliwe ciapy.

– Nie za bardzo rozumiem – stwierdziła siostra Hernandez. – Uważa pani, że wyleczył panią golden retriever?

– Nie. Może. Kurczę, sama już nie wiem. Pies miał coś wspólnego z tym, co się właśnie stało. Na pewno. Niech pani posłucha, nie twierdzę, że ten pies czyni cuda. Co to miałoby w ogóle znaczyć? Brzmi absurdalnie. Ale pies i człowiek, który go przyprowadził, muszą coś wiedzieć. Nie sądzi pani? Bo ja tak. W każdym razie ten człowiek może coś wiedzieć. Bo pies niekoniecznie. Kto wie, co wiedzą psy? A nawet gdyby pies coś wiedział, nie byłby w stanie nam tego powiedzieć, bo psy nie mówią. Tak więc musimy porozmawiać z mężczyzną.

Siostra Hernandez przez chwilę przyglądała się Bibi w milczeniu, by stwierdzić:

– Robi pani wrażenie ożywionej.

– Nie. Nie ożywionej. Nosi mnie. W *dobrym* sensie. Pani by nie nosiło, gdyby jednego dnia pani mózg pożerał rak, a nazajutrz już by się pani go pozbyła?

Pielęgniarka nie chciała podsycać bezpodstawnej nadziei.

– Nie wyręczajmy lekarzy, Bibi.

– Bo widzi pani, wczoraj wieczorem, gdy nikt nie widział, miałam straszny atak. Zdawało mi się, że umieram. Straciłam przytomność. Potem ocknęłam się, gdy zaglądała do mnie pielęgniarka. Myślała, że śpię. Ale ja byłam odrętwiała i nie mogłam nic powiedzieć, i to było okropne. Wiedziałam, że już prawie po mnie, że niedługo będę wachać kwiatki od spodu. Gdy obudziłam się kolejnym razem, przyszedł pies. Po nim nie miałam już paraliżu, mogłam mówić. A dzisiaj rano, gdy obudziłam się, ot tak – ścisnęła uprzednio słabą lewą rękę w pięść i potrząsnęła nią w powietrzu – wiedziałam, że zdarzyło się coś dobrego, największe możliwe dobro.

Mimo całej swej życzliwości i cierpliwości siostra Hernandez miała taką minę, jakby chciała powiedzieć: „Ale właśnie w tym rzecz – to nie jest możliwe”. Tymczasem jednak, po zapisaniu czegoś na laptopie, powiedziała:

– Bo widzisz, rzecz w tym... że po porze odwiedzin nie wpuszczamy do szpitala żadnych psów terapeutów. Wczoraj wieczorem też nie było nikogo.

– Był – powiedziała stanowczo uradowana Bibi. – Piękny golden.

– Jesteś pewna, że nie mógł ci się przyśnić lub przywidzieć?

– Miałam dłoń ciepłą i lepłą od psiej śliny.

– No dobra, czyli mężczyzna z psem. A jak wyglądał?

– Widziałam tylko oświetloną od tyłu sylwetkę. Poruszał się w cieniu.

– Jak wabił się pies? Pamiętasz?

– Nie wiem. Właściciel nic nie mówił.

– Na początku zwykle przedstawiają psy.

– Być może, ale tym razem tak nie było.

Pielęgniarka znowu coś zapisała w laptopie, po czym uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Przepraszam. Nie chcę, żeby to wyglądało jak przesłuchanie na policji, Bibi. Naprawdę chcę zrozumieć, jeżeli...

– Jeśli okaże się, że wyzdrowiałam? Jasne. Nie musi się pani

wstydzić. To nie są fałszywe nadzieje. Jestem zdrowa. Wydaje się pani, że jestem podekscytowana? To proszę poczekać i zobaczyć, co się stanie, gdy doktor Chandra powie mi, że nie ma żadnego raka. Będę się odbijać od ścian. Bo takie siedzi we mnie dziecko. Ludzie zwykle nie mogą się doczekać, kiedy dorosną. Ale ja trzymam swoje dziecko w sercu, wie pani, i ono czasami się stamtąd wydostaje. Pisarze tak mają. Przeszłość jest materiałem. Nie chce się zapomnieć, jaka była, jak się ją odczuwało.

Siostra Hernandez słuchała z zainteresowaniem, jak czegoś więcej niż paplaniny. Przy pierwszej sposobności zapytała:

- Co ci powiedział ten człowiek z golden retrieverem?
- Nic. Dopiero gdy był w drzwiach, odwrócił się i powiedział: „Staraj się żyć”.

Pielęgniarka zmarszczyła czoło.

- Co miał na myśli? Brzmi... sama nie wiem. Dziwnie, jakoś uroczyście. Jak ci się zdaje?

Bibi wzruszyła ramionami.

- Prawdopodobnie chodziło mu tylko o to, że powinnam żyć dalej. - Już słyszała te słowa, ale nie pamiętała, gdzie i kiedy. Ciekawe, dlaczego nie mówi o tym Mirze Hernandez.

Nagle wpadła jej do głowy myśl godna małej detektywki, która sprawiła jej przyjemność.

- A kamery ochrony? Zwykle przechowują nagrania przez miesiąc. Wystarczy obejrzeć filmy z nocy i już będzie wiadomo, że to mi się nie śniło.



# 25

DWANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

## ***Kapitanie? Jest pan tam, Kapitanie?***

Gdy drabina rozłożyła się i stanęła na podłodze garderoby, Bibi wiedziała, że jest to zaproszenie, lecz nie wiedziała, czy powinna je przyjąć. Mimo geometrii drabiny zygzakowatość jej segmentów nasuwała skojarzenie z węzem.

Mrok na strychu rozproszył się, choć nie do końca, gdy przestrzeń u góry rozjaśnił rząd nagich żarówek.

To drugie zaproszenie jakoś nie zachęciło jej do ruszenia w górę na poszukiwanie Kapitana.

Nazwała go Kapitanem, bo swego czasu służył jako kapitan w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Przeżył wiele barwnych przygód w czasach pokoju i wojny. Bibi bardzo lubiła jego opowieści, mimo że nakłaniała go do ich wielokrotnego powtarzania. Po odejściu z korpusu miał się innych zajęć i zajmował mieszkanie nad garażem przez pięć lat – dopóki nie znalazła go martwego w kuchni, wśród tak wielkiej ilości krwi, że prawie się na niej unosił.

Kapitan był człowiekiem odważnym, uczciwym i honorowym. W jego towarzystwie zawsze była bezpieczna. Nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. Oddałby za nią życie.

Jeśli był teraz na strychu, nawet jeżeli wrócił z miejsca wiecznego spoczynku martwych bohaterów, na pewno nie miała powodów do obaw. Dzielne dziewczynki nie traciły odwagi, a już na pewno nie rejterowały, porzucając zdrowy rozsądek i oddając się przesądom i towarzyszącym im irracjonalnym

lękom.

– Kapitanie? – powtórzyła. – Jest pan tam, Kapitanie?

W odpowiedzi słodko zabrzęczały dzwonki. A raczej jeden specjalny dzwonek, który miał brzmienie trzech. Kapitan przywiózł go przed laty z Wietnamu, na pamiątkę nużącej i źle rozegranej wojny.

Pięknie odlany ze srebra, wielkości kieliszka do wina, miał w środku przemyślny mechanizm. Trzy serca zostały zawieszane tak, że biły równocześnie, a mimo to ich trajektorie sobie nie przeszkadzały. Pierwsze uderzało w płaszcz dzwonka, drugie wydobywało dźwięk z wieńca klasycznego kształtu, trzecie z wargi. Trzy nuty różniły się, lecz dopełniały, tworząc razem niezmiernie przyjemne, melodyjne brzmienie.

Przed wojną, przed szarą mgłą komunizmu, Wietnam był krainą czarów, o wyjątkowych mitach i bogatej wiedzy ludowej. Brzmienie dzwonka przypominało o magicznej stronie tego kraju. Wspomnienie eleganckiego kształtu i połysku srebra, harmonia nut – oddalonych od siebie o oktawę – i głęboka sympatia do właściciela dzwonka w końcu popchnęły Bibi na drabinę.

Po śmierci Kapitana nie było rodzeństwa ani dzieci w odległych miejscach, którym trzeba by było przekazać rozliczny zbiór uroczych pamiątek. Nancy zdecydowała, że wszystko może wziąć Bibi, jeśli tylko zechce. Bardzo chciała. Ale widok tych skromnych skarbów ożywił żal. W listopadzie, niecałe trzy miesiące wcześniej, spakowały je razem z matką, by czekały, aż upływ czasu stępi ból po śmierci Kapitana.

Mimo że żałowała go tak samo jak w dzień, kiedy znalazła jego zwłoki, wchodziła na strych z niepewną radością równą silnej ciekawości, której nie można było stłumić. Podłogę stanowiła płyta wiórowa, a wyprostowany dorosły mógł stanąć pod krokiewiami wszędzie, z wyjątkiem pobliza okapów. Po wejściu Bibi dzwonięcie ustało.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Podniosła głowę i przez

niespokojną chwilę wydało jej się, że widzi falujący dym, oznakę tłącego się ognia. Ale to były tylko płaty mgły, które przedostawały się przez siatkę okrywającą kratki wentylacyjne, jak gdyby ocean mgły na zewnątrz pchany był ciekawością wewnątrz zanurzonych w nim domów.

Niewielka część bogatego wyposażenia strychu należała do Kapitana, większość była własnością Nancy i Murphy'ego. Bibi zapomniała, gdzie pośród ustawionych w sterty pudeł leżały dzwonek i inne przedmioty.

Bez dzwonka, wśród bezdźwięcznych wyziewów mgły, cisza stawała się tak głęboka, że Bibi wydawało się, że jest w piwnicy, a nie na strychu. Można by było pomyśleć, że wyobraziła sobie srebrne brzęczenie, gdyby drabina i zapalone światła nie dowodziły, że jest tu ktoś jeszcze.

Ponieważ grubą na cal płytę wiórową przykręcono do belek, a nie przybito gwoździami, nie skrzypiała pod stopami, gdy szła przez środek strychu, zaglądając między regały i osobno ustawione rzeczy. Kapitan własnoręcznie wymienił starą, przegniłą sklejkę – była to jedna z drobnych przysług, jakie wyświadczył w celu pokazania, że jest wartościowym lokatorem, chociaż nikt nie żądał tego rodzaju dowodów. Taki był Kapitan: zawsze chciał się na coś przydać.

W przedostatniej alejce między regałami na wschodnim krańcu strychu natrafiła na tego, którego szukała od tygodni z mieszaniną tęsknoty i złych przeczuć. Stał w głębi przejścia, dziesięć stóp od niej, w miejscu, gdzie nie padało światło.

Obawa, którą wcześniej przewyciężyła, a którą uważała za niegodną siebie, znów rozkwitła jak czarny kwiat, niepasujący do jej obrazu samej siebie. Dzielna dziewczyna? A może była jeszcze jednym niepewnym i nierozumiejącym niczego dzieckiem, które udaje, że jest dojrzałe i odważne, wprowadzone w błąd przez kity, które wciskało wszystkim innym?

– Kapitanie? – odezwała się cicho.

Istota przesunęła się w jej stronę, stając w świetle.

Wtedy uświadomiła sobie, że szaleństwo i zdrowie psychiczne są dwoma światami, które dzieli zaledwie jeden krok.

## **26**

### ***Ludzie o złych zamiarach***

Siostra Hernandez przyprowadziła na salę Bibi szefa ochrony szpitala, którego przedstawiła jako Chubba Coya<sup>[3]</sup>. Niezależnie od tego, czy Chubb było prawdziwym imieniem czy ksywą, idealnie do niego pasowało. Przyjemnie zaokrąglony, a nie wyraźnie gruby, poruszał się z giętką swobodą tancerza, co jest cechą szczególną pewnych ludzi obdarzonych tuszą. Nazwisko było gorzej dopasowane, nie był bowiem ani małomówny, ani nieśmiały.

Mira Hernandez podniosła niezajęte pierwsze łóżko na maksimum, a pan Coy rozłożył na materacu laptopa. Bibi stała przy nich, gdy pan Coy wchodził w nagrania wideo z minionej właśnie nocy.

– Nie ma kamer na salach z pacjentami – mówił – ani w innych miejscach, gdzie trzeba chronić ich prywatność. Bezsensowne pozwy sądowe i tak już podnoszą koszty leczenia, które wymknęłyby się spod kontroli, gdyby każda babcia dostawała w sądzie milion dolców za to, że została upokorzona filmowaniem w czasie korzystania z kaczki.

Siostra Hernandez łagodnie go upomniała:

– Oczywiście ochrona intymności pacjentów jest istotna z dużo ważniejszych względów niż uniknięcie spraw sądowych.

Pan Coy nijak nie dał po sobie poznać, że zdaje sobie sprawę z przygany pod adresem swojej otwartości.

– Wszystkie klatki schodowe są monitorowane. Tak samo jak

windy do użytku ogólnego. Ale nie windy, którymi personel wozi pacjentów. Obserwujemy korytarze. Jak pacjent wychodzi z sali w szpitalnym fartuchu rozwiązanym na plecach, a potem chce dziesięciu milionów, bo ochrona musiała oglądać jego żalony goły tyłek, to musimy włączyć się po sądach i mieć nadzieję, że wśród przysięgłych znajdzie się chociaż kilka osób przy zdrowych zmysłach. Choć nie dałbym sobie za to ręki uciąć.

Siostra Hernandez popatrzyła na Bibi z uśmiechem, a ta potaknęła uspokajająco.

Pan Coy oświadczył:

– To główny korytarz na trzecim piętrze, przed pani drzwiami. Godzina jest na dole.

Cyfrowy zegar na ekranie pokazywał 4:01. Gdy upływały sekundy i 4:01 zmieniła się w 4:02, zjawił się golden retriever i towarzyszący mu mężczyzna w bluzie z kapturem. Gość miał głowę spuszczoną, jakby nie chciał, żeby kamera uchwyciła jego twarz. Otworzył drzwi po lewej stronie i wszedł za psem do środka.

– Pan Kaptur wszedł do pani – stwierdził Chubb Coy, po czym przesunął film. – Wychodzi trzy minuty później, o czwartej pięć. O, jest. Odjeżdżają tak, jak przyszli, windą.

– Tak jak pani mówiłam – zwróciła się Bibi do Miry Hernandez.

Pielęgniarka potrząsnęła głową i powiedziała:

– Zaraz, ale...

Pan Coy, odwracając się od laptopa, przerwał jej:

– W tym sęk. O tej porze, w nocy, szpital jest zamknięty, z wyjątkiem głównego wejścia i izby przyjęć. Nie ma nagrania, na którym ten gość z psem wchodziłby albo wychodził tamtymi drogami.

– Na pewno jakieś inne drzwi, które powinny być zamknięte, pozostały otwarte – podsunęła Bibi.

– Wykluczone. Działamy jak w zegarku. I jeszcze jedno – tak się składa, że kamera w windzie, z której skorzystał, przestaje

działać o trzeciej pięćdziesiąt, dziesięć minut przed jego pojawieniem się, przez co nie mamy filmu z nim i psem w windzie, ani kiedy wjeżdżali na górę, ani kiedy wracali. Kamera przy windach na parterze działa, ale nie rejestruje, jak Pan Kaptur wsiada do kabiny czy później wysiada.

Bibi patrzyła na ekran laptopa, gdzie widać było korytarz po odejściu tajemniczego gościa.

– Nie rozumiem.

– Ja też – potwierdził Chubb Coy. – Nie można przypuszczać, że wsiedli sobie między piętrami, przez właz w dachu kabiny. Niemożliwe, Jose. I poznała go pani?

Bibi popatrzyła w oczy szefa ochrony, szare z niebieskimi cętkami, stalowe w zestawieniu z krągłą, dobroduszną twarzą, w której były osadzone.

– Na podstawie tego wideo? Przecież nie pokazał twarzy.

– Ze sposobu noszenia się, chodu, po psie?

– Nie. Nie rozpoznałam go.

– Na pewno nie przyszedł tu po nic dobrego – stwierdził Chubb Coy.

– No, nie wiem, ale ja jakimś sposobem wyzdrowiałam.

– Lekarze to potwierdzili?

– Spotykam się z doktorem Chandrą po południu.

– Mam nadzieję, że zdarzył się cud, naprawdę – oświadczył Coy, choć widać było, że ma wątpliwości. – Ale wie pani co, wcześniej byłem prawdziwym policjantem. Poznałem trochę złych ludzi. Zachowujących się tak jak pan Kaptur... Założę się o ostatni grosz, że mają złe zamiary.

[3] *Chubby* (ang.) – puciołowaty, pulchny, *coy* (ang.) – wstydlivy.

# 27

DWANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

## ***Co zrobiła, kiedy nie oszalała***

Bibi nie pamiętała, żeby się odwracała od tego kogoś na strychu, ale nim się zorientowała, schodziła już po drabinie do garderoby. Gdy obejrzała się w górę, wszystkie światła w wysokim pomieszczeniu były wygaszone.

Nie wpadła w popłoch. Opanowało ją coś innego, być może szok, przez co wszystkie odczucia odbierała w otępieniu. Myśli nie kłębiły się w głowie – każde najmniejsze wrażenie i emocja pełzły ku następnym, jak gdyby kombinerki w mózgu przenosiły je dalej, na próżno usiłując przywrócić normalny bieg myśli.

U stóp drabiny zawahała się, wstrzymując oddech, spodziewając się, że ktoś stanie ponad nią w świetle z garderoby. Ale gdy nikt się nie pokazywał, mocno pchnęła ostatni segment drabiny, żeby złożyła się z powrotem pod sufitem. Drabina pociągnęła za sobą klapę drzwiczek, a sznur zaczął bujać się jak wahadło.

Nie pamiętała, jak przeszła przez sypialnię i salon, za to ocknęła się w kuchni, przy stole z białym wazonem. Był pusty, gdy wchodziła do mieszkania. Teraz stały w nim trzy świeże, szkarłatne róże.

Gdy schodziła z balkonu, gęsta mgła płynęła za nią, falując jak tren wspaniałej białej sukni. Kostka pod nogami na podwórku była ledwie widoczna. Domek zdawał się unosić na tajemniczym morzu niczym okręt widmo o widocznych



konturach, ale niepewnej zawartości.

Rodzice ciągle spali. Bibi poszła do siebie. Zdjęła buty i nie rozbierając się, położyła się w łóżku i przykryła.

Na strychu stało się coś, do czego przemyślenia brakowało jej odwagi. Odpychała wspomnienie, bo było nieznośnie przerażające, a jednocześnie smutne. Jak brzemień, którego żadna dziesięciolatka – a może i żaden człowiek w żadnym wieku – nie mogłaby unieść nawet przez godzinę. Lepiej odłożyć taki ciężar i niech poniesie go fala czasu.

Sen nie dał jej odpoczynku, miał tylko pomóc w zapomnieniu.

Obudziła ją matka.

– No, śpiochu, rusz się. Idziemy na śniadanie, a potem do kina.

Z kołdrą naciągniętą pod brodę Bibi odpowiedziała:

– Nie chcę. Czytałam całą noc. – Było to kłamstwo, ale niezbyt poważne. – Idźcie beze mnie. W kuchni zostało trochę kurczaka. Zrobię sobie wielką kanapkę.

Wzięła książkę z szafki przy łóżku, gdzie zawsze była pod ręką przynajmniej jedna powieść. Nancy odczytała tytuł:

– *Tajna wojna w ogrodzie*. Ale ciekawa, co?

– Mhmmm – potwierdziła Bibi.

Wyobrażając sobie, że są wolnymi duchami, swobodnymi dziećmi natury, rodzice zachęcali córkę do niezależności i samostanowienia. Nigdy by jej nie zbesztali za czytanie długo w nocy czy oglądanie jakichś głupot w telewizji.

– Film jest podobno strasznie śmieszny – mówiła Nancy. – Nowa komedia z Adamem Sandlerem.

Podkreślając swe wyczerpanie zamknięciem oczu, leniwym wydęciem warg i tonem zmęczonego zniecierpliwienia, Bibi oświadczyła:

– On nie jest śmieszny.

– Czyli jesteś za duża na Adama Sandlera, co?

– O wiele.

– Moja córka, koneser z piątej klasy. No dobrze. Tylko nie idź

sama surfować.

– Przecież nigdy nie chodzę. Zresztą jest za zimno.

Leżała w łóżku jeszcze kwadrans, żeby mieć pewność, że rodzice już wyszli.

Po chwili, gdy siedziała przy stole w kuchni, kończąc śniadanie złożone z czekoladowego mleka i gofrów Eggo posmarowanych masłem orzechowym, zaczęła drzeć, a potem trząść się w nieopanowany sposób, jakby naraz poluzowały się zawiasy wszystkich kości jej ciała. Nie zastanawiała się nad przyczynami. Nie chciała ich znać. Nie chodziło o ducha, prawdziwego czy wyobrazonego. Duchy nie mogły jej skrzywdzić. Nawet gdyby na strychu zobaczyła ducha, najprawdopodobniej nigdy by się to nie powtórzyło. Duchy nie pojawiają się co dzień, zlatując się stadkami jak wróble czy szybujące w niebo skowronki. Jeśli pod dachem wydarzyło się coś innego, jakaś chwila intuicji czy objawienia, było to tak mało ważne, że wyparowało z pamięci w czasie snu, zanim matka ją obudziła. Wmawiała sobie, że ma zwyczajne dreszcze. To wszystko tłumaczyło.

Nie dojadając kilku ostatnich kęsów, przeszła do salonu i pilotem uruchomiła gazowy kominek. Z rękami w kieszeniach dzinsów stała przy ogniu, rozkoszując się ciepłem, wpatrując w błękitno-żółte płomienie, które lizały ceramiczne bierwiona. Czasami w letni dzień lubiła szukać zwierząt i twarzy w kształtach chmur. Ogień był zbyt szybki i płynny, żeby odczytywać w nim podobieństwo do innych istot, i to było dobre.

Gdy dreszcze minęły, postanowiła przejść się Ocean Avenue do parku i posiedzieć na ławce na Inspiration Point, nawet jeśli mgła nadal zasłaniała Pacyfik. Morze zawsze ją uspokajało. Wystarczyły aromat i spokojny odgłos fal uderzających w skały i rozbryzgujących się po piachu. Ale ledwie wyszła na ganek przed domem i nie zdążyła nawet zamknąć drzwi, niespodziewanie zalała się łzami. Nie należała do dziewcząt

płaczących przy ludziach, więc wróciła do środka.

Nie miała ochoty na zrozumienie tego nieprzyjemnego uczucia, tak samo jak przedtem nie chciało jej się analizować przyczyn drgawek. Chciała jedynie przestać płakać, powstrzymać przyływ łez, nim przyniesie powód tego żalu, jeżeli był to żal, czy trwogi, jeśli była to trwoga. Gdy zorientowała się, że płacz może być równie uparty jak drzenie, pobiegła po jedyne lekarstwo, które naprawdę leczyło z nieprzyjemnych stanów: książkę.

Matce co prawda zdawało się, że Bibi całą noc czytała *Tajną wojnę w ogrodzie*, trzecią z ukochanej serii fantasy dla młodych dorosłych, ale faktycznie jeszcze jej nie zaczęła. Teraz zabrała ją z szafki przy łóżku i pobiegła do salonu, zapaliła stojącą lampę, opadła na fotel i szukała ratunku w opowieści: *Pierwsze pogłoski o wojnie przyniosły polne myszy, które co dzień wędrowały od ogrodu za domem Jensenów do położonego niżej świata, o wiele większego niż nasz i ciągle nieznanego ludziom, choć znanego niektórym dzieciom.*

Z początku Bibi musiała wycierać zalaną łzami twarz rękawem bluzy. Jednak wkrótce rozmazany druk stał się prosty i oczy przestały płatać nić opowieści.

I w ten sposób godzina za godziną, dzień po dniu oddalała się od niepokojącej wiedzy, o której chciała zapomnieć. Upiorne przeżycia na strychu zamieniały się w zjawę bądź przywidzenie. Odrzuciła świadomość, którą przyniósł incydent, wycięła ją z tkanki pamięci i zaszyła tak powstałą dziurę – a przynajmniej tak jej się wydawało.

Czytała książki i pisała o Jasperze, szaroburym psie porzuconym przez pana i szukającym nowego domu na kalifornijskim wybrzeżu. Gdy po kilku tygodniach z deszczu wyłonił się golden retriever, zatrzymała go i nazwała Olafem. Jak zwykle u dzieci, pies stał się jej powiernikiem, któremu zwierzała się ze wszystkich tajemnic – na ile potrafiła. Opowiedziała mu o Kapitanie, o tym, jaki był cudowny.

Opowiedziała Olafowi, że mieszkanie nad garażem jest złym miejscem, ale nie wyjaśniła, dlaczego.

## **Wizyta lekarza**

Bibi spakowała pidżamę i szlafrok do torebki z troczkiem i założyła dzinsy i koszulkę z długim rękawem, w których Nancy przywiozła ją do szpitala. W ten sposób dawała wyraz przekonaniu, że nastąpiła remisja raka mózgu, że glejak nie tylko się zmniejszył, ale i całkowicie zniknął.

Gdy doktor Sanjay Chandra wszedł na salę, Bibi chodziła w tę i z powrotem nie dlatego, żeby ukoić rozdygotane nerwy, tylko z niecierpliwości, by jak najszybciej wrócić do świata żywych i zdrowych. Na jej widok przystanął i miał tak pełen namaszczenia wyraz twarzy, że coś stanęło jej w gardle, jakby próbowała przełknąć duży kęs mięsa bez pogryzienia go – choć niczego nie jadła.

Coś, co zdawało się namaszczeniem bądź smutkiem z powodu wieści, jakie musiał przekazać, okazało się jednak podziwem zmieszanym z szacunkiem.

– Całe lata praktyki, całe moje życie nie przygotowały mnie na coś *takiego*. Nie umiem tego wytłumaczyć, Bibi. To niemożliwe, ale jesteś zupełnie wyleczona z raka.

Dzień wcześniej Nancy mówiła, że doktor Chandra kojarzy jej się z Cookiem, piernikiem ozywającym w starej książce dla dzieci, którą czytała pięcioletniej Bibi. Podobieństwo brało się raczej z kaprysu Nancy niż z faktów, a z pewnością nie było na tyle wyraźne, by jakieś wredne czasopismo połączyło zdjęcia doktora Chandry i Cookiego w artykule *Rozdzieleni przy*

*narodzinach*. Mimo to wszystkie cechy lekarza – chłopięca twarz, oczy jak czekoladowe dropsy, melodyjny głos, pokora i urok – sprawiały, że chciała go polubić. Po potwierdzeniu remisji *uwielbiała* go. Wpadła mu w ramiona jak w objęcia ukochanego ojca.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję – powtarzała, ucieszona, a zarazem wstydząca się własnego uniesienia.

Przytulił ją, a potem odsunął, trzymając ręce na jej barkach, szeroko uśmiechnięty i wolno kręcąc głową, jak gdyby nie mógł wyjść z podziwu.

– Pierwsza diagnoza nie była błędna. Naprawdę miałaś glejakowość mózgu.

– Na pewno. Wiem.

– Inne guzy potrafią pękać i są wchłaniane, a remisja bywa zaskakująco szybka. Nie jest to na porządku dziennym, lecz się zdarza. Z wyjątkiem tego raka. Tego okropieństwa. Zapraszam cię na wizyty kontrolne. Mnóstwo kontroli.

– Oczywiście.

– Onkolodzy specjalizujący się w glejakach będą chcieli uczynić z ciebie przedmiot swoich badań.

– Przedmiot badań? Sama nie wiem. Wolałabym nie.

– Co sprawiło, że niemożliwe stało się możliwe? Czy to jest kwestia genetyki? Chemiczny wybryk organizmu? Sprawniejszy układ odpornościowy? Badania nad tobą mogłyby uratować niezliczonych pacjentów.

Zawstydziła się nieodpowiedzialnego popłochu na myśl o zostaniu przedmiotem badań.

– Skoro ujmuje pan to w taki sposób...

– Właśnie tak. – Puścił jej ramiona. Na twarzy znów malowało mu się zdumienie. – Gdy wczoraj powiedziałem, że masz przed sobą najwyżej rok życia, odpowiedziałaś: „Zobaczymy”. Pamiętasz?

– Tak.

– Jakbyś już wtedy wiedziała, że dzisiaj wrócisz do domu.

## **29**

### ***Niezdrowy świąd intuicji***

Nancy i Murphy wybierali się w długie odwiedziny na godzinę czwartą. Bibi nie zadzwoniła, aby im opowiedzieć, co zdarzyło się w nocy, ani z wieścią o cudownym ułaskawieniu. Chociaż *wiedziała*, że wróciła do zdrowia, nie chciała otwierać szampana, mówiąc w przenośni, do czasu potwierdzenia tego przez doktora Chandrę. Poza tym chciała zobaczyć ich zaskoczenie, niedowierzanie, radość, gdy wejdą na salę i zobaczą ją w codziennym ubraniu, jak zwykle tętniącą życiem.

Kwadrans przed porą przyjazdu rodziców przez otwarte drzwi zajrzał Chubb Coy, szef ochrony. Bładoniebieska koszula z pagonami wyglądała na świeżą, a granatowe spodnie miały ostry kant.

– Ma pani chwilkę? – spytał.

Bibi wstała z krzesła przy oknie.

– Nagle zostało mi milion chwil.

Nie odwzajemniając uśmiechu, Coy wszedł.

– Od naszej rozmowy przelecieliśmy nagrania z parkingu za ostatnią dobę. Ani śladu pana Kaptura. I golden retrievera. Wygląda na to, że nie przyjechali tutaj samochodem i nie przyszli piechotą, a ja nie jestem z takich, co wierzą w teleportację. A pani? Wierzy pani w teleportację?

– Co? Nie. Oczywiście, że nie.

– Dlatego zastanawiam się, czy nie pojawili się tu wcześniej i nie ukrywają na terenie szpitala.

– Niby po co?

– A skąd mam wiedzieć? – Wzruszył bezradnie ramionami, udając przez chwilę, że nie ma swoich podejrzeń. – Przeszukaliśmy cały teren. I nic. *Nada. Nul.* – Stał obok niej przy oknie. Odchylił głowę. Przypatrywał się niebu. – Czuję się w tej sytuacji jak idiota, wie pani? Dlatego oglądałem ten sam kawałek filmu, aż zauważyłem coś dziwnego. Jak pani sądzi, co?

– Nie mam pojęcia.

Stojąc ciągle przy oknie, tyłem do niej, Chubb Coy powiedział:

– Gościa z psem mijają dwie osoby, które idą w przeciwną stronę. Pielęgniarka. Potem sanitariusz. Żadne nie spogląda na pana Kaptura. To osobliwe, nie? O tej porze, w kapturze – i w ogóle nie zwracają uwagi? Ale co dziwniejsze, mamy tutaj o czwartej nad ranem pięknego psa i na niego również nie patrzą. Gdy ludzie widzą pięknego psa, przypatrują mu się, uśmiechają. Chcą pogłaskać, pytają, jak się wabi. Pielęgniarka i sanitariusz nie mają teraz dyżuru, więc do nich zadzwoniłem. Oboje zarzekają się, że nie było żadnego psa. Są pewni. Nie widzieli na korytarzu żadnego psa. Wie pani, co mnie teraz zastanawia?

– Nie mam bladego pojęcia, ale na pewno mi pan powie.

Odwrócił się w jej stronę.

– Nie wiem, jak to możliwe, ale dłubanie przy cyfrowych zapisach dźwięku i obrazu daje dziś nieograniczone możliwości. Dlatego zastanawiam się, czy jakiś haker nie włamał się do archiwów ochrony i nie wstawił tam jakimś cudem pana Kaptura z psem, przez co znaleźli się tam, gdzie nigdy ich nie było.

Zmieszana Bibi zapytała:

– Kto robiłby sobie tyle kłopotu? I po co?

Zamiast odpowiedzi, Chubb Coy ciągnął:

– Oglądałem to ze sto razy i ciągle nie widzę niczego podejrzanego. Gość z psem są widoczni tak samo wyraźnie jak



pielęgniarka i sanitariusz. Światło odbija się od nich dokładnie tak samo jak od innych ludzi na filmie. Ale nie jestem specjalistą. Ekspert pierwszej klasy, uznany analityk, powinien umieć udowodnić, że to fałszerstwo.

– Tyle że zapomniał pan o jednym – upomniała go Bibi. – Widziałam ich. Mężczyznę i psa. Weszli na moją salę. Pies stał na tylnych łapach, przednie oparł na łóżku. Śliczne, świetliste, złote oczy. Polizał mnie po rękę. – Podniosła lewą dłoń, jakby między palcami zostały jeszcze resztki rozstrzygającego wszystko DNA golden retrievera.

Stalowoszare oczy szefa ochrony służyły mu jak skalpel chirurgowi. Ostre i bezpośrednie spojrzenie chciało przeniknąć jej myśli, z niezwykłą delikatnością obedrzyć je z kolejnych warstw obrazu w poszukiwaniu najbardziej wymyślnego matactwa, subtelnego sygnału, który zada kłam wszystkiemu, co słyszał.

– Może i dzisiaj – powiedział starannie pozbawionym emocji głosem – jestem zwykłym ochroniarzem w dość szanowanej instytucji, ale kiedyś byłem prawdziwym gliną i nadal mam niezawodny instynkt.

Patrząc na niego z coraz większym zdumieniem i niepokojem, Bibi spytała:

- O co panu chodzi?
- O nic, panno Blair.
- Że niby jestem podejrzana?

Uniósł brwi i otworzył szeroko oczy, niezbyt przekonująco udając zaskoczenie, jakby źle zrozumiała jego słowa i wyciągnęła z nich wnioski, które jemu nie mieściły się w głowie.

– Że niby co zrobiłam? – zapytała, nie urażona ani zła, raczej rozbawiona i zbita z pantałyku. – Symulowałam, że mam raka? Nabrałam aparat do rezonansu? Oszukałam wszystkich lekarzy? Czy to ma jakiś sens?

Gdyby nie świeża jeszcze, wszechogarniająca radość z powodu

uzdrowienia, szeroki uśmiech ochroniarza wkurzyłby ją.

– Ten instynkt gliniarza, panno Blair, swędzi jak trujący bluszcz. Swędzi bez przerwy, nie da się tego zignorować, a ulgę przyniesie tylko porządne podrapanie się.

Z tymi słowami, które Bibi uznała za zapowiedź albo nawet groźbę, Chubb Coy ruszył do drzwi.

– Niech pan spróbuje płynu z kalaminem. Dziwnie pachnie i jest różowy jak dla pań, za to uśmierza swędzenie.

Coy wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Stłumiony chichot, który wyrwał się Bibi, nie był zbyt nerwowy.

– Wariat.

## ***Dumny zdobywca dziesięciu tysięcy głów***

Przez cały pierwszy dzień na dachu dwupiętrowej budowli żołnierze oddziału Navy SEALs obserwowali wymarłe miasteczko przez peryskopowe kamery z przeciwodblaskowymi obiektywami powiększającymi, dzięki którym promienie słońca odbijające się od szkła nie powinny zdradzić ich obecności. Obrazy przesyłane na ekrany były proste, jasne i nudne. Gdy słońce przesunęło się bardziej na zachód, choć nie stanęło jeszcze za plecami Paxtona i jego ludzi, odważyli się wychynąć zza muru i przyjrzeć miastu: ponurej, szaropiaskowej mieszaninie budynków bez charakteru, tynku z dziurami po kulach, spękanego i kruszącego się betonu i żelaznych bram zwisających bez sensu na zerwanych zawiasach, przysypanej gruzami.

Ich cel, duch o nazwisku Abdullah Al-Ghazali, zagrzebał się gdzieś w tym posępnym rumowisku z sześcioma poplecznikami, autentycznymi wyznawcami, wśród których znajdowały się prawdopodobnie dwie kobiety. Być może postanowił ukryć się w tym mieście, którego ludność wyrznął siedemnaście miesięcy temu, bo uznał, że nikomu nie przyjdzie do głowy szukać go właśnie tutaj, a może dlatego, że lubił atmosferę rzeźni, wspomnienia ohydnych aktów okrucieństwa i straszliwej przemocy, w których się lubował. Paxton badał kulturę, która kształtowała takich ludzi, lecz nawet lata studiów nie pozwoliły mu zrozumieć, dlaczego tacy osobnicy zaczynają uwielbiać

śmierć i nienawidzić wszystkiego, co kocha reszta ludzkości.

Jako zwolennik równości Duch mordował nie tylko żydów, chrześcijan, hindusów i niewierzących, lecz także Arabów z innych plemion czy muzułmanów, których uważał za mniej czystych. Utrzymywał, że zabił – lub nakazał zabicie – dziesięć tysięcy ludzi, a większość specjalistów traktowała tę liczbę jako zaniżoną.

Zwykle bezkarnie przemieszczał się przez kraje będące pod wrażeniem jego barbarzyństwa, ale zmieniło się to w październiku zeszłego roku. Mimo istnienia Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, spisów osób z zakazem wstępu do samolotów i kontroli każdego rodzaju transportu w całym kraju, przedostał się do Stanów, zmobilizował dziesięć uśpionych komórek, zaplanował dwa ataki – jednym dowodził – na centra handlowe i zamordował trzysta siedemnaście osób. Większość jego współspiskowców zginęła albo została zatrzymana, lecz on uciekł ze Stanów Zjednoczonych, a wtedy okazało się, że za dużo przeszkrobał i monarchie i pseudodemokracje, które kiedyś zapewniały mu w razie potrzeby darmowe wille, już go u siebie nie chcą.

Pax, Danny, Gibb i Perry mieli wymierzyć sprawiedliwość, co w tym wypadku nie wymagało sądu i ławy przysięgłych. Chcieli jak najszybciej załatwić sprawę i wracać do domu. Drażniło ich, że muszą się ukrywać i czekać, aż cel sam się ujawni, zamiast ruszyć śmiało na poszukiwania.

Późnym popołudniem kilka domów dalej po drugiej stronie ulicy na płaskim dachu z balustradą pojawił się mężczyzna. Szarość stroju, która miała się zlewać z otaczających go betonem, była żalosnym kamuflażem. Na szyi miał zawieszoną lornetkę. Żołnierze błyskawicznie odłożyli swoje binokulary i schowali się.

Perry uniósł kamerę na statywie tak, że dyskretnie wystawała zza muru. Przyrząd był tak mały, że prawdopodobieństwo dostrzeżenia go przez wartownika było niewielkie. Perry i Pax

leżeli, mając pomiędzy sobą ekran i przyglądając się powiększonemu obrazowi terrorysty. To nie Abdullah. Jeden z jego przydupasów. Zapalił papierosa, dwukrotnie się zaciągnął i podniósł lornetkę, by obejrzeć miejsce, w którym jak szczury ukryli się z towarzyszami.

Gibb i Danny ustawili drugą kamerę i przysunęli się do swojego monitora. Czterech ludzi przyglądających się scenie i analizujących zachowanie palacza to lepsze niż dwóch. Każdy może zauważyć kluczowy szczegół, który umknął innym. Pax już na wstępie pomyślał sobie, że sześć celów musi się czuć bezpiecznie, skoro jeden wychodził tylko co jakiś czas, by pobieżnie zlustrować miasto. Być może stracili czujność, bo jarali porządną trawę, co wśród tych abstynentów zdarzało się często. Masowe mordowanie jest stresujące. Przecież musieli się *jakoś* wyluzować.

Trzystu siedemnastu klientów na zakupach. Dziesięć tysięcy trupów. Gdy w Libii rządził jeszcze Mu'ammar al-Kaddafi, Duch w położonej tam willi udzielił amerykańskiej telewizji wywiadu, w którym powiedział – po wygłoszeniu zwyczajowych haseł propagandowych – że w jednej ze swych rezydencji trzyma małą kolekcję ściętych głów. Głowy te, oświadczył z typowym dla siebie szyderstwem, były jak książki na półce, każda opowiadała historię. Żałował, że nie ma biblioteki zdolnej pomieścić dziesięć tysięcy.

W ciągu dnia Pax często myślał o Bibi, martwił się o nią, zastanawiał nad jej żywym obrazem, który pojawił się przed oczyma jego duszy w nocy. Teraz skryła się w bardziej odległym zakątku jego myśli.

Trzeba było wykonać zadanie. Wraz z chłopakami zrobią to, jak najlepiej się da, i to z wielką chęcią.

# **31**

## ***Odbija w najmniej spodziewanym momencie***

Nancy i Murphy nie wiedzieli, czy się śmiać czy płakać, i jak zwykle, gdy byli rozdierani przez sprzeczne emocje, ulegali im wszystkim, lejąc a to łzy radości, a to łzy zraszające ogródek lęków o to, co mogłoby się zdarzyć. Narobili wokół siebie tyle hałasu, że na salę weszła pielęgniarka i grzecznie ich upomniała, że inni pacjenci potrzebują spokoju i odpoczynku.

Gdy tylko Bibi dostała wypis, rodzice poprowadzili ją korytarzem do windy, stamtąd do holu i na parking, często gadając przy tym na wyścigi. Mieli tysiące pytań i chcieli wszystko wiedzieć, lecz nie umieli się powstrzymać, by nie przerywać jej uściskami i pocałunkami, i okrzykami ulgi, czasami wyrażanej w gwarze surferskiej – „epicki, boski, przenajświętszy, szklisty, stylowy dzień” – co pierwszy raz zabrzmiało nie na miejscu, jakby flirt córki ze Śmiercią kazał im rozpaczliwie tęsknić za młodością.

Kolacja musiała być specjalnym, hucznym świętem na wieczną pamiątkę niemożliwego, które stało się możliwe. Bibi wiedziała aż za dobrze, co to oznacza: najlepsza knajpa z żarciem meksykańskim i burgerami w mieście, gdzie wszystko jest podane z serem i superpikantnymi przyprawami, za dużo butelek lodowatej corony, za dużo setek tequili. Ale przystała na ten plan, bo była głodna, szczęśliwa, unosiła ją fala zdumienia, a w dodatku kochała mamę i tatę. Zawsze byli mili

i zabawni. I nie byli alkoholikami, tylko pijakami na specjalne okazje, które zdarzały się mniej więcej co miesiąc.

Przy kolacji Nancy szepnęła coś do ucha Murphy'emu i odeszła na dziesięć minut od stolika. Gdy wróciła, rozchichotana, Murphy także coś jej szepnął i zniknął na chwilę. Wyraźnie coś knuli i Bibi już zaczynała się bać, co takiego wymyślili. Byli szczodrzy i mądrzy, lecz nadmiar wrażeń i alkoholu bywał złym doradcą, o czym przekonała się już nieraz, dostając zupełnie nieodpowiednie prezenty.

Z okazji wyjścia drukiem pierwszej powieści obdarowali Bibi zakazanym prawnie tygrysiątkiem, co wydało im się sensowne, skoro jeden z wielkich kotów odgrywał ważną rolę w tej książce. Oczywiście zwróciła się do urzędu ochrony zwierząt, udała, że znalazła malca w parku, i dopilnowała, by tygrys znalazł się w jak najlepszym schronisku dla zwierząt egzotycznych.

Nie miała ochoty na kolejnego tygrysa albo, broń Boże, słonia, ale nic nie mówiła, bo jej słowa nic by nie dały, gdy już wybrali „prezent doskonały”. Rodzicom umiało naprawdę odbić w najmniej spodziewanym momencie.

Bibi wypła kroplę piwa i unikała tequili, jednocześnie wmawiając Nancy i Murphy'emu, że dotrzymuje im tempa. Teraz uparła się, że nie mogą jej zawieźć do domu: to ona zawiezie ich, a rano odprowadzi bmw. Tulili się do siebie z tyłu samochodu, jakby byli nastolatkami.

Ich usiłowania rozplątania gęstwiny kończyn i wydobycia się z auta przed domem w Corona del Mar godne były najlepszych numerów cyrku braci Ringling, polegających na próbach wydostania się z maszyny żartów wielkości traktorka do koszenia trawy. Nancy zrobiła sobie przerwę w występie i powiedziała:

- Gdy wrócisz do domu, aniołku, po prostu idź na całość.
- W jakim sensie?
- Zobaczysz – odparł tata, uśmiechnięty od ucha do ucha.
- O, nie. Nie spodziewałam się tego już dzisiaj.

- Tego ci właśnie trzeba – zapewnił ją Murphy.
- Przede wszystkim potrzebuję gorącej kąpieli i ciepłego łóżka.
- Nazywa się Calida Butterfly.
- Kto?

Zamknął drzwi i wychylił się, uśmiechając się do Bibi przez okno od strony pasażera. Oboje machali rękami i posyłali całusy, jakby jeszcze dzień wcześniej nie umierała, jak gdyby miała osiemnaście lat i wyjeżdżała do college'u. *Będzie, jak ma być*, a wyszło coś na podobieństwo cudu. Nawet gdyby zmiana na dobre okazała się niemożliwa i niewytłumaczalna, Nancy i Murphy nazajutrz rano zapomnieliby o niedawnych stresach i niepokojach, nie traciliby mentalnej energii na szukanie przyczyn i rozważanie odmiennych scenariuszy. Wzięliby deski i ruszyli na plażę, i na swój sposób szanowaliby los, nie myśląc o nim do czasu, gdy spadnie na nich kolejne nieoczekiwane nieszczęście.

W drodze do domu Bibi powtarzała sobie, że po odebraniu jej i wyrzuceniu biletu na przeprawę przez Styks winna być wdzięczna za każdy oddech i z cierpliwością przyjmować każde zdarzenie nie po jej myśli. Łatwo powiedzieć, gdy niejaka Calida Butterfly czeka na ciebie z tym, czego podobno najbardziej potrzebujesz.

Stała na jednym z dwóch miejsc parkingowych przypisanych do swojego mieszkania i zgasła światła, nie wyłączając jednak silnika. Zastanawiała się, czy nie opuścić odrobinę szyb, żeby wpuścić powietrze, i nie przenocować w wozie. Dziecinny pomysł. Nie zachowywała się jak dziecko nawet w czasach dzieciństwa. Zgasła silnik, ale własna dojrzałość nie sprawiła jej satysfakcji.

Na podwórku kompleksu mieszkań, w napiętej ciszy nocy, paprocie i palmy pozostawały w bezruchu jak rośliny w dioramie. Smugi pary unosiły się i rozprasały nad podgrzewanym, zalany dziwnym blaskiem basenem, w którym młody człowiek sprawnie jak pstrąg i bez wysiłku



pokonywał kolejne długości, z ramionami przecinającymi wodę z bardzo dyskretnym pluskiem.

Bibi z torebką na troczek i laptopem weszła na otwarte żelazne schody, którymi wchodziło się na drugie piętro. Drzwi jej mieszkania stały otworem. Salon za krótkim przedpokojem zdobiły kosztowne bukiety czerwonych i białych róż, jak gdyby miał się zacząć ślub, a świece w szklanych wazach, stojące na każdym miejscu wolnym od kwiatów, rzucały drżący blask.

Bibi stała niepewnie w przedpokoju, gdy z prawej strony zjawiała się kobieta. Miała na sobie białe buty na płaskim obcasie, luźne białe spodnie i białą bluzkę z krótkimi rękawami. Można byłoby wziąć ją za fizjoterapeutkę czy asystentkę stomatologa, gdyby nie szarfa z błękitnego jedwabiu, którą była przepasana, jedwabny szal ze złotą gwiazdą na niebieskim polu, duże srebrne kolczyki, trzy kręgi różnej wielkości na każdym uchu, i tyle wyglądających na drogą bransoletkę i pierścionków, że wystarczyłoby na wyposażenie sklepu jubilerskiego. Typ amazonki. Pięć stóp i dziesięć cali. Może sześć stóp. Imponująca, lecz kobieca, o twarzy Greta Garbo z domieszką Nicole Kidman. Miała około czterdziestu lat, czystą, gładką skórę, blond włosy uczesane na pazia i oczy niebieskie, zielone bądź srebrnoszare w zależności od kąta padania blasku świec.

Głosem lekko chrapliwym, a jednocześnie melodyjnym, odezwała się:

– Jestem Calida Butterfly. Witaj w pierwszym dniu nowego życia.

Gdyby rodzice nie byli pod pewnymi względami bardziej tradycyjni, niż im się zdawało, gdyby ich ukochana i w pewnym sensie libertariańska kultura surferska akceptowała związek osób tej samej płci, Bibi mogłaby sobie pomyśleć, że ich prezent okaże się wprowadzeniem w świat lesbijski.

Lecz oczywiście chodziło o coś zupełnie innego. Miała dowiedzieć się, dlaczego przeżyła raka mózgu.

## **II**

*Dziewczyna z misją, dziewczyna uciekająca*

## **32**

### ***Solange St. Croix i efekt motyla***

Calida Butterfly podróżowała ze składanym stolikiem do masażu i walizeczką ze strusiej skóry. Walizka składała się z dwóch części i była otwierana z dwóch stron. Jedna połowa zawierała płyny, olejki i artykuły potrzebne do masażu, druga rzeczy użyteczne w jej drugim zajęciu, którego nie chciała ujawnić przed zakończeniem pracy nad napiętymi, sztywnymi mięśniami Bibi.

– Jeżeli zastanawiasz się, co dalej – oznajmiła Calida – nie odczuwasz w pełni działania masażu.

– Jeżeli zastanawiam się, co dalej i czemu jesteś taka tajemnicza – odparowała Bibi – nie mogę się rozluźnić.

– Jako pisarka jesteś pewnie przyzwyczajona do bycia dyktatorką, do nakazywania postaciom, co mają robić.

– To tak nie działa.

– Dobrze. Ze mną też tak nie działa – oświadczyła, zdejmując pierścionki i bransoletki. – A teraz grzecznie się połóż.

Z piersiami okrytymi ręcznikiem, w samych majtkach, Bibi wykonała polecenie. Wstyd szybko przeszedł dzięki bezceremonialnemu, lecz spokojnemu postępowaniu Calidy. Pozostał jednak pewien niepokój, którego przyczyn nie znała. Może to jeszcze ślady strachu przed rakiem, już nieaktualnym zmartwieniem.

W stoliku wycięty był otwór na twarz, tak że patrzyła na dywan, gdzie refleksy blasku świec przepływały i marszczyły się

niemal jak woda.

– To ty przyniosłaś te wszystkie świece i róże? – spytała Bibi, czekając na początek masowania.

– Nie, skąd. Twój rodzice poprosili, żebym zamówiła dostawę tuż przed twoim przyjazdem. Potrafię wszystko sprawnie zorganizować.

– Jak?

– Mam współpracowników. To zastrzeżone informacje. A teraz – cicho sza!

Calida włączyła iPoda. Israel Kamakawiwo'ole, posiadający jeden z najcieplejszych głosów, jakie kiedykolwiek zarejestrowano, zaczął śpiewać kojący miks *Somewhere over the Rainbow* i *What a Wonderful World*.

– Jak się tutaj dostałaś?

– Twoja mama ma zapasowy klucz, tak? Zostawiła go dla mnie w kopercie u właścicielki restauracji.

Mniej więcej pięć sekund po pierwszym dotyku Bibi uświadomiła sobie, że Calida Butterfly ma ręce czarodziejki.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Czy ty nie umiesz leżeć cicho, dziewczyno? Po prostu leż i daj się unieść.

– Czemu?

– Czemukolwiek, gdziekolwiek. A teraz cicho, bo zakleję ci usta taśmą.

– Nie mów.

– Nie kuś. Nie jestem pierwszą lepszą masażystką.

Mimo lekkiego niepokoju Bibi poddała się jej zabiegom. Dała się zahipnotyzować oczkom i falom blasku świec na dywanie.

Zaczynała gdzieś wędrować myślami, gdy nagle naszło ją pytanie, czy masująca ją kobieta jest naprawdę Calidą Butterfly. Ktoś mógł obezwładnić, a nawet zabić prawdziwą Calidę i zająć jej miejsce, żeby...

Żeby co? Nie. To byłby kiepski zwrot w fabule powieści. Konstrukcja słabego thrillera. Albo filmu z jękami skrzypiec

i wyciem najnowszej gwiazdy popu, naśladowującej młodą Jamie Lee Curtis.

Fale i zmarszczki światła. Muzyka. Czarodziejskie dłonie Calidy. Po chwili Bibi znowu unosiła się, odpływała gdzieś, donikąd.

Gdzieś. Supermarket Gelson's. Kolejka do kasy ekspresowej. Siedem miesięcy po rzuceniu studiów.

Bibi dziwiło, że wspomnienia z udziałem doktor Solange St. Croix – w sumie dość stare – nawiedzają ją drugi raz w ciągu dwóch dni.



Tamtego popołudnia przed trzema laty wstąpiła do sklepu po sałatę, kilka dojrzałych, ale twardych pomidorów, rzodkiewki i seler. Niosąc wszystko w koszyku, poznała swoją dawną panią profesor, która stała ostatnia w kolejce do kasy szybkiej obsługi.

W pierwszym odruchu chciała się cofnąć i przejść jeszcze po kilku alejkach, chociaż niczego już nie potrzebowała, odczekać tyle czasu, by matka święta kursu pisania zrobiła zakupy i wyszła. Ale tamto spotkanie w jej minimalistycznym gabinecie z nie całkiem wypełnionymi regałami na książki pozostawiło niezagojoną ranę na ego Bibi. Umiała stawiać opór, ale nigdy ośli, zawsze mając uzasadnione powody. Wtedy jednak wycofała się z nietypową dla siebie słabością, wstrząśnięta i wytrącona z równowagi niezrozumiałą wściekłością wykładowczyni. Gdyby się teraz cofnęła, schowała między pieczywem, byłby to drugi cios dla poczucia własnej wartości, tym razem zasłużony.

Mówiąc szczerze, był jeszcze jeden powód. W ciągu siedmiu miesięcy od zakończenia studiów i zamieszkania u rodziców napisała sześć opowiadań. Trzy zostały przyjęte do druku: w „The Antioch Review”, „Grancie” i „Prairie Schooner”. Taka płodność i ciepłe przyjęcie były niezwykle w przypadku

niespełna dziewiętnastoletniej pisarki. W jednym z mniejszych zakątków serca Bibi czuła niegodną siebie chęć opowiedzenia dawnej nauczycielce o swoim powodzeniu.

Stała w kolejce za nią, upominając się, że nie wolno się narzucać, trzeba poczekać, aż tamta zwróci na nią uwagę. Nie będzie opowiadać o swoim farcie złośliwym tonem. Siłać się na szczerłość, *podziękuje* pani profesor za wszystko, czego nauczyła się przez tamte trzy miesiące, jak gdyby przegnanie ze studiów było cenną przysługą, uświadomiło jej własne wady i wyostrzyło literacki smak. Jej przekonująca pokora i prostoduszność odbiorą Solange St. Croix mowę.

Koszyk nauczycielki zawierał pięć artykułów i gdy przyszła pora wyładowania ich na taśmę, odwróciła się w lewą stronę. Ujrzała Bibi kątem oka i popatrzyła na nią z niemal zabawnym wyrazem zaskoczenia.

Chyba miała na sobie ten sam strój co owego dnia w gabinecie, gdy zionęła ogniem: szyty na miarę żakiet bez wyrazu i bluzkę szarozielonej barwy uschłych wodorostów. Siwiejące włosy związane w kok, twarz bez makijażu i niebieskie oczy zdolne zmrozić przeciwnika w starciu z mityczną Meduzą.

Bibi nie zdążyła wymówić słowa, gdy wykładowczyni syknęła:

– Bezczelna suka! – Bryzgając śliną, z twarzą wykrzywioną mieszaniną złości i strachu dodała: – Chodzisz za mną, śledzisz mnie! – Bibi nie miała szansy na zaprzeczenie, bo kobieta nie przestawała: – Zadzwońię po policję, nie myśl sobie, niech wydadzą ci zakaz zbliżania się do mnie, ty cholerna wariatko! – W potoku następujących po tym inwektyw powtarzały się wszystkie słowa na zakazane litery i trudno byłoby zdecydować, czy na skali Richtera jej uczuć wyższy poziom osiągała furia czy autentyczne przerażenie. – Zabierzcie ją ode mnie, pomocy, *niech ona sobie stąd pójdzie!*

W kolejce za Bibi stało trzech klientów, co utrudniało sprawne wycofanie się. Być może wiedzieli, kim jest szanowna pani

profesor, a może mimo przekleństw wyglądała jak Bogu ducha winna wdowa i to skłoniło ich do stanięcia po jej stronie. Klienci, sprzedawcy i chłopcy do pakowania gapili się na Bibi z rozdziawionymi ustami, jak gdyby wyrzuciła bezbronnej staruszce krzywdę, która, mimo że żaden nie był jej świadkiem, musiała być w najwyższym stopniu złośliwa. Gdy St. Croix wciąż wzywała pomocy i przestrzegała wszystkich przed groźną napastniczką, Bibi wycofała się z kolejki i poszła w lewo przez sklep. Jak nigdy wyprowadzona z równowagi i zawstydzona, nie bardzo wiedziała, dokąd idzie – do chwili, gdy postawiła koszyk z warzywami na wystawie z puszek coca-coli, przeprosiła młodą matkę z dzieckiem, na których wpadła, i skierowała się do najbliższego wyjścia.



Więc tam ją zaniósł.

- Nagle cała stężałaś – zauważyła Calida Butterfly.
- Złe wspomnienie.
- Mężczyźni – stwierdziła masażystka, czyniąc błędne założenie. – Człowiek by ich powystrzelał, gdyby to było dozwolone.

Bibi nie pokazywała się w Gelson's przez rok, mimo że był to jej ulubiony sklep. Do dziś wyobrażała sobie co pewien czas, że jakiś pracownik ją poznaje i dla bezpieczeństwa trzyma się od niej z dala.

Od tamtej pory nie widziała się z doktor Solange St. Croix i miała nadzieję, że tak już pozostanie. Nie umiejąc wytłumaczyć sobie przyczyn osobliwego zachowania wykładowczyni, uznała, że to początki alzheimera.

Przeciąg poruszył promykami świec i przez pokój, który pachniał słodko różami, przelały się wirujące kaskady łagodnego, bursztynowego światła. Bibi powoli i głęboko oddychała, wypuszczając powietrze przez otwór w stole do

masażu.

– Tak lepiej – stwierdziła Calida. – Znacznie lepiej. – Po kilku chwilach oznajmiła: – Ta część już skończona, mała. Teraz dowiemy się, dlaczego nie zmarłaś na raka.



## *Czekanie na Niewłaściwych Ludzi*

Ubrana i przyjemnie rozluźniona Bibi otworzyła schłodzoną butelkę chardonnay, nalała dwa kieliszki i postawiła je na chromowym stoliku z czerwonym blatem z formiki.

Calida Butterfly przeniosła część świeczek z salonu i rozstawiła je na stole i blatach kuchennych, chcąc stworzyć odpowiedni nastrój do drugiego zadania, do którego została wynajęta.

Kładąc walizkę ze strusiej skóry na jednym z chromowo-winyłowych krzeseł, zapytała:

- Wiesz, co to jest wróżbiarstwo?
- Przepowiadanie przyszłości – odparła Bibi.
- Nie do końca. To również narzędzie odkrywania ukrytej wiedzy za pomocą nadprzyrodzonych środków.
- Jakiej ukrytej wiedzy?
- Każdej. – Calida otworzyła połowę walizki zawierającą przedmioty niezwiązane z masażem terapeutycznym.
- Nie wierzę w przepowiednie i tym podobne rzeczy.

Calida się nie obraziła i oznajmiła wesoło:

- Tak się składa, że nie musisz w to wierzyć, a ono i tak sobie istnieje.

W torbie Bibi zobaczyła między innymi SIG-Sauera P220, a może P226. Poznała tę broń, ponieważ P226 z komorą na amunicję dziewięćmilimetrową był standardowym wyposażeniem żołnierzy sił specjalnych. Paxton kupił sobie

P220 kaliber 0,45, który lepiej sprawdzał się w walce na bliską odległość. Obydwa pistolety były niemal identyczne.

Bibi miała swój własny P226, którym Paxton nauczył ją się posługiwać. Prezent zaręczynowy.

Niepokój w stosunku do Calidy, którego się wyzbyła, pojawił się na nowo.

– Pistolet? Po co?

Calida położyła go na stole.

– Wróżenie wytwarza psychiczny odpowiednik fal sejsmicznych albo uderzeniowych. Przeważająca większość ludzi nic nie odczuwa albo nie zdaje sobie sprawy z tego, co czuje. Ale niektórzy je wyczuwają – i czasem odnajdują źródło.

– Co za niektórzy?

– Niewłaściwi. Nie pytaj o nic więcej. Zazwyczaj mnie nie zaczepiają. Nauczyli się, że lepiej nie igrać z Calidą Butterfly.

Ekscentrycy i ich obsesje były świetnym materiałem na książkę, dlatego Bibi zapytała ze szczerym zainteresowaniem:

– Czy masz w tym pistolecie srebrne kule?

Biorąc z walizki buteleczkę alkoholu do smarowania, małą rolkę gazy szerokości cala i taśmę klejącą, Calida odpowiedziała:

– Nie wiedziałam, że jesteś z tych pisarzy, którzy kierują się stereotypami. Stara, dobra amerykańska amunicja zupełnie wystarczy.

Bibi usadowiła się na jednym z krzeseł, trzymając kieliszek wina w obu rękach.

– Jak się naprawdę nazywasz?

– Pewnie nie uwierzysz, ale Calida Butterfly.

– Na Calidę się zgodzę, ale kim byłaś, zanim zostałam motylem?

– No dobra, zapędziłaś mnie w kozi róg. Zanim zostałam Calidą Butterfly, byłam rzecz jasna Calidą Caterpillar<sup>[4]</sup>.

Masażystka i wróżbitka położyła obok alkoholu niewielką paczkę, dwukrotnie większą od pudełka zapalek reklamowych,

i znów zaczęła grzebać w swojej torbie. Bibi wyciągnęła rękę po ten kolejny przedmiot: zestaw igieł różnej wielkości. Odkładając go na miejsce, spytała:

– Co będziesz szyła?

– Ciało.

Taka odpowiedź prosiła się o jeszcze jedno pytanie, ale Bibi go nie zadała. Wrózenie, chociaż pozbawione sensu, przynajmniej powinno być zabawne. Ale sytuacja robiła się coraz bardziej dziwna, a nastrój mroczniejszy. Nancy i Murphy mieli różnych osobliwych znajomych, w większości jednak byli to nieszkodliwi surferzy, zalewani, ścigani i doszczętnie splukiwani przez mnóstwo monstrualnych fal, które wyrwały im z mózgu resztki zdrowego rozsądku. Calida nie sprawiała wrażenia niebezpiecznej wariatki, chociaż niektóre klepki na pewno nieco jej się obluzowały.

Jako ostatnią wyciągnęła z walizki złożoną białą bawełnianą ściereczkę, srebrną miskę i flanelowy woreczek, którego zawartość cicho zagrzecotała, gdy go kładła.

– Nie wiedziałam, że rodzice się tym interesują. Oni nigdy nie myślą o przyszłości. Wiesz, „będzie, jak ma być”.

Calida usiadła, wzięła kieliszek i wlała w siebie połowę wina, jakby wcale nie interesował jej smak.

– Jak wspomniałam, wróżbiarstwo nie ogranicza się do przepowiadania.

– Jasne, chodzi też o odkrywanie ukrytej wiedzy za pomocą nadprzyrodzonych środków. Jaką wiedzę odkryli mama i tata?

– Jesteś miła, ale wścibska. Nie zdradziłabym ci przeżyć z innymi klientami tak samo jak ksiądz nie opowiedziałby ci, co usłyszał od kogoś na spowiedzi.

Bibi zrozumiała przyganę, ale bynajmniej się nie zawstydziała.

– Kiedy zaczęłaś zajmować się wróżbiarstwem?

Zamiast odpowiedzieć, Calida jednym długim haustem skończyła chardonnay. Odstawiła pusty kieliszek i popatrzyła na Bibi, jakby chciała się przekonać, jak długo klientka

wytrzyma milczenie. Blask świec bez przerwy pełgał po jej twarzy, próbując rozproszyć cienie, które skrywały jej część. Wcześniej kolor jej oczu zdawał się zmieniać w zależności od kąta, pod jakim padało światło płomieni, za to teraz ustalił się na zielony – z prążkami, które przypomniały Bibi oczy małego tygrysiątka, prezentu od rodziców.

Calida znowu naląła sobie wina i w końcu odpowiedziała na pytanie:

– Zaczęłam dwadzieścia siedem lat temu. Miałam szesnaście lat. Matka mnie nauczyła.

– Jak się nazywa twoja matka?

– Thalia. Thalia Butterfly.

– Butterfly i Butterfly. Firma dwóch wróżbitek. Coś w rodzaju kancelarii adwokackiej, gdzie pracują matka i córka?

– Moja matka zmarła dwanaście lat temu i nie była to miła śmierć.

Bibi zrobiło się głupio z powodu własnych żarcików.

– Przepraszam. Co się stało?

– Pewnego wieczoru, po spotkaniu takim jak nasze, zjawili się Niewłaściwi Ludzie. Torturowali ją, potem poćwiartowali. Jeżeli zdaje ci się, że to tylko taka opowiastka, możesz to sobie sprawdzić w Internecie. Sprawców nigdy nie znaleziono.

[4] *Butterfly* (ang.) – motyl, *caterpillar* (ang.) – gąsienica.

# **34**

## ***Ucho igielne***

Astragalomancja była metodą przepowiadania przyszłości lub odkrywania ukrytej wiedzy przez rzucanie kości. Ceromanta lał rozpuszczony wosk na zimną wodę i interpretował powstające kształty. Halomancja polegała na odczytywaniu kształtów rodzących się z rozsypania garści soli na płaskiej powierzchni. Nekromanta szukał odpowiedzi, porozumiewając się ze zmarłymi.

Calida pociągnęła troczek flanelowego woreczka i wysypała na stół dobrze znane płytki z literami, oznajmiając:

– Moja matka wynalazła i udoskonaliła tajemną sztukę scrabblemancji.

Bibi mało nie wybuchnęła śmiechem, lecz przypomniała sobie brutalne morderstwo i ćwiartowanie, o których można przeczytać w sieci. Stłumiła śmiech i przepiła go łykiem wina, nie chcąc pokazać, jak była bliska urażenia kobiety. Nawet w tak pustych i idiotycznych dziedzinach jak wróżbiarstwo można było przypadkiem spotkać socjopatkę i stać się obiektem jej gniewu. Im bardziej bezowocny i niszowy przedmiot naszego zainteresowania, tym bardziej wręcz prawdopodobne, że natkniemy się na ludzi bez etycznego kręgosłupa, gustujących w przemocy, pustych i błąkających się w poszukiwaniu wiary. Poza tym nie chciała ranić uczuć Calidy.

– Mówią nam, że na początku było słowo – ciągnęła Calida – a jego wypowiedzenie powołało do istnienia świat – cały

wszechświat. Matka rozumowała, że najlepszym materiałem będą dla wróżbity słowa. Nie ludzkie wnętrzości, linie na dłoni czy garść soli ciśnięta na stół, tylko słowa. A jeśli słowa istniały przed materią, przed słońcami i światami, morzami, ludźmi i wróżkami... no, to jeszcze wcześniej musiał istnieć alfabet, z którego można było stworzyć słowa. Dlatego litery są bardziej podstawowe i potężniejsze niż inne sposoby, jakimi mógłby posłużyć się wróżbita w celu wydobywania na światło dzienne tajemnic wszechświata. Teraz zadam ci jedno pytanie, Bibi Blair, i musisz odpowiedzieć na nie zgodnie z prawdą, szczerze, bo zależnie od odpowiedzi nasza sesja może przebiec na różne sposoby. Czy uważasz, że scrabblemancja ma sens? Nie, czy wierzysz, że będzie skuteczna, tylko czy ma sens, i w jakim stopniu?

Kiedy Calida nachyliła się nad stołem, jej blond włosy zsunęły się do przodu i rozłożyły trochę na boki, jak złote skrzydła, oczy zaś spoglądały z niepokojącą, sokolą intensywnością i drapieżnym skupieniem. Bibi chciała polubić tę kobietę, ale w chwilach takich jak ta czuła, że żyją w innych światach i nigdy nie będą mogły się porozumieć.

– Czy ta teoria ma sens i w jakim stopniu? – powtórzyła Calida szeptem, a świeczki w szklanych kubkach na stole zaczęły strzelać i syczeć, napotykając na knotach zanieczyszczenia, jakby topniejący wosk wyrażał swoje poparcie dla wróżbiarki.

– Ma trochę sensu, to znaczy w kontekście wróżbiarstwa – przyznała Bibi, siląc się na szczerłość bez protekcjonalnego tonu. – Ale mnie bardziej interesuje powoływanie czegoś do istnienia mocą słowa, niż wykorzystanie sztuk tajemnych w celu odkrywania wiedzy.

– A jeśli powoływanie czegoś do istnienia mocą słowa, osoba wypowiadającego i jego motywacje są tym samym co ukryta wiedza?

– Ale moim zdaniem tak nie jest – wypaliła Bibi.

Wróżbiarka o sokolim wzroku zdawała się przenikać oczy Bibi jak prawdziwy ptak, który krąży po niebie, szukając na łące myszy, którą można by upolować i porwać. Potem wyprostowała się i skrzydła płowych włosów opadły na jej twarz, zasłaniając oczy. Napiła się wina, znów jednym długim łykiem kończąc pół kieliszka. Odstawiając go, zapytała:

– Zamknęłaś wejściowe drzwi na klucz, gdy tu wchodziłaś?

– Tak. – Bibi kiwnęła głową.

– Są jakieś drugie?

– Nie.

– Okna są zablokowane?

– Tak.

– To zacznijmy od razu i szybko to skończmy. Im mniej czasu temu poświęcimy, tym jesteśmy bezpieczniejsze.

Kiedy wróżka zgarniała płytki scrabbli do srebrnej miski, a na jej pierścieniu skrzyło się światło świec, Bibi ze smakiem popijała wino, zastanawiając się, czy rodzice byliby urażeni, gdyby odrzuciła tę drugą część prezentu i odesłała Calidę.

Ta postawiła miskę na stole. Z kompletu do szycia wyjęła największą igłę, wsunęła ją w płomień świecy, a potem położyła na ściereczce z białej bawełny. Odkryła buteleczkę ze spirytusem, wetknęła do środka kciuk lewej dłoni, trzymała go tak przez chwilę, po czym zakręciła butelkę.

Gdy brała prawą ręką dwucalową igłę, Bibi spytała:

– Poważnie masz taki zamiar?

Mówiąc coś cicho w nieznanym Bibi języku, Calida przebiła igłą krągły opuszek kciuka powyżej paznokcia. Końcówka z oczkiem wystawała z jednej strony kciuka, błyszczące ostrze z drugiej, a jedna trzecia długości pozostawała niewidoczna, zanurzona w ciele.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – zawołała Bibi, gdy krew wypływała z obu ran, kapiąc na bawełnianą ściereczkę.

Calida wypowiedziała jeszcze kilka słów w tajemniczym języku, syknęła z bólu przez zaciśnięte zęby i wreszcie odparła:

– Twój sceptycyzm przeszkadza ci się zaangażować, co utrudnia zadanie. Dlatego muszę się mocniej skupić, żeby zrekompensować twoje wątpliwości. Człowiek na niczym się tak nie koncentruje, jak na bólu.

– Brednie.

– Jak nie przestaniesz wygłaszać swoich bezsensownych uwag – przestrzegła wróżka – będę musiała przebić sobie dłoń drugą igłą.

– Chyba że w ogóle zaraz przestaniemy. – Bibi odsunęła krzesło od stołu.

Calida skrzywiła się.

– Już zaczęłyśmy i musimy skończyć, zamknąć drzwi, które otworzyłam. W przeciwnym razie nie uspokoją się te psychiczne fale uderzeniowe, o których wcześniej wspominałam. To naprowadzające sygnały. Wezwanie, którego nie da się odrzucić. Pojawią się goście, których byśmy sobie nie życzyły.

Sceptycyzm Bibi nie był stuprocentowy. Ostra igła i krew przemawiały za szczerością intencji Calidy, chociaż nie za rozsądkiem. Po chwili wahania Bibi usiadła. Przysunęła krzesło do stołu.

Rodzice nie stali się obcymi ludźmi z powodu zainteresowania wróżbiarstwem i tego osobliwego prezentu. Siła jej miłości nie zmniejszyła się ani na jotę. Jednak ich obraz, jaki sobie wyrobiła, okazywał się niezbyt wierną podobizną, a żywione z dawien dawna przekonania co do ich życia wewnętrznego były najwyraźniej wadliwe, niedojrzałe, a wręcz naiwne.

Przesuwając prawą dłoń wśród drewnianych płytek w srebrnej miseczce, Calida zdawała się przemawiać do niewidzialnej istoty:

– Krwawię w oczekiwaniu na odpowiedzi. Nie można mnie odtrącić. Wysłuchaj mnie. – Zwróciła się do Bibi: – Ile wyciągnąć liter?

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– Musisz się włączyć, dziewczyno. *Ile liter?*



Bibi popatrzyła na okno nad zlewem i z ulgą zauważyła, że rzeczywiście jest zamknięte na blokadę.

– Dwanaście – powiedziała, choć nie było powodu, dla którego miałyby wybrać tę, a nie jakąś inną liczbę. – Dwanaście liter.

# **35**

## ***Na drugim końcu świata***

Paxton i Danny nie wierzyli w duchy. Perry dopuszczał możliwość ich istnienia, lecz raczej nie spodziewał się ich ujrzeć. Tylko Gibb był równie mocno przekonany o rzeczywistym istnieniu bezdomnych dusz jak o istnieniu powietrza, którym oddychał, bo jego matka, która wychowywała go sama, widywała martwego ojca chodzącego po polach za ich domem albo stojącego pod dębem na podwórku czy siedzącego na ganku, uśmiechniętego i przezroczystego. W takich chwilach mawiała, że rozumie, czemu drogi Harry nie chce odejść jak inne przyzwoite dusze, skoro kochał ją i Gibba tak, jak żaden inny mężczyzna nie kochał przedtem swojej żony i syna. Sam Gibb nigdy nie widział zjawy, choć tęsknił za jej widokiem. Wiedział, że istnieje, bo matka nigdy nie kłamała. W dodatku za każdym razem, gdy widziała ducha, rozpromieniała się z radości.

Mimo to żaden z czterech członków SEAL, włącznie z niezdecydowanym Perrym i mocno wierzącym Gibbem, nie uważał, żeby duchy mogły nawiedzać to miasto na przedpieklu. Ta skazana na zagładę miejscowość chyba najbardziej na świecie nadawała się na miejsce, w którym powinno roić się od istot z innego świata. Lecz może okrucieństwo, jakie spadło na tych ludzi, było tak demonicznie ohydne, może morderstwa popełniano z taką nieludzką przyjemnością i agresją, że liczne ofiary poniosły śmierć podwójną, na ciele i na duszy, i nie miały

szans na życie w zaświatach ani wędrowanie po ziemi.

O trzeciej nad ranem, gdy żołnierze opuścili punkt obserwacyjny na dachu, posuwając się po ulicach bezszelestnie jak same duchy, miasto sprawiało wrażenie miejsca, które nie było nigdy zamieszkane, zawsze martwe jak krater na pozbawionym powietrza księżycu, rzucającego teraz zaledwie jedną czwartą swego pełnego blasku. Domostwa stały ciasno, oddzielone od siebie murami, dziwacznie odizolowane pomimo bliskości, posegregowane, prymitywne i posępne, nie tchnące wygodą ani życzliwością dla innych, każda rodzina jak osobne plemię na swym małym archipelagu, przez co budynki zdawały się nie mieć też historii. Nie pełniły więc także roli pomników po tych, którzy je kiedyś zamieszkiwali.

Pax zastanawiał się, czy to najbardziej martwe z miejsc umarłych będzie też świadkiem jego śmierci, ale nie roztrząsał tej myśli. Cywilom może trudno w to uwierzyć, lecz zaprawiony w bojach żołnierz sił specjalnych cenił swe życie niżej od życia kolegów, nawet niżej od własnego honoru, bo bez takiego nastawienia nie dałoby się wygrać wojny.

Rozdzielili się na dwie pary i określonymi drogami od strony równoległych ulic podchodzili pod upatrzony dom. Pax i Perry weszli od tyłu do uszkodzonej budowli naprzeciwko prawdopodobnej kryjówki Abdullaha Al-Ghazaliego. Kwadrans zajęło im przemknięcie przez otoczony murem i zasypany gruzem dziedziniec oraz zniszczone wnętrze do drzwi wejściowych, wysadzonych przez wybuch siedemnaście miesięcy temu.

Kucając tuż przy progu, lustrowali dom po drugiej stronie ulicy w goglach noktowizyjnych i potwierdzili to, co zobaczyli wcześniej za pomocą lornetek. Budowla była nietknięta, z wyjątkiem śladów po pociskach, odłupanych i wyszarpanych ze ścian. Wszystkie okna chroniły z zewnątrz metalowe żaluzje. Dom zdawał się bardziej nowoczesny – zamiast tynkowanych suszonych cegieł składał się z żelbetonu, co nie było rzadkością

w kraju, gdzie niekończące się wojny sekt i plemion, toczone niegdyś przy użyciu strzelb, rozbrzmiewały teraz seriami karabinów maszynowych i wybuchami granatników.

Jedenaście po piątej przygotowany specjalnie na tę misję satelitarny telefon zadrżał w kieszeni kurtki. Dzwonić mógł tylko Perry, który z Gibbem zajął pozycję na dachu budynku na wschód od celu, z widokiem na tamto podwórko.

Perry odezwał się cicho:

– Białe światło zza szczeliny w okiennicy. Przed chwilą.

To wskazywałoby, że palacz na dachu, zauważony wczoraj po południu, wykorzystywał ten dom nie tylko jako punkt obserwacyjny, ale i kryjówkę, być może razem z masowym mordercą Abdullahem Al-Ghazalim.

Pax z kolegami uderzą na dom dopiero za dnia, a i tak będą czekać tak długo, jak się tylko da, wypatrując sygnałów, że palacz nie jest jedynym mieszkańcem. Jeżeli terroryści rozproszyli się na przykład po trzech położonych daleko od siebie domach, atak na jeden zaalarmowałby dwa pozostałe i przypadłby element zaskoczenia. W efekcie znacznie zmalałyby szanse na ujęcie samego Al-Ghazaliego. Tak czy inaczej, atak nastąpi w ciągu tego dnia. Dłuższa zwłoka niosła zbyt duże ryzyko.

Gdzieś pośród rzednącej nocy rozległ się osobliwy krzyk pustynnego kota zwanego karakalem i Paxton stężał.

# **36**

## ***Scrabblemancja***

Mimo całego szaleństwa, przekłutego palca, krwi i blond amazonki o tygrysiach oczach, przy strzelających i syczących knotach, salamandrach blasku świec goniących po stole własne cienie, coraz mocniejszym – i jakby pogrzebowym – zapachu róż z pokoju obok, wobec groźby nieznanych wrogów gromadzących się w nocy, by przypląć na psychicznych falach, których Bibi jakoś nie mogła wyczuć, jednak udzieliła się jej odrobina wiary. Przez chwilę Calida Butterfly nabrała aury autorytetu, która kazałaby nawet najbardziej zatwardziałemu sceptykowi porzucić własne wątpliwości.

Wróżbitka grzebała wśród drewnianych płytek w srebrnej misce, nie patrząc, jakie litery obierają palce, ani nie próbując wyczuć ich kształtów, jakby czytała alfabet Braille'a.

– Żądam tajnej wiedzy o wyzdrowieniu Bibi – odezwała się chrapliwym, acz melodyjnym głosem nieznoszącym oporu tajemnej mocy, którą wypytywała. – Krwawię w oczekiwaniu na odpowiedzi. Nie można mnie odtrącić. Wysłuchaj mnie. Dlaczego Bibi Blair została uratowana przed glejakiem mózgu?

Upuściła na stół cztery płytki, które stuknęły niczym kostki do gry, potem jeszcze dwie, trzy i ostatnie trzy. Odwróciła leżące literami do dołu. Ułożyła je alfabetycznie i uzyskała: A, C, C, E, I, I, L, O, S, Y, Z, Ż.

Ustawiła je tak, żeby obydwie mogły je przeczytać, ona po zwróceniu się w lewo, a Bibi na prawo.

Z dwunastu liter, nawet uwzględniając podwójne, można było ułożyć wiele słów. Bibi nawet nie musiała ich przedstawiać, żeby wyczytać: LAS, LOS, SZYCIE, LIŻ, LEŻY, CELI, SYCZ.

Calida wyjęła cztery litery – CIOS – które nie poprawiły Bibi humoru.

– Prawdziwa wiadomość zawiera wszystkie dwanaście – wyjaśniła wróżbiarka. Najpierw ułożyła A LICZĘ CIOSY i przyglądała się przez chwilę, ale zdecydowała: – Nie, to nie to. To tylko niepoważny nakaz.

– Nakaz? Kto ci każe? Czy mnie?

Zamiast odpowiedzi Calida przedstawiła część liter, by ułożyć ALE I CIOS CZYŻ.

– Falstart – stwierdziła. – „Cios” nie jest tu kluczem do zagadki.

Spokojna, lecz narastająca koncentracja Calidy. Niezrozumiałe potęgowanie się woni róż, z której zaczynał przebijać jakby odór gnicia... Coraz szybsze pulsowanie i filowanie płomieni wielu świec, wskutek czego nad stołem przepływały ławice srebrnych rybek, a o ściany obijały się bezgłośnie, niematerialne skrzydła widmowych ciem... Bibi zaczynała już czuć, że wolno – a potem coraz szybciej – udziela jej się gorączka będąca skutkiem nie jakiejś fizycznej choroby, tylko gorączka bezrozumu, groźnego jak infekcja.

CIESZYLI, AŻ CO na stole nie miało sensu.

ŻYLI CO SZACIE też nie niosło jasnego znaczenia.

Raptem Bibi ujrzała coś, co przeoczyła wróżbiarka, wyciągnęła rękę i ułożyła OCALISZ ŻYCIE.

– Tak jest – oświadczyła Calida donośnym głosem bez cienia wątpliwości. – Mała, ty masz wrodzony talent, intuicję. Klienci nigdy nie dostrzegają przesłania. Siedzą jak ropuchy, czekają, aż nakarmię ich muchami.

– Żeby była jasność – powiedziała Bibi. – Uratowano mnie przed rakiem, żeby ocalić mi życie. W sumie już to wiedziałam.

– Nie, dziewczyno, przecież nie o to chodzi. Ty widzisz słowa,

a ja słowa *i* ich sens. Uratowano cię przed rakiem, żebyś ocaliła życie *kogoś innego*.

Bibi nie od razu przełknęła tę interpretację. Ocalić przed czym, kiedy, gdzie, dlaczego? Nie była łowczynią przygód ani superbohaterką – nie cierpiała płaszcza i szpady – ani kobietą czynu, chyba że czynów dokonywano na stronach książki.

– Kogo? Kogo ocalę?

– To nasze następne pytanie.

Nie będąc do końca gotowa na zadanie go, wróżbiarka wzięła kieliszek i szybko przełknęła pozostałe wino.

Bibi już wiedziała, że chardonnay ma albo pomóc Calidzie w znoszeniu bólu przebijania kciuka, albo dodawać jej odwagi, albo też służyć obu celom naraz.

Przebierając prawą ręką w srebrnej misce z płytkami, mówiła:

– Krwawię w oczekiwaniu na odpowiedzi. Nie można...

Nie dokończyła, bo smartfon Bibi na stole wydał z siebie ton naśladujący dzwonek starożytnego telefonu z tarczą. Bibi rzuciła okiem na wyświetlacz i powiedziała:

– Nie wiadomo, kto dzwoni.

To wyraźnie zaniepokoiło Calidę.

– Nie! Jak nie odbierzesz, nie będziemy wiedziały, czy to *oni*.

– Kto taki?

– Niewłaściwi Ludzie! – Płonące w blasku świec spojrzenie nie należało już do wróżki pewnej, że przyparła do muru nadprzyrodzoną istotę, którą wypytuje. – Odbierz, na litość boską!

Jeszcze bardziej zaniepokojona, Bibi odebrała i rzuciła:

– Halo?!

– Tajna agentka? – odezwał się męski głos.

– Że co? Kto mówi?

– Co to ma znaczyć – tajna agentka?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Po co udawać? To rejestracja pani samochodu.

– Aaa. To nie mój, tylko matki. Kto mówi?

Facet się rozłączył.

– Jakiś gość – powiedziała Calidzie. – Przyjechałam autem mamy. Pytał, co oznacza ta rejestracja.

Zmarszczka na czole Calidy dodała jej młodej twarzy parę lat.

– Raczej nie oni.

– W każdym razie widział, jak przyjechałam. Albo jest teraz na parkingu. Wszystko się jakby wymyka, no nie?

– Wymyka? To znaczy?

– Spod kontroli i spada w przepaść, w chaos – mówiła Bibi, zastanawiając się, czemu opuszcza ją normalne opanowanie.

W sumie nie była przygotowana na świat w tylu nowych, nieznanych wymiarach. Była gotowa pisać opowiadania do „The Antioch Review”, „Granta”, „Prairie Schoonera”, wydać pierwszą powieść w Random House. Brakowało jej emocjonalnej i psychologicznej elastyczności potrzebnej do radzenia sobie z nagłymi, niewytłumaczalnymi wyzdrowieniami i ich nadprzyrodzonymi konsekwencjami.

Calida rzuciła jej dziwne spojrzenie.

– Wszystko bez przerwy się wymyka. Życie jest lawiną, mała, obydwie wiemy o tym równie dobrze. Czasami jest to ruch powolny i dość przyjemny, kiedy indziej nieokiełznany. Czytałam twoją powieść. Jest tam o tym – o lawinie. Zakładaj narty, dziewczyno, i jazda na śniegową falę. Nie może cię zasypać.

– Na razie czuję się jak smogol.

– Kto?

– Smogol, kakus, wilma. – Wzięła napełniony w połowie kieliszek. Biorąc przykład z Calidy, skończyła chardonnay jednym długim łykiem.

– Ocalisz życie – wróżbiarka odczytała napis z płytek na stole.  
– Teraz dowiemy się, czyje.



# **37**

## ***Każde dziecko kiedyś sika***

Nocny wrzask karakala zmartwił Paxa, bo podejrzewał, że ktoś może naśladować głos tego drapieżnika. Gdy kolejne dwa krzyki dobiegły z zupełnie innego miejsca niż pierwsze, jego niepokój wzrósł. Jeśli agenci jakiegoś lokalnego watażki wiedzieli, że Pax jest ze swoimi ludźmi w mieście, być może śledzili ich, sygnalizując gotowość w języku karakali.

Karakale żyły na Bliskim Wschodzie, chociaż w dużo mniejszej liczbie niż w Afryce i Azji. Niegdyś Irańczycy tresowali je do polowania na ptaki. Mimo że ich waga sięgała czterdziestu funtów, potrafiły skakać na wysokość siedmiu czy ośmiu stóp, gryząc i strącając po kilka ptaków naraz z przelatującego nisko stada.

Pax i Danny czekali na następny krzyk, chcąc ocenić jego autentyczność, z MK12 w rękach, żałując, że pociski nie są bardziej niszczycielskiego kalibru. Ale mijał czas, nadszedł świt i nic się nie zadziało. Czasem karakal jest po prostu karakalem.

Światło dzienne nie przyniosło wiatru, tylko pogłębiający się spokój. Paxton wciąż miał nadzieję na jakiś znak, że w domu za żaluzjami przebywa więcej niż jeden terrorysta. O 8:47 zadrżał jego telefon.

Dzwonił Perry, stacjonujący z Gibbem na dachu piętrowego budynku na wschód od celu. Jego głos brzmiał jak cichy pomruk:

– Mężczyzna. Nie ten palacz. Podwórko za domem. Dwa

wiadra.

– Jeszcze raz – wiadra?

– Niesie wiadra. – Po chwili Perry dodał: – Furtką od tyłu. Na ulicę. Kierunek południowy.

– Broń? – spytał Paxton.

– Kabura przy udzie.

Gdyby terrorysta nie był uzbrojony i wystarczająco oddalił się od celu, mogliby się pokusić o schwytanie go i przesłuchanie. Ale jeden strażnik zaalarmowałby pozostałe czarne charaktery.

– Prawdopodobnie *fecesy* – powiedział Perry.

Był miłośnikiem powieści historycznych, zwłaszcza wojennych i żeglarskich rozgrywających się w osiemnastym stuleciu, i zdarzało mu się używać przestarzałych słów, nie dla popisu, nieświadomie, ale dlatego, że weszły na stałe do jego własnego słownika.

– Co to *fecesy*? – spytał Paxton.

– Gówno – odparł Perry, co w zasadzie zgadzało się z domysłami Paxa.

Jak większość małych i średnich osad w tym nieszczęsnym kraju, miasteczko pod pewnymi względami wciąż tkwiło w średniowieczu. Bez kanalizacji. Bez szamb. Bez instalacji hydraulicznych, z wyjątkiem ręcznych pomp w kuchni czerpiących wodę z prywatnych studni w kilku domach. Na obrzeżach musiała stać gdzieś zbiorowa latryna pod gołym niebem, złożona w zasadzie z rowów i szeregu komór, gdzie ludzie załatwiali się i zanosili odchody. Lokowano ją tak, żeby wiatry znosiły odór z dala od miasta, czyli w tym wypadku na południe i zachód.

Możliwe, że standardy higieny osobistej Abdullaha Al-Ghazaliego nie dopuszczały wyrzucania odchodów w kąpielnicę.

Bardziej prawdopodobne, że co pewien czas wyrzucali je do wspólnej latryny, bo powstający smród i chmary much, które przyciągał, zdradzałyby ich kryjówkę tak samo wyraźnie jak

powieszenie czarno-czerwonej flagi.

Pax zwrócił się do telefonu:

– Jedno wiadro dla mężczyzn, jedno dla kobiet?

– Przyzwoita skromność – zgodził się Perry i zakończył rozmowę.

Bez zastukania do drzwi Abdullaha i podania się za ankieterów spisu ludności nie doczekają się raczej lepszego potwierdzenia, że w domu znajduje się wszystkich siedmioro terrorystów. Wiadra to informacja pierwszej klasy.

W głębokim cieniu tuż przy drzwiach budynku naprzeciwko zacisza terrorystów Paxton i Danny zaczęli dyskretnie składać bezodrzutowy granatnik Carl Gustaf M4, broń przeciwpancerną nadającą się też do rozbijania bunkrów.

## *Ucałuj śmierć*

Bibi była na haju. Nie z powodu chardonnay. Była podminowana całą tą dziwną sytuacją. Poczuciem nadchodzącej przemocy. Jak ciśnieniem przed pierwszą błyskawicą potężnej burzy, z której może narodzić się tornado wszech czasów.

Zdaje się, że jakiś dziwny gość buszuje po parkingu, zafascynowany sensem indywidualnych tablic rejestracyjnych na sedanie Nancy. I jakaś bezimienna istota krąży po kuchni, bo odór gnijących róż zmienił się w smród, płomienie świec sięgały trzy, cztery cale ponad krawędzie kubków, w których stały, a w pokoju zrobiło się zimno, zegar na ścianie i zegarek na jej ręce stanęły, wskazówki przestały pożerać sekundy, a cyfrowy zegar na mikrofalówce zgasł, jakby coś żyjącego poza czasem wkroczyło w ten świat i nasyciło go swoją rzeczywistością bez zegarów. Być może wykrywacze fal psychicznych *vel* Niewłaściwi Ludzie – kimkolwiek lub czymkolwiek byli – zmierzali już do mieszkania Bibi, żeby ją zabić, wyssać z niej krew, ukraść duszę czy co oni tam robią z kretynami, którym w swojej głupocie zdaje się, że mała sesja wróżenia przy kuchennym stole będzie nieszkodliwa, ba, może nawet zabawna.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej Bibi nie traktowałaby żadnej z tych spraw poważnie, bo była sprawnym samoukiem, który wytrwale przyswoił sobie wiedzę wartą co najmniej dwóch

college'ów, zrównoważoną realistką lubiącą sobie pofantazjować, tak, ale zawsze wiedzącą *dokładnie*, gdzie biegnie granica pomiędzy światem rzeczywistym a jego zmyślonymi interpretacjami. Sokolim wzrokiem dostrzegła zbyt jasne światy idealistów o rozmazanych konturach i zbyt mroczne, za skomplikowane wersje rzeczywistości zmyślane przez paranoików. Teraz granice chyba zniknęły, przynajmniej mocno się zatarły, i pierwszy raz w życiu uważała, że wśród rzeczy niezbędnych nowoczesnej kobiecie broń jest co najmniej tak samo potrzebna jak smartfon.

– Potrzebuję broni – oświadczyła i chociaż te słowa nie były zgodne z jej naturą, wiedziała, że mówi prawdę.

Pistolet Calidy leżał na stole, ale kobieta przysunęła go bliżej siebie, poza zasięg Bibi, jakby nie wykluczała możliwości, że klientka ma zamiar zastrzelić ją, posłańczynię.

– Nie twojego. Mam swój – powiedziała Bibi. – Paxton się przy tym upierał. Trzymam go w pudełku w garderobie.

Gdy Bibi zaczęła podnosić się z krzesła, Calida nakazała ostro:

– Siadaj. Musimy to kończyć. I to szybko.

Prawą ręką zaczęła mieszać płytki w srebrnej misce.

– Krwawię w oczekiwaniu na odpowiedzi. Nie można mnie odtrącić. Wysłuchaj mnie. – Powietrze ochłodziło się. Zwróciła się do Bibi: – Osoba, którą masz ocalić. Ile liter?

– Nie wiem.

– Ależ wiesz. Tylko nie wiesz, że wiesz. *Ile liter?*

– Dziesięć – strzeliła Bibi.

Calida wyjęła płytki i ponownie ułożyła je w kolejności alfabetycznej: A, B, E, E, H, L, L, L, S, Y.

Dostrzeżenie w tym galimatiasie nazwisk było trudniejsze niż zauważenie słów, ale po chwili wróżbiarka ułożyła: SALLY BHEEL.

– Znasz kogoś takiego?

– Nie.

– To nie musi być znajomy.

Calida ułożyła z literek: SHELLY ABLE.

– To bez sensu – zachnęła się Bibi, choć nie mogła zaprzeczyć, że w pomieszczeniu zrobiło się tak zimno, że oddechy jej i wróżbiarki zmieniały się w parę.

Tak jak wcześniej, Bibi nagle ujrzała coś, czego nie widziała Calida, i utworzyła imię i nazwisko ASHLEY BELL. Gdy dostawiła ostatnie dwie litery, usłyszały srebrny dzwonek z trzema serduszkami przywieziony przez Kapitana z Wietnamu. I chociaż brzęczenie było wyraźne, słodkie i niewątpliwe, wiedziała, że słyszy je tylko w pamięci.

Jakby była ciekawskim kotem, a Bibi kłębkim włóczki, który trzeba rozwinąć, chcąc odkryć straszną tajemnicę w jego wnętrzu, Calida patrzyła na klientkę uważnie, wyczekując dobrej chwili na pochwycenie wystrzępionej końcówki.

– Znasz to nazwisko?

– Nie. – Bibi pokręciła głową.

– Widzę, że znasz.

– Nie, ale przyznaję, że coś mi mówi.

– Mówi – powtórzyła kobieta, czekając na coś konkretniejszego.

– Jest takie dźwięczne, że chciałoby się poznać tę, która je nosi. Przekonać się, czy jest godna tak sympatycznego nazwiska.

– Albo godny. Tego nie wiemy.

– To kobieta – oznajmiła z nagłym przekonaniem Bibi.

– Skąd ta pewność?

– Nie wiem. – Bibi zmarszczyła czoło.

Przypatrywanie się imieniu i nazwisku wprowadziło Bibi w coś podobnego do transu, jakby każda z dziesięciu liter była sylabą czarodziejskiego zaklęcia. Wzdrygnęła się, spojrzała na wróżbiarkę i spytała:

– Ocalić ją przed czym? Zapytasz i wyciągniesz więcej liter?

– Nie. Nasz czas się kończy. Za długo nam już zeszło.

Bibi uświadomiła sobie, że w kuchni znowu zrobiło się ciepło, a zegary znów chodzą, tak samo jak zegarek na jej ręce.

– Muszę wiedzieć, dlaczego ma kłopoty – albo będzie miała. Gdzie mieszka. Jak wygląda. Tysiące pytań.

Z gardła Calidy wyrwało się kwilenie cienkie jak igła, którą wyciągnęła z palca. Przycisnęła krwawiący kciuk do białej szmatki.

– Za darmo dostaje się niewiele odpowiedzi, a potem każde słowo kosztuje bardzo drogo. Teraz urwij mi parę kawałków tej taśmy klejącej.

Odcinając pierwszy, Bibi spytała:

– A czym płacimy?

Spiesznie owijając kciuk gazą, ciasno, by zatamować krwawienie, Calida odpowiedziała:

– Czasem. Przeznaczonym nam czasem. Dniami, potem tygodniami, miesiącami, naszym kurczącym się życiem. A potem płaci się czymś jeszcze gorszym.

– Co może być gorsze od straty części życia?

– Utrata zdolności do uczuć i nadziei, życie jedynie takimi emocjami, jak gorycz i rozpacz. – Wystawiła kciuk, żeby Bibi mogła go okręcić taśmą. – Ewentualne dodatkowe odpowiedzi nie byłyby tego warte.

Róże w salonie znów zapachniały ładnie. Płomienie przestały miotać się gwałtownie nad krawędziami szklanych waz. Filujące odbicia światła na stole i ścianach przestały przypominać stada ruchliwych owadów.

Przecucie zbliżającej się przemocy powinno osłabnąć.

Ale nie osłabło.

Gdy wróżbiarka pospiesznie oklejała gazą trzema następnymi kawałkami taśmy, Bibi coraz bardziej powracała na ziemię, tak jak w zimnym pokoju robiło się coraz cieplej.

– Nie mogę.

Spoglądając na zegar, niezadowolona z tak późnej pory, Calida zapytała:

– Co?

– Nie mogę uratować życia. Nikomu. Od razu widać, że to szaleństwo.

– Oczywiście, że możesz. Taka dziewczyna jak ty na pewno da sobie radę. Poza tym nie masz już wyboru.

– Mogę narobić więcej szkody niż pożytku. Mam zamiar wyjść za bohatera, ale sama nie jestem bohaterką. To znaczy, chyba nie jestem tchórzem, ale po prostu nie potrafię.

Przesypując płytki scrabblu z miseczki do flanelowego woreczka, który włożyła razem z miską do walizki ze skóry strusia, Calida powiedziała:

– Spytałaś, dlaczego wyzdrowiałaś. Dowiedziałaś się. Jeśli teraz nie jesteś na to gotowa, trzeba będzie zapłacić straszną cenę.

– Więcej szkody niż pożytku – powtórzyła Bibi. – Może się skończyć śmiercią tej Bell albo moją.

Wstając i zamykając walizkę, Calida oznajmiła:

– Miałaś randkę ze Śmiercią i przeżyłaś. Przy następnym spotkaniu pocałuj ją i powiedz, że musi poczekać. Pocałuj ją porządnie. Z jęczymkiem. A teraz łap za pistolet, dziewczyno, i zmywajmy się stąd jak najszybciej.

– Co? Nie. – Bibi ziewnęła i przeciągnęła się. – Jestem wykończona. Idę spać.

Calida popatrzyła na nią z niedowierzaniem i przerażeniem.

– Jak zostaniesz tu dziesięć minut dłużej, będzie po tobie. Może nawet pięć.

– Ale to moje mieszkanie.

– Już nie. Nie po tym, co zrobiliśmy, zwracając ich uwagę. Od teraz mieszkanie należy do nich. I nie zatrzyma ich żaden zamek.



## ***Miłosny telefon i okrzyk wojenny***

Przy założeniu, że Abdullah Al-Ghazali i jego poplecznicy są dobrze uzbrojeni i gotowi na śmierć męczenników, wysadzenie drzwi i walka z całą siódmką pomieszczenie za pomieszczeniem było samobójstwem. A byłoby ich siedmioro, bo kobiety nie będą się beczynn timer przypatrywać. Jeżeli mieli prawidłowe informacje, te dwie matki – matki w kilku znaczeniach tego słowa – z zapalnikami oddały czworo swoich dzieci, by posłużyły jako ludzkie bomby. Ta operacja specjalna była fantastycznym odpowiednikiem polowania na robaka, które może zakończyć się powodzeniem jedynie pod warunkiem użycia maksymalnej siły.

Bezodrzutowy granatnik Carl Gustaf M4 ważył piętnaście funtów, cztery mniej niż M3, i miał w sumie trzydzieści siedem cali. Amunicja była ciężka, lecz biorąc pod uwagę wszystkie możliwe cele w mieście duchów, z których żaden nie był prawdziwym bunkrem, a jedynie naziemnymi budowlami o niepewnej konstrukcji, postanowili zabrać tylko cztery pociski. W celu zrekompensowania sobie dodatkowego obciążenia wzięli mniej naboju do strzelb i ograniczyli sprzęt do minimum.

Do obsługi tej broni potrzeba było dwóch ludzi – jednego do wystrzelenia, drugiego do załadunku. Paxton miał strzelać, Danny ładować. Ustalili, że oddadzą strzał nie z progu opuszczonego domu, tylko z od dawna wybitego okna od frontu.

Niektórzy nazywali gustafa – Carlem Johnsonem, slangowym określeniem męskiego narządu, inni gęsią, ale niezależnie od nazwy wyrzutnia była skuteczniejsza niż młot Thora, a jej zasięg przekraczał tysiąc trzysta metrów. Aktualna siedziba Abdullaha stała w odległości niewiele większej niż dwadzieścia stóp. Posypie się sporo gruzu. Strzelając z klęczek nad parapetem, po wystrzale mogli się schylić i mieć nadzieję, że większość resztek ciśniętych w ich kierunku odbije się bez szkody od ścian wokół futryny okna.

Oślonili uszy podwójną warstwą zabezpieczającą i Danny ułożył cztery pociski na podłodze koło okna. Pax ukląkł i zarzucił gustafa na ramię. Danny odsunął zwężkę Venturiego, dźwignię rozwierającą zamek przed załadunkiem, i wsunął pierwszy pocisk.



Dach piętrowego budynku po drugiej stronie ulicy na tyłach gniazda Abdullaha kończył się wysokim murkiem z suszonej cegły, z wyciętymi otworami zaopatrzonymi w żelazne pręty, między którymi były duże odstępy – idealna pozycja dla snajpera. Perry i Gibb leżeli przy różnych krenelażach, obserwując tył domu i ulicę.

W ciszy poranka kołyszące się, puste wiadra skrzypiały na pałakach, gdy morderca wracał z nimi z miejskiej latryny. Wszedł przez furtkę od tyłu i przebył dziedziniec, prostokąt splekanego betonu i odłamków. Ktoś go wypatrywał. Drzwi się otworzyły. Zniknął w środku.

Perry zadzwonił na jedyny numer wpisany do telefonu i po nawiązaniu połączenia oznajmił:

– Wszyscy bezpiecznie w domu.



Dzięki niewielkiej odległości Pax nie potrzebował ani celownika optycznego o trójkrotnym powiększeniu, ani pasowanego celownika na żelaznej ramce. Siła uderzeniowa natychmiast rozbijała ranek. Odłamki zagrzechotały i zagrzmiały o przednią ścianę domu, ze świstem wpadając przez ich okno równocześnie – jak się zdawało – z wybuchem. Zapachniał betonowy pył i rozgrzany gaz z gustafa i Danny kichnął, otwierając zwężkę, by załadować drugi pocisk.



Strzał z Carla Gustafa potrafił przebić zbrojony stalą beton niby ser, a nadciśnienie po wybuchu zwykle pustoszyło wnętrze budynku. Z dachu naprzeciwko Perry i Gibb nie byli w stanie stwierdzić, co stało się z frontem budynku, ale cała konstrukcja zadrżała, zakotłosała się i przekrzywiła, żaluzje od zewnątrz na oknach od tyłu odpadły, obijając się po betonowym podwórku, podczas gdy słupki szyb rozpryskiwały się na chodniku.

Nie więcej niż dwadzieścia sekund po uderzeniu tylne drzwi otworzyły się i chwiejnym krokiem wynurzyło się z nich dwóch mężczyzn, dezorientowanych i z pewnością na wpół ogłuchłych. Ten od fecesów wyciągnął z kabury na udzie pistolet, nowy nieznajomy niósł automatyczny karabin z wydłużonym magazynkiem, być może uzi. Gibb jednym strzałem skończył karierę niedoszłego Człowieka z blizną, Perry załatwił drugiego terrorystę, oszczędzając mu wycieczek do latryny.



Po drugim strzale z gustafa dom przypominał plan *Transformersów*, przez który przebiegł robot. Pax był gotów wykorzystać dwa pozostałe pociski i Danny już jeden ładował. Lecz budynek zatrzęsł się jak ulepiony z budyniu i zwałił się na

ziemię, a na ulicę wypłynęły chmury pyłu.

Zerwali z uszu osłony, chwycili MK12 i wyszli na zewnątrz, gdzie pył zaczynał już rzednąć. Ostrożnie zbliżali się do celu, choć szanse na przeżycie przez kogokolwiek były bliskie zera. Perry i Gibb nadeszli od wchodu i Pax dowiedział się, że dwóch zostało zastrzelonych, czyli że piątka została w rumowisku.

Pora wezwać z lotniskowca helikopter, który zabierze oddział, choć zadanie było jeszcze dalekie od zakończenia. Chodziło o pokazanie, że nie można zabić trzystu siedemnastu Amerykanów i przeżyć potem tak długo, by móc się tym chwalić przed wnukami. Musieli znaleźć Al-Ghazaliego, sfotografować jego twarz czy to, co z niej zostało, i pobrać próbkę tkanki do badań DNA. W przeciwnym razie jakiś anonimowy palant, który umie korzystać z Internetu, poda się za Al-Ghazaliego i trzydzieści jeden procent Amerykanów mu uwierzy.

Pax zaczął dzwonić po helikopter, kiedy zobaczył w myślach twarz Bibi tak wyraźnie, że miasto duchów na chwilę znikło z powierzchni ziemi. Jeżeli wcześniej tylko podejrzewał, że ma kłopoty, teraz był tego pewien. To taka intuicja z pola bitwy na sterydach – i coś więcej niż intuicja. Musiał zakończyć operację, wyrwać się z tego cuchnącego kraju i zatelefonować do Bibi, gdy tylko przestanie obowiązywać zakaz komunikacji. Z morza, z pokładu lotniskowca.

## 40

### ***Wymyka się spod kontroli i spada w przepaść, w chaos***

Calida Butterfly była wirem ciemnej energii, któremu nie sposób się było oprzeć, przez co Bibi udzielił się jej strach, poczuła jego prądy. Niepokój wróżbiarki był tak przekonujący, twarz układała się w wyraz tak gwałtownej rozpacz, że nie można było uwierzyć do końca, że jest oszustką o złych zamiarach. I zdarzyło się zbyt wiele osobliwych rzeczy, by można zbagatelizować ją jako paranoiczkę cierpiącą na urojenia. Coś nadzwyczajnego działo się, miało się wydarzyć, nadciągało i usunięcie mu się z drogi wydało się rozsądnym krokiem.

Gdy w garderobie Bibi otwierała pudełko po butach i wyjmowała kaburę z SIG-Sauerem P226, Calida mówiła:

– Zostawię stolik do masażu. Będzie przeszkadzał w drodze. Przyjadę po niego później, za tydzień, kiedyś. Mogłabyś się *pospieszyć*, mała? Ruchy, *ruchy!*

Bibi wcisnęła się w naramiennik, poprawiła go, zdjęła z wieszaka i założyła blezer. Magazynek w pistolecie był już pełny. Zerknęła na siebie w lustrze na drzwiach garderoby. Broni nie było widać pod płaszczem. Odbicie w lustrze nie całkiem przypominało to, do którego się przyzwyczaiła: włosy potargane, jakby rozwiane wiatrem mimo bezwietrznej nocy, zdumienie w ciemnych stawach oczu, twarde rysy twarzy, których przedtem nie widywała. Uznała, że wygląda jak

desperado. Albo skończona idiotka.

W salonie Calida złapała walizkę, a Bibi torebkę i laptop.

– Niech to szlag, po co rodzice cię na mnie napuścili?!

– To nie ich wina. Skąd mieli wiedzieć? Nic podobnego nie zdarzyło się nigdy, gdy zajmowałam się nimi.

– Podobnego do czego?

– Do obrzydliwego swądu zgnilizny, chłodu nie wiadomo skąd, dziwnego zachowania świec, zegarów. Nadchodzą Niewłaściwi Ludzie.

W drodze do drzwi wyjściowych Bibi powiedziała:

– A mnie zdawało się, że takie rzeczy zdarzają się *zawsze*.

– Mnie się nie zdarzyło nigdy.

– Nigdy? – Bibi domknęła drzwi. Nie mogła trafić kluczem w zamek zasuwki. – Przecież jesteś jasnowidzką, wielką szamanką.

Idąc spiesznie balkonem w kierunku schodów, Calida opowiadała:

– Matce czasami się to przytrafiało. Ostrzegała mnie przed tym, ale może nie traktowałam jej dosyć poważnie.

– Czeka! – Bibi pędziła za blondynką. – Nie traktowałaś jej poważnie?!

– Przestań z tym wrednym tonem. Czasem potrafisz być cholernie gruboskórna.

Długonoga scrabblemancerka zbiegała schodami po dwa stopnie, wydobywając z żelaznej konstrukcji jęki. W kremowych spodniach i topie, krzykliwej szarfie i szalu, wielkich kolczykach i szkatułce pierścieni można ją było wziąć za atrakcyjną uciekinierkę z komedii o Las Vegas w latach pięćdziesiątych, opowiadającej o tancerce ściganej przez mafię.

Zwinna i żwawa Bibi rzuciła się za nią, narażając się na upadek, lecz pokazując, że jeżeli były co do tego jeszcze jakieś wątpliwości, objawy glejaka mózgu przeminęły bez śladu.

– Wiesz co, czasami umiesz być naprawdę wkurzająca!

– To lepsze niż wredna.

– Nie byłam złośliwa.

– Zależy od punktu słyszenia – stwierdziła Calida, zbiegając z ostatniego stopnia i przemykając między rzędem leżaków i błyszczącym basenem, gdzie wcześniej pływał zwinny jak pstrąg młody mężczyzna.

Starając się ją dogonić, Bibi złapała lewą ręką wyglądający na kosztowny jedwabny szal ze złotą gwiazdą na błękitnym polu, który włókł się za Calidą, chcąc w ten sposób wydobyć z wystraszonej wróżbiarki jakąś odpowiedź. Jednak przepiękny szal był nie tylko owinięty wokół jej szyi, ale w dodatku w kilku miejscach luźno zawiązany, co stawiało w wątpliwym świetle fizyczne prawa ruchu, działania i reakcji. Calida Butterfly raptem wydała dźwięk, jakby zaczynała się dusić, stanęła w bezruchu i upuściła walizkę ze skóry strusia, by pochwycić duszący jedwab, jednocześnie zataczając się w tył i zderzając z Bibi, której sprint został w tym punkcie stanowczo powstrzymany. Przez chwilę obracały się wokół siebie jak urządzenia na przegubach Cardana w żyroskopie, ale mimo że jedna z funkcji żyroskopu polega na zachowaniu równowagi, one nie zdołały utrzymać swojej. Upadły na krawędź basenu. Od zamoczenia dzieliło je kilka stopni przechyłu. Gdy Bibi postanowiła puścić szal, siły natury, sprytnie skonstruowane tak, by w każdych okolicznościach wystrychnąć człowieka na dudka, natychmiast odzyskały równowagę, tym samym wytrącając z niej obie kobiety. Calida padła na kolana na chodnik, a Bibi zatoczyła się w tył i twardo siadła na jednym z leżaków.

Strach i gniew amazonki przeszły w grozę i furję. Dała upust temu ostatniemu uczuciu, zrywając się na równe nogi i przeklinając Bibi i małych Thorpe'ów, których jeszcze nie urodziła:

– Odczep się ode mnie, trzymaj się ode mnie z daleka, ty powalona wariatko!

Gdy Calida odwróciła się po walizkę, Bibi odpaliła:

– Ja wariatką? *Ja? Jaaa?* Ja tylko cieszyłam się życiem jak nigdy, *wyleczona z raka*, kiedy pojawiłaś się i...

Wolała zamilknąć. Nie znosiła tego biadolenia w swym głosie, nie chciała biadolić. Dzielne dziewczyny nie stękały. Nigdy nie uchodziły za ofiary, nawet kiedy wpisanie się w rolę ofiary mogło przynieść korzyści, wielkie korzyści, dla których wszyscy dzisiaj chcą zostać pokrzywdzonymi.

Połowa walizki Calidy otwarta się, gdy ją wypuściła, i wysypały się srebrna miska i inne przedmioty do jasnowidzenia. Spiesznie się pochyliła, by je zebrać.

Bibi wstała z leżaka.

– W sumie może jestem wariatką, gdy tak uciekam z własnego mieszkania, bo ty mówisz, że ktoś nadchodzi – ktoś albo coś – nawet nie wiem, kto albo co i dlaczego. Wariatką, bo kupuję historię o tej Ashley Bell, tak że powiedz mi, jak ją znaleźć. I kim są ci *Niewłaściwi Ludzie*.

Odwracając się do niej z walizką w ręce, Calida wypaliła:

– O, na pewno ich poznasz.

Ponieważ kompleks mieszkań przygotowano z myślą o młodych i ambitnych, i przeważnie samotnych, zaplanowane zostało nawet oświetlenie na podwórku. Dla dobra romansu, czy jak to nazywali wielbiciel najnowszych trendów, wysokie latarnie z brązu i każdy przyrząd do oświetlenia tego miejsca promieniował starannie obliczoną jasnością – żarzył się, palił z przepychem – w której każda twarz nabierała światła, każda kończyzna i staw, które mogą zostać odsłonięte, powlekały się blaskiem zdrowia.

W tym dobrze rozplanowanym, wyliczonym i zaprojektowanym świetle Calida pozostawała blada jak wybielona mąka. Jej przerażona twarz sprawiała wrażenie płaskiej jak kromka krojonego chleba, niezdolnej do wyrażenia żadnego uczucia poza grozą.

– Poznasz ich, kiedy ich zobaczysz.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Bibi.



– *My* nic. Wolę się do ciebie nie zbliżyć. Ani teraz, ani nigdy.  
*Ja* mam zamiar uciekać. Uciec i gdzieś się schować.

Po czym odwróciła się i pobiegła na parking. Przepadł gdzieś cały jej splendor biżuterii i jedwabnego szala, pozostała jeszcze jedna zrozpaczona kobieta w walce z szaleństwem świata.

# 41

SZEŚĆ LAT WCZEŚNIEJ

## ***Wojownik Olaf i jego Walkiria***

Przez sześć szczęśliwych lat znajda Olaf był przykładnym kompanem: nigdy nie istniał na świecie pies czystszeo serca, szlachetniejszy, radośniejszy i bardziej kochający. Wynurzył się z deszczu i został najlepszym przyjacielem ukochanej dziewczynki i wiernie stał u jej boku mimo zmian nastroju i okoliczności, z równym jak ona zapałem lubiąc morze i deskę surfingową.

Pierwsze objawy zostały zauważone, gdy rak przerzucił się ze śledziony na wątrobę i serce. Doktor John Kerman nazwał go „naczyniakomięsakiem”. Bibi co prawda kochała język, ale to słowo miała znienawidzić do końca życia, jakby było nie zwykłym wyrazem, tylko jedną z nazw Zła. Ani chemia, ani napromienianie nie mogły przedłużyć życia psu. Zdaniem weterynarza Olafowi pozostał tydzień, najwyżej dwa tygodnie.

Bibi wypełniła ten krótki czas całą ilością uczucia, jaką dało się w niego zmieścić. Karzyła przyjaciela jego ulubionymi smakołykami i podsuwała specjały, których jeszcze nie znał. Brała go na spokojne spaceru, nie tam, gdzie sama by sobie życzyła, tylko tam, gdzie on zdawał się mieć ochotę. Godzinami wysiaduwali na ławce na Inspiration Point, patrząc na morze w całej jego pogodzie i wzburzonej chwale, i jak zawsze zwierzała się golden retrieverowi ze wszystkiego.

Rodziców nie dziwiło przywiązanie Bibi, ale nie spodziewali się, że jej troska o spokój ostatnich dni Olafa posunie się aż do

udziału w samej czynności eutanazji. Nadejdzie czas, gdy rak, dotąd bezbolesny, zacznie objawiać się nieznośnymi bólami. W przypadku człowieka śmiercią naturalną jest śmierć pełna godności. Ale zwierzęta są niewinne, a ludzie jako ich opiekunowie winni okazać im litość. Bibi uznała nie tylko, że nie wolno dopuścić do tego, żeby Olaf cierpiał, lecz także, że nie powinien odczuwać strachu, gdy będzie usypiany. Pies lubił weterynarza, ale nie lubił igieł i na ich widok robił się niespokojny. Więc tylko zaufana pani, którą tak bardzo cenił, mogłaby zrobić mu zastrzyk tak, by wystraszyć go najwyżej na moment.

Doktor John Kerman był dobrym człowiekiem, życzliwym i miłym zarówno dla ludzi, jak i zwierząt, lecz początkowo miał wątpliwości, czy przychylenie się do prośby Bibi, by sama wykonała śmiertelny zastrzyk, jest mądrym posunięciem. Chociaż nad wiek dojrzała, miała jednak dopiero szesnaście lat. Dość szybko przekonała go, że da sobie radę z tym zadaniem zarówno emocjonalnie, jak i intelektualnie. W ciągu owego tygodnia zapraszał ją do gabinetu, żeby przypatrywała się, jak umieszcza się cewnik w żyłę w łapie psa, którego trzeba było znieczulić przed czyszczeniem zębów albo innymi zabiegami. Uczestniczyła też w dwóch niespodziewanych eutanazjach, które obserwowała z powagą – płacząc jedynie potem, w domu. Na winogronach ćwiczyła wprowadzanie igły pod starannie dobranym kątem.

Rankiem dziesiątego dnia po ustaleniu rozpoznania stan psa pogorszył się, nastąpiło raptowne osłabienie nóg. Ciężko oddychał i zaczął popiskiwać ze strachu. John Kerman przyjechał do nich z instrumentami, potwierdził, że nadeszła pora, i na szafce w pokoju Bibi położył potrzebne narzędzia.

Murph zaniósł Olafa na łóżko i na chwilę pozostawili dziewczynę samą z retrieverem, żeby mogła patrzeć mu w oczy i szeptać czułe słowa, i obiecywać, że kiedyś spotkają się znowu w świecie bez śmierci.

Gdy Bibi była przygotowana, weterynarz stanął przy łóżku, gotów do interwencji, gdyby straciła odwagę albo miała popełnić jakiś błąd. Nancy i Murph siedli na łóżku przy Olafie, trzymając go, głaskając i dodając otuchy.

Pies nie okazał typowego zaniepokojenia widokiem igieł i z zainteresowaniem patrzył na ręce pani. Były to dłonie delikatne, ale mocne i pewne. Po umieszczeniu cewnika w tętnicy udowej tylnej lewej łapy Bibi wbiła igłę w ampułkę i z wprawą wyciągnęła potrzebną dawkę. Powoli robiła zastrzyk przez port cewnika. Doktor Kerman preferował metodę dwuetapową, która polega nie na gwałtownym usypianiu psa, tylko na wywołaniu najpierw łagodnej senności. Barbituran przepływał z pojemnika strzykawki do żyły, a Bibi patrzyła w oczy Olafa, które mętniały ze zmęczenia i stopniowo się zamykały, szykując się na ostatni spoczynek. Gdy pies spał już na tyle głęboko, że z pewnością nie odczuwał najmniejszego śladu paniki z powodu skurczów mięśni, Bibi przez drugą igłę wstrzyknęła lek, który wstrzymał bicie szlachetnego serca.

W drodze na cmentarz zwierząt Bibi siedziała z tyłu samochodu, trzymając na kolanach owinięte w koc ciało Olafa.

Krematorium Power-Pak II mieściło się w podobnym do garażu budynku na tyłach cmentarza. Gdy rodzina życzyła sobie czekać podczas kremacji, zasiadała w holu dla gości w pomieszczeniach od frontu. Kiedy ciało Olafa umieszczono w krematorze – Bibi uparła się, żeby nie mieszać jego prochów z innymi – Nancy i Murph woleli czekać w holu, gdzie były gazety, telewizor i kawa. Bibi została w budynku na tyłach, siedząc na krześle w kącie i przyglądając się masywnemu piecowi kremacyjnemu, świadkowi ostatniej drogi przyjaciela przez ogień.

Po ponad dwóch godzinach przekazano jej prochy w małej urnie z brązu, jeszcze ciepłej w dotyku.

Wikingowie wierzyli, że wojowników padłych w boju przenoszą do Walhalli piękne dziewice zwane Walkiriami. Na ławce na

Inspiration Point, podczas spacerów po plaży i przy innych okazjach, Bibi czasami tłumaczyła Olafowi, że świat jest polem bitwy, a każdy w pewnym sensie wojownikiem, co należało do filozofii, którą przekazał jej Kapitan w czasach przed pojawieniem się Olafa. Wszyscy walczyli w dobrej sprawie – lub z tymi, którzy się jej przeciwstawiali.

– Ty także jesteś wojownikiem – mawiała, a retriever zawsze spoglądał na nią, jak gdyby to rozumiał. – Psy starają się, jak mogą. Przynajmniej w większości przypadków. I cierpią. Męczą i głodzą ich niegodni ludzie. Kto wie, co wycierpiełeś, nim mnie znalazłeś, mój ty futrzasty wojowniku.

Tego dnia po wyjściu z krematorium była dla Olafa Walkirią, chociaż nie mogła ponieść go do Walhalli, tylko do domu i do swojego pokoju, gdzie zamknęła się na trzy okropne dni, powalona przez żal, niezdolna do powiedzenia słowa nikomu, nawet mamie i tacie.

W czasie rozmowy z Nancy i Murphym, gdy przekazał nowinę o raku mózgu Bibi, doktor Sanjay Chandra zapytał, jaką dziewczyną jest Bibi, o jej psychikę i osobowość, by wybrać najlepszy sposób do zakomunikowania jej diagnozy.

Murph powiedział: *Bibi to wyjątkowa dziewczyna. Jest inteligentna... Domyśli się, jeżeli na milimetr rozminie się pan z prawdą... Będzie wolą usłyszeć nagą prawdę... Jest twardsza, niż wygląda.*

Kiedy te słowa nie wystarczyły do opisanie, jaką dziewczyną jest Bibi, Murph opowiedział lekarzowi o eutanazji Olafa.

## ***Księga skoku pantery i gazeli***

Bibi odprowadziła wzrokiem Calidę Butterfly, która czmychnęła z podwórka, przepadając na parkingu i w mrokach nocy. Podniecona adrenaliną, obawami i aurą tajemniczości, rzuciła okiem na zegarek – 22:04. Popatrzyła na balkon na drugim piętrze i pomyślała o łóżku. Mimo dreszczów zdumienia i grozy, od których w głowie kotłowały się myśli, gdzieś głębiej czuła znużenie, które w odpowiednich warunkach wypłynie na powierzchnię i ją ogarnie. Niedokończone chardonnay w butelce może się okazać kluczem do krainy snów. Czy rzeczywiście grozi jej coś w tym zaciszu, w którym od lat zamykała się przed światem, jego pokusami i frustracjami, by tworzyć światy własne? Calida twierdziła, że tak. Kazała jej uciekać i się kryć. Ale imię Calida nie było synonimem *prawdy*. Gdy wychodziła, róże pachniały tak samo i były równie piękne jak w momencie, kiedy tam wchodziła, i wcale nie gniły, jak zdawało jej się, gdy siedziała przy stole w kuchni, będąc pod wpływem Calidy. Na świeżym powietrzu kalifornijskiej nocy mogła niemal uwierzyć, że ostatnie zdarzenia nie są wcale tak dziwne, jak zdawały się w swoim czasie.

Niemal uwierzyć nie znaczy uwierzyć do końca. Z sercem ciągle bijącym zbyt szybko i za mocno pochyliła się po torebkę, którą wypuściła po zderzeniu z wróżbiarką, i zarzuciła ją sobie przez lewe ramię. Z laptopem w prawej ręce ruszyła na parking.

Jej uwagę zwrócił przedmiot leżący w wachlarzu drżących

cieni liści palm i światła latarni. Podniosła z ziemi niewielką książeczkę, która musiała wypaść z walizki Calidy razem z innymi akcesoriami do wrózenia. Na okładce z solidnego, jasnobrązowego płótna widniały dwa inkrustowane, stylizowane na secesję postacie z barwionej i misternie grawerowanej skóry, przedstawione tyłem do siebie, z profilu – pantera skacząca w stronę grzbietu i gazela skacząca na prawo. Bez tytułu i nazwiska autora.

W pobliżu rozległ się głęboki, chrapliwy i donośny krzyk czapli modrej, wyrywając Bibi z zamyślenia. Uniosła wzrok, pewna, że ptak przelatuje gdzieś nisko. Po szlakach nieba tylko gdzieś w oddali przesuwiał się policyjny helikopter. Ptaka wielkości czapli – cztery stopy wysokości i skrzydła rozpiętości sześciu stóp – nie sposób przeoczyć, kiedy leci. Gdy rozległ się znowu, głośniejszy i dłuższy niż poprzednim razem, sprawiał wrażenie nie zwykłego głosu przyrody, tylko wezwania spoza czasu, mistycznego alarmu, który miał przerwać jej niezdecydowanie. Mając nadzieję zniknąć przed pojawieniem się Niewłaściwych Ludzi, wybiegła z podwórka na parking.

# 43

SZEŚĆ LAT WCZEŚNIEJ

## *Trzy dni w zamkniętym pokoju*

Opowieść Murphy'ego dla doktora Sanjaya Chandry kończyła się kremacją Olafa i pójściem Bibi do pokoju, gdzie spędziła trzy dni przy urnie z prochami psa. Wyglądało to jak naturalne zakończenie, ale istniała jeszcze jedna scena, znana tylko dziewczynie. Być może zamiast sceną w pełnym tego słowa znaczeniu należałoby ją nazwać kodą: tylko Bibi znała jej zakres i złożoność.

W żadnym innym domu szesnastolatka nie mogłaby się izolować w swoim pokoju przez bite trzy dni, żywiąc się jabłkami, krakersami z serem i masłem orzechowym i opiekаныmi migdałami. Kiedy rodzice spali, wykradała z lodówki napoje i wodę mineralną. Nie odpowiadała na pytania zadawane przez drzwi, choć po kilku godzinach zostawili ją w ciszy i spokoju.

Zawsze kochali ją głęboko i bez zastrzeżeń i chcieli dla niej jak najlepiej, ale nigdy nie wiązały się z tym żadne konkretne oczekiwania. Nie udzielali jej rad wybiegających poza codzienne sprawy życia w domu. Nigdy nie sugerowali, że jakaś próba czy ambicja są lepsze od innych jej planów czy zamierzeń. Ich ewentualne poglądy można by było określić mianem libertariańskich, a miłość do córki wyrosła z tej samej gleby. Gdyby ich zapatrywania w tych sprawach były różne, dom mógłby stać się areną nieustających sporów i napięć, bo już w wieku sześciu, siedmiu lat Bibi umiałaby zająć stanowisko



odmienne niż rodzice.

W dzieciństwie krewni i inni ludzie często zwracali uwagę na jej spokój i dystans (przez co dawali do zrozumienia, że sprawia wrażenie nieśmiałej albo, co gorsza, wyniosłej), zauważali, że jest nad wiek pewna siebie i samodzielna (przez co chcieli powiedzieć, że uważają ją za podejrzaną dziwaczkę), zawsze z życzliwą troską dostrzegali, że nieco zbyt poważnie podchodzi do życia, że zajmuje się wszystkim – lekturą, surfowaniem lub skateboardingiem na zawodach czy nauką gry na klarneckie – z niepokojącą intensywnością (tym sposobem chcąc przestrzec przed skłonnościami do zachowań obsesyjno-kompulsyjnych) i z niepewnością w głosie chwalili, że może wyrosnąć z niej jakiś geniusz, cudowne, a przynajmniej utalentowane dziecko (w ten sposób unikając powiedzenia na głos, że ich zdaniem jest dziwna). Nancy i Murphy rozumieli, przynajmniej w pewnym sensie, że mieszkają z kimś obcym, łagodną istotą nie z tego świata, która ich kocha, ale nie rozumie ich podstawowych zasad, takich jak na przykład doktryna, że będzie to, co ma być, będąca fundamentem ich wiary, i nie przeszkadzała im odmienność córki.

Dlatego Bibi spędziła trzy dni w samotności z urną z prochami Olafa zawsze gdzieś pod ręką, nigdy przy tym nie będąc sama, a już z pewnością nigdy się nie nudząc. Przy stoliku w kącie, w fotelu i często siedząc na łóżku płakała z żalu i pisała całymi godzinami. Czasami zapisywała coś w dzienniku, kiedy indziej tworzyła zmyślane historie w dużym żółtym notatniku w linie, zawsze starannym pismem, które nawet w czasie najdłuższych ciągów nie przechodziło w bazgraninę.

W przeszłości często zdarzało jej się pisać, gdy była zakochana – w myślach, języku, opowiadaniu – i przez godzinę albo dwie nie miała najmniejszej ochoty odrywać wzroku od kartki. Przy prochach Olafa zakochanie wzbogaciło się o rozpacz, rozpacz energiczną jak nigdy przedtem. W ciągu

tamtych trzech dni starała się przede wszystkim pozbyć pewnych złych myśli, szczególnie jednej, od której lepsze byłoby nawet samobójstwo.

Pisanie ją wyczerpało, dlatego wydawało się, że kiedy rzuciła się na łóżko, nie pozostanie już wyobraźni na budowanie opowieści we śnie. Ale tam roilo się od fantastycznych przygód, zagrożeń i tajemnic. Wiele razy – choć nie wyłącznie – śniły jej się wysokie, mniszce postacie w rozmaitych miejscach i sytuacjach. Gdy te złowrogie widma odwracały się ku niej, za każdym razem wyrywało ją to z koszmaru i miała pewność, że zmarłaby we śnie, gdyby zobaczyła coś więcej niż blade, księżycowe zarysy ich twarzy.

Trzeciego dnia przypomniła sobie pewien sposób na zapominanie, którego nauczył ją Kapitan. Na różnych wojnach widział rzeczy – krwawe skutki ludzkiej podłości, czyny o najczarniejszych odcieniach okrucieństwa – które zakłócały mu sen i go przygnębiały. Nie mógł znieść życia z takimi wspomnieniami. Ten sposób na zapominanie przekazał mu cygański albo wietnamski szaman, a może irański odpowiednik kapłana voodoo. Kapitan nie pamiętał tożsamości dobroczyńcy, z pewnością dlatego, że przy użyciu czarodziejskiego zabiegu ją zapomniał. W każdym razie najpierw trzeba było zapisać zniechęcone wspomnienie, lekkomyślne pragnienie czy zły zamiar na kawałku papieru – sposób służył do pozbywania się nie tylko niedobrych wspomnień. Potem wypowiadało się sześć słów o wielkiej mocy, szczerze, wkładając w to całe serce. Po wymówieniu zaklęcia papier wkładało się do popielniczki albo miski i podpalało. Albo cięło na drobne kawałki i spuszczało w klozecie. Lub zakopywało na cmentarzu. Jeżeli powtarzało się czarodziejskie słowa z pokorą i jeśli naprawdę pragnęło się zapomnienia, ono przychodziło.

Bibi zapomniała. Nie na zawsze, jak się okazało, ale na całe lata zapomniała o niedobrej myśli, którą wypisała na kartce, o tym, co chciała zrobić – i niemal zrobiła – i co zniszczyłoby jej

życie. Dotkliwy żal pozostał, za to wraz ze wspomnieniem uwolniła się od strachu. Tamtej nocy spała i nic się jej nie śniło, a nazajutrz wróciła do normalnego życia.

Użyła przekazanej jej przez Kapitana metody zapominania po raz trzeci. Póki co nie pamiętała dwóch pierwszych okazji.

## ***Przyzwyczajanie się do paranoi***

Stojące samochody i grube belki, na których spoczywały parkingowe wiaty za mieszkaniami, zapewniały osłonę każdemu, kto mógłby żywić niedobre zamiary. Bibi spodziewała się co najmniej faceta, który zastanawiał się nad znaczeniem indywidualnych tablic rejestracyjnych.

Skierowała się wprost do swojego forda explorera, zaparkowanego obok bmw Nancy. Rozglądała się w poszukiwaniu podejrzanego, gotowa rzucić laptopa, by wyjąć z naramiennika pistolet. Dotarła do SUV-a nie niepokojona przez nikogo, wsiadła i zaraz zablokowała drzwi. Poczowała się jak idiotka, zastanawiając się, czy explorer nie wybuchnie przy zapalaniu silnika, co oczywiście nie nastąpiło. Dramat, w którym się znalazła, był jak na razie pozbawiony klisz rodem z filmów o mafii.

Gdy wyjechała z parkingu i skręciła w lewo, gdzieś z tyłu zapaliły się światła, odbijając się w jej lusterku. Jakiś sedan wyjechał za nią na ulicę. Kiedy na pierwszym skrzyżowaniu skręciła w prawo, tak samo postąpił drugi pojazd. Po dwóch kolejnych skrętach nie miała już wątpliwości, że ją śledzi.

„Czy to może być jeden z nich – tajemniczych Niewłaściwych Ludzi?” – zastanawiała się, pierwszy raz myśląc o nich z wielkiej litery. Nie. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że wrogowie o paranormalnych zdolnościach, które z pewnością posiadali Niewłaściwi Ludzie, nie muszą się uciekać do

typowych metod prywatnych detektywów, jeżdżąc za nią jak za żoną podejrzaną o cudzołóstwo.

Był tylko jeden sposób poznania śledzącego ją człowieka, ale Bibi nie wiedziała, czy ma ochotę na konfrontację. Była wdzięczna Paxtonowi za to, że zachęcił ją do kupienia broni i nauczył posługiwania się nią, lecz smutna prawda brzmiała, że nabycie broni i poznanie jej działania nie przygotowywało dostatecznie do wzięcia na muszkę człowieka i naciśnięcia spustu. Pięć minut jeździła przypadkową trasą, rozważając możliwe wyjścia. Sedan zbliżał się, zostawał w tyle i znowu ją doganiał. Przepuścił nawet jakiś inny samochód, żeby się za nim schować, ale wbrew jej nadziejom nie zniknął.

W końcu nie mogła już dłużej czekać. Wjechała na autostradę Pacific Coast, okolicę znaną z mnóstwa modnych restauracji i nocnych klubów, gdzie zawsze panował duży ruch i znalazłaby wielu świadków, dzięki którym mogłaby się poczuć bezpiecznie. Podjechała do skrzyżowania i jako pierwsza stanęła na czerwonym świetle. Zmotoryzowany natręt znajdował się dwa pojazdy od niej, po większej części zasłonięty przez cadillaca escalade. Zaciągnęła ręczny hamulec i wysiadła.

Gdy przechodziła obok escalade naćkanego świecidełkami, mężczyzna za kółkiem skrzywił się, rozłożył ręce i opuszczając szybę, rzucił bez sensu:

– Droga nie jest twoją własnością, suko.

Była w takim nastroju, że przeciągnęła palcem przez gardło, jakby groziła mu nożem, tak że mógł zacząć się martwić, czy nie natknął się na wariatkę.

Natręt rozsiadł się w czarnym lexusie. Nawet przez kataraktę błysków z ulicznej latarni na przedniej szybie łatwo było poznać, kim jest: Chubb Coy. Szef ochrony szpitala. Który właściwie zarzucił jej kłamstwo w sprawie nocnej wizyty człowieka z psem terapeutą. Chubb Coy siedział jak nadęty pan Ropuch za kierownicą lexusa, a stara gliniarska intuicja na pewno swędziała go jak wysypka po kontakcie z trującym

bluszczem.

Gdy zobaczył idącą Bibi, ruszył lexusem w lewo, mało nie zahaczając jej zderzakiem, i przejechał przez podwójną żółtą linię, dzięki czemu znalazł się na pasach wiodących na południe. Przy wtórze klaksonów i piszczących hamulców zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i przepadł w ciemnościach.

## ***Nie ma ucieczki przed wrogami***

Bibi Blair cała się trzęsła, gdy siadała za kierownicą explorera i zamykała drzwi. Dreszcze nie brały się głównie ze strachu, chociaż odgrywał on tu swoją rolę. Złość, tak, zgoda. Bezczelne wtargnięcie Coya w jej świat zezłościło ją, ale tylko trochę. Podstawową przyczyną jej cierpienia było oburzenie, szok i niezadowolenie z powodu nagłego wdarcia się sił nierozumu w mechanizm świata, gniew z powodu splątania się wątków narracyjnych w jej życiu, z którego przez tyle lat układała zgrabną, linearną historię. Ta cała sprawa z Calidą nie miała sensu: otwarcie drzwi do innego świata, zimnego i cuchnącego zgnilizną, zamieszkałego przez wrogie, nieludzkie siły. Dobry samarytanin w kapturze i pies, których widziały tylko niektóre kamery. Teraz jeszcze Chubb Coy i jego swędząca intuicja. Śledził ją w nocy. O wiele przekroczył swoje uprawnienia, które kończyły się wraz z terenem szpitala. Była też przekonana, że to on wypytywał przez telefon o tajnego agenta. Pojawił się w jej życiu przed Calidą Butterfly, przed wróżeniem, które podobno sprowadziło jej na głowę nadprzyrodzone moce, gdy jeszcze nie słyszała o Niewłaściwych Ludziach, a mimo to zwykły rozsądek podpowiadał, że każde dziwactwo miało związek z pozostałymi.

Kierowca escalade stojącego za nią zaczął gwałtownie trąbić od chwili, gdy światła się zmieniły, odzyskując właściwe sobie grubiaństwo, skoro przekonał się, że Bibi nie jest jednak agresywną psychopatką.

Kilka minut później znalazła się na ulicy, gdzie rosły gigantyczne, stare platany, bezlistne o tej porze roku, i zatrzymała się przy krawężniku, żeby sobie wszystko przemyśleć. Zgasła światła, ale silnik pracował dalej, bo czuła się bezpieczniej, będąc gotowa w razie czego natychmiast dodać gazu i odjechać.

*Myśleć.* Od kiedy w jej mieszkaniu wszystko zwariowało, reagowała jak dzikie zwierzę, zapominając o swoim zwykłym spokoju i rozwadze. Działała według ich zasad, postawionych na głowie prawideł szaleńców. Uświadomiła sobie, że w ten sposób tylko jeszcze szybciej popada w obłąd. *Myśleć.* Nierzeczywiste i jawnie niemożliwe zdarzenia znalazłyby swoje logiczne wyjaśnienia, gdyby porządnie je przemyślała, a czyhające zewsząd zagrożenia albo zbladłyby, albo znikły zupełnie. *Myśleć.*

Zadzwoił telefon. Wyglądało na to, że dzwoni sama do siebie. Czyli sobie z niej drwili. Spryciarze. W każdym razie Niewłaściwi Ludzie znali się na technice.

Odebrała, starając się zachować maksymalny spokój, rzucając zdawkowe:

– Tak?

– Halo, Bibi. Znalazłaś już Ashley Bell?

Pomyślała, że udział w tej rozmowie oznacza grę według ich reguł, ale gdyby skończyła połączenie, nie miałaby najmniejszych szans na dowiedzenie się czegokolwiek.

– Kto mówi? – zapytała.

– Swego czasu nazywałem się Faulkner.

Na podstawie tej osobliwej odpowiedzi wywnioskowała, że podstawami jego stylu są mączenie i kombinowanie, lecz nie rezygnowała i spytała:

– Pisarz to twoja rodzina?

– Bardzo się cieszę, że nie. Nie cierpię większości książek i moli książkowych, dlatego zmieniłem nazwisko. Od dłuższego już czasu posługuję się nazwiskiem Birkenau Terezin. –



Przeliterował oba człony. – Znajomi mówią na mnie Birk.

Przypuszczała, że nie znajdzie takiego nazwiska w książkach telefonicznych, listach wyborczych czy spisach do podatku od nieruchomości hrabstwa Orange.

– W czym mogę pomóc, panie Terezin?

– Jestem w tej chwili w twoim mieszkaniu.

Nie dała się sprowokować.

– Jeżeli mogę pozwolić sobie na śmiałość – ciągnął Terezin – masz dobry gust, ale nie stać cię na piękne przedmioty. W efekcie wnętrze jest ambitne, ale tandetne. Rodzice nie są biedni. Czemu nie sięgnęłaś do ich kieszeni?

– To ich pieniądze. Ja dorobię się sama.

– Być może. Znaleźliśmy dwieście czterdzieści osiem stron powieści, którą piszesz, i zabieramy je wraz z komputerem. Wszystko zniszczymy.

Bibi rzuciła okiem na laptop leżący na siedzeniu obok. Kopia tekstu była w jego pamięci.

– Zdobędziemy też laptopa – oznajmił Terezin.

Bibi nie chciała dawać mu satysfakcji reagowaniem na te banalne próby przekonania jej, że tamten czyta w jej myślach.

– A jeśli skopiujesz tekst na pendrive'a, dotrzemy też do niego. I rozgnieciemy go.

Chodnikiem przez kałuże świateł latarni i cieni platanów szedł mężczyzna z niemieckim owczarkiem.

Bibi spytała dzwoniącego:

– Czego ode mnie chcesz?

– Tylko cię zabić.

Człowiek z psem minęli explorera. Obserwowała w bocznym lusterku, jak się oddalają.

Terezin mówił dalej:

– Wolałbym zrobić to w sposób mniej pospolity niż kula w łeb. To zbyt banalne jak na pisarkę, której opowiadania ukazały się w tak szacownych czasopiśmie. Śmierć od tysiąca ciosów nożem byłaby ciekawa, zwłaszcza przy użyciu zaostrzonych

ołówków, z którymi wyglądałabyś jak jeżozwierz.

Do głowy przyszła jej odpowiedź prosto z taniego serialu, dlatego sobie darowała.

– My wierzymy w sprawiedliwość, Bibi. Czy nie uważasz, że wszystkie istoty żywe zasługują na sprawiedliwość?

– Chyba wy.

– Komórki raka żyją, Bibi. Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałaś? Są takimi entuzjastkami życia, że rosną dużo szybciej niż normalne komórki. Guz to coś żywego. Zasługuje na sprawiedliwość.

– Nic ci nie zrobiłam – powiedziała, starając się nie przybierać jękliwego tonu, który mógłby zasugerować słabość.

– *Obraziłaś* mnie. Głęboko *nas* uraziłaś, gdy pozwoliłaś tej głupiej masażystce domagać się od nas odpowiedzi. Dlaczego Bibi Blair została ocalona przed rakiem? Odpowiedź jest prosta, bardzo prosta – żeby mogła umrzeć w inny sposób.

Bibi nie łudziła się, że racjonalna rozmowa z mordercą fanatykiem nawróci go na drogę jasnego myślenia. Do tego dochodziła możliwość, że tylko podsyci ogień jego szaleństwa i sprawi, że stanie się jeszcze bardziej niebezpieczny. Dobrym wyjściem nie było też przerwanie połączenia i udawanie, że on nie istnieje. Przeszła więc do sedna i spytała:

– Kto to jest Ashley Bell?

Głośna odpowiedź na milę pachniała protekcjonalnością:

– Chyba nie traktujesz tych poszukiwań poważnie, co?

– Nie jest ci wszystko jedno?

Zamiast odpowiedzi usłyszała:

– Dla nas jesteś robakiem, kompletnym zerem, po którym depte się bez zwracania na niego uwagi. Nie masz szans na jej odnalezienie. My dopadniemy cię pierwsi i wszystko się skończy. Wiedziałaś, śliczna Bibi, że każdy smartfon jest też GPS-em? Gdzie się nie ruszysz, zdradziecki telefon informuje o twoim położeniu w czasie rzeczywistym. – Oczywiście, że o tym wiedziała, ale nie przypuszczała, że może paść ofiarą

technologii. – Każdy, kto ma znajomości na policji czy w odpowiednich firmach technologicznych, może znaleźć cię o każdej porze dnia i nocy. I każdy, kto umie zhakować ich systemy, moje krąglutkie zero. – Poczwała, jak telefon w jej ręce ożywa. – A trzyletni ford explorer – ciągnął Terezin – kupiony za własne pieniądze, dumny znak samodzielności, też ma oczywiście GPS-a. Na każdym kroku może cię śledzić satelita. Nawiasem mówiąc, jak pójdziesz po pomoc do mamy i taty, też ich zabijemy.

Wyłączyła telefon i upuściła go na podłogę, chociaż wiedziała, że to niczego nie zmienia. Nieustannie płynący sygnał będzie ją lokalizował. Zgaszenie silnika SUV-a też na nic się nie przyda. Odsunęła suwak torebki, wcisnęła do niej książeczkę z panterą i gazelą, zasunęła, wzięła laptop, a z nim jedyne ocalałe dwieście czterdzieści osiem stron niedokończonej powieści. Wysiadła z explorera. Porzucając telefon i forda, dopuścił możliwość zaistnienia niemożliwego. Jeśli wierzyła, że Niewłaściwi Ludzie są w stanie namierzyć ją takimi tradycyjnymi środkami, jak nowoczesna technologia, musiała też chyba przyjąć do wiadomości, że w czasie sesji jasnowidzenia Calidy ci sami ludzie dowiedzieli się o niej wszystkiego za pośrednictwem psychicznego odpowiednika fal sejsmicznych, których źródło umieli znaleźć. Kilka ulic na zachód rozbłysły światła samochodu, białe jak lód i dziwne wśród stojących na straży platanów, niczym magiczne światło krzesane nieziemską ręką, rozciągające cienie nagich konarów aż do ich przerwania. Gdy Bibi odwróciła się na pięcie w kierunku, skąd dochodził warkot silnika, zobaczyła kolejne światła i wielki SUV skręcił w ulicę, groźny jak pojazd pełen zabójców z CIA. Chwila ta za bardzo przypominała sceny z filmów, by można było potraktować ją poważnie, ale ostatnio w rzeczywistym świecie pojawiło się wielu spośród najmniej wiarygodnych czarnych charakterów kina kilku ostatnich dziesiątków lat, karykaturalnych jak wszyscy socjopaci grani

przez zblazowanych aktorów. Ucieczka na wschód albo na zachód mogła skończyć się w kleszczach pogoni, rzucenie się na północ oznaczałoby przebiegnięcie przez półodsłoniętą ulicę. Nie mając innych sensownych możliwości, po krótkiej chwili wahania Bibi przyjęła do wiadomości istnienie tego nowego, mrocznego i niezbadanego świata, w którym się nagle znalazła. Przebiegła chodnikiem na trawnik przed domem z fasadą licowaną łupkiem, mansardami w dachu, białymi gzymsami, głębokim gankiem od frontu i oknami lśniącymi jak szybki ręcznej lampki ze świeczką w środku. Było to miejsce schronienia po długim, wyczerpującym dniu, gdzie zawsze można poczuć się jak u siebie w domu. Lecz dom nie należał do niej i domyślała się, że gdyby spróbowała się tu schronić, drzwi otwarłyby Chubb Coy lub niegdysiejszy Faulkner, posługujący się teraz nazwiskiem Birkenau Terezin, lub ktoś jeszcze dziwniejszy i bardziej niebezpieczny. Przebiegła przed budynkiem, w poświęcie z okien, znalazła się w ciemności na podwórku, nie mając jeszcze określonego celu, posłuszna instynktowi, który gwarantował bezpieczeństwo wyłącznie w nieustannym ruchu.

### **III**

*Od czasu do czasu świat popada w obłąd*

## 46

### ***Dokąd poszła, gdy nie mogła już wrócić do domu***

Po wyrzuceniu telefonu i zostawieniu auta, trzymając się laptopa nie z powodu jego wartości, tylko dla dwustu czterdziestu ośmiu stron, które istniały tylko w jego pamięci, Bibi Blair weszła na podwórko za domem obłożonym łupkami, zastanawiając się, czy ucieka przed bardziej pokręconym odpowiednikiem policjanta z *Nędzników* czy przed kolejną wersją morderczego robota z *Terminatora*, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, czy jej przejścia pasują bardziej do klasyki czy popkultury.

Z ulicy dobiegł zgrzyt hamulców, ale nie towarzyszył temu łoskot rozbijania. Albo nie doszło do wypadku, albo dwa pojazdy przywiozły pogoń. Nieruchomość otaczał jeden z tych tynkowanych murów z betonowych pustaków, które Kalifornijczycy zwaą ogrodzeniami. Na końcu działki Bibi położyła na nim torebkę i komputer. Obiema rękami złapała za cegły wieńczące tynkowane pustaki i przeszła na inne podwórko.

Wzięła torebkę i laptop i okrążyła basen, ledwie widoczny w świetle księżycy w pierwszej kwadrze, z mruczącą pompą do obiegu wody.

Na drodze od ciemnego domu do ogrodzenia stał oparty o ścianę rower z koszykiem zamontowanym na kierownicy.

Bibi włożyła laptop i torebkę do koszyka i wyprowadziła rower

na ulicę. Wsiadła i pojechała na zachód, dodając kradzież do wtargnięcia na prywatny teren. Obejrzała się, a nie widząc nikogo, miała odwagę pomyśleć, że nie dowiedzą się, że podprowadziła rower.

Gdyby źli ludzie faktycznie ścigali ją na piechotę, a potem wrócili do SUV-ów i przystąpili do poszukiwań z większym rozmachem, zginęłaby, gdyby znaleźli ją na ulicy. Nie baliby się publicznej egzekucji z napędem na cztery koła.

Powinna jak najszybciej zjechać ze wzgórz i zniknąć za mostem na półwyspie Balboa, żeby nie wiedzieli, jaką obrała drogę. Na Newport Boulevard skręciła w lewo, obok szpitala, ścinając zakręt, żeby nie stracić prędkości. Potem droga biegła już prosto i cały czas z górki, aż do półwyspu. Trzy pasy, ruch niewielki. Nie interesowała jej ewentualna ścieżka rowerowa. Woląca szeroką, pustą jezdnię. Kamienie, kije i inne śmieci zawsze lądowały na ścieżce dla rowerów i przy takiej prędkości mogły skierować pojazd na nasyp i wysadzić człowieka z siodła. Wychylona do przodu, z głową nisko, pruć chłodne nocne powietrze. Jeszcze nigdy nie jechała rowerem tak szybko. Mijała samochody osobowe i ciężarówki, których kierowcy trzymali się od niej z daleka, gdy tylko zorientowali się, kto jedzie. Czułaby uniesienie, gdyby nie spodziewała się Niewłaściwych Ludzi, którzy zajadą ją od tyłu.

Obawiała się też spotkania z policją. Środek bulwaru to nie jest miejsce dla roweru. Nie założyła kasku, jak wymagały przepisy. I miała przy sobie ukrytą broń. Z pozwoleniem, ale w razie nieporozumień...

Nim się zorientowała, po lewej zamigotały wody zatoki i znalazła się już na moście. Zjechała z ostatniego stoku na nizinny półwysep. Ziemi było tutaj tak mało i była tak cenna, że ludzie naprawdę bogaci i ledwie zamożni mieszkali w bajkowych domach nad wodą na posesjach jak z widokówek, rzut beretem od starszych, odjechanych domków na plaży, wynajmowanych przez grupy surferów pracujących za marne

grosze, żeby poświęcić większość czasu na ujeżdżanie epickich fal albo spadanie z deski, wszystko jedno, bo liczyło się tylko *bycie tam*.

Macki mgły powoli, na ślepo sunęły ulicami od strony morza, pokrywając twarz Bibi rosą. Zostawiła rower w zaułku za szeregiem firm, teraz zamkniętych, i piechotą poszła na bliższe z dwóch mol.

Kończył się czwartek, ruch był niewielki. Jak na gęsto zabudowane i zamieszkałe miejsce Półwysep Balboa robił wrażenie opustoszałego. Łatwo było sobie wyobrazić, że samotna kobieta mogła ot tak, po prostu przepaść tu bez śladu.

Węzły mgły łączyły ziemię z morzem, a przejeżdżające auta kojarzyły się Bibi z łodziami podwodnymi, lawirującymi wśród zatopionych domów miasta o architekturze skromniejszej niż Atlantyda. W pobliżu mola, gdzie żelazne latarnie, stylizowane na stare, posrebrzały mgłę, pozostała chyba zupełnie sama.

W razie czego nosiła przy sobie klucze do Pogłaskaj Kota. Po wejściu, w ciągu minuty przed włączeniem się alarmu, wpisała kod. Lampki alarmów, rozmieszczone po sklepie dla niepokojenia złodziei, dawały wystarczająco dużo światła, przy którym Bibi dotarła do schodów w lewym rogu na tyłach sklepu.

Sklep zajmował dwa lokale. Tata płacił też za pomieszczenia na piętrze, które w przeciwnym razie zostałyby wynajęte jako mieszkanie. W jednej połowie przestrzeni na górze magazynował towary, drugą wykorzystywał jako biuro z malutką kuchnią i ciasną łazienką z prysznicem.

Poza biurkiem i regałami w pokoju stała wygodna kanapa i dwa fotele. Na ścianach wisiało pięć oprawionych w ramki, oryginalnych plakatów z filmu *Bezkresne lato*. Tata nie sprzedałby ani jednego.

Bibi zapaliła lampkę i zamknęła żaluzje o listewkach na tyle gęstych, że przepuszczały mało światła.

W fotelu ojca poczuła się bezpiecznie pierwszy raz od ucieczki



z mieszkania. Obok lampki na biurku stało zdjęcie Bibi z matką.

Tak chciała do nich zadzwonić, ale pamiętała pogroźkę Terezina. Jeśli poprosi ich o pomoc, on ich zabije.

Ciekawe, co policja powiedziała by na jej niecodzienną historię. Czy uznaliby, że stanowi zagrożenie dla siebie i innych i skierowali ją na badania psychiatryczne? Przynajmniej na razie organy władzy były bezużyteczne.

Włączyła laptopa. Na biurku stał kubek z różnymi ołówkami i długopisami. Wsunęła szufladę w poszukiwaniu notesu albo kartki.

W szufladzie zauważyła między innymi srebrną miseczkę, a w niej reklamówkę One-Zip z płytkami do scrabbli. Po chwili wyjęła ją z szuflady.



Internetowa książka telefoniczna hrabstwa Orange wymieniała wiele osób nazwiskiem Bell, lecz Bibi nie znalazła ani jednej Ashley. Mogła istnieć jakaś żona czy córka imieniem Ashley, lecz znalezienie jej wymagałoby zadzwonienia pod każdy numer lub udania się pod każdy z podanych adresów. Poza tym na pewno byli Bellowie nieuwzględnieni w książce. Zadanie ponad ludzkie siły. Trzeba wymyślić jakiś sprytniejszy, szybszy sposób.

Wygooglowała Ashley Bell i znalazła ich sporo od Waszyngtonu po Florydę, ale żadnej w hrabstwie Orange, co podważyło jej założenie, że kobieta musi być z okolicy. Zdjęcia niektórych Ashley znalazła na Facebooku – mężczyzn i kobiet – ale widok ich twarzy nie wywołał w niej dreszczu rozpoznania.

Co pewien czas zerkała na miskę z płytkami. Nie była taka sama, jakiej używała Calida. I amazonka trzymała płytki we flanelowym woreczku, a nie w reklamówce One-Zip.

Więc... pytania. Jeżeli scrabblemancja była dla Murphy'ego

i Nancy tylko wygłupem, po co im własne akcesoria? Czy rozrywka zmieniła się w obsesję? Lecz zakładając, że Calida nie jest oszustką, tylko zdolną wróżbitką, same przyrzędy byłyby bezużyteczne dla ludzi bez jej talentu. Czy Murphy uważał się za medium?

To zakrawało na niedorzeczność. Ludzie dożywający pięćdziesiątki zgodnie z beztroską filozofią, że będzie, jak ma być, których stosunek do losu polegał na niezadawaniu pytań i niezdradzaniu sekretów, którzy nigdy – nawet przelotnie – nie interesowali się kwestiami filozoficznymi, żyli pracą, surfowaniem i prostymi przyjemnościami, nie stawali się z dnia na dzień okultystami, tak samo jak nie zostawali wierzącymi świadkami Jehowy, chodzącymi po domach i rozdającymi ulotki. A jeśli ojca pogięło, z matką stało się to samo, bo zawsze byli zasadniczo jednością; być może ich główną zaletą było oddanie sobie nawzajem, głębokie i niewzruszone. Jest jeszcze mniej prawdopodobne, że Nancy została by adeptką tajemnej wiedzy. Była top agentką, pragmatyczną sprzedawczynią domów marzeń i do remontu, surferką z włosami zrobionymi na pazurki, bo dzięki temu zyskiwała co dzień iks minut, które można było poświęcić na pielęgnowanie opalenizny i dosiadanie fal, amatorką tequili i piwa, jalapeño i habanero, i z całą pewnością tak namiętną w małżeńskim łóżku, że córka wołała sobie tego nie wyobrażać. Nancy zbyt mocno stała na nogach, by dać się porwać balonowi okultyzmu. A skoro nie Nancy, to Murphy także nie. Wróżenie z płytek scrabbli mogło być dla nich co najwyżej zabawą towarzyską.

Po dłuższym czasie przy komputerze Bibi poszła do łazienki. Na toalecie obok zlewu znalazła buteleczkę spirytusu, komplet igieł krawieckich i białą bawełnianą szmatkę z zakrzepłymi plamami krwi, niektórymi jeszcze wilgotnymi.

# 47

## ***Nocni goście***

Bibi nie chciała snuć domysłów na temat rodziców, ich zainteresowania okultyzmem i żadnych innych spraw. Srebrna miska, płytki z literami i ślady krwi nie mogły przecież oznaczać tego, co sugerowały. Odrzucała te myśli, czekając na jakies proste wyjaśnienie, które na pewno się pojawi, nagłe olśnienie, które nasunie całkowicie inną interpretację faktów, odpowiedź tak ewidentną, że poczuje się jak idiotka, że z miejsca na nią nie wpadła.

Wyczerpana po tak bogatym dniu wyjęła z biurowej lodówki zimne piwo i usiadła w fotelu. Może piwo ochłodzi ją w dobrym tego słowa znaczeniu i pomoże w przespaniu choćby kilku godzin.

Zarzucając domysły na temat Nancy i Murphy'ego, zaczęła się zastanawiać nad osobą, której miała ocalić życie, by tym samym odpłacić za wyzdrowienie z raka. Rozpamiętywała wszystko, co Terezin powiedział przez telefon. Jego pewność, że zabije Bibi, zanim ona dotrze do Ashley, nie brała się tylko z oceny, że Bibi stanowi łatwy cel. Nasuwał się logiczny wniosek, że wiedział, gdzie jest Ashley Bell, a w związku z tym wiedział, jak ciężko ją będzie znaleźć. Co wskazywało na dwie możliwości. Po pierwsze Ashley Bell mogła być jednym z nich, jednym z Niewłaściwych Ludzi zdolnych do użycia paranormalnych środków, by pozostać w ukryciu. Po drugie, i bardziej prawdopodobne, mogła być ich jeńcem,

przetrzymywanym z tych samych co zwykle, niegodziwych powodów... albo dla wyjątkowo przerażającego. W takim wypadku Bibi będzie musiała przejść kilka kręgów ich piekła domowej roboty, jeżeli chciała ją uwolnić.

Uwolnić.

Ocalić Ashley Bell.

W czasie rozmowy z Calidą Bibi upierała się, że nie ma ani ochoty, ani możliwości, aby stać się komiksową bohaterką, która ratuje nieznanym sobie ludzi. A przecież teraz zastanawiała się nad takim właśnie zadaniem. Coś się zmieniło. Niekoniecznie na lepsze. Być może wcale nie przekonała się do swoich możliwości i nie odkryła w sobie pokładów odwagi, których wcześniej nie podejrzewała, być może łatwiej było jej pogodzić się z bezrozumem, niż stawiać mu opór.

Postawiła butelkę po piwie na okrągłym stoliku przy fotelu i zamknęła oczy. Znużona w stopniu takim, że sama myśl o zdjęciu rąk z ramion fotela wydawała się męcząca fizycznie, mimo wszystko wątpiła, czy będzie w stanie zasnąć. Kłębiące się myśli nie znały zmęczenia. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze była dziewczyną, w której głowie kłębiły się myśli. We śnie myślowy kołowrotek nie przestawał się oczywiście kręcić, przędąc nić snów...

Jeśli wysokie postacie w długich szatach i kapturach zjawiły się w jej snach tej nocy, należały do istot i zdarzeń, których potem nie pamiętała. Trup w całunie, który grał epizodyczne role w jej koszmarach, a wyraźnie chciał zająć w nich bardziej poczesne miejsce, siedział w kilku scenach na różnych miejscach, z powodu zakutania niezdolny do wzięcia bardziej czynnego udziału. Jego bezruch dawał do myślenia, bo w snach przecież wszystko się może zdarzyć: zewłok mógłby rozerwać swój kokon wedle kaprysu śniącego, mógł pokazać swą twarz i rany, podskakując, robiąc groźne miny bądź krocząc dumnie po scenie i wygłaszając poważne monologi. Tymczasem na szpitalnej sali zjawił się tak jak wcześniej, na krześle obok

okna, w całunie zabarwionym blaskiem zachodu słońca, wymawiając zza maski: *Kształty... kształty... nieznane*. Albo siadał na wiklinowej sofie na ganku bungalowu, na próżno usiłując przebić ręką bawełnianą tkaninę i dotknąć Bibi, szepcząc: *...najwyższy pan... i ...na pewno prawda..., i ...nic... w ogóle nic...* Albo gdy otwierała jakieś drzwi, zastawała okutanego trupa na progu, mówiącego: *...siły natury...*

Spotkania z trupem nie były dostatecznie straszne, by wyrwać znużoną Bibi z mocnego snu na fotelu w biurze. Lecz potem nadszedł okropniejszy koszmar, okropniejszy, bo był czymś więcej niż zwykłym snem...

*Jest mała, nie ma nawet sześciu lat, leży w łóżku, a za oknami nadciąga noc. Przyćmione światło oświetla właściwie tylko odległy kąt pokoju, gdzie stoi włączona lampka nocna w kształcie Myszki Miki. Bibi jest małym dzieckiem, ale nie boi się ciemności. Trochę się wstydzi zabawnej Miki w żółtych butach i czerwonych spodenkach, z tym jej wielkim, głupkowatym uśmiechem. Rodzice kupili małą, pięciowatową lampkę tydzień wcześniej, bo uznali, że wszystkie dzieci potrzebują w ciemnościach jakiegoś pocieszenia. Tak, Bibi jest dzieckiem, ale nie niemowlakiem. Ma dość pieluszek. Bycie pilnowaną przez głupią Miki jest takie, jak dowiedzenie się, że jest się ciągle dzieckiem i dzieckiem się pozostanie na zawsze. W niektóre noce wstaje i wyłącza głupią, świecącą mysz. Nie chce ranić rodziców. Chce dla niej dobrze. Tylko dlatego nie wyrzuciła Miki lub nie wyniosła jej do łazienki, gdzie może nie drażniłaby jej aż tak bardzo. Naprawdę, serio jej tu nie chce. Ale tej nocy jest inaczej. Cieszy się, że nie została w całkowitej ciemności.*

*Leży na wznak, z pościelą naciągniętą pod brodę, nastuchuje, czeka, aż tamto się poruszy. Od czasu do czasu pełźnie albo posuwa się czy robi coś innego, kiedy chce się poruszyć. Potem cichnie, jakby zastanawiało się, co dalej, myślało, czego chce i jak to dostać. Trwa to już ponad godzinę.*

Wcześniej, przed początkiem złych zdarzeń, słychać było głosy i muzykę z telewizora grającego cicho w salonie, co dodawało otuchy. Gdyby słyszała teraz te dźwięki, czułaby się znacznie odważniejsza. Ale w domu panuje cisza, tak że gdy stwór postanawia ruszyć się z miejsca, słychać tylko ciche odgłosy, jakie przy tym wydaje. Nie byłoby tak źle, gdyby chodziło o mysz taką jak Miki, pomykającą tam i siam, popiskującą po mysiemu. Wtedy podniosłaby się z łóżka i próbowała zdobyć jej zaufanie, złapałaby ją delikatnie i wypuściła z domu na wolność. Mysie odgłosy są fajne, a mysz by się bała, nikomu by nie zagrażała, byłaby tylko przerażona. Jednak to nie jest mysz i raczej się nie boi.

Nie chce krzyczeć ani wzywać pomocy. Tak zachowują się małe dzieci. A gdyby rodzice przybiegli na jej wezwanie, być może niczego by nie znaleźli i potem już zawsze by się z niej śmiali. Na pewno coś jest tu przy niej w pokoju, ale możliwe, że tylko ona to słyszy i widzi. Tak się czasami zdarza w bajkach i w telewizji. Jest jeszcze jeden powód do zmartwienia. Rodzice mogą to usłyszeć i zauważyć, a wtedy ono może zrobić im krzywdę. Jeśli ich skrzywdzi, będzie to wina Bibi. Zamiast krzyczeć, odgania to coś myślami i za każdym razem, gdy cichnie, wydaje jej się, że zniknęło. Ale nie znika. Ciotka Edith z Arizony, która czasami ich odwiedza, mówi, że gdyby życzenia zamieniały się w ryby, nikt by nie głodował, ale Bibi chce tego mimo wszystko, bez sensu, bez nadziei.

Chce nie tylko, żeby ten potwór sobie poszedł, chce też, żeby Kapitan mieszkał już nad garażem i żeby mogła pobiec do niego po pomoc. Ale on wprowadzi się dużo później, sześć tygodni po jej szóstych urodzinach. Jeszcze się nie znają. Ona nawet nie wie, że Kapitan istnieje. Ale sny nie mają należytego szacunku dla porządku przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Gdy śni jej się bardzo mała Bibi, dorosła Bibi chciałaby ponad wszystko na świecie, żeby Kapitan znalazł się zarówno w jej obecnym życiu, jak i tamtej odległej nocy grozy w jej pokoju.

*Następnym razem, kiedy kończy się cisza, słyszy, jak to coś posuwa się wzdłuż ściany. Charakterystyczny stukot kabla od nocnej lampki wskazuje, że zmierza w jej kierunku. Odwraca głowę w prawo, bojąc się, że zobaczy, jak istota wynurza się z mroku niecałe dwie stopy od jej twarzy. Ale kabel przestaje stukać między ścianą i nocną szafką i stworzenie przemieszcza się dalej. Kiedy cichnie tym razem, niewątpliwie znajduje się pod jej łóżkiem.*

*Nawet gdyby chciała teraz krzyknąć, nie byłaby w stanie. Oddycha, lecz brakuje jej tchu. Gdyby chciała uciekać, nie mogłaby. Serce bije jej szybko i mocno, jest czujne i napięte, bije coraz szybciej i jeszcze mocniej, wprowadzając ją jednak w stan dziwnej uległości, czegoś w rodzaju paraliżu, w którym łopotanie serca wydaje się wybijać w nieustannym rytmie dwa słowa: moja wina, moja wina, moja wina...*

*Cisza przelewa się przez pokój. Jest ciężka. To sążnie oceanu, które ciąży ku dnu. Głęboki bezruch, brzemienne oczekiwaniem, w którym Bibi nieomal słyszy myśli tego stworzenia, jego pragnienia i gorączkowe intrygi.*

*Możliwe, że jego bezgłośny marsz wynikał z przebiegłości, może też koca tłumiły odgłosy poruszeń, bo zdała sobie sprawę, że jest z nią w łóżku dopiero wtedy, gdy pod pościelą stworzenie dotknęło jej lewej stopy.*

*Bibi zerwała się z fotela pod wpływem złośliwego dotknięcia istoty ze snu. Z wybałuszonymi oczami, ciężko dysząc, zaczęła się rozglądać, jakby spodziewała się zobaczyć, jak sen i rzeczywistość zlewają się w jedno, a ona nie jest już sama i bezpieczna. Było jej zimno do szpiku kości i psychicznie czuła się tak wyżęta, jak gdyby była pusta w środku.*

*Rozumiała szczególne skutki tego snu. Był to jedyny sen będący zarazem wspomnieniem. Po latach nagle przypomniała sobie, że była tam wtedy naprawdę, w tamtym miejscu i owej nocy – razem z pełzającym stworzeniem, którego tak się bała.*

# 48

## **Odbiór**

Paxton spodziewał się, że przyleci po nich średniej mocy helikopter z dwuosobową załogą. Gdy monstrualny Sea Dragon wylądował z hukiem na zachód od miasta – żadna z ulic nie pomieściłaby jego łopat o zamachu na siedemdziesiąt dziewięć stóp – zdał sobie sprawę, że zakres misji uległ zmianie. Zjawił się ze swoimi ludźmi na łące, gdy cichł ostatni z trzech wielkich turbosilników, łopaty wirnika zatrzymywały się ze świstem, a ostatni strumień powietrza obsypał ich twarze kurzem i plewami.

Poza dwoma pilotami i jednym członkiem załogi helikopter przywiózł dwóch specjalistów od wyburzeń, dwóch od akcji ratunkowych, czterech marines do osłony śmigłowca na ziemi i tonę różnego sprzętu.

Piechota morska była zawsze mile widziana, choć ich obecność oznaczała perspektywę walki, którą wcześniej raczej wykluczano. Najbardziej niepokoiło zaopatrzenie Sea Dragona, wykorzystywanego przede wszystkim do oczyszczania terenu z min, w karabin maszynowy GAU-21 kaliber 0,50 w ramach gotowości do wsparcia akcji zaczepnej.

Kapral Ned Sivert, człowiek bezpośredni, traktujący szeregowych polityków z rozbawieniem i wzdargą, które zostały mu wpojone podczas dzieciństwa w Heflin w stanie Alabama, zwięźle wyjaśnił nową sytuację:

- Jakiś żądny sławy, gównomózgi doradca Białego Domu



zająknął się na temat akcji i leniwe miejscowe oddziały postanowiły się tu zjechać i poszukać guza.

– W takim razie powinniśmy wynieść się stąd jeszcze szybciej – stwierdził Pax.

– Niby tak. Ale teraz jakiś generał w cywilu z Zachodniego Skrzydła żąda ciała Al-Ghazaliego, a nie tylko nitki DNA i zdjęcia do albumu. Dokładnie to żąda wszystkich siedmiu ciał.

– W ostatniej chwili? Dlaczego?

– Nigdy nie pytam zwierzchników, dlaczego. Mogliby mi powiedzieć, a wtedy miałbym pewność, że pracuję dla jeszcze większych głupków, niż mi się zdawało.

W helikopterze znajdowały się między innymi dwie przenośne prądnice na gaz, sprężarki, dźwigniki hydrauliczne i wielkie, nadmuchiwane worki z mocnego materiału, w których można było przenieść wielotonowe betonowe bryły.

– Będziemy wracać latającą kostnicą – powiedział Pax.

Gibb, którego matka czasami widywała ducha ojca kręcącego się przy ich domu w Georgii, który sam wierzył w duchy i nawiedzane przez nie miejsca, oznajmił:

– To nic, Pax. Takich jak my dzielnych chłopaków niełatwo wystraszyć.

– Dzielne chłopaki nigdy się nie boją. – Pax się uśmiechnął. – To ich wszyscy się boją.

– Nie zawsze – przyznał Gibb – ale przeważnie tak.

## 49

### **Człowiek, który pożyczył nazwisko od Śmierci**

Bibi rozsunęła listewki żaluzji i wyjrzała na chodnik i na parking przy molo, gdzie mgła skrzyła się w blasku latarni niczym diamentowy pył. Stała tak, póki nie upewniła się, że Pogłaskaj Kota nie jest pod obserwacją, dopóki nie przestała drzeć.

Teraz sobie przypominała...

Wspomnienie pełzającego intruza zapoczątkowało serię koszmarów, które powtarzały się przez osiem następnych miesięcy, do chwili, gdy do siódmych urodzin brakowało pół roku. Wtedy to po raz pierwszy skorzystała z czarodziejskiej metody pozbywania się wspomnień tak bolesnych, że zatruwają życie, którą poznała od Kapitana. Przy jego pomocy opisała na fiszce zdarzenia w swoim pokoju tamtej ponurej nocy, gdy Myszka Miki nie zdołała odstraszyć widziadła, nie tylko, co się działo, lecz także w jaki sposób i dlaczego. Trzymając fiszkę szczypcami i powtarzając sześć magicznych słów, których nauczył ją Kapitan, podpaliła kartkę od świecy. Gdy Kapitan zgarnął popiół rękami i zdmuchnął go z rąk do prasy na odpady, niechciane wspomnienie zostało wywiane z jej myśli.

Ten numer z powrotem do *tabula rasa* był dziecinnym kaprysem, tak samo magicznym jak papier i ogień. Lecz z taką mocą i nadzieją chciała, żeby zadziałał, że przez wiele lat skutkował. Bibi nie rozumiała psychologii wypartych

wspomnień. Możliwe, że nie chciała jej zrozumieć, bo skoro oszukiwała się w ten sposób, to może wcale nie była dzielną, gotową na wszystko dziewczyną, za którą się zawsze uważała.

Ponad piętnaście lat po spaleniu tamtego wspomnienia – i ponad szesnaście od obrzydliwego spotkania – niezwykle napięcie owej nocy ożywiło dawne wspomnienie. Ale zabrakło pewnych wypartych detali. Wówczas wiedziała, co czołgało się po pokoju i co wpełzło pod łóżko. Widziała to. A teraz już nie.

Może kiedyś przypomni jej się cała prawda, chociaż wtedy być może tego pożałuje.

Rozumiała już jasno, że jakieś nadzwyczajne zdarzenie z jej przeszłości ma związek z ustąpieniem raka i ze wszystkim, co działo się od chwili, kiedy Calida Butterfly zaczęła wyjmować płytki scrabblu ze srebrnej miseczki. We śnie będącym wspomnieniem stwór pełzający po jej pokoju mógł być w rzeczywistości potworem dalekim od zwykłego świata ludzi, ale być może nazywanie go *czymś* było sposobem zamaskowania prawdy, próbą odwrócenia oczu od tego, co się naprawdę stało, przez przekształcenie zagrożenia w nieszkodliwy stereotyp, w potwora typowego dla wszystkich koszmarów. Usiłowała przypomnieć sobie coś więcej, zwłaszcza z kluczowych chwil snu, lecz póki co nie była w stanie.

Drżenie ustało cztery po czwartej nad ranem. Wróciła do biurka, przeszukała szuflady, znalazła paczkę nieużywanych pendrive'ów i zrobiła dwie kopie rękopisu z laptopa. Wpełzła w przestrzeń na nogi i taśmą przytwierdziła jeden pendrive od spodu do blatu. Drugi wsunęła do kieszeni dzinsów.

Wzięła prysznic w małej łazience obok, a potem założyła z powrotem ubrania, które miała na sobie od czasu ucieczki z mieszkania.

Zajrzała do lodówki, ale nie znalazła nic do jedzenia oprócz kubka lodów z ciemnej czekolady z dodatkiem masła orzechowego. W żaden sposób nie można byłoby tego nazwać zdrowym śniadaniem, ale co z tego? Jeśli nadprzyrodzony świat

chciał koniecznie opleść jej życie siecią, odmawiając pocieszenia czystego rozumu, to do diabła z takimi rozsądnymi pomysłami jak dieta czy systematyczne ćwiczenia.

Jedząc, siedziała za biurkiem ojca i przeglądała książkę adresową na jego komputerze. Było jej głupio, że narusza jego prywatność, dlatego robiła to z wahaniem. Ale tutaj chodziło o jej przyszłość, może nawet o życie. Wyszukała cztery nazwiska będące dotąd kluczem do jej dylematu. Znalazła numer telefonu i adres Calidy Butterfly. Z ulgą nie natrafiła na wpisy dotyczące Ashley Bell, Birkenau Terezina ani Chubba Coya. Gdyby je znalazła – szczególnie wszystkich – byłaby zmuszona do podania w wątpliwość nie tylko rozsądku, lecz także wiarygodności rodziców, a to byłoby niezmiernie bolesne.

Wygooglowała Birkenau Terezina. Chociaż nie natrafiła na człowieka o takim nazwisku, znalazła dwa miejsca ważne dla dziejów zła.

Terezin okazał się miastem w Czechach, siedemdziesiąt pięć lat temu noszącym nazwę Theresienstadt i leżącym na terenach znajdujących się pod okupacją niemiecką. Naziści wyrzucili stamtąd siedem tysięcy mieszkańców i założyli żydowskie getto, które mogło pomieścić do pięćdziesięciu ośmiu tysięcy jeńców i przez które w okresie wojny przewinęło się ponad sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Przebywali tu czasowo, bo Terezin był ośrodkiem transportowym, gdzie zbierano Żydów z całej Czechosłowacji i wywożono ich do obozów śmierci zależnie od mocy przerobowych pieców i komór gazowych. Dziesiątki tysięcy trafiło na przykład do Auschwitz-Birkenau.

Co za człowiek tak bardzo nienawidził książek i moli książkowych, że zamienił nazwisko Faulkner na synonimy okrucieństwa i śmierci?

W połowie kubka lodów zdała sobie sprawę, że zapomniała poszukać jeszcze czegoś w książce adresowej taty. Z nieczystym sumieniem, że okazuje się nagle taką niewierną córką, wpisała „faulkner”. Spis przekierował ją do Kelseya Faulknera, przy

którym podano miejscowy adres i numer telefonu.

## ***Mgła i mgła czasu***

Po omacku, przy wyłączonej lampce, Bibi dostała się do okna i podniosła żaluzje do połowy wysokości. Wyglądała na oświetloną latarniami mgłę, przywiewaną nad ląd jak duch trującego morza, które istniało miliardy lat wcześniej, przed powstaniem teraźniejszego, zdrowego.

Nie miała się do kogo zwrócić, musiała więc zostać własnym detektywem. I była pewna jak nigdy, że ma mało czasu na rozwiązanie sprawy. Szukali jej Niewłaściwi Ludzie i przeczuwała, że ich rzesza jest zastraszająco duża, że nie tworzą po prostu sekty złożonej z kilkunastu czy kilkudziesięciu zaburzonych osobników, tylko raczej batalion – albo armię. Nieważne, czy szukają jej środkami zwykłymi czy paranormalnymi, tak czy owak, kiedy ją znajdą, to zabiją – i to z powodów, które nie do końca rozumiała.

Jeżeli miała rację, że Ashley Bell jest ich zakładniczką – trzymaną Bóg raczy wiedzieć po co – to przed jej znalezieniem trzeba będzie trafić do nich. W tym celu potrzebne były koła ratunkowe, a ona chyba wiedziała, gdzie ich szukać. Ale musiała odczekać do bardziej ludzkiej godziny, co najmniej siódmej, przed wykonaniem telefonu.

Mgła potrafiła nadać aurę tajemniczości najbardziej zwykłej scenie. Gdy pomyślała o Paxtonie w jakiejś nieznannej jej dziurze, mgła nadała nocy koloryt melancholii. Żal był natężeniem smutku, na jaki nie mogła sobie pozwolić: pozbawi

ją siły woli i ciała. Mimo tęsknoty nie mogła rozmyślać o nim zbyt długo.

Przypomniała jej się inna mglista noc, kiedy miała sześć lat od ledwie dwóch tygodni, wieczór, w którym Kapitan wprowadził się do pokoi nad garażem. Był jedyną ważną osobą w życiu Bibi aż do zjawienia się Olafa cztery lata później.

Wcześniej mieszkanie wynajmowała dwudziestoparoletnia kobieta, Hadley Rogers, robiąca karierę w świecie sztuki, nie jako malarka czy nauczycielka, tylko marszand, dealer, agent czy ktoś w tym stylu. Nie odegrała większej roli w życiu małej Bibi, która widziała ją najczęściej, jak pędzi schodami do corvetty pod wiatą. Pannie Rogers dzieci zdawały się zagadką, jakby nie do końca rozumiała ich pochodzenie oraz cel. Sprawiała wrażenie nie do końca materialnego, animowanego obrazu ludzkiej istoty.

Z kolei Kapitan był jak najbardziej rzeczywisty i ważny. Wysoki, silny, o gęstych białych włosach, uprzejmie i z uwagą odnosił się do wszystkich, włącznie z dziećmi. Bibi była z matką, gdy oglądał mieszkanie, i pod koniec wizyty lubiła go i wiedziała, że będzie lubić już zawsze. Pomimo blizn na rękach i dwóch brakujących palców, spalonej słońcem twarzy i oczu smutnych jak u psa myśliwskiego Kapitan był atrakcyjny. Po prostu wiedziała, że zna dużo dobrych opowieści.

Tamtej nocy, gdy mgła obległa Corona del Mar, Bibi nie mogła zasnąć. Po chwili wstała i poszła po szklankę mleka. Przed drzwiami do kuchni, gdzie rodzice siedzieli i rozmawiali przy kubkach kawy i kahlúa, usłyszała, jak matka mówi coś, co kazało jej stanąć przy ścianie, milczeć i słuchać.

- Myślę, że popełniamy błąd. Wyczuwam złe vibracje.
- A ja nie wyczuwam żadnych, ani złych, ani dobrych. Jestem rozstrojony, mała – powiedział Murph.
- Mówię poważnie.
- No, domyśliłem się jakąś godzinę temu.
- Kto przeprowadza się tylko z dwoma walizkami i workiem

marynarskim?

- Walizki były duże, a w mieszkaniu są meble.
- Przecież ludzie mają całe pudła dobytku.
- Odbija ci, a nie ma powodu.
- A Bibi?
- Tylko posłuchaj, co mówisz. On nie molestuje dzieci.
- Tego nie powiedziałam. Nie wmawiaj mi niczego. Ale on jest niepodobny do Hadley, której prawie nie było w domu. Będzie cały czas siedział w mieszkaniu. Wpływał na nią. Z miejsca ją zafascynował.
- Emeryci są zazwyczaj większymi domatorami niż ładne dziewczyny, które zaczynają karierę.
- Hadley ci się podoba? – podchwyciła Nancy.
- Nie jest w moim typie, nie rusza mnie. Ale mam zdolność do empatii. Umiem patrzeć na świat oczami innych facetów.
- To może ci się przydać, jak wydrapię ci twoje.
- No proszę, grozisz własnemu mężowi, a widzisz problem w jakimś chudym, zmęczonym życiem staruchu z ośmioma palcami.

Nancy roześmiała się cicho i odparła:

- Po prostu nie chcę, żeby ktoś miał niedobry wpływ na Bibi.
- To trzeba się będzie przeprowadzić na Florydę albo gdzieś dalej, bo zaraz za granicą stanu, w Arizonie, mieszka twoja siostra Edith.

Mała Bibi wróciła do łóżka bez mleka i zasnęła smutna, bojąc się, że egzotyczny i ciekawy Kapitan wkrótce się wyniesie, zastąpiony przez jakąś Hadley bez wyrazu.

Niepotrzebnie się zamartwiała. Kapitan mieszkał nad garażem przez ponad cztery cudowne lata, do tego okropnego dnia krwi i śmierci.

Stojąc przy oknie w biurze ojca, Bibi widziała coś, co było chyba brzaskiem przedzierającym się przez mgłę i zabarwiającym ją na różowo. Zerknęła na świecąca tarczę zegarka. Zaraz będzie można zadzwonić do Pogo.



# 51

## Wodogrzmot

Pięć po siódmej Bibi zadzwoniła do Pogo z telefonu na biurku ojca. Myślała, że go obudzi, ale był rześki jak głodny rekin, gdy odebrał po drugim dzwonku.

– Tak?

– Myślałam, że wiesz, kto dzwoni.

– Się ma, Biibs. Nigdy do mnie nie dzwonicz.

– Nie traktuj mnie jak mamusia, brachu. – Spytała o surferów, z którymi mieszkał: – Co u Mike’a i Nate’a?

– Jeszcze nie wstali. Prawdopodobnie marszczą freda.

– Za to ty jakiś taki ogarnięty o tej porze.

– Miałem zamiar skoczyć na parę przed robotą, ale kiedy się obudziłem, mgła była jak zupa mleczna. Przy takiej pogodzie trzeba by surfować z psem przewodnikiem. No, ale mnie wystraszyłaś, Biibs.

– Znaczą tym rakiem?

– Nawet tobie musiało być ciężko.

– Ale żyję. Zdrowa i gotowa do akcji.

– Jak zawsze.

– To nie ma nic wspólnego z rakiem. To już historia. Potrzebuję pomocy, Pogo.

– A od czego tu jestem?

– Ta twoja stara honda ma GPS-a?

– Weź przestań, Biibs. Dobrze, że ma hamulce.

– Mogę pożyczyć?

– Jasne.

- Nie pytasz dlaczego?
- A po co?
- Byłaby mi potrzebna na kilka dni.
- Mam znajomków z autami, mam deskorolkę. Dam radę.
- Słuchaj, nie musisz myśleć, że prosi cię córka szefa.
- Przecież znamy się od dziecka, Biibs. Zresztą nie myślę o Murphie jak o szefie.
- On o tym wie. Będę wdzięczna, jak nie wspomnisz mu o tej naszej sprawie.
- Ani pary z gęby. Na kiedy potrzebny ci samochód?
- Im wcześniej, tym lepiej. Jestem w sklepie.
- Będę na miejscu za jakieś dwadzieścia minut.
- Super jesteś, Pogo.
- Biibs?
- No?
- Trafiłaś na złą falę czy coś takiego?
- Na prawdziwy wodogrzmot - odpowiedziała.
- Może potrzebujesz czegoś więcej niż tylko samochodu?
- W razie czego dam ci znać, słodziaku.

Po zakończeniu rozmowy Bibi wyjęła z torebki książkę z panterą i gazelą na okładce. Na grzbiecie nie było tytułu i autora, na tylnej okładce też nic nie napisano. Strony w książce sprawiały wrażenie pustych, przynajmniej na pierwszy rzut oka, dopóki przez papier nie popłynęły jak woda niewyraźne, szare fale pisma, które wyblakły, zanim zdołała je odczytać. Zaczęła przewracać kartki wolniej i dwa razy znów pojawiły się słowa, drżące, jakby widziane przez błonę falującej wody, lecz zmyte, nim ktokolwiek zdążyłby je odczytać.

Przyjrzała się oprawie. W grzbiecie nie było gdzie schować elektroniki czy baterii. Była to tylko książka. Pozornie.

# **52**

## ***Do domu z umarłymi***

Dysponując w sumie ponad czternastoma tysiącami koni mechanicznych, trzy silniki General Electric dodawały pewności siebie swoim rykiem, a olbrzymie łopaty siekały powietrze jak pięści boksera wagi ciężkiej okładające worek treningowy. Żołnierze sił specjalnych, piechoty morskiej i marynarki pod koniec dnia wylecieli z miasta duchów w głąb kraju z prędkością stu pięćdziesięciu węzłów.

Wibracje pokładu udzielały się siedmiu martwym terrorystom w workach. Tak jak za życia, nie mogli zaznać spokoju. Dobrzy ludzie szukali ciszy, czasu na refleksję. Zli ludzie byli wiecznie niespokojni, niepokorni, zawsze gotowi na nowe przygody, które sprowadzały się do ciągle tych samych, powtarzanych w nieskończoność atrakcji, ponieważ złym brakowało wyobraźni, kierowali się emocjami zamiast rozumem. Ciągłe w ruchu, nie uświadamiali sobie, że ich wściekłość bierze się z wąskich horyzontów światopoglądu, który sobie stworzyli, z jego *pustki*. Nigdy ich nie zabraknie – i zawsze trzeba będzie ludzi gotowych do stawienia im oporu niezależnie od ceny.

Tuż przed zachodem słońca, bez zakłóceń po drodze, ku wielkiej uldze Paxtona wylądowali na pokładzie lotniskowca. Po złożeniu raportów miał zamiar zatelefonować do Bibi w Kalifornii, gdzie zaczynał się dzień. Zamiar ten spełził na niczym trzy minuty po tym, jak wysiadł z helikoptera. Waszyngton nakazywał wszystkim członkom zespołu unikanie

kontakty ze światem zewnętrznym jeszcze przez co najmniej osiem godzin z powodu, którego nie raczono podać.

## ***Balansuj na desce, mała***

Gdy światła przebiły się przez mgłę parkingu i matowoszara honda osiadła przy krawężniku jak prowadzony przez ducha samochód, Bibi wyszła ze sklepu Pogłaskaj Kota.

Ponieważ nawiew długo się rozgrzewał, Pogo zostawił włączony silnik i wysiadł do Bibi.

– Jeszcze nigdy tak bardzo nie przypominałaś surfingowej bogini.

– Być może rak dobrze na mnie działa.

Wiedziała, że jest dość ładna, ale bynajmniej nie zabójczo piękna ani nic z tych rzeczy. Za to przy Pogo większość modeli z wielkich żurnali mody wyglądała na kandydatów do roli orków w kolejnej części *Władcy pierścieni*. Ale on jakby nie zwracał uwagi na swą fizyczną doskonałość – nawet wtedy, gdy dziewczyny rzucały się na niego w takich ilościach i tak namolnie, że w powietrzu wręcz iskrzyło od woni estrogenu. Bibi miała czasami wrażenie, że wygląd jest dla Pogo najwyżej powodem skrepowania. Naprawdę wychowali się razem, jak mówił przez telefon, i przespanie się z nim nie wchodziło w rachubę tak samo, jak pójście do łóżka z bratem, gdyby takiego miała. Dwa lata starsza od Pogo, nauczyła go, jak się spada (zsuwa z frontu fali, na którą się właśnie wjechało), jak przekoziółkować przez pianę, wykonać przewrotkę i inne manewry, kiedy był raczkującym surferem i jeszcze nie przerósł jej poziomem. Jego uroda mogła mieć dla niej znaczenie, gdy

zaczynała być nastolatką. W tym okresie względy chłopaka, którego chcą wszystkie dziewczyny, to jest coś. Ale już od jakiegoś czasu podziwiała w Pogo animusz, pokorę i dobre serce.

Dał jej całusa w policzek, spojrzał w oczy i spytał:

– Przed kim się kryjesz?

– To nie tak.

Kiedy patrzyli sobie w oczy, żadne nie chciało odwrócić się jako pierwsze.

Pogo postanowił przerwać ten test odporności. Omiótł wzrokiem bezludny, mglisty poranek, a gdzieś u wejścia do Newport Harbor zabrzmiał róg mgłowy.

– Będiesz wiedziała, gdzie szukać pomocy, kiedy przestaniesz się upierać, że dasz sobie radę sama?

– Będę – oświadczyła stanowczo.

Otworzył drzwi od strony pasażera. Wziął z siedzenia torebkę ze śniadaniem z McDonalda i powieść w miękkiej okładce.

Bibi położyła tam laptopa i torebkę, zamknęła drzwi i stwierdziła:

– Nie chowasz się już z książkami.

– Wszystko jedno, czy starzy odkryją, że umiem czytać. College już mnie nie złapie.

– Zawsze wiedziałeś, czego chcesz. Nie boisz się, że kiedyś okaże się, że to nie wystarczyło?

– Przeszłość to przeszłość, Biibs. Przyszłość to złudzenie. Mamy tylko dzisiejszą chwilę.

Wskazując na torebkę McDonalda, powiedziała:

– Lepiej, żeby ci nie ostygło, ale mam parę pytań.

Wykonał ruch ręką w stronę sklepu.

– W środku jest mikrofała. Te rzeczy można spokojnie odgrzać.

Czuła zapach spalin. Sztuczna mgła hondy mieszała się z naturalną.

– Czy tata wspominał kiedykolwiek o kimś o nazwisku Calida

Butterfly?

Po chwili wahania Pogo odparł:

– Przychodzi tutaj. Wysoka blondynka, brzęczy na niej biżuteria, kiedy idzie.

– Tutaj, do sklepu? Jak często?

– Parę razy w miesiącu.

– Nie wygląda na surferkę.

– Totalny szczur lądowy, bez najmniejszych ambicji, żeby surfować. Spotyka się z Murphem.

– Po co?

– Nie mam pojęcia. Wchodzą na piętro. – Zobaczył wyraz jej twarzy, natychmiast go zrozumiał i powiedział: – Nie o to biega, Biibs. Nie ruchają się tam.

Z bólem, ale spytała:

– Skąd wiesz?

– Niby nie wiem, ale wiem. Znają się długo, ale nie iskrzy między nimi.

– A kiedy to się zaczęło?

– Jakieś półtora roku temu.

Poranna mgła nie przestawała wylewać się znad morza i przesłaniać słońca. Za to w głębi lądu musiało się przejaśnić, bo odrzutowce startowały z Lotniska Johna Wayne'a. Smoczy ryk ich silników przemawiał spoza mgły niczym z innego, jurajskiego świata.

– A niejaki Kelsey Faulkner?

Pogo zastanowił się i pokręcił głową.

– Nie słyszałem.

– Birkenau Terezin?

– To ma być nazwisko? Brzmi jak nazwa wysypki.

– Ashley Bell?

– Znałem jedną Ashley. Ashley Scudder. Zamieniła surfing na pracę w korpo.

– Chyba zdarzają się tacy, co robią obie rzeczy, surferzy z korporacji?

– Rzadko.

– No, na mnie już pora, a ty się zajmij mikrofalą.

Gdy całowała go w policzek, przytulił ją łapczywie. Z głową na jej ramieniu i odwróconą twarzą mówił:

– Gdy Murph zadzwonił we wtorek ze szpitala i powiedział o raku, zamknąłem sklep i wyłączyłem światła. Usiadłem za ladą i godzinę płakałem. Nie mogłem się powstrzymać. Nie chcę już płakać z twojego powodu, Biibs.

– Postaram się – obiecała, a gdy na nią popatrzył, uszczypnęła go lekko w czubek idealnego nosa. – Dzięki za kółka.

– Nieważne, po jakim ślizgasz się wodogrzmoce – powiedział – byleś nie zapomniała, jak się balansuje na desce.

Chcąc panować nad deską, surfer przesuwiał się po niej bardziej do przodu lub do tyłu, żeby przenosić ciężar ciała.

Bibi obeszła hondę, otworzyła drzwi od strony kierowcy i ponad dachem popatrzyła na Pogo. Z uczuciem tak głębokim, że nie znalazłaby słów na opisanie go w powieści, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Mały.

Odwzajemnił uśmiech i rzekł:

– Mała. Balansuj na desce, mała.



## ***Kawałek grzyba od gąsienicy?***

Pogo lubił majstrować przy samochodach bardziej niż chodzić do college'u, chociaż mniej niż surfować. Honda spisywała się lepiej, niż wyglądała. Dobrze wyregulowany silnik pozwalał na sprawne ruszanie z miejsca i bez problemu dawał sobie radę pod górkę. Hamulce, z których żartował sobie Pogo, były w zupełnie dobrym stanie.

Calida Butterfly mieszkała w Costa Mesa, dzielnicy zajmowanej kiedyś przez klasę średnią, potem mocno podupadłej, ale zaczynającej odżywać przed kryzysem 2008 roku. Przy obecnym zastoju gospodarczym awans społeczny utknął w miejscu i nowsze piętrowe domki stały obok pięćdziesięcioletnich budowli stylizowanych na rancza, które znajdowały się w różnym stanie. Nie brakowało też siedemdziesięcioletnich bungalowów, tynkowanych lub zбитych z desek, w większości potrzebujących remontu i malowania. Niektóre działki były ładnie zaprojektowane i utrzymane, ale zdarzały się podwórka zarośnięte chwastami i chaszczami, wysypane po prostu ziemią i żwirem.

Największymi zaletami dzielnicy były jej przyszłość, o ile kraj wróci na ścieżkę szybkiego rozwoju, i rozłożyste, stare drzewa chroniące ulice grubymi konarami i tworzące eklektyczny miejski las złożony z zastrzalinów, dębów, tamaryndowców, pinii i innych gatunków.

Bibi zaparkowała po drugiej stronie ulicy i sto stóp na zachód

od domu Calidy, w obszernym, indygowym cieniu dębu kalifornijskiego. Mgła nieco tutaj zrzędła, choć tuż nad ziemią wisiała jeszcze jej warstwa, jak ociężały gaz trujący, zrzucony do dzielnicy przez armię nieprzyjaciela.

Dom masażystki i wróżbiarki, zadbane, piętrowy budynek z akcentami stylu Craftsmana, stał na obszernej działce. Po niecałych pięciu minutach uniosły się składane drzwi garażu i srebrny range rover wytoczył się na podjazd, skręcił w ulicę i odjechał, rozganiając tumany białej mgły. Wcześniej nie widziała, czym jeździ Calida, i nie wiedziała, czy to jej auto. Odległość i matowe szyby w oknach nie pozwalały na rozpoznanie osób siedzących w samochodzie.

Sama do końca nie wiedziała, czy przyjechała tutaj rozmówić się z Calidą, czy powęszyć. Wyjazd rovera pomógł w zdecydowaniu się. Powęszyć.

Wetknęła torebkę pod fotel kierowcy, żeby nie przeszkadzała. Zamknęła drzwi hondy i śmiało przeszła przez ulicę. Owalne listki wiecznie zielonego dębu, uschłe na wiór, chrzęściły pod nogami jak pancerze chrabąszczy. Gdy nie było reakcji na pierwszy dzwonek do drzwi, zadzwoniła powtórnie.

Zupełnie się nie kryjąc, jak gdyby miała pełne prawo tu przebywać, Bibi obeszła dom, przeszła stojącą otworem furtkę, minęła patio w cieniu obrośniętej glicynią pergoli i znalazła się na podwórku, gdzie mur zasłaniał ją przed sąsiadami.

Jej uwagę z miejsca zwróciła osobliwa konstrukcja: zdobna szklarnia z białym malowanym drewna i szkła, jakieś dwadzieścia na trzydzieści stóp, stojąca w głębi działki. Było to coś tak niespodziewanego, że czuła się zmuszona przyjrzeć jej się z bliska.

Cztery posągi z terakoty, symbole czterech pór roku, stały na postumentach obok wejścia.

Cała czwórka – nie tylko zima – sprawiała wrażenie groźnej, jakby stworzono je w miejscu i czasie nieznanym dobrej pogody.

Nie było sensu zamykać domu ze szkła, który nie zawiera niczego wartościowego, i Bibi zastała drzwi od południa otwarte. Znalazła się w ciepłej i wilgotnej enklawie roślin egzotycznych posadzonych przeważnie w donicach z ziemią o żywym aromacie, ustawionych na wysokich stolikach przy wąskich przejściach. Nie było tu storczyków, anturium czy innych gatunków uprawianych wyłącznie dla kwiatów. Wszystkie wyglądały na zioła, choć tylko kilka znała z kuchni: bazylię, miętę, cykorię, szczaw, rozmaryn, estragon i tymianek. Poza tym kwitło tam kilkadziesiąt odmian jej nieznanych. Część stolików miała pod blatami półki, gdzie nigdy nie docierało słońce, i w tych nieruchomych, ciemnych jak wino kałużach cienia rosły grzyby – muchomory, purchawki i pleśnie – wyglądające na niezdrowe, a nawet śmiertelnie trujące.

Bibi przypomniała się Kraina czarów Lewisa Carrolla i pałaca wodną fajkę gąsienica, która częstowała Alicję różnymi grzybami. Chociaż uznała już rzeczywistość zdarzeń z wczorajszego wieczoru – raptowny spadek temperatury, dziwne zachowanie świec i zegarów, odór gnijących róż jeszcze niedawno wonnych i świeżych – zastanowiła się, czy jest możliwe, że to, co przeżywała, mogło być w pewnej części skutkiem działania jakiegoś halucynogenu otrzymanego z tych roślin, wrzuconego jej w chwili nieuwagi do kieliszka chardonnay.

Skręciła w inną alejkę i na jednym ze stołów ujrzała drucianą klatkę zajmowaną przez kilkanaście myszy w różnych odcieniach brązu i szarości. Gryzonie zajadały i popijały z niewielkich miseczek, chowając się i wynurzając z wąskich norek utworzonych w masie z wilgotnych podartych gazet, iskając się, wydalając i kopulując. Myszy są z natury ruchliwe, ale te egzemplarze robiły wrażenie wyjątkowo nerwowych. Kręciły się po klatce, zrywając w przerażeniu, gdy przypadkiem nadepnęły sobie nawzajem na ogon, bez ustanku lustrując swą krainę oczkami ciemnymi i płynnymi jak krople oleju

silnikowego.

Ruch przyciągnął uwagę Bibi do betonowej posadzki, po której do jej stóp przypełzła prawdopodobna przyczyna poruszenia myszy: wąż, a za nim jeszcze drugi i trzeci.

## Zdjęcie

Bibi natychmiast zorientowała się, że węże wijące się po ziemi to nie grzechotniki i że każdy jest inny. Nigdy nie interesowała się herpetologią, w związku z czym nie potrafiła ich rozpoznać i nie wiedziała, czy są jadowite. Założyła, że nie, w przeciwnym bowiem razie Calida nie pozwoliłaby im buszować na wolności.

Rzecz jasna, wychodząc z założeń, które uważali za niezbyt logiczne, ludzie ciągle dawali się zabić, a Bibi dosłownie przed chwilą obiecywała Pogo, że nie da mu już powodów do płaczu. Dlatego wolno odsunęła się od giętkiej trójcy, bojąc się, że nadejście po drodze na czwartego, gotowa zerwać się do ucieczki, gdyby któryś zaczął prężyć się do uderzenia.

Możliwe, że zainteresowały się nią tylko dlatego, że wzięły ją za Calidę, która przyszła je nakarmić. W każdym razie nie popełżyły za nią. Dwa wsunęły się bezgłośnie pod stół z gryzoniami. Trzeci owinął się wokół stołowej nogi i sunął w górę, przyjrząc się nerwowym przystawkom, od których można by zacząć obiad.

Bibi westchnęła z ulgą, gdy wyszła ze szklarni i zamknęła za sobą drzwi.

Przynajmniej dzięki podjętemu ryzyku dowiedziała się czegoś: tajemne zainteresowania Calidy wykraczały poza scrabblemancję. Niezależnie od tego, czy zamordowana matka także miała wiele kabalistycznych hobby czy też Calida przerosła swego mistrza, masażystka robiła wrażenie mocno

zakręconej, o ile nie całkiem postrzelonej.

W każdym razie Bibi musiała dostać się do domu. Sądząc po szklarni, w bungalowie mogła zdobyć dużo ważniejsze informacje.

Zaczęła od drzwi do kuchni, ale były zamknięte na klucz. Nigdzie nie widziała znaczka z ostrzeżeniem, że dom jest monitorowany. Ale wołała nie wybijać szyb. W związku z powieścią, którą pisała, zbierała informacje o włamaniach, rozmawiała z policjantami z działu kradzieży i człowiekiem skazanym za liczne przestępstwa tego typu. Dowiedziała się, że w niektórych stanach o włamanie można zostać oskarżonym dopiero po wdarciu się siłą do środka i ukradzeniu czegoś. Jeśli tylko wtargnęło się na czyjś teren, w najgorszym przypadku groził zarzut drobnego wykroczenia.

To mało pocieszające, że rozważa prawne konsekwencje swoich czynów faktycznych, a nie tylko fikcyjnych. No, trudno. Nie ma innego wyjścia. Policja nie przyjmuje zgłoszeń prześladowania przez siły nadprzyrodzone, czyli prawdopodobnie *jacyś* Niewłaściwi Ludzie pracują też w policji. Należało przede wszystkim pamiętać, że dwa dni wcześniej Śmierć nie dość, że stała w progu, to jeszcze dzwoniła i pukała do drzwi, wołała, żeby Bibi wyszła i z nią pogadała. W porównaniu z tym wszelkie ewentualne kłopoty będą słodkie i gładkie jak budyń.

Jedną z bardzo ciekawych rzeczy, których dowiedziała się o włamaniach, była ta, że zaskakująca liczba osób bardzo starannie zamyka wszelkie wejścia na parterze, z nonszalancją traktując okna na piętrze, a czasami nawet drzwi balkonowe.

Pionowe listwy na końcach porośniętej glicyniami pergoli, która ocieniała patio za domem, wykonano z profili dwucalowych, chyba wystarczająco mocnych, by mogły posłużyć za szczeble drabiny. Wybrała stronę rzadziej zarośniętą przez glicynie. Powtarzając sobie, że to mniej niebezpieczne od surfowania, bo przecież pod pergolą nie czają

się rekiny, weszła na górę z łatwością, która dawała satysfakcję. Mimo spędzenia ostatnich kilku lat za pisarskim biurkiem, umiała się jeszcze ruszać.

Nad pergolą wychodziły na podwórko cztery przesuwane w pionie okna. Trzecie okazało się niezamknięte. Bibi uniosła dolną część. Kiedy nie zabrzmiał żaden alarm, przeszła przez parapet, zostawiając okno otwarte na wypadek, gdyby trzeba było spieszenie uciekać.

Włamanie, nawet bez kradzieży, nie brzmiało romantycznie, a już na pewno nie było powodem do dumy. Mało nie wyjęła z naramiennika pistoletu, żeby przeszukać dom z bronią gotową do strzału, ale to byłoby jeszcze głupsze. Nie знаła się na tego rodzaju robocie. Nerwy miała napięte jak postronki. Gdyby za którymś rogiem natknęła się na Calidę – albo, co gorsza, na niewinnego świadka – mogłaby odruchowo nacisnąć spust. Ruszyła więc bezbronna, żałując, że nigdy nie pomyślała o zdobyciu czarnego pasa jakiejś sztuki walki.

Weszła do pokoju wyglądającego na sypialnię gospodarzy, bardziej typowego, niż mogłaby przypuszczać. Schludnie załane łóżko, na wierzchu narzuta z falbankami. Reprodukcje obrazów z kalifornijskimi plenerami. Żadnego chodnika ze znakami zodiaku, żadnych czarnych świec w świecznikach z polerowanej kości, żadnego dziwnego totemu na ścianie za łóżkiem. Żadnych węży. W otwartej garderobie równo powieszono ubrania.

Mimo że wchodząc tutaj, narażała się na wyrok za włamanie, Bibi nie miała zamiaru grzebać w komodzie Calidy w poszukiwaniu sekretów, które prawdopodobnie nie miałyby z nią nic wspólnego i okazałyby się na ten czy inny sposób żałosne, jak wszystkie sypialniane tajemnice. Podejrzewała, że jeżeli w tym domu czeka na nią coś ważnego, to okaże się to groteskowe albo przynajmniej dziwaczne. Pozna to natychmiast po otwarciu jakichś drzwi bądź przekroczeniu progu.

Klonowe deski na podłodze w korytarzu na piętrze odzywały

się pod stopami. Nie dało się ich uciszyć. Trzymanie się blisko ściany nie zmniejszało skrzywienia. Szybki chód nie wywoływał rwetesu mniejszego od powolnego i ostrożnego.

Za łazienką były dwa pokoje, jeden szczególny, ale nieprzydatny. Zupełnie pozbawiony mebli. Nic nie wisiało na ścianach. Okna zasłonięte lustrami. Zobaczyła swoje odbicie, które jej się nie spodobało. Niespokojna, mała, niepewna. Na środku podłogi z jasnego klonu wymalowano schludnymi, wysokimi na cal, czarnymi literami napis THALIA. Imię matki Calidy. Jeżeli można wierzyć wróżbiarce, Thalię dwanaście lat temu brutalnie torturowali i poćwiartowali Niewłaściwi Ludzie. Najprawdopodobniej nie w tym domu. Gdzie indziej. Ten pokój z imieniem na podłodze nie sprawiał wrażenia ani miejsca zbrodni, ani kapliczki po zmarłej. Bibi nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że to pomieszczenie służy do komunikacji, chociaż trudno powiedzieć z kim albo czym.

Po drugiej stronie korytarza znajdował się gabinet. Na biurku w kącie stał komputer i dwie drukarki, druga do kolorowych wydruków; wszystkie urządzenia milczały. Więcej pejzaży. Przy jednej ścianie kredens z różanego drzewa. Na środku okrągły stolik z jednym krzesłem.

Natrafiała na to coś groteskowego, osobliwego.

Na stole stała srebrna miska z płytkami. Dwa rzędy płytek były już ułożone na blacie, jakby Calida wróciła do pytań rozpoczętych wczoraj wieczorem w kuchni Bibi. W pierwszej linii wypisane było ASHLEY BELL. Pod spodem widniał adres: MOONRISE WAY JEDENAŚCIE.

Obok miski leżała kartka dobrej jakości papieru fotograficznego, jaki stosuje się do kolorowego druku. Bibi odwróciła ją i ujrzała śliczną, może trzynastoletnią dziewczynkę. Blond włosy w odcieniu szampana. Szeroko osadzone, fioletowe oczy barwy niektórych hiacyntów. Zdjęcie zrobiono od ramion w górę. Dziewczynka miała na sobie białą bluzkę ze sztywnym kołnierzykiem, na której widniały cztery



słowa: CALIDA, TO ASHLEY BELL.

## ***Z chaosu rodzi się pewność***

Ta dziewczyna. Ta Ashley Bell. O pięknej twarzy. O pogodnym wyrazie. Ale w tym spokoju malującym się na fotografii Bibi dostrzegła z trudem wystudiowane opanowanie, maskę mającą ukryć przed fotografem prawdziwe uczucia obiektu, którymi były strach i gniew. Upomniała się, że nie wolno narzucać zdjęciu produktów własnej wyobraźni. Możliwe, że dziewczynka po prostu się nudziła albo siliła się na pusty wyraz twarzy, mile widziany u modelek pozujących dla żurnali *haute couture*. Ale nie. Bibi przekonywało to szczególne spojrzenie. Jeśli barwy na zdjęciu były realistyczne, urocze, czerwono-niebieskie oczy były przezroczyste jak woda destylowana i ujawniały głęboko przenikliwe, żywy umysł. Były szeroko osadzone, a zarazem otwarte tak bardzo, że nie dałoby się już szerzej bez marszczenia czoła, jakby chciała podważyć pozorny spokój malujący się na twarzy albo jakby niepokoił ją fotograf lub coś poza aparatem.

Poza tym Bibi dostrzegła w niej czułość i bezbronność, które budziły współczucie, powinowactwo, którego nie mogła – lub nie chciała – wyjaśnić. Ta reakcja, to poczucie podobieństwa uderzyło ją z taką siłą, że wszystko się zmieniło.

Do tej pory poszukiwania Ashley Bell były w pewnym sensie nierzeczywiste, jak gra bez zasad, żartobliwa wyprawa, która niezbyt śmieszy. Mogła to być nawet mistyfikacja, obejmująca między innymi sprytnie zaaranżowane jasnowidzenie pod

wpływem halucynogenów, przeprowadzona przez grupę wariatów, których motywy pozostaną raczej niepojęte dla osoby przy zdrowych zmysłach. Dotąd Bibi grała w tę niebezpieczną grę, jakby była w niej głównym uczestnikiem i jedynym celem. Po poznaniu wyglądu i sposobu noszenia się dziewczyny, zarazem promiennie eterycznej i rzeczywistej jak kamień, punkt widzenia Bibi się zmienił. Była paladynem, rycerzem bez skazy i pośrednim celem tylko dlatego, że próbowała uratować dziewczynkę. Ashley Bell stanowiła zasadniczy cel Niewłaściwych Ludzi i punkt skupiający wokół siebie wszystkie późniejsze wydarzenia. W terminologii surferskiej Ashley była wiankiem, surferskim żółtodziobem, a Bibi stylowym jeźdźcem, który musiał ją uratować przed pędzonymi przez sztorm lewiatanami.

Rzeczywistość wykluła się wreszcie z chaosu ostatnich dwunastu godzin. Zaatakowała mocno, zarażając Bibi pewnością.

Ashley Bell istniała. I znajdowała się w opałach. Grożący jej ludzie mieli jakieś niecodzienne moce i byli poza zasięgiem prawa. I byli dobrze zorganizowani. I mieli bardzo złe zamiary.

Calida wydrukowała zdjęcie Ashley, które ktoś przesłał jej mailem jako załącznik JPEG. Warto byłoby poznać źródło fotografii. Może wydrukowała też treść maila.

Jak każdy dom, ten także wydawał odgłosy niezależne od ludzi, którzy go zamieszkiwali. Skrzypienia, tykania i ciche jęki pęcznienia, kurczenia się i osiadania. Seria takich hałasów kazała Bibi zastygnąć w bezruchu i zamienić się w słuch, ale kiedy dom przestał skarżyć się na siłę grawitacji, zapanowały cisza i ostrożne poczucie bezpieczeństwa.

Szukała maila w szufladach biurka. Nic. Elektryczna niszczarka była połączona z koszem zawierającym przeważnie szerokie na ćwierć cala paski papieru nadające się na powitanie wracających z Księżyca kosmonautów, ale do niczego poza tym. W koszu nie było wiadomości.

Obawiała się, że już za długo przebywa w tym domu. Przeszukanie komputera Calidy mogłoby być ciekawe, lecz wymagałoby lekkomyślnej straty czasu.

Niosąc fotografię w lewej ręce, z prawą wolną, by w razie czego sięgnąć po pistolet, Bibi zeszła po schodach w ciszy, której nie zakłócały odgłosy stapania. Przeszła też przez soczewkę porannego złota wlewającego się przez świetlik, która pokazywała tańczące ze sobą, niewidoczne gdzie indziej cząstki kurzu, jakby dane jej było ujrzeć zwykle niewidzialną atomową budowę świata.

Pokoje na parterze nie miały w sobie niczego niezwykłego – były urządzone normalnie jak w każdym innym domu. Za to w kuchni natknęła się na skutki wizyty Niewłaściwych Ludzi. Stół jadalny wciśnięto w kąt, na nim stały krzesła. Meksykańską glazurę okryto grubym białym brezentem przytwierdzonym do podłogi niebieską taśmą klejącą. Na brezencie zostało kilka brudnych ścierek. Nie było dużo krwi. Najwidoczniej zabili ją w sposób, który nie powoduje bałaganu, pewnie przez uduszenie. Następnie przystąpili do kawałkowania, co zarówno zminimalizowało konieczność posprzątania, jak i zapobiegło wrzaskom, które mogłyby zaalarmować sąsiadów. Zwłoki usunięto, być może wywieziono range roverem, i zutylizowano, za to dziesięć palców, każdy z lśniącym pierścionkiem, pozostawiono na blacie przy lodówce, zgrabnie ułożone na talerzu jak ptifury do podania przy podwieczorku.

Ludzkie okrucieństwo umiało napełnić Bibi obrzydzeniem, ale nią nie wstrząsało. Nie traciła czasu na mdlenie na ten okropny widok i zastanawianie się, po co zachowano palce. Natychmiast zrozumiała wniosek, który wynikał z tej sceny: sprzątanie nie zostało zakończone. Albo wrócą ci, którzy wyjechali range roverem, albo zjawi się zaraz inna ekipa i zakończy sprawę.

Jeszcze w kuchni usłyszała warkot silnika na podjeździe i stłumiony stukot podnoszącej się bramy garażowej.

## **IV**

*Składanie wszystkiego do kupy pod groźbą  
rozsypania się na kawałki*

## ***Śniadanie z niespodzianką na przystawkę***

Gdy Bibi usłyszała otwieranie bramy garażowej, sięgnęła po pistolet, myśląc, że może zdoła zaskoczyć nadjeżdżających, rozbroić, związać i przesłuchać. Jeżeli miała do czynienia z jednym człowiekiem, szanse były niewielkie. Jeżeli z dwójką ludzi, żadne. Jeśli przyjechało trzech, prawdopodobnie pokroją ją na więcej kawałków niż Calidę. Niezłomna odwaga nie wystarczała w starciu z bandą socjopatów, kiedy ważyło się w porywach do stu dziesięciu funtów, nosiło pistolet z dziesięcioma nabojami w magazynku i nie oszukiwało samej siebie. Nie czekała nawet, aż brama skończy się podnosić. Czmychnęła z kuchni, przeszła prosto do salonu i wyszła głównymi drzwiami.

Trzymała się z daleka od wschodniego krańca ganku, gdzie biegł podjazd w stronę garażu. Popędziła ku zachodniej części posesji, przesadziła balustradę i wylądowała na nogach. Przemknęła trawnikiem na ulicę i schroniła się w hondzie Pogo, w głębokim cieniu wiecznie zielonego dębu.

Położyła zdjęcie Ashley na desce rozdzielczej i wyjęła torebkę spod fotela kierowcy. Gdyby zdobyła się na autentyczną grozę i popłoch, telefon na 911 mógłby sprowadzić policję. *Zakrwawione ścierki. Odcięte palce. Morderstwo.* Gdyby to nie zainteresowało kwiatu służb Costa Mesa, na pewno znalazłoby się na planie jakiegoś telewizyjnego reality show. Dopiero

rozsuwając torebkę, przypomniała sobie, że nie ma już telefonu. Został w nocy – razem z GPS-em – w explorerze.

Gdyby wysiadła i zaczęła wrzeszczeć, chcąc zaalarmować sąsiadów, tylko powiadomiłaby morderców o swojej obecności i dała im możliwość sprawdzenia, jakim ostatnio jeździ autem. Siedziała dobrą chwilę, nie wiedząc, co począć, ale nic z tego nie wynikło. Zawróciła samochodem i skierowała się na zachód, żeby nie przejeżdżać przed domem.

Kubek lodów przed świtem zamiast porządnego posiłku doprowadził tylko do przedawkowania cukru. Pojechała prosto do restauracji Norm's, ulubionego miejsca ludzi pracy, gdzie dawano dość dobre i solidne jedzenie. Poza tym intuicja podpowiadała jej, że Niewłaściwi Ludzie nie zniżyliby się do poziomu Norm's, nawet gdyby umierali z głodu, a restauracja była ostatnim miejscem na ziemi, gdzie można znaleźć coś do jedzenia. W czasie krótkiej rozmowy przez telefon Birkenau – *mówią na mnie Birk* – Terezin zrobił na niej wrażenie snoba i narcyza. Jego koledzy byli pewnie tego samego pokroju. Wariaci na punkcie władzy nie cenią pokory. Kiedy wrogowie są elitarnymi ironistami, można było się nie wychylać, na przykład jedząc w Norm's i ubierając się w Kmarcie.

Właścicielka posadziła ją w małym boksie na końcu sali i Bibi wolała usiąść tyłem do reszty klientów. Przede wszystkim potrzebowała kawy. Myśli rozmywały się wskutek niewyspania i nadmiaru dziwnych wrażeń. Musiała się otrząsnąć. Sympatyczna i szybka kelnerka przyniosła drugą filiżankę mocnego czarnego płynu razem z zamówioną przez Bibi jajecznicą na bekonie i plackami ziemniaczanymi, które powinny nasmarować kółka zębate w mózgu na wiele godzin.

W filmach ludzie uciekający przed mordercami, którzy widzieli przed chwilą odcięte trupowi palce, nie raczą się śniadaniem. Nie korzystają też z łazienki ani nie zastanawiają się nad różnicami między życiem a filmem.

Zanotowała to w małym notesie, który miała w torebce, pod

nagłówkiem *Przyda się do powieści: filmy a życie*. Jedząc, zamierzała zrobić listę rzeczy, które powinna kupić i zrobić, żeby jak najmniej się wychylać, lecz nie dziwiło jej, że przy okazji zapisuje myśli, które mogą się przydać w książkach. W sumie nie zawsze uciekała i próbowała uratować innych, za to zawsze była pisarką.

A więc potrzebowała komórki na kartę. Co prawda nie miałyby przydatnych funkcji smartfonu, ale za to nie można by jej namierzyć za pośrednictwem takiego urządzenia i nie narażałaby się na wytropienie przez GPS-owskie psy. A jeśli w sprzedaży są jeszcze te elektroniczne mapy GPS niepowiązane z innymi należącymi do niej urządzeniami, przydałoby się też coś takiego.

Zapisała jeszcze coś na marginesie, tym razem na temat trzech sytuacji, w których wykorzystala sposób Kapitana na zapominanie niechcianych wspomnień. Obejmowały okres dziesięciu lat. Lista znalazła się pod nagłówkiem *Ważne!*

Pierwszy raz przy pomocy Kapitana i świeczki zmieniła w popiół incydent z pełzającym stworem. Miała pięć lat i dziesięć miesięcy, gdy stworzenie ją wystraszyło, sześć i pół roku, gdy zajęła się zapomnieniem go.

Drugim razem miała dziesięć lat, a Kapitan nie żył od około czterech miesięcy. Spaliła wspomnienie o tym, co działo się na strychu nad jego mieszkaniem, czego ciągle nie umiała sobie przypomnieć. Tamtym razem nawet nie zapisała wspomnienia na papierze, stała tylko przed ceramicznymi szczapami na kominku w salonie i oddała wspomnienie gazowemu ogniowi.

Gdy Bibi układała swój spis ważnych szczegółów, w Norm's rozbrzmiewały rozmowy, słychać było brzdęk sztućców, porcelany i szkła, muzykę, której nie znała i którą przestała wkrótce słyszeć. Skupienie przyniosło ciszę nieprzerywaną nawet odgłosami jedzenia własnego posiłku, bo teraz słyszała już tylko szept pióra na papierze.

Za trzecim razem miała szesnaście lat, szalała po stracie



Olafa, niczego nie rozumiała, tonęła w rozpacz, goryczy i gniewie. Wtedy przyszedł jej do głowy ohydny pomysł, zamiar tak odpychający, że nie mogła uwierzyć, iż powstał w jej głowie. I choć rodzący się plan był tak niepodobny do niej, wiedziała, że nie zdoła się oprzeć pokusie zrealizowania go. Gdyby przystąpiła do jego wykonania, zniszczyłaby życie sobie i rodzicom. Dlatego zapisała go na kartce wyrwanej z zeszytu i wrzuciła ją do ognia na kominku, bojąc się, że jeśli nie przeniesie go na papier, to nie zadziała tak, jak ostatnim razem.

W tych trzech zapomnianych chwilach tkwiły źródła jej obecnych kłopotów. Co pełzało po jej pokoju? Co działo się na obrośniętym pajęczynami strychu, na który napierała mgła? Jaka ohyda chodziła jej po głowie wobec nieznośnych uczuć rozsadzających ją po spaleniu psa? Jakiej przemocy czy obelgi bała się tak bardzo, że musiała wypalić ją z własnej pamięci?

Ze zdziwieniem zorientowała się, że skończyła jeść. Gdy odkładała widelec na pusty talerz, zaczęła z powrotem zdawać sobie sprawę z odgłosów i miłych zapachów w lokalu.

W zwyczajnym otoczeniu restauracji Norm's Bibi zastanawiała się nad niezwykłym charakterem jej ukrytego ja. Dostrzegała coraz więcej dowodów na to, że w jej sercu wzbiera jakiś szczególny mrok, mimo że uważała się za dziecko morza i piasku, bryzy i lata. Wiedziała, że nieliczni rozumieją siebie do końca – czy nawet w dużym stopniu. A mimo to zakładała, że należy do garstki oświeconych, że umie przeczytać siebie od deski do deski i pojąć każdy niuans Bibi Blair.

Zapewniła kelnerkę, że naprawdę nie ma ochoty na nic więcej, zostawiła napiwek, wzięła rachunek, żeby zapłacić w kasie, i wstała. Gdy zarzuciła torebkę na ramię i odwróciła się, w odległym kącie tłocznej restauracji zobaczyła Chubba Coya jedzącego śniadanie w boksie przy dużych oknach od ulicy. Szef ochrony szpitala nie okazywał zainteresowania jej osobą, najwyraźniej w ogóle nie wiedział o jej obecności. Całą uwagę skupiał na naleśnikach i towarzysze, Solange St. Croix,

papieżycy zajęć z pisania na uczelni.

## ***Znikając z radaru***

Niezależnie od tego, czy Chubb Coy i doktor St. Croix należeli do Niewłaściwych Ludzi czy też łączyły ich innego rodzaju sprawy, pani profesor zdawała się traktować restaurację Norm's ze wzdargą, jaką zdaniem Bibi Terezin i spółka żywiliby dla każdego lokalu pozbawionego białych obrusów i najwyższej jakości porcelany. Stała przed nią jedynie nieruszona szklanka z wodą. Wyraz twarzy miała bardziej niż zwykle kwaśny i siedziała sztywno wyprostowana jak zagorzała rzeczniczka abstynencji, która nie wiedząc czemu znalazła się w tawernie. Pogarda ta nie była jednak skierowana pod adresem Coya, zajętego pochłanianiem naleśników, bo toczyli ożywioną rozmowę, która raczej bawiła go niż obrażała.

Nim ją zauważyli, Bibi odwróciła się na pięcie, siadła i wyjęła z torebki gotówkę, którą zostawiła na stole wraz z rachunkiem. W głębi sali znajdowały się podwójne drzwi do kuchni, ku którym się skierowała, jakby miała jakiś interes do członka personelu, odwracając twarz od Chubba Coya i jego towarzyszek.

Kucharze i inni pracownicy unieśli głowy zaskoczeni nie tyle tym, że jej nie znali, co jej wdarciem się do kuchni z trzaskaniem drzwiami, jakby miała zamiar wykrzyczeć jakąś reklamację. Puściła się w głąb kuchni, mijając patelnie, ruszty i piece, ktoś spytał, czego chce, ktoś starał się skierować ją ku damskiej toalecie. Dostrzegła tylne wyjście i machnęła rękami,

tłumacząc:

– Powietrze, potrzebuję powietrza. – Jakby sala jadalna zmieniła się nagle w próżnię.

Na parkingu ustawiła hondę tak, by dobrze widzieć wejście do restauracji, i siadła pochyłona za kółkiem, żałując, że nie ma bejsbolowej czapeczki. Dwadzieścia minut później Coy i nauczycielka wyszli. Stali jeszcze przez chwilę, rozmawiając, by w końcu ucisnąć sobie dłonie i pożegnać się. On wsiadł do czarnego lexusa, ona do mercedesa.

Uruchamiając silnik, Bibi myślała sobie, że pojedzie za jednym z nich, ale potem uznała, że nie warto. Jako były policjant Chubb Coy z miejsca by zauważył, że go śledzą. Wzięcie za cel wykładowczyni nie będzie raczej taką rewelacją, jak zastanie jej tutaj w towarzystwie tego mężczyzny. Samo to, że się znali, przekonało Bibi, że sprzysięgli się przeciwko niej i że była tematem – być może głównym – ich rozmowy. Jeżeli będzie chciała zamienić kilka słów z Solange St. Croix, wiedziała, gdzie znajdzie tę sukę.

Gdy lexus i mercedes zniknęły jej z oczu, Bibi siedziała jeszcze przez chwilę, myśląc o zbiegach okoliczności. Nie wierzyła w coś takiego. Czy mogli wiedzieć, gdzie ją znajdą? Czy chcieli, żeby ich widziała? Czy byli wszechwidzącymi władcami wszechświata? „Na miłość boską, Biibs – pomyślała – odbija ci”. Nawet gdyby wiedzieli, jakim jeździ samochodem (czego nie wiedzieli), nie mogli przewidzieć, że wybierze się do Norm's, póki się tam nie znalazła. W każdym razie była pewna, że nikt za nią nie jechał. Mimo to nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

Pojechała do trzech oddziałów swojego banku i z każdego bankomatu wypłaciła po dwieście dolarów, dzięki czemu miała w sumie osiemset czternaście dolarów gotówki. W supersamie kupiła telefon na kartę i mapę elektroniczną z GPS-em. Do tego jeszcze czapkę bejsbolową i okulary przeciwsłoneczne na wypadek, gdyby musiała się trochę zamaskować.

Gdy na parkingu otwierała hondę i kładła zakupy na

siedzeniu pasażera, zaczynała myśleć o sobie jak o spryciarze, która znika z radaru ze swobodą doświadczonego agenta CIA.

I właśnie wtedy ktoś za jej plecami spytał:

– Czy to ty, Bibi? Bibi Blair?

## ***Pierwsza poznała się na jej talencie***

Bibi obróciła się na pięcie i stanęła oko w oko z kobietą, którą skądś znała, chociaż nie kojarzyła z żadnym konkretnym nazwiskiem. Koło trzydziestki. Gęste, długie blond włosy. Twarz gładka i bez zmarszczek, jak surowe mięso kurczaka po obdarciu z gruzłowatej skóry. Zadarty nosek, usta jak u gwiazdy porno. Biel zębów, od której można oślepnąć. Sterczące piersi, w zagłębieniu których zmieści się stado ptaków.

– Mam nadzieję, że literacka sława nie uderzyła ci tak bardzo do głowy, że zapomniałaś o zwykłych ludziach, gąsko. Nie minęło nawet sześć lat.

– Panna Hoffline – odezwała się Bibi.

Rozpoznała ją nie dlatego, że przypomniała ją sobie z wyglądu, ale tylko dlatego, że nikt poza nauczycielką angielskiego w ostatniej klasie liceum nie nazywał jej nigdy gąską.

– Teraz nazywam się Marissa Hoffline-Vorshack. Dwa lata temu znalazłam dobrą partię. Leopolda. Deweloperka.

Bibi w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie zapytać: „To dlaczego nie nazywa się pani Marissa Hoffline-Deweloperka?”. Pamiętała jednak, że panna Hoffline osiągnęła taki stopień mistrzostwa we wredności, że potrafiła wdeptać kogoś w błoto na tyle subtelnie, by potem móc spokojnie przekonywać, że źle zrozumiało się albo jej intencje, albo każde

słowo.

Lepiej z nią nie zadzierać, więc zamiast tego Bibi powiedziała:

– Wygląda pani... naprawdę dobrze.

– Cztery lata temu nieco się odświeżyłam. To miłe, że zwróciłaś uwagę.

Przed odświeżeniem panna Hoffline była trzydziestopięcioletnią mysią brunetką o krzywych zębach i biuście szesnastolatki. Przemiana polegała na wykorzystaniu chirurgii plastycznej na skalę przemysłową, zużyciu co najmniej litra botoksu i wykonaniu skomplikowanych obrzędów voodoo.

– Oczywiście rzuciłam szkołę. Nie muszę uczyć. Tam stoi mój bentley w kolorze latte. Ale zawsze powtarzam ludziom – oświadczyła pani Hoffline-Vorshack – że pierwsza poznałam się na twoim talencie.

Tu to naprawdę przegięła. Krytykowała Bibi częściej niż wszystkie inne dzieci na lekcjach, zwłaszcza gdy chodziło o jej pisanie. Bibi miała w liceum sporo dobrych nauczycieli, ale to dla takich jak ta pani dzieci już dawno wynalazły papierowe kule.

Jakby zauważyła błysk złości w oczach dawnej uczennicy, pani Hoffline-Vorshack dodała pośpiesznie:

– Zawsze byłam dla ciebie trochę twarda, skarbie, bo od czasu do czasu potrzebowałaś odrobiny zachęty, żeby wykorzystać cały swój potencjał.

Bibi zdobyła się na uśmiech, który przypominał grymas manekina brzuchomówcy.

– Dziękuję. Tak miło było znowu panią spotkać.

Pochylając się tak, że można było odnieść wrażenie, że przez olbrzymie piersi straci równowagę, kobieta zagadnęła:

– Mogę ci zadać jedno pytanie?

Bibi zależało jedynie na urwaniu się stąd i zniknięciu z radaru, co prawdopodobnie zdarzy się szybciej, gdy wysłucha tego pytania.

– Jasne – odparła, spodziewając się jakiejś uszczypliwości na temat staruszki hondy.

Tymczasem pani Hoffline-Vorshack zapytała:

– Czy to z powodu powieści narobiłaś sobie wrogów? Po co nosisz przy sobie spluwę?

Bibi przez chwilę nie wiedziała, o jaką „spluwę” może chodzić, ale po chwili odpaliła:

– Spluwę? Ale to nieprawda.

– Daj spokój, gąsko. Mój Leo dostaje groźby, facet na takim stanowisku, dlatego musi mieć pozwolenie. Jak ma się wprawne oko, takie jak ja, i przenikliwy wzrok, najlepszy krawiec nie ukryje charakterystycznego wybrzuszenia.

Nie było mowy o żadnym charakterystycznym wybrzuszeniu. Pistolet w naramienniku wisiał przy boku Bibi, pod najluźniejszą częścią blezera.

– Przykro mi, ale tym razem wprawne oko panią zawiodło. Nie mam powodu, by nosić broń.

Gdy Bibi chciała się odwrócić, tamta złapała ją za ramię. Z troską tak samo autentyczną jak jej biust odświeżona eksnauczycielka zawołała:

– Do cholery, czy to znaczy, że nie masz pozwolenia?! Bibi, możesz nawarzyć sobie piwa, naprawdę! Za posiadanie broni bez pozwolenia można pójść siedzieć!

Po parkingu kręcili się klienci idący do sklepu i stamtąd wracający, a pani Hoffline-Vorshack miała głos prowadzącego aukcję, choć bez jego pełnych wdzięku kadencji. Ludzie patrzyli na nie zaintrygowani, marszcząc brwi.

Bibi wycodziła przez zęby:

– Nie mam broni. A teraz proszę mnie puścić.

Kobieta puściła jej rękę, by chwycić za lewą część blezera i odsłonić pistolet na naramienniku.

– Zawsze lubiłaś łamać zasady, dziewczyno. Zawsze. Ale jako pierwsza, która poznała się na twoim talencie, nie chcę, żebyś zrujnowała sobie karierę.



Bibi oderwała rękę pani Hoffline-Vorshack od swojego ubrania.

– Co w panią wstąpiło? Niech się pani ode mnie odsunie.

– Jeśli nie masz pozwolenia na noszenie ukrytej broni, powinnaś to w tej chwili zdjąć i odłożyć do bagażnika.

Kilku przechodniów zatrzymało się, żeby obejrzeć awanturę. Musieli należeć do ludzi nieoglądających telewizji. W dzisiejszych czasach człowiek, który w takich sytuacjach nie uciekał, jak szybko się dało, powiększał liczbę ofiar.

– Mam pozwolenie! – syknęła Bibi i ruszyła w stronę drzwi od strony kierowcy.

Była nauczycielka angielskiego dogoniła ją między przednimi światłami.

– Jeśli naprawdę masz, dlaczego nie powiedziałaś o tym wcześniej? Dlaczego?

Miażdżąc napastniczkę piorunującym wzrokiem, Bibi starannie wymówiła każde słowo:

– Bo. Nie. Chcę. Żeby. Każdy. Idiota. O tym. Wiedział.

Odporność pani Hoffline-Vorshack na działanie piorunów dorównywała twardością granitowi.

– Nie pyskuj, młoda damo. Jeśli masz pozwolenie, pokaż, a ja nie będę się o ciebie martwić. W przeciwnym razie będę musiała zadzwonić do twoich rodziców.

– Mam dwadzieścia dwa lata, na miłość boską.

– Jak dla mnie nie masz.

Bibi już dochodziła do drzwi, a dawna nauczycielka deptała jej po piętach, gdy spośród gapiów wystąpił wysoki, muskularny mężczyzna o spalonej słońcem twarzy i wąsach morsa, z bandaną wokół głowy, bezrękawnikiem niepasującym do chłodnego ranka i tatuażami przedstawiającymi gady i pająki na ramionach i karku. Wyglądał jak postać z *Człowieka ilustrowanego* Raya Bradbury'ego powstałego w alternatywnym świecie, gdzie Bradbury w trakcie pisania wrzucał kwas.

– Przepraszam panie, może mógłbym pomóc w zaprowadzeniu

odrobiny porządku?

Bibi skorzystała z okazji i szybko rzuciła:

– Ta kobieta upiera się, że mnie zna, a ja nigdy w życiu jej nie widziałam. Ma coś nie tak z głową.

Urażona zarzutem pani Hoffline-Vorshack odwróciła się do zwalistego arbitra, by bronić się przed oszczerstwami Bibi, odchodząc nieco od hondy i wskazując na pojazd w rzędzie aut naprzeciwko.

– Widzi pan tego bentleya, *mojego* bentleya? Wariaci nie jeżdżą bentleyami latte.

Kiedy kobieta starała się udowodnić, że jest zdrowa na umyśle, Bibi wsiadła do hondy i włączyła silnik. Wyjeżdżając, dodała za mocno gazu i pani Hoffline-Vorshack odskoczyła, jakby bała się, że zostanie przejechana. Za to ilustrowany człowiek nawet nie drgnął, jakby miał pewność, że jego napakowana postura wyjdzie cało z kolizji ze zwykłym sedanem.

Wyjeżdżając na ulicę, Bibi krzyknęła, choć przez całe to osobliwe spotkanie nie uniosła głosu:

– A co *to* ma, kurde, znaczyć?!

Potyczka wydawała się czymś więcej niż po prostu przypadkowym spotkaniem z byłą nauczycielką. W incydencie tym wyczuwała zarys jakiegoś planu, zapowiedź przyszłych zdarzeń, sens, który musiała zidentyfikować i przemyśleć.

## ***Pantera straconego czasu***

Kilka ulic od supersamu Bibi zjechała na parking przed pawilonami handlowymi. W osobnym budynku koło pawilonów mieściło się Donut Heaven ze złotą aureolą obracającą się wokół lukrowanego pączka na dachu.

Mimo że telefon na kartę obiecywał natychmiastową aktywację, nie zdziwiła się, że trzeba było czekać na telefon z potwierdzeniem.

W międzyczasie czytała instrukcję do mapy elektronicznej, roztrząsając w myślach niedorzeczne spotkanie z panią Hoffline-Vorshack, które nadal zdawało się jej ważne i w jakiś sposób powiązane z jej obecnymi problemami. Jednak wyobrażanie sobie, że była nauczycielka należy do spisku przeciwko niej, byłoby krokiem od możliwej do usprawiedliwienia paranoi do wejścia na stromo opadającą ścieżkę w stronę manii. Jeżeli Hoffline-Vorshack, to czemu nie bezimienny rozjemca z wąsami morsa i rozlicznymi tatuażami? A jeśli on, to czemu nie wszyscy klienci Donut Heaven? Każdy w każdym aucie na ulicy? *Wszyscy i wszędzie?*

– Lepiej wyluzuj, Biibs – upomniała się.

Po uruchomieniu mapy z linkiem GPS próbowała odnaleźć Moonrise Way 11 – adres wypisany płytkami scrabli na stole w gabinecie Calidy. Nie знаła nazwy miejscowości, ale urządzenie umożliwiało wyszukiwanie według hrabstw. Moonrise Way, Lane, Street, Avenue, Boulevard ani Parkway

nie było nigdzie w Orange i w dziesięciu sąsiednich hrabstwach. Bez nazwy miejscowości proces okazywał się żmudny w porównaniu z tym, czego mógłby dokonać laptop, ale wykorzystanie konta online mogłoby pozwolić Niewłaściwym Ludziom na zlokalizowanie jej natychmiast po zalogowaniu.

Gdy telefon na kartę był już gotowy do działania, zastanowiła się, czy nie zadzwonić do rodziców. Mogą mieć jeszcze kaca po wczorajszym świętowaniu, ale powinni się już obudzić. Na pewno niedługo będą chcieli do niej zadzwonić i zaniepokoją się, gdy kolejne połączenia będą przekierowywane na pocztę głosową.

Ale jeśli Terezin i spółka mieli znajomości i możliwości, jakimi się chwalił, mogli podsłuchiwać telefony Nancy i Murphy'ego z taką samą łatwością jak Departament Bezpieczeństwa Krajowego. W tym wypadku, jeżeli Bibi zadzwoni do rodziców, Terezin przechwyci sygnał nadajnika jej nowego telefonu i będą mogli ją wytropić. Chcąc zostać niewidzialną, może dzwonić jedynie do ludzi, których on nie sprawdzi.

Wśród ponad trzech milionów dusz w całym hrabstwie była na razie – o ile nie na zawsze – sama.

Z ociąganiem wyłączyła telefon, włożyła go do torebki i wyjęła książkę w twardej oprawie, która należała do Calidy. Otwierając ją, miała wrażenie, że wytłoczona w skórze pantera zrywa się do skoku w kierunku grzbietu. Zdumiona, mało nie wypuściła książki z rąk, ale po jej zamknięciu pantera wróciła na swoje miejsce na okładce i zastygła w susie.

Przewracała puste kartki, licząc na dostrzeżenie falujących widmowo linijek pisma, które przepływają przez papier, ławic słów zbyt bladych i chryżych, by można było je odczytać. Ale zjawisko nie powtórzyło się, choć kartkowała od początku do końca i z powrotem, a światło gasło i zmieniało się w mrok, który rzednął i przemieniał się w jasność...

Gdy oderwała się od książki, miała wrażenie, że minęło więcej niż kilka minut, że budzi się ze snu na jawie, w który zapadła

na długie godziny. Ziewała, mrugała, miała wyschnięte usta. Lecz uczucie, że była w transie, że wyrwała się z jakiejś hipnotycznej mocy, musiało być omyłką, bo ciągle czuła się najedzona po śniadaniu, nie była zesztywniała i obolała jak po długim siedzeniu za kierownicą. Zegarek podpowiadał, że minęło tylko kilka minut.

Mimo to wolała zamknąć książkę i więcej do niej nie zaglądać. Odkładała ją do torebki, myśląc sobie: „Coś tu jest bardzo nie tak”.

# **61**

## ***Kiedy umierałem***

Był to jeden z tych dni, kiedy mgła naśladuje fale, ale w zwolnionym tempie, stopniowo ustępując przed nieśmiałym ciepłem poranka, chociaż nigdy do końca nie opuszczając wybrzeża, by po kilku godzinach natrzeć na ląd, nie docierając tak daleko jak wcześniej, znowu się cofnąć i powrócić.

W Newport Beach Bibi musiała zapalić światła samochodu na długo przed mostem prowadzącym na półwysep Balboa. Po wjechaniu na to długie ramię lądu, obejmujący zatokę szeroki falochron, włączyła wycieraczki na czasowe, żeby ścierały uparcie osadzającą się na szybie wilgoć.

Kelsey Faulkner mieszkał w strefie handlowej przed superdrogami działkami na Peninsula Point. Dzielnica, do której w cieplejsze miesiące zjeżdżali się turyści, miała szerokość dwóch do trzech przecznic od brzegu zatoki po brzeg oceanu. Była to legendarna okolica, kojarząca się z Dickiem Dale'em i Del-Tones, którzy tworzyli tu surferską muzykę w latach pięćdziesiątych, choć w co bardziej nerwowych wyobraźniach jej płaskość wywoływała wizje druzgoczącej siły tsunami.

Bibi stanęła na płatnym parkingu i przez pachnącą morzem mgłę skierowała się pod zapisany adres, niekojarzący się raczej z siedzibą ludobójczej sekty. W sklepie o nazwie Srebrne Fantazje sprzedawano ręcznie wyrabianą srebrną biżuterię – od niedrogich wisiorków w kształcie skaczących morświnów po śliczne naszyjniki i bransoletki za kilka tysięcy dolarów. Sklep

był czynny rankiem dnia powszedniego poza sezonem, co oznaczało, że miał sporą klientelę wśród miejscowych.

Bibi często tędy przejeżdżała, ale niezbyt interesując się biżuterią, nigdy nie zaglądnęła do środka. Tańsze artykuły wisiały na mosiężnych regałach. Kosztowniejsze wystawiono w gablotach.

Trzydziestokilkuletnia kobieta polerująca bransoletkę przy stoliku w kącie mogłaby czuć się równie swobodnie pod koniec lat sześćdziesiątych. W długiej, powłóczystej, bawełnianej spódnicy, farbowanej bluzce, robionej na szydełku opasce na szyję i dyndających srebrnych kolczykach z symbolami pokoju mogłaby wyjść na scenę z dowolną kapelą z epoki i zostać uznana za jej członka, byle tylko miała w rękach tamburyn.

Uniosła głowę, uśmiechnęła się i zauważyła:

- Nie o takim dniu się myśli, gdy marzy się o Kalifornii.
- Lepsze to niż tsunami – odparła Bibi. – Zastałam Kelseya?

Wskazując na drzwi w głębi, kobieta odpowiedziała:

- W pracowni. Prosto na zaplecze.

Choć mało prawdopodobne, że zostanie poćwiartowana w pracowni srebra, Bibi się zawahała.

– Proszę – zachęciła tamta. – Nie topi ani nic takiego, po prostu coś projektuje. – Zmarszczyła brwi. – Ale pani go zna?

Bibi się zawahała i oznajmiła:

- Znają się z moim tatą.
- To znaczy z kim?
- Murphym Blairem. Właścicielem...
- Jasne, Murph. On jest w porządku. Proszę dalej.

Pracownia Faulknera robiła wrażenie bardziej przemysłowej, niż oczekiwała Bibi w przypadku artysty-rzemieślnika. Mała, ale porządna. Czysta, ale pachnąca lakierem do metalu i olejem maszynowym. Cztery wysokie okna, do których mgła przyciskała pustą twarz.

Okolo pięćdziesięcioletni, z grzywą białych włosów, która kojarzyła się Bibi z Beethovenem, Kelsey Faulkner siedział na

stołku przy stole kreślarskim. Szkicował naszyjnik. Podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Nareszcie promień światła w taki ponury dzień.

Nawet gdyby kobieta w sklepie ją uprzedziła, Bibi mogłaby nie być przygotowana na wygląd twarzy, którą ujrzała. Jedna połowa była przystojna. Druga wyglądała jak z planu *Upiora w operze*: sękata masa blizn i rozoranego ciała, czerwone szramy z włóknami białej, wyglądającej jak tłuszcz tkanki. Szramy odwracały uwagę, chociaż nie ukrywały zniekształconego policzka i szczęki, których wygląd nasuwał obraz mocnego uderzenia z dużą szybkością. Brakowało większości lewego ucha, resztką przypominała zaskorupiałego grzyba.

Chociaż Bibi co prawda od razu powiedziała, że robi śliczną biżuterię, i wydawało jej się, że zdołała ukryć swoją reakcję, Faulkner prawidłowo ją odczytał.

Mówił dość wolno, dokładnie wymawiając słowa, jak gdyby wadę trzeba było pokonać wyrachowaniem:

– Przepraszam. Rita pani nie uprzedziła?

– Sprzedawczyni? Powiedziałam, że znacie się z moim ojcem. Po prostu założyła...

– A kto jest pani ojcem?

– Murphy Blair.

– Miły człowiek. Taki pełen zapału. Kupuje u mnie biżuterię dla pani matki.

– To stąd się znacie?

– Od dawna nie mam ochoty poznawać nowych ludzi. Poza klientami, którzy koniecznie chcą wyrazić swoje uznanie dla rzemieślnika. – Wskazał na szkic. – Mam pracę, mieszkanie na piętrze, książki. To wystarcza. Czasem jest tego aż za dużo.

Mężczyzna zdawał się oczekiwać tego pytania, więc spytał:

– Co się stało?

Po chwili przekrzywił głowę i spojrzał na nią z większym zainteresowaniem.



- Jest pani inna od wszystkich, tak?
- Jakich wszystkich?
- Wszystkich - odparł po chwili, przyglądając się jej.
- Jestem po prostu sobą. Tak jak każdy.
- Inna - zaproponował. - Nie przygnała tu pani pusta ciekawość.

Wyczuwając, że jeszcze nie skończył jej analizować, Bibi milczała, obawiając się, że jeśli będzie naciskać, nic nie powie.

- Nie lituje się pani nade mną. Współczucie, tak, dostrzegam je. Ale nie ma litości, cichego obrzydzenia i pogardy, które idą w parze z litością.

Czekała.

Faulkner zamknął oczy i po chwili pokiwał głową, jakby w odpowiedzi na kwestię w rozmowie, którą ze sobą toczył. Otworzył oczy i zaczął:

- Młody człowiek uderzył mnie stalową rurą. Gdy byłem nieprzytomny, zgwałcił moją żonę, śliczną Beth, i zadał jej dwadzieścia trzy ciosy nożem. Kiedy umierałem... - Poprawił się: - Gdy ona umierała, oblał jej twarz kwasem. A potem mnie. To wściekłe pieczenie ocuciło mnie, kiedy wychodził. Ja przeżyłem. Beth nie.

Bibi usiadłaby, gdyby stało tu jakieś krzesło.

- Kto to był?
- Robert Warren Faulkner. Bobby. Nasz jedynak. Miał wtedy szesnaście lat.
- O Boże...

W tej chwili Bibi nie przejmowała się zniekształconą twarzą. Niepokoiły ją oczy tego mężczyzny, od których nie mogła oderwać wzroku.

- Przykro mi - powiedziała, a on się odwrócił.

Głównym elementem szkicu na kreślarskiej desce był stylizowany ptak wlatujący z rozłożonymi skrzydłami. Być może Feniks.

- Pana twarz - odezwała się Bibi. - Można by ją... znacznie

poprawić.

– Tak. Chirurgia. Rekonstrukcja. Napromienianie i zastrzyki z kortykosteroidów, dzięki którym po usunięciu starych blizn nie utworzą się nowe. Ale po co? Beth nadal będzie martwa.

Bibi nie mogła wymyślić żadnej odpowiedzi. Gdyby nawet znalazła słowa, wiedziała, że nie będzie w stanie ich wypowiedzieć.

– Bo widzi pani – ciągnął mężczyzna – chłopak miał fioła na punkcie nazistów, wojny, obozów śmierci.

– Auschwitz-Birkenau. Terezin – podsunęła.

– Dachau. Treblinka. Wszystkich. A ponieważ to zwierzę, Hitler, interesowało się okultyzmem, Roberta również to zanieczyściło. Beth zaczęła się martwić, chciała pójść do terapeuty. Byłem przeciwny. Mówiłem, że chłopców w tym wieku często fascynują różnego rodzaju okropieństwa. Na tym polega ich dorastanie. Naziści. Zombi. Wampiry. Różnie to bywa. Wyrósł z tego, tłumaczyłem. Nie miałem pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Beth coś podejrzewała, podpowiadała jej to intuicja, ale ja niczego się nie domyślałem. Do czasu...

Mgła po omacku obmacująca wysokie okna. Cichy warkot samolotu, który dopiero co wystartował z Lotniska Johna Wayne'a i wzbijał się ponad morze.

W sklepie Rita witała jakiegoś klienta. Stłumione głosy.

– Co się z nim stało? – zapytała Bibi.

– Nie znaleziono go. Zabrał nasze pieniądze, trochę wartościowych przedmiotów. Miał jakiś plan. Ale mnie wydaje się, że on nie żyje.

– Czemu?

– Myślę, że zadzwoniłby, aby poznać się nade mną. Pod koniec zrobił się arogancki, wulgarny. Upajał się moją reakcją na jego bezczelność.

– Kiedy to się wydarzyło?

– Siedemnaście lat temu.

– Czyli teraz miałby trzydzieści trzy lata.

Rozmowa i cichy śmiech w pomieszczeniu obok. Jak to w interesach. Na zewnątrz dźwięk samolotu w drodze ku Japonii.

– Po co pani tu przyszła, panno Blair? – spytał Faulkner.

Omiatała wzrokiem pracownię.

– Boi się pan, że mógłby wrócić?

– Nie. Jest tak okrutny, że wolałby, żebym żył... i cierpiał.

Popatrzyła mu w oczy i zapytała:

– A gdyby wrócił? Co wtedy?

Z półki pod uchylaną deską kreślarską mężczyzna wyjął pistolet. Widać było, że ma go cały czas przy sobie.

Bibi nie była przekonana.

– Przecież to pana syn.

– Był moim synem. Nie wiem, w kogo się zmienił. – Przyglądał się pistoletowi z pełną powagi tęsknotą, po czym odłożył go na półkę. – To się nigdy nie stanie. Bo nie zasługuję na tę satysfakcję.

Bibi wątpiła, żeby jej następne pytanie było istotne dla sprawy, że srebro miało z nią jakiś związek, ale mimo wszystko musiała je zadać. Mając przed oczami duszy płytki ułożone w napis ASHLEY BELL, spytała:

– Czy robi pan miski, panie Faulkner? Srebrne miski?

– Nie. Tylko biżuterię. Mój talent ma swoje granice. Nie jestem Georgiem Jensenem. – Jego uśmiech nie był w gruncie rzeczy uśmiechem, bo zrodziła go melancholia. – Ale nie odpowiedziała mi pani na pytanie. Po co pani tu przyszła, panno Blair?

– Do widzenia, panie Faulkner. Mam nadzieję, że kiedyś będzie pan miał okazję poczuć się usatysfakcjonowany.

## *Uśmiech z przeszłości*

Na parkingu Bibi do końca wykorzystwała monety, którymi zapłaciła w parkometrze. Kilka chwil przyglądała się zdjęciu Ashley Bell, nie bardzo wiedząc dlaczego, nie dostrzegając w jej twarzy niczego, czego nie zauważyłaby przedtem. Tak jak wcześniej, podświadomie wiedziała, że łączy ją z nią jakieś przejmujące pokrewieństwo, i czuła nieodparty przymus, by z całych sił poświęcić się poszukiwaniom. Nie, to nie do końca prawda. Nie była zmuszana przez jakąś zewnętrzną siłę, przez żaden typowy motyw, który umiałaby określić. Była raczej pchana ku poszukiwaniu uwięzionej dziewczyny, popędzana przez jakieś neodparte siły wewnętrzne, nie przez pragnienie, lecz potrzebę, jak gdyby urodziła się i przeżyła dwadzieścia dwa lata jedynie po to, by ocalić Ashley Bell przed okrucieństwami, jakie mogłyby ją spotkać ze strony przetrzymujących ją ludzi.

Odłożyła zdjęcie, otworzyła laptopa i odważyła się na krótkie buszowanie po sieci. Szybko znalazła informacje, swojego czasu sensacyjne, o zdarzeniach z czasów, gdy miała zaledwie pięć lat i nie miała pojęcia o niczym, co działo się poza jej rodziną. Faulknerowie mieszkali wtedy bardziej na południe, w Laguna Beach. Bibi aż za dobrze znała już szczegóły dzikiego napadu Roberta na rodziców. Potrzebowała jego fotografii i na rozmaitych stronach odnalazła siedem, z których sześć przekazały władzom osoby inne niż jego ojciec.

Na dwóch fotkach był za mały, żeby mogło jej się to na

cokolwiek przydać, na pozostałych pięciu był w wieku od czternastu do szesnastu lat. Przystojny, nawet bardzo przystojny chłopak wpatrywał się prosto w aparat, zawsze poważny, z wyjątkiem jednego zdjęcia zrobionego, gdy miał czternaście lat i szeroko się uśmiechał, stojąc na tle palm i widoku na ocean. Bibi oparła się pokusie dostrzegania podłości w kącie uniesienia ust czy szaleństwa w blasku zmrużonych oczu: wyglądał jak każdy inny chłopak i zamiast mordercą mógł z równym powodzeniem zostać świętym.

Na dwóch zdjęciach zrobionych najbliżej nocy zbrodni – na pierwszym miał piętnaście, na drugim szesnaście lat – widać było, że Robert się zmienił. Nie da się ukryć, robił wrażenie bardziej agresywnego, w jego pozie było coś prowokacyjnego. Aroganckiego wyrazu twarzy, niemal krzywego uśmiešku, nie podsuwała Bibi wyobraźnia. Włosy miał dużo krótsze niż przedtem, mocno przystrzyżone po bokach i z tyłu. Zaczesał je w prawo, jak zawsze, ale bardziej stanowczo, przez co biała czaszka stała się widoczna niczym kredowa kreska. Grzywka opadała w znajomy sposób w lewo i po chwili Bibi zorientowała się, że ma fryzurę identyczną jak Hitler.

Zamierzała przesłać najlepsze zdjęcie rodzicom, z ostrzeżeniem, by uważali na niebezpiecznego mężczyznę podobnego do tego chłopca. Ale przecież siedemnaście lat odmieniło Roberta tak bardzo, że fotografia z młodości nie oddawała wystarczająco jego obecnego wyglądu. Zresztą Nancy i Murphy pytaliby, dlaczego jest niebezpieczny, w jaki sposób jej zagraża, czy ma jakieś kłopoty. Odpowiedzi na te pytania zmieniłyby ich w cele, dlatego lepiej im nic nie mówić.

Naprawdę?

Na Balboa Boulevard samochody jechały w dół półwyspu w stronę Klina, jednego z najślawniejszych i najniebezpieczniejszych punktów surfingowych na świecie, a te jadące naprzeciwko rozgarniały nieustępliwą mgłę. Białe masy kłębiły się wokół hondy, jakby świat znany Bibi się

rozpuścił, a z powstałej w ten sposób atomowej zupy tworzył się nowy, który będzie czyhał na nią na każdym kroku.

Robert Warren Faulkner, alias Birkenau Terezin, funkcjonujący obecnie pod jakimś normalniejszym, jeszcze nieznanym jej nazwiskiem, zabronił jej kontaktować się z mamą i tatą. Chciał ją odizolować, żeby tym łatwiej się z nią rozprawić. Podejrzewała jednak, że niezależnie od tego, jak postąpi, Nancy i Murphy, i Pogo, i inni, których kocha, są już na liście potencjalnych ofiar Terezina. Podobnie jak maniak ludobójstwa, którego podziwiał, będzie szukał ostatecznego rozwiązania, eliminując nie tylko Bibi, lecz także wszystkich, którym zależy na niej na tyle, by po jej śmierci zadawać pytania i domagać się sprawiedliwości.

Paxton Thorpe nie mógł się jej w tej chwili przydać i ani przez chwilę nie wyobrażała sobie, że pędzi jej na ratunek z jakiegoś odległego zakątka na świecie. Lecz pozwoliła sobie chwilę o nim pomyśleć, bo jego piękno – umysłu, serca, ciała – oczyszczało ją z części niepokoju i rozbudzało nadzieje.

Uruchomiła samochód i wyjechała na ulicę. Wiedziała, dokąd ma się teraz udać, choć nie wiedziała, co robi, gdy tam dotrze. Solange St. Croix mieszkała w Laguna Beach, o czym Bibi wiedziała od lat. A szukając zdjęć syna Kelseya Faulknera, zwróciła uwagę, że pani profesor mieszka w tym samym domu, w którym sami kiedyś mieszkali.

## ***Sen na wzburzonym morzu***

Gibb leżał, nie mogąc zasnąć, w trzewiach miasta na wodzie.

Żołnierza sił specjalnych marynarki wojennej uczono znosić rzeczy, które ktoś inny uważałby za nie do wytrzymania. Jeżeli taki człowiek fizycznie, mentalnie i emocjonalnie nie byłby w stanie wyjść obronną ręką z najgorszych wojennych opałów, powinien rzucić wojsko i zostać ochroniarzem w supermarkecie, bibliotekarzem albo kimś w tym rodzaju. Żołnierze SEAL stykali się – i walczyli – z rzeczami, których nikt nie powinien oglądać, okropnościami, po których większość ludzi musiałaby przez lata chodzić na terapię, a z drugiej strony nie wolno im było pod ich wpływem stać się cynikiem, człowiekiem małym czy pod jakimkolwiek względem zepsutym. Po wprowadzeniu się do krainy męstwa zostawało się tam na zawsze. Nie można było sprzedać jej jak domu ani przerobić na nic mniejszego, a gdy pewnego dnia człowiek chciał się stąd wynieść, nie mógłby już wytrzymać życia ze sobą.

Mimo wszystko żołnierze SEAL odczuwali czasami strach i tak jak wszystkim śniły im się koszmary. Pierwszej nocy po załatwieniu Abdullaha Al-Ghazaliego i jego szajki w kabinie z czterema kojami na pokładzie okrętu Pax Thorpe pomrukiwał i krzyczał przez sen. Po zanurkowaniu w sen Perry'emu i Danny'emu nie przeszkadzały krótkie i raczej ciche monologi dowódcy.

Gibb i Pax leżeli na kojach niżej, oddzielonych wąskim

przejściem. Mimo wyczerpania Gibb przez dłuższy czas nie mógł zasnąć i słuchał dziwacznych okrzyków Paxa, niektóre zapamiętując.

Nazajutrz przy śniadaniu zauważył:

– Pax, w nocy krzychałeś, jakbyś poszedł na seans trzech filmów Hitchcocka. Kto oblał komu twarz kwasem?

Pax zbladł, uniósł głowę znad tacy z jedzeniem i mruknął:

– Cholerny sen. Zwariowane odłamki bez związku, za to strasznie realistyczne.

– To Hitler zgwałcił matkę? – dopytywał się Gibb. – I komu odciął palce? Stary, jak przestaniesz jeździć na misje, powinieneś zacząć pisać scenariusze do jakiegoś powalonego serialu.



## ***W jaskini lwa literatury***

Dwupiętrowy dom mordercy w Laguna Beach stał na stromej ulicy na wschód od Coast Highway, gdzie budynki były zwrócone na północ lub południe. Nie miały widoku na morze, a jednak były drogie. Uwagę zwracały ogromne stare drzewa, wąskie podwórka i eklektyczna mieszanka stylów architektonicznych, nie zawsze do końca przemyślanych. Dom, w którym zginęła Beth Faulkner, został zbudowany w stylu modernistycznym: płyty tynku i gładkie tarasy z teki piętrzyły się jak warstwy weselnego tortu upieczonego dla bezkrwistej panny młodej i pana młodego romantycznego jak marchewka.

O tej porze doktor Solange St. Croix najprawdopodobniej była na uczelni, stojąc na straży poziomu współczesnej literatury amerykańskiej i podcinała skrzydła początkującym pisarzom. Bibi zaparkowała naprzeciwko jej domu i obserwowała go przez pół godziny. Nikt nie pokazał się na żadnym z tarasów ani w pokojach za szerokimi oknami.

Mgła była nieco rzadsza niż w Newport, choć ciągle mogła posłużyć za tło do rozgrywającej się w mieście wersji *Psa Baskerville'ów*. A psów nie brakowało – mieszkańcy Laguna prowadzali je jak na wystawie najprzeróżniejszych ras. Nikt się nie dziwił, że kobieta w czapce bejsbolowej i ciemnych okularach siedzi w jakimś gruchocie i nie rusza się przez dłuższą chwilę. Laguna szczyciła się renomą kolonii dla artystów, która akceptuje wszystkie kultury i klasy,

ekscentryków nie tylko tolerując, lecz ciesząc się z ich obecności.

Po zdjęciu czapeczki i okularów Bibi śmiało podeszła do drzwi wejściowych St. Croix. Gdy nikt nie zareagował na dzwonek, przeszła się na tył domu z wyćwiczoną nonszalancją doświadczonego włamywacza. Drzwi i okna były zamknięte, ale tylne drzwi do garażu zabezpieczała jedynie zasuwka. Nawet jeżeli w domu był alarm, garaż prawdopodobnie nie został do niego podłączony. Mogłaby odsunąć zatrzask, wsuwając kartę kredytową pomiędzy drzwi a ościeżnicę, ale zostawiła torebkę w samochodzie.

Już zbierała się do powrotu, gdy nagle coś się w niej przełamało. Nie było to wielkie złamanie. Gruby pień jej psychologii nie rozdarł się aż do ziemi i nie przewalił. Nie był to też jednak delikatny trzask gałązki. Złość z powodu zamieszania, które nastąpiło w jej życiu, niepokój, frustracja i dezorientacja wskutek przerażających wypadków ostatnich osiemnastu godzin doprowadziły ją do stanu takiego napięcia, że coś musiało nie wytrzymać. Złamała się tylko jedna gałąź, jedna gałąź rozrośniętego drzewa Bibi, nosząca nazwę przezorności. Do diabła z Visą. Nie potrzebowała żadnej zasranej karty. Kopnęła w drzwi. Hałas jej nie przeszkadzał. *Podobał* jej się. Nareszcie robiła coś konkretnego. Kopnęła znowu. Za trzecim razem zasuwka ustąpiła. Przed sobą miała ciemny garaż.

Znalazła włącznik światła. Żadnych samochodów. Zamknęła za sobą drzwi.

Wewnętrzne drzwi od garażu do domu miały w środku solidną płytę i zostały wyposażone w grubą zasuwę. Mogłaby kopać w nie do upadłego. Karta kredytowa także na nic by się nie przydała.

Na ścianie wisiały narzędzia ogrodnicze. Obok stał stół z szufladami, w których znalazła mnóstwo narzędzi, z młotkiem i śrubokrętem włącznie.

W najniższym z czterech zawiasów drzwi wsunęła ostrze śrubokrętu między łeb a trzon przegubowego sworznia, podważyła go i wydobyła na pół cala z czopa zawiasu. Stukała w rękojeść śrubokrętu, dopóki sworzeń nie wyszedł całkowicie. Niedługo wszystkie cztery zostały wyciągnięte, odrzucone i z brzękiem potoczyły się po betonowej podłodze.

Każdy czop składał się z pięciu przegubów, dwa tworzyły skrzydełko obudowy, trzy skrzydełko środkowe. Bez sworzni przeguby nieco się rozsunęły, ale drzwi nie ruszyły się z miejsca.

– Ja ci pokażę – mruknęła.

Śrubokrętem, a potem młotkiem ciesielskim, zrobiła szczelinę między drzwiami a ościeżnicą, przez którą przechodziły palce. Zaczęła szarpać się z drzwiami, aż przeguby z wizgiem i chrobotem rozeszły się, a drzwi wygięły, tworząc kilkucalowy łuk. Nie słysząc alarmu. To miłe. Drzwi blokowała jeszcze zasuwa, której nie obróci się tak jak zawiasów. Kiedy się z nią siłowała, drewno zaczęło pękać przy śrubach mocujących wpuszczany zamek. Bolec zabębnił o płytkę zapadki. Stękała, klęła i zmagala się ze wszystkich sił, aż wreszcie posypało się więcej drzazg i drzwi uchyliły się na tyle, że zdołała precyzyjnie się do kuchni, gdzie stanęła, wsłuchując się w odgłosy domu i wycierając pot z czoła rękawem kurtki.

Czasami wolałaby być Paxtonem. On za pomocą paczki materiału wybuchowego C4 rozwaliłby drzwi z kawałem ściany. Sąsiedzi w Laguna byli tolerancyjni. Prawdopodobnie zaczęliby się skarżyć przy drugim, może trzecim wybuchu.

Filtrowane przez spowijającą miasto, mglistą warstwę światła poranka wlewało się leniwie przez okna od sufitu do podłogi, rzucając gdzieś cienie, dając odpowiedni, choć tajemniczy, posępny blask kojarzący się ze śnieżnym krajobrazem w późne popołudnie.

Kiedy chodziła po parterze, gdzie pomieszczenia łączyły się ze sobą bez szczególnej dbałości o wygląd przejść, myślała sobie,

że konstrukcja domu musi być dużo lepsza niż wyglądało to z zewnątrz. Odgłosy świata zewnętrznego nie przedostawały się do środka. Posadzki z jasnego wapnia, minimum dywanów, żadnych kotar, marmurowe obudowy kominków, lustra o imponującej głębi, meble ze stali i skóry o kątach tak ostrych i tak odstręczające, że całość zdawała się dziełem umysłowości owada. Każda twarda powierzchnia miała odbijać echem każdy hałas powodowany przez Bibi, ale ona krążyła w ciszy jak duch, jak gdyby była to świątynia przez stulecia ukryta pod setkami stóp pustynnego piachu.

Czasami czuła się sama jak palec, lecz kiedy indziej przystawała i wyteęzała słuch, niemal przekonana, że ktoś tu na nią czeka – jak pająk ptasznik czyhający na każdy fałszywy krok.

Parter był najwidoczniej przeznaczony do celów rozrywkowych, cocktail party i wieczorków literackich, które obrośły już legendą wśród współpracowników, gościnnych wykładowców i studentów doktor St. Croix. Bibi za krótko chodziła na zajęcia z pisania, żeby tu zostać zaproszona, a mimo to każde pomieszczenie, wszystko, na co padł jej wzrok, sprawiało wrażenie znanego. Nie wiedzieć czemu umiała przewidzieć, co czeka ją za następnym rogiem i za każdymi drzwiami.

Nic w tych zimnych i ascetycznie urządzonej przestrzeniach nie tłumaczyło roli pani profesor w niedawnych wypadkach ani nie potwierdzało jej powiązań z Terezinem. Jeżeli jest tu jakiś gabinet czy pracownia, gdzie znalezienie jakichkolwiek poszlak jest najprawdopodobniejsze, znajduje się na piętrze.

Bibi weszła na otwarte, spiralne schody ze szkła i stali, mijając szerokie okna, do których mgła przyciskała legion rozmywających się twarzy.

Piętro było podobne do parteru i składało się z pozbawionego ozdóbek kina domowego, sali do ćwiczeń ze skromnym wyposażeniem, a w końcu z gabinetu, na który liczyła Bibi.

Spartański pokój na modłę gabinetu St. Croix na uczelni. Dwa czarno-białe abstrakcyjne obrazy. Dość puste regały na książki. Mało zachęcająca wersalka. Czarny fotel biurowy Herman Miller, jedyny mebel w domu wyglądający na wygodny, stał za biurkiem ze szlifowanej stali i płyt z szarą emalią.

Wszystko to także było niepokojąco znajome.

Tylko biurko mogło kryć tajemnice, choć niewiele. W gabinecie nie było komputera. Na wierzchu nie stał żaden przedmiot. W czterech szufladach Bibi nie znalazła niczego ciekawego.

Krótkie schody w południowo-zachodnim kącie pokoju prowadziły na drugie piętro. Pierwszy raz musiała zapalić światło. Na końcu schodów natrafiła na czarno polakierowane drzwi.

Bibi domyślała się, że w czasie wizyt gości drzwi te zamykano na klucz, bo razem ze schodami sprawiały wrażenie drogi do zakazanej krainy. Teraz nie były zamknięte.

Trzymając klamkę, wiedziała z pewnością, co znajdzie za nimi, nie ze szczegółami, ale co do istoty rzeczy: pokoje diametralnie odmienne od wszystkiego na dwóch pierwszych piętrach.

Po przestąpieniu progu i zapaleniu kilku zręcznie rozmieszczonych lamp z kloszami z witraży i dmuchanego szkła przeszła z surowego modernizmu do bujnego stylu wiktoriańskiego. Drzwi otwierały się na salon z ręcznie malowanymi tapetami w barwny kwiatowy deseń. Delikatne firanki, a na nich kotary z kasztanowego aksamitu z frędzlami. Dwie etażerki zastawione bibelotami z porcelany. Kanapa typu Chesterfield. Fotel obity ćwiekowaną skórą. Na dużym, okrągłym stoliku pokrytym tkaniną, na którą narzucono jeszcze serwetkę zrobioną na szydełku, stały popiersia portretowe, emaliowane ozdoby i małe rysunki w ramkach.

Bibi czuła się jak dzieci, które odkryły Narnię, jakby przeszła do innego świata, a jednocześnie wróciła do miejsca już odwiedzanego. Zderzone ze sobą bogate tkaniny i mnóstwo

cacek stanowiły dowód nie tyle miłości do epoki wiktoriańskiej, ile niepokojącej obsesji.

Sypialnia za salonem zawierała jeszcze więcej ozdóbników. Głównym sprzętem było tam łóżko z wymyślnym, wielowarstwowym baldachimem opartym na czterech kolumnach rzeźbionych w wijącą się latorośl i pozłacane kwiaty.

Bibi stała przy wejściu do sypialni, zarazem oczarowana i pełna niedobrych przeczuć, zastanawiając się, czy w szafkach nocnych znajdzie się coś interesującego. Nim zdążyła zapuścić się dalej, czarno lakierowane drzwi u szczytu schodów zamknęły się z trzaskiem.

# **65**

## ***Cisza rozrasta się jak rak***

Gdy Bibi odwracała się w stronę drzwi między sypialnią a salonem, wszystko wskazywało na to, że przyszła pora wyjścia SIG-Sauera.

Pax uczył ją kilka dni na strzelnicy i w jego towarzystwie wystrzeliła setki pocisków do papierowych celów w formie ludzkich sylwetek. Obawiała się, że w podbramkowej sytuacji podejmie złą decyzję. Strzeli, kiedy powinna się powstrzymać. Przypadkowo trafi kogoś, kogo nie trzeba. Na swoją obronę miała zawsze słowa – gdy używała niewłaściwych, wyjaśnienie i przeprosiny załatwiały sprawę. Ale przeprosinami nie wyleczy się ze śmiertelnej rany w piersiach.

Gdy w części salonu widocznej z progu nie pojawił się nikt, gdy cisza stała się napięta i Bibi poczuła, że poddawana jest próbie – albo drwinie – przewyciężyła resztki oporu i wyciągnęła pistolet. Trzymała go w prawej ręce, z lufą skierowaną w sufit.

Zerknęła w stronę okna, zastanawiając się, czy nie biegnie za nim jeden z tekowych tarasów, na który mogłaby się w razie czego wymknąć. W czasie chodzenia po domu straciła orientację. Nie wiedziała, na którą stronę wychodzi to okno, a mgła nie pozwalała na zorientowanie się według natężenia i kąta padania światła słonecznego.

Cisza bywa skuteczną strategią. Szarpała nerwy i zachęcała wyobraźnię do wymyślania kolejnych przerażających

wypadków, przez co najmniejszy i najniewinniejszy odgłos zaczynało się brać za rozpoczęcie spodziewanego ataku, by w decydującym momencie nie zauważyć prawdziwego niebezpieczeństwa. Każdy krok po tym domu nasilał obawy Bibi, od których pękała jej głowa.

W filmach torturowana ciszą postać pyta: *Jest tam kto? Kto tam? Halo? Czego chcesz?*. Odpowiedź na to ostatnie pytanie zawsze przypomina słowa Terezina, które Bibi usłyszała przez telefon, gdy zapytała go, czego chce: *Tylko cię zabić*. Dlatego na ciszę trzeba odpowiadać ciszą – i przemyślanym działaniem.

Opuściła pistolet i ujęła go w dwie wyciągnięte ręce, jak nauczył ją Pax. Szybko przeszła przez drzwi z sypialni do salonu, na zgiętych nogach, omiatając pokoje wycelowaną bronią z lewej na prawą, z prawej na lewą.

Nikt nie czaił się za chesterfieldem ani fotelem. Nikt nie krył się za grubymi kotarami.

Stała, myśląc, czy drzwi nie zamknął przeciąg. Lecz solidna konstrukcja domu nie sprzyjała przeciągom, w przeciwieństwie do ciszy. Nie wierzyła w zrywające się w najbardziej dramatycznej chwili prądy powietrza, tak samo jak nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

Cisza pogłębiała się, jakby za zaklęciem czarownika. Nie słyszała własnego oddechu i bicia serca, dlatego jej uwagę zwrócił najłżejszy z zapachów, zwietrzały tak, że prawie niewyczuwalny. To nie perfumy. Bardziej subtelny niż najbardziej wyrafinowany i rozcieńczony wytwór przypraw czy kwiatów. Mógł to być zapach czystych włosów, z których wypłukano najmniejszy ślad aromatu szamponu, bądź skóry wyszorowanej z mydła i potu. Ani przyjemny, ani nieprzyjemny, w równym stopniu niepokojący co nijaki, nasuwający skojarzenia z zimną, nieubłaganą istotą.

Gdy Bibi odwróciła się, wciąż obiema rękami trzymając pistolet, Solange St. Croix stała zaledwie siedem, osiem stóp od niej. Pani profesor jakby zmaterializowała się z powietrza,



choć Bibi zauważyła za nią wejście do łazienki z umywalką na postumencie i stojącą wanną. Dla zachowania jeszcze większej wierności wobec zwyczajów wiktoriańskich drzwi zlewały się z otoczeniem: dolną połowę stanowiły witraże wykonane listwami dopasowanymi do boazerii, górną oklejono tapetą.

Kobieta jak zwykle miała na sobie stylowy, acz ascetyczny żakiet, który idealnie nadawałby się do pracy w zakładzie pogrzebowym. Siwiejące włosy ściągnięte mocniej niż zwykle i związane w kok, skóra bledsza niż przedtem, wargi, z których jakby odpłynęła krew – przypominała istotę urodzoną z mgły, która okrywała okna za firankami.

Świadoma pistoletu, ale niewzruszona St. Croix nie podeszła do Bibi, tylko zaczęła ją wolno okrążyć, jakby czekała na początek walki. Jej zamiary były niejasne, bo nie miała broni, choć nikt by się nie zdziwił, gdyby nagle z ubioru, który wydawał się za ciasny, by pod nim coś ukrywać, wyczarowała nóż.

Wśród strategicznego milczenia wykładowczyni zatoczyła trzysta sześćdziesiąt stopni, a Bibi obracała się w ślad za nią. Ciężko było powiedzieć, która jest księżycem, a która planetą. St. Croix przygryzała dolną wargę, jak gdyby wstrzymywała się przed powiedzeniem czegoś, i cały czas patrzyła swojej byłej studentce w oczy, ani razu się nie odwracając. Niebieskie oczy były dwoma kamieniami skrzącymi się nienawiścią.

Rozpoczynając drugie koło, profesorka wpadła na stolik, na którym z grzechotem zachwiały się dzieła sztuki i kurioza.

– A więc jeszcze jedna obelga. Co pani tutaj robi, panno Blair? Co chciałaś ukraść? Może podnieca cię coś innego niż kradzież, bardziej zepsutego, zdegenerowanego?

Zamiast odpowiedzieć Bibi spytała:

– Dlaczego jadła pani śniadanie z Chubbem Coyem?

Mrużąc błyszczące oczy, St. Croix odparła:

– Czyli ciągle mnie śledzisz? Po tylu latach?

– Raczej vice versa, jak pani doskonale wie.  
– W jakim sensie?  
– To pani mnie śledziła. Ja pierwsza weszłam do tej restauracji.

– Pozostałaś tą samą, kłamliwą suką. Chorą, kłamliwą suką. Za to nie jesteś aż taka cwana, jak ci się wydaje.

Chociaż nie miało się ochoty na pogłaskanie jej, kobieta pod jakimś względem przypominała kota, skupionego i bezlitosnego jak w czasie polowania.

Bibi spytała:

– Co ma pani wspólnego z Terezinem, z Bobbym Faulknerem? Cały czas krążąc, być może obliczając, czy jest w zasięgu strzału, St. Croix odpała:

– Czy to ktoś, kogo znasz, czy projekt twojej chorej wyobraźni?  
– Siedemnaście lat temu zabił w tym domu swoją matkę i mało co nie zabił ojca.

Nauczycielka nie wątpiła w prawdziwość tych informacji, ale zupełnie je zignorowała i zapytała:

– Jest pani gotowa przyznać się do tego, co *pani* zrobiła, panno Blair?

– Włamałam się tu w poszukiwaniu czegoś, co wyjaśniłoby pani związku z mordercą, Robertem Faulknerem, Terezinem.

St. Croix przestała krążyć. W związku z tym, że wizerunek, który z taką konsekwencją pokazywała światu, był bliski jej sercu, z wysiłkiem starała się ukrywać swą naturalną urodę, mimo to zawsze trochę widoczną. Jednak w tej chwili wyraz pogardy na jej twarzy był tak zaciekły, że zniknęły z niej ostatnie ślady piękna i zmieniła się we wcielenie niechęci, czystej nienawiści.

– Chodzi mi o to – podjęła – co zrobiłaś wtedy. To świństwo, przez które wyrzucili cię z uczelni.

– Nie wyrzucili mnie. Sama odeszłam.

Przy dwóch poprzednich okazjach rozmowy o nieznanym przewinieniu Bibi wściekłość St. Croix nie osiągała takich

proporcji. Teraz jednak dostała białej gorączki, niegodnej chłodnej kąpielki słowa pisanego.

– Odeszłaś. Tak, odeszłaś. Bo w przeciwnym razie dopilnowałabym, żeby cię wyrzucili na zbity pysk.

Z bezsilnej złości, rozważając postrzelenie St. Croix w stopę, żeby straciła nieco ze swej enigmatyczności, Bibi nakazała:

– No dobra, to niech mi pani powie, co zrobiłam.

– Wiesz aż za dobrze. – Jej zimne oczy rozpały się, nabrały gazowego błękitu ognia w spalarni cementarza dla zwierząt.

– Umówmy się, że nie wiem. Niech mi pani powie. Śmiało, proszę mnie zmieszać z błotem. Jeśli to takie złe, niech się poczuje jak gówno, za które mnie pani uważa.

– Dosyć tego! – odezwał się męski głos.

Chubb Coy otworzył pomalowane czarnym lakierem drzwi i wszedł do apartamentu na drugim piętrze. Miał na sobie czarny garnitur i szarą koszulę bez krawata. Niósł pistolet z tłumikiem.

Bibi celowała P226 w panią profesor, która znajdowała się bliżej niż szef szpitalnej ochrony (kimkolwiek on tam jeszcze był).

Sądząc z reakcji, St. Croix była nie mniej od Bibi zaskoczona pojawieniem się Coya.

– Co pan tu robi?! Nie ma pan prawa! To *mój* dom. Najpierw ta wścibska suka, a teraz pan?! Nie będę tolerować... – Nie dokończyła zdania, bo Coy dwa razy strzelił jej w pierś.

## ***Ten, który wolałby umrzeć, niż coś powiedzieć***

Przez mgnienie oka Bibi zdawało się, że Chubb Coy chciał strzelić do niej, ale jako kiepski snajper przestrzelił i zabił panią profesor. Jednak gdy stwierdził: *Byłaby lepszą kobietą i nauczycielką, gdyby codziennie rano miał kto do niej strzelać*, nie mogła już mieć wątpliwości co do jego zamiarów.

Bibi oglądała okropne pokłosa morderstw, ale nigdy nie była świadkiem samego aktu. Wszystkie wyobrażenia na temat takiej chwili, to, co napisała lub planowała napisać o zabójstwie, nijak miały się do towarzyszącego im wstrząsu, rozdierającej i zostawiającej po sobie pustkę rany oglądania przedwczesnego końca czyjś życia, bezpośredniego odczucia, że oto zakończył się jakiś świat, a razem z nim wszystkie przeżycia osoby, do której ten świat należał. Straszne konwulsje ciała przy uderzeniu każdej kuli. Natychmiastowe zgaśnięcie światła w oczach. Upadek tak różny od upadku kogoś, w kim tli się jeszcze życie. Twarde i pozbawione godności spadanie nie osoby, lecz przedmiotu. Solange St. Croix, która nie była żadną przyjaciółką Bibi, mimo wszystko wzbudziła w niej współczucie, nie tylko, a nawet nie przede wszystkim dla niej, ale dla siebie i wszystkich rodzących się na tym śmiertelnym świecie.

Aż dziw, że w ogóle było jej żal St. Croix, wobec faktu, że gdy opadała na podłogę, z rękawa wysunął jej się nóż. Sprężynowy, sądząc po przycisku na rękojeści.

Stłumiony odgłos dwóch wystrzałów nie odbił się głośnym echem od ściany do ściany – bardziej przypominał słowa wyszeptane szybko w jakimś niezrozumiałym języku, wchłonięte bez reszty przez wielowarstwowe tkaniny i miękką tapicerkę wiktoriańskiego salonu. Jeszcze w chwili, gdy doktor St. Croix zmieniała się z osoby w rzecz, Chubb Coy opuścił broń, dzięki czemu stało się jasne, że nie chce strzelać do Bibi, chociaż nie schował pistoletu do kabury.

– Co jest?! – wydusiła z siebie jak długo wstrzymywany oddech. – *Dlaczego?!*

– Co za furia – powiedział Coy. – Idiotka straciła nad sobą kontrolę. Bełkot. Język rozwiązał się jej tak bardzo, że mógłby wypaść z ust. A ja muszę chronić pewnych ludzi.

– Jakich ludzi? Była jednym z was. Rano jadł pan z nią śniadanie.

Stalowszare oczy z błękitnymi cętkami, wcześniej ostre jak skalpele tnące w poszukiwaniu kłamstw, które trzeba usunąć jak guzy, zmieniły się teraz w grube przegrody zasłaniające wszystkie myśli, które się za nimi skryły.

– Nie zrozumiała pani sytuacji. Mamy tu do czynienia z wieloma frakcjami, które mogą niekiedy zawierać sojusze, ale nie jesteśmy po tej samej stronie. Gra toczy się o wielką stawkę, a w takich przypadkach większość graczy działa na własną rękę.

– Co to za gra? – dopytywała się Bibi. – O co w tym wszystkim chodzi? Gdzie jest Ashley Bell? Co z nią zrobią?

Na jego okrągłej i sympatycznej twarzy malował się irytująco miły uśmiech.

– Po co chce pani to wiedzieć?

– Bo muszę. Chcą mnie zabić.

– I tak już zostanie – zapewnił ją. – Aby zachować tajemnicę, zabiją panią na sześć sposobów jednocześnie.

– Jaką tajemnicę?

Tylko się uśmiechnął.

Gdy w niego wycelowwała, nie przestawał się uśmiechać – i odłożył pistolet.

– Nie jest pani zdolna zabić z zimną krwią.

– Jestem. Zabiję.

Pokręcił głową.

– Gliniarska intuicja. Zresztą i tak wolałbym umrzeć, niż coś pani powiedzieć.

Bibi opuściła pistolet ze słowami:

– Ashley to tylko dziecko. Dwanaście? Trzydzieści lat? Dlaczego musi umrzeć?

Wzruszył ramionami.

– Co to za pytanie? Są tacy, którzy mówią, że dla bogów jesteśmy jak muchy, które chłopcy zabijają w letni dzień.

Nie cierpiała jego wystudiowanej obojętności.

– Ale z pana gnojek.

Znowu ten uśmiech.

– Jak pani sobie życzy, panno Blair.

Gdy zaczął się odwracać, zapytała:

– Jest pan z nim, z Terezinem?

Spokojne oczy zabłysły na chwilę, kiedy odwracał się do niej z powrotem.

– Z tym ohydny faszystą i jego nazistowską sektą? Panno Blair, mam niemal ochotę zastrzelić panią za taką sugestię. Gardzę nim.

– W takim razie nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół...

– Ciągłe są naszymi wrogami. Trzeba się z tym pogodzić, mała. Jesteś łatwą ofiarą. W dzieciństwie Terezin był psem, a teraz zdziczał. Został wilkiem, podobnym, a jednocześnie niepodobnym do wszystkich innych wilków, zawsze na czele watahy. Marzy o zawróceniu świata, o świecie młodszym, czyli świecie watahy. Wcześniej czy później panią dopadną. Uważa ich pani za sektę i to prawda, ale to też coś więcej. Tych karaluchów jest mnóstwo i mają do dyspozycji środki.

Wyszedł z wiktoriańskiego apartamentu. Chciała pójść za

nim, ale się zatrzymała, tknięta podejrzeniem, że w ciągu ostatnich kilku chwil udzielił jej jakiejś wskazówki, na którą nie zwróciła uwagi, rzucił jej wystrzępiony koniec nici, która po nawinięciu na szpulkę rozwikłałaby tajemnicę, ujawniła każdy wątek zmyślnie utkanego spisku. Stała więc w towarzystwie trupa, w barwnym gąszczu wiktoriańskich zdobień, patrząc, lecz nie za bardzo widząc, słuchając w myślach rozmowy, ale chyba nie słysząc.

## *Trochę czasu na chillout*

Jeśli nawet Chubb Coy pozostawił jej jakąś nić, wskazówkę, Bibi nie umiała jej znaleźć w salonie na drugim piętrze ani przypomnieć sobie ich rozmowy na tyle dokładnie, by wysupłać tę wystrzępioną końcówkę. Oszołomiona i zła na siebie zabrała nóż doktor St. Croix. Złapała ozdobną poduszkę z kanapy, odsunęła suwak poszewki z frędzlami, zdjęła ją i założyła sobie na prawą rękę jak rękawiczkę. Schodząc na dół, starała się przypomnieć sobie wszystko, czego dotykała, i dokładnie wycierała z każdego przedmiotu ewentualne odciski palców.

Gdyby oskarżono ją o morderstwo Solange St. Croix, zakończyłoby to jej poszukiwania Ashley Bell tak samo skutecznie, jak gdyby zabił ją Terezin. A gdyby tak się złożyło, że zatrzymujący ją policjant należałby do Niewłaściwych Ludzi, mógłby twierdzić, że w czasie aresztowania stawiała opór, co uzasadniało wpakowanie jej kulki w głowę.

Zastanawiała się, jaka będzie, jeżeli wyjdzie z tego żywa. W jej krwi krążyła już jak wirus paranoja, która być może jest nieuleczalna. Umiała sobie wyobrazić, jak cierpi na agorafobię i fobię społeczną, boi się otwartych przestrzeni i ludzi, niezdolna do wyjścia z mieszkania, żyjąca za zamkniętymi na cztery spusty drzwiami i spuszczoneymi roletami.

– W dupie to mam! – rzuciła, przechodząc przez pokój dzienny.

Na wyspie w kuchni stała duża, designerska torebka, której



nie było, gdy wchodziła. Pewnie należy do St. Croix, która zostawiła ją tam po przejściu przez zniszczone drzwi od garażu. O pani profesor można powiedzieć wiele, lecz nie da się zaprzeczyć, że to kobieta z jajami, sama szukająca intruza, którego tożsamości chyba się jednak domyślała. Bibi wzięła torebkę i dalej wycierała odciski palców, przechodząc do garażu, gdzie ciągle tykał i brzęczał mercedes martwej gospodyni, w którym stygł silnik.

Tam otworzyła torebkę St. Croix, w której zgodnie z przewidywaniami znalazła smartfona. Z niego zadzwoniła na numer ojca. Wiedziała, że dzięki temu Niewłaściwi Ludzie nie namierzą jej komórki na kartę, o ile monitorowali rozmowy Murphy'ego.

Odebrał po drugim dzwonku.

– Tu Murph.

– Cześć, tato.

– Bibi! Od rana próbujemy się co ciebie dodzwonić!

– Staram się nie odbierać.

– Nawet telefonów od własnych rodziców? Co się dzieje?

– Nic. Wszystko dobrze.

– Nie wciskaj mi kitu.

– Spokojnie, staruszk. Dwa dni temu jeszcze umierałam i potrzebuję trochę czasu dla siebie, żeby to wszystko ogarnąć.

– Co ty nie powiesz! Dzisiaj od rana albo chodzę uśmiechnięty jak głupi, albo jestem cały podenerwowany.

Słyszając emocje w jego głosie, Bibi poprosiła:

– Tylko się na mnie nie denerwuj, tato.

– Po prostu tak strasznie cię kocham, skarbie.

– Ja ciebie też. Ale wiesz co, wolę się teraz nie rozgadywać.

Wyjadę trochę na południe, znajdę jakieś fajne miejsce na parę dni.

– Trochę czasu na chillout.

– Dokładnie. Może do Carlsbadu. Albo La Jolla. Dam ci znać, jak zamelduję się w motelu. Przepraszam, że rano nie

przyprowadziłam mamie bmw.

– Właśnie wtedy zaczęliśmy się martwić. Ale nie przejmuj się, mała. Skoczmy tam i sami je przywieziemy. A propos, jak spodobała ci się wczoraj Calida?

– Zapada w pamięć. Pogadamy o tym za kilka dni, gdy się spotkamy.

Mała nie zapytała o srebrną miseczkę i płytki z literami u niego w biurze, o komplet igieł i bawełnianą szmatkę z plamami krwi, ale nie wiedziała, dokąd zaprowadzi takie pytanie, i *nie chciała się dowiadywać*. Nie chciała rzucać podejrzeń na własnych rodziców. Nie mogła. W chwilach tak burzliwych jak te, a i w pozornie szarej codzienności, która z perspektywy czasu zawsze okazywała się ważniejsza i bardziej znacząca, każdy z nas potrzebował wsparcia ludzi stałych i prawd, które się nie zmieniają. Znała słabości rodziców, drobne i łatwo wybacalne, i długie doświadczenie podpowiadało jej, że można na nich polegać tak jak na nikim innym. Gdyby kiedykolwiek odkryła, że są inni, niż się wydają, byłaby zdruzgotana, a wyrażenie „złamane serce”, tak banalnie brzmiące przez nadmierne używanie, nabrałoby dla niej nowego wymiaru.

– Przekaż mamie, że ją kocham.

– I tak się będzie martwić. I ja też.

– Balansuję na desce, tato.

– Skoro tak mówisz. Jesteś w tym najlepsza.

– To dobrze. Pamiętaj o tym. Na razie.

Rozłączyła się i czyściła telefon, kiedy ten zadzwonił. Odebrała, ale się nie odezwała.

Terezin najwyraźniej prowadził całodobowy monitoring komórki Murphy’ego. Zagaił:

– A, tu jesteś, śliczna Bibi.

W nadziei, że choć trochę wytrąci gnojka z równowagi, odpowiedziała:

– Halo, Bobby.

– Czyli nasza mała pani detektyw robi postępy. Znaczy, że odwiedziłaś mojego ojca. Gdy skończę z tobą, może wpadnę i do twojego.

Podchodząc do drzwi, które wcześniej wyważyła, podjęła:

– Trzydzieści trzy lata, a zachowujesz się jak dziecko. Dokuczasz mi jak dziecko. To nudne.

– Ta twoja powieść to dopiero nuda. Nie wiadomo, co bardziej zasługuje na spalenie: książka czy autorka. W każdym razie pojutrze zaczynam trzydziesty czwarty rok życia. Obiecuję, że przez ten czas dorosnę. Szkoda, że nie możesz wpaść na imprezę. Będzie Ashley. Mój gość honorowy. To ostatnia szansa na zastanie jej przy życiu. Wszystko zaczyna się od nowa. Ta mała Żydówka odegra historyczną rolę.

Zdawało jej się, że podtrzymuje rozmowę, żeby namierzyć telefon z GPS-u, ale się rozłączył. Może już wiedział, gdzie jej szukać.

Bibi raz jeszcze wytarła telefon i cisnęła go w drugi koniec garażu.

## ***Człowiek, pies, chwila***

Choć w głębi ładu mógł się zaczynać słoneczny marcowy dzień, mgła na wybrzeżu nie ustępowała. Mimo zbliżającego się południa jej pokłady wcale się nie podnosiły i można się było spodziewać, że tak będzie przez całe popołudnie.

W hondzie Bibi rzuciła torebkę i ozdobną poszewkę pani profesor na fotel pasażera. Wyjęła kluczyki z kieszeni w blezerze i odpaliła silnik.

Tempo, w jakim Terezin wytropił i zadzwonił na numer wykładowczyni, spowodowało, że Bibi wpadła w popłoch. Może to sprawka Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Ale w jakim zakresie ten zabójca mógł współpracować z instytucjami rządowymi? Szybkość sugerowała raczej umiejętności nadprzyrodzone niż techniczne.

Wątpiła, żeby był w stanie zrzucić kilku płatnych morderców z drona czy cyrkowej armaty tak samo szybko, jak zadzwonił. Ale zapamiętała słowa Chubba Coya: *Tych karaluchów jest mnóstwo i mają do dyspozycji środki*. Co ona tu jeszcze robiła?

Kiedy wjeżdżała na górkę pod baldachimem z konarów drzew, na chodniku po lewej, blisko skrzyżowania, zauważyła mężczyznę z psem. Wysokiego, w bluzie z kapturem. Prowadzącego golden retrievera. Bibi ledwie wypatrzyła ich we mgle, tę parę duchów niewiele bardziej materialnych niż zjawy. Po chwili skręcili za róg i zniknęli jej z oczu.

Noszenie kaptura miało sens przy gęstej mgle i chłodzie.

Dziesiątki ludzi założyłyby takie bluzy, by wyjść z psem na spacer przy takiej pogodzie. A i golden retriever nie był rzadkością. To nie był gość ze szpitala, którego spotkała dwa dni temu. To niemożliwe. Aż śmieszne.

Na skrzyżowaniu nie zatrzymała się na stopie, skręciła w lewo i omiotła wzrokiem ulicę. Drzewa. Zaparkowane samochody, SUV-y i lekkie ciężarówki. Są – na chodniku po prawej, mężczyzna i pies oddalający się wśród ciężkich zwałów mgły, mniej realni niż w pierwszej chwili. Jeżeli to był nocny gość ze szpitala, nie mógł być po tej samej stronie barykady co Terezin. Życzył jej przeżycia, a nie śmierci.

Dodała gazu, a wtedy z krawężnika po prawej ruszył jakiś pick-up. Bibi wcisnęła hamulec do dechy i zatrąbiła, honda zaskowityła i zadrżała. Drugi kierowca zatrąbił dłużej niż ona, zapowiadając, że jeszcze jej pokaże. Kiedy dżokej w pick-upie dotarł do następnego skrzyżowania i skręcił w dół, człowiek z psem zniknął jej z oczu.

Potem ujrzała ich dalej, po drugiej stronie ulicy, gdy wchodzili do parku przez przerwę w niskim kamiennym murze. Kiedy zdążyła tam dojechać i stanąć hondą przy krawężniku, gdzie nie wolno było parkować, tamci rozplynęli się już we mgle wśród zwieszających się gałęzi drzew pieprzowych.

Park nie był szczególnie rozległy, nie był przeznaczony dla turystów, raczej skromny i dla mieszkańców. Mniej więcej dziesięć akrów z drogą przez gaj pieprzowców, placem zabaw ze spiralną zjeżdżalnią i superbezpiecznym, mało zabawnym parkiem linowym z paskudnego plastiku oraz dużym, trawiastym obszarem, na którym psy mogły ganiać za frisbee i tenisowymi piłkami. Na północnym krańcu teren był łagodnie pofałdowany i tworzył parów, na którego krawędzi ustawiono stoliki i dwa niewielkie pawilony widokowe na bardziej słoneczne dni.

Mężczyzny z psem nigdzie nie było. Zresztą w ogóle nie spotkała nikogo. Rzuciła w ruchome płachty mgły:

– Halo, proszę pana z pięknym psem – ale nie doczekała się reakcji.

Parów był głęboki i mgła zdawała się gęstnieć w jego głębi, tak że nie było widać dna i sporej części stoków. Ścieżka po nierównym terenie stawała się coraz bardziej stroma, prowadząc przez królestwo węży, rysiów i kojotów, w które żadna rozsądna osoba nie zapaści się po omacku.

W takim nieziemskim krajobrazie, złożonym z porośniętych mgłą drzew, opustoszałych pawilonów i porzuconych placów zabaw, Bibi poczuła, że jest obserwowana. Nie tylko obserwowana, ale również manipulowana, wciągana dalej. Była sama i daleko od hondy. Pomimo pistoletu w naramienniku przestała czuć się bezpiecznie.

W drodze powrotnej na ulicę chłód jak koniuszek lodowatego palca przebiegł jej plecy od krzyża do karku. Rzuciła się do biegu, pewna, że ktoś lub coś depta jej po piętach. Kiedy po przejściu niskiego muru zobaczyła leciwą hondę Pogo, stanęła i obróciła się na pięcie, gotowa do konfrontacji. Nikt jej nie ścigał.

Wcześniej zawsze mogła polegać na intuicji. Może ta nowa rzeczywistość, ten zwariowany świat różnił się również pod tym względem.

Z miejsca jednak zdarzyła się okazja do ponownego zaufania sobie. W głębi parku, ledwie widoczny pośród mgły, z zimnej, białej masy wynurzył się człowiek w kapturze z psem na smyczy, który szedł nieco z przodu. Zniknęli, a po kilku sekundach zaistnieli na powrót, powoli przechadzając się wśród drzew pieprzowych.

Mężczyzna z pewnością słyszał, jak go wołała. Mało nie zawołała znowu, ale się powstrzymała. Nawet jeśli to on był w szpitalu, nagle wiedziała – nie mając pojęcia, skąd się bierze ta pewność – wiedziała sercem i umysłem, krwią i kośćmi, że spotkanie twarzą w twarz z tym człowiekiem przyniesie jej zgubę. Być może nie jest jej wrogiem, ale pod pewnym

względem jej zagraża. Bibi ogarnęła egzystencjalna trwoga i przez chwilę zabrakło jej tchu. Potem wsiadła do samochodu, zamknęła drzwi i odjechała, nie wiedząc, dokąd zmierza, aż poczuła się... może nie bezpieczna, lecz bezpieczniejsza.

## ***Gotówka, klucz i namiar***

Chcąc wyrwać się z klaustrofobicznej mgły, która zaczynała spowijać jej myśli niemal tak samo skutecznie jak miejscowości nadmorskie, Bibi skierowała się na północ, na Newport Coast Drive, a stamtąd kilka mil w głąb lądu, do skąpanego w słońcu centrum handlowego. Stała w cichym zakątku parkingu, w pierzastym cieniu nieowocujących drzew oliwnych, jak najdalej od ludnego sklepu Pavilions.

Jeżeli Chubb Coy i nieżyjąca profesorka wiedzieli, jakim jeździ autem, mogli podzielić się tą informacją z innymi i być może będzie niedługo potrzebować innego środka transportu. Hondę trudno było śledzić. Wrogowie musieliby mieć szczęście, by ją zauważyć wśród milionów użytkowników aut hrabstwa Orange, chociaż szczęścia to im nie brakowało.

Według Coya szukał jej nie tylko Terezin z jego sekta, ale też inne „frakcje”. Nie wiedziała, co ma wynikać z takiej informacji. Jeszcze wczoraj, gdyby ktoś jej powiedział o tajnym faszystowsko-okultystycznym spisku, Bibi uznałaby go za obywatela Wariatkowa. Teraz miała pogodzić tę myśl z istnieniem innych spiskowców, dążących do odmiennych celów. Chubb Coy z pewnością nie był faszystą. Czy mogłoby być prawdą, że, wedle Szekspira, nasz świat z jego całą złożonością był sceną, a wszyscy ludzie po prostu aktorami, a *jednocześnie*, za H. P. Lovecraftem, że pod sceną główną znajdowały się nieznane inne, na których rozgrywały się różne



dramaty, po cichu wpływające na życie wszystkich na wyższych piętrach?

Wolała tego nie wiedzieć. Życie było wystarczająco niepewne i bez zamartwiania o trole i molochy, które być może knują po piwnicach. A jednak wydawało się, że aby znaleźć Ashley Bell i liczyć na wyjście z tego cało, musi zachowywać się tak, jakby ta paranoiczna wizja świata nie podlegała dyskusji.

Patrząc na ludzi wchodzących i wychodzących z Pavilions i innych sklepów, szybko uświadomiła sobie, że byłaby w stanie przystosować się do tej nowej „rzeczywistości” szybciej od rodziców. Ich pogodzenie się z losem – *będzie, co ma być* – nie zachęcało do poważnych rozważań nad przyczynami i skutkami. Składając wszystko w ręce losu, sprowadzało się intelekt z rangi narzędzia odmieniającego świat do statusu zabawki do wymyślania rozrywek, które łagodziłyby ostre kandy świata. Bibi lubiła te ostre kandy. Dzięki nim zachowywała czujność. Intensywniej myślała. Życie robiło się ciekawsze.

Z kolei w przepastnej torebce doktor St. Croix nie było niczego ciekawego. Bibi liczyła, że znajdzie w niej pełno dowodów zbrodni i złych zamiarów wskazujących na miejsce pobytu Ashley Bell. Ale poza zwykłymi drobiazgami były tam tylko trzy ciekawe rzeczy.

Pierwsza to koperta zawierająca pięć tysięcy dolarów w studolarowych banknotach. Możliwe, że były to pieniądze, które pani profesor dostała potajemnie albo miała zamiar komuś przekazać. W każdym razie dotyczyły raczej brudnych sprawek niż legalnej transakcji. Bibi przez pięć sekund zastanawiała się nad konsekwencjami tego czynu, po czym wzięła pieniądze. Nie czuła się jak złodziejka. Bardziej jak osoba praktyczna. Korzystanie z kart kredytowych groziło ujawnieniem jej lokalizacji. Nie miała pojęcia, ile gotówki będzie potrzebować przed wykonaniem zadania lub śmiercią w jego trakcie.

Druga to albo prawdziwa osa, albo doskonała rzeźba osy

z żądłem gotowym do ataku, zanurzonej w rombie z polerowanego pleksiglasu. Do rombu przytwierdzono breloczek z jednym kluczem elektronicznym. Nie od samochodu. Bez nazwy firmy ani logo. Nigdy czegoś takiego nie widziała. Kluczyk do mercedesa St. Croix wisiał na innym breloku, na jeszcze jednym było kilka zwyczajnych kluczy.

Trzecią ciekawą rzeczą była papierowa serwetka z czerwonym logo sieci restauracji znanej z hamburgerów i z tego, że cały dzień serwowała śniadania. Na serwetce widniało nazwisko pani Haliny Berg, numer telefonu i adres na starym mieście w Tustin. Pismo było duże, najwyraźniej należało do mężczyzny. W każdym razie nie napisała tego dobra pani profesor, znana z adnotacji na rękopisach studentów pisanych precyzyjną i doskonale czytelną czcionką, będących błyskotliwymi bądź enigmatycznymi radami lub miażdżącymi zarzutami. Być może do posiłku z Chubbem Coyem w Norm's zamówiła jedynie wodę, bo śniadanie jadła już gdzie indziej.

Halina Berg.

Telefoniczne uprzedzenie o wizycie to nie był dobry pomysł. To tak, jakby prosić o powitanie z bronią i kajdankami. Poza tym jeśli znowu konieczne jest włamanie, zostawianie śladu w postaci nazwiska zakrawałoby na głupotę.

## ***Ciastka, herbata i mroki historii***

Co prawda Bibi przejeżdżała przez tę okolicę niezliczoną ilość razy, ale nie znała jej zbyt dobrze. Dlatego zdziwiła się, gdy bez odczytywania numerów na krawężnikach i na budynkach natychmiast poznała dom pani Berg. Piętrowy, przestronny i dość uroczy, w hiszpańskim stylu neokolonialnym, stał w głębi podwórka, w cieniu starannie przycinanych wiecznie zielonych dębów.

Jakaś starsza kobieta zamiatała ganek. Nie podniosła wzroku, gdy Bibi przejechała i zaparkowała trochę dalej.

Kiedy wróciła pieszo, kobieta zmiatała stopnie. Powitała gościa takim uśmiechem, jakim kochająca babcia może obdarzyć ulubioną wnuczkę. Wyglądała na osobę po osiemdziesiątce, ale czas był dla niej łaskawy jak rzadko, pozostawiając na twarzy ślad dawnej urody, zaokrąglając i łagodnie kształtując rysy twarzy – przy użyciu technik do pracy z materiałami miękkimi, a nie jak zwykle młotka i dłuta – w sympatyczną pełnię.

– Pani Berg? – zapytała Bibi. – Halina Berg?

– Tak, zgadza się. – Głos kobiety miał w sobie lekką nutę nieokreślonego europejskiego akcentu, która zachowała się mimo lat.

Wyraz ujmującej twarzy, gościnny uśmiech i iskierka dyskretnego rozbawienia w oczach pani Berg sugerowały, że wie, kim jest Bibi i po co do niej przyszła. Mimo to nie

wyczuwała w niej ani odrobiny wrogości, złych intencji, nie dostrzegała chęci do wyrządzenia krzywdy. Jeśli była to mylna interpretacja, cóż, zawsze pozostawał SIG-Sauer P226.

Gdy Bibi się przedstawiła, pani Berg kiwnęła głową, jakby z aprobatą, *Tak, zgadza się*, a kiedy podała się za osobę przysłaną przez doktor St. Croix, powiedziała:

– Proszę wejść, posiedzimy sobie przy herbatce i ciastkach.

Bibi zawahała się. Ale gdzie indziej miałyby pójść? Nie miała innych poszlak poza tym nazwiskiem i adresem. Zresztą gdyby Jaś i Małgosia nie zaryzykowali upieczenia przez czarownicę, nie znaleźliby kryjówek z perłami i klejnotami.

Ściany holu na parterze były od podłogi do sufitu zastawione książkami. Na szafkach też nie było wolnego miejsca, w odróżnieniu od regałów w gabinecie St. Croix. Pani Berg zaprowadziła Bibi przez łuki do salonu i jadalni, a stamtąd przez otwarte drzwi do gabinetu. Każde z pomieszczeń urządzone zgodnie z przeznaczeniem, choć służyły zarazem jako części wszechdomowej biblioteki i było w nich więcej szafek niż gołych ścian.

Część kredensów kuchennych, tych z przeszklonymi drzwiami, też wypełniono książkami, a żadna nie wyglądała na kucharską.

Przygotowując tacę z ciastkami domowej roboty i parząc herbatę, pani Berg opowiadała, że ani ona, ani świętej pamięci mąż – Max, który umarł siedem lat temu – nie mieli rodziny i Bóg nie pobłogosławił ich dziećmi.

– Mieliśmy siebie. To i tak był cud. I oboje kochaliśmy książki. Dzięki nim żyliśmy tym życiem i tysiącami innych. Ani chwili nudy!

Zamiast udać się do salonu, usiadły naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, jak znające się od lat sąsiadki. Ciasteczka zawierały dużo wanilii. Ciemnobrązowa herbata, czarna prawie jak kawa, mogłaby być gorzka, gdyby nie osłodzić jej miodem albo syropem brzoskwiniowym.

– Pyszne – oznajmiła Bibi. – I ciastka, i herbata. Herbata jest... niesamowita.

– Dziękuję, moja droga. – Pochylając się z wyraźną ciekawością, Halina Berg zapytała: – A teraz powiedz mi, kto to taki ta doktor Solange St. Croix?

Zbita z tropu Bibi powiedziała:

– Ale zdawało mi się, że pani ją zna. Gdy powiedziałam, że mnie przysłała, od razu wpuściła mnie pani do domu.

Uśmiechnięta, machając ręką jakby dla zbagatelizowania nieporozumienia, staruszka zawołała:

– Na miłość Boską, zaprosiłam cię na herbatę, bo jesteś Bibi Blair!

Wróciło poczucie, że zna ten dom. Bibi rozejrzała się po kuchni.

– Czytałam twoją powieść – oznajmiła Halina Berg, tymi trzema słowami wyjaśniając tajemnicę. – Należysz do rzadkości: jesteś pisarką, która wygląda lepiej osobiście niż na zdjęciu z okładki.

Mając na koncie tylko tę jedną powieść, Bibi nie była przyzwyczajona do bycia rozpoznawaną jako pisarka. Wytłumaczyła, że doktor St. Croix prowadziła uznany program zajęć z pisania na uniwersytecie.

– Co za nuda – stwierdziła pani Berg. – To *ty* mnie interesujesz, moja droga.

Nastąpiło kilka minut przemyślanych i jednoznacznych pochwał pod adresem pisarstwa Bibi, co jednocześnie sprawiało jej przyjemność i zawstydzalo.

Jakby chcąc rozładować niezręczną sytuację wynikającą ze skromności gościa, pani Berg powiedziała:

– Ale o tym możemy porozmawiać później, jeżeli pozwolisz. Jedna z drugoplanowych postaci w książce, ocalała z holokaustu... Intryguje mnie przenikliwość jej rysunku, zwłaszcza w kontekście twojego wieku. Ale najpierw doktor Solange St. Croix. Nie chcę być niemiła, moja droga, ale to takie

pretensjonalne nazwisko. Ciekawe, czy pod takim się urodziła? No, ale to nie ma sensu. Dlaczego niby ta kobieta, której nie znam, przysłała cię do mnie?

Bibi mało nie wyrzuciła z siebie, że nie wie, co byłoby niezręczne. Na szczęście zreflektowała się.

– Badania. Może słyszała o pani ogromnym księgozborze. – Brzmiało to dziwnie, wręcz podejrzenie. Jedna uwaga pani Berg sprzed chwili, w kontekście jej nieznacznego akcentu i wieku, podsunęły Bibi inną myśl. – Badania na temat holokaustu.

Pani Berg pokiwała głową:

– Wielu ludzi wie o mojej... przeszłości. Możliwe, że ta doktor St. Croix słyszała, że przeżyłam zarówno Terezin, jak i Oświęcim.

## ***Kobieta o pamięci jak sklep ze starzyzną***

Kiedy opowiadała o getcie w Theresienstadt, dziś Terezynie, i o Oświęcimiu-Brzezince, wygląd Haliny Berg ulegał zmianie. Na pulchnej twarzy zaczynało być widać jej prawdziwy wiek, a w kącikach ust i w oczach nie pełgało już rozbawienie. Głos tracił melodyjność. Nie mówiła ani z gniewem, ani z żalem, raczej z żelazną stanowczością, jakby nie była w stanie o tym opowiadać, gdyby pozwoliła sobie na silniejsze uczucia.

W 1942 roku, kiedy Halina miała jedenaście lat, naziści przymusowo przewieźli dziesiątki tysięcy najzamożniejszych i najwybitniejszych Żydów w Europie – uczonych i sędziów, pisarzy, artystów, naukowców, inżynierów, muzyków – do twierdzy Theresienstadt, gdzie mieli czekać na transport do jednego z obozów zagłady. Rodzice Haliny grali w orkiestrze symfonicznej – on na klarncie basowym, ona na skrzypcach. Dzięki odwadze i woli życia mieszkańców, mimo strachu, groźby śmierci i nieustannego nękania w Theresienstadt rozkwitło życie kulturalne. Warunki życia były nieludzkie – było strasznie ciasno, brakowało żywności, szalały choroby zakaźne. Matka Haliny zmarła w czasie epidemii tyfusu. Wygłodzonego ojca zawieziono do Auschwitz, gdzie zginął razem z tysiącami innych, ale Halina nie pojechała z nim. Została tam przewieziona z innymi dziećmi, z których wiele zginęło, kilka tygodni przed wyzwoleniem przez aliantów. Z piętnastu tysięcy dzieci, które przewinęły się przez Theresienstadt, przeżyło nie

więcej niż tysiąc sto, a może i niecałe dwieście.

– Ludzie są zdolni do czynienia potworności – powiedziała kobieta. – Ale kiedy pojmie się skalę tego okrucieństwa, tej podłości, wydaje się, że wymyślenie i dokonanie tego przerasta możliwości zwykłych ludzi. Zdaje się dziełem diabła.

Gdy staruszka umilkła, Bibi przyniosła na stół imbryk i dołała herbaty. W tej chwili naszło ją uczucie, że kiedyś już robiła coś takiego, nie dość, że nalewała herbaty, ale i z tego samego imbryka w tejże kuchni. Moment *déjà vu* szybko minął. Nie wiedziała, co o tym myśleć, i mogła tylko odłożyć to do późniejszego przemyślenia.

Gdy wróciła na krzesło, miała wrażenie, że wie, o co spytałaby tutaj doktor St. Croix. Być może tak jak nauczycielka chciała poznać nadprzyrodzoną moc, którą posiadał człowiek zwany Terezinem.

– Słyszałam, że Hitler interesował się okultyzmem – powiedziała Bibi. – Czy z pani lektur, z *przeżyć* wynika, że to prawda? Czy ma pani w swoich zbiorach jakąś książkę, która mogłaby...

Robiąc ręką gest oznaczający, że nie ma potrzeby myszgowania po rozległych regałach, Halina odparła:

– Na szczęście lub nieszczęście, sama nie wiem, mam pamięć fotograficzną. Cokolwiek znajdzie się w moim umyśle, zostaje tam na zawsze i potrafię to sobie przypomnieć. Można by pomyśleć, że to oznacza idealny porządek, ale tak nie jest. Wszystko jest powrzućane bez ładu i składu. Czasami potrzebuję chwili, by się do czegoś dostać...

Bibi czekała, patrząc, jak kobieta popija drugą filiżankę herbaty.

Wreszcie staruszka się odezwała:

– Hitler był częściowo poganinem, ale niezupełnie. Wegetarianinem. Nie pozwalał na zabijanie myszy, które rozmnożyły się u niego w domu. Wierzył, że ojczyzna, kraina niemiecka, posiada mistyczną moc, z której mogą korzystać



*Volk* – ludzie czystej krwi niemieckiej. Nie był chrześcijaninem, nie mógł nim być ze względu na zakorzenienie chrześcijaństwa w judaizmie, dlatego wielowarstwowy system wiedzy tajemnej, który wyrósł z chrześcijaństwa – anioły, diabły, czarownice, seanse i jeszcze dużo, dużo więcej – w ogóle go nie interesował. Lecz myślał, że w ziemi niemieckiej tkwi mistyczna moc, a *Volk* czystej krwi mogą ją wykorzystać, aby stać się nadludźmi... to bez wątplenia koncepcja okultystyczna.

– Nie wyszedł na tym dobrze – stwierdziła Bibi.

– Nie bardzo wierzę w tajemną wiedzę – ciągnęła Halina – lecz jestem przekonana, że świat jest bardziej tajemniczy, niż często myślimy – lub się do tego przyznajemy. Jeśli w ziemi pod nami jest jakaś dziwna naturalna siła, jakiś dotąd nieodkryty magnetyczny prąd, i jeśli istnieją osoby zdolne do korzystania z niej, to są to prawdopodobnie ludzie, o których mówimy, że mają charyzmę. Nie głupkowane gwiazdki kina i piosenkarze, nie chodzi o tanią charyzmę showmanów. Chodzi mi teraz o osoby z wielką charyzmą, zdolne do zarażenia ogromnej liczby ludzi swoimi egotycznymi fantazjami. Hitler. Stalin. Mao.

Bibi nie smakowała herbata, chociaż ją posłodziła. Odsunęła filiżankę.

– Hinduistyczny święty Ramakryszna powiadał, że kiedy ktoś zostaje świętym, zwolennicy garną się do niego jak muchy do miodu. Ponieważ, aby uzyskać charyzmę, taki człowiek musiał stać się święty, nie nadużyje swojej mocy, tej kontroli nad innymi. Ale gdyby zwykły człowiek, członek *Volku* bez cech świętości, ba, wręcz ktoś o rozdętym ego, narcyz, dobrał się do tego magnetycznego prądu czy jak by to nazwać, mógłby pociągnąć za sobą legiony... i doprowadzić świat do zagłady.

Bibi była zawiedziona.

– I to już całe jego skłonności okultystyczne? Mistyczna moc niemieckiej ziemi? Nie czytała pan nic o jego zainteresowaniach wróżbiarstwem?

– Nie.

– Nie pociągały go seanse, media, ceromancja, halomancja, nekromancja i tym podobne?

– O ile wiem, to nie. Ale nie jestem największą na świecie znawczynią Adolfa Hitlera.

Bibi wyjęła z torebki elektroniczny klucz z brelokiem z pleksiglasu. Wskazując zatopioną w nim osę, powiedziała:

– Zdaje mi się, że to ma coś wspólnego z okultyzmem.

Oczy Haliny Berg rozszerzyły się. Zacisnęła dłonie w pięści, jakby chciała powstrzymać się przed sięgnięciem po egzotyczny przedmiot i dotknięciem go.

– Osa gotowa do użądlenia – stwierdziła staruszka – była ich oficjalnym symbolem, to znaczy jednostki *Schutzstaffel* stacjonującej w Theresienstadt.

– *Schutzstaffel*? SS?

– Gwardii pretoriańskiej Hitlera. Oddziałów szturmowych. Najlepszego narzędzia terroru. Głównym symbolem SS była trupia czaszka. Ale jednostka kierująca Theresienstadt porównywała się do *Der Führers Wespe*, jego osy, żądła realizacji jego polityki i rozkazów. Komendant obozu umieścił ten znak na drzwiach.

Wkładając klucz z osą do torebki, Bibi powiedziała smutno:

– Przepraszam, jeśli sprawiłam pani ból.

Halina rozwarła pięści, by otoczyć dłońmi stygnącą filiżankę.

– To tylko taka rzecz, owad w tworzywie, nie powinien wyprowadzać mnie z równowagi. Zresztą to tylko zbieg okoliczności, nowy model breloczka. Nie ma nic wspólnego z Theresienstadt. – Popiła gorzkiej herbaty. – Ci głupcy jakby nie zdawali sobie sprawy, że porównują się do *owadów*.

– Czy osa miała dla nich jakiś tajemny sens, dla jednostki kierującej gettem?

– Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Chociaż... – Zamyśliła się, wbijając wzrok w herbatę, jak gdyby chciała coś wyczytać w ciemnym płynie. – Przez kilka miesięcy był w getcie jeden Cygan. Przesłano go tam przez pomyłkę. Żydów

i Cyganów trzymano osobno i zawsze eksterminowano w swoich grupach. Komendant powinien był odesłać go gdzie indziej, ale zwlekał z tym dwa, trzy miesiące, może dłużej. Słyszało się pogłoski, że garstka oficerów SS interesowała się wróżbiarstwem praktykowanym przez Cygana... Czytaniem z ręki, z woskowych odlewów, może nawet z kryształowej kuli. Ale nie wiem, czy te plotki miały jakieś podstawy. Symbol osy pojawił się przed Cyganem... i został.

Siedziały jeszcze przez chwilę, lecz nie wracały już do Hitlera ani okultyzmu czy charyzmatyczności, jak gdyby obie czuły, że zanadto zbliżyły się do granicy, której lepiej jest nie przekraczać, jak gdyby dalsza rozmowa o tych kwestiach mogła ściągnąć jakąś klątwę. Rozmawiały o sprawach banalnych. Nie wróciły już do tematu powieści Bibi. Gdy twarz Haliny odmłodziła o całe lata, w głosie na nowo zabrzmiała muzyka i zaczęła uśmiechać się tak jak na ganku, Bibi poczuła, że na nią pora, choć obiecała, że wróci.

## ***Pytania niezadane***

Po południu owego marcowego dnia chylące się ku zachodowi słońce rzucało raczej srebrne niż złote promienie, wybijając mnóstwo monet z rozproszonych altocumulusów, które migotały na tle wyblakłego błękitu. Jasne, acz osobliwie ponure światło upodobniało autostradę 55, a potem płatną drogę 73 do wylanych z metalu grobli od nicości aż donikąd, a mknące pojazdy – do robotów wykonujących obojętne zadania stulecia po likwidacji ludzkości.

Po drodze do księgarni mieszczącej się w kompleksie handlowym Fashion Island w Newport Beach Bibi zastanawiała się, dlaczego nie zadała Halinie Berg dwóch ważnych pytań. Po pierwsze: *Czy kiedykolwiek słyszała pani o Robercie Warrenie Faulknerze?* Po drugie: *Czy kiedykolwiek słyszała pani o Ashley Bell?* Były to w końcu dwie kluczowe postaci w tym dramacie – dziewczynę trzeba było pilnie uratować, a morderczy Bobby chciał ją za wszelką cenę ukryć. Bibi założyła, że doktor St. Croix chciała rozmawiać z panią Berg o związku pomiędzy nazistami a okultyzmem, ale być może wcale jej o to nie chodziło. Niezależnie od tego, po stronie której tajemniczej frakcji stanęła, jaki cel przyświecał jej w tym szaleństwie, pani profesor mogła żywić przekonanie, że kobieta ocalała z Theresienstadt i Oświęcimia może powiedzieć jej coś mającego związek z Faulknerem albo Bell. Nawet gdyby pani Berg utrzymywała, że nigdy o nich nie słyszała, mogłoby przydać się

samo obserwowanie jej reakcji na te nazwiska.

Nie było przecież powodów, żeby nie wierzyć opowieści, którą Halina przedstawiła w swojej przytulnej kuchni. Sprawiała wrażenie wiarygodnej. Nawet jeżeli nie przeżyła holokaustu, jak twierdziła, kochała książki i raczej nie mogła mieć nic wspólnego z człowiekiem, który mówił, że nienawidzi większości książek i moli książkowych. Poza tym gdyby działała w porozumieniu z Faulknerem/Terezinem, dałaby mu znać, że kobieta, którą chce zabić, popija herbatę u niej w kuchni.

O ile Bibi nie mogła mieć pewności, czy wydobyła z Haliny Berg wszystko, co się dało, była *przekonana*, że umknęło jej coś z rozmowy z Chubbem Coyem w wiktoriańskim apartamencie na drugim piętrze domu St. Croix i że szkopuł tkwił nie w tym, co powiedział, tylko jak to mówił. Padły pewne znajome tezy i wyrażenia, a pamięć zaczynała funkcjonować lepiej niż wcześniej – i właśnie z tego powodu musiała zajrzeć do księgarni.

Zjechała z płatnej drogi na Jamboree Boulevard i utknęła w wielkim korku, gdy usłyszała dźwięk wskazujący na uruchomienie się laptopa. Leżał na miejscu pasażera. Po wyszukaniu zdjęć Bobby'ego Faulknera wylogowała się i komputer się wyłączył. Teraz ekran był jasny i gotowy do pracy.

Gdy pasy drogi biegnące na zachód kompletnie się zatkały, próbowała się wylogować przy użyciu płytki dotykowej. Laptop nadal działał. Sięgnęła do wyłącznika, pstryknęła raz, drugi, ale bez skutku.

Niedobrze. Co więcej, bardzo źle.

Dziesięć minut od Fashion Island zatrzymała się przed światłami, które zmieniły się z żółtych na czerwone. Przed nią stało jeszcze kilkanaście pojazdów. Zaraz przed nią na jałowym biegu czekała ciężarówka architekta krajobrazów z otwartą przyczepą zastawioną kosiarkami, dmuchawami, przycinarkami do żywopłotów, grabiami i workami z białego

brezentu wypchanymi skoszoną trawą.

Wolałaby nie robić tego, co zamierzała zrobić, ale uważała to za konieczne. Po dwóch kolejnych bezskutecznych próbach wyłączenia sprzętu zamknęła laptop, otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i podbiegła do naczepy ciężarówki. Przerzuciła komputer przez tylną klapę i spieszenie wróciła do hondy. Siadła za kierownicą i zamknęła drzwi, nie patrząc na ludzi w samochodach dookoła, których mogłoby zainteresować, co takiego robiła. Niech się zastanawiają. To Kalifornia – nigdy nie wiadomo, co tam kto sobie knuje.

Liczyła, że laptop zawieruszy się wśród narzędzi, lecz wylądował prosto na jednym z wyglądających jak cukrowe pianki worków wypchanych trawą. Widoczny jak na wystawie.

Światło nie zmieniło się dostatecznie szybko. Nie miała pojęcia, co będzie dalej, ale wiedziała na pewno, że kiedy ciężki buciór spada człowiekowi na kark, lepiej się ruszać, niż czekać i nic nie robić.

Czy najnowsze modele komputerów emitują sygnał identyfikacyjny nawet wtedy, kiedy są wyłączone? Czy ktoś mający władzę i możliwości mógł wykorzystać ten sygnał i uruchomić twój laptop? Ostatnie modele telewizorów były wyposażone w kamery oglądające widza i mikrofony, co umożliwiało rozrywkę interaktywną. Był to element konieczny: dostawało się go, czy się chciało czy nie, a dla wyłączenia go trzeba było podejmować jakieś kroki. Przy czym niekoniecznie przestawały działać, gdy nas tak zapewniali. Kto wie? Jeżeli ktoś u władzy może wyłączyć ci laptop, który zawiera transponder z numerem identyfikacyjnym, jest to coś w rodzaju neonu, który obwieszcza wszem i wobec, że ona jest tutaj, chodźcie i ją dopadnijcie!

Światło zmieniło się na zielone i samochody ruszyły z miejsca, ale z punktu widzenia Bibi o wiele za wolno. Gąszcz aut jak paciorki naszyjnika przesunął się do następnego skrzyżowania, na szczycie wzgórza, gdzie znowu stanął w miejscu. Stała teraz

sześć, osiem miejsc od decydującego o wszystkim światła, a przed nią ciągle jechała ciężarówka ogrodnika.

Usłyszała basowe tętno, jeszcze zanim helikopter wyłonił się zza wzgórza. Imponujący, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stóp nad jezdnią, dużo poniżej dozwolonego w tych okolicznościach pułapu minimalnego. Nie był to standardowy, dwu- albo czteroosobowy śmigłowiec policyjny czy ogromniasta maszyna wojskowa, tylko raczej smukły, niebiesko-biały pojazd firmowy z rodzaju tych, które Pax określiłby mianem „średniej dwójki”, z dwoma silnikami, przeznaczony dla ośmiu, dziewięciu pasażerów. Wysoko osadzony rotor główny i tylny. Wysunięty naprzód, szklany kokpit. Jakieś osiem, dziewięć tysięcy funtów metalu i paliwa nadlatywało jak pocisk ujęty w ramy przedniej szyby auta, lecący pozornie niżej niż w rzeczywistości. Ryk silnika i łoskot powietrza siekanego przez obrotowe śmigło przemieniły się błyskawicznie w gwałtowny huk, gdy helikopter przelatywał górą, by cichnąć w miarę, jak leciał w dół wzgórza nad pasami z czekającymi pojazdami.

Czerwień zamigąła i przeszła w zieleń, a maź ze stali, włókna szklanego i gumy znowu ruszyła z miejsca, przewalając się przez szczyt wzgórza. Bibi zawołała: *Tak!*, i poklepała kierownicę, gdy ciężarówka architekta krajobrazu skręciła w prawo, zjeżdżając z bulwaru i znikając jej z oczu.

Za skrzyżowaniem sprawdziła we wstecznym i w bocznych lusterkach, czy nie zauważy helikoptera, ale potem usłyszała, jak nadlatuje z tyłu. Hałas nie był tak głośny jak poprzednio, bo śmigłowiec skręcił na północ i wzbił się trochę wyżej, żeby ominąć jakieś stare drzewa. Popatrzyła na prawo, gdzie zniknął, jakby w pogoni za ogrodnikiem.

W ciągu ostatnich osiemnastu godzin często czuła się jak niezdara, za to teraz była szybka i sprytna. Mimo to upominała się, że nic w tej grze nie będzie łatwe. I tu się nie myliła.

# **73**

## ***Tuż przed rojem***

Ogromna połać parkingu czasami nie mogła pomieścić tłumów walących do Fashion Island, ale tym razem Bibi miała sporo miejsc do wyboru. W pobliżu Neimana Marcusa wsunęła się maszyną Pogo między czerwone ferrari i srebrne maserati, piekąc dwie pieczenie na jednym ogniu: przez kontrast zwracając uwagę na hondę, a tym samym sprawiając wrażenie, że jej właścicielowi nie zależy na dyskrecji, jednocześnie prowadząc właścicieli pojazdów obok na ziemię.

Ściągnęła włosy w koński ogon i związała go gumką, którą wozila w tym celu w torebce. Po założeniu ciemnych okularów pożałowała, że nie ma bardziej wymyślnego przebrania. Na przykład burki. Nikt nie zaczepiłby kobiety w burce, nawet gdyby promieniowała i tykała.

Zdjęcie Ashley Bell leżało na fotelu pasażera. Zamiast po prostu je odwrócić, zwinęła w luźny rulon i wetknęła do schowka.

Kiedy wysiadła z samochodu, nie widziała nigdzie helikoptera, choć słyszała w oddali jego warkot. Krótka chwilka starczyła, by upewnić się, że się zbliża. Spojrzała na zegarek: w ciągu pięciu minut zorientowali się, że ofiara nie znajduje się w ciężarówce i że zostali wyprowadzeni w pole. Zawrócili od razu w tę stronę, nie szukając po omacku, czyli idą za sygnałem transpondera innego niż z laptopa.

Torebka St. Croix. Nie zostało w niej nic, co interesowałoby



Bibi, ale być może zawiera jakiś nadajnik. Możliwe, że interesowali się nauczycielką i w związku z tym okablowali wszystkie należące do niej przedmioty, z torebką włącznie.

Aż dziw, jak masło paranoi gładko rozsmarowywało się po chlebie życia.

Bibi złapała torebkę St. Croix z samochodu, zamierzając się jej pozbyć. Przy najbliższym wejściu do części centrum na wolnym powietrzu kierowca FedEx prznosił paczki ze swojej ciężarówki do czegoś w rodzaju wózka na pranie, którym miał je rozwozić po sklepach. Gdy Bibi przechodziła, był zajęty ładunkiem w pojeździe. Wcisnęła torebkę między pudła na wózku i poszła w swoją stronę.

Gdy hałas śmigłowca zaczął gwałtownie narastać, obejrzała się i zobaczyła go kilkaset jardów na północny-wschód, tak nisko, że przeleciał pomiędzy dwoma biurowcami i hotelami, które okalały olbrzymią wyspę handlu detalicznego w środku kompleksu. Na otwartej przestrzeni przelecieli nad Newport Center Drive w stronę centrum i helikopter zaczęło znosić na prawą burtę, potem na lewą, znowu na prawą, jakby starali się ustalić źródło sygnału.

Na kadłubie nie było widać żadnej nazwy ani znaku firmowego, tylko numer rejestracyjny na okapotowaniu silnika. Byli albo przedstawicielami organów prawa, których nie obowiązywały przepisy o ruchu powietrznym, albo ludźmi tak bogatymi i wpływowymi, że czuli się nietykalni.

Zamknawszy ciężarówkę, kierowca firmy FedEx pchał wózek w stronę Bibi, wesoło pogwizdując. Włożyła rękę do torebki, zastanawiając się, czy ma się pozbyć elektronicznego klucza z osą w pleksiglasie. Może to właśnie on, a nie torebka, nadawał sygnał, który przyciągał helikopter. W dzisiejszych czasach wszystko można było zminiaturyzować. Wolałaby nie wyrzucać go bez potrzeby. Miał jakieś znaczenie. To poszlaka. Klucz. Może z czasem okaże się potrzebny. Dostawca przejechał wózkiem obok niej i zniknął w labiryncie promieniście

rozchodzących się alejek, po których kręciły się tysiące ludzi.

Zachowała klucz, zasunęła torebkę i udała się w inną stronę niż pracownik FedExu. Śmigłowiec, hałasujący nisko nad sklepami, wyraźnie miał w sobie coś z osy.

## ***Hermiona, Hermiona i faceci w czerni***

Poza domami towarowymi wkomponowanymi w dziesiątki piętrowych sklepów kompleks Fashion Island obejmował dwupiętrowe centrum, Atrium Court, gdzie mieścił się spory oddział Barnes & Noble. Rozpamiętując kilka rzeczy, które powiedział Chubb Coy po zastrzeleniu doktor St. Croix, Bibi kupiła trzy zbiory opowiadań: Flannery'ego O'Connora, Thorntona Wildera i Jacka Londona.

W poszukiwaniu Londona znalazła się w pobliżu dwóch nastolatek. Jedna była z pochodzenia Azjatką. Miała grube, jedwabiste, czarne włosy i oczy wielkie jak dziecko z obrazu Keane'a. Druga, blondynka, nosiła okulary z czerwonymi plastikowymi oprawkami. Obydwie były długonogie i fizycznie równie niezgrabne co atrakcyjne. Nie mogła nie podsłuchać ich rozmowy, która po pewnym czasie przybrała złowrogi obrót.

- A ta?
- Film był do dupy.
- Jak zwykle filmy.
- Lubię Johna Greena.
- Ale ten film był do dupy.
- To nie jego wina. Hollywood wciska kit.
- Patrz. Może Alice Hoffman?
- Mnie Alice Hoffman jara.
- Wszyscy lubią Alice Hoffman, z wyjątkiem zer, które lecą na roboty i obcych.

- Siostra morduje się z Hermanem Melville'em w college'u. Mówi, że to tak, jakby wydalać kamień z nerki.
  - A ona kiedyś wydalala?
  - Sama jest jak kamień w nerce. A to kto?
  - Faceci w czerni? Może prezydent przyjechał na zakupy.
  - To nie gliniarze. To jakieś gówniane pająki.
  - Ha, kroi się coś niedobrego?
  - Nie, to nie fani Allaha, którzy strzelają, a potem krzyczą. Co powiesz na Salingera?
  - Holden Caulfield ma depresję i bredzi.
  - Nie ma depresji. To powalone dziecko przywileju. Ty sama masz czasami depresję.
  - Raczej jestem realistką. Więc jeśli nie mają zamiaru wystrzelać wszystkich w imię Boga, to co tu robią?
  - Szukają kogoś.
  - Kogo?
  - Nieważne. Ten z kolczykiem mógłby szukać mnie. Nie miałabym nic przeciwko temu.
  - Akurat. Kiedy zauważył, jak rozbierasz go wzrokiem, popatrzył, jakby chciał powiedzieć: *Spadaj, maleńka. Muszę tu kogoś pobić.*
- Trzymając swoje trzy książki, Bibi zwróciła się do nastolatek:
- Chcecie wiedzieć, kogo szukają? Mnie.
- Spojrzały na nią jak dwie sówki oślepięone światłem.
- Ilu ich jest? - spytała Bibi.
  - Serio, szukają cię? - zapytała blondynka.
  - Albo kręcą żartobliwy film dla YouTube'a, a ja mam w nosie kamerę. Pomożecie mi? Ilu ich jest?
  - Co najmniej ze dwudziestu - wyszeptała brunetka, choć nie było takiej potrzeby. - Są wszędzie.
  - Jest ich dużo więcej - zaprotestowała blondynka. - Mają w uszach te małe telefony. Zleciał się ich prawdziwy rój.
  - Faceci w czerni - znaczy tak jak na filmie, w garniturach i ciemnych okularach?

– Nie – odparła brunetka, przechodząc od szeptu do szeptu scenicznego. – Każdy ubrany jest inaczej, ale są tacy sami. Tacy charakterystyczni. Wiesz, jakby ktoś cały czas kopał ich po dupie.

– Jak ludzie na nich reagują?

– Jacy ludzie?

– Inni klienci, ochroniarze, wszyscy.

Blondynka wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Chyba tylko my zwróciliśmy na nich uwagę.

Brunetka potwierdziła:

– My wszystko widzimy. Jesteśmy superspostrzegawcze, bo pod względem inteligencji należymy do jednego procenta.

– Jesteśmy superspostrzegawcze – poprawiła blondynka – bo w zasadzie nie mamy własnego życia.

– Mamy, ale jest do dupy jak film.

Blondynka dodała:

– Zauważyliśmy na przykład, że ludzie widzą różne rzeczy, których nie chcą oglądać, więc robią się ślepi.

– Selektywnie ślepi. – Brunetka przestała szeptać, ale jej ogromne ciemne oczy błyszczały duchem przygody.

Bibi spytała:

– Wiecie, skąd wzięło się wyrażenie „gówniane pająki”? – Potrzęsnęły głowami. – W czasach, kiedy nie było kanalizacji, w kiblach zlokalizowanych na dworze były drewniane siedzenia z otworami. Pająki bardzo lubiły budować gniazda i rozmnażać się w całym tym gównie.

– Ohyda – orzekła brunetka.

– Ohyda, ale cool – uznała jej koleżanka.

Bibi przyszedł do głowy pewien plan, więc spytała:

– Jak macie na imię?

Brunetka teatralnym gestem wskazała na blondynkę i oznajmiła:

– To Hermiona.

Równocześnie blondynka odwzajemniła się takim samym

gestem i słowami:

- To Hermiona.
- Dwie Hermiony? - zdziwiła się Bibi.

Brunetka powiedziała:

- Nasze matki były fankami pewnej książki.

Wobec tego, że Bibi ciągle nie kojarzyła, blondynka podjęła:

- Były nadwrażliwymi licealistkami o gustach klasy średniej, gdy modne stały się książki o Harrym Potterze. Ciągle z nich nie wyrosły. Hermiona Granger to koleżanka Harry'ego.

- Oczywiście przeczytałyśmy całą serię - powiedziała Hermiona brunetka. - To obowiązek córki.

- Pod groźbą śmierci - stwierdziła Hermiona blond. - Czytaj albo giń. Ale były w porządku.

- Słuchajcie, potrzebuję pomocy - oznajmiła Bibi. - Kiedy je kupię - odłożyła trzy książki na krzesło i odsunęła suwak torebki - chcę, żebyście poszły ze mną do samochodu. Szukają samotnej kobiety. - Podała jednej z Hermion pięćset dolarów z pieniędzy doktor St. Croix. - Nie będą się przejmowali kobietą z dwoma córkami. - Podała pięć setek drugiej Hermionie, która zmrużyła oczy i przygryzła wargę, jakby chciała wynegocjować wyższą stawkę, ale w końcu wzięła pieniądze.

- Jesteś za młoda na naszą matkę.

- To udajemy, że jestem waszą siostrą - która nie jest jak kamień w nerkach.

## ***Dziewczyny, osiłki i odświeżona kobieta***

W czapeczce bejsbolowej i ciemnych okularach, z dwoma Hermionami po bokach, Bibi wyszła z parteru Atrium Court. Spokojnym krokiem. Z głową podniesioną, a nie schyloną, jakby chciała coś ukryć. Dwadzieścia stóp przed nimi z dużym papierowym kubkiem kawy ze Starbucksa stał zwalisty mężczyzna z telefonem wetkniętym w ucho i zakręconym kablem, udający cierpliwego męża czekającego na opieszalą żonę.

Blond Hermiona szepnęła:

– Gówniany pająk! – Po czym ciągnęła głosem zaaferowanej trzynastolatki: – Chodzi mi tylko o to, że w boys bandzie powinny być chłopaki, a nie starzy faceci z włosami rosnącymi w uszach.

Druga Hermiona stanęła w obronie swych idoli:

– To tournée po latach, przecież nie mogą mieć wiecznie dziewiętnastu lat.

– Jo – odezwała się blond Hermiona, bo postanowiły nazywać Bibi imieniem siostry, którą najbardziej podziwiałały w *Małych kobietkach* – Josephine. Powieść Louisy May Alcott była sucharowata, ale zarazem piękna, i nie można było jej nie uwielbiać, a przy tym wylewać kubły, ba, rzeki łez. Bibi dowiedziała się o tym wszystkim w kolejce do kasy. – Widzisz, Meg przechodzi hormonalną burzę i dyszy na widok bandy starych przyków.

– Byli ładniutcy kiedyś i teraz też są fajni – mówiła Bibi, gdy mijały osiłka ze Starbucksem. – Przecież mają tylko trzydzieści lat.

– Ja w każdym razie chcę widzieć w boys bandach chłopców i tyle. A może wstąpimy do tego cool lokalu, napijemy się espresso i zjemy po *beignet*.

Przyłączyła się do niej druga Hermiona:

– Przepadam za *beignet*.

Mijały duży staw z karpiami koi, gdzie ludzie gromadzili się, aby oglądać sunące przez wodę jaskrawo ubarwione, zwinne piękności z delikatnymi, falującymi płetwami.

Blond Hermiona podjęła:

– Obydwie uwielbiamy *beignet* i espresso. I ty też, Jo. Wiem o tym.

Mężczyzna z aparatem głośnomówiącym siedział na ławce przy stawie i przypatrywał się nie rybom, tylko ludziom przesuwającym się główną promenadą.

– Jak napcham was ciastkami na trzy godziny przed kolacją – odpowiedziała Bibi – mama obedrze mnie ze skóry.

– Pewnie, twoja potworna matka. Obdzierający ze skóry diabeł – podchwyciła Hermiona brunetka. – Jezu, od kiedy to zrobiłaś się taka dorosła?

– Każdemu się zdarza – zapewniła Bibi, gdy skręcały na ostatnie kilkaset stóp promenady, w kierunku Neimana Marcusa i parkingu, gdzie czekała honda.

Zza okularów omiatała wzrokiem tłumy klientów i zauważyła więcej mężczyzn podobnych do dwóch pierwszych, ubranych nieformalnie, ale każdy w sportowej kurtce albo innym luźnym stroju, pod którym można było ukryć naramiennik z bronią. Dziewczyny miały rację. Część opryszków była szczupła i zwinna, z włosami przylizanymi jak żigolo w niemych filmach, inni byli bykami z łysymi głowami, jeszcze inni byłymi licealnymi gwiazdami futbolu o gładko wygolonych twarzach i starannych fryzurach, ale coś w nich było tak ewidentnie



jednakowe, że mogłaby połączyć ich liniami z taką samą łatwością, jak gwiazdy w dobrze znanych konstelacjach. Może chodziło o czujność, o wzbierającą energię widoczną jak u gotowych do skoku wilków, może po prostu o niedobrą aurę. Wielu rozbawiłaby myśl o niedobrej aurze, ponieważ nie wierzą w zło, tylko w problematyczne psychologie, ale Bibi nie należała już do tych gotowych się roześmiać. Dziewczęta miały także rację, mówiąc, że faceci kręcili się wszędzie.

– Chcę parę tych nowych džinsów – odezwała się blond Hermiona – z ozdobnymi haftami na bocznych szwach i namiętnymi słowami na tylnych kieszeniach.

Druga Hermiona prychnęła:

– Akurat mama pozwoli ci je założyć przed trzydziestką.  
– Na pewno będę je nosić. Facet musi przeczytać kieszenie, kiedy gapi się na twój tyłek, i wtedy wszystko się zaczyna.

– Niby co się zaczyna? Atak zboczeńca?

Jakby rój rewolwerowców nie był dostateczną przeszkodą, Bibi wypatrzyła kilkadziesiąt stóp przed nimi poważną komplikację. Marissa Hoffline-Vorshack, była nauczycielka angielskiego z liceum, kobieta odświeżona i żona multimilionera, samozwańczy stróż przepisów o posiadaniu broni, najwidoczniej spędzała dzień na kolejnych przygodach zakupowych, kupując, póki starczyło miejsca w bagażniku bentleya latte. Stała przed wystawą, spragniona towarów, trzymając już dwie torby z drogich sklepów.

Bibi zdawało się, że zdołają przejść za jej plecami i zniknąć, póki stoi zafascynowana wystawą. Ale ryzyko było zbyt duże. Gdyby pani Hoffline-Vorshack odwróciła się od wystawy i stanęła oko w oko z dawną uczennicą, czapeczka bejsbolowa i ciemne okulary by jej nie zmyliły. Jedyнным skutecznym przebraniem mogłoby się okazać dopiero futro goryla.

– Czekajcie. – Bibi zatrzymała dziewczyny. – Widzicie tę kobietę przed nami, ubraną kosztownie, ale nieodpowiednio, z torbami zakupów? Znam ją. Przekrzyczałaby tira. Zdradzi

mnie. Zajrzę do tego sklepu i będę udawała, że oglądam sukienkę. Wy tu zostańcie i sobie pogadajcie – idzie wam świetnie. Nawiasem mówiąc, naprawdę ekstra. A kiedy ona sobie pójdzie, zawołajcie mnie. Ale pójdzie tak na dobre, żebyśmy na nią nie wpadły.

– Zajebicie – stwierdziła z wyraźną radością Hermiona brunetka.

Blondynka przytaknęła:

– Zajebiaszco.

Jej wejście zasygnalizował pięcionutowy takt dzwonek elektronicznych i Bibi weszła przez szklane drzwi do sklepu, przed którym przystanąły. W głębi rozmawiały ze sobą dwie eleganckie sprzedawczynie po trzydziestce, na pewno nazywające się konsultantkami mody, asystentkami stylu czy innymi górnołotnymi tytułami w kiepskim guście. Bibi podeszła do szafy z sukienkami na lewo, odwróciła się od okien i zaczęła macać towary, udając zainteresowanie. Miała nadzieję, że trafiła do jednego ze sklepów, gdzie asystentki stylu uczą się nie podchodzić zbyt szybko do nowo przybyłej klientki, żeby nie wyglądało, że sklep potrzebuje coś sprzedać, a nie opędza się od nadmiaru klientów.

Jedna ze sprzedawczyń przesuwiała się w jej kierunku, przystając co pewien czas, żeby poprawić coś na którymś ze stolików, kiedy pięć elektronicznych nut dzwonka ogłosiło pojawienie się następnego klienta. Jeżeli sprzedawczyni była pociskiem nakierowanym na potencjał finansowy Bibi, umiała błyskawicznie przestawić się na inny cel, bo oświadczyła z nieskrywanym zapałem:

– Pani Hoffline-Vorshack, co za cudowna niespodzianka! – I podeszła do nowo przybyłej.

## ***Dwie nieżywe dziewczyny***

W owej chwili na Fashion Island Bibi doszła być może do wniosku, że poddanie się losowi w wersji jej rodziców jest najmądrzejszym wyjściem na świecie, bo los robi z nami, co chce, gwałcąc swoje własne zasady skutku i przyczyny. Dwa spotkania z panią Hoffline-Vorshack, której nie widziało się niemal sześć lat, i to akurat wtedy, kiedy Bibi musiała przedrzeć się niezauważona przez falangę morderców... Tak, prawie miała ochotę podnieść rękę do góry, pójść do pierwszego lepszego baru, zamówić piwo i czekać, co będzie dalej: cudowne ocalenie czy nagła śmierć.

Druga sprzedawczyni wyszła do pani Hoffline-Vorshack i powitała ją bez widocznego entuzjazmu, biorąc od niej ciężar w postaci dwóch toreb, „żeby były bezpieczne w czasie pani wizyty”, podczas gdy druga, porażona amnezją co do obecności Bibi, pytała, czy pani Hoffline-Vorshack miałyby ochotę na kawę czy raczej na aperitif. Jako kobieta przyzwoita i obeznana ze społecznymi zwyczajami, żona dewelopera wyraziła wątpliwość, czy o tak wczesnej porze można pić cokolwiek poza kawą. Ale gdy zapewniono ją, że gdzieś na świecie zawsze jest pora na koktajle, spytała, czy mają „tego pysznego szampana”, i oczywiście okazało się, że mają.

Podczas królewskiego wejścia i ceremonialnego powitania Bibi stała odwrócona tyłem do byłej nauczycielki, ale liczyła się z tym, że lada moment zostanie rozpoznana. Wątpiła, żeby

kucyk, czapeczka i zsunięte do połowy nosa ciemne okulary uchroniły ją przed zdemaskowaniem i jeszcze jedną połajanką. Przecież jedynym sposobem powstrzymania pani Hoffline-Vorshack przed wyjściem ze sklepu i głośnym oskarżeniem, że nosi broń bez pozwolenia, byłoby zastrzelenie jej, co stanowiło rozwiązanie nierealne, choć atrakcyjne.

Obietnica dobrego szampana okazała się skuteczną przynętą. Sprzedawczynie zaczęły ściągać żyłkę i pani Hoffline-Vorshack powędrowała za nimi w kierunku zaplecza, mijając kuszące ubrania i biżuterię, które chwilowo przestały ją interesować.

Bibi odczuła, że to nowe ocalenie jest niemal tak cudowne, jak cofnięcie się raka mózgu. Gdy wychodziła ze sklepu, pięć tonów dzwonka brzmiało jak nadprzyrodzona przestroga: *Ona cię jeszcze kiedyś znajdzie*. Bibi nie wierzyła w zbiegi okoliczności, dlatego nie potrzebowała tłumaczenia melodii, żeby wiedzieć, że to jeszcze nie koniec jej kłopotów z nauczycielką i że to jedno z wielu kółek, które wprowadziło w ruch spotkanie przed supersamem, obróci się co najmniej jeszcze raz.

Hermiony wstydyły się, że nie ostrzegły Bibi przed nadciągnięciem kobiety głośniejszej niż tir. Wydawało się, że *mija* ten sklep. Tak nagle skierowała się w stronę drzwi. To musi być supersuka, sądząc z pogardy, z jaką na nie spojrzała. Te odstające cycki były straszne, jak dwie *torpedy*. I te *świńskie oczka*.

Bibi zapewniła je, że zrobiły wszystko, co było w ich mocy, i cała trójka znów ruszyła w stronę końca głównej promenady i parkingu za Neimanem Marcusem, rozważając na głos, czy tatuaże są cool czy creepy, i czy lepiej być cool i głupią czy nie cool i łebską.

Honda Pogo wciąż stała między ferrari i maserati. O ile Bibi potrafiła się zorientować, nikt jej nie obserwował. Widocznie opryszki od Terezina nie wiedziały, czym jeździ.

Mimo to martwiła się, że pójście z dziewczynami aż do auta, gdzie mogła ją czekać nieprzyjemna konfrontacja, byłoby

lekkomyślnością. Z drugiej strony jeżeli Niewłaściwi Ludzie *im* się przyglądali, siostry natychmiast wydałyby się podejrzone, gdyby rozstały się przy samochodzie i Hermiony same wróciły do centrum handlowego.

Z dużym ociąganiem poprosiła, żeby pojechały z nią do Newport Center Drive, drogi otaczającej centrum. Niebezpieczeństwo w tym tak bardzo publicznym miejscu wydawało się mniej realne, niż zapowiedź Terezina, że Ashley Bell umrze w dzień jego urodzin, czyli pojutrze. Torbę z książkami podała blondynce, wyjęła kluczyki z torebki i wsunęła prawą rękę pod kurtkę, dotykając kabury z pistoletem.

Nikt jej nie poganiał, gdy otwierała kluczykiem drzwi. Ludzie szli od swoich aut i do nich wracali, krążyli w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek miał złe zamiary.

Hermionom starodawna, szara honda podobała się bardziej niż ferrari czy maserati, może dlatego, że był to pojazd egzotyczny w krainie luksusu. Blond Hermiona usiadła z tyłu. Brunetka wolała miejsce obok kierowcy, może w nadziei przeżycia jeszcze paru dreszczy emocji przed zakończeniem tej przygody.

Kiedy Bibi cofała, blondynka zapytała:

– Mogłabyś nas zawieźć na Coast Highway i wysadzić gdzieś tam?

– Jasne. Po której stronie autostrady?

– Od zachodu. To znaczy, jak jedziesz na południe.

– Jadę tam, gdzie potrzebujecie.

Kiedy już wycofała, nie walnął w nie od tyłu żaden pojazd, kule nie roztrzaskały szyby.

– Jak wysadzisz nas na rogu PCH i Poppy – tłumaczyła blondynka – możemy stamtąd pójść piechotą do mnie.

– Nie ma sprawy.

Dotarły do końca alejki między autami i drogi nie zastawił

żaden zwalisty, czarny SUV.

Minęły restaurację, gdzie stali i rozmawiali jeden z byczków z ogoloną głową i jeden z żigolo z niemych filmów. Chudy i zwinny wyjął z ucha aparat głośnomówiący, a byczek popatrzył na hondę, nie okazując jednak szczególnego zainteresowania.

Brunetka zapytała:

– Co ci robią, jak cię złapią?

– Zabiją.

Jeszcze przed kilkoma minutami dziewczyny uradowałyby wieść o tak wysokiej stawce, ale to się zmieniło.

– Co zrobiłaś? – pytała brunetka.

– Nic.

– Serio?

– Na razie tak. Słuchajcie, lepiej, żebyście nie wiedziały. Jestem wam wdzięczna za pomoc. Nigdy wam tego nie zapomnę.

Blondynka miała jeszcze jedno pytanie:

– Masz szanse?

– Szanse są zawsze. Nie martwcie się o mnie.

Mgła, która wcześniej nieco się wycofała, wracała w tej ostatniej godzinie dnia i z pewnością zajmie jeszcze kilka mil łądu, zanim rozbije obóz na noc. Tuż przed Coast Highway, która w tym miejscu biegła ćwierć do połowy mili od morza, wyrosła przed nimi biała ściana – niebotyczne, powolne tsunami mgły, w której światła reflektorów pływały jak złote karpie koi.

Bibi skręciła na południe i resztę drogi przejechały w milczeniu, aż zaparkowała na prawo od drogi, przed skrzyżowaniem z Poppy Avenue. Brunetka otworzyła drzwi i wydostała się na zewnątrz. Potem odwróciła się, pochyliła i, kładąc pięćset dolarów na fotelu pasażera, rzuciła:

– Powodzenia, Jo!

– Ale nie, mała, przecież zarobiłaś – zaoponowała Bibi.

– Tobie bardziej się przydadzą – odparła dziewczyna. – Ja przed nikim nie uciekam.

Blondynka stanęła przy koleżance i powiedziała:

– Trzymaj się, Jo. Pogoń te gówniane pająki. – Dorzuciła swoje pieniądze do oddanych przez brunetkę i zamknęła drzwi.

Niezdarne jak żrebaki, jeszcze nieświadome swojego wdzięku dziewczyny odeszły na południe, wsparte na sobie, dzielące się myślami. Kolor ich ubrań i dokładne kształty zacierały się w miarę, jak zmierzały w kierunku źródła mgły. Bibi widziała je jeszcze na Poppy Avenue, bo na rogu mieścił się parking obsługujący restaurację Five Crowns. Nie zasłaniały ich więc żadne budynki i obie Hermiony obejrzały się i pomachały. Prawdopodobnie nie widziały jej wyraźnie, ale Bibi odwzajemniła gest.

Mimo tak krótkiej znajomości obdarzyła Hermiony silnym uczuciem, które stawało się jeszcze silniejsze w miarę jak ich postacie zmniejszały się i rozplywały we mgle. Być może ujęło ją połączenie odwagi i bezbronności, wyrobienia i niewinności.

Gdy towarzyszki zniknęły jej z oczu, Bibi pomyślała: „Oto dwie nieżywe dziewczyny”.

Ta ponura refleksja tak bardzo ją zaskoczyła, że wyprostowała się za kierownicą, zaniepokojona ewentualnością, że te cztery słowa mogą okazać się prorocze, że dziewczęta idą nie do domu, tylko ku nieuchronnej śmierci. Zaczęła otwierać drzwi od strony jezdni, kiedy głośno zatrąbił klakson. Dźwięk wyrwał ją z macek zabobonnego lęku i przez chwilę siedziała, starając się ukoić roztrzęsione nerwy. Nie była jasnowidzką, Cyganką z kryształową kulą. Nie umiała przewidzieć kolejnych pięciu minut własnego życia, więc co tu mówić o innych.

Uświadomiła sobie, że niepokojąca myśl – „Oto dwie martwe dziewczyny” – jest wyrazem jej własnego osamotnienia, bo teraz stały się martwe *dla niej*, bo nigdy ich już nie zobaczy. Znów została sama ze swoją misją i ucieczką. Ogarnęło ją okropne uczucie samotności, tak silne, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała.

Poczuła niemal obezwładniający ciężar samotności, przygniatający, paraliżujący. Mimo że stała w niedozwolonym miejscu, pomyślała sobie, że tak doczeka nocy, potem świtu. Nie mogła zwrócić się do nikogo, kogo kochała, w obawie, że ta osoba znajdzie się na celowniku Terezina. Paxton był inny. Umiał sobie radzić z zagrożeniami. *Pax, proszę cię, wracaj*. Na policji jej opowieść potraktowano by jak szalony bełkot rozgorączkowanego umysłu, poza tym byłaby podejrzaną numer jeden w sprawach o zabójstwa Solange St. Croix i Calidy Butterfly. Mgła wokół hondy gęstniała i raz po raz omiatały ją światła przejeżdżających samochodów. Bibi czuła się coraz bardziej bezradna, szukając pocieszenia w czymś niebezpiecznie zbliżonym do litości nad samą sobą.

To znaczy do czasu, gdy miała się powyżej uszu. Czyli po mniej więcej dziesięciu minutach. Do diabła, przecież może coś zrobić, poszukać jakichś odpowiedzi. Wiele z nich siedzi gdzieś w niej. Znała ich zasadniczy kształt i jak niewidoma w mniej więcej znanym domu powinna po omacku znaleźć jakąś drogę do pełniejszego zrozumienia.

Odczekała, aż w strumieniu pojazdów zrobi się luka, po czym wjechała na Coast Highway i ruszyła na południe, jakby od tego zależało jej życie.



## ***Obroża, która ją krępuje***

Atmosfera w Laguna Beach przypominała dzień apokalipsy. Mgła kłębiła się jak dym nad światem w płomieniach. Niewidoczne słońce było tak wyczerpane, że wieczorne światło nie miało ani siły, ani barwy. Przypominało posępne, nieziemskie promieniowanie, którego celem jest nie tyle oświetlanie, co przenikanie kości i drukowanie rentgenowskich obrazów szkieletu z chodnika, skamieniałego dowodu na niegdysiejsze istnienie ludzkości.

Co trzeci sklep wyglądał jak galeria. Na szczęście sklepów odzieżowych było równie dużo jak marszandów i Bibi mogła dostać ubranie na zmianę. Kupiła walizkę na kółkach, a w markecie między innymi jakąś śmieciową kolację.

W drodze powrotnej do auta mijiała Bark Boutique, gdzie sprzedawano zabawki i inne rzeczy dla psów. Jednym z przedmiotów na wystawie była skórzana obroża, która przykuła jej uwagę, bo przypomniała jej obrożę Olafa z czasów, gdy nie był jeszcze Olafem i przyszedł do niej z deszczu, chociaż tamta była wytarta, popękana i zabłocona.

Teraz jednak zaniepokoiło ją wspomnienie nie dnia pojawienia się psa, tylko pewnego incydentu, który miał miejsce trzy lata po jego śmierci, gdy Bibi liczyła lat dziewiętnaście i wyprowadzała się z bungalowu rodziców do mieszkania. Z jednego pudła książek trzymanego w garderobie zrobiło się ich już cztery, przepełnione tomami, które nie mieściły się na

półkach. Siedziała na podłodze i sortowała ich zawartość, odkładając tytuły, które przestały mieć dla niej znaczenie. W ostatnim pudle odkryła, że książki zostały ułożone tak, by w środku zachować puste miejsce, w którym znalazło się kilka przedmiotów, między innymi stara obroża Olafa owinięta w irchową szmatkę. Zapomniała o niej. Sentymentalne przywiązanie, jakie być może kiedyś wobec niej odczuwała, minęło. Skórzana pętla była popękana, brudna, nakrapiana dawno uśpioną pleśnią. Sprzączka wygięta i zardzewiała. Nie było po co jej trzymać. Ale znów jej nie wyrzuciła. Bo... Co zrobiła? Czy nie poszła do sklepu z artykułami biurowymi i nie kupiła ognioodpornego, metalowego pudełka na dokumenty? Tak. Dwadzieścia cali szerokości i dziesięć cali wysokości, z wiekiem na zawiasach, prostym zamkiem i mosiężnym kluczykiem. Do przechowywania aktów własności, testamentów, polis ubezpieczeniowych i tym podobnych. Czyż nie włożyła tam obroży w irsze oraz innych przedmiotów, które przy niej znalazła? Tak, ale...

Stojąc teraz przy wystawie w centrum Laguna i gapiąc się na podobną skórzaną obrożę, Bibi nie mogła sobie przypomnieć, jakie inne rzeczy znalazła w skrytce w kartonie z książkami. A co zrobiła z metalowym pudełkiem na dokumenty? Gdzie teraz było?

Kiedy opony przejeżdżających aut wizgały i syczały na mokrej jezdni, mgła pokrywała jej twarz błyszcząca rosą, z drzew kapało, a wielkie ćmy oparów uderzały skrzydłami o szybki latarni, Bibi czuła, że w ogóle siebie nie zna.

Wróciła z ostatnimi zakupami do hondy zaparkowanej przy wschodnim krańcu Forest Avenue. Kilka minut później, jadąc Coast Highway, zaczęła rozglądać się za motelem z północnej strony miasta, gdzie nikt by jej nie znalazł, a ona sama mogłaby zacząć odnajdywać siebie.

## ***Ukrywając się przed nieistniejącym mężem***

Motel nie zasługiwał na pięć, cztery, a może nawet na trzy gwiazdki, ale robił wrażenie czystego, zadbanego i – co najważniejsze z punktu widzenia Bibi – anonimowego. Zaparkowała w bocznej uliczce dwie przecznice dalej i przysłała piechotą, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach.

Samotna kobieta obsługiwała recepcję zlokalizowaną w pomieszczeniu pomalowanym na jasnoniebiesko i żółto w karaibskich odcieniach. Kontuar miał kształt pnia koa, który albo naprawdę został wyrzucony przez fale, albo został tak wyrzeźbiony, by sugerować rozbicie okrętu i heroiczne dzieje ocalenia. Był lśniaco czerwony, z wodnistą głębią.

Takie małe motele często prowadziły małżeństwa i recepcjonistka była uprzejma, jakby witała gościa we własnym domu. Plakietka na bluzce informowała, że ma na imię Doris. Chętnie przyjęła gotówkę, lecz jednocześnie poprosiła o kartę kredytową i prawo jazdy, aby potwierdzić tożsamość, najpewniej na wypadek, gdyby gość zdevastował pokój.

– Nie dał mi karty kredytowej – poskarżyła się Bibi – i pocałuj moje prawo jazdy. – Ze zdziwieniem poczuła, jak drżą jej wargi, a w głosie słyszeć lęk, rozgoryczenie i boleść. Przecież nie była aktorką. Jej autentyczny stan niepokoju i osamotnienia pozwolił na sprzedanie historyjki o znęcającym się mężu. – Podjechałem trochę taksówką i szłam, aż zobaczyłam to

miejsce. – Oczy zamgliły się łzami. – Nie przyjdzie tu urządzić scen. Nie wie, dokąd poszłam.

Doris po chwili wahania zrobiła wyjątek od reguły.

– Masz krewnych, skarbie? Masz się do kogo zwrócić?

– Rodzina mieszka w Arizonie. Tata przyjedzie po mnie jutro.

Nie chcąc się wtrącać ani robić wrażenia obojętnej, Doris poradziła:

– Jeśli cię bił, to powinnaś to zgłosić na policję.

– Bił to mało powiedziane. – Bibi dotknęła ręką brzucha, jakby na wspomnienie ciosu pięścią – Po prostu się znęcał.

Wpisała się do książki jako Hazel Weatherfield, nie mając pojęcia, skąd wzięła ten pomysł.

Wolne były trzy pokoje, obok siebie, i wybrała numer 6, najdalszy od ulicy. Umeblowany prosto, ale przytulny.

Przy okrągłym stoliku zjadła kolację złożoną z orzechów nerkowca, suszonych moreli i sera z tubki na krakersach, którą popiła colą z automatu stojącego w motelu.

Jedząc, przyglądała się zdjęciu Ashley Bell i przypominała sobie głos Terezina, który usłyszała w telefonie St. Croix: *Szkoda, że nie możesz wpaść na imprezę. Będzie Ashley. Mój gość honorowy. To ostatnia szansa na zastanie jej przy życiu. Wszystko zaczyna się od nowa. Ta mała Żydówka odegra historyczną rolę.*

Miał się za następcę Hitlera. Najwyraźniej podjął się, choćby za pomocą jednej symbolicznej ofiary, powtórzenia zagłady – ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Rój członków sekty – skrzydlatych i spieszących się – który szukał Bibi w centrum handlowym, wskazywał, że Terezin miał ambitne plany. Niezależnie od tego, czy chciał zabić jedną młodą Żydówkę z okazji urodzin, czy też planował atak terrorystyczny, który przyniesie znacznie więcej ofiar, Ashley Bell tak czy owak umrze, jeżeli Bibi wkrótce jej nie odnajdzie.

Gdyby żyła w czasach powszechnego zdrowego rozsądku, ledwie dziesięć, dwadzieścia lat temu, trudno byłoby traktować

Terezina poważnie. Lecz ostatnimi czasy świat zwariował. Antysemityzm, wampiryczna nienawiść, której serca nie można było nigdy skutecznie przebić kołkiem i obrócić w proch, zaraził nie tylko te co zwykle stolice obcych państw, lecz również politykę w Stanach, ale nie tylko politykę, bo również wyższe uczelnie i przemysł rozrywkowy. Jak epidemia objął wszystkie elity, choć na szczęście nie udzielił się zwykłym Amerykanom, którzy dotąd okazali się w dużej mierze odporni na tę gorączkę. To, co kiedyś można byłoby uznać za fabułę kiepskiego filmu, teraz trzeba było traktować jak realne zagrożenie. Terezin miał zwolenników i źródło finansowania, co dzisiaj wystarczyło, by stać się jedną z niezliczonych grup podkopujących fundamenty cywilizacji.

W dodatku posiadał tajemną moc. Bibi wiedziała z doświadczenia, że to coś więcej niż charyzma zaczerpnięta z jakiegoś mistycznego prądu magnetycznego istniejącego w Ziemi, jak wyobrażała to sobie Halina Berg, chociaż to również mogło odgrywać pewną rolę. Bardzo chciałyby wiedzieć więcej o paranormalnych mocach, które posiadał, i to pragnienie skierowało jej myśli ku tajemniczej książce z panterą i gazelą.

Po kolacji wyciągnęła z torebki osobliwą książeczkę Calidy i siadła z nią przy stole.

Trzy razy dostrzegła linijki pisma płynące szybko przez kremowy papier, bladoszare i widziane jakby pod wodą, tak że nie zdołała ich odczytać. Przerzucała teraz te dwieście pustych stronic, szukając śladów pisma. Już miała zrezygnować, gdy znowu zauważyła to zjawisko, tyle że słowa płynęły w takim tempie i były tak zniekształcone, że nie umiała ich odcyfrować – choć tym razem poznała swoje własne pismo.

Nie miała pojęcia, jak coś pisanego jej ręką mogło się pojawić, nawet w tak widmowej postaci, w książce, do której nigdy nie przyłożyła pióra czy ołówka. Ale to był tylko kolejny składnik tego sosu tajemnic.

Z torebki wyjęła długopis i usiadła nad książką, myśląc sobie, co by się stało, gdyby tak coś w niej napisała. Zawahała się, a potem zaczęła pisać wersy z *Wieczoru duszy*, wiersza Donalda Justice'a, który szczególnie się jej podobał. Gdy zaczynała drugą linię, pierwsza zniknęła ze strony, od lewej do prawej, w kolejności, w jakiej ją zapisywała. Kiedy kończyła drugą, pierwsza już przepadła. Druga wyparowała, gdy notowała trzecią.

Tak jak wtedy, gdy kartkowała książkę na parkingu przy Donut Heaven, miała uczucie, że czas upływa w jednostkach znacznie większych od sekund albo minut, i czuła się... zaczarowana. Dostrzegła coś kątem oka i mimo wysiłku powoli obróciła się w prawo. Jakby nie zdając sobie sprawy z obecności Bibi, jakaś kobieta w uniformie, być może pokojówka, krzątała się z nieludzką prędkością, jakby na przyspieszonym filmie, i nie działo się to już w motelu, ale gdzie indziej.

Zdumiona Bibi upuściła długopis, wypuściła książkę – i znalazła się sama w pokoju, gdzie wszystko było tak jak wcześniej. Torba z Barnes & Noble na łóżku. Walizka z kółkami przy drzwiach do łazienki. Zegarek wskazywał, że nie minęło więcej niż jedna, dwie minuty.

W książce nie pozostało nic z tego, co napisała. Gdzie się podziały wersy Donalda Justice'a?

## ***Rozmyślania Paxtona***

Pax siedział sam w poczekalni, słuchając ryku silników samolotów, które kołowały albo przelatywały, ale myśląc o St. Angelus Meadows, rodzinnym końskim ranczu w Teksasie. Rodzina czuła zawód, gdy po liceum nie zajął się interesem, lecz z drugiej strony z dumą opowiadała, że ich chłopak dostał się do sił specjalnych marynarki. Z jego trzech braci Logan, dwa lata młodszy, też został SEAL-em, a Emory i Chance raczej niechętnie zrezygnowali ze służby w wojsku, osiedli na ranczu, pożenili się i mieli dzieci. Angelus był świetnym miejscem dla dzieci, które mogły się wychowywać w ścisłym związku z naturą i rodziną, co zapewniało równowagę na całą resztę życia. Pływanie w rzece, zabawa i gonitwy z zawsze chętnymi psami, białe, magiczne zimy, gorące i zielone lata, płoszenie synogarlic i przepiórek z trawy w czasie jesiennych polowań i oczywiście konie, piękne i mądre, i radosne konie.

Hodowali konie rasy Appaloosa, idealne do pracy na ranczu i na sprzedaż do innych farm. Paso Fino dla miłośników tych znakomitych wierzchowców o osobliwym chodzie. Do tego andaluzyjskie i belgijskie konie gorącokrwiste, świetne do ujeżdżania, zwycięzcy licznych pokazów. I rasy Quarter Horse idealne do ścigania się. Koniom można poświęcić całe życie, dzień i noc, bez zblazowania, znudzenia jak zawsze uroczymi żrebakami na wiosnę, ich inteligencją, zdolnością do miłości, pięknem i wdziękiem.

Bibi była z rodziny surferów, nie kowbojów. Pax lubił surfować, zwłaszcza z nią, ale nigdy nie zdoła wyzbyć się żyłki jeździectwa. Było to pytanie, na które musieli poszukać odpowiedzi. Trochę już o tym rozmawiali, ale jemu zostało jeszcze kilka miesięcy służby, poza tym żadne ani przez chwilę nie wątpił, że uda im się rozstrzygnąć tę kwestię ku obojómniemu zadowoleniu – o ile będzie na to szansa. Wybrzeże, wyżyny, albo i tu, i tu, albo jeszcze gdzie indziej. W sumie wszystko jedno, dopóki będą razem.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich lotnik.

– Starszy podoficer Thorpe? Transport czeka.

Pax wstał z krzesła i podniósł ciężką marynarską torbę, z ulgą ruszając znowu z miejsca.



## ***Prawda, której woli nie patrzeć w oczy***

Po zamordowaniu profesor St. Croix w jej wiktoriańskiej kryjówce Chubb Coy ujawnił istnienie frakcji w ramach tego skomplikowanego spisku, choć może chciał powiedzieć przez to coś więcej. Niektóre wyrażenia były do niego niepodobne, zwroty nietypowe dla języka Chubba Coya. Domyśliła się trzech aluzji literackich, czego akurat po nim trudno się było spodziewać. Nic nie wskazywało na to, by był mołem książkowym. Cytat znanego sportowca był w jego ustach bardziej prawdopodobny niż linijka z Szekspira.

Bibi zastanawiała się, czy w tym wiktoriańskim salonie Coy czuł się podsłuchiwany, jakby wiedział, że w jej obecności będzie zawsze i wszędzie kontrolowany przez jakąś groźną instytucję. Jak gdyby podejrzewał, że ona sama – nie jej torebka czy ubrania, lecz samo ciało – przekazuje wszystko, co mówi i słyszy. Była to myśl skrajnie paranoiczna i głęboko niepokojąca. Absurdalna. Nedorzeczna. Lecz nie przychodził jej do głowy żaden inny powód, dla którego miałby rozmawiać z nią szyfrem, o co go właśnie podejrzewała. Jego szyfr składał się z ukrytych aluzji, które musiał sobie z góry przygotować na wypadek kolejnego spotkania z nią, do którego doszło akurat na drugim piętrze domu St. Croix. Odniesień do utworów literackich, które jego zdaniem powinna znać.

Nim zajrzała do trzech tomów kupionych w księgarni w Fashion Island, siadła przy stole w motelowym pokoju

z długopisem i małym notesem, które wozila w torebce. Próbowala przypomniec sobie i zapisać te ważne rzeczy powiedziane przez Coya. Dziesięć minut później leżały już przed nią, wypisane równym pismem.

Po zastrzeleniu doktor St. Croix powiedział: „Byłaby lepszą kobietą i nauczycielką, gdyby codziennie rano miał kto do niej strzelać”.

Bibi wiedziała, gdzie tego szukać. Otworzyła *Opowiadania zebrane* Flannery O'Connor i odnalazła jedno z najbardziej przerażających, jakie kiedykolwiek napisano: *A Good Man Is Hard to Find*. Przeszła na ostatnią stronę utworu, po zabiciu ostatniego członka rodziny przez bezlitosnego zabójcę, i odczytała odpowiednie zdanie: „Byłaby dobrą kobietą – powiedział Misfit – jeśli w każdej minucie jej życia ktoś mógłby ją zastrzelić”.

Podobieństwo sformułowań i treści słów Coya i fragmentu opowiadania nie mogło być przypadkowe. Na pewno wypowiedział te słowa w celu przykucia uwagi Bibi i tym samym dla pośredniego przekazania jej jakiejś ważnej informacji.

Drugi moment. Na pytanie Bibi, dlaczego Ashley, dziecko zaledwie dwunasto-, trzynastoletnie, musi zginąć, Coy odparł: „Co to za pytanie? Są tacy, którzy mówią, że dla bogów jesteśmy jak muchy, które chłopcy zabijają w letni dzień”.

Thornton Wilder. W tomie zebrano trzy krótkie powieści. Przeszła do *Most San Luis Rey*, historii pięciu osób, które zginęły w lipcu 1714 roku, gdy najpiękniejsza kładka w Peru zawałiła się i runęła wraz z nimi w przepaść. Bibi przejrzała ostatnie strony, ale w końcu znalazła to, czego szukała, znacznie wcześniej, w końcówce pierwszego rozdziału: *Niektórzy mówią, że nigdy nie będziemy wiedzieć i że dla bogów jesteśmy jak muchy, które chłopcy zabijają w dzień letni [...]*<sup>[5]</sup>.

Podobieństwo znowu musiało być zamierzone.

Trzecim razem Bibi spytała Coya, czy jest może

sprzymierzeńcem Terezina, na co zaproponował stanowczo ze słowami, że pogardza tym obrzydliwym faszystą. Gdy zasugerowała, że nieprzyjaciel jego nieprzyjaciela – czyli ona – może być jego przyjacielem, Coy odrzucił taki pomysł, mówiąc: „Trzeba się z tym pogodzić, mała. Jesteś łatwą ofiarą. W dzieciństwie Terezin był psem, a teraz zdziczał. Został wilkiem, podobnym, a jednocześnie niepodobnym do wszystkich innych wilków, zawsze na czele watahy. Marzy o zawróceniu świata, o świecie młodszym, czyli świecie watahy”.

Jack London. Najważniejsze opowiadanie w zbiorze nosiło tytuł *Zew krwi* i dotyczyło dobrego psa Bucka, mieszańca bernardyna i szkockiego owczarka. Wyrwano go z miłego życia w Kalifornii i sprzedano jak niewolnika do ciągnięcia sań w Klondike w czasie gorączki złota na Alasce w 1897 roku. Przystosował się do znęcania i ciężkiej egzystencji, zrozumiał tkwiącą w nim wilczą naturę i uciekł w poszukiwaniu lepszego życia w dziczy, gdzie odpłacił ludzkości za okrucieństwa.

W tym wypadku Coy nawiązywał po części do fabuły, opowieści o psie, który odnajduje w sobie drapieżnego wilka. Cytaty z samego tekstu były tym razem krótsze, chociaż w ostatnim akapicie Bibi natrafiła na: *[...] widzieć go można, jak sady na czele stada, w bladym lśnieniu miesiąca [...] zawodzi pieśń młodego świata, pieśń – bojowy pokrzyk ordy*<sup>[6]</sup>.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że te trzy aluzje raczej nie mogą posłużyć jako szyfr, bo trudno byłoby je wpleść w rozmowę. Lecz Bibi zdała sobie sprawę, że jeśli Coy od jakiegoś czasu nosił się z zamiarem zabicia doktor St. Croix, wiedziałby, jak wykorzystać fragment z O'Connor. Ponieważ mógł spokojnie założyć, że Bibi wspomni o Ashley Bell i Terezinie, rozmową można było pokierować tak, by znaleźć w niej miejsce na wyimki z Wildera i Londona.

Ale co miał nadzieję jej powiedzieć za pomocą tak wymyślnego fortelu, tak wariackich ogródek komunikacyjnych? Jeżeli chciał jej pomóc, nie mógł po prostu dyskretnie podać jej karteczki –

czy nawet raportu na dwadzieścia stron? Nie ulegało wątpliwości, że aluzje do tych trzech pisarzy były przemyślane, ale czy tak enigmatyczny kanał komunikacji miał oznaczać, że jest sprytny i szczery – czy nieprzewidywalny i szalony? Im dłużej zastanawiała się nad tymi aluzjami, tym wyraźniej mówiły tylko to, co oczywiste: że Coy jest nihilistycznym mordercą, tak jak The Misfit i Terezin, pozbawionym skrupułów wilkiem o zdrczących fantazjach, a zabójstwo Ashley Bell zostanie popełnione przez idiotę, głośnego, wrzaskliwego, nic nieznaczącego. Szyfr nie miał na celu przekazania czegoś, co nadawca i odbiorca już wiedzieli.

Pełna frustracji, ale i nerwowej energii Bibi wstała i zaczęła chodzić po pokoju, a gdy zajęła się czymś fizycznym, myśli też poruszyły się i zmieniły punkt skupienia z aluzji literackich na ewentualność, że nosi w sobie jakiś przyrząd, który przekazuje wszystko, co mówi i słyszy. Komu? Nie Terezinowi, bo gdyby miał z nią bezpośrednie połączenie, już dawno by ją znalazł i zabił.

Jak można by wszczepić przekaźnik? Operacja? Ale nie miała żadnych blizn. Zastryk? Mikrominiaturyzacja, nanotechnologia... Niektórzy specjaliści powtarzali, że już niebawem niewiarygodnie skomplikowane maszyny, złożone ze zdumiewająco niewielkiej liczby cząstek, będą mogły znaleźć się w naszym krwiobiegu i telemetrycznie przekazywać informacje o stanie pacjenta z wewnątrz, nawet usuwając z tętnic płytki miażdżycowe i przeprowadzając inne zabiegi w skali mikroskopowej. Jeśli niebawem, to może już teraz? Jeśli do celów medycznych, to czemu nie do kontroli?

Ta droga prowadzi do obłądu. Kraina Kafki. Raptem strach zdjął ją nie dlatego, że uwierzyła w możliwość wstrzyknięcia malutkiego przekaźnika, lecz dlatego, że potraktowała tę myśl serio. Co było bez sensu. Wariatka.

Przeszła do łazienki i zaczęła oblewać twarz zimną wodą. Wycierała się mocno ręcznikiem, jak gdyby chciała zedrzyć

jakaś grubą i lepłą warstwę pozostałości.

W lustrze zobaczyła znajomą twarz o nieznanym wyrazie niepokoju, grozy, od której zbladła skóra, złych przeczuć, od których zacisnęły się usta.

– Odejdź! – nakazała kobiecie w lustrze. – Nie potrzebuję cię. – Słaba Bibi na nic jej się nie przyda. Potrzebowała Bibi takiej jak zawsze.

Wróciła do stolika i przyglądała się trzem aluzjom Coya, porównując jego słowa ze źródłami, z których cytował nie do końca dokładnie. Rozważała je w kontekście zdobnego wiktoriańskiego salonu, w którym padły. Myślała o trzech opowiadaniach, ich fabułach, postaciach, wątkach i podtekstach. Zastanawiała się nad autorami, przypominając sobie wszystko, co wie o autorach, ich życiu i zainteresowaniach poza pisarstwem.

Do głowy przyszedł jej pewien pomysł. Jeśli w dzieciństwie wiecznie miała w głowie kłębek myśli, z czasem głowa zmieniła się w tkacki warsztat, niezmordowanie tkający zmienną tkaninę wrażeń, uczuć, myśli, koncepcji i teorii. Możliwość narodziła się jako wąta nitka, ledwie zauważalna w natłoku trosk i myśli, lecz po chwili połączyły się z nią inne wątki i ze zdumiewającą szybkością zaczął tworzyć się wzór, ewentualność tak przerażająca, że zerwała się z krzesła, przewracając je na podłogę.

Uchylały się dawno zamknięte drzwi do niegdyś zakazanych pokojów pamięci. Znienacka znowu miała pięć lat i leżała sama na sam z czymś złym w pokoju oświetlanym przez Miki, dziesięć lat i chowała obrożę, szesnaście i opierała się pragnieniu, które mogło ją zniszczyć. Kręciło jej się w głowie, kolana się ugiwały, zatoczyła się i siadła na drugim krześle, obiema rękami chwyciła za poręcz łóżka, zamknęła oczy i głosem zaostrzonym grozą powtarzała:

– Nie, nie, nie.

[5] Thornton Wilder, *Most San Luis Rey*, tłum. Adam Kaska.

[6] Jack London, *Zew krwi*, tłum. Stanisława Kuszelewska.

## ***Najgorszy zdrajca***

Jakiś lekko żrący odór.

Bibi otworzyła oczy i rozejrzała się po toalecie, prysznicu i białych ręcznikach na chromowym wieszaku, nie bardzo wiedząc, co to za łazienka, ale wtedy przypomniał jej się motel. Samochód Pogo dwie przecznice dalej. Hazel Weatherfield, ofiara męża. Tata Hazel, który przyjeżdża jutro rano z Arizony. Nerkowce, krakersy, brzoskwinie i ser w spreju.

Czuła się dziwnie. Ani dobrze, ani źle. Ani rozluźniona, ani spięta. Ani wystraszona, ani pewna siebie. Miała w sobie jakąś pustkę, jakby była wydrażona. Zdawało jej się, że coś straciła, chociaż nie pamiętała, co, czyli nie mogło to być nic ważnego.

Jeżeli widać było dym, rozplynał się już w powietrzu, pozostawiając tylko nieprzyjemny zapach.

Czy nie stała oparta o krzesło? Bo teraz opierała się o wykonany z corianu blat toaletki. W zlewie leżały jakieś zwinięte w kłębek i wystrzępione szare kształty, podobne do zdechłych gąsienic. Popiół. Resztki spalonych pasm czegoś. Przy zlewie zapalniczka na butan. Pamiętała, że kupiła ją w markecie w Laguna razem ze składnikami na kolację, szczoteczką i pastą do zębów oraz innymi rzeczami. Nigdy nie paliła i nie bardzo wiedziała, po co jej zapalniczka. No jasne, żeby coś spalić.

Podniosła korek, przekręciła kurek z napisem ZIMNA i spłukała popiół do odpływu. Wodne wiry przypomniały jej o zawrotach głowy, które teraz minęły.

Nie wiedząc, co ma zrobić, tkwiła przy toalecie. Nie była zdezorientowana ani niespokojna, tylko nie miała jasnego celu. Potem wróciła do pokoju.

Jedno z krzeseł o prostych oparciach leżało wywrócone na podłogę. Kiedy stawiała je z powrotem, zobaczyła trzy książki na stoliku. Grzbiet każdej został rozerwany, tak że leżały otwarte jak gazety. Pousuwano z nich fragmenty, kawałki trzech stron zostały wycięte sprężynowym nożem, który wypadł z rękawa doktor St. Croix zastrzelonej przez Chubba Coya.

Na stole leżał także notes Bibi, otwarty na pustej stronie. Najwyraźniej przymierzała się do napisania czegoś.

Jej nastrój zaczął się zmieniać. Wracała na ziemię, koncentrowała się.

Te książki ją dziwiły. O'Connor, Wilder, London. Pamiętała, że je kupiła, lecz nie wiedziała, dlaczego. Nie miała czasu czytać, gdy Terezin i jego szajka szukali jej i chcieli ją zabić.

Chubb Coy. Książki miały z nim coś wspólnego.

Nagle wiedziała, co się stało. Sztuczka z pamięcią Kapitana.

Kochała go. Pomógł małej dziewczynce w zachowaniu zdrowych zmysłów. Ale ta pomoc nie rozwiązała problemu (na czymkolwiek by on polegał), nauczyła ją tylko tłumić całą wiedzę na jego temat. Potwór nie został pokonany. Cały czas żył i czekał. Cekał, aż otworzy drzwi i zostanie przez niego pożarta.

Drżąca, wstrząśnięta, usiadła przy stole, wpatrując się w zmacerowane duże paperbacki.

W domu pani profesor Coy powiedział coś szczególnego, co w pierwszej chwili umknęło Bibi. Nie mogła sobie przypomnieć, co to było. Nic dziwnego. Przecież spaliła wspomnienie za pomocą dziecinnego obrzędu, który działał nie tyle dzięki sześciu czarodziejskim słowom, których nauczył ją Kapitan, ale dlatego, że chciała, żeby działał. Słowa Coya musiały mieć coś wspólnego z tymi trzema książkami. Przeraziły ją, postawiły w obliczu prawdy tak monumentalnej, że nie była w stanie się



z nią zmierzyć.

Sprężynowym nożem wycięła resztki kluczowych stron. Złożyła je i wetknęła do notesu, który wsunęła do torebki.

W pokoju było ciepło, lecz Bibi czuła się jak bryła lodu. Lista jej wrogów powiększyła się o jedną osobę. Nie mogła całkowicie ufać samej sobie.

**V**

*Z popiołów pamięci*

## ***Powrót do miejsca, które nazywała złym***

Bibi z samą torebką i pistoletem opuściła bezpieczny pokój w motelu, którego bezpieczeństwo było i tak tworem wyobraźni, tak samo jak każda chwila pozornego spokoju w tym nowym świecie, w którym zamieszkała. „Dziękuję, Calido Butterfly, czy jak się tam nazywałaś”. Teraz każda forteca okazywała się papierowa, a każda kryjówka pułapką. Zamiast być solidną przeszkodą, każde drzwi zapraszały niebezpieczeństwa naturalne i nadprzyrodzone. Wynikała z tego nauczka wręcz przeciwna do treści starego powiedzenia: darowanemu koniowi trzeba zaglądać w zęby. Koniowi albo masażystce. Relaksujący masaż, a potem chardonnay i głupkowate wróżenie, i zanim się obejrzyysz, już zwróciłaś uwagę wcielenia Hitlera, sprowadziłaś na siebie tajemne moce i zostałaś uratowana przed rakiem tylko po to, żeby jakiś wariat mógł zadźgać cię tysiącem ołówków. Miała ochotę skopać komuś dupę, ale nie było komu, może z wyjątkiem Murphy’ego i Nancy za to, że wynajęli Calidę, ale Bibi nie miała zamiaru ich poniewierać. Będziesz czcił ojca swego i matkę swoją i tak dalej. Wychodziła z motelu w nastroju świętego oburzenia i złości zbyt wszechogarniającej, by mogła trwać długo.

Mimo że było dopiero za dwadzieścia ósma, wyglądało tak, jakby Laguna Beach była już nieczynna na noc. Spowite mgłą wzgórza opadały w milczeniu do morza, samochodów mało jak o północy, ocean wyrzucał z siebie coraz gęstsze masy

przypadających do ładu chmur, samotny kojot był gdzieś w kanionie, jakby zabłądził i wzywał stado.

Jechała hondą Pogo na północ przez oślepiający mrok, który pasował do sytuacji, skoro jej życie zmieniło się w bagnisko zagadek i tajemnic. Wszystkie możliwe przyszłości, jakie sobie wymyślała, rozplynęły się w zupie możliwości, na którą wołała nie patrzeć.

Choć pewnie rój sekciarzy, który spadł na Fashion Island, z pewnością już odleciał, Bibi wybrała inne centrum. Kupiła nowe egzemplarze zbiorów opowiadań Flannery O'Connor, Thorntona Wildera i Jacka Londona. Nabyła też latarkę, baterie do niej i scrabble.

Stamtąd skierowała się znów na południe, do Corona del Mar, i przejechała obok uroczonego domku, w którym mieszkała przez lat dziewiętnaście, do czasu przeprowadzki do mieszkania. Rok po jej wyprowadzce Murphy i Nancy sprzedali bungalow państwu Gillenhock, którzy dorobili się na kradzieży bydła i walkach kogutów. To znaczy mówiono, że są świetnymi bankierami inwestycyjnymi, którzy mogli sobie pozwolić na emeryturę, mając pięćdziesiąt trzy lata, ale jedyne spotkanie z nimi pozostawiło na Bibi wrażenie, że są bankierami tak samo, jak ona wirtuozką fortepianu. W ciągu ostatnich dwóch lat Gillenhockowie proponowali coraz więcej pieniędzy właścicielom działki obok, którzy nie chcieli się wyprowadzić, a którą także w końcu kupili, we współpracy z architektem projektując rezydencję. Jej przepych z pewnością miał wywołać u sąsiadów jeszcze większą zawiść i wstyd.

Niedawno połączone działki otoczono ogrodzeniem budowlanym: siatką obłożoną zielonymi płytami z poliuretanu. Wystrój ogrodu został już zniszczony, a resztki wywiezione, ale budynki ciągle stały.

Zaparkowała dwie ulice od bungalowu. Włożyła baterie do latarki, która przyda się tylko w mieszkaniu nad garażem. Torebkę zostawiła pod fotelem, zamknęła samochód i poszła

ulicami doskonale znanymi mimo mgły.

Było cicho jak w zakładzie pogrzebowym, domy we mgle przypominały mauzolea.

Poza dużą bramą od przodu w ogrodzeniu pozostawiono jeszcze jedną, od strony szerokiej alei, do której przylegały tyły domów z równoległych ulic. Tutaj stały wszystkie garaże. W każdej chwili zza jednego z rogów mógł wyjechać samochód, kierowca pilotem otworzyłby garażową bramę i nawet w takiej mgle zostałyby odkryta.

Ochronne płyty przytwierdzono od zewnątrz ogrodzenia i musiała je rozcinać sprężynowym nożem doktor St. Croix, żeby móc stawać na siatce. W odróżnieniu od całej reszty parkanu, brama zwieńczona była listwą, która zasłaniała ucięte stalowe końcówki, dzięki czemu nie pokaleczy sobie ręk. Przeszła przez bramę i znalazła się w wiacie obok garażu.

Dzięki zestawieniu węglów i płaszczyzn dookolnych budynków na wyłożonym kostką podwórku nieśmiałe oddechy morza zmieniały się w lekki przeciąg, który wprawiał mgłę w powolny ruch. Bibi czuła, jakby coś ciągnęło ją w górę, jeszcze zanim weszła na schody do mieszkania nad garażem.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Nie pozostało nic do ukradzenia. Wandali miał zniechęcać fakt, że budynki zostaną niebawem zburzone. Nikt nie przejmował się szkodami, jakie mogli wyrządzić.

Zapaliła latarkę, osłaniając ją ręką, choć była przekonana, że blada poświata nie wzbudzi niczyjej ciekawości na zewnątrz. Po sprzedaży domu mieszkanie ogołococono z mebli. Szaroniebieskie, zabrudzone linoleum w cętki, zaśmiecone strzępkami papierów i truchłami owadów, w kilku miejscach było rozdarte i odkleiło się przy listwach.

Bibi stała tam, gdzie wtedy, kiedy odkryła jego zwłoki, gdy miała dziesięć lat. Zdarzyło się to przy śniadaniu. Stała przed nim miska płatków i talerz z tostami. Gazetę otworzył na stronie z komentarzami. Chyba najpierw wstał, by runąć

i uderzyć głową w róg stołu. Leżał na lewym boku. Kałuża krwi trysnęła z nosa, ust. Krew zabarwiała też wytrzeszczone oczy. Na rzęsach zawisły perły szkarłatnych łez.

Pomyślała, że ktoś go zabił. Mimo to nie uciekła wystraszona. Była zbyt zdruzgotana i nie zostało w niej już miejsca na strach. Możliwy był tylko żal. Powiedziała na głos: *Dziadku, nie. O, nie, nie. Jeszcze cię potrzebuję, dziadku.*

Tylko wtedy nazwała go dziadkiem. Przez pierwsze kilka tygodni po tym, jak się wprowadził, nie wiedziała, że jest ojcem mamy. Dlatego został dla Bibi Kapitanem. On też tak wolał, bo bał się, że matce Bibi nie będzie przyjemnie, jeśli przez cały czas będzie słyszeć słowo na D. Nancy nie mówiła na niego „tato”. Dla niej był Guntherem, tak miał na imię. Mówił, że Nancy dobrze to ujmuje, że nigdy nie był dla niej ojcem dobrym na tyle, by zasłużyć na miano „taty”. Za to dla Bibi stał się idealnym dziadkiem.

Między Nancy i Kapitanem nie panowała wrogość, dzielił ich tylko pewien dystans, którego nie mogli przekroczyć. Plama bólu, której żadne nie potrafiło zmyć. Zdarzały się nawet chwile ciepła, gdy można było sobie wyobrazić, co mogłoby ich łączyć.

Koroner orzekł, że przyczyną zgonu był rzadki typ tętniaka, który gwałtownie pękł. Kapitan nie wiedział, że go ma. Wykrwawił się tak szybko, że nie było szans na ratunek.

Nancy płakała, zaskoczona intensywnością żalu.

Tygodnie po śmierci Kapitana były ciężkie dla wszystkich, a szczególnie dla Bibi. Gdy golden retriever przyszedł do niej z deszczu wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowała, nazwała go Olafem, bo tak brzmiało drugie imię Kapitana. Gunther Olaf Ericson, korpus piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, przeniesiony do rezerwy.

Ostrzegła psa, żeby trzymał się z dala od mieszkania, bo tam mieszkało zło. Ale nic podłego nie błąkało się po tych pokojach, gdy mieszkał w nich Kapitan. Dzięki niemu było to dobre miejsce. Zło pojawiło się dopiero po jego śmierci.

Teraz, dwanaście lat od tamtych złych czasów, wróciła, aby przekonać się, czy zło wciąż się tu kręciło. A jeśli nawet nie to samo obrzydlistwo, to może coś, co pomoże jej sobie przypomnieć, co stało się na strychu. Jak zapisała w zbindowanym notesie, tamten incydent był jednym z trzech zagubionych wspomnień, z których w jakiś sposób wynikają dzisiejsze kłopoty.

Powiedzmy, że to taka terapia wstrząsowa.

Albo desperacja.

Nie wzięła ze sobą zapalniczki na butan. Wyrzuciła ją do kosza po drodze z motelu do hondy. Nie kupiła innej w centrum handlowym. Gdyby doszło do jakiegoś przełomu, odzyskania niezbędnego wspomnienia, trudno będzie użyć sztuczki Kapitana i wymazać z pamięci nowo zdobytą, a jeszcze niewykorzystaną wiedzę.

Przyświecając sobie latarką, przeszła z kuchni do pustego salonu. Ciemność z powrotem opanowywała mieszkanie za jej plecami, ciemność po obu stronach, cofająca się przed nią, ale tylko tam, gdzie zimna, biała, ledowa smuga zmuszała ją do ustąpienia.

Poczuła jakiś nieprzyjemny zapach w kuchni, niezbyt mocny. Nasilał się w miarę, jak podchodziła do sypialni. Odór dwóch lat opuszczenia. Wykwity pleśni na ścianach. Mysia szczyna.

W garderobie lewą ręką pociągnęła za dyndający sznur i rozłożyła drabinę.

## ***Czego potrzebujesz najbardziej?***

Bibi nie zapalała świec na strychu. Prąd najprawdopodobniej wyłączono w oczekiwaniu na rozbiórkę. Nawet jeżeli nadal płynął, wołała nie wchodzić w ostrym blasku rzędu rozwieszonych od ściany do ściany gołych żarówek, za które dziękowała dwanaście lat wcześniej. W trakcie tamtej przygody bała się, ale do przodu pchała ją dość przyjemna ciekawość; chciała jak najbardziej zbliżyć się do tamtej mieszaniny emocji, by skuteczniej pobudzić pamięć. Dorosłą nie było tak łatwo nastraszyć. Większe zaciemnienie być może wzmacni efekt.

Gdy dotarła na szczyt drabiny i stanęła na strychu, latarka posrebrzyła mgłę, która napływała przez jedną z kratek tuż pod okapem, wolno kłębiącą się masę, niemal pulsującą, jak ektoplazma przywoływana z innego świata na seansie. Przypomniała sobie długie palce mgły wpełzające przez ten sam otwór w niedzielny ranek dwanaście lat temu.

Przejście w środku między półkami nie zmieniło się, choć wyniesiono wszystko, co kiedyś było tu trzymane. Tył regałów obito masonitem, tak że nie było widać bocznych alejek, dopóki się w nie nie weszło.

Owej odległej w czasie niedzieli coś znajdowało się chyba w przedostatniej alejce na lewo, choć wątpliwe, by napotkała to i dzisiaj. Miała tylko nadzieję, że – stojąc tam, gdzie stała wtedy, wywołując w sobie podobny nastrój – przypomni obie jakiś użyteczny fragment, który ocalał z płomieni sztuczki Kapitana.



Latarka rozdarła mrok po lewej i nie majaczyła w nim żadna postać. Sprawdziła przejście z prawej. Tak samo opustoszałe.

Zostały jeszcze dwie ostatnie alejki, lecz logika podpowiadała, że powinna tkwić dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stanęła poprzednio. Obróciła wzrok w lewo, usiłując przywołać obraz tego kogoś lub czegoś, co wyszło z cienia na światło.

Słuchała odgłosów osiadania starej konstrukcji, wdychała fetor pleśni i odchodów gryzoni, drżała nie ze strachu, tylko z nocnego chłodu. I czekała, czekała.

Pomimo niepokoju, a nawet obawy, nie bała się w takim stopniu jak w dzieciństwie. Myślała, że w obecnej sytuacji nie zdoła odtworzyć tamtego nastroju w wystarczającym stopniu. Zgasiła więc latarkę i strych pogrzyżył się w zupełnym mroku.

Tak lepiej.

Lęk się wyostrzył. Odgłosy osiadania wydawały się liczniejsze, a już na pewno bliższe niż wcześniej. Część mogła być wywołana nie przez przesunięcia materii nieożywionej, tylko przez myszy i szczury albo nieśpiewające nocne ptaki siedzące na dachowych belkach. Bez wzroku wyostrzał się węch. Zapachy nie stały się przyjemniejsze, tylko bogatsze i bardziej złożone. Wydało jej się, że słyszy w pobliżu czyjś oddech, szybki i płytki, ale gdy sama przestała oddychać, uświadomiła sobie, że wsłuchiwała się w siebie.

Wspomnieniu nie towarzyszył olśniewający błysk czy trąby objawienia, tylko dwa głosy, jej dziecięcy i Kapitana. Rozmowa, którą sobie przypomniała, odbyła się na długo przed jego śmiercią, nie na tym strychu, ale na zewnątrz, w miejscu, gdzie w ramach z czarnych konarów jakiegoś drzewa płonął pomarańczowy ogień, choć samo drzewo nie płonęło.

– *No cholera – mówi Kapitan.*

– *No.*

– *Przepraszam, Bibi. Brzydkie słowo.*

– *To nic.*

– *Bo sama popatrz. Cały się jeszcze trzęsę.*

- Ja też.
- Na Boga, tak długo nikomu o tym nie mówiłaś.
- Z osiem miesięcy. Musiałam. Zanim się pojawiłeś.
- Ale ja mieszkam tutaj od pół roku.
- Musiałam mieć pewność, czy można ci powiedzieć.
- Skurwysyn. Przepraszam, Bibi. Ale co za skurwysyn! Obłąd.
- Ja nie zwariowałam.
- Oczywiście, kochanie. Jesteś najzdrowsza na świecie. Nie to miałem na myśli.

Siedzą na krzesłach na małym balkonie przed jego mieszkaniem. Słońce jest pomarańczowe, lecz wciąż oddalone o godzinę od morza, i płonie wśród gałęzi wielkiego fikusa, który góruje nad bungalowem, rzucając ogień i cienie na podwórko od tyłu.

- I od samego początku zdecydowałaś, że nie powiesz nigdy rodzicom – stwierdza Kapitan.
- Nie, nigdy.
- Czemu?
- Nie wiem dlaczego, po prostu wiem, że nie mogę, bo... bo tacy są. Tak, naprawdę mili i inteligentni, i w ogóle...
- To dobrzy ludzie – potwierdza Kapitan.
- Bardzo ich kocham.
- No myślę, panienko. Zastępują na to.
- Tak jest, wiem. Kocham ich.
- I nigdy nie przestaniesz.
- Nie, nigdy.
- Wydali cię na ten świat, bo tak chcieli. I kochają cię do szaleństwa.
- Ale gdyby wiedzieli – mówi Bibi – wszystko by przekręcili.
- Nie tylko oni, prawie wszyscy.
- Nie, żeby specjalnie.
- To prawda.
- Ale jeżeli wszystko przekręcą, to co ze mną będzie? Z nimi, ze mną i w ogóle ze wszystkim?

– To rzeczywiście powód do zmartwienia. – Podnosi dłonie i wpatruje się w nie. Cały czas drżą. Spogląda na Bibi. – Ile lat masz naprawdę?

– Tyle samo co wczoraj. Sześć i pół.

– Tak i nie.

– Wiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię o mamie i tacie. O tym, jacy są?

Kapitan milczy, ale myśli tak intensywnie i szybko, że Bibi nie zdziwiłaby się, gdyby nagle usłyszała, jak w głowie kłębią mu się myśli. Potem odpowiada:

– Tak, wiem. Wiem, o co ci chodzi. Ale nie wiem, czy umiem ubrać to w słowa lepiej od ciebie.

– To można im nie mówić?

– Nie mogę uwierzyć, że zachowałaś to dla siebie przez prawie osiem miesięcy. Bałaś się i wcale tego po sobie nie pokazywałaś.

– Ale czy można im nie mówić?

– Można i nie można. Tak jest najlepiej dla ciebie... dla wszystkich.

Milczące słońce zsuwa się z kolejnych gałęzi i mozaika światłocienia na kostkach podwórka powoli się zmienia.

– Powiedz mi, czego potrzebujesz najbardziej.

– To znaczy?

– Co najchętniej zrobiłabyś z tym wszystkim.

– Wolałabym, żeby to się w ogóle nie stało. Nie chcę się tak strasznie bać.

– Czyli potrzebujesz zapomnieć, co się stało, jak i dlaczego.

– Ale nie mogę. Nigdy o tym nie zapomnę.

Wyciągnął jedną z wielkich dłoni, ona włożyła w nią swoją rączkę i tak siedzieli przez chwilę na osobnych krzesłach, trzymając się za ręce, gdy on zastanawiał się nad sytuacją, żeby wreszcie powiedzieć:

– Może się uda. Może jest sposób na zapomnienie.

Bibi gwałtownie powróciła z pamięci do teraźniejszości,

z pomarańczowego blasku zachodzącego słońca na czarny jak smoła strych, gdy ktoś z tyłu położył jej rękę na ramieniu.

W popłochu równocześnie włączyła latarkę i ją wypuściła. Smuga światła przetoczyła się po podłodze ze sklejki, zakreślając jasny łuk w przejściu przez środek strychu.

Strąciła dłoń z ramienia, schyliła się, złapała latarkę, wyprostowała się, obróciła na pięcie i przecięła światłem puste powietrze. Nikogo.

Dwie ostatnie boczne alejki – jedna po lewej i jedna po prawej – pozostały niezbadane. Jeśli ktoś rzeczywiście położył jej rękę na ramieniu, być może wycofał się w jedną z nich.

Dzielne dziewczyny nigdy nie poddawały się strachowi. Dzielne dziewczyny rozumiały, że gdyby każdy cofał się przed konfrontacją ze złem, ten świat zmieniłby się w więzienie od bieguna do bieguna, rządzone z okrucieństwem i brutalnością przez najgorsze elementy, i nie zostałyby miejsca na wolność. Każdy odwrót, każda ugoda były krokiem w dół po schodach do piekła na ziemi.

Wyjęła pistolet. Chwył jednoręczny nigdy nie był wskazany, ale potrzebowała lewej ręki, by trzymać latarkę. Więc naprzód, zwrot w lewo, zwrot w prawo. Jeżeli ktoś jej faktycznie dotknął, nie znajdował się w żadnym z dwóch ostatnich przejść, a nie mógł się skryć nigdzie indziej.

## ***Czekając na Eskimo Pie***

Mgła jak gromada duchów towarzyszyła jej na schodach z mieszkania i na podwórku bungalowu. Przyjechała odwiedzić dwa miejsca, gdzie można by jeszcze odnaleźć zagubione wspomnienia z młodości, a drugim był jej pokój. Z domu zabrano wszystko co wartościowe – od używanych urządzeń po antyczną armaturę – a niebawem miano przystąpić do rozbiórki, w związku z czym drzwi od tyłu nie były zamknięte na klucz.

Weszła do domu, w którym kiedyś panowało gościnne ciepło, który rozbrzmiewał rozmowami, muzyką i śmiechem, gdzie rodzice czasami odsuwali kuchenny stół i tańczyli na środku pokoju, gdzie Olaf był przez sześć szczęśliwych lat futrzastym dzieckiem. Bibi nie pozbyła się żadnego z tych wspomnień i po nieobecności trwającej jedyne trzy lata spodziewała się, że po stanięciu na progu zaleją ją wspomnienia i na każdym kroku dostrzegać będzie najlepsze chwile dzieciństwa i młodości.

Tymczasem w pomieszczeniu było zimno, wilgotno i gęsto od odoru grzybów. Światło latarki wszędzie odnajdywało brud i ślady zaniedbania: sufit przebarwiony i wybrzuszony od niezatkanej dziury w dachu, otwory w tynku, przez które widać było łaty, szczur w stanie zaawansowanego rozkładu z pustymi oczodołami i zębami wystającymi z ostrego pyszczka, puste opakowania po hamburgerach, puszki po napojach i papierki po cukierkach, wyrzucone być może przez robotników

w początkowej fazie rozbiórki. Ale nie same śmieci i brud zmieniały miejsce dobrze znajome w obce. Pod chłodem w powietrzu i ponurym bałaganem czaiło się inne zimno, lodowata pustka, która nie miała nic wspólnego z brakiem mebli czy centralnego ogrzewania, bo brała się z nieobecności ludzkiego ducha.

Nim dotarła do swego pokoju, jak nigdy przedtem zrozumiała, że *dom* to nie miejsce fizyczne, tylko miejsce w sercu. W tym niespokojnym świecie przemija wszystko poza tym, co uniesiemy w sercach i umysłach. Każdy dom wcześniej czy później przestawał być domem, lecz nie następowało to wraz z jego rozbiórką. Trwał po zniszczeniu, dopóki żyła chociaż jedna osoba, która go kochała. Dom to historia zdarzeń, a nie tego, gdzie miały one miejsce.

W pustej sypialni ze spękany, poplamionym i łuszczącym się tynkiem, gdzie niegdyś lśniące drewno podłogi było zarysowane, matowe i porozszczepiane, Bibi najgłębiej przeniknął dreszcz. Mając pod ręką tylko ubogi pędzel i paletę światła latarki, nie umiała namalować obrazu pokoju sprzed lat. Cała radość przeczytanych tu książek, urok wszystkich odległych rockandrollowych radiostacji, których wysłuchiwała do późna w noc, zdumiewając się lokalnymi różnicami kultur wyrażającymi się w stylu i nawijce DJ-ów: nic nie przypominało, jak wiele czerpała z tego zacisza. Teraz pokój jawił się jej jako ponure, puste miejsce, w którym zaczęła tracić siebie, gdzie strach popchnął ją do zabarykadowania przed pamięcią ogromnie ważnych spraw.

Przyjechała tutaj w nadziei, że coś, co zobaczy, pomoże jej w wyzwoleniu prawdy o tym, co zdarzyło się w tym pokoju przed siedemnastu laty. Co za intruz przejął ją grozą, pełną w bladym świetle lampki Myszki Miki, by w końcu zakraść się na łóżko i pod pościel?

Tymczasem przypomniała jej się jeszcze jedna rozmowa z Kapitanem. Odbyła się w kuchni, kilka dni po spotkaniu na

balkonie nad podwórkiem. Murphy i Nancy wyszli na jakiś wieczorny koncert. Kapitan ugotował sobie i jej kolację: ulubione hot dogi z serem i sosem chili, do tego odpiekane frytki ze specjalnej zamrażarki w supermarkecie, znanej tylko aktywnym i byłym piechurom morskim. Kiedy skończyli jeść i czekali, by zorientować się, czy w brzuchach zostało jeszcze miejsce na loda Eskimo Pie, Kapitan się odezwał:

– *Taki Cygan na Ukrainie, która nie była już częścią Związku Radzieckiego, pokazał mi sztuczkę z pamięcią. A może się mylę? W sumie mogłem się jej nauczyć od tego stuletniego szamana w Wietnamie. Nieważne, bo to dobry sposób, którego używałem do zapomnienia okropieństw, które widziałem i których nie mogłem wytrzymać.*

– *Jakich?*

– *Takich, które ogląda się na wojnie i które cię zniszczą, jak nie przestaniesz o nich myśleć.*

– *Na przykład?*

– *Gdybym nie zastosował tej sztuczki na swojej pamięci i gdybym to jeszcze pamiętał, i tak bym ci nie opowiedział.*

– *Przecież ja opowiedziałam ci, co mi się przytrafiło. Pokazałam ci, jak to się stało, i w ogóle.*

– *I prawie tego żałuję, panienko.*

Po zjedzeniu hot dogów przy sześciu świeczkach w małych pojemnikach z czerwonego szkła siedzą teraz w tym ciepłym, pełgającym blasku. Kapitan trzyma drugie piwo, a Bibi udaje, że cola z plasterkiem limonki to napój dla dorosłych, po którym może mieć kaca. Mówi:

– *Ja lubię sztuczki. Jest taki sztukmistrz, który przychodzi czasami do Pogłaskaj Kota. Widziałam, jak karty dosłownie znikają mi przed nosa.*

– *Wyganianie złych wspomnień jest sto razy trudniejsze. To prawdziwe czary. Założę się, że ten magik odzyskał karty...*

– *Jasne! Paf, i już były!*

– *Ale kiedy za pomocą mojej sztuczki spali się wspomnienia,*

one nigdy nie wrócą. Jesteś pewna, że zapomnienie to najlepsze wyjście?

– Jestem – odpowiada Bibi. – Nie chcę przez cały czas się bać. A pan nie jest pewien, Kapitanie?

– Czasami... – milknie. Po chwili podejmuje: – Czasem docieram nad brzegi którejs z dziur. Dziur w pamięci. Krążę dookoła niej, próbuję związać spalone nici. Wypełnić ją. Dziurę. Zaczynam mieć obsesję na tym punkcie. Czasem wypełniam ją czymś jeszcze gorszym, niż było w niej na początku.

Bibi nie wie, co na to odpowiedzieć. Kapitan zachowuje się tak, jakby gadał ze sobą, więc może ona nie musi już nic mówić.

W blasku słońca i w cieniu jest postacią przyciągającą wzrok. Taki wysoki i silny, z grzywą białych włosów i poraną wiatrem twarzą, i oczami pełnymi smutku nawet wtedy, kiedy się śmieje. Przy świecach jest jeszcze bardziej frapujący, jak ktoś w filmie, człowiek, do którego trzeba pójść, gdy wszystko się zepsuje, którego potrzebuje bohater tracący nadzieję i potrzebujący wskazówek.

Zastanawiał się nad jej pytaniem, kończąc drugie piwo i wyjmując z lodówki trzecie, by wreszcie odpowiedzieć:

– Tak, moim zdaniem tak jest najlepiej, chociaż niech mi Bóg dopomoże, jeśli się mylę. Wiesz, co to jest hipnoza, panienko?

– Jasne. Ktoś huśta ci przed oczami zegarkiem na łańcuszku i każe ci gdakać jak kura.

– Tego nie robi się tylko dla zabawy. W ten sposób można kogoś odzwyczaić od palenia albo wyleczyć na przykład z lęku przed lataniem. I z wielu innych chorób. Przed rozpoczęciem obrzędu kapłan voodoo musiał mnie zahipnotyzować.

– Dlaczego?

– W stanie hipnozy wpoił mi niezachwianą wiarę, że sztuczka z pamięcią zadziała. Później działała dlatego, że w to uwierzyłem. Rozumiesz?

Dziewczynka krzywi się.

– Chyba nie bardzo.



– I to jest właśnie najfajniejsze. Nie musisz rozumieć, żeby pomagało.

– Tego też chyba nie rozumiem. – Bibi sączy coca-colę z limonką i stara się robić poważną minę, tak jak Kapitan, żeby wiedział, że nie zachowuje się jak małe dziecko, że wszystko przemyślała i ma dobre powody, choć nie przychodzi jej na myśl żaden zły powód, dla którego mogłaby tego chcieć. – Pomóż mi. Proszę. Musisz mi pomóc, Kapitanie. Tak jak ten voodoo Cygan pomógł tobie.

Przez jakiś czas Kapitan nic nie mówi. Dziś często milczy, co jest do niego niepodobne. Nie patrzy na Bibi, tylko na puszkę z piwem, na świecę, na swoją lewą dłoń i kikuty po małym i serdecznym palcu.

W końcu bierze jedną ze świeczek w czerwonym szkle. Mimo że trzyma ją za grube szkło, na pewno jest gorąca, ale on się tym nie przejmuje. Spogląda na Bibi i w jego wzroku jest coś, czego nigdy w życiu nie umiałaby nazwać, a co okropnie ją smuci, ale nie dość że smuci, bo wywołuje strach o Kapitana.

Każę odsunąć szklankę coca-coli i położyć dłonie na kolanach, wierzchem do góry, i rozluźnić się. Wszystko będzie w porządku, mówi. Nie ma się czym przejmować, nie musi się niczego bać. On zadba o wszystko. Musi słuchać jego głosu, który zrobił się cichy, słuchać głosu i patrzeć na płomień świecy, który filuje w kubku z czerwonego szkła, patrzeć na płomień, obserwować bez odwracania głowy, śledzić samym wzrokiem płomień i słuchać jego głosu. Zaczyna przysuwać i odsuwać świecę, bliżej i dalej, wolnymi, równymi i płytkimi łukami, jak wahadło...

Gdy wraca, nie ma pojęcia, że jej nie było. Uważa, że nic się nie stało, ale mówi, że hipnoza już się skończyła. Mogą przystąpić do sztuczki z zapominaniem. Podaje jej fiszkę i długopis. Razem ustalają słowa. Musi zapomnieć nie tylko, co pęzło po podłodze jej pokoju wieczorem osiem miesięcy temu, ale także dlaczego i jak się tam dostało. Gdy prośba jest

dopracowana, gdy nie wystają z niej luźne końcówki, które mogą się rozplątać, Kapitan wyjmuje z szuflady w kuchni szczypce i podaje jej do spalania.

Jest przekonana, że sztuczka z pamięcią się uda, że to czystej wody czary, dzięki którym jej życie wróci do normalności, że paskudne, okropne wspomnienia rozpułną się w powietrzu jak talia kart sztukmistrza i, w odróżnieniu od takiej talii, nigdy nie wrócą.

Bierze kartkę w szczypce.

Siedzący na krześle naprzeciwko Kapitan podsuwa jej jedną ze świeczek.

Drżący płomień sięga krawędzi szkła.

Bibi obraca szczypce tak, że kartka jednym rogiem dotyka płomienia, rozszczepia go i zapala się.

Przedmiot płonący w szczypcach jest jak kokon, z którego wyfruwa jasny motyl ognia i macha skrzydłami nad białym kartonem, odrywającym się szarymi pasmami. Motyl chce jak gdyby wyrwać się na wolność, otrząsnąć się z resztek białej komory zmartwychwstania, którą utkała larwa, i zerwać do świetlistego lotu, jednak zamiast tego opada i staje się muszką płomienia.

Kapitan każe Bibi rozewrzeć szczypce, żeby spłonął kawałek fiszki schwytyany przez ich szczęki.

Bibi wykonuje polecenie i płonący zwitek spada na blat z czerwonej formiki tego samego stołu z chłodnego chromu, który pewnego dnia znajdzie się w jej pierwszym mieszkaniu, na którym dziesięć płytek z literami utworzy po latach imię i nazwisko ASHLEY BELL.

Tani skrawek łatwopalnego papieru przeżywa swój ostatni rozbłysk i w mgnieniu oka rozpada się w popiół.

Kapitan zgarnia popiół z formiki, niesie go do kosza i, zdmuchując z rąk, wyrzuca do śmieci.

Po powrocie staje i przypatruje się wnuczce, by po chwili zapytać:

- Czego się boisz, Bibi?
- Czego? Nie wiem. No, na przykład tego starego psa dwie ulice dalej, nie jest zbyt miły. I na pewno strasznie nie lubię os.
- Czy kiedykolwiek leżałaś sama w nocy w swoim pokoju i bałaś się, że jest tam coś jeszcze?
- Jak może coś być ze mną, kiedy jestem sama?
- Kapitan marszczy brwi. Zamiast odpowiedzieć na pytanie mówi:
- Znaczący, że w świetle nocy czujesz się bezpiecznie.
- Głupiutka Myszka Miki. - Robi minę, której nikt nie mógłby uznać za wyraz czegoś innego prócz złości. - Nie jestem już małym dzieckiem. Nie powinni mnie tak traktować. Nie jestem już małym dzieckiem i nigdy już nim nie będę - właśnie tak.
- W ogóle się nie cieszyłaś, że postawili ci tam Miki?
- Nie. Zepsułabym ją, wiesz, przypadkiem, gdyby to nie było nieładnie. Ale może tak zrobię. - Dostrzega szczypcę, które ciągle trzyma w prawej ręce. Wciąga nosem powietrze. Jej oczy się rozszerzają. - Zrobiliśmy to, tak?
- Co?
- Sztuczkę z pamięcią Cygana voodoo.
- Tak. Jak się czujesz?
- Dobrze. No to ci dopiero, no nie?
- Orientujesz się, jakie wspomnienia spaliłaś?
- Usiłuje pomyśleć, lecz kręci tylko głową.
- Nie. Najpewniej nie były mi potrzebne. Co zapomniałam?
- Kapitan otwiera zamrażalnik w lodówce.
- Gotowa na Eskimo Pie?

Wspomnienie jest tak żywe, że gdy blednie i Bibi wraca do domu gotowego do rozbiórki, jeszcze przez chwilę czuje umykający swąd palonej fiszki.

Przez szesnaście lat nie wspominała incydentu u siebie w pokoju ani jej się nie przyśnił, aż do wczorajszej nocy, gdy zasnęła w fotelu ojca w kantorku nad sklepem Pogłaskaj Kota. Architektura zapomnienia nareszcie waliła się w gruzy, ale

niedostatecznie szybko. Ciągłe nie mogła sobie przypomnieć ani tego, co chodziło za nią w tym pomieszczeniu, ani dlaczego to robiło, pamiętała jedynie, że incydent miał miejsce.

Poświata z małej mocy Myszki Miki była bardziej rozproszona niż jaśniejsza, ale węższa smuga światła latarki, w której widać było mniej przestrzeni pokoju niż w świetle rysunkowego opiekuna. Myszkując po zakamarkach, Bibi uświadomiła sobie, że to wtargnięcie na cudzy teren przyniosło tyle, ile mogło – i mniej niż miała nadzieję.

Myślała o czymś, czego dowiedziała się o Kapitanie w czasie rozmowy z matką miesiąc po jego śmierci. *„Wojna psychologiczna, techniki odporności na przesłuchanie...”*.

Nancy poróżniła się z ojcem z powodów zarówno zrozumiałych, jak i błahych. W trakcie ponad czterech lat jego pobytu nad garażem zbliżyli się do siebie. Faktycznie zadane przez ojca rany Nancy zagoiły się i zrozumiała, które krzywdy są zmyślane. Po jego śmierci pograżyła się w głębokim żalu i w tygodniach po pogrzebie mówiła o nim więcej i bardziej szczegółowo niż kiedykolwiek wcześniej.

Pozostał czynnym żołnierzem i oficerem długo po czasie, gdy inni mężczyźni muszą przenosić się za biurko. Szkolenie rekrutów nie dało mu satysfakcji. Przez ostatnie dziesięć lat służby był oficerem wywiadu, po części nadzorując zbieranie i analizę informacji o wrogach państwa, lecz przede wszystkim poświęcając się opracowaniu obrony przeciw wojnie psychologicznej i technik odporności na przesłuchania, które żołnierze, schwytani i przetrzymywani jako jeńcy, mogli wykorzystywać, by nie ujawniać informacji nieprzyjacielowi.

Nie wydawało się to ważne, gdy dziesięcioletnia Bibi dowiedziała się o tym od matki. Z tysięcy rzeczy, które Nancy opowiedziała jej o dziadku, ta należała do najmniej interesujących. Lecz teraz zdała sobie sprawę, że jednym ze sposobów uodpornienia się na przesłuchanie była sztuczka z pamięcią, zapominanie danych, których nieprzyjaciół mógł

potrzebować najbardziej.

Ten drugi ktoś w pustym bungalowie na pewno wydawał jakieś dźwięki, przesuając się ku niej. Musiała zbyt głęboko zanurzyć się we wspomnieniach, by nie oddzielić charakterystycznych odgłosów natręta od tykania i skrzypienia starego domu, popadającego w ruinę, której się po nim spodziewano.

Latarka działała jak boja sygnalizacyjna, dzięki której stała się łatwym celem, i ujawniła napastnika dopiero w przedostatniej chwili, gdy raptem przestał się skradać i na nią natarł.

## ***Biblioteka Babel***

W chwili przed uderzeniem smuga lodowato białego światła omiotła nadchodzącą twarz. Ta szeroka i tępą fizjonomia, z dołkiem w podbródku i krzaczastymi brwiami, od tysięcy lat była znaną ofiarom twarzą maruderów i rabusiów, torturujących rozgrzanym żelazem i starannie zaostrzonymi szpikulcami, linczujących, ścinających głowy i noszących pałki w gułagach.

Runął na nią z ogromną siłą, jak rozwścieczony byk, aż zdawało jej się, że przy pierwszym uderzeniu pękło w niej coś ważnego. Pochwycił ją i uniósł, prawie nie tracąc impetu, i wbił w ścianę. Ból przeszył kręgosłup i biodra Bibi, pobiegł przez żebra do barków i po rękach. Oddech wydobył się z niej tak gwałtownie, że razem z nim straciła możliwość wdychania.

Latarka wyleciała jej z ręki i leżała gdzieś w odległym kącie, oświetlając połączenie dwóch ścian. Poświata była zbyt blada, by mogła dostrzec rysy twarzy znajdującej się zaraz przed nią. Widziała tylko kształt czaszki – jak głowę jakiegoś oszalałego i pozbawionego rogów minotaura w koszmarze. Ta straszna chwila była jedynie zapowiedzią gorszych.

Gdy otworzyła usta, które nie mogły wciągnąć powietrza, jego usta znalazły jej wargi i wepchnął między nie swój język w ohydnej imitacji pocałunku, dysząc gorącym oddechem i śliniąc się. Chciała odgryźć mu język, ale nie potrafiła złapać tchu i poruszyć szczękami, po natarciu była jak sparaliżowana.

Przyparta do ściany, z bezsilnymi rękami, nie była w stanie wyjąć pistoletu z kabury na szelce. Przyciskając się do niej lubieżnie, napastnik uświadomił sobie, że jest uzbrojona. Odsunął się nieco i włożył rękę pod jej blezer. Wyrwał SIG-Sauera z kabury i cisnął go w drugi koniec pomieszczenia. Wyszarpnął z jej dzinsów koszulkę, wsadził pod nią ręce i zaczął macać piersi, a ona w końcu wciągnęła powietrze, a razem z nim jego oddech pachnący cebulą i smażonym bekonem.

Wraz z oddechem odzyskała panowanie nad mięśniami, koordynację i zacieklą determinację. Uniosła prawą nogę i wparła piętę i podeszwę w kruszący się tynk, napinając łydkę i udo. Mimo że tkwiła pomiędzy ścianą i zwierzęciem, zdołała trafić kolanem między jego nogi. Nie zmiażdżyła mu jaj, tak jak chciała, ale stęknął i ustąpił na tyle, że mogła go odepchnąć i mu się wysliznąć.

Zamachnął się i uderzył ją w głowę. Echo ciosu zadzwoniło w czaszce i choć nie zobaczyła gwiazdek, koncentryczne kręgi ciemności napłynęły do oczu i wprawiły strych w ruch obrotowy. Zatoczyła się, potknęła, opadła na kolano. Kopnął ją w tyłek i padła na brzuch, przerażona, ale i upokorzona własną bezsilnością w obliczu zwierzęcej siły i dzikiego celu. Klęknął i bezceremonialnie przewrócił ją na wznak, odtrącił pięści, którymi wywijiała, i schwycił za gardło z siłą, która miała dać jej do zrozumienia, że mógłby zadusić ją jedną ręką.

Znowu widziała jego twarz, w cieniu, ale na tyle wyraźnie, by pojąć jego nieustępliwość w dążeniu do szatańskiego celu. W zielonych oczach jasno widać było żądzę zboczeńca. Zwalisty, silny jak byk, o twarzy szerokiej jak młody wołek, robił wrażenie gada – jakby z każdego poru skóry wydobywał się odór trucizny, którą nasiąkał jego mózg. Ścisnął ją za gardło, jego twarz unosiła się nad nią jak blady księżyc obłędu.

– Mogę cię wyruchać i potem zabić albo zabić cię najpierw. Ale jak będę musiał cię zabić i nie dasz mi przyjemności

przelecenia cię żywej, zabiję cię tak wolno i złośliwie, że będziesz tylko czekać, kiedy to wszystko się skończy – powiedział. Gdy wypluła z siebie przekleństwo, cofnął lewą pięść, wielką jak młot kowalski, zamierzył się i zagroził: – Powtórzysz, suko? – Jeden cios zgruchotałby jej nos i oczodół, drugi rozciął wargi, wybił zęby i złamał szczękę. I żaden chirurg na świecie nie zdołałby przywrócić jej do stanu poprzedniego, o ile by przeżyła. Dla tego potwora seks i przemoc były jedną i tą samą żądzą i każde zadowoliłoby go w równym stopniu. Gdy się wahała, cofnął pięść jeszcze dalej i ugniatał gardło stalowymi palcami prawej ręki, powtarzając pytanie: – Powtórzysz? Chcesz mnie zbluzgać, głupia zdziro?

– Nie – wycharczała.

Na pytanie, czy woli śmierć szybką czy wolną, odparła:

– Szybką.

Co oznaczało, że zniesie gwałt w zamian za minimum litości, do jakiego był zdolny.

– Terezin – mówił – postawił strażę w miejscach, gdzie możesz się pokazać, i padło na mnie. On cię nie chce. Życzy ci tylko śmierci. Ale ja najpierw się zabawię, tak samo jak on zabawi się na urodzinach z tamtą małą suczką.

Puścił jej gardło, ale dał z otwartej dłoni po twarzy. Mocno, aby potwierdzić swoją dominację i wybić jej z głowy ostatnie myśli o buncie. Oszołomić na tak długo, żeby miał czas ją dosiąść. Klęcząc nad Bibi, ale ciągle nie na niej, rozpiął pasek, a ona patrzyła na niego wzrokiem, który miał pokazywać słabość i rezygnację. Gdy skrzyżowała ręce na piersiach, roześmiał się na ten wyraz dziewczęcej skromności, a śmiech ten był niskim, mokrym dźwiękiem kojarzącym się z językiem w jej ustach, co znów przyprawiło ją o mdłości. Zajęty suwakiem spodni, spieszący się obnażyć, nie dostrzegł, jak jej prawa ręka wędruje pod blezer. Nie zdawał sobie sprawy, że maca po wewnętrznej kieszonce. Rękojeść sprężynowego noża doktor St. Croix była gładka i chłodna w dotyku. Kciuk Bibi spoczął na



mechanizmie zwalniającym. Wyciągnęła nóż spod swetra i ostrze rozłożyło się, gotowe do działania, długości siedmiu cali, ostre jak brzytwa i szpiczaste jak rapier.

Dżinsy zsunęły się z jego bioder, lewa ręka ciągnęła za spodenki, a prawa już grzebała pod nimi, pieszcząc to, co chciał uwolnić. Oczy, o powiekach ociążałych od obłądnej żądz, zdążyły się tylko rozewrzeć, gdy jej ręka pchnęła. Ujrzał zdradziecki nóż na chwilę przed tym, gdy go poczuł. Koszula rozdarła się jak papier, ciało stawilo opór taki jak masło. Ostrze zanurzyło się po rękojeść. Zacisnął lewą rękę na jej dłoni, jakby chciał wyciągnąć nóż i w ten sposób zminimalizować obrażenia, ale Bibi obróciła go w środku i dopiero wtedy wyszarpała, rozcinając ranę. I pchnęła jeszcze raz, wyprzedzając jego zaciskającą się, bezsilną rękę. I wyrwała nóż. Podniosła się, a on upadł, ale nie na nią, tylko w prawo, dzięki czemu mogła się spod niego wygramolić.

W zapale walki, pomiędzy młotem i kowadłem, pozornie bezbronna, zachowała spokój, zrobiła to, co trzeba, jak mogła najlepiej. Ale teraz dopadła ją trwoga, a kłębiące się w głowie myśli natychmiast podsunęły dziesięć sposobów, na które jeszcze mogła mimo wszystko zginąć w swoim dawnym pokoju.

Powinien mieć broń. Nie przyszło mu do głowy, że będzie mu potrzebna. Jak na ironię losu, duma z nagiej siły i rozkosz obezwładnienia jej fizycznie stały się jego słabościami. Ale broń będzie pod płaszczem – czy miał na sobie płaszcz? – albo w kaburze przy kostce stopy. A teraz z pewnością po nią sięga.

Odnalazła latarkę, omiotła podłogę światłem i zobaczyła swój pistolet. Leżał na drugim końcu pomieszczenia. Przy drzwiach do garderoby. Musiałaby okrążyć niedoszłego właściciela, by się tam dostać.

Starał się usiąść, ciężki jak niedźwiedź, szyja tak gruba i żyłasta, że nie zmieściłaby się w pętli szubienicy. Bez płaszcza w taką chłodną noc. A może zostawił go w innym pokoju, zanim się do niej zakradł. Dżinsy i zakrwawiona hawajska koszula.

Ramiona ukształtowane tysiącami godzin na siłowni.

Szybko, ale ostrożnie, utykając, krzywiąc się z bólu po pobiciu, Bibi okrążyła napastnika. Odzyskała pistolet, niewyobrażalnie wdzięczna Paxowi, że kazał jej go kupić i nauczyć się nim posługiwać.

Mężczyzna już siedział, próbując sięgnąć ręką za plecy i pod koszulę, na pewno po broń w kaburze przy pasku. Od wysiłku bolały go naruszone trzewia i usiłował tłumić jęk bólu za każdym razem, gdy okazywało się, że nie może skrócić tułowia. Twarz lśniła mu od potu, oczy od nienawiści.

Bibi wolałaby odejść, ale musiała doprowadzić to do końca. Odłożyła latarkę na ziemię, wycelowała w gnojka i stała nad nim, tuż poza jego zasięgiem. Mimo chwytu oburącz pistolet podskakiwał, jak gdyby obdarzony własną wolą. Barbarzyńca zauważył trzęsący się pistolet, a Bibi zobaczyła, że to zauważył. Każda oznaka słabości była zachętą do kolejnego ataku. Powstrzymała drżenie.

– Wykonasz niewłaściwy ruch, a cię zastrzelę.

Zrezygnował chyba z pomysłu dosięgnięcia broni na plecach. Z jego twarzy zniknęły nienawiść, furia i ból. Siedział jak gigantyczne niemowlę z rozstawionymi nogami, dłońmi na kolanach, jakby nie rozumiejąc, że jego wybryki przyniosły takie konsekwencje.

Przemówił, nie patrząc na nią, a w jego głosie nie brzmiały żadne emocje:

– Nigdy nie wyjdiesz z tego żywa.

Jeśli Bibi miała ochotę zareagować, bąbelki krwi na jego wargach wskazywały, że nie ma sensu spierać się ani go przesłuchiwać.

– To Biblioteka Babel – ciągnął, wypluwając krew razem ze słowami. – Nieskończona liczba pomieszczeń. Bez wyjścia.

Opadł na plecy, czaszka stuknęła o podłogę. Ale nie czuł nic, bo nie żył, z twarzy zniknęła mu dezorientacja i nie została przez nic zastąpiona.

## *Złamać ją na duchu*

Bibi chciała wydostać się z bungalowu, chociaż już nie tak bardzo, jak jeszcze przed chwilą.

Po pierwsze mimo oporów przeszukała kieszenie trupa i nie znalazła nic. Przewróciła go na bok, żeby wyjąć portfel z kieszeni spodni, lecz nie miał przy sobie portfela.

Usiadła na podłodze, oparta plecami o ścianę. Czuła smak krwi za każdym razem, gdy oblizywała pulsujący kącik ust, i wołała nie liczyć miejsc, które bolały. Czekwała na spokój i coś więcej niż spokój, bo poczucie pełnej i sprawiedliwej odpłaty.

Zabójstwo w samoobronie nie powinno wywołać w niej przygnębienia, a już na pewno nie rozpacz, i faktycznie nie wywołało. Zabicie to nie to samo co morderstwo, bo służyło ochronie siebie lub niewinnych ludzi, a na wojnie – odebraniu napastnikowi łupów i zachowaniu cywilizacji ceniącej życie i wolność ponad ideologię, a nawet ponad pokój i sprawiedliwość, dwa słowa często i chętnie zniekształcane przez autorytarne rządy. Właśnie ze względu na tę świadomość dzieło Sołżenicyna zawsze znaczyło dla niej więcej niż powieści Tołstoja, i tak już pozostanie.

W tym przypadku Bibi zabiła, żeby ocalić siebie i mieć szansę na znalezienie i ocalenie dziewczyny o nazwisku Ashley Bell. Przerazona koniecznością zabicia, nie miała jednak poważniejszych wątpliwości co do swego postępowania.

Świeciła latarką na martwego mężczyznę i zwlekała

z wyjściem tylko po to, by zastanowić się nad jego wzmianką o Bibliotece Babel. Nie wyglądał na człowieka z natury usposobionego do tego typu aluzji.

Biblioteka ta była konceptem literackim, którym zajmowało się wielu pisarzy, chociaż najbardziej znanym z krótkiego opowiadania Jorgego Luisa Borgesa zatytułowanego *Biblioteka Babel*.

Wyobraźcie sobie nieskończoną liczbę pokoi ustawionych na sobie, w których gromadzi się nie tylko wszystkie książki już napisane, ale także wszystkie, jakie zostaną napisane w każdym dialekcie każdego języka znanego ludzkości oraz języków, które zostaną kiedyś poznane lub powstaną. Poza tym są tam księgi życia wszystkich, którzy kiedykolwiek żyli lub będą żyć, i nieskończona liczba innych tomów wszelkich możliwych do wyobrażenia rodzajów i funkcji. Są książki niemające sensu i mające sens tylko pozorny. A sama ich ilość wystarcza, żeby nikt nie był w stanie przeczytać części wystarczającej do wyjaśnienia biblioteki, życia i czegokolwiek innego.

Bibi ta historia przygnębiała, o ile autor w ogóle chciał, by nazywano ją historią – był to rodzaj nihilizmu przekreślającego własny nihilizm.

Ostatnie słowa niedoszłego gwałciciela brzmiały: „Nigdy nie wyjdiesz z tego żywa. To biblioteka Babel. Nieskończona liczba pomieszczeń. Bez wyjścia”. Mógł przyświecać mu tylko jeden cel: złamać ją na duchu, co było zgodne z zamiarami jego szefa, Terezina.

Skoro taka uczona aluzja nie pasowała do bandyty, na pewno kazano mu nauczyć się tych słów na pamięć. A jeśli je zapamiętał, na pewno chciał je wypowiedzieć po zgwałceniu jej, a przed poderżnięciem jej gardła, by na koniec z całą pewnością nie pozostawić jej resztek nadziei. Gdy złożyło się tak, że Śmierć przyszła po niego, a nie po nią, mimo wszystko zadziałał zgodnie z programem.

Jeżeli w innym miejscach, gdzie mogła się pojawić, rozstawiono strażę, tak jak twierdził ten brutal, wszyscy musieli się nauczyć na pamięć tej samej kwestii o Bibliotece Babel. Terezin najwidoczniej prowadził poszukiwania na skalę szerszą, niż sobie wyobrażała. Obsesja na jej punkcie wskazywała, że stanowiła dla niego poważne zagrożenie.

Bibi usiłowała przypomnieć sobie, czy zostawiła gdzieś odciski palców. Klamka drzwi od tyłu. Wytrze ją, wychodząc. Pistolet i nóż sprężynowy weźmie ze sobą. Z brudnej podłogi i łuszczącego się tynku żaden technik z policyjnego laboratorium nie pobierze niczego przydatnego. Odciski palców na czaszce zmarłego? Możliwe? Tak, ale mało prawdopodobne. Jego nie będzie wycierać, za żadne skarby świata.

Poza tym na pewno zostawiła parę włosów. I kropel krwi. Jeśli technicy byli tak wszechwiedzący i błyskotliwi, jak w serialach telewizyjnych CSI, nie miała szans. Lecz telewizja miała rzecz jasna więcej wspólnego z fantazją niż rzeczywistością.

Mimo że nie miał jej kto podsłuchać, powstrzymała się od jęku, gdy wstawała. Nie tylko trupowi, ale i Terezinowi, i całej reszcie tej hałastry rzuciła:

– Idźcie do diabła!

## ***Żadnych smoków, czaszek i serc***

Z wysokich białych klifów ponad morzem spływała powolnymi lawinami mgła, zasypując półwysep, dalej zatokę i brzeg po jej drugiej stronie. Każde światło uliczne stało jak cyklop, przebijając mgłę wzrokiem czerwonym ze wściekłości albo zielonym od zawiści lub tchórzostwa. Przejeżdżające pojazdy mogłyby równie dobrze być potworami z oczyma jak latarnie, które przybywały do Newport z tej albo innej mitologii.

Przyzwyczajona do parkowania kilka ulic od celu, by tym skuteczniej zachować hondę Pogo w tajemnicy przed tymi, którzy mieli ochotę ją namierzyć, Bibi zostawiła samochód na Via Lido. Ruszyła na zachód, na rogu skręciła na południe i poszła bulwarem. Nigdy wcześniej nie była tam, dokąd zmierzała, zauważyła po prostu to miejsce, przejeżdżając. Ludzie Terezina nie mogli jej tam oczekiwać. Na wszelki wypadek zachowywała ostrożność.

Gdzieś w oddali ze stałego lądu nadciągał sygnał, być może karetka jechała do szpitala Hoag. Od czasu do czasu syrena przeciwmgielna wyła przy odległym wejściu do zatoki. Dobiegła ją stłumiona muzyka jakiegoś zespołu w klubie.

Napotkała kilkunastu przechodniów. Wynurzali się z mroku, jakby właśnie się narodzili, czasami z psem na smyczy. Psy zawsze cieszyły się z chłodu wilgotnej nocy, ludzie jak gdyby mniej. Pierwszy pies, mimo że był to cavalier king charles spaniel, przypominał jej ranny pościg przez park w Laguna.

Zaczęła spodziewać się spotkania z jakimś człowiekiem w kapturze prowadzącym golden retrievera, ale nikogo takiego nie spotkała.

Metaliczny błękit neonu był początkowo nic nieznaczącym mazajem we mgle, unoszącym się na powietrzu jak nadmuchane zwierzę gatunku nieznanego na Ziemi. Z bliska ułożył się w błyszczący napis ze słów BODY ART.

Salon tatuażu został pomyślany na nieco większą niż zwykle skalę, choć nie pozbył się aury kontrkultury i buntu. Na wystawie wisiały przyciągające wzrok obrazy – skrzydlaty koń, wyszczerzona w uśmiechu trupia czaszka, Rocket Raccoon, cycata Vampira, wąż z łuską wysadzaną klejnotami, serce związane cierniami i przebite kolcami – co miało oznaczać, że urzędujący tu artysta mógł zmienić naszą skórę w pierwszorzędną galerię pop-artu.

Posadzkę przestronnego holu wejściowego wyłożono błyszczącym mahoniem santos, na ścianach wisiały dziesiątki zmyślnych rysunków. Z czterech krzeseł dla klientów dwa zajmowali brodaci mężczyźni po trzydziestce, którzy zdawali się naśladować członków zespołu ZZ Top. Ręce mieli okryte spletającymi się z sobą obrazami. Młodszy siedział na czymś w rodzaju fotela fryzjerskiego z odchylanym oparciem, na którym można było szkicować i kolorować ozdoby na ręce i ramiona ku pożytkowi zainteresowanych. Na zapleczu za zasłoną z koralików musiały się znajdować pomieszczenia z miękkimi stolikami, na których kładli się ci, którzy chcieli pokazać mistrzowi igły plecy, klatki piersiowe i bardziej intymne części ciała.

Bibi była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni się nią interesowali, ale ci trzej zwrócili na nią uwagę większą i bardziej pełną powagi niż zazwyczaj. Rozmawiali z ożywieniem, gdy otworzyła drzwi, lecz umilkli, gdy je za sobą zamknęła, jakby pojawiła się bogini albo celebrytka. Wiedziała, że usta zamknęła im nie tyle piękność, co to, co bestia zrobiła

z pięknnością: podrapane lewe ucho, pokryte strupami krwi, siniak na brodzie, nie do końca zaschnięte rozcięcie w spuchniętym kąćku ust.

Zwróciła się do młodszego gościa na fotelu fryzjerskim:

– Jak długo trzeba czekać na tatuaż?

– W ogóle nie trzeba – odparł, schodząc z siedzenia. – Kevin i Charlie wpadli tylko ponawiając.

Charlie, o przedwcześnie posiwiałych włosach i brodzie, kiwnął głową ze słowami:

– Proszę panią.

Kevin uchylił czarnego kowbojskiego kapelusza i rzekł:

– Bardzo proszę.

– Nazywam się Josh – oznajmił tatuażysta. Gdy Bibi się nie przedstawiła, podjął: – Mogę zrobić wszystko. Każdy wzór z tych na ścianie i na zdjęciach w albumach.

– Żadnych smoków, czaszek i serc – zapowiedziała Bibi. – Tylko cztery słowa na nadgarstku, tak żeby zakrył je rękaw.

Josh wyciągnął notes i długopis. Bibi wypisała cztery słowa, każde w osobnej linijce, tak jak chciała je zobaczyć.

Josh podniósł notes tak, żeby Kevin i Charlie zobaczyli, co napisała, i powiedział:

– Mam tu książkę z krojami pisma...

– Litery drukowane – przerwała mu. – Proste i czarne.

– Mogę ozdobić nietoperzami, ptakami albo...

– Same słowa.

– Nie wiem, czy warto – stwierdził rozczarowany – same słowa...

– Mnie wystarczą. Ile to będzie kosztowało?

Zgodziła się na podaną cenę.

Gdy Bibi siadła na fotelu, Josh powiedział:

– Będzie pani musiała ściągnąć kurtkę.

Ze względu na pistolet na szelce zaoponowała:

– Zrobimy inaczej. – Podciągnęła do łokcia rękaw kurtki, a razem z nim długi rękaw koszulki. Pokazała na punkt jakieś



dwa cale ponad najbardziej wystającą kością nadgarstka. – Zaczynij tutaj, w centrum, z małymi odstępami pomiędzy linijkami.

Rozkładając przyrządy, Josh zaproponował:

- Chce pani aspirynę albo Tylenol?
- Będzie bardzo bolało?
- No nie, chodziło mi... Aspiryna z powodu stanu twarzy. To będzie tylko odrobinę szczypać.

– Dzięki, nie trzeba.

Charlie popatrzył na Kevina, Kevin pokiwał z namaszczaniem głową, Charlie pokręcił swoją i obaj zrobili smutne miny.

– Nie wygląda pani na jakoś szczególnie złą – zauważył Josh – co wydaje się trochę dziwne. Przepraszam, że się wtrącam.

– Nie jestem zła. Gniew niczego nie załatwia. Jestem po prostu zdecydowana na wszystko.

– To znaczy na co? – zainteresował się Charlie.

– Żeby już nigdy do tego nie dopuścić.

Zapanowało milczenie, w czasie którego Josh skończył trzy litery, i wtedy włączył się Kevin:

– Proszę nie mieć mi tego za złe, proszę pani, ale kobieta taka jak pani nie powinna być zmuszana do wytrzymywania takiego szajsu.

– W ogóle żadnego szajsu – podjął Charlie.

– Miło to słyszeć. Faktycznie go nie wytrzymałam.

– To się cieszę – oświadczył Charlie.

Po chwili Kevin dał jej kolejną okazję do opowiedzenia o swoim życiu.

– Coś mi mówi, że nie chciałbym zobaczyć tamtego gościa.

– Przeczucie cię nie myli – przytaknęła.

– Mam nadzieję, że ma złamany nos albo coś w tym stylu.

– Nie żyje – oznajmiła Bibi.

Wtedy wszyscy zamilkli. Cisza trwała, dopóki Josh nie skończył.

Ciało wokół czterech wyrazów było nieznacznie rozpalone

i opuchnięte, ale litery wyszły schludnie i czytelnie. Josh owinał swoje dzieło kilkoma warstwami gazy, które przykleił taśmą, i dał jej małą tubkę maści z antybiotykiem na wypadek infekcji.

– Przez dwa, trzy tygodnie trzeba to traktować jak skaleczenie. Nie myć. Gdy swędzi, uderzać, nie drapać.

Gdy Bibi zapłaciła, powiedział:

– Nie było to spełnieniem dla mnie jako artysty, ale miło się z tobą pracowało, Ashley.

– Nie mam tak na imię – powiedziała, żeby wyprowadzić go z błędu.

Pod bandażem na prawej ręce widniało przyrzeczenie:  
ASHLEY BELL BĘDZIE ŻYĆ.

# VI

*Dziewczyna, która była i której nie było*

## ***Nieistniejący motel Best Western***

Wytatuowana i odświeżona Bibi wróciła do hondy pozostawionej na Via Lido. Siedziała i patrzyła, jak ulica i sklepy po wielekroć rozpływają się w falach gęstej mgły, częściowo się z niej wynurzają i znów toną, jak gdyby jakaś nadziemską moc zarządziła koniec świata, a potem zaczęła mieć wątpliwości.

Gdy obmyśliła, co powie, zadzwoniła z telefonu na kartę do matki.

– Bibi? Myśleliśmy, że zadzwonisz dużo wcześniej. Znalazłaś sobie motel? Gdzie mieszkasz?

– Pojechałam aż do San Diego, mamó. Potem bawiłam się trochę w turystkę, to fajne miasto, i znalazłam sympatyczną knajpkę. – Nie kłamała w sprawach ważnych, szczególnie nie okłamywała rodziców. Miała jednak wrażenie, że całkiem nieźle jej wychodzi. Mimo że niewtajemniczenie Murphy’ego i Nancy w jej sytuację było konieczne, by nie trafili na listę ofiar Terezina, Bibi nie czuła się usprawiedliwiona i chciała jak najszybciej przebrnąć przez te oszustwa.

– W każdym razie mam pokój w Best Western. Cichy i czysty. Będę spać jak kamień.

– Który Best Western? – spytała Nancy.

– Ten Best Western. Wiesz, sieciówka.

– Ale w San Diego musi być ich kilka.

– No, nie wiem, po prostu na budynku jest szyld Best

Western.

– W nazwie musi być coś jeszcze. Best Western Centrum, Best Western Stare Miasto, Best Western Zatoka. Coś w tym stylu.

– Chyba nie.

– Zobacz ulotkę na szafce albo broszurę w szufladzie. Na pewno będzie tam pełna nazwa. Idź i sprawdź.

– Dobrze. Chwileczkę. – Bibi zakryła dłonią telefon i odliczyła do dwudziestu, oglądając niezbyt ciekawe widowisko z mgły. – Rzeczywiście jest i ulotka, i broszura, ale wszędzie jest napisane tylko Best Western. Ale to nic. Jestem zadowolona i najedzona i spędzę tu tylko jedną noc. Jutro przejadę się do La Jolla, zostanę tam dzień, dwa.

Spodziewała się, że matka każe jej podejść do okna i opisać dzielnicę wokół hotelu, ale Nancy spytała:

– Nie masz chyba zamiaru surfować na La Jolla Shores, co?

– Nie, nie będę nigdzie surfować. Jak dla mnie jest za zimno.

– Tata mówi, że na południowym Pacyfiku jest sztorm i jakieś okropne Behemoty walą z Baja do La Jolla Shores. Dopiero co wyszłaś ze szpitala, pamiętaj.

– Nie mam nawet przy sobie deski, mam. Będę kupować sobie rzeczy, których nie potrzebuję. Będę się rozpieszczać. Wiesz co, chciałam cię o coś zapytać. O Kapitana. O dziadka.

– Wiem, że wciąż często o nim myślisz.

– To prawda – przytaknęła Bibi – ale tutaj chodzi o informacje, których potrzebuję do powieści. Czy mówił kiedyś o swojej pracy w wywiadzie? O technikach uodparniania na przesłuchanie opracowanych przez jego zespół?

– To wszystko było tajne, skarbie.

– Ale trochę o tym mówił.

– Bardzo mało.

– Czy wspominał kiedykolwiek o tłumieniu wspomnień?

– To znaczy?

– Sprawianiu, że się zapomina. Wymazywaniu z pamięci całego przeżycia, tak że w ogóle się o nim nie pamięta.

– To brzmi raczej jak science fiction, a nie praca twojego dziadka.

– Z tego, co wiem, to jest możliwe. Ale jeżeli tak, ciekawi mnie, czy pamięć można przywrócić.

– To o tym będzie książka, która piszesz? Wygląda na jakies straszne science fiction.

– Nie bardzo. Wcale nie. W każdym razie jestem wykończona. Wezmę z barku jakiegoś drinka i uderzam w kimę.

– Jeśli potrzebujesz przerwy, żeby zapomnieć o problemach z mózgiem, kochanie, przerwa powinna być prawdziwa. Na kilka dni zapomnij o robocie.

– Masz rację, mamó. Tak zrobię. No dobra, muszę kończyć. Kocham cię. Przekaż tacie, że go kocham. Że nie mam zamiaru wypływać na spotkanie strasznych Behemotów w La Jolla Shores.

Po kolejnych deklaracjach miłości Bibi zakończyła rozmowę i wyłączyła telefon.

Zjechała Pogomobilem z półwyspu na autostradę Pacific Coast i żeglowała wolno w widmowym morzu mgły, kierując się do motelu w Laguna, wmawiając sobie, że nie jest urodzoną kłamczuchą. Jako trudne dziecko nie powiedziała rodzicom o pewnych sprawach, które wyznała Kapitanowi, lecz była przekonana, że nie kłamała im w żywe oczy. Niektórzy uważali, że powieści są rodzajem oszustwa, bo postaci i historie są zmyślane, ale literatura mogła być wyszukiwarką trudnych do uchwycenia prawd, które można drażyć warstwa po warstwie, zwłaszcza prawd, którymi rzadko zajmowali się autorzy literatury faktu albo dlatego, że ich zdaniem takie prawdy w ogóle nie istnieją, albo dlatego, że nie chcieli, by one istniały. Dojeżdżając do Corona del Mar, uznała, że jest kłamczuchą, ale nie podłą ani mściwą.

Po drodze zatrzymała się w supermarkecie i kupiła supermocny Tylenol. I aspirynę. I Motrin. Dużą tubę bezwonnego kremu przeciwbólowego. Nawet jak przedawkuje,

przez jedną noc nie zniszczy sobie wątroby. Dzielne dziewczyny powinny znosić duże fizyczne uciążliwości bez skargi, ale nie były niepokonane. Nie chciała przyznać się przed sobą, że ją boli i że zeszywniała od ciosów, jakie odebrała, lecz samooszukiwanie się nie było koniecznym warunkiem wytrwania w postanowieniu. Gaza, taśma, jodyna. Rodzinna paka babeczek z masłem orzechowym Reese'a. Nie groziła jej raczej śmierć z powodu cukrzycy czy miażdżycy.

Kupiła też butelkę wódki. W jej motelu nie było dobrze zaopatrzonego barku, jaki wyobraziła sobie w nieistniejącym Best Western.

W Laguna zaparkowała dwie przecznice od motelu. Niosąc elektroniczną mapę, którą kupiła wcześniej, scrabble, reklamówkę z księgarni z nowymi egzemplarzami trzech zbiorów opowiadań i rzeczy z supermarketu, wróciła do pokoju, po drodze kupując jeszcze coca-colę z automatu.

Mimo że nie przepadała za alkoholem, chętnie napije się kilka wódek z colą w celu wzmocnienia się przed tym, co być może ją czeka. Z drugiej strony podejrzewała, że w ciągu najbliższych godzin ma sporą szansę na odnalezienie Ashley Bell, a wtedy będzie musiała mieć jasną głowę i być zwarta i gotowa.

## ***Pani swojego losu, kapitan swojej duszy***

Bibi zdjęła blezer, w motelowej szklance zmieszała colę z wódką, połknęła kilka tabletek i siadła przy stoliku, aby porównać tekst z nowych tomów O'Connor, Wildera i Londona ze stronami, z których wcześniej wycięła nożem fragmenty. Wielokrotnie czytała słowa, które usunęła, spaliła i zapomniała, ale przyglądanie się im nie przynosiło oświecenia. Jeśli to te kwestie albo ich części bądź wariacje na ich temat wypowiedział Chubb Coy w wiktoriańskim zaciszu domu doktor St. Croix, nie wywoływały w niej już olśnienia, być może dlatego, że zapomniała, w jakim kontekście je mówił, a może po prostu dlatego, że działania sztuczki Kapitana nie można było tak łatwo odwrócić.

Odłożyła książki i zajęła się płytkami scrabbli, które kupiła. Nie miała srebrnej miseczki, nie potrzebowała. Nie zamierzała zajmować się wróżeniem. Od czasu do czasu słyszała ostrzeżenia, że zabawy z planszą ouija mogą być niebezpieczne, że gdy otrzymywało się odpowiedzi na zadawane pytania, nie pochodzą one od planszy, tylko z jakiejś krainy duchów, od istoty, która niekoniecznie nam dobrze życzyła. I nawet jeśli nie sprowadzała odpowiedziami na manowce, nawiązując kontakt, otwierało się przed nią drzwi i mogła nie chcieć już pozostać ze zmarłymi, przeklętymi czy z kim tam się akurat zadawała. Z innych powodów – surfing, książki, chłopcy – Bibi nigdy nie interesowała się planszami ouija. Nie bardzo wierzyła w złośliwe



byty czające się w jakimś innym świecie, czekające, aż niczego niepodejrzewający, ograniczeni ludzie rozewrą przed nimi jakieś mistyczne wrota. Ale jeśli w wierzeniach tych tkwił jakiś okruczeństwo, scrabblemancja byłaby nie mniej niebezpieczna od ouija. Poza tym nie zamierzała wbijać sobie igły w opuszek kciuka, zwłaszcza wobec faktu, że informacja o miejscu pobytu Ashley została już wyczarowana przez Calidę Butterfly przed jej śmiercią.

Ktoś cicho zapukał do drzwi motelowego pokoju. Trzy krótkie, dyskretne stuknięcia.

*Co znowu?* Wyjęła pistolet, wstała i czekała.

Gdy pukanie nie powtórzyło się, podeszła do drzwi i wyjrzała przez judasz, który jeszcze bardziej wypaczał obraz i tak już zniekształconego świata. W świetle padającym bezpośrednio znad drzwi na progu nie zauważyła w klimatycznej mgle ani Śmierci, ani nikogo innego. Stała z okiem przyklejonym do wizjera na wypadek, gdyby dyskretny gość wrócił. Minęła jedna, potem druga minuta, a jej cierpliwość nie została wynagrodzona.

Zastanawiała się, czy nie podejść do któregoś z okien i nie uchylić zasłony. Niedobry pomysł. Gdyby się ujawniła, byłaby łatwym celem.

Zadzwoić na recepcję? Zgłosić intruza? Być może rozumiejąca ją Doris jest jeszcze na dyżurze. Ona by uwierzyła. *Nie. Nie narażaj nikogo.*

Nie pozostało nic innego, jak wrócić do stołu. Pukanie było cichutkie jak muśnięcie piórkiem, niemal jak idea dźwięku. Może to tylko jej wyobraźnia.

Ułożyła trzydzieści jeden płytek scrabblu w dwa szeregi, jeden nad drugim, tak jak leżały na okrągłym stole w gabinecie w domu Calidy. W pierwszym napisane było ASHLEY BELL. Drugi układał się w adres: JEDENAŚCIE MOONRISE WAY.

Według mapy elektronicznej nie było takiego adresu w hrabstwie Orange ani nigdzie indziej na południu Kalifornii.

Wczoraj w nocy, w kuchni Bibi, gdy próbowały się dowiedzieć, dlaczego została uratowana przed rakiem, Calida nie umiała odszukać informacji w pierwszych dwunastu literach. Ułożyła płytki w słowa A LICZŻE CIOSY, ALE I CIOS CZYŻ I CIESZYLI, AŻ CO. Bibi zauważyła właściwy przekaz: OCALISZ ŻYCIE.

Tak samo w drugiej grupie liter Calida znalazła SALLY BHEEL i SHELLY ABLE, ale żadne z tych nazwisk nie brzmiało przekonująco. Bibi ułożyła ASHLEY BELL i późniejsze wypadki pokazały, że miała rację.

Czyli najprawdopodobniej Calida nie odnalazła właściwej kombinacji dwudziestu jeden liter. Z jakiegoś logicznego albo nadprzyrodzonego powodu Bibi – i tylko Bibi – mogła odgadnąć prawdziwe miejsce pobytu Ashley.

Spośród licznych synonimów słowa „ulica” z tego ciągu liter można było ułożyć tylko dwa. Nie aleja, bulwar, autostrada, plac, rondo, ani zaułek, nic poza „way” i „lane”.

Zaczęła od LANE. Lecz z pozostałych siedemnastu płytek nie dało się ułożyć jednego albo dwóch wiarygodnych słów bez pozostawiania nieużytych liter. Najwidoczniej to nie to, tylko „way”.

Lekkie pukanie palcem w szybę okna. *Puk, puk, puk, puk, puk.* Cicho jak przedtem do drzwi. Jeszcze raz. *Puk, puk, puk, puk, puk.* Okno na prawo od drzwi.

Stół był na lewo od nich. Z odległości kilkunastu stóp od tamtego okna Bibi nie mogła mieć pewności, że nie myli się co do przyczyn dźwięku. Może to tylko duża ćma obijająca się o szybę. Ale czy ćma mogła tak latać we mgle, od której kruche skrzydła szybko nasiąknęłyby i zrobiły się ociężałe?

Obok płytek scrabli leżał w pogotowiu pistolet. Położyła na nim dłoń. Mimo że nigdy do nikogo nie strzelała, wiedziała, że teraz jest do tego zdolna. Przecież zabiła człowieka nożem, a to była bardziej niepokojąca – bo bardziej osobista – metoda zabijania. Rozumowo rzecz biorąc, od dawna знаła różnicę między zabiciem a morderstwem. Teraz pojęła ją emocjonalnie,

a wrażliwość na ohydę przemocy i konieczność litości nie stanowiłyby niebezpiecznych przeszkód, gdyby nadeszła pora na uzasadnione zabójstwo.

Czekała, czy skryte pukanie do okna się powtórzy. Nic.

Drzwi zaopatrzone we wpuszczany zamek z zasuwką, drugą, niezależną zasuwę ponad pierwszą i łańcuch zabezpieczający z nierdzewnej stali.

Za to okna można było spokojnie wyważyć.

Gdy nie zdarzyło się nic nowego, Bibi łyknęła coca-cole wzmocnianą wódką. „Pax, lepiej, żebyś wrócił żywy z bałaganu, do którego cię posłali. Potrzebuję cię tutaj, olbrzymie, potrzebuję cię”.

Po odrzuceniu LANE i wybraniu WAY osiemnastu pozostałych liter nie dało się złożyć w żadne sensowne słowo. Ani dwa słowa, które wyglądałyby jak nazwa ulicy.

Uznała, że numer jedenaście także jest poprawny i coś nie tak jest tylko z MOONRISE. Calida trafiła na to słowo, bo było oczywiste, i być może trzymała się go dlatego, że odpowiadało jej egzotycznym skłonnościom.

Trzeba było wziąć pod uwagę skróty od „północ” i „południe” – „So.” i „No.”. Bibi zaczęła od pierwszego, wypisując w notesie: So. Remino, So. Mirone, So. Inmore, So. Emorin... Jeśli w nazwie ulicy miało się znaleźć nazwisko ku czci jakiegoś miejscowego rodu czy wybitnej osoby, w rachubę wchodziły dziesiątki możliwości.

*Puk, puk, puk, puk, puk.* Do bliższego okna. Dwie stopy od miejsca, gdzie siedziała. Ciężkie zasłony uniemożliwiały stwierdzenie jej dokładnego położenia.

Po wyłowieniu z galimatiasu literek wszystkich możliwych połączeń z południem i północą, jakie jej wpadły do głowy, szybko stworzyła krótszą listę wyrazów ze wszystkimi ośmioma literami MOONRISE, ale bez podawania strony świata. Włączyła elektroniczną mapę i zaczęła wprowadzać adresy, zaczynając od najkrótszego wpisu.

*Puk, puk, puk, puk, puk. Puk, puk, puk, puk, puk.* Odgłos dobiegł z obydwu okien równocześnie. Tak cichy. Jeśli nie ćmy, to wyobraźnia. Nie ma powodu reagować, dopóki nie wybiją szyby.

11 Omni Rose Way.

Nie znaleziono.

11 Rose Omni Way.

Nie znaleziono.

*Puk, puk, puk, puk, puk.* Potem bardziej natarczywe, ale cały czas ciche. *Puk, puk, puk! Puk, puk, puk! Puk, puk, puk!*

11 Rose Mino Way.

Nie znaleziono.

11 Simeroon Way.

Nie znaleziono.

11 Morisoen Way.

Nie znaleziono.

Drapanie do drzwi. Jakby pies stał na tylnych łapach i usiłował wbić w drewno pazury przednich. Na pewno gdyby otworzyła drzwi, nie zastałaby za nimi żadnego psa.

11 Sonomire Way.

Na elektronicznym ekranie pojawiła się mapa kartograficzna hrabstwa Orange. Migający czerwony punkt zwrócił jej uwagę na Sonomire Way w południowo-wschodnim kwartale, na terenie podlegającym jurysdykcji hrabstwa, ale niewłączonym do żadnego miasta. Powiększyła na cały ekran widok tej ćwiartki, a potem jednej czwartej jej części, gdzie znajdowała się ulica.

Sonomire Way była jedną z szesnastu trzypasmowych ulic mających w nazwie „way”. Odległości pomiędzy ulicami i brak zaułków tworzyły przecznice zbyt duże, by można je było zagospodarować do celów mieszkaniowych. Zakładała, że jest to strefa handlowa albo przemysłowa, choć na ekranie nie figurowała żadna nazwa.

Gdy drapanie do drzwi ustało, ktoś zajął się gałką, ze

zgrzytem przekręcając ją we wszystkie strony. Nie mógł być to hałas wyobrażony ani dzieło kochającej mgłę ćmy, bo widziała, jak światło sączy się przy krawędziach obracanej gałki.

Pukanie, postukiwanie w okno, drapanie, a teraz wypróbowanie zamka nie były raczej dziełem kogoś, kto na poważnie myślał o dopadnięciu Bibi. Wyglądało to raczej na próbę przeszkodzenia jej w odnalezieniu nowego słowa na podstawie MOONRISE, odwrócenia uwagi od mapy i poszukiwań Sonomire Way.

Gałka przestała się kręcić. Nikt nie stukał ani nie drapał.

Gdy Bibi wyłączała mapę, przypominała sobie chwilę, kiedy zdradziła samą siebie. Właśnie ze względu na tę zdradę nie kupiła kolejnej butanowej zapalniczki. Jeżeli zorientuje się, że drze kartkę papieru i ma zamiar spuścić ją w toalecie, mogłaby mieć nadzieję na zarzucenie tego zamiaru, złożenie fragmentów i odczytanie tego, co zamierzała ukryć w dziurze niepamięci. To, że zdrady dopuszczała się niechętnie – a nawet nieświadomie – nie oznaczało poprawy ani zmiany.

Gdyby to jednak ona *sama* próbowała przeszkodzić sobie w szukaniu Sonomire Way, hałasy przy drzwiach i oknach powinny pochodzić z wyobraźni, a przecież miała pewność, że je słyszała. I wyraźnie widziała, jak gałka obraca się w obydwie strony. Jeśli odgłosy i próbowanie zamka były rzeczywiste, a jednocześnie sama sprokurowała te zakłócenia, musi dysponować jakąś paranormalną mocą, którą wykorzystuje nieświadomie, jak żywy odpowiednik poltergeista.

Perspektywa posiadania takiej mocy nie sprawiała jej przyjemności. Jeżeli między innymi to ukrywała przed sobą za pomocą sztuczki Kapitana, to wołałaby, żeby taka wiedza pozostała rozsianym po świecie popiołem. Gdyby udało jej się uratować Ashley Bell, potem chciałaby tylko wrócić na tor normalnego życia, z którego wykoleiła się po raku – i obsesji z zagrożoną dziewczyną. Zwykłe codzienne życie, dla wielu pozbawione blasku i nudnawe, oczom Bibi zawsze jawiło się

jako nadzwyczajne. Na świecie działo się tyle czarów i dziwów, w głębinach tkwiło tak wiele tajemnic, że nie potrzebowała niczego ponad to, co świat pokazywał chcącym *widzieć* – i nie umiałyby sobie z tym poradzić.

Po narzuceniu blezera, z elektroniczną mapą w lewej i pistoletem w prawej ręce podeszła do drzwi i przystawiła oko do judasza. Jeśli drapiący do drzwi na nią czekał, nie zobaczyła go od razu. Droga do hondy wśród mgły i niebezpieczeństw, jak i zdarzenia mające się rozegrać na Sonomire Way, na pewno będą ciężką próbą odwagi i śmiałości. Ale niezależnie od tego, co się zdarzy, nawet jeśli skończy się to klęską, czekająca ją noc miała dwie zalety: po pierwsze zbliżał się tak bardzo upragniony kres tej gehenny, po drugie nie ulegało wątpliwości, że nie będzie się nudzić.

Otworzyła drzwi.

## ***Pierwszy z trzech wstrząsów***

Drzwi były zamknięte, Pax zapukał, a Nancy otworzyła. Zarzuciła mu na szyję ramiona i objęła drapieżnie, jakby wątpiła w jego materialność – i chciała ją potwierdzić. Potem przyłączył się do nich Murphy, który też potrafił przytulić. Stali przez chwilę w trzyosobowym uścisku, aż wreszcie przyszli teściowie Paxtona, drżąc i bez skutku tłumiąc bezsłowne wyrazy udręki, doprowadzili go do szpitalnego łóżka niczym do szczątków w trumnie gotowych na rozpoczęcie kościelnego obrządku. Bibi, niezwyciężona Bibi, leżała bez zmysłów, w śpiączce, w pidżamie, podłączona do monitorów kontrolujących mózg i serce, na głowie mając czepek z licznymi elektrodami, z cewnikiem, nawadniana i karmiona z kroplówki.

Pielęgniarka o twarzy jak z mlecznej czekolady, cudnie eterycznej jak Madonna Rafaela, z włosami ściągniętymi mocno i zaplecionymi w warkocz, szykowała się do wymiany płynu na kroplówce. Imię PETRONELLA zajmowało całą szerokość szpitalnego identyfikatora. Uśmiechnęła się na widok Paxa i mimo jego cywilnego ubrania powiedziała:

– Nie może pan być nikim innym jak tylko marynarzem tej słodkiej dziewczyny.

Pod wpływem tych słów i widoku Bibi w takim strasznym stanie Paxton poczuł, że znalazł się w punkcie zwrotnym, odmieniony dzięki intuicji na temat samego siebie i sensu swego życia, ba, więcej niż intuicji, olśnieniu. Z końskiego

rancza w Teksasie do operacji specjalnej, która zakończyła się śmiercią Abdullaha Al-Ghazaliego, Pax zmierzał ku siłom specjalnym marynarki wojennej tak samo niezawodnie, jak strzała wypuszczona przez mistrza kuszy leci ze świstem od cięciwy do środka tarczy. Dla niego, tak jak dla każdego członka SEAL, święte były przede wszystkim dwa zobowiązania: wobec członków zespołu i wobec ojczyzny. Rodzina, Bóg, społeczeństwo i wolność też były święte, lecz droga wojownika polega na tym, że wszystko inne, co kocha, musi trwać w cieniu obowiązku wobec tych, z którymi walczy ramię w ramię, i wobec kraju, dla którego naraża swoje życie. Jest się w pierwszym rzędzie żołnierzem albo nie jest się nim w ogóle. Miłość do rodziny wyraża się przede wszystkim przez stawanie dla nich na linii ognia, umieranie za nich, jeżeli okaże się to konieczne. Ale gdy stał przy łóżku i spoglądał na Bibi w stanie śpiączki, dotkliwie zdając sobie sprawę, że jest bezbronna, a może już na zawsze utracona, jego miłość do niej wzrastała jak energia podczas rozszczepiania jądra atomu w trakcie reakcji łańcuchowej. Ogarnęła go tak głęboka czułość, iż wiedział, że teraz i zawsze, w każdej sprawie, za jaką przyjdzie oddać mu życie, tak naprawdę będzie oddawał je za nią, i że co prawda może dla niej umrzeć, ale wolałby dla niej żyć, choćby miał zrezygnować z pracy w marynarce.

W głowie usłyszał wyraźnie słowa Bibi: *Drabina z powyłamywanymi szczeblami – idealnie wypowiedziane, Petronello*. Gdyby na nią nie patrzył, mógłby pomyśleć, że naprawdę tak powiedziała, tak dźwięcznie i jasno brzmiały słowa. Ale jej wargi nie poruszały się, a czoło pozostało gładkie. Rzęsy nie trzepotały, chociaż oczy bezustannie ruszały się pod powiekami: szybkie poruszenia gałek ocznych człowieka pogrążonego we śnie... *idealnie wypowiedziane, Petronello*. Nigdy przedtem nie zdarzały mu się halucynacje słuchowe i nie spodziewał się, że tak go to zaniepokoi.

Gdy przeniósł wzrok z Bibi na Petronellę, która stała przy



stojaku kroplówki po drugiej stronie łóżka, musiał wyglądać na zaniepokojonego czymś więcej niż tylko stanem narzeczonej, bo pielęgniarka popatrzyła na niego z troską. Przechyliła głowę i zapytała:

– Nic panu nie jest?

Coś mu wyraźnie dolegało. Ostrzał to nic w porównaniu z czymś takim. Zdarzały się ciężkie chwile w trudnych miejscach, gdy świat usuwał się spod nóg, gdy wyobrażał sobie własną śmierć, którą wolałby od tego, co mogło go spotkać. Ale jeśli Bibi odejdzie, Pax umrze *per procura*, a mimo to będzie musiał nadal żyć w świecie, do którego nie będzie miał już serca, jak żywy trup. Kochał ją, tak, i oświadczył jej się, tak, ale do tej pory nie pojmował do końca, jak mocno byli z sobą spleceni.

– Nic panu nie jest?

Pax nie zdążył wymyśleć żadnej odpowiedzi, gdy głosem drżącym od emocji odezwała się Nancy, stojąca w nogach łóżka:

– Przywiozłam tutaj Bibi w zeszły wtorek, w najgorszy dzień w moim życiu. Doktor Chandra postawił diagnozę w środę. Tyle się wtedy działo, coś okropnego. Chcieliśmy... Chcieliśmy zjeść tu wtedy kolację, żeby pokazać, że nic sobie z tego nie robimy...

– Tylko we trójkę – podjął Murphy, bo Nancy się załamała. – Tylko lekkie rzeczy na wynos, cheeseburgery z jalapeño i hot dogi z serem i sosem chili, i w ogóle wszystko, co jest podobno niezdrowe, żeby, jak mówi Nancy, pokazać. Ale Bibi twierdziła, że jesteśmy zmęczeni i ona sama jest zmęczona. Chciała przekąsić coś lekkiego i poczytać w Internecie o tym cholernym raku mózgu. Chciała wiedzieć o nim wszystko i walczyć z nim z całych sił.

– Wtedy rozmawialiśmy z nią ostatni raz – powiedziała Nancy z czerwonymi oczami, śladami łez na policzkach i wargami nabrzmiętymi od smutku.

– Wcale nie ostatni – zaproponował Murphy. – Nasza dziewczynka z tego wyjdzie. – Położył dłoń na ramieniu żony. –

Musi.

– W środę w nocy zapadła w śpiączkę – podjęła Nancy. – Mówią, że w tej chorobie śpiączka się nigdy nie zdarza, najwyżej w ostatniej fazie, na samym końcu. A u niej się zdarzyła.

Dla Paxa nie były to żadne nowiny. Od piątku rano, gdy zakończono blokadę komunikacyjną i rozniosła się wieść o śmierci Abdullaha Al-Ghazaliego, rozmawiał już telefonicznie z Nancy i Murphym kilka razy. Ale chyba potrzebowali opowiedzieć o tym raz jeszcze, a i Paxem widok Bibi bladej i nieruchomej jak trup na katafalku wstrząsnął tak bardzo, że cieszył się, iż chcą o tym mówić, dając mu czas na zebranie myśli.

Dowiedzenie się, co się przytrafiło Bibi, dostanie urlopu okolicznościowego i przyłecenie tutaj przez połowę świata, najpierw samolotem wojskowym, a potem cywilnymi liniami lotniczymi, zajęło mu prawie dwa i pół dnia. Do szpitala dojechał taksówką, nie chcąc marnować czasu na wynajęcie auta. Była godzina pierwsza po południu w niedzielę, za oknami pogodne, błękitne niebo. Leżała w śpiączce prawie cztery dni.

Kończąc wymianę worka do kroplówki Petronella włączyła się do relacji:

– W środę wieczorem miałam dyżur. Ogólnie nie narzekała, tak więc kiedy powiedziała, że bardzo boli ją głowa, dałam jej maksymalną dawkę leków. Przy tego rodzaju rakach zdarzają się bóle głowy, czasem ciężkie. Dochodziła wtedy godzina siódma. Od tego czasu dzieją się same dziwne rzeczy.

– Dziwne? – zapytał Pax, odrywając oczy od Bibi. – W jakim sensie?

– Każdym. Po pierwsze nie mogą znaleźć przyczyny. Glejak jest za mały, żeby uciskać mózg tak mocno, by wywołać śpiączkę. Neuroobrazowanie nie pokazuje żadnego krwawienia wewnątrzmożgowego. Nie ma niedotlenienia, krew dopływa do wszystkich części mózgu. Zapaść wątroby albo nerki

wywołałaby zatrucie mózgu. Ale wątroba i nerki działają pełną parą. A mamy głęboką śpiączkę. Ta dziewczyna zeszła bardzo głęboko, a mimo to – wskazała pięciofalowy diagram na podświetlonym ekranie elektroencefalografu – proszę spojrzeć na fale mózgowe.

Paxton spojrzał, ale nie bardzo rozumiał to, co widzi.

– Powiem po łebkach – zapowiedziała siostra – ale wszystko to jest dużo bardziej skomplikowane. Lekarz powinien to panu wyjaśnić, o ile potrafi. Układy fal u pana dziewczyny są charakterystyczne dla kogoś, kto śpi i czuwa *jednocześnie*. I wcale nie przypominają diagramów kogoś, kto jest w śpiączce. Wydaje się, że zeszła gdzieś bardzo głęboko, gdzie nic już się nie śni – ale niech pan popatrzy na oczy. To faza REM, snu z marzeniami.

Murphy chwycił się każdej szansy pocieszenia.

– To daje chyba nadzieję, skoro jest takie dziwne.

– Nie widzę tu żadnej nadziei – zaproponowała Nancy. – Boję się.

Pax ujął rękę Bibi. Była ciepła, ale zwiotczała, jakby pozbawiona kości.

– Po podaniu leków na ból głowy – opowiadała Petronella – zapowiedziałam jej jeszcze: „Będę do ciebie zaglądać”, i zaglądałam, ale myślałam, że śpi.

Podobnie jak przy łamańcu językowym z drabiną, Pax znów wyraźnie usłyszał głos Bibi: *Szybko teraz, tutaj, teraz, zawsze [...] w nieruchomym punkcie [...] ani od, ani do [...] gdzie przeszłość i przyszłość są połączone.*

Wiedział, że to nie jej słowa, że kogoś cytuje. Powinien znać źródło, ale nie mógł sobie przypomnieć.

Za pierwszym razem uznał, że to słuchowa halucynacja. Tym razem wiedział już, że to nie takie proste, że nie jest to nic, co może położyć na karby swojego słuchu albo wyobraźni. Co prawda wiedział, czym nie jest, nie rozumiał jeszcze, co to jest.

Stojąca po drugiej stronie łóżka Petronella, która dopiero co skończyła wspominać ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do

Bibi, przeniosła uwagę z Paxa na pacjentkę – i zareagowała czymś pomiędzy pełnym zdumieniem wzdrygnięciem się a komicznym wytrzeszczem. Była to jedna z tych chwil, w których Bibi na głos zastanawiała się, czy ludzkie reakcje są takie, jak zawsze, czy też ponad stulecie kina wpłynęło na to, jak reagujemy na każdy bodziec, przez co między przeżyciem i zrozumieniem go nieświadomie przypominali nam się Cary Grant i Katharine Hepburn, Bradley Cooper i Jennifer Lawrence, ich reakcje w podobnych sytuacjach w filmach. W efekcie dopasowujemy swoje zachowanie, zniekształcając naturalne ludzkie reakcje.

Z wytrzeszczonymi oczami, unosząc jedną rękę do piersi, osłupiała na widok czegoś, co kazało jej wbić wzrok w lewą część twarzy Bibi, Petronella zawołała:

– A to znowu co takiego?!

Stojący na prawo od Bibi Pax nie widział, co się dzieje, za to Nancy i Murphy, w nogach, ujrzeli i krzyknęli.

## ***Drugi z trzech wstrząsów***

Paxton puścił bezwładną dłoń Bibi, okrążył łóżko i zdążył jeszcze zobaczyć, jak zadrapania rozlewają się po obrąbku, przeciwnokrawku i płatku lewego ucha, kropelki krwi tworzą się po jakimś urazie, który wydawał się nie mieć przyczyny i powstawać jak stygmaty. Szkarłatne krople wystąpiły na powierzchnię uszkodzonej tkanki i w niemożliwym tempie zgęstniały w mazisty skrzep pierwszej fazy gojenia się. Towarzyszył temu siniak zaczynający się u lewej skroni – najpierw rozwodniona czerwień taniego wina, na ciemnym krańcu widma rumieniec o barwie ciemnego wina, rozlewający się po mięśniach wzdłuż brody. Nancy jęknęła:

– O Boże, o Boże... – I zadrżała ze zgrozą, niewątpliwie pod wpływem tej samej myśli, która zaniepokoiła Paxa: że siniak i jeszcze gorsze rany powstaną na całej twarzy Bibi, aż znajdzie się przed nimi kobieta cierpiąca na jakąś niecodzienną chorobę o objawach podobnych do ciężkiego pobicia.

Siniak zatrzymał się na podbródku, pociemniał, nabierając odcienia bordo, a potem śliwkowego, a lepkie skrzepy krwi zaczęły wysychać i tworzyć skorupę na jej uchu. Tymczasem w lewym kącie ust zakwitło małe rozcięcie i mięśnie nieco spuchły. Nowa rana rozlałaby się na brodę, gdyby w ciągu zaledwie sekund nie przeszła – podobnie jak wcześniejsze urazy – od świeżego poszarpania do początków gojenia. Wtedy przestały tworzyć się stygmaty i urazy znieruchomiały.

Przynajmniej chwilowo.

Sparaliżowana widokiem przemian Bibi i pobudzona do działania, gdy zmiany ustały, Petronella złapała przycisk do wzywania pomocy, którego kabel nawinięto na ramę przy łóżku, i połączyła się z dyżurką pielęgniarek na trzecim piętrze. Ze stanowczością zrodzoną z wielu lat wychodzenia obronną ręką z kryzysowych sytuacji oznajmiła, że szef zmiany musi natychmiast zjawić się w sali 456.

– Mamy tu problem.

– Co się stało z moją dziewczynką? – Nancy natarła na pielęgniarkę nietypowym u niej tonem nieuzasadnionego oskarżenia. Rozsądek wystraszył się i został zastąpiony gniewem. – Co się, do diabła, stało z jej biedną słodką twarzą?

Murphy otoczył ją ramieniem i powiedział głosem osłabłym od niepokoju:

– Spokojnie, skarbie, spokojnie, ona nie wie, co się stało. – Gdy Nancy próbowała go odepchnąć, objął ją mocniej. – Czegoś takiego nikt nie mógł przewidzieć. To istne szaleństwo. Ale Bibi z tego wyjdzie.

– Popatrz na nią, patrz, co się z nią dzieje. Nie jest dobrze, niech to trafi szlag!

– Nie jest, ale będzie. Utrzyma się na desce, jak zawsze, lepiej niż my, lepiej niż reszta świata.

Nancy uczepiła się swojego gniewu, cała się od niego jeżyła, a krótko sterczące włosy zdawały się reagować na jakąś elektryczność w powietrzu. W oczach pojawiały się jeśli nie prawdziwe, to wyobrażone błyskawice, mięśnie nabrzmiały wokół zaciśniętych zębów. Gniew był jednak bezużyteczny, ponieważ nie miał celu, i w gruncie rzeczy stanowił desperacką obronę przed rozpaczą, do której skłaniało zdanie się na los.

Oglądając przesuwające się z lewej do prawej linie światła na monitorze serca Bibi, Petronella pomyślała na głos:

– Tętno w ogóle się nie zmieniło. Tak samo jak ciśnienie.

Pax stał nieruchomo, nie rozumiejąc tego, co zobaczył, co nie

wróżyło niczego dobrego. W zasadzce i podczas planowanego ataku zawsze szybko reagował na wydarzenia i z łatwością zmieniał strategię i taktykę. Przemysłane działanie zawsze było lepsze od przemysłanej beczynności, ale potrzebny był materiał do namysłu, jakieś fakty i okoliczności, które pozwalały na rozsądną analizę. Wiedział, że na twarzy ukochanej kobiety widnieją ślady pobicia, a nie oznaki choroby. Podążając śladami zła, Pax widział dostatecznie dużo kobiet i mężczyzn, których pobito w celu wyciągnięcia z nich informacji, wpojenia im strachu przed nowym szefem i dla zwyczajnej satysfakcji. Wiedział, na co patrzy, i bardzo chętnie – z młodzieńczą żądzą zemsty i dojrzałą odrazą do okrucieństwa – znalazłby i zabił tego, który zrobił to Bibi. Ale jest jeden problem. Ktoś nieobecny przy pojawieniu się stygmatów uznałby go za szaleńca, gdyby na głos wyraził taką myśl, ale sprawca wyglądał na ducha atakującego ją w jakiejś krainie, do której Pax nie miał dostępu, w innym świecie, gdzie teraz przebywała, zostając jednocześnie w rodzimym świecie.

Kierowniczka zmiany, Julia, napakowana kobieta po czterdziestce, lśniąca i energiczna jak fanatyk fitnessu, wpadła na salę, wysłuchała Petronelli i popatrzyła na Paxa z jawną podejrzliwością, po części na pewno ze względu na jego wymiary, ale także na pochmurny wyraz, który nie schodził z jego twarzy, odkąd patrzył, jak Bibi krwawi i pokrywa się sińcami. Ewentualne wątpliwości Julii co do niewiarygodnej opowieści Petronelli przepadły, gdy przyjrzała się urazom Bibi i zobaczyła, że nie są świeże. Była tu niecałą godzinę temu zresetować monitor rejestrujący pracę serca po jakimś nieuzasadnionym alarmie dźwiękowym, co się czasem zdarzało. Wtedy na twarzy Bibi nie było żadnych śladów.

Zaintrygowana w stopniu nie mniejszym niż oni, Julia musiała jednak – jako dobra menedżerka pracująca w czasach nieustających pozwów sądowych – myśleć jeszcze o innych sprawach. Zdecydowała, że wszyscy mają pozostać na miejscu,

a ona wezwie szefa szpitalnej ochrony, który sfilmuje rozmowy z nimi na miejscu. Nancy znów wybuchnęła źle ukierunkowaną złością, ale Murphy szybko ją uspokoił, a Julia obiecała, że wróci za dziesięć minut.

Pod nieobecność siostry przełożonej nie wywiązała się ożywiona rozmowa, na jaką liczył Pax. Cała czwórka była świadkami niezwykłego zdarzenia, a chociaż oglądali dokładnie to samo pod takim samym kątem, ludzie w obliczu nieznanego mieli skłonność do preparowania takiego przeżycia i snucia na jego podstawie niestworzonych opowieści na tematy tak luźno z nim związane, jak UFO, yeti i poltergeisty. Być może krępowało ich to, że życie Bibi, i tak odbierane przez raka mózgu, znalazło się raptem w jeszcze gorszym niebezpieczeństwie ze strony nieprzyjaciela nieznanego i na pierwszy rzut oka niepoznawalnego. Nieliczne słowa, jakie padły, nie miały charakteru spekulacji, tylko raczej otuchy. Skupiali się mniej na sobie niż na ukochanej dziewczynie na łóżku, która mogła lada moment doznać kolejnego urazu z ręki widmowej istoty.

Punktualna co do minuty Julia wróciła z szefem ochrony szpitala, byłym pracownikiem wydziału zabójstw, który po pięćdziesiątce podjął inną, mniej ryzykowną pracę. Był siwowłosa postacią o długiej twarzy i grubych kościach, o wrodzonej godności, która upodabniała go raczej do sędziego niż gliniarza, o ile o dzisiejszych sędziach można powiedzieć, że zachowali dawną godność. Nazywał się Edgar Alwine. Przedstawił się Nancy, Murphy'emu i Paxowi, za każdym razem powtarzając imię, nazwisko i tytuł służbowy, jak gdyby słyszeli go dopiero wtedy, gdy zwracał się do nich bezpośrednio. Mocny uścisk ręki, ciepły sposób bycia. Pax od razu go polubił.

Alwine poprosił Nancy i Murphy'ego o zgodę na bliskie ujęcia urazów na twarzy córki, zapewniając, że fotografie pozostaną w jej aktach, do których dostęp będzie miała ograniczona liczba pracowników szpitala. Ledwie jednak zaczął nagrywać,



krzyknął, i wszyscy stanęli przy łóżku, by obejrzyć kolejne niewytłumaczalne zsinienie ciała Bibi, tym razem utrwalane na bieżąco na filmie.

## ***Trzeci z trzech wstrząsów***

Tym razem twarz Bibi nie posłużyła jako płótno, a zniekształcenia nie polegały na siniakach i podrapaniach. Jej ręce leżały na poszwie i cienkim kocu. Prawy rękaw pidżamy był podwinięty w połowie drogi do łokcia. Na obnażonym przedramieniu, około dwóch cali ponad nadgarstkiem, zaczęły pojawiać się zgrabne czarne litery, jedna za drugą, jakby jej skóra stała się pergaminem, na którym niewidzialny skryba pozostawiał swój znak, by zgłosić pretensje do jej duszy i ciała. Mimo że słowa nie zawierały zaklęć ani szatańskich nazw, zwarte czarne litery pojawiały się z taką niewzruszoną pewnością, że niezależnie od ostatecznego sensu można je było uznać jedynie za zły omen.

Murphy odwrócił się od tego niewytłumaczalnego napisu, jakby słowa wycinano w ciele córki nożem, przy każdej literze odwracając się ze słowami:

– Tak nie może być, nie może.

Złość nie chroniła wystarczająco przed strachem i Nancy nie mogła się już na nią zdobyć. Stała w nogach łóżka osłupiała, niezdolna poruszyć się ani wymówić słowa, zahipnotyzowana przez pojawiające się litery, jak gdyby miały oznajmić przeznaczenie jej córki i jej własne.

Pax miał nadzieję, że znów usłyszy w głowie głos Bibi, nawet jeżeli będzie równie enigmatyczny jak przy dwóch poprzednich okazjach. Ale gdy pierwsze dwie linijki na przedramieniu

utworzyły imię i nazwisko, słyszał tylko okrzyki zdumienia pielęgniarek. I głos Edgara Alwine'a:

– To tatuaż, no nie? Bardzo prosty, może kiepsko usunięty laserem i teraz pokazujący się od nowa. Czy to możliwe?

– Bibi nie miała tatuaży – stwierdziła Nancy.

Czas przeszły w ustach Nancy sugerował nieświadomą rezygnację, przygnębienie, o ile nie rozpacz, które zdjęły Paxa chłodem. Gdy się odezwał, chciał jednocześnie skorygować czas dotyczący tatuaży Bibi i jej stosunek do nich:

– Nie jest ich przeciwniczką. Podziwia je, gdy są naprawdę piękne. Ale sama nie ma na nie ochoty. Mówi, że tatuaż to sposób na zaspokojenie jakiejś emocjonalnej potrzeby, a ona ma na to inne metody.

Gdy szef szpitalnej ochrony filmował, dwie pielęgniarki przyglądały się z niczego nierozumiejącą powagą osób, których fundamentalne przekonania okazywały się chwiejne, Nancy stała ogłuszona grozą i bezradnością, a Murphy gryzł knykię jednej z pięści – pięści wyrażających chęć stawienia oporu nieznanemu katu córki, ogryzanie palców jako symbol zdezorientowanego dziecka w mężczyźnie. Kiedy słuzy zachodzącego słońca wypuszczały strumienie szkarłatnego światła, które zalewało okno, na przedramieniu Bibi pojawiała się czwarta i ostatnia linijka, czarna litera za czarną literą, i wiadomość – lub obietnica czy wyzwanie, lub coś jeszcze innego – została ukończona: ASHLEY BELL BĘDZIE ŻYĆ.

– Kto to jest Ashley Bell? – zapytał Edgar Alwine.

Nikt z obecnych o niej nie słyszał.

– Gdzie jest Bibi? Co to za imię na jej ręce? Jak to wszystko jest możliwe? Dlaczego? Nic nie rozumiem – mówiła Nancy.

W jej głosie brzmiała taka bolesć, że mąż, zwykle chętnie spieszący z pociechą i otuchą, wyraźnie czuł, że to zadanie go przerasta. Zwrócił się do Paxa z miną znaną każdemu dowódcy w czasie walki: chciał wskazówek albo przynajmniej potwierdzenia własnych intuicji, a jeśli nie potwierdzenia, to

przynajmniej uspokojenia.

Ale Pax poczuł się tak bezradny, jak nigdy w czasie walki. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie wiedział, co zrobić. Czuł się skrępowany. Skrępowany, beużyteczny i głupi. I nie znosił wszystkich tych uczuć. Być może teraz taki był, w tej sytuacji bez precedensu, ale do tej pory tak się nie zdarzyło i, na Boga, już nigdy się mu nie przytrafi. Odkąd sięgał pamięcią, od rodziny i rancza, jego życie naznaczał rytm, którego się zawsze trzymał, niezależnie od tempa zmian. Rytm ciągle istniał. Zawsze. Było to coś poza nim, nie stworzone przez niego, i wystarczyło tylko znów je usłyszeć.

Nancy przeszła na prawą stronę Bibi i wzięła ją za rękę. Lecz wiotkość dłoni zdawała się ją odpychać albo, co bardziej prawdopodobne, przygnębiać brakiem życia, na jaki wskazywała. Być może te cztery proste, a przecież tajemnicze słowa, od których nie mogła oderwać wzroku, nasuwały jej myśl o systemie świata, nad którym wcześniej się nie zastanawiała, wymagającym pójścia torem myśli, który ją niepokoił lub przerażał, bo Paxton miał wrażenie, że rozpacz Nancy ma złożoną naturę, że nie jest to po prostu ból spowodowany nieszczęściem, jakie spadło na córkę. Odwróciła się od łóżka i podeszła do okna. Stała wpatrzona w przepastne niebo, gdzie mewy wiosłowały przez powietrzny ocean lub brały wietrzne fale i na nich surfowały, nie musząc przejmować się pobliskim brzegiem.

Edgar Alwine miał jeszcze do nagrania zeznania świadków dotyczące niewyjaśnionego pojawienia się urazów na twarzy Bibi. Już miał zaczynać od Petronelli, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich dość młody lekarz, do którego doszła wiadomość o nadzwyczajnych stygmatach, ale jeszcze nie o złożonym z czterech słów tatuażu. Od razu podszedł do pacjentki i to, co zobaczył, napełniło go w równej mierze troską co zdumieniem. Zorientował się w sytuacji, słuchając uważnie Petronelli, która opowiadała o wszystkim do kamery. Wyraźna szczerłość i głębia

troski lekarza przyjaźnie usposobiły Paxa, jeszcze zanim zostali sobie przedstawieni.

Podając mu rękę, doktor Sanjay Chandra powiedział:

– Gdy przekazałem Bibi, że ma przed sobą rok życia, popatrzyła na mnie w taki sposób, w taki sposób, że chyba nie byłbym w stanie oderwać od niej oczu, i odparła: „Rok życia, tak? Naprawdę tylko jeden? *Zobaczymy*”. *Zobaczymy!* Zrobiła na mnie takie wrażenie, że nawet pozwoliłem sobie na niedopuszczalną myśl, że może zyska rok więcej albo nawet dwa, że zostanie pierwszą, która z tego wyjdzie, dokona niemożliwego. Ale teraz ta śpiączka i te... te zjawiska. Nie mam pojęcia, co to znaczy. Będę musiał przeprowadzić dokładne konsultacje z kolegami po fachu, innymi onkologami, neurologami, sam jeszcze nie wiem z kim.

Obszedł łóżko, aby dostać się do aparatu EEG stojącego na wózku po lewej stronie Bibi. Za pomocą klawiatury pokazywał na monitorze najważniejsze rzeczy. Mówił o pięciu rodzajach fal mózgowych – gamma, beta, alfa, theta, delta – o przedziałach ich częstotliwości, amplitudzie, ich funkcji w optymalnej pracy umysłu. Czasami na ekranie pojawiała się dwadzieścia wykresów fal jednocześnie zamiast pięciu, ale były to dane z licznych elektrod przymocowanych do czepka na głowie Bibi. Aparat był także zdolny do tworzenia trójwymiarowych projekcji mózgu z czterech punktów odniesienia i doktor Chandra przywoływał takie obrazy na ekran – nie mapy mózgu Bibi w obecnej chwili, tylko wybrane diagramy z kilku ostatnich dni, do których miał konkretne uwagi. Istniała też funkcja pod nazwą analiza koherencji i obrazy widm energii.

Pax zrozumiał z tego sporo tylko dzięki temu, że objaśniał to doktor Chandra, choć i tak większość informacji poszybowała nad jego głową jak 747 na wysokości przelotowej.

Pojmował jednak istotę problemu, a to wystarczało, aby potwierdzić jego podejrzenia. Działo się coś bez precedensu, tak doniosłego, jak dziwnego. Być może przypadek Bibi zapisze się

w annałach medycyny, a może stać się przełomem w szerszym tego słowa znaczeniu.

Każda z pięciu fal mózgowych odpowiadała za konkretne funkcje i istniał poziom idealny, który oznaczał pracę optymalną. Fale gamma wiązały się z nauką, poznaniem, postrzeganiem, przetwarzaniem informacji i układaniem wszystkich sensów w spójną całość. Niedostateczna aktywność gamma oznaczała trudności w uczeniu się i depresję. Nadmierna wiązała się z niepokojem i stresem. Optymalne fale beta warunkowały dobrą pamięć i umiejętność rozwiązywania problemów. Idealne fale alfa towarzyszyły rozluźnieniu przy dobrej koncentracji, czyli nie snom na jawie. Wzorcowe fale teta wskazywały na szczyt kreatywności, więzi emocjonalnych i intuicji. Optymalne układy fal delta występowały w czasie maksymalnej wydajności układu odpornościowego i naturalnej zdolności samoleczenia, wskazywały też na głęboki, zdrowy sen.

– Kiedy nie śpimy – tłumaczył doktor Chandra – obecnych jest wszystkich pięć fal, choć w danej chwili dominuje tylko jedna, w zależności od tego, w jakim stanie świadomości się znajdujemy.

Murphy i Nancy na pewno już to słyszeli. Ale ona odwróciła się od okna, a Murphy przysunął do Paxa, skupiając się na słowach lekarza, podobnie jak obie pielęgniarki.

Edgar Alwine filmował doktora Chandrę. Być może nie w celu stworzenia dokumentacji na wypadek procesu, ale dlatego, że on też czuł, że być może w tej chwili, na tej sali tworzy się historia.

Pokazując prostszy diagram, złożony z pięciu fal mózgowych Bibi w czasie rzeczywistym, Sanjay Chandra oznajmił:

– Ale w jej mózgu w danej chwili nie dominuje jedna fala. Cały czas każdy z wykresów fal jest optymalny, idealny. To zjawisko bez precedensu. Nikt nie zaobserwował czegoś takiego wcześniej. I taki obraz utrzymuje się, odkąd podłączyliśmy ją do encefalografu w czwartek rano, trzy i pół dnia temu.

- Czy to może być usterka maszyny? – spytał Paxton.
- Nie. Też nam się tak wydawało. Ale użyliśmy drugiego EEG. Pokazuje taką samą aktywność jak pierwszy aparat.
- Co to oznacza? – zainteresował się Alwine, zadając pytanie na użytek wideo.

Chandra przez chwilę patrzył na ekran w milczeniu, dziwiąc się pięciu płasającym falom.

– Oznacza to, że od zapadnięcia w śpiączkę wcale nie znajduje się w stanie śpiączki, przynajmniej w takim sensie, jaki rozumiemy. Przebywa jednocześnie w wielu stanach świadomości, natomiast my wszyscy jesteśmy zawsze w jednym. Jednocześnie głęboko śpi i wykazuje intensywne funkcje poznawcze. Uczy się, skwapliwie przetwarza informacje i prędko przeszukuje pamięć, rozwiązuje problemy i jest ogromnie kreatywna, cały czas zachowując żywą więź emocjonalną – pogrążona we śnie z marzeniami.

Wtedy w myślach Paxtona rozległ się ukochany głos, wyraźniej niż w poprzednich dwóch przypadkach. Głos, który miał nadzieję usłyszeć. Mimo że powiedziała tylko dziesięć słów, były one tak ważne i miały tak potężny wpływ, że, osłupiały, złapał za ramę w nogach łóżka, żeby nie stracić równowagi.

## ***Rozmowa od serca w godzinie próby***

Bibi wyszła z pokoju numer sześć i znalazła się w Laguna Beach po północy. Jeśli coś wcześniej stuknęło, pukało czy drapało w okna i drzwi, by zwrócić jej uwagę, albo zniknęło, albo obserwowało ją z dyskretnej kryjówki w białej gęstwinie mgły. Trzymając w lewej ręce elektroniczną mapę, a w prawej pistolet, szła przez gęste obłoki, w których naprawdę przydałby się radar, przez miasto ciche jakby po zarazie, po której nie zostały przy życiu zwierzęta ni owady. Kojoty w kanionach wybrały głód zamiast polowania po omacku i spały. Ptaki stały na żerdziach z głowami wtulonymi w bezszelestne skrzydła. Tylko ustawione w karnych szeregach latarnie były tym, na co wyglądały. Wszystkie inne światła – w domach, biurach, kościołach, gdzie pastorzy wbrew rozsądkowi liczyli na nocne nawrócenia – były rozmyte, mgławicowe i osamotnione, pozbawione wyraźnych kształtów, ich odległości nie sposób było ocenić. Niektóre okalały blade korony, za to inne przypominały leje na światło mające się zamienić w czarne, zgasłe gwiazdy.

W takim mroku wszystko się mogło zdarzyć. Mogła zostać porwana, gdyby była do czegoś potrzebna. Ale dotarła cała i zdrowa do hondy Pogo.

Położyła przenośny GPS, pistolet i torebkę na fotelu pasażera, siadła za kierownicą, zablokowała drzwi i pomyślała, czy nie zadzwonić do Paxa. Jeśli telefonował do niej w ciągu ostatniej doby, odezwaliby się albo poczta głosowa, albo Terezin, bo



zostawiła telefon w fordzie explorerze. Ale na pewno się z nią nie kontaktował, bo był na misji z nakazem zachowania ciszy. A gdyby ona zadzwoniła do niego, spotkałby ją tylko zawód z powodu braku połączenia.

Gdyby nie mgła, nie zawracałaby sobie głowy GPS-em. Zapamiętała trasę do 11 Sonomire Way, gdzie znajdzie uwięzioną Ashley Bell – o ile ostatnie wrózenie Calidy rzeczywiście przyniosło ukrytą wiedzę, nim pozbawiono ją życia i palców. Jednak w takich tumanach mgły głos precyzyjnie wyliczający odległość do każdego zakrętu bardzo się przyda.

Uruchomiła silnik i zapaliła światła, które drażyły w spadłym na ziemię niebie tunele na kilkanaście stóp, lecz zanim odjechała od krawężnika, poczuła przemożną potrzebę, chęć porozmawiania z Paxem, jakby mógł ją usłyszeć na drugim końcu świata bez telefonu. Były to romantyczne rojenia dziecka bądź nastolatki, bo mimo bycia dorosłą pozostała wszystkim, kim była do tej pory.

Zamknęła oczy, kilkakrotnie głęboko zaczerpnęła tchu i pomyślała, że wyrazi miłość i tęsknotę za nim. Ale kiedy się odezwała, zaskoczyła samą siebie słowami:

– Pax, potrzebuję cię. Nic mi się nie śni. Znajdź mnie.



Bibi nie słyszał nikt inny, ale dla Paxtona jej słowa zabrzmiały jasno i donośnie. *Pax, potrzebuję cię. Nic mi się nie śni. Znajdź mnie.*

Gdyby od wejścia na salę nie słyszał jej już dwa razy, mógłby pomyśleć, że to wyobraźnia, albo traciłby czas na tłumaczenie sobie przyczyn. Dwa poprzednie incydenty – językowa łamigłówka z imieniem Petronelli i to o nieruchomym punkcie, w którym zbierają się przeszłość i przyszłość – przygotowały go do przyjęcia tego zjawiska i obudziły czujność na każde wypowiedziane przez nią słowo i niuanse tego, co mówi.

W odróżnieniu od poprzednich przekazów – czy cokolwiek to było – ten został skierowany do niego z imienia. Mimo śpiączki Bibi musi zdawać sobie sprawę, że przyjechał. Czytał o pacjentach w śpiączce, którzy po wybudzeniu opowiadali, że słyszeli każde słowo, które padało przy nich, kiedy pozornie leżeli nieprzytomni. Jeśli ktokolwiek w stanie takiego odcięcia od reszty świata potrafił utrzymać kontakt z jawą ponad głębinami snu, na pewno będzie to jego Bibi, tak bardzo kochająca świat i wszystkie jego cuda.

Co więcej, przemówiła do niego, kiedy doktor Chandra powiedział, że trwa w wielu stanach świadomości naraz, jednocześnie będąc głęboko pogrążona we śnie i marząc na jawie. Najwyraźniej usłyszała lekarza. I podkreśliła, że nic jej się nie śni, niezależnie od tego, co można było odczytać z fal, pomimo szybkich ruchów gałek ocznych, które zawsze oznaczają, że głęboko śpiącemu coś się śni.

Edgar Alwine zaczął filmować siostrę Julię i wszyscy na sali, z wyjątkiem Paxa, skupili się na jej opowieści o niewytłumaczalnym pojawieniu się tatuażu z czterech słów.

*Znajdź mnie* – powiedziała Bibi. – *Znajdź mnie*. Leżała w łóżku, na jego oczach, i nie trzeba było jej szukać. Pax mógłby przypisać jej prośbę delirium czy zwykłej dezorientacji umysłu zagubionego w fałszywym świecie śpiączki. Ale te słowa były tak bardzo do niej podobne, konkretne i stanowcze, bez popłochu czy zagubienia, spokojne i zdecydowane dotrzeć do słuchacza. Nie wiedział, jakim sposobem umiała nawiązać z nim taki kontakt ani dlaczego nie mogła opisać swojej sytuacji i potrzeb dokładniej. Wiedział jednak, że ograniczeń, którym podlegała, nie można było potraktować jako pretekstu do zbagatelizowania prośby albo czekania na kolejne wiadomości, które mogą nigdy nie nadejść.

Ale jeżeli Bibi nie pogubiła się w dziwnych głębinach, gdzie się obecnie znajdowała, Pax z całą pewnością stracił orientację i nie wiedział, jak jej pomóc.



Amorficzna mgła wijąca się w smugach świateł, jakby w poszukiwaniu właściwej formy, którą mogłaby przybrać, niski pomruk silnika samochodu jak wyraz zwierzęcego zadowolenia z perspektywy jazdy, pierwsze nieśmiałe wyziewy miłego ciepła z kratek w podłodze i desce rozdzielczej, nieziemski blask tablicy przyrządów odbity w jej oczach, w które patrzyła w lusterku wstecznym... Każdy szczegół tej chwili nabierał nagle cech zwiastuna nadciągających zdarzeń, brzemienne ukrytym sensem i czekającego na odkrycie za pomocą kryształowej kuli, fusów z herbaty albo płytek scrabblu.

Bibi siedziała za kierownicą, zastanawiając się nad tym, co powiedziała na głos do Paxa i dlaczego to powiedziała. Nie dziwił jej sam fakt wymówienia takich słów, choć mężczyzna przebywał na drugim końcu świata, tylko to, co powiedziała. Po co mówić, że nic jej się nie śni, skoro to oczywiste, bo nie śpi? Po co prosić o odnalezienie, skoro się nie zgubiła? Potrzeba była jasna. Zawsze go potrzebowała. A w tej obłądnej sytuacji jego obecność nadałaby nocy normalniejszego wyglądu.

Przypomniało jej się najważniejsze, czego się nauczyła, odkąd wyszła z mieszkania i zaczęła uciekać: że ma przed sobą same tajemnice, ukrywa pewne fragmenty życia, które pochłonęła sztuczka Kapitana. Część tych wspomnień już odzyskała, wiedziała więc, że nie obróciły się w popiół i nie zostały zdmuchnięte w nicość. Zostały upchnięte w beczki i czekały na odkrycie. Być może dowie się, dlaczego powiedziała Paxtonowi to, co powiedziała, gdy odnajdzie beczułkę ze wspomnieniem, wybije dziurę w dnie, spuści zawartość i pozna ją do końca. Tymczasem nie rozumiała się i nie mogła sobie do końca ufać, co drażniło ją, choć nie tak bardzo, jak śmierć na raka.

– No to do roboty, Biibs.

Nie tylko ona miała kłopoty. Ashley Bell umrze – a przed

śmiertelnym ciosem spadną na nią Bóg raczy wiedzieć jakie upokorzenia i okropności – być może w ciągu dwudziestu czterech godzin. Gdy wolno skierowała się na południe, ku autostradzie Pacific Coast, GPS zaczął podpowiadać jej drogę, jak mały dobry duszek w szkatułce.



Pax był przyzwyczajony, że wiedział, co ma zrobić, i to robił. Szkolenie rekrutów w SEAL było intelektualną, fizyczną i emocjonalną katuszą, prowadzącą nieomal do zniszczenia, pozwalającą jednak stanąć na lepszych fundamentach, nauką przewyższającą Harvard, pielęgnowaniem honoru, odwagi, etyki i uczciwości zdolnych wyjść nienaruszonymi nawet z tygła wojny, budujących zarazem ducha braterstwa, które trwa całe życie. Przygotowanie do operacji specjalnych miało na celu ukształtowanie pewności siebie bez zarozumiałstwa, odwagi bez lekkomyślności, przezorności nielekającej się przemyślanego ryzyka, mądrości zamiast sprytu, determinacji zamiast samowoli i wszelkiego rodzaju przebojowej siły – intelektualnej, fizycznej i emocjonalnej. Wchodząc w szeregi SEAL, człowiek był w stanie zrobić wszystko, co potrzeba, a kiedy tego nie mógł, to jakby po trosze umierał.

Po części umierał, patrząc, jak Edgar Alwine filmuje zeznania Murphy'ego, a Bibi leży nieruchoma na łóżku. Dokuczały jej rak i śpiączka, ale dodatkowo jeszcze jakieś cholerstwo, które podniecało ekspertów od medycyny, a jednocześnie wprawiało ich w osłupienie, coś, co mogło przynieść jego dziewczynie ocalenie. Ale wolał nie popuszczać wodzy swemu wrodzonemu optymizmowi, bo na tym świecie dużo jest fałszywej nadziei.

Właśnie wtedy odpowiedź na pytanie „co zrobić?” otworzyła drzwi i weszła na salę. Pogo. Nazywał się Averell Beaumont Stanhope III, ale wszyscy mówili na niego Pogo, po części dlatego, że nie reagował na inne imiona. Od dawna był

najlepszym kumplem Bibi, bliższym jej niż jakiegokolwiek koleżanki. Bibi nie wiedziała, skąd wzięła się ta ksywka. Był Pogo, odkąd go znała. Pax szanował chłopaka i czuł się swobodnie w jego towarzystwie, choć nie znał go zbyt dobrze. Wiedział tylko, że przy większości ludzi Pogo udaje głupka, zupełnie nie zależy mu na pieniądzach, lubi uchodzić za leniucha, a mimo urody gwiazdora jest tak bardzo pozbawiony próżności, że lustra potrzebuje tylko przy goleniu.

Pogo przywitał się z Paxem, ale tylko mimochodem, w drodze do łóżka, gdzie stanął i gdzie na widok Bibi zaszklily mu się oczy. Gdy Edgar Alwine zaczął nagrywać oświadczenie Nancy, Pogo dowiedział się, dlaczego wszyscy są tacy poruszeni. Pax widział, jak chłopak rozpogadza się, bo paranormalność ostatnich zdarzeń daje nadzieję, ale miarkowaną zdrowym rozsądkiem, jakby Pogo odruchowo rozumiał niebezpieczeństwo bezgranicznego optymizmu, na swój sposób powtarzając tok rozumowania Paxa.

Pax odciągnął Pogo na bok i wyszeptał:

- Być może bylibyśmy w stanie jakoś jej pomóc, ale nie tutaj.
- Jak?
- Będę kombinował po drodze.
- Będiesz – ale na serio?
- Jasne. Słyszałeś, co mówiła Nancy. Nie wiedzą wszystkiego.
- Ale ty wiesz.
- Zgadza się.

Mimo opinii Bibi, że Pogo jest raczej realistą niż marzycielem, nie zaliczał się do armii sceptyków z automatu, którzy zwiększają na tym świecie ilość goryczy, wątpiąc w motywę i mądrość każdego, kto nie jest do nich podobny. Od razu był za.

- Co zrobimy?
- Masz samochód?
- Coś w tym rodzaju. - Pogo osuszył łzy opuszkami palców, wycierając je o džinsy. - Chociaż wielu ludzi nazywa to coś

inaczej. Trzydziestoletnia, nielakierowana honda, ale zupełnie spoko. Mam prowadzić?

– A niby czemu nie? To twój samochód.

Pogo uśmiechnął się.

– Kurde, ale historia – w drogę za Bibi u boku Niesamowitego Hulka.

## **VII**

*Trzeba odnaleźć dwie dziewczyny*

## ***Tylko nam się zdaje, że ją znamy***

Pax rzucił na tył hondy marynarską torbę, usadowił się na przedzie i zamknął drzwi, a Pogo przekręcił kluczyk w stacyjce, rozstrzygając kwestię, czy auto jest takim złodem, na jaki wygląda. Nie było.

- Majstrowałeś przy silniku.
- Zdarzało się.
- Może to zamaskowane humvee.
- Gdyby ta mała była transformersem – odparł Pogo – zmieniłaby się co najwyżej w dodge'a chargera rocznik sześćdziesiąt osiem.
- Zupełnie nieźle. 440 magnum?
- Masz ucho. – Pogo wyjechał z parkingu i skręcił w prawo.
- Musiałeś znaleźć miejsce na taki silnik. Ale nadwozie wygląda normalnie.

Pogo uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Byłoby mało zabawnie, gdyby wyglądało na takie, jakie jest w środku.

Jechali do mieszkania Bibi. Uznali je za najbardziej logiczny punkt wyjścia. Nancy dała Paxowi swój klucz, zakładając, że tylko się tam zatrzyma, a nie, że ma jakiś inny cel.

- Nie zdaje ci się czasami – zaczął Pogo – że Bibi, którą znamy, to nie cała Bibi?
- Jest dokładnie taka, na jaką wygląda. To jej wielki urok. Bez kłamstwa. Bez masek. Ale wiem, o co ci chodzi. Jednocześnie



jest tajemnicą.

– Strasznie głęboką – potwierdził Pogo. – Przebiegają ją prądy z jakiejś przepaści, tak głębokiej, że gdyby chciało się tam popłynąć akwalungiem, człowieka zmiażdżyłby ciężar całego tego oceanu nad nim.

Pax kiwnął głową.

– Czasem wydaje się, że sama nie wie o tym, co właśnie powiedziałaś.

Hamując na czerwonym, Pogo mówił, nie spoglądając na Paxa, chociaż obydwaj mieli ciemne okulary, które zapewniały im trochę intymności:

– Nie wiem, czy kiedyś pokocham kogoś tak jak Biibs. Jest dla mnie siostrą, siostrą i bratem, i najlepszym przyjacielem. Jest wszystkim. To takie ważne, stary, że wolałbym nigdy nie próbować niczego innego, żeby nie zepsuć tego, co jest.

– Wiem. Nie musisz mi tłumaczyć. Znam to uczucie.

– Po prostu chciałem, żeby to było jasne. Tak strasznie się ucieszyłem, gdy cię poznałem i zobaczyłem, że jesteś taki, jakim cię opisuje.

– Zasługuje na mnie, co?

– Zasługuje na więcej, ale wystarczysz i ty.

Pax zaśmiał się, zapaliło się zielone i powiedział:

– Zastanawiałaś się kiedyś, czy nie wstąpić do SEAL? Dałbyś sobie chyba radę.

– Ja jestem urodzoną foką<sup>[7]</sup>, małą literą. Nie jestem głupkiem z ambicjami.

– Wiem – powiedział Pax. – Ty masz aspiracje, a nie ambicje. Umiejętności, a nie pieniądze. Honor, nie sławę.

– Braciszku, pomyliłeś mnie chyba z innym Pogo.

– Nie sądzę. Wiem, co jest pod maską. Mam ucho.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Było dość ciepło, ale ostre marcowe słońce pokrywało szyby i białe tynki murów zimowym blaskiem, a nawet domalowywało sztywnym, zielonym liściom palm lśniące, wyglądające jak lód krawędzie.

- Myślisz, że damy radę jej pomóc? – zapytał Pogo.
- Nie dopuszczam do siebie innej myśli.
- Ale guz mózgu, śpiączka, no weź. Same złe wiadomości.
- Guz, tak. Ale to nie śpiączka. Widać to z samym fal mózgowych. To nie śpiączka.
- To co?

Pax zastanawiał się nad tym od czasu, gdy trzeci raz dotarł do niego głos Bibi.

- Widzimy, jak leży na łóżku, i myślimy sobie, że to Bibi, a może tak nie jest. Przynajmniej nie do końca.

Zajeżdżając na parking za blokiem Bibi, Pogo powiedział:

- Tylko nie mów, że wierzysz w takie czady, jak zła bliźniaczka.
- Gdy śpisz, w pewnym sensie umierasz dla świata, żyjesz w sennym marzeniu. Bibi nie śni się nic, ale...

- Fale mówią, że śni.

- EEG pokazuje też, że w ogóle nie śpi, co też nie za bardzo się zgadza. W każdym razie *powiedziała*, że nic jej się nie śni.

- Powiedziała? Kiedy?

Gdy Pogo wjeżdżał hondą między młodsze pojazdy lepszej klasy, Pax westchnął:

- No to posłuchaj. – Opowiedział o trzech razach, gdy Bibi przemówiła w jego głowie. – Na jakimś poziomie jest świadoma tego, co dzieje się na sali... ale w tej chwili żyje gdzie indziej.

- Tak? To gdzie?

- A skąd mam wiedzieć?

- Żyje gdzieś poza ciałem.

- Nie twierdzę, że to ma sens.

- A mnie się zdawało, że twierdzisz.

- Mówię, że tak wygląda prawda, nawet jeśli jest bezsensowna. I chce, żebym ją znalazł, żebyśmy ją znaleźli.

Pogo wyłączył silnik. Opalony blondyn o oczach ciemnych i przejrzystych jak szafir, wyglądał raczej jak przyszły kapitan okrętu niż typowy kalifornijski surfer. Sprawiał wrażenie

kompetentnego i odpowiedzialnego, co podkreślały jeszcze bruzdy na twarzy, chociaż rys kości być może stanie się czytelny dla każdego dopiero za dziesięć, dwadzieścia lat. W każdym razie zawsze będzie przynależał do morza. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby niemal usłyszeć fale rozbijające się o brzeg. Po chwili zastanowienia odparł:

- Nie wiem, czy wierzę w telepatię.
- Ja też nie wiem - przyznał Pax. - Za to na pewno wiem, że gdziekolwiek jest, nawet jeśli we śnie, zdarzenia tam wpływają na nią tutaj. Siniaki, zadrapania, tatuaż.
- To jest dopiero odjazd.
- Coś mi mówi, że jak to wszystko rozgryziemy, to przestanie być dziwne. Kiedy będziemy mieć wszystkie fragmenty układanki, nabiorą sensu.
- Spryciarz z ciebie. W szpitalu wciągnąłeś mnie w to wszystko, zanim zorientowałem się, co to za misja wodorostka.
- I tak byś na to poszedł. Bez pytania. Co to znaczy wodorostek?
- Głupek. Kiepski surfer. Rzadko kiedy utrzyma się na desce, fala go zmywa i ląduje z głową w wodorostach. Też taki byłem, zanim ona mnie poduczyła. „Znajdź mnie”, tak? Ale jak?

Pax zdjął okulary ze słowami:

- Logicznie będzie zacząć u niej w mieszkaniu.

Pogo też ściągnął okulary.

- A jak nie nadajemy się na Sherlocków?

- Nadajemy się.

Gdy Pax otwierał drzwi, Pogo powtórzył:

- Zdarzenia tam wpływają na nią tutaj?

Pax odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały. Wiedział, jakie pytanie padnie teraz, bo każdy, kto kochał ją naprawdę, nie mógł go nie zadać. Chłopak spytał:

- A co, jak... jeśli tam umrze?
- Nie umrze. - Pax wysiadł z samochodu.

[7] SEAL (*United States Navy Sea, Air and Land*) (ang.) – [Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych](#) Morze, Powietrze i Ląd; *seal* (ang.) – foka.

# **95**

## ***Znany, a nigdy wcześniej niewidziany dom***

Głos surowej, acz pełnej troski kobiety, na przykład pielęgniarki albo nauczycielki podstawówki, która nagrała potem komendy do systemu GPS, prowadził Bibi przez mgłę i mrok. Jechała wzdłuż wybrzeża na południe, do Laguna Canyon Road, potem w głąb lądu krętą trasą, na której zdarzały się odcinki niebezpieczne nawet przy idealnej pogodzie.

Nie żywiła żadnych przesądów na temat świata po północy, nie wierzyła w godzinę czarownic, gdzie niebo wypełniało się latającymi na miotłach, lecz w tę akurat noc, jak w żadną inną, miała przeczucie czyhającego zagrożenia. Uzasadniona paranoja szarpała nerwy i Bibi stopniowo nabierała przekonania, że za kataraktami mgły świat jest przemeblowywany niczym olbrzymia scena w trakcie zmian dekoracji. Irracjonalnemu lękowi odpowiadała intuicja, że wraca do niej Pax, że jest już właściwie blisko. Co pewien czas spoglądała w prawo, jakby spodziewała się zobaczyć, że chłopak siedzi obok niej, co było oczywiście nieprawdą.

W miarę, jak droga wiała się między wzgórzami, mgła, która opadała powoli jak ociekająca woda, uprana bielizna, stopniowo zmieniała się w firanki, a potem w przelatujące tu i ówdzie postrzępione skrawki. Gdy przejeżdżała pod pierwszą autostradą i skręcała z Canyon Road na drogę stanową, po

mgle nie pozostało ani śladu, a po pewnym czasie Bibi wyjechała na pustkowie wśród niskich pagórków i suchych łąk, ponurych w chłodnej poświacie księżycowej.

Jej wirtualna towarzyszka, której zwięzłe porady były jak dotąd bez zarzutu, pierwszy raz przemówiła inaczej, co nie powinno się zdarzyć. Głos należał chyba do młodej dziewczyny:

– Za dwieście jardów zatrzymasz się przy domu z lewej.

Droga wspięła się na szczyt niedużego wzniesienia, dalej skręciła w prawo. I oto stał tam obiecany dom, zza którego firanek sączyło się spokojne światło. Dwie cechy dwupiętrowej budowli kazały Bibi zdjąć nogę z gazu i zjechać po łagodnym stoku na jałowym biegu. Po pierwsze dom nie pasował nie tylko do stanu Kalifornia, ale i do całego kontynentu, powinien stać nie gdzieś na pustkowie, tylko w mieście, w ciasnym szeregu innych. Mimo braku ganku albo portyku, bez wielkich schodów wiodących ku wejściowym drzwiom, dom wyglądał majestatycznie, ściany z cegieł upiększały wapienne narożniki i obróbki przy każdym oknie. Cztery kominy wyrastały ze stromego dachu, nakrytego być może łupkiem. Mimo osobliwości takiej budowli w takim miejscu uczucie, że skądś ją zna, kazało Bibi niemal zupełnie wyhamować samochód. Jeszcze nigdy tędy nie jechała i nie widziała tego domu. Nie przypominała sobie, żeby gdziekolwiek widziała coś podobnego, a przecież z każdą chwilą robił na niej wrażenie dobrze znanego, które w końcu osiągnęło skalę pełnego *déjà vu*.

Gdy go mijała, przed oczami duszy stanęło nagle wspomnienie: Ashley Bell w białej sukience z kołnierzykiem z blad różowej koronki stoi w oknie na drugim piętrze tego właśnie domu i wygląda na świat. Nie przypominała sobie nic innego, ani sytuacji, ani daty, ale wspomnienie było takie wyraźne i przejmujące, że musiało być autentyczne.

Bibi raz jeszcze poczuła pokrewieństwo z tą dziewczyną, coś, czego doznała pierwszy raz po zobaczeniu jej zdjęcia w gabinecie Calidy. Powróciło poczucie jakiejś jedności,

siostrzeństwa, tyle że bardziej intensywne. *Ashley Bell w białej sukience z kołnierzykiem z blad różowej koronki stoi w oknie na drugim piętrze...* Jeżeli znała kiedyś to dziecko, był to kolejny przykład samooszukiwania się, usunięcia i spalenia jeszcze jednej części życia za pomocą sztuczki Kapitana.

Nie śmiała zajechać hondą na podjazd i podejść do domu. Istniało nieskończenie wiele głupich sposobów umierania, a ona wolałaby uniknąć tych bardziej idiotycznych. Przyspieszyła, przejechała jeszcze jedno małe wzniesienie, tak że dom zniknął jej z oczu, i zatrzymała się na poboczu autostrady. Siedziała, obmyślając następny ruch, zastanawiając się, czy byłoby to idiotyczne czy tylko głupie. Nie pozostało jednak nic innego, jak obejrzeć ten dom.

Głos dziewczyny, który rozległ się w GPS-ie, mógł należeć do Ashley Bell. Bo do kogo innego? W sprawę nie było zamieszane żadne inne dziecko. Po kilku godzinach wracały nadprzyrodzone siły, które Calida wpuściła do życia Bibi.

## ***Pudełko ze zwyczajną zawartością***

Mieszkanie Bibi zostało urządzone ze smakiem, w stylu modernistycznym, z akcentami art déco. Było proste, przytulne i czyste, a w tych okolicznościach tajemnicze. Paxton położył swoją marynarską torbę tuż przy wejściu. Stał z Pogo i lustrowali salon, jadalnię i otwartą kuchnię za nią, czujnie nasłuchując, jakby w każdej chwili mogło zmaterializować się coś nieznanego i nieprzyjemnego.

- Czego szukamy? – zainteresował się Pogo.
- Czegokolwiek niepasującego do naszej pani.
- Trochę to niekonkretne.
- Dokładniej się nie da. Gdyby ktoś rozłożył trzy kapelusze, wiedziałbyś, który jest Bibi, no nie?
- Ona nie lubi kapeluszy.
- Właśnie. Jak zobaczysz kapelusz, to będzie podejrzane.
- Czyli kapelusz to taka metafora wszystkiego, co nie pasuje do Bibi?
- Wystarczy, że to zobaczymy, a będziemy wiedzieli.
- Myślisz?
- O ile będziemy przygotowani. Ludzie żyją, nie widząc różnych zdumiewających rzeczy, ponieważ się ich nie spodziewają.
- Czy w SEAL wszyscy mają skłonności do mistycyzmu?
- Wojna – odparł Pax – albo stępia umysł, albo wyostrza go na prawdy intuicyjne.



- Kto to powiedział?
- Ja. Podzielmy się i przeszukajmy pokoje.
- Ja biorę gabinet – zdecydował Pogo. – Ty sypialnię. Czułbym się głupio, oglądając jej bieliznę.

Pax też czuł się głupio, choć nie do końca z tych samych powodów co Pogo. Kiedy miał jedenaście lat, tydzień po nagłej śmierci Sally May Colter – ukochanej babki po kądzieli – mama zabrała go do jej domu, żeby spakować ubrania w pudła, które chciała oddać organizacji dobroczynnej. Przeglądali też książki, biżuterię i bibeloty Sally, decydując, co dać którym krewnym i znajomym na pamiątkę. Dzień mógłby okazać się ponury, gdyby mama nie opowiedziała mu o Sally nieznanym mu, niezliczonych historii, dzięki którym pamiętał ją przez te wszystkie lata. Szukając w szufladach szafek, komody i toaletki Bibi, czuł się tak, jak gdyby robił wstępne rozeznanie, czego się będzie trzeba pozbyć po jej śmierci.

W garderobie stanął na trzystopniowym podeście i na najwyższej półce zobaczył zamykane metalowe pudełko. Miało około sześć na dziesięć cali.

Nie umiałby sobie wyobrazić czegoś bardziej niepodobnego do Bibi. Ona była praktyczna, pudełko nie. Ogniotrwale, ale nie ognioodporne, wygięłoby się pod wpływem gorącego płomienia i wieko uchyliłoby się, przyciągając ogień. Przenośne, nie stanowiło przeszkody dla włamywacza, zarazem zwracając uwagę. Zresztą po co komu pudełko zamykane na kluczyk, który przykleiło się taśmą do wieka?

Po przeszukaniu gabinetu Pogo zaglądał do szafek kuchennych, kiedy zjawił się Pax i postawił swoje odkrycie na stole jadalnym. Na tle czerwonej formiki metalowa szkatułka z przypalanymi na czarno wykończeniami wyglądała złowroźnie, jakby sugerowała, że powinni wezwać specjalistę od rozbierania bomb, który by się nią zajął.

- Masz coś – stwierdził Pogo.
- Być może.

Siedli przy stole. Pax użył klucza. Zawias listwowy był nieco sztywny, lecz wieko otwarło się na całą szerokość. Większa część zawartości leżała przykryta zmiętą irchową szmatką, w której luźnych fałdach znajdowała się wytarta, spękana i pokryta zeschniętym brudem obroża.

Unosząc ją jednym palcem, Pax zapytał:

– Widziałeś to już kiedyś?

– Nie.

– Po co trzymała coś takiego?

Pogo wziął obrożę, a gdy się jej przyglądał, brud wykruszał mu się między palcami.

– Jasper – odczytał imię równo wykarbowane w skórze.

– Czy miała kiedyś psa, który wabił się Jasper?

– Coś tak jakby. – Zmarszczony Pogo wskazał inny przedmiot w pudle na dokumenty, zbindowany notes. – Pełno w nim opowieści o psie Jasperze.

Notes miał mniej więcej sześć na dziewięć cali i prawie cal grubości. Składał się z ponad dwustu kartek w linie. Nazwa i logo producenta artykułów biurowych na okładce zostały zamalowane, co stworzyło bladobeżowe tło do pięknie wymyślonego i wykonanego atramentem rysunku skaczących pantery i gazeli, każdej na tylnych łapach i przęcającej się do ucieczki przed towarzyszką.

– To ja to narysowałem. Robiłem specjalne okładki do większości jej dzienników i notatek. Już wtedy uwielbiała styl art déco.

– Nie wiedziałem, że masz taki talent.

Pogo wzruszył ramionami.

– Ile mieliście lat, kiedy to narysowałeś?

– Ona... dziesięć, kiedy pisała o Jasperze, tak że ja musiałem mieć osiem.

– Umiałeś narysować takie rzeczy w wieku ośmiu lat? Znaczy, że byłeś genialnym dzieckiem.

– Nie jestem Normanem Rockwellem. Zdolności rysunkowe

objawiają się wcześniej, to wszystko. Wycucie formy. Perspektywa. Ludzie chodzą do szkół plastycznych, żeby to doskonalić, a nie po to, żeby się tego uczyć. Ja też miałem taką możliwość. Ale w ogóle miałem w życiu dużo możliwości. To jednak nie wystarczy, trzeba mieć jeszcze siłę woli.

Zdaniem Paxa wszystkich stać na więcej, niż im się zdaje, i jedną z najsmutniejszych cech ludzkiej natury jest to, że większość nawet nie uświadamia sobie, jakie tkwią w nich talenty i możliwości. Przenikliwa ocena samego siebie musiała być jednym z powodów, dla których Bibi tak bardzo polubiła Pogo.

– Czemu pantera i gazela?

– Po prostu taki fajny obraz. Jeśli były jakieś inne powody, to już ich nie pamiętam.

Pax wertował kartki wypełnione schludnym pismem, bardzo podobnym do charakteru pisma Bibi dwanaście lat później, ale z dodatkiem dziewczęcych zawijasów, które później porzuciła. Czasem stawiała nad „i” kółeczko, czasami nie, wyraźnie woląc kółko tam, gdzie słowo było szczególnie barwne, a nad „j” zawsze umieszczała gwiazdki.

– Pierwszą wersję każdego opowiadania pisała zawsze na kartce – opowiadał Pogo. – Potem dokonywała kilku redakcji. W końcu przepisywała do notesu.

Opowiadania stanowiły dwie trzecie objętości notatnika. Na pierwszej pustej kartce po nich Pax znalazł dwa wersy z jednego z ulubionych wierszy Bibi, *Wieczoru duszy* Donalda Justice’a: *Teraz zaczyna się wieczór duszy / Oto świetliki pulsujące we krwi.*

Opowiadania napisano niebieskim atramentem. Wersy czarnym. Niebieski z czasem wyblakł. Czarny pozostał ciemny i robił wrażenie dopiero co naniesionego na papier. Nad ani jednym „i” nie widniało kółeczko zamiast kropki. Bez śladu zniknęły też inne ozdobniki charakterystyczne dla pisma dziesięcioletniej Bibi.

Cały czas przyglądając się obroży, Pogo stwierdził:

– Mówiła, że Olaf nosił wytartą, ubłoconą obrożę, kiedy pojawił się wtedy podczas ulewy. Ale nigdy nie wspominała, że na obroży jest imię.

– Jasper. Imię psa z tych opowieści. Być może знаła kogoś, kto miał psa imieniem Jasper, a to była jego obroża.

Pogo pokręcił głową.

– Pies z opowiadań jest zmyślony. Od początku do końca. Mniejszy od Olafa. Szarobury kundel, a nie golden retriever. Ta obroża byłaby za duża na Jaspera.

Pogo nadal obracał w rękach pasek skóry. Cichy brzęk klamry. Płatki brudu spadają na stół między jego palcami.

– Jaka jest szansa – powiedział – że najpierw napisze wszystkie te opowieści o porzuconym psie, a potem porzucony pies imieniem Jasper pojawi się przed jej domem?

– Najlepsi fachowcy z Vegas nie obliczyliby takiego prawdopodobieństwa – stwierdził Pax. – Może chodzi ci o... czy to mógł być zbieg okoliczności?

– A jak ci się zdaje? – Pogo oderwał wzrok od obroży i spojrzał na niego.

– Bibi nie wierzy w zbiegi okoliczności.

– Tak, wiem. Ale czy to możliwe?

– Ja też nie wierzę.

Odkładając obrożę z wykarbowanym imieniem – Jasper – do góry, Pogo spytał:

– To o co biega? Dlaczego nic nam nie powiedziała?

Pax nie wiedział, co o tym sądzić. Był za to właściwie pewien, że co prawda identyczne imię może robić wrażenie przypadkowego detalu, to jednak zmyślony kundel Jasper i Jasper-golden retriever, który stał się Olafem, mieli spore znaczenie. Intuicja, wiedza poprzedzająca całe rozumowanie i naukę, sprawiła, że włosy na karku stanęły mu dęba, a w kręgosłupie poczuł chłód.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie Pogo, zaproponował:

– Zobaczmy, co jeszcze jest w pudełku. – I wziął małą plastikową torebkę z rodzaju tych, w jakich ludzie często trzymają witaminy czy inne leki. Zawierała zeschnięty strzępek skalpu z kosmykiem włosów, w dolnej części zlepionych czymś, co musiało być zaskorupiałą krwią.

## *Ich cień żyje tam, gdzie mieszkają cienie*

Niosąca broń i niespokojna Bibi biła się z myślami: czy trzeba i czy mądrze jest wchodzić nieproszonym do domu tak dziwnego jak ten, stojący niczym wielki grobowiec na środku pustyni Mojave. Podeszła przez pola, a nie drogą, po piachu, luźnych bryłach łupków i zeschniętej roślinności mieniących się niejasnym światłem księżyca, który zwodził na manowce w stopniu takim samym, w jakim oświetlał drogę. Robiła więcej hałasu, niżby chciała, zwłaszcza że wyobrażała sobie, że będzie pomykać przez suchy krajobraz z gracją kojota. Tyle dobrze, że noc była zimna i nie musiała przejmować się grzechotnikami, choć czasami zdawało jej się, że w ciemnościach przemykają skorpiony.

Dom stał zwrócony ku północy. Ona podeszła do ściany wschodniej, wzdłuż której posuwała się, ostrożnie zaglądając przez okna zasłonięte jedynie firankami. Pokoje były umeblowane, lecz nie zauważyła w nich nikogo.

Tak jak od frontu, od południa także nie było ganku. Prostokąt cegieł zaznaczał drzwi od tyłu, które wyglądały tak, jakby zostały wyważone taranem i zerwane z zawiasów. Zniszczone, leżały popękane na wapiennej podłodze holu, oświetlonego kinkietami z matowego szkła. Ślady przemocy powinny ją odstraszyć. Weszła jednak do środka.

Tego miejsca nie widziała nigdy wcześniej, a jednak czuła się tu jak u siebie. W okruchu wspomnień Ashley Bell stała

w oknie od frontu. Głos z elektronicznej mapy, radzący jej się tu zatrzymać, należał do młodej dziewczyny, być może do Ashley. Bibi nie mogła się wycofać. To niemożliwe. Została wyleczona z raka, żeby ocalić życie, i tylko ona mogła zagrozić Śmierci drogę do dwunasto-, może trzynastoletniej dziewczynki.

Leżące drzwi zabujały się pod jej nogami, wywołując nieunikniony stukot, mimo że szybko z nich zeskokczyła. Nikt nie zawołał ani nie wyszedł sprawdzić, kto tak hałasował. Domostwo tonęło w ciszy.

Po wejściu Bibi wkroczyła jednocześnie w osobliwy stan równoczesnej wiedzy i niewiedzy. Nie było to do końca *déjà vu*, złudzenie, że coś się już przeżyło, mimo że w gruncie rzeczy stykamy się z nim po raz pierwszy. Nie tylko poznawała napotykaną rzecz, lecz i ciągle przewidywała, co będzie za chwilę. Pralnia na prawo od holu. Tak. Spizarnia z lewej. Tak. A przed nią, tak jest, kuchnia. Co prawda umiała więc przewidzieć, jakie pomieszczenie zobaczy dalej, ale nie przypominała sobie, żeby tu kiedykolwiek była.

Kuchnia była dość prymitywna jak na normy dwudziestego pierwszego wieku. Bez mikrofali. Bez zmywarki. Gazowa kuchenka i przymała lodówka – z napisem ELECTROLUX na drzwiach – liczyły sobie wiele dziesiątków lat, a przy tym wyglądały jak nowe lub zadbane.

Meble w innych pokojach były za duże, lecz eleganckie i nowoczesne. Jedne zawierały elementy w stylu *art déco* z drewna amboina, inne były pokryte polerowanym czarnym lakierem. Wszystkie swego czasu drogie, a teraz jeszcze droższe, ponieważ stały się antykami. Gdzieniegdzie przewrócone krzesło albo biurko, ale poza tym wszystko tak, jak należy. Wybito szybę w wystającej części jakiejś komody, ale zawartość została nienaruszona. Zniszczenie nie było systematyczne, raczej dokonywane od niechcienia, jakby ktoś zjawił się tutaj w dużo ważniejszym celu, a szkody wyrządzał tylko mimochodem.

Wracając z salonu do holu wejściowego, Bibi dostrzegła po lewej jakieś szybkie poruszenie, ciemny kształt. Wysoki, szczupły, przygarbiony. Obróciła się w tamtą stronę, trzymając pistolet w obu rękach, ale nikogo nie było. Istota rzeczywista wydałaby jakiś dźwięk – spieszne kroki, skrzypienie mahoniowych desek podłogi, chrapliwy wdech – ale nieziemska cisza pozostała nienaruszona. Poza tym zdawało się, że postać przemieszcza się w nieludzkim tempie, w ułamku sekundy przecinając korytarz między pomieszczeniami.

Okno z okruchu pamięci, w którym widziała Ashley w białej sukience z bladoróżowym, koronkowym kołnierzykiem, znajdowało się na drugim piętrze. Weszła na schody. Gdy dochodziła do pierwszego piętra, jakiś atramentowy kształt, tak chyży i płynny, że Bibi odniosła tylko wrażenie – niepewne – że to człowiek, pojawił się ponad nią i przemknął obok niej na dół. Mimo że postać nawet jej nie musnęła, jej przejściu towarzyszył chłód i Bibi niemal straciła równowagę. Oparła się o poręcz, utrzymała w pionie i odwróciła się na tyle szybko, że zdążyła dostrzec cień, który czmychał z półpiętra na schody prowadzące na parter.

Nie miała pojęcia, czy to ten sam duch – o ile „duch” było tu właściwym słowem – którego widziała w holu na parterze, lecz wyczuwała, że nie miota się po całym domu w napadzie furii, tylko że jest to duch cierpiący niezmiernie męki, karmiący się boleścią, żywy energią rozpaczony zwanej desperacją.

Na pierwszym piętrze znalazła trupa mężczyzny leżącego na wznak na chodniczku. Robił wrażenie zatłuczonego na śmierć pałkami w rękach ludzi, dla których przemoc była środkiem odurzającym. Ubranie zmieniło się w nasiąknięty krwią całun, twarz i czaszka w teren zorany kraterami, od którego musiała natychmiast odwrócić wzrok.

Popęłnił błąd, stawiając opór. Ośmielił się bronić. Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale wiedziała.

Jeżeli Ashley Bell wciąż tu była, być może znajdzie ją na



drugim piętrze, w pokoju z oknem znanym ze strzępka wspomnienia.

Z bijącym jak szalone sercem, czując się jak nurek głębinowy w kombinezonie pod ciśnieniem wody, który stara się przebyć niezliczone sążnie i wydostać na powierzchnię, Bibi szła po kolejnych stopniach. Pistolet zrobił się dziwnie ciężki, nadgarstki bolały ją od jego ciężaru.

## ***Traumy w zapasie***

Siedzący w kuchni Bibi Paxton nie mógł się opędzić od myśli, że potrzebują świec, że na stole trzeba ustawić ich co najmniej kilka, mimo że była dopiero druga piętnaście po południu, przez okna wlewało się słońce, a sytuacja z pewnością nie sprzyjała romantycznej atmosferze. I kilka razy poczuł mocny zapach róż, chociaż w mieszkaniu nie było chyba żadnych kwiatów i nie rozpylali odświeżacza, co mogłoby tłumaczyć widmowy zapach. Odczucia te przypominały mu chwile w szpitalu, gdy słyszał głos Bibi.

Woń róż doleciała go znowu, gdy wbił zdumiony wzrok w plastikowy woreczek z wyschniętym skrawkiem ludzkiego skalpu, z którego wyrastał kosmyk białych włosów o korzonkach sklejonych skorupą rdzawej krwi.

– No, jeśli szukamy czegoś niepodobnego do Bibi – stwierdził – nie znajdziemy niczego lepszego.

– I tak, i nie – odparł Pogo. – W dzień pogrzebu dziadka...

– To znaczy Kapitana?

– Tak. Wszyscy wrócili z cmentarza do bungalowu na zwyczajowe spotkanie. Wiesz – jedzenie, picie, wspominki. Jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt osób. Istny tłum, zrobił się rozgardiasz. Zorientowałem się, że Biibs gdzieś przepadła. Była podłamana. Kochała go. Domyśliłem się, że poszła nad ocean. Poszedłem więc na Inspiration Point i faktycznie siedziała tam na ławce. Zobaczyła mnie dopiero, gdy przy niej usiadłem – a w rękach trzymała ten plastikowy woreczek.

– To włosy Kapitana? – spytał Pax.

– Tak. Wygląda na to, że kiedy tętniak pękł, facet najpierw zerwał się na równe nogi, dopiero potem upadł. Był wysokim gościem. Padając, uderzył mocno w kant stołu, prosto w ostry róg. Został ten kawałek skóry z włosami. Bibi zabrała go sobie, gdy go znalazła.

– Po co? Nie ma takich makabrycznych skłonności.

– Nie tłumaczyła się, a ja nie pytałem. Zawsze o wszystkim mówiliśmy sobie w stu procentach otwarcie, wiesz, ale podlegało to takiej klauzuli, której żadne z nas nigdy nie narusza: informacja musi być potrzebna. Kazała mi przyrzec, że nikomu nie powiem, i nie powiedziałem – do dzisiaj. Zresztą ja miałem osiem lat, a ona dziesięć. Pomagała mi w przejściu z surfowania na brzuchu do krótkiej deski i była dla mnie jak bogini. I cały czas jest. Bogini musi mieć tajemnice, których lepiej nie znać, bo kiedy się je pozna, trzeba umrzeć.

Pax przez chwilę przyglądał się zawartości torebki, po czym odłożył ją i zajął się pozostałymi czterema przedmiotami w metalowym pudle.

## ***Dziewczyna, która kocha konie***

W korytarzu na drugim piętrze leżały zwłoki kobiety. Kolejny dowód bestialstwa tych, którzy zawładnęli domem. Być może na pierwszym piętrze leżał trup męża, a ona stała tutaj na ostatnim posterunku, bo nieopodal leżały ni mniej, ni więcej tylko widły, zupełnie nieprzydatne w tak eleganckiej i stylowej rezydencji. Zęby tej chłopskiej broni nie były mokre od krwi, tak że Bibi mogła tylko założyć, że biedaczka, bez skutecznego zabezpieczenia w postaci broni, nie miała szans na zrobienie krzywdy zabójcom męża. Woląca nie oglądać zwłok dokładnie, ale musiała rzucić na nie okiem, jakby po części odpowiadała za to, co się tutaj stało, choć rzecz jasna nie ponosiła odpowiedzialności za wyczyny Terezina i jego popleczników. Z nią zrobią to samo – albo jeszcze coś gorszego – gdy tylko nadarzy się okazja. Kobieta została wielokrotnie postrzelona. W brzuch, piersi, twarz. Bibi odwróciła się, bardziej z litości niż ze strachu, jak gdyby jeszcze jedna chwila autopsji miała ją zmienić we współniczkę.

Podejrzewała, że trzeciego ciała już nie będzie, ale szła korytarzem, lękając się takiego właśnie odkrycia. Jeżeli Ashley schowała się u siebie w pokoju, powinni ją znaleźć i zabrać. Sam Terezin utrzymywał, że potrzebuje jej w swoje nadchodzące urodziny. Najprawdopodobniej zostanie wówczas zgwałcona na różne wymyślne sposoby, potem poddana torturom, a następnie uroczyście zabita w ramach ponownej

inauguracji obłądnego ostatecznego rozwiązania tego, co Hitler określał mianem „problemu żydowskiego”. Ale jeśli członkowie sekty, zwolennicy Terezina, *nie* zabrali dziewczyny z domu, jeśli stawiała opór, tak jak matka i ojciec, zamiar wzięcia jej żywcem mógł spełznąć na niczym.

Bibi wiedziała, co prócz trupa lub nieobecności dziewczyny zastanie w pokoju na końcu korytarza po lewej, w pokoju o uchylonych drzwiach: konie. Z pistoletem skierowanym w podłogę, nie przejmując się już faszystowskimi mordercami, przeszła przez próg.

Przeczcucie jej nie zawiodło: obrazy koni, rzeźby koni, porcelanowe figurki, książki o koniach. Dom ten był jeszcze czymś innym, o czym Bibi zapomniała, najpewniej przy użyciu sztuczki Kapitana. Już tutaj kiedyś była, choć nie wiedziała, kiedy i w jakim celu. Odnajdywała coraz więcej spalonych wspomnień, których fragmenty ocalały jako popioły: ten dom, ten pokój, miłość Ashley Bell do koni. „Na pewno znam Ashley. Musiałam się z nią spotkać co najmniej raz!” – pomyślała. W przeciwnym bowiem razie nie znałaby tego domu tak dokładnie. Skąd wiedziałyby o motywie konia na rzeczach w tym pokoju?

Drzwi wysokiej, zabudowanej szafy stały otworem. Ubrania, które tam wisiały, zostały wyrzucone na podłogę.

Podchodziła tam drżącym krokiem, lecz nie uniosła pistoletu. Tajemna płyta w tylnej ścianie mebla, o której istnieniu Bibi jakimś cudem wiedziała, została odsunięta. Niewielka przestrzeń za nią była pusta. Jeśli dziewczyna się tam chowała, Terezin i jego ludzie ją znaleźli.

## ***Zegar, zegarek i kuchenki***

Paxton raptownie poczuł, że traci czas. Uczucie to wzięło się znikąd, nie miało widocznej przyczyny. Miał wrażenie zbliżania się do krawędzi pustki. Nabrał pewności, że Bibi się od niego oddała, schwytała przez kogoś złowrogiego i unoszona bardzo szybko, chociaż nie wiedział, w jakim kierunku ani dokąd. Co nie miało sensu. Leżała w szpitalu w stanie śpiączki. Nie można było jej uprowadzić z dozorowanej placówki medycznej. A gdyby jej stan się zmienił, Nancy lub Murphy by do niego zadzwonili.

Czwartym przedmiotem w czarnej metalowej szkatule był mały magnetofon z mikrokaseta. Nie mogli jej posłuchać, bo wyczerpały się baterie.

Pogo szukał zapasowych baterii w spizarni i w szafkach kuchennych, a Pax oglądał piątą rzecz – złożoną w czworo kartkę żółtego papieru w linie, na której wypisano szereg cytatów i ich źródła. Pismo nie wyszło spod ręki Bibi – nie było ani równym pismem dorosłej, ani jego bardziej ozdobną wersją z dzieciństwa. Stanowcza, pochylona kreska zdawała się sugerować autorstwo mężczyzny. Tani papier już kruszał na rogach, pod wpływem czasu i łożu naskórka. Kartka była składana i rozkładana tyle razy, że w którymś momencie zgięcia wzmocniono taśmą klejącą.

Pax na użytek Pogo zaczął odczytywać cytaty.

– *Ten świat to ledwie kanwa dla naszej wyobraźni z czegoś autorstwa Henry’ego Davida Thoreau.*

- Gościa od *Walden* – włączył się Pogo.
- Czyli jednak uważałeś w szkole.
- Choćbyś nie wiem, jak się starał, coś zawsze utkwi w głowie.
- Następne znów z Thoreau. [...] *Jeśli ktoś zmierza pewnie w wymarzonym przez siebie kierunku i stara się żyć zgodnie z tym, co sobie wyobraził, spotka go niepowszedni sukces.*
- Pogo znalazł paczkę baterii Duracell AAA i położył je na stole.
- Czy Thoreau był gościem od *Walden* i od potęgi myślenia pozytywnego?
- Nie. Ten od optymizmu nazywał się Norman Vincent Peale. A to znowu niejakiego Anatola France'a: *Wiedzieć jest niczym, wyobrazić sobie – wszystkim*[\[8\]](#).
- Zdaje się, że widzę jakiś wspólny motyw – powiedział Pogo, wymieniając stare baterie w magnetofonie.
- Ja też. Wyobraźnia, wyobrażone, wyobrażać sobie. A tu tekst z Josepha Conrada.
- Gościa od *Jądra ciemności*.
- Mały, ale z ciebie oszust. – Pax odchrząknął i czytał dalej: – *Tylko w ludzkiej wyobraźni znajduje każda prawda istotne i niezaprzeczalne istnienie. Wyobraźnia, a nie inwencja, jest najwyższym mistrzem sztuki i życia*[\[9\]](#).
- Z grubej rury.
- Uczucie katastrofy zagrażającej Bibi nasilało się. Pax zerknął na zegarek, potem na ścienny zegar, gdzie wskazówka sekundnika gładko sunęła dookoła tarczy, a minutowa *drżącym* ruchem przeskoczyła z 2:19 na 2:20, tykając jak spust.
- I jeszcze coś. Kenneth Grahame napisał...
- Pogo wszedł mu w słowo:
- Gość od *O czym szumią wierzby*. Ropuch, Kret, Szczur, Borsuk, piszczalki o świcie i reszta.
- I napisał: *Na ogół dorośli rzetelnie trzymają się niezbitych faktów, za to wykazują smutny brak wzniosłego daru wyobraźni*[\[10\]](#). Wiesz, kto to był Wallace Stevens?
- Poeta. Nowe baterie nie działają. Magnetofon jest skopany.

– Skopany?

– Zepsuty, do niczego, na złom, wszystko jedno. Ale znam kogoś, kto może go naprawić.

– A więc ten poeta, Wallace Stevens, napisał: *W świecie słów wyobraźnia jest jedną z sił natury*. I jeszcze ktoś. Może o nim słyszałeś. Szekspir. *A gdy imaginacja mu podsuwa/Domysł nieznanych rzeczy, jego pióro/W kształt je obleka i zwiewne nicości/Przyszpila nazwą do miejsca w przestrzeni*<sup>[11]</sup>.

Pogo zastanawiał się nad Szekspirem, w końcu pokręcił głową.

– Nabawię się od tego migreny. Co według ciebie oznacza ta lista?

– W każdym razie chyba jest napisana przez jej dziadka.

– Kapitana. No tak. Za to ona znalazła ją i czytała tak często, że kartka zaczęła przerywać się na zgięciach.

Pax zerknął na zegarek, potem na cyfrowe wyświetlacze na mikrofalni i piekarniku, na okno, za którym światło popołudnia bynajmniej nie zaczynało słabnąć. Mimo to w jego wnętrzu coraz mocniej nakręcała się zegarowa sprężyna niepokoju.

– Jesteś umówiony na dancing? – spytał Pogo.

– Bibi znowu ze mną rozmawia – uznał Pax.

– Co mówi?

– Tym razem to nie słowa, tylko uczucie. Że czas się kończy. Że ktoś zły ją dogania. I to w tej chwili.

Pogo zrobił ponurą minę.

– Rak mózgu.

– Nie coś złego, tylko *ktoś*.

– Są przy niej Nancy i Murph, przynajmniej jedno z nich. I to nie sami.

– To się nie stanie w szpitalu, to stanie się... tam, gdzie ona jest.

– Wiem, że jesteśmy w strefie mroku, ale jak mówisz takie rzeczy, wychodzisz na wariata – stwierdził Pogo.

Pax wyjął z pudełka szóstą rzecz – książkę z obrazkami dla



dzieci, opowiedzianą krótkimi zdaniem i w prostych słowach.  
*Wielka przygoda Cookiego.*

– Wszyscy ją znają – oświadczył Pogo. – To ulubiona książka z dzieciństwa Nancy. Podarowała mi ją, kiedy miałem pięć lat.

– Bibi jej nie lubiła?

– Chyba lubiła. Jak była mała. Moim zdaniem to nie jest taka znowu ponadczasowa literatura.

– Jeżeli ją lubiła – podjął Pax – czemu nie stoi na regale w salonie albo w gabinecie?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Gdy Pax wertował *Wielką przygodę Cookiego*, Pogo wziął z zamkniętego pudełka ostatnią rzecz. – Święta suka.

– Że co?

Machając kilkoma spiętymi stronami maszynopisu, Pogo wyjaśnił:

– Biibs napisała to dla pani profesor, która kazała jej zrezygnować z zajęć pisania. – Wypowiedział jej nazwisko przemądrzałym tonem: – Doktor Solange St. Croix.

– Ironia nie wypada dobrze w ustach kogoś, kto nazywa się Averell Beaumont Stanhope Trzeci.

– Racja. Czytałeś?

– Opowiadała mi o tym, ale nigdy nie widziałem na oczy.

Pogo podał mu cztery strony.

– Przeczytaj. Może skumasz, co tak wkurzyło wielką panią profesor. Żadne z nas nie może tego rozkminić.

Przenosząc wzrok z zegarka na zegar i kuchenki, Pax powiedział:

– Może lepiej w samochodzie, kiedy będziemy jechać naprawić magnetofon.

– Leży w pudle z innymi rzeczami. Może ma coś wspólnego z tym, co się dzieje. Przeczytaj teraz.

Ustępując, Pax odczytał tekst na głos, kilka razy w trakcie śmiejąc się, choć zabawne momenty nigdy nie były złośliwe.

– Czysta Bibi.

- Sugestywne – zgodził się Pogo.
  - Ale nie wiem, co doprowadziło nauczycielkę do takiej wściekłości.
  - No dobra. Może to w takim razie nasza pierwsza poszlaka.
  - Jak to?
  - Może odwiedzimy Świętą Sukę i zapytamy, co ją doprowadziło do takiego wybuchu? Wiem, gdzie ona mieszka.
- Pax nie musiał już patrzeć na zegar ścienny, na swój zegarek ani na ledowe wyświetlacze na kuchenkach, bo przez jego mózg przesuwiała się wskazówka, niewidoczna, a wyczuwalna, połykająca sekundy. Był świadomy upływu czasu równie wyraźnie, jak zdarzało mu się w czasie walki. Czuł go tak, jak klepsydra może czuć piach, który się przez nią przesypuje. Znaleźli szkatułkę ciekawostek, lecz niewiele z nich wywnioskowali. Przemyślane działanie zawsze było lepsze od przemyślanej bezczynności, nawet jeśli rozmowa z wykładowczynią college'u na temat jej reakcji na pracę studentki sprzed pięciu lat nie wydawała się szczytem aktywności.
- Dobra – powiedział, wstając od stołu. – Jedziemy do pani profesor.
  - Ale ty przesłuchujesz – zastrzegł Pogo.
  - To nie jest przesłuchanie, tylko pogawędka.
  - Za to, jak potraktowała Biibs, chętnie zaaplikowałbym jej waterboarding.
  - Ja nigdy tego nie robiłem. Nigdy nie używałem śrub, nie raziłem genitaliów prądem, nie wbijałem pędów bambusowych pod paznokcie, nie puszczałem głośno muzyki disco, żeby kogoś złamać – nie robiłem żadnej z tych rzeczy pokazywanych przez Hollywood. Zwykle wystarczy psychologia i dobry wykrywacz kitu.
- Pax złożył kartkę z wypisanymi ręcznie cytatami na temat wyobraźni i spiął ją z czterema stronami tekstu Bibi, który tak bardzo wzburzył doktor St. Croix. Wetknął wszystko do

notatnika z panterą i gazelą zawierającego opowiadania o psie Jasperze. Nie widział potrzeby zabierania obroży, książki dla dzieci ani foliowego woreczka z włosami Kapitana. Pogo wziął wymagający naprawy magnetofon.

– Trzymaj się, Biibs – rzucił, na co Pogo zapytał, czy jego zdaniem ona go słyszy. Odpowiedział: – Nie. Ale nie pierwszy raz mówię do niej głośno, chociaż mnie nie słyszy.

[\[8\]](#) Anatole France, *Zbrodnia Sylwestra Bonnard*, tłum. Jan Sten.

[\[9\]](#) Joseph Conrad, *Ze wspomnień*, tłum. Aniela Zagórska.

[\[10\]](#) Kenneth Grahame, *Złote dni*, tłum. Ewa Horodyska.

[\[11\]](#) William Shakespeare, *Sen nocy letniej*, tłum. Stanisław Barańczak.

## ***Przebiegli i liczni***

Gdy Bibi schodziła na parter domu, z którego porwano Ashley, starannie omijając oba trupy, kątem oka zauważyła dwa duchy, szybkie i nieuchwytnie jak nietoperze, ale wielkości ludzi. Zachowywała się tak samo cicho jak wcześniej i znów poczuła, że miotają się po domu w katuszach, nie w napadzie furii. Poruszały się jeszcze szybciej, jak gdyby w gorączce. Raptownymi, nieprzewidywalnymi susami zbliżały się do niej, wystraszonej, choć spodziewającej się takich wstrząsów. Zaczynała myśleć, że czegoś od niej chcą i że nie może – nie wolno jej – im tego dać. Te pozbawione rysów postaci raz za razem i coraz śmielej się o nią ocierały. Były niematerialne i dlatego nie czuła siły ich dotyku, ale za każdym razem wstrząsał nią zimny dreszcz, który nie brał się z wnętrza, tak jak wcześniej, tylko przeszywał ją odłamkami jak szrapnel lodu, i mimo braku bólu niemal spodziewała się, że na ubraniu pojawią się plamy krwi.

Ogarnięta – wręcz *pchana* – palącą potrzebą wydostania się z tego domu, zaniepokojona, chociaż nie przerażona, odpowiadając na strach, ale przed nim nie uciekając, schowała pistolet do kabury, żeby mieć wolne obie ręce. Kiedy zeszła na parter i przemierzała hol w stronę drzwi wyjściowych, zamachała rękami w celu odpędzenia duchów, które na nią skakały. Ponieważ były nieważkie jak cienie, nie była w stanie ich odrzucić ani odepchnąć. Czuła się głupio i niezdarnie, lecz

była przekonana, że jeśli nie stawi oporu, zrobią się bardziej agresywne i w końcu będą mogły się stać realnym zagrożeniem.

Wypadła z domu na prosty, ceglany ganek i na podwórko – połać piaszczystej ziemi pokrytej kamieniami i kępami bladej, zachwaszczonej trawy, która być może nigdy nie była zielona, słabo oświetlona mroczną poświatą księżyca. Tak jak się spodziewała, duchy nie wyszły za nią z domu, przykute do pomieszczeń, w których żyły, umarły i znowu trwały w bólu.

Biegła, potykając się, i kilka razy mało nie upadła, zanim dotarła na żwirowe pobocze drogi stanowej, gdzie stanęła i odwróciła się w stronę domu. Cały czas robił wrażenie umieszczonego w niewłaściwym miejscu i czasie. Ciężko dyszała, czekając, aż dom zapadnie się pod ziemię jak dom Usherów Poego. Ale tutaj nie było ani mrocznego, czarnego jeziora jak w opowiadaniu, ani trzęsawiska, które mogłoby pochłonąć budowlę.

Nie było już potrzeby wracania polami, ruszyła więc jezdnią na wschód, gdzie stała honda Pogo. Po drodze zastanawiała się nad duchami, nad tym, czego też mogły od niej chcieć.

Z kilku pragnień, które jej przyszyły do głowy, jedno wydało się tym prawdziwym w chwili, gdy o nim pomyślała. Chciały ją zatrzymać, opóźnić, stanąć jej na przeszkodzie. Co oznaczało, że nie były – jak jej się wydawało – duchami zmarłych rodziców Ashley, zastrzelonej kobiety i pobitego mężczyzny. Wyzdrowiała, żeby ocalić życie Ashley, ale istniały siły, zarówno ludzkie, jak i nadprzyrodzone, które pragnęły tej śmierci.

Jeśli dziewczyna zostanie zamordowana, rak być może powróci, gdyż Bibi nie zasłuży sobie na remisję.

Droga do hondy zdawała się nadmiernie długa i zaczynała się bać, że ominęła miejsce, gdzie zostawiła auto, że samochód ukradziono i wskutek tego czeka ją marsz na Sonomire Way.

Zatrzymać. Opóźnić. Stanąć na przeszkodzie. Czarne jak atrament i zwinne jak nietoperze duchy w domu nie były jedynymi istotami, które usiłowały ją powstrzymać, odkąd to

wszystko się zaczęło. Gdy przy stoliku w pokoju motelowym układała nazwy ulic z liter na płytkach, coś pukało do drzwi, drapało w nie, stukało do okien, odwracając jej uwagę i opóźniając poszukiwania słowa, a wreszcie nazwy SONOMIRE WAY. Ta mgła! Pierwszego dnia wieczorem wlała się z morza na ląd, nazajutrz wycofała się tylko na chwilę, by po zachodzie słońca i nastaniu drugiej, dzisiejszej nocy zbić się w oślepiającą masę, która ogromnie spowalniała ruchy. Odnosiła wrażenie, że mgła była nienaturalnie gęsta i uporczywa, że została zesłana nie przez naturę, tylko przez siłę, której Terezin mógł nakazać sprzeciw wobec działania Bibi i rzucanie jej kłód pod nogi.

Wciąż nie ma hondy.

Zerwała się do biegu.

Możliwe, że szybsze pompowanie krwi przez umęczone serce zmieniło mechanizmy myślenia w mózgu, ponieważ przyszła jej do głowy nowa, niepokojąca możliwość. Być może jej wrogowie nie są tak przebiegli i liczni, jak się wydawało. Pukanie i drapanie w motelu mogły być wytworami wyobraźni, bo po otwarciu drzwi i wyjściu nie napotkała żadnego zagrożenia.

Jeśli atramentowe duchy były nieprawdziwe, były halucynacjami, oznaczało to poziom samooszukiwania się bliski obłądowi.

Przecież już wcześniej zdradziła samą siebie, wycinając fragmenty z książek O'Connor, Wildera i Londona, paląc je w zlewie w motelowej łazience, by nie dopuścić do potwierdzenia pewnych podejrzeń, jakie żywiła w stosunku do Chubba Coya.

Oczywiście nie mogła być swoim *jedynym* wrogiem. Na przykład nie umiałaby stworzyć ściany mgły. Ta musiała zostać wywołana przez naturę albo tajemne moce Terezina.

Prawda?

*Czy nie?*

Stała jak wryta na środku autostrady. Serce tłukło się w klatce żeber, jakby chciało się wyrwać i ulecieć, i zostawić ją

pokonaną, martwą na asfalcie. Ogromna, przeraźliwa, ledwie widoczna tajemnica – lub utracone wspomnienie – kłębiła się w głębi umysłu. Bibi wyczuwała jej obecność, jej zatrważającą skalę, wiedziała, że jej ujawnienie będzie druzgocące. Stała na drodze. Czekała. Czarne niebo, księżyc, planety i nieskończone roje gwiazd zaczynały jej ciążyć. Ogarnęła ją słabość i myślała, że kolana zaraz się pod nią ugną. W głowie rozległo się nieziemskie, elektroniczne piszczenie, brzmiące tak, jak wyobrażała sobie dzwonienie w uszach, i pomyślała: „To tylko to cholerne urządzenie do monitorowania funkcji mózgu”, ale nie miała pojęcia, co by to miało znaczyć, ani co zamierzała zrobić, sięgając do głowy, żeby zdjąć uciskający czepek z elektrodami. Znalazła oczywiście tylko czapeczkę bejsbolową. Zaczęła widzieć niewyraźnie. A może to świat zaczął się zacierać, tracić spójność, rozmywać się?

Zamknęła oczy.

Już wiedziała, co się z nią dzieje, i ocknęła się ze złością i obrzydzeniem wobec samej siebie. Los. Ulegała złudzeniu, że to los dyktuje koleje życia. Będzie, co ma być. *Que sera, sera*. Do diabła z tym. Kochała rodziców, ale nimi nie była. Los nią nie rządził. To ona była panią swego losu, kapitanem swej duszy. Nie zrezygnuje. Słowa „kapitulacja” nie dało się ułożyć z płytek z literami jej imienia i nazwiska. Zaszła daleko i nie zrezygnuje.

Ciężar trylionów gwiazd jakby się zmniejszył, ciemna materia, która stanowiła większość wszechświata, przestała spadać na jej barki. Nieważne, czy przenikliwy świst był krzykiem planet obracających się wokół swoich płynnych jąder czy też czymś innym: w każdym razie ustał. Otworzyła oczy, ruszyła na wschód i noc, przedtem tak niewyraźna, zaczynała się rozgadać. Z niewielkiego wzniesienia zobaczyła hondę na opadającym stoku, tam, gdzie ją zostawiła.

Nim otworzyła drzwi, spojrzała jeszcze ku północy, gdzie pusta ziemia za autostradą lekko się unosiła, w nocy

łagodniejsza niż w świetle dnia, wygięta ku górze jak szary koc, pod którym leżą roje śpiących. Nie wiadomo, czy uwagę Bibi zwrócił jakiś odgłos, czy została ona przyciągnięta środkami nadprzyrodzonymi, w każdym razie w oddali ujrzała wysoką postać w bluzie z kapturem, a potem psa, osypanych srebrnym blaskiem księżyca.

Najpierw chciała przejść przez drogę, zawołać i pobiec w ich kierunku, tu, gdzie żadna mgła nie mogła ich spowić i pokrzyżować jej planów. Lecz wtedy zdała sobie sprawę, że są podobni do mgły i atramentowoczarnych duchów w domu, że służą temu samemu celowi, co pukanie i szuranie w motelu. Mieli odwrócić jej uwagę i opóźnić jej ruchy. Taki zamysł przyświecał im od samego początku. Nie wyleczyli jej. Dzięki jakiejś szczególnej właściwości układu odpornościowego bądź dziełu opatrności wyzdrowiała, a rak musiał ustąpić, nim na sali szpitalnej zjawili się mężczyzna z psem. Niezależnie od tego, czy byli istotami z krwi i kości czy też z innego świata, niczego się od nich nie dowie, nawet gdyby ich dogoniła i złapała wysokiego człowieka za rękaw bluzy.

Mimo żarliwej nadziei, że uratuje Ashley Bell, choćby nie wiedzieć, jak uparcie za nią podążała, zawsze był ktoś – Terezin, a może ktoś, dla kogo Terezin był zaledwie twarzą – tak samo zdecydowany, by popsuć jej szyki. Patrząc na widmowego człowieka z psem, idących w takiej odległości, żeby nie być zbyt widocznymi, a jednocześnie robić wrażenie istot nie z tego świata, Bibi zastanawiała się, czy zabicie Ashley jest głównym celem nieprzyjaciela, czy dziewczyna nie jest przypadkiem jedynie przynętą, za pomocą której ściągali najbardziej upragnioną ofiarę, Bibi, do miejsca, skąd nie ma już ucieczki.

Odwróciła się od człowieka z psem, wsiadła do samochodu i odpaliła silnik.



## ***Wiedźma rozpuszcza włosy***

Tynk w roli chleba, tekowe tarasy jako mięso przybrane balustradami z nierdzewnej stali i szkła. Dom doktor St. Croix piętrzył się jak coś, co kiedyś zwałoby się kanapką Dagwooda, na pamiątkę nieszczęsnego Dagwooda Bumsteada, rysunkowej postaci kochanej przez czytelników gazetowych rubryk z żartami, ale potem właściwie zapomnianej. Paxton znał Dagwooda z komiksu *Blondie*, bo jego babce, Sally May Colter, podobał się prawie tak bardzo, jak jej ulubiony *L'il Abner*. Komiksy, które pojawiały się przez wiele lat, zebrano w książkach i babka miała je wszystkie.

Przy wejściu zapowiedział:

- Pamiętaj, miód działa lepiej niż ocet.
- Widziałeś zdjęcie w tej gazecie u Bibi? Tak? Wygląda na to, że sławna pani profesor *przepada* za octem.
- Może nawet nie ma jej w domu – zauważył Pax i zadzwonił do drzwi.

Prawie nie poznał kobiety, która otworzyła drzwi. Zniknąłszy na miarę, drogi, ale przygnębiający żakiet. Założyła *áo dài*, luźny komplet złożony z aksamitnej tuniki i spodni, biały z nieregularnie rozmieszczonymi, pawoniebieskimi, ultramarynowymi i szafranowymi kwiatami, klasyczny strój wietnamski, najbardziej kobiecy w całym świecie mody damskiej. Choć włosy miała zwykle związane w kok, twardy jak kamień, w którym wyglądała jak dziewiętnastowieczna

pionierka, zahartowana dziesiątkami lat walki z żarem, zimnem, wiatrami, Indianami i niezliczonymi trudami życia na prerii, w to niedzielne popołudnie rozpuściła je i okazały się nie tyle siwe, co srebrnoblond, lśniące i grube, jedwabiste jak *áo dàì*. Skóra, zawsze nieskazitelna na zdjęciach i podczas publicznych wystąpień telewizyjnych, też była nienaganna, ale bardziej przypominała ciało niż kwarc. Oczywiście, które Bibi opisała niegdyś jako niebieskie w odcieniu chemicznego żelu w zamrażanej paczce z lodem, miały właśnie ten kolor, choć w spojrzeniu nie było nic lodowatego. Pani profesor najwyraźniej była kiedyś idolką wszystkich amerykańskich chłopców. Po pięćdziesiątce to się nie zmieniło.

– Doktor St. Croix... – zaczął Pax.

Ani on, ani Pogo nie zdążyli powiedzieć słowa więcej, bo Solange St. Croix dostrzegła tusz na prawym bicepsie Paxa i zawołała:

– Nie wierzę własnym oczom! – I jednym palcem podciągnęła rękaw zakrywający jego jedyny tatuaż. Było to oficjalne godło SEAL: orzeł w opiekuńczej pozycji na trójzębie, będącym jednocześnie poprzeczką kotwicy, z karabinem skałkowym na pierwszym planie, wszystko w odcieniach złota z czarnymi detalami. – Jesteś oszustem, młody człowieku? – zapytała.

– Proszę?

– Nie, nie jesteś – uznała. – Jesteś najprawdziwszym SEAL-em. W życiu znałam tylko jednego, a wszystko, co o nim napisałam, jest schowane w bezpiecznym miejscu i czeka na chwilę, gdy będę na tyle stara, że będę chciała to pokazać światu. – Opuszczając rękaw koszulki, nauczycielka popatrzyła z uśmiechem na Pogo, który się zarumienił, czego Pax nigdy wcześniej u niego nie widział. Z młodzieńczym zapałem znów zwróciła się do niego: – Przyda się jakiś egzotyczny dreszczyk. Powiedz mi, że przyszedłeś tu oficjalnie, z misją wagi państwowej, jako oficer wywiadu prowadzący dochodzenie, od którego zależy los narodu.

– Los narodu nie, proszę pani, ale *jest* to sprawa życia i śmierci.

Nie potwierdził i nie zaprzeczył, że pracuje w jakimś biurze wywiadu wojskowego, pozwalając jej dojść do wniosku, że z akademicką przenikliwością od razu domyśliła się, o co chodzi. Sądząc po jej sposobie bycia i radosnym zaskoczeniu w oczach, Pax przypuszczał, że niedziela nie spełniła jej oczekiwań, podobnie jak wiele dni ją poprzedzających, że chętnie uwierzy, że jest tym, za kogo go wzięła, i wpuści ich do domu, że w tej chwili w jej życiu zabrakło przede wszystkim barwy, a Pax i Pogo wnosili wszystkie odcienie pudełka czterdziestu ośmiu kredek.

– Proszę pani, jestem starszy sierżant Paxton Thorpe, a to Averell Beaumont Stanhope Trzeci.

– Ze Stanhope'ów z Bostonu? – zapytała profesor.

– Nie, proszę pani – odparł Pogo na wypadek, gdyby w Bostonie nie było żadnych Stanhope'ów, a pytanie było pułapką. – Z Wirginii – skłamał, ale dość zręcznie.

– Gdyby mogła nam pani poświęcić kwadrans, bylibyśmy bardzo wdzięczni – ciągnął Pax – ale jeżeli pani woli, możemy przyjść jutro do pani gabinetu na uczelni.

Ciągle liczył się z tym, że zażąda dowodów, że pracuje w jakiejś konkretnej jednostce wywiadowczej i wtedy będzie musiał pokazać jej książeczkę wojskową, z której nie będzie wynikać, że jest tym, za kogo się podaje. Ale cofnęła się i zaprosiła ich do środka, prowadząc przez widowiskowe, choć jałowe pokoje w stylu *stricte* nowoczesnym. *Áo dài* było zarazem luźne i obcisłe i wydawało się, że niemal frunie przez mroczną przestrzeń z gracją jaskrawego karpia koi w półmrocznych wodach. Była boso i miała małe stopy jak na kobietę liczącą jakieś pięć stóp i osiem cali wzrostu. Wyglądały niczym dobrze ukształtowane stopy dziecka przeznaczonego do baletu.

– Muszę tylko zamieszać zupę – tłumaczyła, prowadząc ich do

przestronnej kuchni z podłogą w szarym klonie, dopasowanymi do niej szafkami, blatami z czarnego granitu i sprzętem z nierdzewnej stali. Gotująca się zupa stała na kuchence, niebieskie płomienie lizały dno dużego garnka. – Ziemniaczana z porem – dodała.

Pax czuł zapach ziemniaków, porów, estragonu i obfitości masła. Z jednej strony dużej wyspy kuchennej stały rzędem wyściełane stołki i St. Croix zaproponowała, by na nich usiedli.

Na wyspie stała butelka osiemnastoletniej szkockiej Macallan, pojemnik śmietanki zmieszanej z mlekiem, chłodzony w misce z lodem, i szklanka z kryształu Baccarata, zawierająca wszystkie te trzy składniki. Niezależnie od tego, czy doktor St. Croix w typową niedzielę zaczynała pić przed godziną trzecią, czy działo się tak w ramach wyjątku, najwyraźniej nie czuła potrzeby tłumaczenia się. Gdy pomieszała zupę i nieco odkryła garnek, wyjęła jeszcze dwie szklanki z kryształu. Z pewnością osoby, która zawsze robiła to, co chciała, nie napotykała sprzeciwu, pani profesor nie zapytała, czy napiją się z nią koktajlu, czy może wolą coś innego. Gdy stała po drugiej stronie blatu, opowiadała o miłości do gotowania i przyrządzała drinki, Pax uświadomił sobie, że odmowa zostałaaby potraktowana jak obelga i że kobieta, mimo dziewczęcej radości z ich odwiedzin i gościnności, mogłaby w mgnieniu oka zamienić się w ich wroga.

Pogo przyglądał się jej zza przymkniętych powiek, jak gdyby podejrzewał, że przygotowuje truciznę, ale widocznie doszedł do takiego samego wniosku co Pax.

St. Croix pchnęła szklanki w ich stronę po czarnym granicie i zagaiła:

– Tak że... nazwałeś to sprawą życia i śmierci.

Woląc nie wspominać imienia Bibi bez przygotowania, Pax zabarwił nedorzeczną fantazję na temat wywiadu wojskowego odpowiednikiem whisky ze śmietanką.

– Życia i śmierci, tak, i chociaż zakrawa to na melodramat,

jest to też sprawa bezpieczeństwa narodowego.

– Odrobina melodramatu od czasu do czasu nie zaszkodzi – przyznała. – Gdyby życie składało się z samych opowieści Raymonda Carvera, wszyscy byśmy powariowali.

Pax wiedział, kto to jest Raymond Carver, ale uznał, że powinien przez chwilę zrobić minę zbitego z tropu, zanim podjął:

– W każdym razie przyszedłszy spytać panią o pewną osobę, która nas interesuje...

– Podejrzana – przerwała mu, jakby traktowała to poważnie, tak jak niektórzy traktują oszustów podających się za pracowników fiskusa i namawiających do przelania pieniędzy na konta w zagranicznych bankach.

– Podejrzana, mniej więcej – potwierdził Pax. – Chociaż ze względów bezpieczeństwa nie możemy zdradzić, o co dokładnie.

– Kobieta? Znam kogoś stanowiącego autentyczne zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju? A to ciekawe!

– Tak, proszę pani. Pani była studentka. Bibi Blair.

Niedzielna łagodność zmieniła się w kamienną twardość powszedniego dnia pracy.

– Ta syfilityczna kurewka.

## ***Dzielne dziewczyny nie wariują***

Paranoja w rozsądnej dawce była niezbędna do przetrwania. Za to natarczywa i wszechogarniająca, podpowiadająca, że każdy, kogo znam, jest złym z kosmosu, była mantrą nieudacznika. Krajobraz sprzyjał pogubieniu się. Na pustkowiu co pewien czas wyrastały małe skupiska budowli, o tej porze ciemne, jakby dawno opuszczone. Jedyne blask bił gdzieś z daleka na północy. Całe mile żółtego i zimnobłękitnego migotania. Bez światła oznaczającego cywilizację. Nieziemskie fosforyzowanie grzybów. Gorące równiny radioaktywnego szkła. Przemierzając coraz dziwniejszą i bardziej nieprzyjazną noc, Bibi miała wrażenie, że wyjechała z Kalifornii do krainy bez nazwy i bez wyjścia, jadąc wąską granicą między zdrowiem psychicznym i obłędem, i z trudem utrzymywała równowagę.

Mimo maści z antybiotykiem, którą tatuażysta posmarował skórę pod opatrunkiem z gazy, cztery słowa na prawym nadgarstku piekły, jak gdyby działa się z nimi coś gorszego niż zakażenie. Bakterie przeżerające ciało. Lub toksyczna substancja domieszana do tuszu. Dziewiętnaście liter parzyło. Swędziało. Zakazał jej drapania. Zostawiła krem przeciwbólowy i świeże bandaże w motelu. Nie może zmienić opatrunku. I tak nie ma na to czasu. Ciekawe, czy narastające podrażnienie dziewiętnastu ranek może wynikać z infekcji wywołanej świadomie. Ale wybrała salon przypadkowo, więc obawa, że tatuażysta może być w zмовie z Terezinem, była równie

uzasadniona jak teoria o złych przybyszach z kosmosu.

Kiedy przez kilka minut nie napotkała żadnych samochodów, zaczęła się zastanawiać, czy przed nią i za nią nie zarządzono na drodze blokad i czy za jakimś zakrętem albo szczytem wzniesienia nie natknie się na pluton egzekucyjny Niewłaściwych Ludzi. Z drugiej strony, gdy wreszcie z naprzeciwka pojawił się samochód, z napięciem czekała, czy przednia szyba hondy nie posypie się pod gradem kul. Każdy nadjeżdżający z tyłu kierowca mógł ją śledzić, a gdy zwalniała, żeby go przepuścić, on zawsze zatrzymywał się nieco dłużej – lub tak się jej zdawało – i lustrował ją, jakby miał złe zamiary.

Od Sonomire Way dzielił ją jeszcze kwadrans, może dwadzieścia minut, gdy na tle szumu opon i warkotu silnika rozległ się jakiś niepokojący odgłos. Trzepotanie kojarzyło się z szamotaniną świeżo złapanej ryby. Z początku wydawało jej się, że to opona traci przyczepność, jednak tego rodzaju problem wpłynąłby na działanie kierownicy, tymczasem niczego takiego nie poczuła.

Cisza, która się po tym pojawiła, nie uspokoiła Bibi. Po niecałej minucie hałas rozległ się znowu, tym razem chyba spod wozu. Coś, co się obluźowało, najwidoczniej obijało się o jezdnię. Lecz honda parła przed siebie, a na desce nie pojawiło się żadne ostrzegawcze światło.

Gdy usłyszała dźwięk za trzecim razem, uświadomiła sobie, że dochodzi z wnętrza pojazdu. Z tylnego siedzenia. Lub z podłogi za fotelem pasażera.

Wtedy pojęła, co to takiego.

Poprzedniej nocy w fotelu w biurze ojca nad sklepem Pogłaskaj Kota śniła jej się prawda o tym, co stało się w jej pokoju, gdy miała niecałe sześć lat. Prawda, którą ukryła przed sobą za pomocą sztuczki Kapitana i zapomnienia. Nie cała, ale jej część. We śnie nie ujawniła przed sobą źródła ani charakteru zagrożenia. Tyle tylko, że przyszło po nią coś złośliwego. Przyszło i pełzło po pokoju. Weszło pod jej kołdrę.

I teraz powróciło.

Po ciszy, w której to coś być może pielęgnowało w sobie żądze i zastanawiało się nad stojącymi przed nim możliwościami, odgłos gładkiego toczenia się rozległ się znowu, jakby to był jakiś śliski mieszkaniec mętnych wód i grzęzawisk, nie w swoim żywiole, lecz bynajmniej tym niezrażony, zdecydowany na przedarcie się przez to nieznane środowisko ku temu, czego chciał, potrzebował. Ku niej. Bibi odnosiła wrażenie, że usiłuje wczepić się w tył siedzenia pasażera lub wpełznąć drążkiem biegów na konsolę między siedzeniami, obszar łatwy do opanowania.

Na prostym odcinku autostrady Bibi odwróciła się i zajrzała w dół. Perłowa poświata tablicy z przyrządami nie sięgała do tylnej części pojazdu, gdzie gromadziły się cienie, a księżyc zza okien niczego nie oświetlał. Jeżeli coś drżało, zwinięte w kłębek na podłodze, chcąc wspiać się w górę, i jeśli ją obserwowało, jego oczy nie błyszczały w ciemności.

Prawe opony zazgrzytały na kamienistym poboczu. Bibi popatrzyła przed siebie, skręciła kierownicą w lewo i wyprowadziła hondę z powrotem na jezdnię, dosłownie na sekundy przed runięciem z niskiego nasypu.

Niezależnie od tego, czy była to oznaka szaleństwa czy zdrowego rozsądku – albo stłumiona wiedza prowadząca Bibi bez jej świadomości – wmówiła sobie, że jeśli tylko nie będzie chciała słyszeć tego stwora, przestanie obdarzać go istnieniem, wyobrazi sobie, że zniknął raz na zawsze, to się go pozbędzie. Czy ta strategia zadziałała, gdy była przerażonym dzieckiem? Nie pamiętała.

Po prawie dwóch minutach teoria zdawała się sprawdzać, ale wtedy z tyłu auta dobiegł nowy dźwięk. Coś jak głos czy próba wydobywania głosu. Niski, wilgotny, zbitka gardłowo-nosowych sylab, które nie tworzyły słów, a mimo to wyrażały pragnienie, pożądanie, żarliwą potrzebę i tak gorzką i nieutuloną urazę, że wobec czegoś takiego bladła zwykła nienawiść.



## ***Pijaczka, kucharka i stwórczyni gwiazd***

Nazwawszy Bibi syfilityczną kurewką, doktor St. Croix tak ucieszyła się na wieść, że była studentka ma kłopoty z organami bezpieczeństwa, że wyraz jej twarzy złagodniał. Na nowo zagościła na niej niedzielna miękkość, choć uśmiech wyglądał jak mściwy grymas, który wywołałby niepokój wśród religijnych ludzi.

– Wiedziałam, że ta kłamliwa dziwka nawarzy sobie kiedyś piwa, i mam nadzieję, że się nim udławi. Uważa się za wielce cwana i uznała mnie za pierwszą lepszą, którą można łatwo nastraszyć. Wyobraźcie sobie tylko siedemnastoletnią nowicjuszkę, które śmie manipulować kobietą tak doświadczoną, ustosunkowaną i szanowaną jak ja. Mała idiotka.

Paxtona naszła chęć na zrobienie czegoś niegodnego żołnierza służb specjalnych, pasującego raczej do Bette Davis: chciał rzucić drinka w twarz pani profesor i powiedzieć coś tak obelżywego, że tamta nie pozbierałaby się do końca roku. Ale nie była to skuteczna metoda przesłuchania. Lojalny Pogo nie bardzo dawał sobie radę z ukrywaniem wściekłości i zanim nauczycielka zdążyła na niego spojrzeć i zobaczyć jego wstręt, Pax uśmiechnął się do niego, mrugnął okiem i podniósł szklankę jakby na znak toastu, choć gest ten miał oznaczać, że napicie się będzie lepsze od dania jej po pysku.

– Zrobię, co tylko będę mogła – oświadczyła St. Croix –

*wszystko*, aby pomóc w skazaniu pani Blair za to, co zrobiła. Nie muszę znać żadnych tajnych informacji na temat sprawy. Mam tylko nadzieję, że dostanie co najmniej dożywocie.

Obdarzyła Paxa uwodzicielskim uśmiechem, a on odpowiedział:

– Nadzieje te nie są bezpodstawne, proszę pani, ale sama pani rozumie, że nie mogę zdradzić niczego, co jest związane z przyszłym aktem oskarżenia.

Pani profesor jeszcze bardziej się ucieszyła i rozłożyła ręce tak, że rękawy kolorowej tuniki rozpostarły się niczym skrzydła motyla.

– Co za urocze słowo – *akt oskarżenia*. Nie potrzebuję niczego więcej. Tak strasznie się cieszę. Nie macie pojęcia. Po prostu nie macie pojęcia. Zabierałam się do robienia tart, kiedy zadzwoniliście, więc może bym się tym zajęła, kiedy będzie mnie pan wypytywał, panie sierżancie?

Pax nie bardzo kojarzył, co to takiego „tarty”, ale zgodził się, tak, oczywiście, może wrócić do tego, co wcześniej robiła, o ile nie będzie to przeszkadzało w przesłuchaniu.

Kiedy pani profesor poszła do jednej z dwóch lodówek Sub-Zero, Pax spróbował szkockiej ze śmietanką i mlekiem. Zdziwił się, że śmietana nie zwarzyła się od whisky, ale zdziwił się jeszcze bardziej, że nie zwarzyła się w kontakcie z doktor St. Croix.

Dla złagodzenia furii Pogo wypił większość alkoholu jednym długim łykiem.

Radosna i bosa Solange St. Croix wróciła z miską przykrytą ścierką do naczyń. Leżała w niej duża kula rosnącego ciasta drożdżowego.

– Uwielbiam robić ciasta. *Kocham to*.

Z szafek wyjęła blachę do pieczenia i dwanaście białych ceramicznych foremek, które także przyniosła na blat.

Dolała sobie drinka i zaproponowała im to samo. Gdy Pogo poprosił o drugą kolejkę, St. Croix uśmiechnęła się do niego jak

lis do młodziutkiego królika. Po spełnieniu obowiązków barmanki skrupulatna kucharka umyła ręce. Cały czas poruszała się tak, jakby sądziła, że jest przedmiotem erotycznego zainteresowania.

Po powrocie na kuchenną wyspę zaczęła wciskać maślane ciasto do foremek, błysnęła niebieskimi oczami do Paxa i spytała:

– To co chce pan wiedzieć o pani Bibi Blair? Czy rodzice byli pijani, upaleni czy po prostu bezrozumni, gdy dawali jej takie śmieszne imię? Zresztą nieważne. Przepraszam. To pan jest tutaj od zadawania pytań.

Paxa dziwiło szybkie i bezwzględne wzięcie ich za ludzi, za których się nie podawali, wnioskowanie na podstawie samego tatuażu SEAL, że występują tu w roli stróżów prawa realizujących jakąś ważną misję. Być może dawno minęły czasy, gdy wykładowcy college'u układali programy swoich zajęć z poszanowaniem dla logiki i rozumu i analogicznie postępowali w życiu.

– Tak więc – zaczął Pax – jak łatwo się domyślić, najbardziej interesuje nas, z jakiego powodu pani Blair została wyrzucona z kursu pisarstwa.

Unosząc brwi, St. Croix oświadczyła:

– Nigdzie nie jest napisane, że została wyrzucona. Oficjalnie zrezygnowała sama, być może z powodu poziomu trudności zajęć czy nieodpowiedniej atmosfery i wyśrubowanych wymagań. Kto może to wiedzieć oprócz niej?

Pax uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Proszę wierzyć, że zebraliśmy dokładne informacje, pani doktor. Z różnych źródeł wiemy, że chodziło o coś więcej. I podejrzewamy, że to, co doprowadziło wówczas do jej usunięcia, jest przykładem zachowań, w związku z którymi tak bardzo nas teraz interesuje.

– Właśnie – dorzucił Pogo, obawiając się chyba, że może sprawiać wrażenie zbędnego, a tym samym podejrzanego.

St. Croix była bardziej skupiona na robieniu tart niż na gościach.

– Zadałam pracę z pisania. Studenci mieli wybrać kogoś, kogo znają, ale u kogo nigdy nie byli w domu. Mógł to być inny student, pracownik uczelni albo któryś z nauczycieli. Chciałam sprawdzić ich zdolności obserwacyjne i intuicję psychologiczną, wycucie charakteryzacji i wyobraźni. Każdy miał stworzyć bogaty w szczegóły, barwny opis. Spójne i wiarygodne środowisko życia danej osoby, na przykład pokoju w akademiku, mieszkania albo domu. Pani Blair obrała jako temat mnie.

– To pani przeszkadzało?

– Ależ skąd. Sama proponowałam siebie. Spodziewałam się, że student, który mnie wybierze, będzie się dobrze bawił. Nie jestem zbyt wrażliwa. Nie zdziwiłam się, gdy opis pierwszych dwóch pięter tego domu pióra pani Blair był trafny. Odbywały się tutaj świetne imprezy, cudowne spotkania wykładowców i studentów poprzednich lat w wyjątkowej atmosferze, zarówno odświeżonej, jak i intelektualnej. Nie, nie zdziwiłam się, lecz sprawiło mi *zawód*, że najwyraźniej rozmawiała z tymi ludźmi i wypytywała ich o dokładny układ domu, wystrój, najdrobniejsze osobiste akcenty. Ćwiczenie zostało pomyślane jako praca *twórcza*, a nie sprawozdawcza. Opisy były wyśmienite. Język barwny i giętki jak na osobę w jej wieku, a mimo to było to coś w rodzaju oszustwa. Jednak w trakcie lektury z oburzeniem stwierdziłam, że było to nie tylko oszustwo, lecz także przestępstwo.

St. Croix tak bardzo koncentrowała się na kształtowaniu ciasta, że kiedy umilkła, Pax zdał sobie sprawę, że praca ma kierować jej energię na coś innego niż gniew, którego wyrażanie znacznie ją postarzało, odbierało łagodność i atrakcyjność.

– Przestępstwo? – zdziwił się. – Co za przestępstwo?

Kończąc piątą foremkę, pani profesor odpowiedziała:

– Włamanie. A dokładniej rzecz biorąc, nie włamanie, bo

niczego nie ukradła, przynajmniej o ile mogłam się zorientować. Nazywa się to wtargnięciem do cudzego domu. Znalazła się tu nieproszona, gdy mnie nie było, i weszła we wszystkich zakamarkach, zapuszczając się aż na drugie piętro, gdzie nie ma i nigdy nie miała wstępu większa część gości. To było potworne naruszenie mojej prywatności. Moje drugie piętro jest święte.

Pax wiedział, że Bibi nie jest zdolna do czegoś takiego, ale oczywiście nie stanął w jej obronie. Tylko groźnie spojrzął na Pogo.

St. Croix popiła drinka i popatrzyła Paxtonowi w oczy.

– Dlaczego nazywa się pan starszym sierżantem? Nie jest pan znowu taki stary.

– A, to tylko marynarka wojenna ma taki swoisty sposób odróżniania podoficerów od oficerów. W ten sposób nie zapominamy, gdzie jest nasze miejsce w szeregu.

– Żebyśmy nie byli tacy do przodu – odezwał się Pogo, dowodząc, że nie nadaje się ani na oszusta, ani na śledczego.

Pax przypuszczał, że taka odpowiedź wywoła w St. Croix zdziwienie, że jakiegoś mało ważnego oficera posyła się z urzędową misją do cywilów, ale z uśmiechu półgębkiem i bezpośredniego spojrzenia poznał, że kobieta chce mu dać do zrozumienia, że jej drzwi stoją otworem, gdyby miał ochotę na bardziej osobistą rozmowę i ewentualny ciąg dalszy.

– Jak pani Blair dostała się do środka? – zapytał. – Wybiła okno, wyważyła drzwi?

– Nie wiadomo. Co było tym bardziej oburzające. Najwidoczniej zdobyła klucz. Nie miałam pojęcia, jak tego dokonała. Ale zmieniłam wszystkie zamki.

– Jest pani pewna, że miała klucz?

Po jeszcze jednym łyku St. Croix zajęła się z powrotem ciastem i foremkami, nie nawiązując już kontaktu wzrokowego.

– Jestem kobietą silną i skomplikowaną, panie sierżancie. Zawieram nieskończone tłumy<sup>[12]</sup>, jak mówi poeta. Muszę być

skomplikowana i dość głęboka, by osiągnąć sukces i uznanie w światach zażartej konkurencji, jakimi są uniwersytety i literatura, gdzie jedynym sportem popularniejszym od sprzedawania swoich głosów jest szkalowanie cudzej opinii.

Znów umilkła i Pax wiedział, że nie należy jej ponaglać.

Po dokończeniu szóstej i rozpoczęciu siódmej foremki St. Croix podjęła:

– W świecie, gdzie się obracam, wizerunek jest wszystkim. Strzegę go tak samo pilnie, jak inni strzegą rodzin, majątków, świętości honoru – o ile w ogóle wierzą w coś takiego. Stworzyłam najlepszy uniwersytecki kurs pisania w kraju. Jestem znana z tego, że nieomylnie dostrzegam geniusz i umiem go wychować. Moi byli studenci są członkami Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury. Trzech otrzymało nagrodę PEN Klubu/Faulknera, dwóch National Book Award i dwóch Pulitzery. Pomniejszych nagród jest zbyt wiele, by można je wymienić. Tworzę gwiazdy. Wizerunek spartańskiego oddania słowu pisanemu nawet kosztem życia osobistego, opinia chłodnej obojętności na wszystko poza wybitnością w literaturze zmienia mnie w godną pochwały ekscentryczkę i ikonę. Mój status nie doznałby istotnego uszczerbku, nawet gdybym publicznie przyznała, że kilku spośród moich najbardziej znanych absolwentów to pretensjonalni i pozbawieni talentu głupcy. Jednak pewne strony mojej złożonej osobowości uznano by za nieprzystające do publicznego obrazu, ba, mocno nadszarpnęłyby moją opinię. Dlatego zainteresowania te są moją osobistą tajemnicą i oddaję się im z dala od spojrzeń tych, których mogłyby urazić.

Pogo siedział, wybałuszając oczy, jak gdyby wyobraźnię rozsadzały mu obrazy jej zakazanych zajęć. Jakby zapomniał, że jednym z kontrowersyjnych aspektów jej osobowości, które woliała ukrywać, jest zauroczenie epoką wiktoriańską – stylem, literaturą, a może i wartościami tamtych czasów.

– Pani Blair – ciągnęła nauczycielka – stworzyła swój mały

dokument, jak gdyby wyobrażała sobie, że jestem osobą bardziej wielostronną niż dobrze oszlifowany diament. Pisała o moim drugim piętrze, jakby uważała jego sekrety za urocze, a moje skrywane zainteresowania za dowód głębi ducha i intelektu. Ale było to oczywiście zwykłe lizusostwo mające skrywać próbę szantażu. Chciała wymusić na mnie pochwały, mentoring, podkreślanie jej talentu, żądała, bym uczyniła z niej gwiazdę w zamian za milczenie.

Pax zdobył się na wątpliwość:

– A jeśli nigdy tu nie była? Jeśli tylko trafnie wyobraziła sobie pani... osobiste zainteresowania?

Unosząc głowę znad foremki, St. Croix popatrzyła na niego z pogardą osoby namaszczonej intelektualnie, jak na kogoś, kogo geny albo warunki życia skazały na ignorancję.

– Nikt nie ma wyobraźni tak potężnej, intuicji tak genialnej, by wiedzieć dokładnie, co znajduje się w miejscu, w którym nigdy nie był. Bogaty opis drugiego piętra był równie prawdziwy jak dwóch niższych. To nie była fikcja, tylko brudne dziennikarstwo, trafione niemal w dziesiątkę. Co ja mówię, *całkiem* w dziesiątkę! Ta suka tutaj *była*. Na pewno notowała. Ta część mojego życia jest dla mnie taka cenna, że bardzo rzadko się nią dzielę. Sypiam przeważnie na drugim piętrze, a nie w sypialni na pierwszym. Wie o tym tylko kilkoro zaufanych ludzi i żaden z nich nie ryzykowałby znajomości ze mną dla tej bezczelnej, chciwej dziwki.

Niezbyt świadoma tego, co robi, pani profesor zrobiła siódme ciastko, po czym rozdarła je, jakby wbijała szpony w gardło byłej studentki. Odrzuciła zmasakrowane ciasto ze wstrętem, wytarła ręce o ścierkę do naczyń i pocieszyła się whisky ze śmietanką. Nawet jeżeli drink nie przywrócił zachwianej równowagi, zdała sobie przynajmniej sprawę, że jej wypowiedź nie mogła naprowadzić ich na ślad potajemnych pasji, jakim oddaje się na drugim piętrze. Nie wiedziała, że czytali wypracowanie Bibi, mogła więc tylko przypuszczać, że

wyobrażają sobie rozmaite perwersje – od sadomasochizmu przez biczowanie po składanie ofiar ze zwierząt. Ich zdumienie chyba ją bawiło, bo z twarzy zniknął gniew i zagościł na niej wyraz miękkiej kokieterii. Zlizła mleko z ust i powiedziała:

– Jeżeli chcielibyście zweryfikować moje zarzuty wobec pani Blair, pokażę wam jej pracę, a potem przejdziemy się na drugie piętro, żebyście przekonali się na własne oczy.

[\[12\]](#) Walt Whitman, *Pieśń o sobie samym*, tłum. A. Tchórzewski.



## ***Pasażer***

Wypluwając z siebie dźwięki mające dać wyraz złowrózbnnej determinacji, niewidoczna istota wpełzła chyba pod przedni fotel pasażera i zabierała się do prowadnic służących regulacji siedzenia, by przedostać się do miejsca na nogi, skąd łatwiej byłoby rzucić się na Bibi.

Nie chcąc zostawiać samochodu i brnąć przez tę obcą i nieprzyjazną noc, Bibi wyjęła spod blezeru pistolet i prowadziła tylko jedną ręką, przez co musiała jechać wolniej.

Nawet jeśli nie można było mówić o cofnięciu się w czasie do tamtej strasznej nocy sprzed szóstych urodzin, z pewnością cofnęła się duchowo. Nie istnieje w świecie dorosłych odpowiednik grozy, jaką odczuwa niewinne dziecko, które staje pierwszy raz wobec prawdy, że zło jest nie tylko tworem z baśni, że istnieje na świecie w niezliczonych postaciach i że najbardziej zależy mu na zniszczeniu niewinnych. Takim przeżyciem kończy się dzieciństwo i to niezależnie od wieku przeżywającego. Bibi poczuła znowu metaliczny posmak. Bezsilność zaznana owej odległej nocy była nieznośnym stanem, a teraz nie chce – *nie chce!* – pozwolić sobie na poddanie się jej po latach starań o przewyciężenie pierwotnych, zapomnianych już strachów młodości i zastąpienie ich zwyczajnymi lękami i zagrożeniami normalnego życia.

– Nie! – zawołała. – No nie, nie! To się nie może stać, nie

stanie się! To się *nie dzieje!*

Co prawda wijące się, drgające, beznadziejnie pozbawione gracji stworzenie było prawdziwe w pokoju w bungalowu, ale tutaj nie było rzeczywiste. Zabiła je wtedy, zabiła w sposób, którego nie pamiętała. Nie mogło wrócić i dręczyć jej siedemnaście lat później. Było z innego miejsca i czasu, na pewno nie mogło się zmaterializować i straszyć jej jak duch. To coś rzucającego się pod fotelem pasażera, wzywającego ją wycharczanymi, poplątanymi sylabami oznaczającymi mniej od krzyków zwierzęcia, było tylko jeszcze jedną odmianą tego, co stuknęło do drzwi w motelu, pukało do okien, sposobem na odwrócenie uwagi jak mgła i duchy w domu, z którego porwano dziewczynkę, jak mężczyzna w bluzie z kapturem i z golden retrieverem, którzy próbowali odciągnąć ją od poszukiwań Ashley Bell.

Tak jak Chubb Coy. Szef ochrony szpitala. Co miał z tym wszystkim wspólnego, jeśli nie służył rozpraszaniu uwagi, naprowadzaniu na błędny trop? Pokazał się w Norm's, na śniadaniu z St. Croix, potem wpadł do wiktoriańskiego zacisza nauczycielki i zabił ją w chwili, kiedy mogła wyjawic coś istotnego, robiąc aluzje do Flannery O'Connor, Thorntona Wildera i Jacka Londona, których twórczość mógł znać z takim samym prawdopodobieństwem, jak być doktorem fizyki cząstek.

Nagle dookoła Bibi zaczęła krążyć prawda o Chubbie Coyu. Krążyła jak nocny drapieżnik bystrym okiem szukający w mroku ofiary. Ta sama prawda, przed którą wcześniej się cofnęła, którą spaliła za pomocą sztuczki z pamięcią. Prowadziła lewą ręką, w prawej ściskając pistolet, sunąc samotnie autostradą. Serce jakby podskakiwało w oszalałych konwulsjach, a nie biło, i pomyślała: „Nie cytował tych książek dlatego, że chciał, tylko dlatego, że go zmusiłam”. Nie była to prawda, którą zmieniła w popiół i spuściła z wodą w motelowej łazience, tylko odbicie tej prawdy w krzywym zwierciadle. Nie

rozumiała, jak mogła zmusić Chubba Coya do czegokolwiek. To nie miało sensu. Powtarzała tę dziwną myśl, usiłowała ją zrozumieć, lecz zamiast zyskiwać dzięki temu jasność umysłu, jej myśli coraz mniej trzymały się kupy – gdy raptem uświadomiła sobie, że to coś pod fotelem obok, niechciany pasażer, od pewnego czasu milczy.

## ***Ojcowska intuicja***

Sala 456. Niedziela po południu, 15:29. Błękitne niebo za oknami. Słońce już niżej, choć jeszcze nie zachodzi w czerwonej łunie. Tempo bicia serca dziewczyny na ekranie EKG wzrasta, dźwięk jest wyłączony, lecz kreska na ekranie miga coraz szybciej. Pięć wskaźników fal mózgowych na EEG wykreśla jednocześnie optymalne diagramy, co, jak wie każdy neurolog, jest niemożliwe.

Nancy siedziała przy oknie, trzymając gazetę, o którą nie prosiła, ale którą podał jej młody, życzliwy sanitariusz. Niby ją czytała, ale w ogóle nie przewracała stron.

Siedzący ze smartfonem na innym krześle Murph sprawdzał warunki do surfowania w Australii. Byron Bay, Narrabeen, Torquay i Point Danger. Potem na Bali: wysokość fal przy rafie Kuta, Nusa Dua, Padang Padang. Meksyk w Mazatlán i San Blas. Todos Santos w Baja California i Scorpion Bay. Durban w RPA i Cape St. Francis. Nie będzie surfował w żadnym z tych miejsc ani dzisiaj, ani prawdopodobnie nigdy. Ale i tak sprawdzał. Pipeline, Sunset i Waimea na północnym wybrzeżu O'ahu. Honolua Bay i Maalaea na Maui. Czuł, jak powoli rozstaje się z rozumem, stacza się w jakiś rodzaj obronnego szaleństwa.

Między Hawajami a Urugwajem oderwał się od telefonu i spojrzął na EKG, gdzie linie skakały nad i pod linią środkową. Ciśnienie skurczowe i rozkurczowe takie jak należy, regularne,

lecz szybsze niż wcześniej.

Na łóżku, z włosami zakręconymi wokół groteskowego czepka z elektrodami, leżała Bibi, milcząca od wielu dni. Ale raptem boleśnie jęknęła.

Nancy rzuciła gazetę i wstała. Gdy dochodziła do łóżka, Bibi mówiła:

– Nie! No nie, nie...

Murph zapomniał o falach, przyływach i dalekich miejscach i dopadł do łóżka po drugiej stronie.

Słodka twarz skrzywiła się, powieki zamkniętych oczu zacisnęły się mocniej.

– To się nie może stać, nie stanie się! To się *nie dzieje*...

Pochylona nad ramą łóżka, kładąc dłoń na ramieniu Bibi, Nancy odezwała się:

– Słyszysz mnie, skarbie? Bibi, już dobrze. Jesteśmy tutaj z tatą, obydwójce.

– Nie dzieje się, nie dzieje – upierała się Bibi. Przekręcała się z boku na bok, jakby ją coś bolało. Odpychała to, stawiała opór.

Murph wyciągnął rękę w stronę kabla z dzwonkiem, okręconego wokół ramy, ale zawahał się.

Zawsze istniała między nimi jakaś tajemnicza więź, biorąca się nie wiadomo skąd wiedza, kiedy córka jest bezpieczna, a kiedy nie. Mogła być przy wzburzonej wodzie na Klinie, ujeżdżać fale wielkie jak góry, trzykrotnie wyższe od niej, które naprawdę mogły ją rzucić na usypane u wejścia do zatoki kamienie falochronu, gdzie ginęli surferzy, ale wiedział, że nie ma powodu do zmartwień. Kiedy indziej jechała ze znajomymi na rowerach po zwykłej promenadzie na długim półwyspie albo pustymi ulicami na południe od niższego molo w Balboa, a on dzwonił, namawiając do powrotu do domu albo wstąpienia do Pogłaskaj Kota, by dotrzymała mu towarzystwa. Zawsze wyczuwała niejasną nutę niepokoju w jego głosie, robiła to, o co prosił, i nic się jej nigdy nie stało. A on był przekonany, że

mogłoby zdarzyć się coś niedobrego, gdyby nie zatelefonował i nie zmienił jej planów na dany dzień. Nie było to żadne jasnowidzenie, za to coś mocniejszego od przeczucia.

Kiedy Bibi jęknęła znowu i przekręciła głowę, Nancy przeniosła rękę z jej barku na posiniaczoną twarz.

– Słyszysz mnie, skarbie? Obudzisz się? Możesz się obudzić i uśmiechnąć do taty i mamy?

Dzięki tej nie wiadomo skąd biorącej się wiedzy, pozornie irracjonalnej, Murph rozumiał, że Bibi w śpiączce jest bezpieczna, przynajmniej bezpieczniejsza, niż gdyby się wybudziła. Obrażenia na twarzy i tatuaż, tajemnicze niczym stygmaty, przemawiały przeciwko takiemu uczuciu, ono jednak bynajmniej nie słabło. Co więcej, uważał, że śpiączka jest dla niej jedyną nadzieją, że w śpiączce ma przynajmniej szansę na... na co? Na pokonanie raka? Glejaka mózgu, którego jeszcze nikt nie przeżył? Czy to realna możliwość, czy tylko rozpaczliwe pragnienie ojca? Patrzył, jak oczy córki drgają szybko pod bladymi powiekami, spojrzał na pięć fal mózgowych, kreślących idealne diagramy, czego nikt jeszcze nie widział, i myślał o tym, kim jest Bibi, ta wyjątkowa dziewczyna, a rozpaczliwe pragnienie zmieniało się w racjonalną nadzieję.

– Nie dzieje się – powtórzyła.

Kładąc rękę na czole córki, na wpół nakrytym czepkiem, Nancy raz jeszcze zachęciła ją do zbudzenia się, powrotu do nich.

– *Nie!* – szepnął Murph z taką siłą, że aż wystraszył żonę. – Nie, nie, nie, mała. Niech śpi. Potrzebuje tego.

Nancy popatrzyła na niego, jakby był królem kokosów, splitem, gekonem.

– To nie jest sen, Murph. To cholerna śpiączka po raku.

Wskazując na diagramy fal, zaproponował:

– To nie śpiączka. To... coś.

Nancy przeniosła wzrok z niego na drogie dziecko, znów na niego, i to, co zobaczyła na jego twarzy, w jego oczach, dało jej

do myślenia.

Rumieniec oblał czoło i policzki Murpha – fala gorąca niepodobna do niczego, co kiedykolwiek czuł. Na twarzy zapiekły kropelki nabożnego potu, o ile coś takiego może istnieć. Twarz na pewno mu błyszczała. Wiedział, że oczy ma zamglone i także lśniące. Wpijając wzrok w córkę, dodając otuchy żonie, oznajmił:

– Ona balansuje na desce.

# 107

## **O włos**

Pogo siedział za kierownicą, a Pax obok niego w hondzie dwadzieścia jardów od domu Solange St. Croix. Na przedniej szybie lśniły złote monety słonecznego blasku, rozrzucone wśród gęstych banknotów cienia.

– Ja cię kręcę, Batmanie! – zawołał Pogo. – Co by się z nami stało, gdybyśmy poszli z nią na drugie piętro?

– Myślę, że umiejętności z SEAL wystarczyłyby do wyjścia z tego cało. I słyszałem, że masz niezły prawy sierpowy.

– Śmietanka z mlekiem i szkocka. Czy wyssała to z mlekiem matki?

Lustrując duże szyby mocno zaciemnianych okien w piramidzie brył domu, zastanawiając się, czy są z kolei obserwowani przez nią, jak przez kotkę zlizującą mleko z warg, Pax powiedział:

– Jest w niej coś niemal sympatycznego. Trochę mi jej nawet żal.

– No jak to? – Pogo nie był przekonany.

– Udaje, że żyje tak, jak chce, ale gdzieś w głębi wie, że się myli. Życzyła sobie sukcesów artystycznych, a dostała brutalną władzę. Chciała żyć literaturą, a żyje od konferencji do sympozjów i komitetów, gdzie urabia się pisarzy, żeby wciskali modną problematykę społeczną. Koktajle, gdzie nawiązywanie znajomości zastępuje dowcip. Bycie celem zawistnych blogerów. Wyobrażała sobie, że jest wolnym duchem, Holly Golightly, ale



z mózgiem Jane Austen. Ale na uniwersytetach nie ma dziś miejsca dla wolnych duchów. Królują kodeksy językowe i śmiertelnie poważne moralizatorstwo. Dlatego stworzyła sobie dwa życia, może nawet trzy albo cztery, ale przecież co to za satysfakcja być wieloma Solange St. Croix zamiast jednej.

Pogo siedział, wpatrzony w niego. Po chwili Pax zapytał:

– Co?

– Chyba przesadziłeś.

– Sporo przesadzałem na ranczu, kiedy byłem mały. – Pax spojrzął na zegarek, wyświetlacz na desce rozdzielczej, i znowu poczuł, że czas ucieka. – Trzeba się zbierać.

Uruchamiając silnik, Pogo stwierdził:

– Wiem tylko tyle, że wyrzuciła Biibs z zajęć pisania i upokorzyła ją raz w supermarkecie. Wyzwała ją od ostatnich.

Gdy zjeżdżali w stronę Coast Highway i handlowego serca Laguna Beach, Pax powiedział:

– Dobra, podsumujmy. Z jakiegoś nieznanego nam powodu Kapitan daje Bibi spis cytatów z pochwałami wyobraźni.

– A ona czyta to tak często, że aż wyciera się papier.

– Potem Kapitan umiera. Bibi ma dziesięć lat, jest załamana, pogrążona w żałobie. Pisze opowiadania o porzuconym psie Jasperze.

– Setki stron.

– I pewnego dnia prosto z nieba spada pies Jasper.

– No. Ale ona chowa obrożę z jego imieniem.

– Jesteś pewien, że nigdy ci o tym nie mówiła?

– Nigdy – potwierdził Pogo i skręcił na północ, w kierunku autostrady.

– Potem ma siedemnaście lat – kontynuuje Pax – i opisuje dom St. Croix...

– To idiotyczne kłamstwo, że zdobyła klucz i myszkowała po domu...

– Oczywiście. Po prostu obserwując St. Croix, zastawiając się nad jej psychologią i używając wyobraźni, trafiła w dziesiątkę.

Jak to możliwe?

- Po prostu jest Biibs.
- Nie jestem Watsonem, a ty już na pewno nie jesteś Sherlockiem. - Pax znów rzucił okiem na zegarek G-Shock. - Możesz trochę szybciej?

Ruch w Laguna jak zwykle zakorkował się na Forest Avenue. Pogo oznajmił:

- Trochę podrasowałem tę brykę, ale nie potrafi się teleportować.

- Sorry. Po prostu zdaje mi się, że mamy mało czasu i musimy się ruszać.

- Ruszać. Dobra. Ale dokąd jedziemy?

Pax zaczerpnął głęboko tchu i wyrzucił to z siebie:

- Nie wiem.

## ***Nieustający dreszcz***

Bibi zatrzymała się na poboczu, pewna, że w samochodzie jest sama. Dość pewna. Chwilowo.

Musiała jechać na Sonomire Way i znaleźć Ashley Bell, ale musiała też odzyskać panowanie nad sobą. Popadała ze skrajności w skrajność, działała od kryzysu do kryzysu, obijała się bezwolnie od zdarzeń jak kulka we flipperze. Zdarzenia mogą przerosnąć każdego. Nikt nie umiałby stać nieporuszony i patrzeć z góry na tsunami. Lecz mogła zmagać się z prądem powrotnym. Utrzymać się na powierzchni, aż wzburzenie przeminie, a później popłynąć.

Co gorsza, dała sobą manipulować. Zbyt długo trwało, zanim uświadomiła sobie, że za pomocą rozmaitych wybiegów odciągają ją od właściwego celu. Poświęciła za dużo energii i emocji – *i czasu!* – na martwienie się reakcjami na coś, co tak naprawdę niczym nie groziło. Pukanie do okna. Drapanie do drzwi. Facet w kapturze i pies. Tatuaż to innego rodzaju zmyłka. Po co kazała go sobie zrobić? ASHLEY BELL BĘDZIE ŻYĆ. Niepotrzebne jej widowiskowe deklaracje nieustraszonych zamiarów, to nie leży w jej naturze. Bardziej pasuje do niej dyskretna konsekwencja, bez okrzyków i zachęt cheerleaderek. Tatuaż był wyzwaniem, ale rzuconym komu, czemu, jeżeli nie losowi? *A ona nie wierzyła w przeznaczenie.* Była panią własnego losu dzięki wolnej woli. W swoim życiu ona sama *była* losem.

Włączyła z powrotem silnik, ale nie zapaliła świateł.

Żyła zarazem w terażniejszości i w przeszłości, przynajmniej pod tym względem, że wydarzenia zapomniane, pamiętane częściowo, kształtowały obecne. Wiedziała, jak radzić sobie z terażniejszością i jak najlepiej z niej korzystać. Ale z przeszłością szło jej kiepsko. Musiała chwytać chwile możliwych odkryć i zrywać z nich grubą skórę wszystkich wczorajszych dni, żeby przekonać się, co czeka w środku.

Żyła także w dwóch światach. Od czasu, gdy Calida Butterfly zaczęła przy stole w kuchni szukać ukrytej wiedzy. Pierwszy świat opierał się na przyczynie i skutku, rozumie i sensie, prawdę odkrywało się tutaj intuicją i obserwacją. Drugi był dużo bardziej dziki, tego, co nadprzyrodzone, nie okrywała już zasłona i często wydobywało się na jaw. W ciągu ostatniej godziny Bibi zaczęła rozumieć, że przeszłość, od czasu, gdy miała dziesięć lat, rozgrywała się w tym drugim, bardziej nieprzewidywalnym świecie.

Z torebki wyjęła piękną, oprawioną w skórę książeczkę, która należała do Calidy, ale w której widziała bladoszare linijki własnego pisma przepływające przez stronę i znikające. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to jej pismo z dzieciństwa, dość podobne do dzisiejszego, choć z dodatkiem zawijasów, których przestała już używać. Książka w jakiś sposób spinała terażniejszość i przeszłość i oba światy, w których teraz żyła.

Włączyła lampkę w podsufitce, otworzyła czarodziejski tomik i przeszukiwała puste karty kremowego papieru, tym razem jednak nie dostrzegła widmowego pisma. Wersy z Donalda Justice'a, które wypisała, a które potem zniknęły, nie pojawiły się na nowo. Nie były napisane atramentem sympatycznym, lecz zwykłym długopisem. Więc gdzieś przepadły. Jak maile, przeszły z ekranu na drugi ekran, z jednej książki do innej.

Chcąc odzyskać nad sobą kontrolę i stać się na powrót Bibi Blair, którą była przed rozpętanem się tego całego chaosu, musiała połączyć przeszłość i terażniejszość i oba światy,

w których teraz żyła. Nie wiedziała, jak i czy książka mogła to sprawić, lecz intuicja podpowiadała, że nic z tego, co ma pod ręką, nie przyda się do takiego celu. Po co komu czarodziejska księga, której się nie używa?

Bibi znalazła w torebce długopis. Mimo że czuła, jak oddala się od niej małosłowny bóg czasu we wszystkich trzech wcieleniach – przeszłości, terażniejszości i przyszłości – i chociaż w hierarchii jej wartości poczesne miejsce zajmowało przykazanie, że trzeba pracować i coś osiągać, *robić* dla samej aktywności, wyparła myśli o potrzebie szukania dziewczyny. Zastanowiła się nad tym, co napisze, by nie zaczerniać papieru bez sensu.

Gdy zaczynała nową linijkę, poprzednia znikła. Skończyła i patrzyła, jak ulatnia się kilka ostatnich słów. Chociaż pozornie nic nie zrobiła, ogarnęło ją poczucie dopięcia swego, dające kruchą nadzieję.

Odłożyła długopis i książkę, wyjęła dwie kapsułki Tylenolu. Bolały ją otarte ucho i poobijana twarz. Piekła każda pozioma i pionowa kreska osiemnastu liter tatuażu na przedramieniu. W butelce zabranej z motelu zostało jeszcze trochę coli, żeby popić środek przeciwbólowy.

Wyłączyła lampkę, zapaliła przednie światła i wyjechała na autostradę.

Po kilku sekundach surowy, acz troskliwy głos kobiety znowu zaczął kierować ją na Sonomire Way, dokąd zostało niecałe dziesięć minut jazdy.

Powiedzieć, że mgła powróciła, byłoby zafałszowaniem jej źródeł i sposobu, w jaki się przemieszczała. Nie nadpłynęła z zachodu, od morza, gdzie rodziły się poprzednie chmury, lecz z nieprzyjaznego wschodu, z pustyni Mojave, gdzie nie istniał żaden zbiornik wodny mogący wytworzyć takie zacierające wszystkie kształty masy bieli. Mgła nadeszła nie na kocich łapkach, wedle słów Carla Sandburga, lecz rzeką tak gęstą i chryzą, że Bibi szykowała się na przyjęcie uderzenia, jakby

miała do czynienia ze ścianą wody. Droga przed nią i krajobraz naokoło w jednej chwili zniknęły, a światła przydawały się nie bardziej niż wspomnienie słońca górnikowi uwięzionemu w zapadlisku.

Jadąc zgodnie z poleceniami GPS-u, Bibi uświadamiała sobie, że kobieta, którą była i którą chciała stać się znowu, odbiega od ideału, ponieważ przełomowe przeżycia z dzieciństwa nigdy nie stały się częścią jej osobowości. Za pomocą sztuczki Kapitana wyparła informacje, które miałyby głęboki wpływ na kształtowanie jej charakteru, intelektu, emocji i woli. Opieranie się chociaż w części na półprawdach było stawianiem domu na słabych fundamentach. Czuła, jak przebiega ją szczególny rodzaj dreszczu, jakiego jeszcze nie знаła. Jeśli w ciągu najbliższych godzin dowie się prawdy o swej przeszłości, ulegnie zmianie, *wymuszonej* przez nową wiedzę, i niezależnie od tego, czy uratuje Ashley Bell, już nigdy nie będzie Bibi Blair, która wyruszyła w tę podróż.

# **VIII**

*Bibi do Bell*

## ***Ośmiopalca kelnerka i ewentualność śmierci***

Nie wiedząc, dokąd się udać, nie mając żadnych poszlak, poszli do ulubionej restauracji Pogo. Podobno zwisające z sufitu trzy duże rekiny o skórach lśniących, jakby mokrych od wody, pływały kiedyś w morzu w poszukiwaniu dobrego jada, żywe, a nie zrobione z plastiku czy papier-mâché, wypchane. Twierdzono, że w trzewiach największego znaleziono grawerowany medalion i pierścionek z rubinem należący do legendarnego surfera, który przepadł w tajemniczych okolicznościach, Tommy'ego Cordovana, lecz było to tak samo wiarygodne, jak historia, że w tym samym żołądku natrafiono na kości, które na podstawie badań DNA przypisano zaginionej pionierce lotnictwa Amelii Earhart. Ściany zdobiły barwne deski surfingowe i zdjęcia miejscowych gwiazd surfingu (najwcześniejsze z lat trzydziestych dwudziestego wieku), chłopaków i – z upływem czasu coraz częściej – dziewczyn w zasadzie nieznanymi poza społecznością fanów surfingu w południowej Kalifornii, lecz tu podziwianych i traktowanych z miłością, a czasem z nabożną czcią jak półbogów plażowego plemienia.

Ludzie przychodzili tam dla dobrego jedzenia, ale również dla atmosfery, nasyconej romantyzmem dawnej Kalifornii, która niestety prawdopodobnie już nigdy nie powróci. Pax nie jadł śniadania, obu ominął obiad. Usiedli w rogu, w miłym sercu



spokoju przed porą wieczornego ruchu.

Kelnerka, która przyniosła karty, dostosowała się do ducha, choć raczej nie do motywów wnętrza. Opalona amazonka z blond fryzurą na pazia, mierząca niemal sześć stóp, po czterdziestce, ładna, ktoś w rodzaju Nicole Kidman na maksa. Oczy niebieskie lub zielone, a może niebiesko-szare, zależnie od kąta, pod jakim patrzyła. Kelnerzy nie musieli tu nosić służbowych strojów i ta kobieta – na plakietce miała napisane KANANI, co po hawajsku oznaczało „piękność” – założyła luźne białe spodnie i białą bluzkę z szarfą z czerwonego jedwabiu, która służyła jako pasek, oraz szal z czerwono-złotego jedwabiu. Wymyślne, dyndające kolczyki. Zwracające uwagę bransoletki. Osiem diamentowych pierścionków. Być może nałożyłaby dziesięć, lecz miała osiem palców. Dziwnym zrządzeniem losu na każdej dłoni brakowało serdecznego palca.

Kanani uśmiechała się i robiła wrażenie sympatycznej, choć była w niej pewna rezerwa, uczucie, że najprawdziwszą część natury zachowuje dla siebie, pozwalając światu sądzić o sobie, co tylko chciał, a co najpewniej ma niewiele wspólnego z tym, kim ona jest naprawdę.

Gdy poszła po zamówione piwo, Pogo powiedział:

– Biibs jest zafascynowana Kanani. Myślę, że kiedyś umieści ją w książce.

– Co się stało z palcami?

– Nie wiadomo. Ktoś ją kiedyś zapytał – i mocno tego pożałował. Nie było mnie przy tym i nie wiem, czy sobie z niej żartował, czy zadał zwykłe pytanie i tylko to ją rozwścieczyło, w każdym razie Kanani go znokautowała, z miejsca stracił przytomność.

– I nie zwolnili jej?

– Jest dobrą kelnerką. Poza tym Wayland Zuckerman, właściciel, jest albo zakochany w niej po uszy, albo strasznie się jej boi. Nikt nie wie do końca, jak jest.

Kanani przyniosła dwie butelki corony, dwie szklanki

i serwetki. Okazała się równie zręczna, jak kelnerka z kompletem palców, a na pewno sprawniejsza od wielu innych.

Zamówili rybne tacos i talerz *enchiladas suizas* z czarną fasolą i ryżem na dwóch.

– Skąd wzięła się ksywka Pogo? – zapytał Pax.

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę czy mam się odczepić, tak jak od brakujących palców Kanani?

– Nigdy nie uderzyłem nikogo, kto pytał. Odkąd pamiętam, tak na mnie mówią, i nikt się nie przyznał, że to wymyślił.

– Kiedyś w gazetach był komiks z taką postacią.

– No, ale to chyba nie od tego. Wszyscy w mojej rodzinie są za poważni na czytanie komiksów, zresztą ten z Pogo drukowali jeszcze wcześniej.

Kanani przyniosła jedzenie i pałaszowali jakiś czas z zapalem, aż Pogo powiedział:

– Czuję, że to nie w porządku, że tak wiosłuję, kiedy Biibs chce, żebyśmy coś robili.

– Ale nie wiadomo co. Można zadzwonić do boga AV i zobaczyć, czy naprawił ten magnetofon.

– To już coś – przyznał Pogo i odłożył tacos, żeby wziąć smartfona.

Po drodze do doktor St. Croix wstąpili do niejakiego Ganesha Patela, surfera. Jego pasja projektowania systemów audio-video rozwinęła się w firmę, której wolałby nie mieć, a którą w końcu sprzedał za taką cenę, że resztę życia mógł spędzać na plaży. Wyjaśnił, że magnetofony tego typu już dawno wyszły z mody i zostały praktycznie zastąpione układami cyfrowymi o większej pojemności, ale zapewnił, że może naprawić ich żaloszny egzemplarz neandertalskiej technologii, bo umie naprawić wszystko.

Ganesh odebrał. Pogo słuchał przez jakąś minutę, odpowiadając tylko:

– Aha, okej, aha, ha, mmm, super, aha, aha. Latronik, stary.

– By wreszcie się rozłączyć.

Zadając się z Blairami wystarczająco długo, by złapać trochę surferskiej gwary, Pax wiedział, że „latronik” oznacza „później” albo „na razie”.

– Rozebrał go, rozłożył na stole, a teraz musi tylko znaleźć usterkę i złożyć z powrotem bez błędu. Kurczę, jak o tym nawija, to człowiek myśli sobie, że położył na stole gorącą laskę.

– Każdy ma swoje potrzeby. Chyba nie chcesz posłuchać o bezodrzutowym granatniku Carl Gustaf?

– Czy to coś do wysadzania?

– Coś pięknego – potwierdził Pax.

Prawie skończyli jeść i myśleli o drugim piwie, gdy Pogo zagadnął:

– Naprawdę sądzisz, że to możliwe?

– Co?

– Że gdziekolwiek Biibs teraz jest, to znaczy poza szpitalem, mogłoby się coś zdarzyć i umarłaby i tam, i tutaj.

– Ma raka mózgu, Pogo. Nawet gdyby w strefie mroku nie przydarzyło się jej nic naprawdę niedobrego, być może wykończy ją glejak.

– No tak. To znaczy, no wiem. – Rozejrzał się po pożółkłych fotografiach zmarłych dawno surferów, rekinach na nieruchomym, a wiecznotrwałym polowaniu, jakby te dobrze znane widoki były dla niego czymś nowym, jak gdyby restauracja nabrała surrealistycznych kształtów i metamorficznej płynności z krainy snu. – Ale... co się stanie z nami, jak ona umrze?

Po chwili ciszy Pax odpowiedział:

– Nie chcę o tym myśleć.

– Ja też nie.

– To nie będziemy.

Po zjedzeniu zamówili po piwie.

Pax wziął ze sobą notatnik z panterą i gazelą. Otworzył go na stole, żeby przejrzeć parę opowiadań o psie Jasperze. Poszukać

sam nie wiedział czego, jakiejś poszlaki, która pomogłaby w spełnieniu prośby Bibi: *Znajdź mnie*.

Były to opowiadania dziesięciolatki, ale diabelnie mądrej. Pełne werwy. Trudno się było oderwać.

Mimo to raz po raz wertował ostatnią opowieść i zatrzymywał się na pierwszych dwóch pustych stronach. Na stronie po lewej widniały dwie linijki z jednego z ulubionych wierszy Bibi: *Teraz zaczyna się wieczór duszy / Oto świetliki pulsujące w krwi*. Zanurzył palec w piwie i przejechał nim po *Teraz zaczyna się wieczór*. Czarny atrament bez trudu się rozmazał.

– Nie napisała tego, gdy miała dziesięć lat, tylko niedawno. W ciągu ostatniego miesiąca.

Wyciskając plasterek limonki nad szyjką butelki piwa, Pogo spytał:

– Jak ci się zdaje, czy to coś znaczy?

– Na pewno.

– Co?

Pax miał się już przyznać, że nie wie, gdy na stronie po prawej jakby za mocą czarów zaczęły pojawiać się słowa pisane dobrze znanym pismem. Przed całą tą aferą z Bibi miał w ciągu dwudziestu ośmiu lat życia kilka okazji do posmakowania niesamowitości, która nagle stała się chlebem powszednim. Skutki – dreszcz, łaskotanie jakby nówek pająka na karku, dość przyjemne trzepotanie serca – były nieomyślne jak żar w ustach i zlanie się potem po zjedzeniu papryki *habanero*.

Pogo też zauważył pojawianie się słów i Pax obrócił notes w taki sposób, żeby obydwaj widzieli powstającą wiadomość.

Zaczynała się od deklaracji: *Jestem dzielną dziewczyną*.

## ***Dziewczyna potrzebująca dyscypliny***

Na elektronicznej mapie siatka szesnastu ulic, ośmiu biegnących ze wschodu na zachód i ośmiu z północy na południe, nie miała żadnej ogólnej nazwy. Ale gdy GPS zapowiedział, że po skręceniu w prawo Bibi znajdzie się na Sonomire Way, z mgły wyłonił się znak w formie monolitu, postawionego jakby w celu upokorzenia małpiej ludzkości i wzbudzenia w niej woli poprawy. Bryła miała około czternastu stóp wysokości i siedem szerokości. Wykonano ją z polerowanego czarnego granitu inkrustowanego taśmą z matowej stali nierdzewnej, otaczającą wkomponowane w kamień litery z akrylowego szkła, które o czwartej nad ranem lśniły niebiesko. Litery były nieproporcjonalnie małe w stosunku do dziewięćdziesięciu ośmiu stóp kwadratowych granitu, jak gdyby blok był okrzykiem zwracającym uwagę, a napis szeptem, nazwą do wypowiedziania tylko z pełnym szacunkiem: PARK TECHNOLOGICZNY SONOMIRE.

Wolno, ostrożnie jadąc czteropasmową ulicą, Bibi miała wrażenie mijania ogromnych posiadłości. Olbrzymie, niskie budowle, cztery, pięć kondygnacji, za to na nieobjętą skalę, widoczne w zamrożonych potokach bladej poświaty ozdobnych lamp, które były w gruncie rzeczy zakonspirowanymi światłami bezpieczeństwa, i w blasku z rzędów okien, za którymi mimo pory pracowali ludzie albo roboty. Przy tej mgle trudno było określić styl architektoniczny, niepokojący może nawet

w świetle dziennym, niehumaniczny i z jakiegoś powodu militarystyczny, przez co budynki przypominały okręty wojenne zakotwiczone we mgle, nie, raczej flotę statków kosmicznych szykujących się na wyprawę w celu unicestwienia nie tyle miast, co całych planet.

– Sonomire Way jedenaście sto jardów po lewej – oznajmił GPS.

Bibi natychmiast podjechała do krawężnika, zgasiła światła i silnik. Wyłączyła elektroniczną mapę i siedziała w ciemności, podczas gdy mgła tworzyła liczne szeregi armii duchów i przetaczała je powoli przez noc. Bez przerwy myślała o zatłuczonym na śmierć mężczyźnie i zastrzelonej kobiecie w domu, z którego porwano Ashley Bell, o ich połamanych i skrwawionych ciałach. Każdy z urazów poniesionych wcześniej w walce ze zwyrodnialcem w domku w Corona del Mar bolał jakby bardziej. Musiała zebrać w sobie odwagę – wobec tego, że pozostało jej bardzo niewiele czasu, nie zajęło jej to długo.

Wysiadła z hondy. Trzaśnięcie i grzechotanie zamykanych drzwi rozlały się we mgle, być może zwracając uwagę kogoś, kto mógł wyczekiwać jej przybycia. Napierała biała noc, oślizgła, zimna. Mgła w uszach. W gardle. Z płucami ciężkimi od tumanu znalazła chodnik i ruszyła piechotą.

Najwidoczniej nie każda działka w Parku Technologicznym Sonomire została zabudowana, bo numer jedenaście otaczał płot z szeroką, podwójną bramą, w połowie otwartą. Metalowy znak przywiązany drutem do zamkniętej połowy obwieszczał: TU POWSTAJE SIEDZIBA TEREZIN INC. Do zapowiadanego terminu ukończenia brakowało niecałe czternaście miesięcy, dlatego przyjęła, że we mgle muszą stać ukryte konstrukcje, a być może gotowe skrzydła centralnej struktury albo całe budynki.

Jedyne światło na działce pochodziło z okien jednej z dwóch bardzo szerokich przyczep przeznaczonych na biura firm

budowlanych. Szła ostrożnie po nierówno ubitej i zaśmieconej odpadkami ziemi. Zajrzała przez okno, za którym zobaczyła pomieszczenie z kilkoma krzesłami biurowymi stojącymi wokół czegoś, co wyglądało na makietę projektu wielkości stołu jadalnego. Był to rozległy kompleks karbowanych budynków, które robiły wrażenie, jak gdyby miały wzbić się w powietrze, rozmieszczonych wśród placów pogrążonych w cieniu daktylowych gajów, ożywianych licznymi fontannami i zbiornikiem wodnym, którego rozmiar pozwalałby na określenie go mianem jeziora.

Za innym oknem znajdowała się sala z dwoma dużymi deskami kreślarskimi o regulowanej wysokości i kątach, z wyposażeniem pomocniczym. Na korkowych ścianach wisiały rzuty pionowe i harmonogramy budowy.

Minęła ciemne okno i znalazła się przy zasłoniętym roletą, zza której wyciekało światło malujące na mgle pierzaste wzory. Dobiegające stamtąd stłumione głosy kusiły, ale nie umiała zrozumieć słów. Prace budowlane zaczynały się wcześniej, ale nie przed świtem. Naradzający się tutaj omawiali być może ważne sprawy interesujące Bibi bardziej niż koszt betonu i przewidywany termin dostawy następnej ciężarówki stalowych belek.

Przeszła na tył przyczepy, gdzie jeszcze jedno okno zasłonięto żaluzją z listewek. Skręciła za róg w nadziei, że pomieszczenie ciągnie się przez całą szerokość przyczepy i z drugiej strony znajduje się jeszcze jedna szyba, której nie zasłonięto.

W niewiarygodnej mgle znad Mojave, gęstej prawie jak pianka w materacu, stały dwa samochody: jeden normalny cadillac escalade, ale drugi zupełnie niepasujący tutaj sedan. Widoczność była tak słaba, że Bibi dopiero po wyminięciu dużego pojazdu rozpoznała znaczek Bentleya na masce. Podeszła bliżej, aby upewnić się, że w lepszym świetle lakier jest na tyle blady, że można go uznać za odcień café au lait.

Kiedy dwa światy zderzały się ze sobą bez katastrofalnych

skutków i znajdowały to samo miejsce – w nieprzewidywalnym świecie, gdzie w każdej chwili mogły wkroczyć do gry siły nadprzyrodzone – dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze, niezależnie od pory, musiała się tam zjawić była nauczycielka i kobieta odnowiona, Marissa Hoffline-Vorshack. Zgodnie z ciągle zmieniającymi się regułami tej gry ze wszystkich deweloperów w Kalifornii projektem Terezin Inc. nie mógł zarządzać nikt inny niż mąż zakupoholiczki.

Kwestiami najbardziej palącymi były teraz chyba miejsce pobytu rozdętych ponad miarę piersi i przyczepionej do nich kobiety oraz możliwość uniknięcia tej wariatki. Wszystko rozstrzygnęło się, gdy zapłonęły przednie światła bentleya, oślepiając Bibi, i otworzyły się drzwi kierowcy.

Ta, która pierwsza poznała się na talencie młodej pisarki, wyszła z auta, rysując się na tle światła wewnętrznej lampki i potoku blasku z reflektorów. Ubrana była nieodpowiednio do czasu i miejsca: szpilki, czarne spodnie toreadora z wysadzaniem klejnotami paskiem, bluzka z dekoltem, w którym zmieściłby się koci miot, i biała skórzana kurtka z czarnymi ozdobami.

Dawna nauczycielka, w klasie subtelna i wyrachowana mała, obdarzyła Bibi miną sprzed lat – mimo odmienionych rysów twarzy, przemodelowanych nie tylko ręką czasu. Zadowolony z siebie, pełen wyższości uśmiezek zabarwiony niewytłumaczalną urazą kogoś przekonanego, że – mimo że nigdy nie został obrażony – ma prawo do zemsty. Kobieta jak zawsze była przeświadczona, że może zadać prawdziwy cios w zamian za wyobrażony. Była zadowolona, że może zasypać cel gradem małostkowych uszczypliwości.

Tyle że teraz mogą już nie być takie małostkowe.

– Zapytałabym cię, co tu, do cholery, robisz – zaczęła Hoffline-Vorshack – ale wszystko mi jedno, a ty i tak nie powiedziałaśbyś prawdy. Tak jak kłamałaś w sprawie pistoletu i pozwolenia. Pozostałaś małą buntowniczką i kłamczuchą.



Zdawało się, że mgła rozstępuje się przed Hoffline-Vorshack jak przed magnetyczną substancją o przeciwnym biegunie.

– Zatrzymaj się! – powiedziała Bibi. – Ani kroku dalej.

Kobieta zatrzymała się, ale dopiero po kolejnych dwóch krokach i zmuszeniu Bibi, żeby się odsunęła.

– Kiedy dorośniesz, gąsko?

– Nie nazywaj mnie tak.

– Czemu? Bo uderzam w czuły punkt? Niepoważna mała gąska. Tylko surfowanie i imprezy na plaży. Ślicznotka w bikini. Jeszcze bardziej twardogłowa i żalosna wersja swoich wiecznie niedorosłych rodziców.

– Nic nie wiesz o moich rodzicach. Nie znasz ich.

– Przychodzili na zebrania, no nie? Od razu się na nich poznałam. I zawsze wiedziałam, że jesteś dziewczyną potrzebującą dyscypliny.

Bibi wątpiła, żeby w przyczepie było je słychać, ale na wszelki wypadek wyjęła z szelek pistolet.

Uśmiech nauczycielki był półksiężycem pogardy, nie mniej ostrym niż sierpowaty kuchenny nóż, z którym kojarzył się Bibi.

– Zginiesz, głuptasku, latając po nocy i bawiąc się w Nancy Drew. Albo przytrafi ci się jeszcze coś gorszego. Możemy cię zmiażdżyć tak, że nikt nigdy nie zdoła poskładać cię do kupy. Tak też się stanie.

# 111

## ***Jak list w butelce***

Polujące rekiny na drutach. Na ścianach dziesięciolecia surferów, wysportowanych i opalonych, dumnie wyprostowanych i trzymających deski, uśmiechniętych. A na stole, w notesie, trzy słowa: *Jestem dzielną dziewczyną.*

– Niesamowite – stwierdził Pogo. – Ale ja wiem, co to znaczy.

– Ja też.

– Jasne. Te książki.

– Te książki – potwierdził Pax, któremu zaschło w ustach, a serce zaczęło odnajdować nowy rytm.

W dwóch następnych liniijkach napisane było: *Gdy wczoraj się z nią widziałam, dlaczego nie zapytałam Haliny Berg, czy słyszała o Robercie Warrenie Faulknerze – czy jest znanym neonazistą?*

– Mówią ci coś te nazwiska? – zapytał Pogo.

– Halina Berg brzmi jakby znajomo, drugiego nie kojarzę.

– Jak mogła się widzieć wczoraj z tą Haliną Berg? Od czterech dni jest w śpiączce.

– Nie mogła.

Wyłaniała się czwarta liniijka. Płynęła szybko, tworząc zdanie ze znakiem zapytania: *Dlaczego nie zapytałam Haliny Berg o Ashley Bell?*

– Nazwisko z tatuażu – stwierdził Pogo.

Jeszcze przez chwilę patrzyli na notes, czekając niecierpliwie na piątą liniijkę pisma. Potem Pogo skorzystał ze smartfonu.

Kanani zapytała, czy życzą sobie czegoś jeszcze, a kiedy Pax zaprzeczył, zostawiła rachunek.

Gdy Pax zajmował się liczeniem napiwku i regulowaniem rachunku, Pogo mówił:

– Nie jest tak źle, jak przy Johnie Smicie czy rozmaitych Heather, ale po kraju rozsianych jest tyle Ashley Bell, że możemy stracić więcej czasu, niż go mamy.

– Spróbuj Roberta Warrena Faulknera.

– Już się robi.

Na stronach notesu nie pojawiło się już nic więcej. Pax wolał nie cofać się w poszukiwaniu ukrytych głębiej wiadomości, żeby nie zerwać połączenia, dzięki któremu dostawali informacje od Bibi ze stanu śpiączki czy innego świata, w którym równocześnie przebywała. Wyglądało to tak, jakby jego dziewczyna, dryfująca po morzu obcego świata, umieściła wiadomość w butelce i cisnęła ją za burtę, a butelka jakimś cudem wynurzyła się nad brzegami *tego* świata.

Wziął coronę. Odstawił, nie przepijając nawet łyka. Palce miał mokre od wilgoci skroplonej na butelce. Wylał je w dzinsy. Zdał sobie sprawę, że zrobił się nerwowy. Rzadko się denerwował. Bywał ostrożny, przejęty, zaniepokojony, nawet wystraszony, tak, ale rzadko zdenerwowany. Odchylił głowę i spojrział na rekiny. Wiedział, jak dawać sobie z nimi radę. Został do tego przeszkolony. Umiał sobie radzić ze stratą towarzyszy walki, braci i przyjaciół. Nie wiedział, jak radzić sobie ze stratą wyjętą z kontekstu wojny.

– Jest kilku Robertów Faulknerów – odezwał się Pogo – ale przy szybkim wyszukiwaniu żadnego z takim drugim imieniem.

– A Halina Berg?

Na to Pogo zareagował szybko.

– To pseudonim artystyczny. Napisała pod nim jedną książkę. Debiutancką powieść pod tytułem *Z paszczy smoka*.

– Czyj to pseudonim?

Smartfon był w rękach Pogo narzędziem, w które – dzięki

miliardom dolarów na reklamy i mądrości niezliczonych ekspertów – wierzył jak w technologiczne czary, jedyne czary. Ale gdy uniósł głowę, jego oczy jakby widziały – a twarz odzwierciedlała – cud tajemnicy nie z tego świata, świetlistej i melodyjnej, która nawiedziła dość mroczny i pełen dysonansów świat nowoczesnej technologii.

– Halina Berg to pseudonim Toby Ringelbaum.

W dzieciństwie Toba uciekła z żydowskiego getta w Theresienstadt, gdzie jej matka zmarła w czasie epidemii tyfusu. Potem przeżyła także obóz śmierci w Oświęcimiu, gdzie zginął jej ojciec. Kilkadziesiąt lat po wyjściu za Maxa Kleina i emigracji do USA napisała serię powieści dla nastolatek o szkole dla dziewcząt – Akademii dla Dzielnych, której wszechstronnie uzdolniona dyrektorka była poszukiwaczką przygód i mistrzynią sztuk walki, nie tylko kształcąca podopieczne, ale i prowadzącą je do walki przeciwko łotrom, przedstawicielom totalitaryzmu i innym wielogłowym hydrom.

Pax wiedział o tym wszystkim, bo znał Tobę Ringelbaum. Spotkał się z nią dwa razy w towarzystwie Bibi. Pogo znał staruszkę jeszcze lepiej, bo często odwiedzał ją z Bibi.

Bibi odkryła serię o dzielnych dziewczętach, gdy miała dziesięć lat, i będąc nastolatką, wielokrotnie czytała te powieści.

Ręczne pismo w notesie wydawało się lśnić: *Gdy wczoraj się z nią widziałam, dlaczego nie zapytałam Haliny Berg, czy słyszała o Robercie Warrenie Faulknerze – czy jest znanym neonazistą?*

To pytanie zmusiło Paxtona do postawienia w myślach innego: dlaczego mówiła o przyjaciółce i przewodniczce, Tobie Ringelbaum, używając literackiego pseudonimu?

– Zadzwoń do Toby – zadeklarował Pogo – jeśli chcesz do niej jechać.

– Pewnie, że chcę. Dawaj, ruszajmy się. Zadzwoń do niej z samochodu.

## ***Nagroda dla nauczyciela roku***

W srebrnej od świateł samochodu mgłę, która wolno, lecz z rozmysłem obracała się jak galaktyki w trakcie tworzenia, pani Hoffline-Vorshack stała w kapsule przejrzystego powietrza tak, jak w pewnej szkole malarstwa religijnego święty zawsze stał – albo lewitował – w obrębie świetlistego nimbu. Sądząc z dostępnych dowodów, nauczycielka angielskiego była podobna do świętej nie bardziej niż robak, który ma tę moralną przewagę, że nie zna różnicy między dobrem a złem.

To „my” w jej pogroźce – *Możemy cię zmiażdżyć tak, że nikt nigdy nie zdoła poskładać cię do kupy. Tak też się stanie* – umieszczało ją w neonazistowskiej sekcji Terezina i wykluczało możliwość, że wybór jej męża na budowniczego nowej siedziby Terezin Inc. był przypadkowy.

- Gdzie dziewczyna? – spytała Bibi. – Gdzie ją trzymają?
- Akurat ci powiem.
- Powiedz.
- Jakbyś tego potrzebowała.
- Co to ma znaczyć?
- Przecież wiesz.
- Nie zadawaj zagadek.
- Nie *rób* ze mnie zagadki.

Bibi uniosła pistolet w prawej ręce.

- Gąska po stronie zła – stwierdziła Hoffline-Vorshack.
- Tak będzie – zapowiedziała Bibi. – Zastrzelę cię.

Nie wiedziała, czy mówi poważnie. Wcześniej dźgnęła nożem brutalą, który ją bił i usiłował zgwałcić, zadźgała go na śmierć, ale działała w obronie własnej. A facet był obcy. Trudniej byłoby zabić kogoś, kogo zna, nawet kogoś takiego jak ta okropna baba. Bliska znajomość rodzi pogardę, ale również dobre maniery, nawet wbrew sobie.

Na twarzy Hoffline-Vorshack kłębiły się wężowe emocje – jadowita pogarda, nienawiść, arogancja. Nie śmiała postąpić naprzód, chociaż zachowywała wojowniczą postawę.

– Chcesz się czegoś dowiedzieć, mały ciemniaku, durny splicie? – Była nauczycielka nigdy wcześniej nie używała gwary surferskiej. – Wszystko ci się pomyliło. Nie umiesz złożyć niczego do kupy. Gdybym jeszcze uczyła, a ty znalazłabyś się na moich lekcjach, dałabym ci z tego mierną, a i tak byłby to dowód dobrego serca.

Bibi ujęła pistolet w obie ręce.

– Gdzie jest Ashley Bell?

– Wydaje ci się, że rozumiesz Bobby’ego Faulknera, matkobójcę? Uważasz, że stworzyłaś jego portret psychologiczny? Odkryłaś sektę, którą stworzył? Gąsko, to wszystko gównem prawda. Jesteś żalosna. To nie jest sekta, nigdy nie była czymś tak stereotypowym jak sekta. – Włosy Bibi sklejały się we mgle, za to opadające blond loki Hoffline-Vorshack w bańce czystego powietrza były godne reklamy szamponu. – Rozejrzyj się, *Biiibiii* – zabrzmiało to jak imię postaci z kreskówki – rozejrzyj się, a może zauważysz, że twoja sekta zmieniła się w gigantyczny konglomerat, który buduje sobie superkosztowną siedzibę w stylu kampusowym. Może zdasz sobie sprawę, że w tym przedsięwzięciu biorą udział tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy osób. Czy to podobne do wariackiej nazistowskiej sekty? Nie jesteśmy szaleńcami, gąsko.

– Ale jesteście faszystami.

– W dzisiejszych czasach każdy jest faszystą, złotko. To słowo przestało być obelżywe. Kraj pogodził się ze wszystkimi

faszystowskimi dyktatorami, których kiedyś unikaliśmy. Całus na zgodę. Teraz to przyzwoite. To jedyna słuszna droga.

Bibi uniosła pistolet, celując nie w piersi, tylko w twarz kobiety z odległości sześciu, siedmiu stóp. Z punktu widzenia Hoffline-Vorshack lufa musiała wyglądać jak czarna góra o sile grawitacji zdolnej rozrywać planety.

– Gdzie trzymają dziewczynę? Pytam ostatni raz.

– Dobrze. Pytasz ostatni raz. Zmęczyły mnie te wszystkie twoje pytania.

Całe życie Bibi kontrolowała gniew. Świadomie łączyła elegancką, miłą stronę swojej natury ze stroną bardziej mroczną, która miała czasami ochotę wychynąć na powierzchnię i uderzyć. Skłonność do grzecznych reakcji, a przynajmniej do dyskretnej złości, brała się nie ze szlachetności, tylko z obawy przed utratą kontroli nad sobą. Podejrzewała, że gdyby przestała nad sobą panować, byłaby zdolna do siania strasznych szkód, nijak niemających się do przykrości, jakich doznała, choć nie istniały żadne, wewnętrzne ani zewnętrzne, dowody na poparcie tego podejrzenia.

– *Gdzie jest Ashley?* – zapytała.

Hoffline-Vorshack wybuchnęła śmiechem.

– Spytałaś znowu. Mówiłaś, że pytasz ostatni raz. Słuchaj, gąsko, po co ci ta mała Żydówka? Nie była ci nigdy potrzebna. Nie umiesz poznać fałszywego tropu, nawet jeśli sama go zostawiłaś?

W Bibi narastała wściekłość. Nie cierpiała tej baby. Marissa Hoffline była złą nauczycielką. Nigdy, przenigdy nie dostałaby nagrody dla nauczycielki roku w żadnej szkole. A teraz była taką samą fatalną żoną, zupełnie wypraną z wdzięczności za uśmiech losu, jaki ją spotkał, przemienioną w potwora zadowolenia z siebie. I nie zamykała jej się gęba. Jak będzie tak gadać, to wszystko popsuje. Jeśli będzie gadać, gadać, gadać, to powie coś, czego Bibi wolałaby nie usłyszeć.

– Nie potrzebujesz tej małej Żydówki, gąsko. Po prostu zrób,

co trzeba. Spójrz w twarz strasznej prawdy. Pogódź się z tym, z czym musisz się pogodzić. *Poznaj* siebie, a potem dokonaj czynu, którego musisz dokonać. – Twarz Hoffline-Vorshack wyrażała takie przemądrałe zadowolenie z siebie, że Bibi chciała ją uderzyć. Mocno. Wiele razy. Żeby się zamknęła. Zabić ją. Co byłoby morderstwem, nie zabójstwem. A to robi różnicę.

Gniew, który Bibi tak długo bała się wyrazić, narastający teraz do furii, wynikał z tłumionego strachu. Nareszcie zrozumiała chociaż tyle. Dzięki sztuczce Kapitana traumatyczne przeżycia wcale się nie paliły. Tonęły w głębokiej dziurze pamięci, gdzie jątrzyły się – razem z towarzyszącym im strachem. Przez siedemnaście lat strach bulgotał powoli, aż zgęstniał w gorzką masę, stał się nieustanną grozą, tłumionym niepokojem z dodatkiem bezradnych złych przeczuć.

- *Poznaj samą siebie, gąsko* – powtórzyła Hoffline-Vorshack.
- *Zamknij się.*
- *Poznaj swoje tajemnice.*
- *Zamknij się, zamknij, zamknij!*
- *Wiesz, że mam rację, gąsko* – stwierdziła dawna nauczycielka. – *Spytał, czego potrzebujesz najbardziej, a ty odpowiedziałas, że zapomnienia. A przecież wtedy wcale go nie potrzebowałaś. I nie potrzebujesz teraz.*



## ***Czego słowa nie mogą opisać***

Urokliwy dom w hiszpańskim stylu neokolonialnym. Pokoje i korytarze obudowane książkami. W kuchni stół, przy którym toczono więcej rozmów, niż zjedzono posiłków. Łagodna, ujmująca twarz Toby, serdeczny uśmiech, niezmienna uprzejmość. Było to miłe miejsce, kojące dla serca i umysłu, ale Pax nie miał teraz ani ochoty do bycia pocieszonym, ani czasu, w którym zdążyłyby zadziałać czary tego domu i jego szczególnej gospodyni.

Zaproponowała kawę i herbatę – które zaparzyła po telefonie od Pixa z pytaniem, czy mogą złożyć jej wizytę – ale obydwaj odmówili. Gdy Toba usłyszała o raku Bibi i utrzymującej się od czterech dni śpiączce, wylała herbatę z kubka do zlewu i zastąpiła ją kawą, którą wzmocniła likierem Baileys i burbonem. Dopiero wtedy zdolna była wykrztusić słowo w reakcji na te wiadomości, a w jej głosie słyszało się tak nietypowe dla niej drżenie.

– Rzadko piję, ale czasami nawet to nie wystarcza.

Reszta opowieści o dziwnym stanie Bibi – niespotykane fale mózgowo, urazy twarzy, które zjawiały się bez widocznego powodu (choć na razie nie wspomnieli o tatuażu) – nie podniosła Toby na duchu, lecz pobudziła jej wyobraźnię i energię. Opowiedzieli jej o Jasperze i Olafie, i długo ukrywanej obroży, o powodzie, dla którego doktor St. Croix wyrzuciła Bibi z kursu pisania.

Pax co prawda przyniósł notatnik z rysunkiem Pogo, lecz nie od razu napomknęli o słowach pojawiających się, jakby były pisane przez ducha. Nie byli na przesłuchaniu, Toba stała po ich stronie, po stronie Bibi, choć pewne techniki przydawały się nawet w codziennej rozmowie. Niezależnie od tego, czy rozmawiało się z żołnierzem wrogiej armii czy z przyjacielem, informacje wydobywane etapowo – warstwami – były zazwyczaj bardziej szczegółowe i przydatne. Nie dlatego, że ktoś specjalnie coś ukrywał, ale po prostu dlatego, że ludzki mózg nie zawsze zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co wie, i potrzebuje czasu, by jedna myśl pociągnęła za sobą następną, by rozwiązać liczne supelki pamięci i w maksymalnym zakresie odtworzyć jakieś przeżycie.

Gdy wspomnieli, że Bibi w śpiączce wymówiła słowa: „Jestem dzielną dziewczyną”, Toba zerwała się z krzesła, jakby nagle ubyto jej sześćdziesiąt lat.

– Uwielbiała te książki. Tak bardzo się starała, żeby zdobyć mój numer telefonu. Jak na czternastolatkę wykazała się zdumiewającą determinacją. Zadzwoiła, przepaszając, że dzwoni, że wyszukała numer bez mojej zgody. Chodźcie, coś wam pokażę. No, Pogo już widział, ale ty nie, Paxtonie. Mój gabinet, w którym pisałam, gdzie piszę.

Kiedy szli za nią korytarzem na parterze, mijając regały starannie ułożonych, z miłością odkurzanych książek, potem otwartymi schodami na piętro, Toba opowiadała:

– Bo widzicie, seria o dzielnych dziewczynach wystarcza na wygodne życie, ale to nie były nigdy bestsellery. Dostawałam oczywiście listy od czytelników, ale domu nigdy nie oblegały małe dziewczynki pukające do drzwi. Zachody Bibi mi pochlebiały. I zauroczyło mnie kilka minut rozmowy przez telefon. Dlatego powiedziałam, że jeśli chce, może odwiedzić mnie z matką. Na pół godzinki. I przynieść kilka książek do podpisania. Nigdy nie podpisywałam ich w jakiś zorganizowany sposób. Wydawało mi się to przesadą, wbijaniem się w dumę.

Byłam przecież po prostu Tobą Ringelbaum, która powinna dawno umrzeć, nie żadnym Saulem Bellowem, chociaż zazdrościłam mu stylu. Dziewczyna wydała mi się urocza, o wiele za poważna jak na swój wiek, a mimo to podobna do cieszącej się każdym drobiazgiem, chłonącej wiedzę gąbki, poszukującej czegoś, co zawsze jej umykało, i sędzę, że ciągle jej umyka, choć nie wiem, co to może być.

Liczba książek w pracowni nie zaskakiwała. Duże, ultranowoczesne biurko w kształcie litery U nie było ociężałym europejskim antykiem, którego spodziewał się Pax. Najnowszy model komputera z ekranem wielkości billboardu, drukarki, skaner i rzędy elektronicznych gadżetów dowodziły, że staruszka była na czasie bardziej, niż Pax mógł sądzić, i zawstydził się, że pomyślał, że Toba jest pewnie na emeryturze, chociaż twierdzi, że cały czas pisze.

– To wygląda jak punkt dowodzenia statku kosmicznego, Toba-Wan Kenobi – oświadczył Pogo. – Zawsze wiedziałem, że moc jest z tobą. Udzielasz się w mediach społecznościowych?

– Nie za bardzo, mój drogi, mam lepsze sposoby tracenia czasu. Poza tym portale społecznościowe wydają mi się strasznie antyspołeczne. Ale na pewno warto trzymać rękę na pulsie.

Na regale z własnymi powieściami ułożyła amerykańskie wydania książek o dzielnych dziewczynach według kolejności publikacji. Było ich w sumie czterdzieści sześć.

– Nazywa mnie swoją inspiratorką i mentorką – mówiła Toba – i w swojej próżności mogę przyznać się do pierwszego, ale przenigdy do drugiego. Jak mogłabym nauczyć czegokolwiek dziewczynę, która w wieku siedemnastu lat pisała lepiej niż ja w najlepszych swoich momentach?

– Może nauczyłaś ją czegoś innego – zauważył Pax. – Wartości wpajanych dziewczętom w Akademii Dzielnych. Wielu ludzi mogłoby je dzisiaj uznać za czerstwe albo przestarzałe. A Bibi mówi, że kodeks dzielnych dziewcząt jest genialnym

rozszerzeniem i zastosowaniem prawa naturalnego.

Toba słuchała tego z wyraźną przyjemnością, ale potem pomyślała chyba o Bibi w szpitalnym łóżku, w śpiączce, bo uniosła kubek i popiła duży łyk wzmocnionej kawy.

– Jedyłą rzeczą w dzielnych dziewczynach, która jeszcze ją przerastała w wieku czternastu lat, była koncepcja wolnej woli. Często wracała do niej w czasie naszych rozmów. Wolność kształtowania swojego życia, możliwość przewycięzania siebie. Obawy, że zaprzeczanie istnieniu wolnej woli niesie straszne niebezpieczeństwo uznania, że jesteśmy maszynami z mięsa, że nic nie ma sensu i że nie ponosimy odpowiedzialności za to, co dzieje się z powodu naszych czynów.

– Mam powiedzieć o tatuażu? – zapytał Pogo.

Pax kiwnął głową.

Obraz czterech słów, które pokazały się bez pomocy tuszu czy tatuażysty, nie zrobił szczególnego wrażenia na Tobie Ringelbaum i nie wymagał przebudowy jej światopoglądu. Nie ukrywała faktu, że w Theresienstadt i po uwolnieniu z Oświęcimia na kilka godzin przed zaplanowaną egzekucją przeżywała rzeczy niewytłumaczalne, jakby logika i prawa natury ulegały zawieszeniu w taki sposób, że przeżywała je tam, gdzie nie powinna była ocaleć. Niektórzy nazwaliby to zbiegiem okoliczności, inni cudem, który nie potrzebuje działania losu. Nigdy nie rozwodziła się nad tymi przeżyciami, nie opowiadała o nich nawet mężowi, Maxowi, bo były dla niej świętością i rozumiała, że doznałyby uszczerbku wskutek uproszczeń języka. Niewyraźalne przestałoby być niewyraźalne, gdyby dawało się opisać.

Gdy Pogo skończył, Pax otworzył notes z panterą i gazelą na stronach, gdzie pojawiał się pochyłe pismo Bibi, i Toba słuchała, nie potrzebując wsparcia kawy z dodatkami, kiedy tłumaczył, jak się materializowały, i wspólnie z nią je odczytywał. Trudno powiedzieć, czy było to mniej czy bardziej zdumiewające niż doświadczenia z dzieciństwa w getcie

i w obozie zagłady. Widział jednak, że są z tej samej cudownej materii, bo kobieta uśmiechnęła się, odstawiła kubek na biurko i stwierdziła:

- Znaczy, że sprawa nie jest beznadziejna.
- Dlaczego mówi o pani, używając pseudonimu? – zapytał Pax.
- Nie wiem. To jest rzeczywiście dziwne.
- Kto to jest Robert Warren Faulkner?
- Pierwsze słyszę.
- Przede wszystkim – wtrącił się Pogo – kto to jest Ashley Bell?

## ***Okropna baba i straszny cios***

Mgła, którą Bibi wciągała w płuca, na moment wdarła się też chyba do jej głowy. Marissa Hoffline-Vorshack mówiła o sprawach, o których nie mogła wiedzieć. *Spytał, czego potrzebujesz najbardziej, a ty odpowiedziałaś, że zapomnienia. A przecież wtedy wcale tego nie potrzebowałaś. I nie potrzebujesz teraz.* Nie znała Kapitana. Umarł na długo przed tym, nim ta okropna baba pojawiła się w życiu Bibi.

W drogim kostiumie do taniego klubu, ubrana jak na plan starego filmu z Elvisem Presleyem, w szpilkach i spodniach toreadora, z dekoltem i czarno-białą skórzaną kurtką, w przezroczystej bańce pośrodku białej masy, w świetle z bentleya odświeżona panna Hoffline *żądała*, by ją zobaczyć, zastanowić się nad nią i ją zrozumieć.

Bibi wydało się, że słyszy za sobą kogoś czającego się, zdradzonego przez chrzęst żużlu pod stopami. Obróciła się, celując z pistoletu w noc, ale nikogo nie znalazła. Światła w przyczepie, za roletami. W środku niewyraźne głosy, niezrozumiałe, być może niemówiące po angielsku. Jak głosy z zaświatów zaproszone na seans, dobywające się z tkaniny ektoplazmy, która unosi się w powietrzu.

– Nie słyszą nas – oznajmiła pani Hoffline-Vorshack.

Bibi obróciła się na pięcie w stronę dawnej nauczycielki, oczekując ataku z jej strony, ale kobieta nie poruszyła się. Tryumfalna mina sugerowała, że nie musi atakować Bibi

fizycznie, że może zniszczyć ją słowem.

– Nie usłyszeli i nie usłyszą – ciągnęła Hoffline-Vorshack – chyba że tego zechcesz. Zawsze możesz od nich tego chcieć.

Bibi ciągle czuła się jak dziecko we mgle, fizycznie i umysłowo, i nawet wściekłość nie była w stanie rozpedzić tych oparów. Nie tak wyobrażała sobie starcie po wyłonieniu się Hoffline-Vorshack z auta. Jeszcze nigdy w ciągu ostatnich dwóch dni nie czuła się tak zdezorientowana, pozbawiona kontroli nad zdarzeniami.

– Czego chcesz, gąsko? – spytała zniecierpliwiona Hoffline-Vorshack. – Co? Czego tak naprawdę chcesz?

– Ashley Bell, przecież wiadomo. Gdzie ją trzymacie?

– Miejsce jej pobytu – to tylko kolejny zwrot akcji. Czego ty chcesz – oto prawdziwy problem. Motywacja postaci. Jeżeli chcesz uratować Ashley, jeżeli to jest twoja motywacja, to najpierw musisz poznać całą prawdę o sobie. Ale jeżeli boisz się tej prawdy, jeśli jesteś tchórzem, za jakiego cię mam, to wolisz jej nie poznawać i nigdy nikogo nie uratujesz.

– Po co to wszystko mówisz? Co to za brednie? Nie jesteśmy w szkole.

– Nie? – Mówiła z takim przekonaniem i spoglądała tak prowokująco, że mogło się wydawać, że wokół nich wyrosną zaraz ściany i pojawią się rzędy szkolnych ławek. – Kim chcesz, żebym była, gąsko?

– Chcę?

– Jak wiesz, zostanę tym, kim zechcesz.

Mgła była wszędzie, gęsta i mętna, tylko nie przy Hoffline-Vorshack, która wyrzucała mgłę z siebie jak maszyna do zaciemniania.

– Odkąd pamiętam – powiedziała Bibi – od pierwszej klasy, byłaś tylko zawalidrogą. Ludzie nie zmieniają się z dnia na dzień.

– Czyli chcesz, żebym stanęła ci na drodze do Ashley, uniemożliwiła poznanie prawdy?

Ostatnie dwa dni miały w sobie dużo z surrealizmu, ale teraz ten wątek zaczynał dominować.

– Będiesz tym, czym jesteś. – Bibi nie życzyła sobie tej rozmowy. Chciała zakończyć to spotkanie.

Mimo szpilek, obcisłych spodni i piersi o fatalnej aerodynamice Hoffline-Vorshack poruszała się szybko, jedną rękę wyciągając po SIG-Sauera, drugą łapiąc za pokryte skorupą krwi ucho Bibi, chybiając pierwszego, trafiając w drugi cel. Krzyk bólu Bibi był niemy, stłumiony, zduszony. Nauczycielka jak zombie syknęła przez wyszczerzone zęby, a Bibi użyła P226, ale nie jako broni palnej, tylko pałki, waląc kolbą w czoło napastniczki, czemu towarzyszył brutalny, lecz dyskretny odgłos. Hoffline-Vorshack padła na wznak, z głową skręconą w lewo, w światłocieniu z reflektorów bentleya, w pozie pełnej dziwnej gracji, jak gdyby w makabrycznej reklamie mody, w której modelka udaje ofiarę przestępstwa. Być może traciła przytomność albo umierała, ale przewiercała była uczennicę wzrokiem, który mógłby zabić, gdyby skrajne napięcie nienawiści dało się wyemitować w formie prądu elektrycznego. Może Bibi powinna była odczekać, aż oko się domknie, a kobieta pozostanie w bezruchu, ale gniew, który zawsze umiała opanować, tym razem opanował ją. Złapała za lufę pistoletu i uderzyła kolbą w bok twarzy Hoffline-Vorshack, nie z całą siłą, ale zadając straszny cios, po którym ogniste oko zniknęło za mrugającą i w końcu znieruchomiłą powieką.

Ten akt przemocy jednocześnie podniecał i zawstydział Bibi, dodawał mocy, ale nie wprawiał w uniesienie. Gdyby nie wstyd, zadałaby kolejny cios i jeszcze jeden, dopóki nie zobaczyłaby, jak czaszka pęka, a blond włosy ciemnieją od krwi. Ale zapanowała nad sobą, zamykając ujście dla biorącej się z lęku furii o temperaturze wulkanu.

Głosy w przyczepie nadal prowadziły niesłyszalną rozmowę. Spiskowały czy tylko plotkowały, knuły zniszczenie miasta czy grały w pokera – nie dało się rozstrzygnąć.



Jeśli jeden głos należał do Vorshacka, szczęśliwego małżonka, być może drugi do Roberta Warrena Faulknera, alias Terezina. W takim razie mogła go zaskoczyć, wejść i zastrzelić na miejscu, uniemożliwiając obchodzenie urodzin i ratując życie Ashley Bell. Lecz czy przywódca takiej sekty – takiego przedsięwzięcia – poruszałby się bez ochrony? Mało prawdopodobne. Nie miała pojęcia, ilu jeszcze ludzi może znajdować się w przyczepie, w pokojach albo na korytarzu, do których nie mogła zajrzeć z zewnątrz.

Pomyślała, że lepiej rozejrzeć się po placu budowy, niż ważyć na nieprzemyślane starcie, tak samo jak lepiej nie zastanawiać się nad dziwnym spotkaniem z Marissą Hoffline-Vorshack i jego osobliwym zakończeniem.

*Jaka jest twoja motywacja?*

*Uratować Bell.*

*Naprawdę?*

*Tak. Ashley Bell. Uratować ją albo zginąć, próbując.*

*Spowiała ją mgła.*

## ***Fakty i fikcja w życiu Toby***

Staruszka chyba nie cierpiała na artretyzm. Poruszała się szybko i bez stękania, kości palców nie były zgrubiałe i zniekształcone, knykcie nie puchły. Nie miała okularów i Pax wątpił, żeby korzystała z soczewek. W ogóle sprawiała wrażenie zdrowej, jakby w dzieciństwie zaznała tyle boleści i przerażenia, że po uratowaniu z Oświęcimia anioł-kanclerz, który notował długi każdej duszy, uwolnił ją od płacenia jakiegokolwiek poważnej ceny za przekroczenie osiemdziesiątki.

Minęła wydania powieści o dzielnych dziewczynach w różnych językach i przeszła do innych regałów, na których trzymała pozycje dla młodzieży spoza tej serii. Spośród ciasno upchniętych tomów wyjęła jedyny napisany pod pseudonimem Halina Berg. Była to jednocześnie jej pierwsza wydana drukiem książka: *Z paszczy smoka*. Na okładce widniał stylizowany smok z ludzkimi czaszkami zamiast oczu, ale obraz był kiepsko pomyślany i może wykonany na chybcika, mało ciekawie. Mimo wskazówki POWIEŚĆ pod tytułem utwór mógł należeć do kilku różnych gatunków.

– Sprzedawała się słabo. Klapa. Opakowanie nie krzychało „kup mnie” – stwierdziła Toba – lecz w gruncie rzeczy nie umiałam opowiedzieć historii, którą sobie wymyśliłam. Miała być to podróż przez piekło, ale inspirująca. Historia dziewczynki, która przeżyła Dachau, otrząsnęła się z traumy i ułożyła sobie życie w Ameryce.

- Twoje życie – zauważył Pogo.
- Nie bardzo, mój kochany. Zmyślona historia na podstawie faktów. Na motywach prawdziwej opowieści o kimś, kogo poznałam tu po wojnie. Nazywała się Arline Blum, ale dla potrzeb powieści zmieniłam nazwisko.
- Czyli bohaterka nazywa się Ashley Bell – zauważył Pogo, czytający skrzydełko pierwszej strony okładki.
- Nie drażni amerykańskiego ucha – wyjaśniła Toba.
- Pogo był prosty jak biała linia na autostradzie i tak samo czytelny, jak drogowy znak. Jego konsternację widziało się jak na dłoni.
- Tatuaż na ręce Bibi – ASHLEY BELL BĘDZIE ŻYĆ. I żyła, ale nazywała się Arline Blum.
- Czy ona jeszcze żyje? – zapytał Pax.
- Niestety nie – odparła Toba. – Umarła cztery lata temu.
- A Ashley Bell nie jest rzeczywistą osobą – ciągnął Pogo – tylko postacią w książce. To skąd tatuaż?
- Po pierwszej wizycie z matką – opowiadała Toba – gdy dowiedziała się, że wydałam jedną książkę jako Halina Berg, Bibi koniecznie chciała ją przeczytać. Powiedziałam, że nie ma jej w sklepach i że wcale się temu nie dziwię. Mój talent nie dorastał do tego typu materiału. Odnalazłam się w wesołych powieściach przygodowych dla dziewcząt. Ale wkradła się w moje łaski i dostała egzemplarz.
- Te powieści przygodowe nie są tylko dla dziewcząt – zaproponował Pax, bowiem istniała także seria jedenastu książek o Akademii Dzielnym dla chłopców, które czytał jeszcze na rodzinnym ranczu, gdy jeszcze nie śniła mu się służba w SEAL.
- To pomogło nam dogadać się z Bibi już na pierwszej randce – oboje czytaliśmy Tobę Ringelbaum.
- Tak, mówiła mi, i mile mnie to połechtało. Ale książki dla chłopców nie sprzedawały się, niestety, tak dobrze jak dla dziewcząt. W przeciwnym razie napisałabym więcej. – Przyjemne fałdy jej wiekowej twarzy przybrały wyraz czystej

uciechy, oczy w kolorze brandy zaświeciły się. – Wejście w umysł młodego mężczyzny, wyobrażanie sobie, jak zachowują się chłopaki, i dawanie wycisku czarnym charakterom dały mi tyle radości.

– Pani dziewczyny też nie są barankami – stwierdził Pax. – Między innymi dlatego Bibi tak bardzo przepada za tymi historiami.

– Ale wracając do mojego pytania – wtrącił się Pogo. – Skąd ten tatuaż? Gdzie jest Bibi? Co jej się śni? A może to nie sen – co ona robi? Skąd wzięła się w tym wszystkim Ashley Bell?

– Toba? – zapytał Pax, oddając jej *Z paszczy smoka*. – Jakies pomysły?

– Jest jeszcze jedna sprawa. Dziwna. – Kobieta postawiła książkę na półce i zdjęła z niej inny, stojący w pobliżu tom. – Nie miałam za dużo zapasowych egzemplarzy wydania amerykańskiego, więc dałam Bibi to, wersję brytyjską.

Zamiast smoka na okładce znajdowała się twarz pięknej dziewczynki, dwunasto-, może trzynastoletniej. Blond włosy. Cera gładka jak biskwitowa porcelana. Uderzające fiołkowe oczy, szeroko osadzone, lśniące inteligencją, bezpośrednio, czyste spojrzenie, płaszczyzny i krzywizny twarzy oraz delikatna sugestia przekory w rysunku ust wskazywały na ciekawą osobowość, jakby w tym wypadku pozory i rzeczywistość się zgadzały.

– Arline Blum bardzo spodobał się rękopis powieści zainspirowanej zdarzeniami z jej życia – opowiadała Toba – na co raczej sobie nie zasłużyłam, skoro nie umiałam zbyt dobrze ich oddać. Zawsze była uroczą, wielkoduszną osobą. W każdym razie brytyjski wydawca wolał umieścić na okładce twarz Ashley Bell zamiast tego obrzydliwego smoka. Zamierzali zlecić namalowanie jej ilustratorowi. Tymczasem ja widziałam takie zdjęcie Arline z dzieciństwa i wydawało mi się, że idealnie się nadaje. Nie miała nic przeciwko temu. Było naturalnie czarno-białe, ale grafik je wykorzystał, tworząc okładkę w stylu

fotografii realistycznej. Jestem przekonana, że właśnie dzięki temu wydanie angielskie sprzedało się o wiele lepiej od amerykańskiego.

– Jest... hipnotyzująca – zauważył Pogo. – Czy wyrosła na taką piękność?

– Tak. O sercu jeszcze piękniejszym od twarzy. Jak mówiłam, nie ma jej już od czterech lat. Zawsze będę za nią tęskniła.

Portretu na okładce, wprawdzie uderzającego, nie można było uznać za dziwny.

– Toba, zastanawialiśmy się, jak – i dlaczego – na rękę Bibi mógł pojawić się ten tatuaż – powiedział Pax. – Skąd wzięła się w tym wszystkim Ashley Bell. Wspomniałaś, że jest jeszcze jedna dziwna sprawa.

– W powieści Ashley Bell przeżywa Dachau, tak samo jak Arline Blum, przyjeżdża do Ameryki i zostaje znanym i szanowanym chirurgiem, tak jak Arline. Moja książka zbyt niewolniczo naśladowała rzeczywistość. Wzorowana na Arline Ashley Bell jest w powieści chirurgiem onkologiem i specjalistką od raka mózgu.

## *Następny ruch w nieruchomościach*

Na zachodzie słońce chyliło się ku morzu, a chmury o zróżnicowanych fakturach obiecywały za kwadrans zakończenie dnia przy płomiennym niebie. Wydłużone, jakby topniejące cienie kładły się na złotym świetle, które niebawem nabierze barwy czerwonej.

Przy oknie w sali 456 Nancy patrzyła na szpitalny parking i nie podobało jej się to, co widziała, nic a nic się nie podobało, więc odwróciła wzrok. Rzędy samochodów przypominały trumny ustawione tak, jak widywała w dziennikach, gdy żołnierzy padłych na wojnie szykowano do przewiezienia samolotem do domu.

Murph zszedł do stołówki po kanapki i sałatki na kolację, którą zjedzą razem w tym pomieszczeniu. Żadne nie chciało wychodzić przed końcem pory odwiedzin, właściwie w ogóle nie chciało stąd iść.

Nancy postanowiła wypisać się z handlu nieruchomościami. Kochała sprzedawać działki, pomagać ludziom potrzebującym nowych domów i była dobrą agentką, lepszą niż Murph jako sprzedawca desek surfingowych, a przecież był całkiem niezły. Ale jeśli coś przytrafi się Bibi – nie jakieś nieokreślone coś, bądź ze sobą szczerą, jeżeli córka umrze – wszystkie domy na świecie zaczną nawiedzać duchy. Każdy dom, który pokaże ewentualnemu nabywcy, będzie domem, gdzie Bibi mogłaby pewnego dnia zamieszkać i założyć z Paxem rodzinę. Każda

pusta działka czekająca na ukończenie przez architekta projektu domu będzie cmentarzem bez nagrobka. Wyżęta jak ścierka przez niepokój – tak się czuła, chodząc po sali.

Mogło to brzmieć jak targowanie się z losem, lecz nie obiecywała, że rzuci pracę, jeżeli tylko Bibi będzie żyć. Takie targi nie miały sensu. Tego rodzaju sentymentalne gesty poprawiały samopoczucie, gdy człowiek poczuł się jak śmieć, dawały złudne poczucie kontroli, ale nie miały sensu. Co będzie, to będzie. Los to suka, nie idzie na układy. Tak naprawdę Nancy myślała sobie, że strata córki w tak młodym wieku z pewnością pozbawi jej pracę i życie sensu. Ale trzeba było patrzeć rzeczywistości w oczy, nawet kiedy była koszmarna.

Stała w nogach łóżka, patrząc na dziewczynę w śpiączce, kiedy zaskorupiała i świeża krew *trysnęły* z uszkodzonego ucha Bibi, obryzgały poduszkę i resztę pościeli. Krew popłynęła z zaschniętych ran, jakby rozdrapała ją jakaś niewidzialna istota.

## ***Fale nocy***

Przez kilkadziesiąt metrów Bibi przedzierała się przez scenerię godną arktycznej śnieżycy, choć bez wiatru i biegunowego zimna, mylącą tropy i przeraźliwą. Kiedy światła z okien przyczepy zmniejszyły się do rozmiarów widmowych światełek dopiero co wyłączonego ekranu telewizora, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła latarkę i odważyła się ją zapalić.

Jeżeli wynajmują ochronę, która robi obchody, mogą ją zobaczyć, ale jakoś nie umiała się tym przejąć. Intuicja podpowiadała jej, że od tej pory musi się liczyć z niebezpieczeństwami gorszymi od cieciów. Odkąd Pogo przyjechał hondą do Pogłaskaj Kota i ruszyła na tę wyprawę, przebyła drogę znacznie dłuższą, niż wskazywałby na to licznik samochodu. Czuła się tak, jakby znalazła się w nieznanym kraju na nieodkrytym kontynencie, na skraju bezimiennej przepaści. Istniał świat znany i świat nadprzyrodzony, który rzucał na tamten cień, a teraz dzieląca je zasłona zaczęła rwać się na strzępy.

A może rozpadała się inna zasłona, pomiędzy jej życiem takim, jakie je sobie wyobrażała, a jego wersją prawdziwą, pomiędzy tym, kim była i kim być mogła. Przepaścią, na krawędzi której stała, była prawda.

Ciało bolało od uderzeń mężczyzny, którego zabiła, ucho całe płonęło. Tylenol zostawiła w aucie. Nieważne. Ból jej nie obezwładni. Za to pomagał się skupić, wyostrzał zmysły.



Światło nie było w stanie przebić gęstej mgły i smuga z latarki okazała się kiepskim narzędziem. Tuman nie tylko zbijał się w kłęby, wirował i pełził, ale jeszcze przywierał do powierzchni w sposób niepodobny do mgły. W ogólnym mroku gęstsze całuny jak mech porastały szopy na narzędzia, palety betonowych bloczków i skrzynie kostek brukowych. Spowijały koparki, wózki widłowe i inne urządzenia jak płachty rzucone na meble w domu zamkniętym po sezonie.

Zauważyła – albo wyobraziła sobie – niskie kształty przemykające we wszechobecnej mgle. Były bladoszare i pozbawione rysów, niskie jak psy czy rysie, ale inne, o ruchach bardziej miękkich niż psy i większe niż rysie, większe od kojotów, bardziej wilkowate i nieuchwytnie. Nie widziała błyszczących ślepi i jeśli te stwory były czymś ponad cieniami zagrożenia wyczarowanymi przez jej umysł, zachowywały się cicho jak duchy.

Za dnia działka wyglądałaby na ogromną, ale w nocy i przy tej widoczności wydawała się ogromnieć jeszcze bardziej i tworzyć autonomiczną krainę. Bibi raczej przeczuwała, niż widziała otaczające ją gotowe albo niedokończone budynki, podobne tym na makiecie w przyczepie. Dwa razy natykała się na ogromne dźwigi z odciążnikami, o wysięgnikach na dźwigarach rozptyływających się we mgle, podobne do skamieniałych, wyprostowanych szkieletów z okresu jury.

Przemieszczała się w żółtym tempie i im bardziej zapuszczała się na wschód, w głąb działki, tym bardziej budowa wyglądała na zakończoną, jakby prace rozpoczęły się tam i przesuwały na zachód. Co jakiś czas ubita ziemia ustępowała miejsca brukowanym ścieżkom, placom wykładanym wapiennymi płytami we wzory z kwarcytu i granitu, migającym spośród mętnej, ruchliwej mgły. Obeszła podniesioną podstawę fontanny z suchym teraz basenem o średnicy około pięćdziesięciu stóp, ze środka której wznosiło się coś, co mogłoby się stać – gdyby ustąpiła mgła – wyskakującym z wody

stadem delfinów z brązu, które być może wypluwały wodę, gdy pracowały pompy i basen był napełniony.

Bibi zaczęła sądzić, że błądzi w amorficznym labiryncie, który wprowadza ją w błąd, bez przerwy przesuwając trasę, po której można go było pokonać, ale wtedy ujrzała przed sobą światła. Z początku niewyraźne i dziwne – dwa równe szeregi dużych kul, pierwszy jakieś piętnaście stóp nad ziemią, drugi piętnaście ponad pierwszym. W miarę, jak wolno stawały się coraz jaśniejsze, zaczęła podejrzewać, że nie są unoszącymi się w powietrzu kulami, tylko oknami w kształcie iluminatorów o średnicy sześciu, siedmiu stóp. Przypuszczenie potwierdziło się, gdy z bliższej odległości zdołała już rozpoznać szczeliny rozchodzące się ze środka każdego okna, w którym umieszczono krągłe jak ciastka szyby.

Mimo że początkowo mogła określić kształt konstrukcji jedynie na podstawie wielkości i rozmieszczenia bulajów, zdawało się, że ma przed sobą gigantyczny okręt. Podchodziła do niego zdjeta zdumieniem, tak jak ktoś patrzący z nabrzeża oglądał prawdopodobnie w 1912 roku Titanica. Nawet z odległości kilku jardów, gdy już wiedziała, że to nie statek, lecz budynek, była w stanie objąć wzrokiem jedynie jego drobną część – choć wyczuwała, że jest dłuższy od futbolowego boiska, z kopułą jak hangar i bez okien na parterze. Przeciągając ręką po krzywej ścianie, uznała, że ma powłokę z metalu, a pod palcami wyczuwała duże, regularnie rozmieszczone, zewnętrzne żebrowanie ze stali.

Dotarła do końca budynku i natrafiła na płaską ścianę. Podobni do wilków natręci, prawdziwi bądź zmyśleni, szli za nią w większej liczbie, jakby zostali przyuczeni do szczególnej ochrony budowli, do której Bibi chciała wejść. Były to cienie cieni. Z pewnością niematerialne. Tyle że teraz słyszała już ciche dyszenie i postukiwanie pazurów na kostkach brukowych. Trzymała w ręce pistolet, wilgotny od skraplającej się mgły i być może od krwi Hoffline-Vorshack, choć niezbyt

wierzyła, żeby przydał się przeciw hordzie cieni – albo chociaż jednemu z nich.

Rozmyte odbicie światła latarki rozbłysło na drzwiach z matowej stali, o wysokości około pięciu i szerokości ośmiu stóp, od góry zaokrąglonych i okapotowanych, z wyglądu średniowiecznych, pomimo materiału, z jakiego zostały wykonane. Nie miały klamki ani żadnej typowej dziurki na klucz czy szczeliny, w jaką można by wsunąć kartę. Jakiś mechanizm zwalniający zamek mógł znajdować się tylko w dużym owalnym otworze w szerokiej stalowej ramie dookoła drzwi.

Bibi stała chwilę bezradna, ale coś sobie przypomniała. Z kieszeni w blezerze wyjęła elektroniczny klucz z brelokiem z pleksiglasu, w którym wiecznie zrywała się do lotu martwa osa.

## ***Umie naprawić wszystko, prawie wszystko***

Dom na Cameo Highlands był dla muzyki tym, czym dom Toby Ringelbaum dla książek. Ganesh Patel, legenda surfingu i bóg audio-wideo, zaprojektował, wykonał i sprzedał mnóstwo systemów nagłaśniających dla całego domu, ale u siebie miał osobny system do każdego pomieszczenia. Chodziło o głośność, czystość i idealny pogłos, więc bez przerwy wprowadzał poprawki do ustawień swojego sprzętu.

Gdy Pax i Pogo zajechali po naprawiony magnetofon, salon tętnił muzyką, której Pax nigdy wcześniej nie słyszał. Było tam hawajskie kołysanie i elektryczna gitara, rozpędzone pianino, a wszystko na tle harmonii godnych Motown. Wokalista brzmiałby jak Elton John, gdyby Elton urodził się w Nashville i wychował na Johnnym Cashu. Ale było naprawdę dobre. Gospodarz ściszył na tyle, żeby nie musieli do siebie krzyczeć.

– *Ten maluszek* – zaczął Ganesh, kładąc magnetofon na swojej dłoni – był super jak na swoje czasy. W dodatku człowiek czuł się sprytny i cwany jak szpieg: można go było chować, a mikrofon zbierał dźwięk z drugiego końca pokoju. Nawet jak prowadziło się z kimś wywiad otwarcie, przy tym maleństwie na stole wyglądało to jak *tajna* operacja.

– Możemy jeszcze trochę przyciszyć muzykę? – poprosił Pogo.

Ganesh z uśmiechem pokręcił głową.

– Nie bardzo.

Był szczupły, ciemnowłosy i skupiony, może tak samo skupiony jak jego dziadek od strony matki, który jako artysta uliczny w Nowym Delhi poskramiał kobry przy użyciu tradycyjnego fletu, ale czasem po prostu rękami, głaskaniem wprowadzając je w otępienie pod groźbą śmiertelnego ukąszenia. Dziadek mógł być zaklinaczem węży. Być może gołymi rękami wprawiał kobry w trans. Niektórzy jednak twierdzili, że Ganesh urodził się i wychował w Bostonie, w rodzinie od trzech pokoleń prowadzącej restaurację, a z Indiami miał co najwyżej tyle wspólnego, że w kinie domowym dla dwunastu osób oglądał musicale z Bollywood. Dzięki gęstym, czarnym włosom, delikatnym rysom i dużym, wyrazistym oczom nie mógł narzekać na powodzenie u kobiet, ale nie gardził swoim kulturowym dziedzictwem – prawdziwym czy zmyślnym – jeżeli uznał, że jakaś nowa, pociągająca piękność zareaguje na jeszcze jedną wersję tej egzotycznej historii. Nikt, z kobietami włącznie, nie obrażał się na biograficzne opowieści Ganeshy, niezmiennie tryskającego energią, zabawnego i sympatycznego.

– Ten stary na kasecie – zapytał – to jakiś wujek Bibi?

– Dziadek – poprawił go Pax. – Tata Nancy.

– Wow. Wygląda bardziej na dziadka Munstera niż na dziadka Waltona. Był alkoholikiem, miłośnikiem grzybków czy coś podobnego?

– Piechurem morskim na emeryturze – odparł Pax. – Nie znałem go. Umarł, zanim poznałem Bibi. Ale ona go kochała. Ta muzyka naprawdę chodzi głośno.

– Nie podoba się wam? Nie da się przy niej nie poruszać. – Ganesh tańczył w miejscu. – Nie mówiliście, żeby nie słuchać kasety, to posłuchałem.

– Nie szkodzi – powiedział Pogo.

– Myślałem, że jeśli jest trochę uszkodzona, to mogę przegrać materiał i wyczyścić dźwięk. Ale był czysty. Czysty i odjechany. Stary miał odlot, kurczę. Fruwał tak wysoko, jak nie zaniósłby

go żaden samolot. Totalnie mnie rozwalił. Musiałem nastawić tę muzykę, żeby stonogi przestały mi pełzać po kręgosłupie. Bibi też się na pewno go bała. Chociaż nie wygląda, żeby jej przez to odwaliło. Nawiasem mówiąc, jak ma się nasza promienna Kaha Huna?

Kaha Huna była w mitologii hawajskiej boginią surfowania, piasku i słońca. Ganesh nie robił sobie jaj, kiedy mówił o Bibi jak o bogini surfingu.

Pax i Pogo postanowili nie rozpowiadać o stanie Bibi wśród surferów. Być może przesądnie wierzyli, że im więcej ich będzie wiedziało o jej raku i śpiączce, tym szybciej dziewczyna umrze.

– Dobrze – oświadczył Pax.

Pogo dodał:

– Cool.

Kiwając głową na zgodę, a jednocześnie w rytm muzyki, Ganesh powiedział:

– Jest super, zajebista. Jakiś czas się w niej podkochiwałem, tak z daleka. Może mi jeszcze nie minęło. Ale zawsze wiedziałem, że nie jestem jej warty. A *ty* jesteś jej warty, Pax?

– Spróbuję.

– Masz się postarać.

– Dzięki. – Pax wskazał trzymany magnetofon. – Jesteśmy wdzięczni.

– *De nada* – powiedział Ganesh. – Miło się go rozbierało i składało. Taka smykałka. Wszystko umiem naprawić – postukał w magnetofon – tylko nie dałbym rady dziadkowi z *marines*. Gość miał duże kłopoty z głową.

Już w hondzie, wkładając kluczyk do stacyjki, ale nie zapalając silnika, Pogo powiedział:

– Dziadek Munster?

– Ganesh jest po prostu sobą.

– Wątpię.

– Zaraz się przekonamy. – Pax włączył magnetofon.

Z Cameo Highlands mieli dobry widok na zachód słońca.

Czarowny błękit Maxfielda Parrisha jako tło nieba. Płonące chmury, pomarańczowe i szkarłatne, od San Clemente na południu do Long Beach na północy. Słońce wisiało nad morzem jak duża, krągła kropla krwi.

## ***Człowiek nie na miejscu***

Elektroniczny klucz pasował do owalnego otworu. Osa w akrylu zaświeciła jak włókno żarówki i pneumatyczne, stalowe drzwi otworzyły się gładko. Pomieszczenie za progiem było pod dużym nadciśnieniem, przez co zdezynfekowane powietrze wionęło na Bibi i odeгнаło mgłę z jej ramion i pleców. Gdy wchodziła do środka, nie rzucił się na nią żaden z mrocznych jak wilki natrętów, co kazało się zastanowić, czy mieli chronić ten budynek, czy raczej zapędzić ją do niego, gdyby nie chciała wejść dobrowolnie. Drzwi zamknęły się ze świstem.

Stała w czymś w rodzaju holu wejściowego, który miał wzbudzać trwogę. Mierzył osiemdziesiąt stóp szerokości, sześćdziesiąt długości, czterdzieści wysokości. Oświetlały go regulowane jarzeniówki wpuszczone w sufit, w większości skierowane prosto w dół. Wszystkie powierzchnie wyłożono płytami białego kwarcu i pozbawionego żyłkowania marmuru, tworzącego w ten sposób jednolicie błyszczące i pogłębione płaszczyzny. Jedyna ozdoba znajdowała się na ścianie naprzeciw wejścia: wpuszczony w nią krąg z jakiegoś krwawoczerwonego kamienia, być może kaneolu, o średnicy dwudziestu stóp, w który wkomponowano z kolei dwie równoległe, stylizowane błyskawice z czarnego granitu.

Bibi rozpoznała w nich wersję podwójnego S z pierwszej strony *Das Schwarze Korps* – *Czarnego Korpusu* – urzędowej gazety Schutzstaffel, głównego narzędzia hitlerowskiego terroru.



W ogromnym pomieszczeniu śmiało dominowały barwy nazistowskiej flagi, choć w innym porządku. Zamiast czerwonego tła było białe; zamiast białego – koło czerwone; w miejsce czarnej swastyki – motyw podwójnego S. Niezależnie od przeznaczenia budynku Terezin nieszczególnie starał się o ukrycie swoich inspiracji. Być może dlatego, że w burzliwym drugim dziesięcioleciu nowego wieku zastraszającą liczbę ludzi albo łatwo było oszukać, albo sami żarliwie pragnęli poddać się nowej wierze, choćby najbardziej złudnej, byle tylko dodała im otuchy i uzasadniła ich nienawiść.

Bibi wpadła w szczególny stan umysłu. Bała się, chociaż nie tego budynku ani tego, co w nim znajdzie. Ani nie Terezina, jeżeli czekał na nią w jakimś innym pomieszczeniu. Bała się siebie, jakiegoś potencjału, który długo tłumiała, a który teraz może wyrwać się na swobodę.

Nie bała się zamkniętego w butelce gniewu, który wysadził korek i rozlał się, gdy biła dawną nauczycielkę pistoletem. Wściekłość i zdolność do przemocy były godziwe, a nie dzikie. Zawiść i nienawiść wobec innych z powodu rasy, wyznania albo pochodzenia bywały źródłami burz, które niszczyły całe cywilizacje, lecz to nie one powodowały jej gniew. Wściekała się przeciwko barbarzyństwu i okrucieństwu, rozmyślnej ignorancji i bucie, demonizacji przeciwnika i znęcaniu się nad niewinnymi. Umiała zapanować nawet nad tym potężnym gniewem zrodzonym z siedemnastu lat skrywania najprostszej wiedzy o samej sobie, wskutek którego bała się jakiegoś popełnionego czynu – który może się jeszcze powtórzyć – nie wiedząc nawet, co to za czyn.

Jednak poza wściekłością posiadała jeszcze inny potencjał, zapomniany, ale nie utracony. Teraz powracał. W pewnym sensie poszukiwania, jakie prowadziła przez dwa ostatnie dni, dotyczyły w równym stopniu tej wypartej prawdy co Ashley Bell.

Olbrzymia biało-czerwono-czarna sala była wyposażona tylko w coś w rodzaju recepcji – wielki blok czarnego jak noc granitu,

tak wysoki, że ktoś obsługujący go musiałby cały czas stać. Ponieważ był to obiekt najbardziej interesujący, skierowała się w jego stronę. Gdy znalazła się kilka jardów od niego, zza jej pleców wyrósł Chubb Coy. Trzymał paralizator.

Czytała o paralizatorach, przygotowując się do pisania powieści. Bywały pistolety o zasięgu nie większym niż długość ramienia, ale też takie, które wystrzeliwały dwie małe elektrody ciągnące za sobą przewody na piętnaście stóp. Coy był uzbrojony w ten drugi typ.

– Niech cię szlag trafi, kobieto. Co ja tu robię? – Pchnięty gazowym azotem przewód poleciał w stronę Bibi i elektrody wczepiły się w jej koszulkę. Wstrząs przebiegł obwodowy układ nerwowy i przerwał transmisję informacji przez nerwy czuciowe i ruchowe. Sparaliżowana bólem, nie kontrolując członków, runęła na posadzkę z białego kwarcu, wykrztuszając przekleństwo, którego język nie był w stanie dokończyć.

## ***Wyboista droga***

Bibi nie mogła skupić wzroku na Chubbie Coyu. Wiła się w świecie własnego bólu i nerwowej dezorientacji jak żuk o popękany grzbiecie, który nie chce się przyznać, w jakim jest stanie. Ale zdawała sobie sprawę, co on robi, rozumiała tyle, by wiedzieć, że wychodzi zza biurka, trzymając wciąż paralizator, odrzuca zużyte naboje i wkłada następne. Znała go od niedawna, ale wyczuła w nim skłonność do podłości. Przejrzała go. Przewidywania się spełniły, gdy pod czaszką rozkwitło indygowe światło i nieznajomy prąd pobiegł po promieniście ułożonych drogach nerwowych, aż zaszczękała zębami, a ręce zatrzepotały niczym marionetce kierowanej przez pijanego lalkarza.

Coy krążył dookoła Bibi, która miotała się na kwarcu jak krab, nachylając się ku niej i podnosząc głos:

– Rozumiesz, że to nie moje miejsce?! Wiesz, co do ciebie mówię? Czy będziesz uparcie ciągnąć ten wątek, wątek Chubba Coya?! Czy tylko wyboistą drogą potrafisz dojść do oświecenia?

Z jej oczu płynęły łzy wyciśnięte przez ból. Biały kwarc drgał, jakby miał się rozpuścić, jak gdyby składał się ze skondensowanej i skamieniałej mgły, która zaraz wróci do lotnego stanu. Poza butami Coya jedynym widocznym ciemnym przedmiotem był jej pistolet, leżący jakieś dziesięć stóp od niej.

Gdyby tylko mogła do niego dotrzeć... Pax nauczył ją, jak się nim posługiwać. Była już na to gotowa. Koniec wahań.

Wykorzysta go nie tylko do zastraszenia. Nie jako pałki. Pociągnie za spust. Opróżni magazynek. Zabić gnoja.

– No więc jestem policjantem na emeryturze, który dorabia sobie jako szef ochrony szpitala. To logiczne. Jestem lepiej wykwalifikowany, bardziej niebezpieczny od przeciętnego gliniarza do wynajęcia. Nieźle. Niezbyt sprytne, ale do wytrzymania.

Cały czas krążył wokół niej, gdy mozolnie wlokła się, wykonując nieskoordynowane ruchy, cal po calu posadzką drżącą w świetle jarzeniówek jak zamarznęte morze. Co pewien czas kwarцова dolina jakby niebezpiecznie się przechylała, przez co bała się, że zacznie się coraz szybciej ześlizgiwać, aż w końcu runie w kanał odpowietrzający o gładkich ścianach i wirując – kręciło jej się w głowie – wpadnie w głębokie lodowe rozpadliny.

– Od samego początku – mówił Coy – miałem za zadanie tworzyć atmosferę spisku i paranoi, z każdym zdarzeniem coraz gęstsza i bardziej skomplikowana. Ale na tym moja rola by się skończyła. Poza tym miałem oczywiście odwracać uwagę, pojawiać się, gdy twoje myśli skłaniają się ku temu, co uważasz za nie do pomyślenia.

SIG-Sauer leżał kilka cali od niej, przymarznęty do pochyłego lodowego pola, a tym samym niepoddający się sile grawitacji, która odciągnęłaby go od Bibi. Wyciągnęła po niego prawą rękę, nad którą zaczynała odzyskiwać kontrolę.

Coy załadował trzeci nabój paralizatora i wystrzelił w jej plecy. Harpuny elektrod, zdolne rozedrzeć grubą na cal tkaninę, bez trudu przebiły blezer i koszulkę jak kły węża, wstrzykując prąd podobny do organicznego. Znawczy technologii nazywali to obezwładnieniem nerwowo-mięśniowym, co było poważnym, laboratoryjnym określeniem totalnego fizycznego obłądzenia, w którym pomieszany mózg nie był już w stanie odróżnić naturalnych sygnałów ciała od bezsensownego, burzliwego szumu, choć skutki były bardziej dotkliwe i przejmujące, niż

sugerował suchy termin. Z każdym wstrząsem Bibi wpadała w zimną, rwącą rzekę odczuć, zarazem nie mając możliwości zapanowania nad reakcjami na nią, i zastanawiała się, czy po czwartym, może piątym naboju popuści w majtki, tracąc resztki godności.

Coy kopnął pistolet, który odleciał od wykręcanych konwulsjami palców Bibi. Broń znalazła się poza polem jej niewyraźnego i piekącego od soli widzenia.

– Czy ty mnie słuchasz, kobieto?! – Coy huknął jak pomniejszy bóg żywiołów, przemawiający w grzmocie do tarzającej się w prochu pokutnicy. – Pomyśl o moim imieniu. Chubb jest tak samo głupkowate jak Bibi, nie uważasz? Jasne, mam odwrócić twoją uwagę, ale po części, tak samo jak ty, chcę, żebyś znalazła prawdę i wyzwoliła się dzięki niej.

Czuła w ustach metaliczny posmak. Nie znany już, miedziany smak krwi – nie ugryzła się w język – tylko uczucie, że ssie zardzewiałe żelazo. W gardle pojawiła się kwaśna gula. Tak smakują wymiociny albo litość nad samą sobą. Ciało sztywniało, a kości zmieniły się w galaretę, trzęsącą się jak na talerzu.

– Muszę się ograniczać... Ograniczyłaś mnie do pośrednich sposobów przebijania się przez upartą i odporną Bibi ku drugiej Bibi, która chce pamiętać całą prawdę. Dlatego chcę dać ci do zrozumienia, kim jestem naprawdę, mówiąc niepodobnie do siebie. *Słuchasz mnie, gąsko?*

Wydało jej się, że potwierdziła.

– Co powiedziałaś?

– Tak.

– Co tak?

– Słucham, tak. – Słyszała szemrzące sylaby, które z sykiem wypadały jej z ust i sunęły po kwarcu. – Tak.

– Chciałem dać ci coś do zrozumienia, mówiąc w sposób niepodobny do siebie. Chubb Coy, były śledczy w wydziale zabójstw, nieznany z zainteresowań klasyką literatury

amerykańskiej. Jack London, Thornton Wilder, Flannery O'Connor – tak się składa, że wszyscy należą do *twojego* panteonu. *Słuchasz mnie, gąsko?*

– Tak – wyszeptała.

– Słuchać nie zawsze znaczy *słyszeć* – oznajmił i z brutalnym poczuciem władzy boga kamiennej świątyni, uzbrojonego w nowoczesną technologię, przyłożył jej czwartym pociskiem z paralizatora.

Nie straciła przytomności Nie popuściła też w majtki. Ale nie miała ochoty na szukanie utraconego pistoletu ani w ogóle na cokolwiek innego, niż leżenie na jasnej blasze z kwarcu i roztopianie się jak kostka masła.

Ciągnął głosem ciągle surowym, choć łagodniejszym:

– Próbuję zwrócić twoją uwagę na to, czym jestem. Ty marnujesz moje i swoje wysiłki, oszukując się sztuczką z pamięcią.

Patrzyła na jego buty stojące kilka cali od jej twarzy. Mokasyny od Gucciego. Tak nie powinno być. Za drogie dla niego. Zbyt zniewieściale.

Bez słowa zatoczył wokół niej kilka okręgów.

Skarpetki pasowały. Żadne designerskie w wymyślne desenie. Po prostu czarne. Sztuczny materiał z niewielkim dodatkiem bawełny. Takie można dostać w Walmarcie, dobre dla pracowitego policjanta.

– Naprawdę wolisz umrzeć, niż dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś?

– Nie.

– Co powiedziałaś?

– Nie. Nie chcę umrzeć.

– Powtórz to z całym przekonaniem.

– *Nie. Chcę. Umrzec.*

Po chwili milczenia powiedział z politowaniem naznaczonym wzgardą:

– Udowodnij to, radząc sobie ze mną.

Leżała plackiem, z głową zwróconą w prawo. Poraniona lewa część twarzy dotykała zimnej podłogi. Krwawiące ucho zaczęło znów piec i pulsować – to chaotyczne skutki ostatniego strzału paralizatorem słabły i przez układ nerwowy zaczynały przebiegać spójne informacje.

– Sprawdzenie się przed samą sobą nie znaczy, że przeżyjesz – podjął Coy. – Spokojnie możesz jeszcze zginąć. Albo zwariować. A poradzenie sobie ze mną to inna para kaloszy. Zajmij się mną.

Leżąc w holu wejściowym budynku, w którym tworzył się nowy świat faszystowskiej furii, myślała o tym, co trzeba zrobić. Redakcja. Zmiany.

Z tyłu rozległ się szelest, kilka miękkich stukotów, jakby z karnisza zerwała się zasłona, choć w pomieszczeniu nie było żadnych zasłon.

Czekała. Słuchała. Nie usłyszała niczego więcej.

Gdy z wysiłkiem usiadła i odwróciła się, ujrzała porzucone buty i ubranie Chubba Coya, kałużę materiału, z której wystawały jego kabura, pistolet i paralizator. Wyglądało na to, że zrzucił broń i ubrania i wyszedł nago, choć nie słyszała odgłosu otwieranych czy zamykanych drzwi.

Wcześniej, w motelu, zastanawiając się nad cytatami z Londona, O'Connor i Wildera, zaczęła zdawać sobie sprawę nie tylko z tego, że Chubb Coy mówił dziwnie, jak postać z książki, ale także, że *był* postacią. Stworzoną przez nią. Poszukiwania Ashley Bell skończyłyby się już wtedy, gdyby nie wycięła z książek słów i nie spaliła ich w zlewie, za pomocą sztuczki z pamięcią ocalając ten świat, zbyt już ukształtowany, by tak po prostu się rozwiąć.

Na postronnym obserwatorze mogła robić wrażenie pokonanej, gdy tak szła na czworakach do wysokiej bryły z czarnego granitu i siadła wsparta plecami o polerowany front. Zgubiła bejsbolową czapkę. Włosy potargały się i opadły. Jeśli zmaltretowana twarz była blada jak ręce, niemal szare

i spopielale, musiala wygladac jednoczesnie na slaba i zrezygnowana.

Byla jednak slaba i zrezygnowana jedynie o tyle, o ile nie wiedziala o dzunglach, ktore czekaja w jej wnetrzu na odkrycie wraz z nieznanymi jeszcze mocami. Nie byla pokonana. Lecz czula zimne przerazenie.



## ***Żal Kapitana***

Pax i Pogo stali z rodzicami Bibi wokół jej łóżka, obserwując, jak wije się i drga pod kołdrą, jak odsłonięte ręce, wykręcone i szarpiące się, wydają się strącać coś obrzydliwego z opuszków, jak gdyby przez salę przelewały się parzące prądy, które czuła jedynie ona.

Dziwne widowisko doprowadzało Nancy do łez, ale Murphy nie dopuszczał jej do dzwonka wzywającego pielęgniarkę. Mimo że martwił się nie mniej od żony, pozostawał wierny ojcowskiej intuicji, przekonany, że córka chwilowo nie jest w niebezpieczeństwie, tylko znajduje się w tajemniczym miejscu bardziej rzeczywistym niż sny i bezpieczniejszym niż otchłanie śpiączki.

Drgawki i nieskoordynowane ruchy uspokoiły się, potem zupełnie minęły. Bibi leżała cicha i spokojna. Monitor serca, który pokazywał niewielkie przyspieszenie rytmu serca, teraz informował o równie łagodnym spadku. Pięć fal mózgowych nadal kreśliło optymalny diagram.

Po wysłuchaniu mikrokasety Pax i Pogo mieli więcej niż Murphy podstaw do przekonania, że jego nadzieja jest racjonalna. Mieli także powody do obaw, że istnieje śmiertelne zagrożenie, które bierze się z wnętrza Bibi, groźba, jakiej być może nie zaznał nigdy żaden człowiek.

Streścili przebieg dnia. Zamykane na klucz pudełko i przedmioty: taśma, obroża z wygrawerowanym imieniem

Jasper. Wizyta u doktor St. Croix. Powód, dla którego Bibi została usunięta z kursu pisania. Notes z panterą i gazelą, pismo Bibi, które pojawiało się na ich oczach. Wizyta u Toby Ringelbaum. Tożsamość Ashley Bell: fikcyjnej postaci opartej na faktach, ocalałej z Dachau, specjalistki od raka mózgu.

Nancy i Murphy'ego odkrycia te zelektryzowały i wywołały w nich niemałe zdumienie: zadawali mnóstwo pytań i chciwie czekali odpowiedzi.

– Nie rozumiemy wszystkiego – tłumaczył Pogo – ale to, co jest na taśmie, to prawdziwy zwałający z nóg Behemot. Biibs jest taka, jak myśleliśmy, ale nie do końca.

Przed puszczeniem im taśmy Pax chciał się czegoś dowiedzieć o Kapitanie – Guntherze Olafie Ericsonie. Nancy nie była z nim blisko przez większość życia i z powrotem znalazła dla niego w sercu trochę ciepła dopiero wtedy, gdy stał się kimś ważnym dla Bibi. Co wydarzyło się swego czasu pomiędzy Nancy i jej ojcem?

Z tego, co Pax napomknął po przyjsciu na salę 456, Nancy domyślała się, że kasetą zawiera rewelacje, które mogą wywrócić do góry nogami jej wyobrażenia o ojcu i córce. Gdy tak się starała ułożyć istotną część własnej przeszłości w kalejdoskop zapamiętanych chwil, mocno trzymała jedną z bezwładnych rąk Bibi. Wzrok wbijała czasem w podłogę, czasami w ciemność napierającą na okno, a kiedy indziej w twarz córki, nie mogąc jednak nie wracać do małego magnetofonu, który Pax trzymał w ręce, jakby był zbyt cenny, by można go było odłożyć i zaryzykować, że ktoś go strąci i zepsuje.

Gunther był dobrym człowiekiem, zaczęła swą opowieść Nancy. W głębi duszy. Miał dobre intencje. Kłopot był z jego hierarchią wartości. Był człowiekiem, który chyba nigdy nie powinien się być ożenić, a w małżeństwie nie powinien mieć dzieci, a mimo to doczekał się dwóch córek, Nancy i Edith. Jako urodzony wojownik, w dobrej sprawie – miłość do ojczyzny

i rodziny – zgłaszał się na kolejne wyprawy i z czasem piechota morska stała się nie tylko jego pracą, ale i całym życiem. Życiem tak intensywnym, że w porównaniu z byciem mężem i ojcem to drugie życie bladło, upodabniało się do odcinków mdłego serialu, który czasem oglądał, gdy pozwalały na to wojny. Kochał żonę i córki, ale nie znał języka serca, w którym można by to odpowiednio wyrazić. Płynnie mówił językiem honoru, uczciwości i poświęcenia, rozumiał ludzi narażających życie dla ojczyzny, gotowych umrzeć dla ratowania towarzyszy broni. Ale niełatwo przychodziło mu rozumieć żonę, która kochała inne życie, codzienne detale, w których ponoć dało się znaleźć sens istnienia. I córki, z temperamentu bardziej podobne do matki. W każdym razie w dzieciństwie nie miały pojęcia o niebezpieczeństwach świata czy ofiarach koniecznych w celu ochrony Ameryki, uratowania ich przed lękami i ograniczeniami, które tylu ludzi gdzie indziej znosiło jak coś naturalnego.

Gdy matka Nancy zginęła w wypadku, Gunther był na wojnie i nie zdążył wrócić na pogrzeb. Jeżeli nawet wiedział, czego potrzebują porażone żalem dziewczynki, nie miał pojęcia, jak im to dać. Sprawiał wrażenie poruszonego, może nawet wstrząśniętego tą stratą, a jednocześnie zagubionego, jakby wcześniej myślał, że ryzyko śmierci wiąże się tylko z ewentualną agresją nieprzyjaciela na ojczyznę, jak gdyby takie zagrożenia, jak wypadki drogowe, pożary albo rak, były abstrakcją. Szczerze wierzył, że do wychowania dwóch dziewcząt potrzebna jest kobieca ręka, a ponieważ nie miał zamiaru żenić się ponownie, twierdząc, że nikt nie zastąpiłby zmarłej żony, wybrał dla nich jako opiekunkę siostrę zmarłej żony, która chętnie przyjęła Nancy i Edith do siebie.

– Nie czułam, żebym go dobrze znała – mówiła Nancy – do czasu, gdy zamieszkał nad garażem. To, jak odnosił się do Bibi... No tak, odnalazł w sobie ojca, gdy wojna już go nie potrzebowała. – Znów popatrzyła na magnetofon w ręce Paxa. –

Mówiliście, że zostawił tę taśmę dla Bibi. Na pewno możemy jej posłuchać?

– Nie tylko możecie – odparł Pax – ale musicie.

Pogo zgodził się z nim.

– Ale jak wejdzie pielęgniarka albo ktoś inny, wyłączamy. Sprawa jest za poważna, zbyt osobista, zbyt niesamowita, żeby mogła wyjść poza nas czworo.

– Jeśli *kiedykolwiek* będzie miała wyjść poza nas, nie będzie to nasza decyzja, tylko Bibi – potwierdził Pax.

Postawił magnetofon na łóżku, a Nancy i Murphy przysunęli się bliżej. Nacisnął PLAY. Z niewielkiego głośnika wydobyła się skromna, a mimo to imponująca wersja głosu Kapitana.

*Moja słodka dziewczynko, kochana Bibi, to moje przeprosiny na wypadek, gdyby były potrzebne. Miałem kilka lat do namysłu nad tym, co zrobiłem, i teraz nie mam już takiej pewności, czy postąpiłem słusznie. Czasem nękają mnie wyrzuty sumienia. Mówię o strasznym wydarzeniu, o którym pomogłem ci zapomnieć, ale także o samej sztuczce z pamięcią, o której może zapomniałaś nie dlatego, że zostałaś do tego zmuszona, tylko dlatego, że dzieci ze swojej natury zapominają dużo spraw z wczesnego dzieciństwa...*

## ***Bibi na krawędzi***

Kryptofaszystowska atmosfera przepastnego holu tak bardzo uwierała Bibi, że przypomniła jej się melodia z disneyowskiej fantazji – *Noc na Łysej Górze* Musorgskiego. Po czterech strzałach z paralizatora siedziała na podłodze, oparta o biurko z czarnego granitu, na pół serio zastanawiając się, czy po zgaszeniu świateł w ciemnościach zaczną igrać trole, a spod kwarcowej posadzki wyłonią się krwiożercze olbrzymy szukające nie dosyć czujnych ofiar.

Ona zachowywała superczujność. Wyczulona na niezbadane niebezpieczeństwa bycia Bibi Blair. Usunęła Chubba Coya z tego świata. Ubrania i inne rzeczy zostały, ale bladły, gdy wpijała w nie wzrok, jakby działał jak gumka do wycierania. Zdawało jej się, że wariuje. To, co *widocznie* się stało, nie *mogło* się stać. Nie mogła kogoś wyeliminować przez wyobrażenie sobie, że go nie ma. Od wyjścia dwa dni temu ze szpitala, odkąd pozwoliła Calidzie Butterfly szukać w swoim imieniu ukrytej wiedzy, Bibi zdawała sobie sprawę z działania w świecie nadprzyrodzonych sił. Ale być może one wcale nie były nadprzyrodzone. Czy równie dobrze nie mogły być złudzeniami szalonego umysłu? Jeśli Chubb Coy był tak mało rzeczywisty, że można go było pokonać na życzenie, czy nie wchodziło w rachubę, że Calida i Hoffline-Vorshack, i tatuażysta, i pracownica motelu, bezimienni bandyci i Robert Warren Faulkner – alias Terezin – byli również urojeniami

spowodowanymi przez zaburzenia żołądkowe, niestrawiony kawałek wołowiny, kapkę musztardy, plasterek sera? Na pewno mogła ich wyeliminować, wyobrażając sobie, że ich nie ma – skoro samą mocą wyobraźni powołała ich do istnienia. Szaleniec niekoniecznie dostrzega swe szaleństwo.

Tyle że...

Tyle że walka o wolność i życie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin oraz mozolne poszukiwanie Ashley Bell były rzeczywiste, dojmująco prawdziwe, co dało się potwierdzić niezliczonymi bólami mięśni i stawów. Gorącym pulsowaniem w rozdartym i na wpół zmiażdżonym uchu. Nawrotami bólu szczęki, który sięgał nowych poziomów, gdy zaciskała zęby lub dotykała posiniaczonej twarzy. Skoro nie mogła wymyślić sobie bólu, ludzie, którzy go zadali – i osoba, której służyli, morderca matki i przywódca sekty – także musieli być prawdziwi. *Czyż nie?*

Jeżeli Robert Warren Faulkner był tworem jej wyobraźni, to samo dotyczyło Terezina i Terezin Inc. Jeżeli taka korporacja nie istniała, budynek, w którym siedziała, powstał tylko w jej rozgorączkowanej wyobraźni. Przyglądając się oślepiająco białemu kwarcowi dookoła, usiłowała sprawić, żeby konstrukcja zniknęła, starała się zawrócić niedawne wypadki do chwili, gdy parkowała hondę przy Sonomire Way, nim zapuściła się na działkę i napotkała Marissę Hoffline-Vorshack. Ale hol i budynek, w którego skład wchodził, nie rozplywały się w powietrzu.

Bibi nie miała pewności, czy pozorna trwałość budowli potwierdza jej istnienie, czy też upieraniem się przy rzeczywistości Terezin Inc. nie chciała usunąć tego miejsca z opowieści. Szalony umysł raczej nie zachowuje konsekwencji co do zasad swoich omamów.

Dezorientację Bibi zwiększył głos Kapitana, który jeszcze mocniej kazał jej wątpić w stan własnego umysłu. Rozlegał się w holu jakby z radiowęzła, choć musiał znajdować się

całkowicie w jej głowie, zapamiętany bądź wyobrażony.

*Moja słodka dziewczynko, kochana Bibi, to moje przeprosiny na wypadek, gdyby były potrzebne. Miałem kilka lat...*

Nie mogła tego słuchać. Kapitan nie żył od ponad dwunastu lat. Przywoływała go w miesiącach po pęknięciu tętniaka. Rozpaczliwie pragnęła, żeby ożył. Myliła się. Jeżeli nieświadomie przyzywała go znowu, jego powrót byłby tak samo nie w porządku teraz, jak i wówczas.

*...o strasznym wydarzeniu, o którym pomogłem ci zapomnieć, ale także...*

Nie chciała tego słuchać. Słuchając, zaczęła pragnąć go znowu. Nie mogła przywrócić go do życia. Nie śmiała. Czy dawno temu nie dowiedziała się dlaczego? Nie?

Stała na nogi, przez chwilę opierając się o czarny granit. Potem ruszyła po białym kwarcu w stronę odległego, ciemnego przedmiotu, który nie mógł być niczym innym niż jej pistoletem.

Kapitanowi chyba wydawało się, że mogła zapomnieć o sztuczce z pamięcią. Zaczął jej opowiadać, jak się to robi.

Podniosła pistolet i obróciła się dookoła, lustrując ogromne pomieszczenie, zastanawiając się, co dalej. Kto teraz ją zaatakuje?

Kapitan ciągle mówił. Oczyma duszy jasno widziała jego twarz. Uśmiech. Wszystko potoczyłoby się lepiej, gdyby Kapitan żył. *Nie.*



Sala 456. Idealny obraz pięciu fal mózgowych na EEG. Bibi balansuje gdzieś na desce. Czwooro świadków przy łóżku. Dziewczyna ani nie śpi, ani nie czuwa, a jednocześnie przebywa w obu tych stanach naraz, leżąc na łóżku i żyjąc w jakimś tajemniczym innym świecie.

Kapitan, nagrywając się na magnetofon, mówił najpierw

o sztuczce z pamięcią, ale nie o powodach, dla których z niej korzystał. Rysy Nancy stwardniały, być może na wspomnienie urazy i rozgoryczenia z dzieciństwa, gdy czuła się opuszczona.

– Co on mówi... że *wyprał* jej mózg?

– Być może był to błąd – stwierdził Pax – ale miał po temu swój powód. Słuchajcie dalej.

Wiedział, że następna rewelacja rozzłości zarówno Nancy, jak i Murphy'ego, choć jeszcze większy wstrząs czeka ich, gdy Kapitan opowie, co pomógł dziewczynce zapomnieć.

*Sztuczka była taka skuteczna nie dlatego, że nauczył mnie jej Cygan albo stuletni szaman. I nie znalazłem jej w żadnych czarach, jak dałem ci do zrozumienia. Była skuteczna dlatego, że została wymyślona przez inteligentnych ludzi z wywiadu jako obrona na wypadek przesłuchania przez nieprzyjaciela. Po zahipnotyzowaniu można było komuś wmówić, że będzie działać, i działała do końca życia, gdy tylko trzeba było coś wymazać z pamięci.*

Opalenizna Murphy'ego nabrała szarego odcienia.

– Zahipnotyzował ją?

– Posłuchajcie – poprosił Pax.

*Trochę mi ciężko mówić o tym, co teraz nastąpi, Bibi. Opowieść robi gorsze wrażenie od rzeczywistości. Ale nie wiedziałem, czy w żaden sposób ci to nie zaszkodzi. Widzisz, skarbie, hipnoza tak skutecznie wspomaga sztuczkę z pamięcią, bo wspomaga ją lek, który wprowadza kogoś – w tym wypadku ciebie – w stan mocno podatny na hipnotyczną sugestię. Wieczorem, gdy nauczyłem cię sztuczki, mama i tata wyszli na jakiś koncert. Jedliśmy kolację u nich w kuchni. Hot dogi z serem i sosem chili i frytki z pieca. Po kolacji, a przed lodami Eskimo Pie nauczyłem cię sztuczki z pamięcią. Lek, o którym mówię, był w coca-coli.*

Na twarzy Nancy odmalowała się taka wściekłość, że Pax pomyślał, że złapie magnetofon i nim rzuci. Zasłonił go ręką.

– Po prostu słuchajcie!





...mama i tata wyszli na jakiś koncert...

Głos nie milknął. Bibi nie mogła zatkać uszu, bo pochodził z jej wnętrza. Im dłużej słuchała, tym cieplejszego tonu nabierał, tym wyraźniej pamiętała Kapitana i to, jak ją chronił. Czowała się bezpiecznie, gdy mieszkał nad garażem i patrzył na bungalow, gdzie okno jej pokoju wychodziło na podwórko. Kapitan jej strzegł.

Bibi nie wiedzieć jak znalazła się za biurkiem z czarnego granitu. Stały tam dwa wysokie stołki dla ochroniarzy albo recepcjonistów. Nie siedziała na żadnym z nich, tylko cofnęła się do wnęki na kolana. Jak dziecko szukające schronienia. Kryjówki.

Kapitan mówił: *Nie do końca wiem, co zrobiłem. To znaczy jak wielka dziura w pamięci może na ciebie z czasem wpłynąć. Za późno zdałem sobie sprawę, że u dziecka może nastąpić jakieś... zaburzenie rozwoju psychologicznego. Zastosowanie sztuczki u dorosłego to coś innego, osobowość jest już w pełni uformowana. A jeśli... mój Boże, mam nadzieję, że nic się nie stanie. Zresztą nie mam pojęcia, jak mogłabyś wieść normalne życie z takim wspomnieniem... Więcej niż wspomnieniem... z wiedzą o tym, co się zdarzyło, do czego jesteś zdolna.*

Bibi zdawała sobie sprawę, że zbliża się chwila poznania jądra tego nie do końca odzyskanego wspomnienia, tożsamości intruza – tej istoty – w jej pokoju, gdy miała pięć lat. Usiłowała skulić się jeszcze bardziej, ogarniała ją trwoga, podwójna ze względu na to, że dowiaduje się tego od Kapitana. Jeśli jej wyobraźnia została pobudzona do jasnej i straszliwej twórczości, może zostaną tu dzisiaj wyczarowani zarówno on, jak i tamten stwór, który zacznie węszyć w holu w poszukiwaniu tej jedynej tu kryjówki. A co to znowu ma znaczyć? Wyczarowani? Nie jest żadną czarownicą.

*Pół roku po tym, jak wprowadziłem się do mieszkania, osiem*

*miesiący po twym strasznym przeżyciu, zdobyłem tyle twojego zaufania, że mi o wszystkim opowiedziałaś. Zdawało ci się, że nie możesz powiedzieć rodzicom, że oni by... no, nie rozumieją. Zapomnienie na dobre i na złe... zdawało się najlepsze. A ja znałem sposób na zapomnienie. Zbieg okoliczności? Nigdy w to nie wierzyłem. A znając cię, wiedząc, jak szybko dojrzewasz – to znaczą sercem i umysłem, jak jesteś mądra ponad swój wiek – podejrzewam, że w końcu też nie będziesz wierzyć w zbiegi okoliczności. W każdym razie opowiedziałaś mi swoją barwną, bardzo dziką i mroczną historię, a ja, jak idiota, jak to dorośli o wąskich horyzontach, który dawno stracili poczucie cudowności, próbowałem ją zbyć jako zwykły koszmar. Więc mi udowodniłaś. Żadne z przeżyć wojennych nie przeraziło mnie tak bardzo jak to, co się stało wtedy u mnie w kuchni. Ta taśma, o czym powiem ci, gdy będę ci ją dawał, ma na celu... sam nie wiem... jakoś przywrócić świat do wcześniejszego porządku, stać się dla ciebie czymś w rodzaju terapii, jeśli okaże się, że zrobiłem głupio, nawet lekkomyślnie, pomagając ci w zapomnieniu tego, co zrobiłaś, na co cię było stać. Okazałem się idiotą, ucząc cię sztuczki z pamięcią.*

W niszy pod biurkiem Bibi płakała z powodu Kapitana. Dręczył go żal i bał się, że ją skrzywdził, podczas gdy jego zamieszkanie nad garażem było wielką łaską. Ten odnowiony żal w żadnym stopniu nie stłumił lęku. W równym stopniu czuła smutek i przerażenie. I chociaż mówiła sobie, że dzielne dziewczyny przed niczym się nie chowają, że stoją z dumnie podniesionym czołem, patrząc strachowi prosto w oczy, nie ruszała się z mrocznego kąta, siedząc z kolanami podciągniętymi do piersi, obejmując nogi, i wydawała cichy jęk bólu, gdy głos Kapitana wracał do niej z przeszłości, przynosząc wieści.

# 123

SIEDEMNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

## ***Moment z życia z książkami***

Bibi książka podobała się tak, jak zapowiadała matka, która tak samo przepadała za nią w dzieciństwie. *Wielka przygoda Cookiego*. Słowa i obrazki. Bibi przed rokiem dorosła do książek z przewagą słów i od niedawna mogła czytać je sama, bez matczynej pomocy. Była dumna z tej umiejętności, będącej na poziomie starszych dzieci.

Cookie, piernik w kształcie człowieka, z oczami jak czekoladowe groszki i lukrowym uśmiechem, był najlepszą postacią ze wszystkich książek, jakie dotąd czytała. Śmieszny, uroczy i gotowy na przygodę. Cookie ożył po upieczeniu, gdy stygł na blasze w piekarni, choć nie wiadomo *dlaczego*: autor tego nie wyjaśniał. Cookie nie był kruchy, nie łamał się tak łatwo, jak można by sobie wyobrażać. Był elastyczny, silny i szybki. Pozostał w stu procentach piernikiem, lecz tliły się w nim czary, tak jak w bałwanku Mroziku.

Gdy znalazł się w w ruchliwym mieście, z taką radością poznawał je, uczył się i odkrywał. Przytrafiały się straszne chwile, gdy prawie przejechała go ciężarówka, miażdżąc na kawałki, i gonił go zgłodniały pies. Ale większość jego przygód była podniecająca w dobrym sensie i wesoła.

W ciągu tygodnia, odkąd mama podarowała jej książkę, Bibi przeczytała ją z tysiąc razy, może i dwa tysiące, nie liczyła. Cookie stał się kimś w rodzaju najlepszego przyjaciela. Dzieci w przedszkolu były przeważnie nudne. Ciotka Edith i kilku

innych krewnych uważało, że Bibi jest *inna*. Słyszała, jak mówią tak do matki. Nie wiedziała, o co im chodzi, pod jakim względem jest inna, i w sumie niezbyt ją to obchodziło. Gdyby ktoś spytał ją o zdanie, powiedziałyby, że ci krewni wydają jej się dziwni, choć nie była w stanie wyjaśnić, co to dla niej znaczyło, tak samo jak oni nie potrafili powiedzieć, w jaki sposób ona jest odmienna. Wtedy w jej życiu zjawiał się zdumiewający Cookie – też inny, o dzielnym sercu i śmiałej duszy, taki, jaką chciałyby zostać sama Bibi. Cookie i Bibi, na zawsze najlepsi przyjaciele.

Pomiędzy lekturami książki Bibi czasami wymyślała swoje historie o Cookiem, jego kolejne przygody. Nie umiała rysować. Nie próbowała ilustrować jego przygód. Ale widziała je żywo w myślach, barwne, pełne żywej akcji, jak sny na jawie.

Tego dnia wieczorem, gdy położono ją do łóżka i pocałowano na dobranoc, Bibi zasiadła do czytania *Wielkiej przygody Cookiego* przy łagodnym świetle lampki obok łóżka. Z salonu dobiegały stłumione głosy i muzyka z telewizora. Możliwe, że przysnęła, przyciskając książkę do piersi, bo gdy zerwała się z kupy poduszek, na którą się osunęła, w domu było cicho. Rodzice poszli spać.

Przez chwilę siedziała, patrząc na ulubiony obrazek Cookiego i rozmawiając z nim, jakby rzeczywiście był jej przyjacielem, zdolnym do wysłuchania, przejęcia się. Powiedziała mu, że chciałyby, żeby dla niej ożył, tak samo jak w tej cudownej opowieści, i naprawdę tego chciała, pragnęła, potrzebowała. Tak wyraźnie widziała, jak podnosi się z kart książki jak z blachy piekarskiej przed wyruszeniem na miasto...

Początkowo incydent był jakby rodem z Disneya. Ale do czasu. Cookie nie od razu wyskoczył z książki i stanął przed nią – tadam! – z rozłożonymi rękami, błyszczący od cukru albo czarodziejskiego pyłu. Nie przemówił do niej głosem z kreskówek. Nie, najpierw przechylił nieco głowę na ilustracji, jakby chciał się lepiej przyjrzeć Bibi. Nie była nawet pewna, czy

to się zdarzyło, to chytre przechylenie głowy. Potem mrugnął i oczy Bibi rozszerzyły się. Usta Cookiego skrzywiły się w szerokim uśmiechu. Wargi Bibi utworzyły zdumione „O”. Wydała dźwięk – O! – i wciągnęła go z powrotem. Nie czytała książki interaktywnej. Ilustracje nie były hologramami, które zmieniały się zależnie od punktu widzenia. Wtem Cookie nabrał trzech wymiarów, choć reszta obrazka pozostała bez zmian, i próbował wydostać się z dwuwymiarowego papieru, co przestało być już sceną jak z Disneya.

Bibi cisnęła książkę na podłogę, gdzie wylądowała grzbietem do góry, stając jak namiot, a strony zaczęły trzepotać, gdy piernikowy człowiek usiłował się z nich narodzić. Przyklęła na materacu, zaciekawiona, ale i trochę wystraszona, niby zachwycona, ale i jakby zaniepokojona, nie mogąc oderwać wzroku od książki, która zaczęła miotać się po podłodze niczym pancierz dużego, egzotycznego żuka.

Cookie był miły, zabawny i nie skrzywdziłby nawet psa, który chciał go zjeść. W książkach, które Bibi czytała, dzieciom nie przydarzało się nic złego. Przeżywały wielkie przygody z gadającymi zwierzętami, elfami i wrózkami, ulubionymi zabawkami, które ożywały, i niemądrymi stworzonkami z innych planet, ale nie działa im się krzywda. Gdy Cookie wyrwie się z książki, będzie jak Kubuś Puchatek, a ona jak Krzyś, i zostaną najlepszymi przyjaciółmi. Najprawdopodobniej. Ale... Ale nie dawał jej spokoju krzywy uśmieszek Cookiego. Mrugnął do niej lśniącem czekoladowym okiem – i to było w porządku. Mrugnięcie robiło wrażenie koleżeńskie, jakby opowiadał dowcip. Ale uśmiech kazał się domyślać, że może jednak nie zostaną na zawsze najlepszymi z przyjaciół.

Książka przewróciła się, rozwarła na podłodze. Piernikowy człowieczek wstał z jej stron, które trzepotały jak oszalałe skrzydła. Wypetł z książki, ciemny i dziwny, i niezbyt podobny do lekkomyślnego Cookiego. On... Nie, to coś. Nie było udatnie ukształtowane: bryłowata i zniekształcona figurka, która

z trudem stanęła na przysadzistych nóżkach. Nie cienkie jak ciastko, ale grube, wysokości sześciu czy ośmiu cali. Konwulsyjnie rozedrgane, wyprane z wdzięku. Zdawało się, że cierpi męki – białe wargi rozwierały się w czymś na podobieństwo niemego krzyku. Przekręcało z boku na bok nieudaną głowę, drapało się po ciele dłońmi jak w rękawiczkach.

Ciało. Nawet z odległości ośmiu, dziesięciu stóp Bibi widziała, że stworzenie nie jest z piernika. W książce Cookie był z piernikowego ciasta, rozwałkowanego, uformowanego i upieczonego. To oczywiście głupstwo. Mimo że uwielbiała tę opowieść, Bibi wiedziała, że ta część jest kompletną bzdurą. Do tego potrzebne były czary, odrobina czarów à la bałwanek Mroziak, dzięki którym Cookie stawał się giętki, silny i szybki. Bibi nie znała się na czarach. Kiedy życzyła sobie, by ożył, myślała o nim – o ile w ogóle myślała o tym aspekcie jego objawienia się – jak o rodzaju piernikowego zwierzątka, tymczasem miała przed sobą stuprocentowe zwierzę. Albo coś jeszcze gorszego niż zwierzę, pierwotne i żywiołowe – jakby gnijąca w bagnie masa roślinnej i zwierzęcej tkanki została trafiona przez piorun i w ten sposób wstąpiło w nią jakieś niepełne życie.

Ciągle niemo krzyczący stwór podniósł książkę, większą od niego, i cisnął nią w Bibi. Wirujący tomik trafił w lampkę na szafce, wyłączając ją i przechylając klosz.

Bibi chętnie by czmychnęła, gdyby karzełek, którego powołała do życia, nie stał pomiędzy nią a drzwiami. Jedynym oświetleniem była nocna lampka z Myszką Miki, którą niedawno wstawili tu rodzice, dotąd źródło przede wszystkim wstydu, którego zamierzała się w ten czy inny sposób pozbyć. Była dzieckiem, tak, ale nie niemowlęciem, które potrzebuje nocą światła. Już dawno przestała być niemowlęciem. Gdy to coś na podłodze znalazło się poza zasięgiem blasku Miki, niknąc w cieniu, Bibi nie chciała wołać o pomoc jak małe

dziecko. Być może nie zdołałaby krzyknąć, nawet gdyby chciała, bo mocno bijące serce podeszło jej do gardła, tak że z trudnością przełykała ślinę. Gdy usiłowała kazać karłowi odejść, mogła wydobyć z siebie tylko cichy i drżący świst.

Poza tym, gdyby rodzice przybiegli, być może nie byłiby w stanie zobaczyć tego czegoś. W książkach dzieci często widziały elfy, wróżki i inne stworzenia, których dorośli nie dostrzegali, bo w nie nie wierzyli. Wtedy wyszłaby na wielkie niemowlę i nigdy nie przestaliby jej traktować w ten sposób. Co gorsza, to coś z książki, ten okropny nie-Cookie, mógłby ich skrzywdzić. Był mały, oczywiście bezzębny, ale silny jak na swój rozmiar, sądząc po tym, jak rzucił książką. Gdyby coś im się stało, winna byłaby Bibi. Mówiliby, że to nie jej wina, powtarzającym „będzie, co ma być”. Ale wiedziała, że tak naprawdę to, co się stanie, zależy od niej.

Kłęcząc na łóżku, nasłuchiwała pełzającego po pokoju stwora. Sądząc z tego, jak stukotał, chrobotał i bulgotał, uznała, że jest jeszcze wolniejszy i bardziej niezgrabny niż wydawało się na początku. Nie było w nim nic czarodziejskiego. Być może był ślepy. Chyba nie umiał krzyczeć i mówić, więc możliwe, że nic nie słyszał. I nie czuł zapachów. Jeśli umiał tylko posuwać się po omacku wzdłuż listwy przy podłodze, może natrafić na nią tylko przypadkiem. O ile w ogóle chciał ją znaleźć. Być może nie miał mózgu. Może nie był zdolny do chcenia czegokolwiek i był tylko głupią bryłką rozedrganej materii.

Mimo że serce pędziło na złamany kark, objając się o żebra jak kulka we flipperze i podchodząc do gardła, Bibi rozumowała, że skoro mogła zażyczyć sobie wyjścia stwora z książki, z równym powodzeniem mogła go odpędzić. Był to wręcz jej obowiązek. Pobyć się go. Za to odpowiadała.

Wsunęła się z powrotem pod kołdrę, pół siedząc, oparta o stos poduszek, i namyślała nad nie-Cookiem, wyobrażając sobie, jak pełźnie do książki na podłodze, wsuwa się między strony, wtapia się w ilustrację, z której powstał. Prawie godzinę trwała

cisza, przerywana od czasu do czasu przez nowe konwulsje stwora. Zaszło jej w ustach i kręciło się w głowie od życzeń, od *wyobrażeń*. Gdy potwór w końcu zapadł w dłuższe milczenie, założyła, że w końcu jej się udało. Leżała nieruchoma jak kamień, nasłuchując. Sekunda za sekundą, minuta po minucie nabierała coraz więcej odwagi, chociaż serce biło może nie szybciej, ale mocniej niż wcześniej.

Cisza znowu dobiegła końca. Skrobiąc, stworzenie przemieszczało się wzdłuż ściany. Przewód lampki zagrzechotał o tylną ścianę nocnej szafki. Makabryczna istota zdawała się znajdować drogę ku niej jakimś szóstym zmysłem. Spodziewała się, że wejdzie na szafkę i znajdzie się dwie stopy od jej twarzy. Wtedy wszedł pod łóżko i znów ucichł.

Myliła się, przypisując mu brak mózgu. Z pewnością potrafił myśleć. Myśleć i wiedzieć, chcieć i szukać. Jedyne dźwięki w ciszy pokoju rozlegał się w środku Bibi: oszalała pompa w jej piersi, która zmuszała ją do dziwnej uległości, doprowadzała do czegoś w rodzaju paraliżu. A zarazem niemal słyszała, jak stwór czyha w mroku pod sprężynami łóżka.

Nigdy nie dowie się, jak stworzenie przemieściło się spod łóżka pod pościel tak, że go nie słyszała ani nie wyczuła jego ruchu. Gdy dotknął jej bosej stopy, odrzuciła koc i kołdrę, a krzyk był co najwyżej suchym świstem w gardle.

Oto do czego doszło. Starcie twórcy ze stworzeniem. W przyćmionym świetle pięciowatowej lampki z Miki Bibi pochyła się, chwytając istotę obiema rękami i odrywa ją od swojej kostki. Zimny, lecz nie oślizgły. Nieregularnie pulsujący. Wyginający się. Trudny do utrzymania. Jej serce wali, trzęsie się, wprowadza w drgawki całe ciało. Oddech staje się szybki, płytki i chrapliwy. Chciała, żeby zniknął, chciała tak mocno, że ból rozsadzał czaszkę, w uszach szumiało jakby od zmian ciśnienia, a w nosie pękło jakieś naczynko, wypuszczając z lewego nozdrza nitkę krwi. Jednak niedoszły najlepszy przyjaciel wyrwał się z uchwytu, wijąc się i przetaczając po jej



piersi w stronę głowy. Stanęli ze sobą oko w oko, gdy złapała go znowu, i oczy z groszków nie wyglądały na łagodne, miłe ani czekoladowe – były wilgotnymi dziurami, w których zbierała się jakaś gęsta, oleista substancja, którą uznała za całą nienawiść świata zredukowaną do objętości dwóch łyżeczek. Stworzenie otworzyło usta i przychyliło płaską twarz coraz bliżej i bliżej, jakby chciało wyssać z niej tchnienie życia. Czaszkę Bibi rozdzierał ból, krwawa mgiełka spowiła oczy. Dziewczyna wbiła palce w miękkie ciało istoty. Już nie chciała, by zniknął, tylko *nakazała* zniknięcie temu potworowi, którego sama powołała do istnienia. Dla dodania sobie powagi podkreśliła swój rozkaz, plując na to coś. Ustąpiło. Gdy przestało się szamotać i zwiotczało w jej rękach, usłyszała, jak gdzieś w ciemności przewracają się strony książki i coś, co nie było Cookiem, mimo wszystko wróciło do świata Cookiego. Gdy ręce Bibi zostały puste, książka zaszeleściła jeszcze raz i pokój pogrążył się w ciszy.

Gdy starczyło jej siły na wyciągnięcie ręki do lampki na nocnej szafce, zapaliła ją. Wspaniałe światło. Żałowała, że ranek nie może się zjawić wiele godzin przed czasem. Póki co każda odrobina światła była mile widziana. Oparła się o poduszki. Krew sączyła się z jednej dziurki nosa, z oczu kapały łzy. Zdawało jej się, że wymiotuje. Nie wymiotowała. Myślała, że serce nigdy nie przestanie uderzać jak młot pneumatyczny, lecz jego rytm powoli stawał się spokojniejszy. Przez długi czas siedziała w stanie przypominającym katatonię – nie dlatego, że nie mogła się ruszać ani mówić, ale dlatego, że nie chciała tego robić, zastanawiając się – martwiąc – co nowego może pojawić się na świecie w wyniku bezmyślnego gestu albo jednego niewłaściwego słowa.

Z czasem zasnęła.

Nadszedł ranek.

Zbudziła się. Wzięła prysznic. Zjadła śniadanie.

Była spokojniejsza niż na co dzień, na co rodzice zwrócili

uwagę, za to umysł pędził jak zwykle – szpula, wrzeczono i skrzydełko działały szybko, przędąc z puszystych myśli naprężone nici, pomysły i spekulacje. Przed szóstymi urodzinami jej życie uległo wielkiej, nieodwracalnej zmianie i nie pozostało jej nic innego, jak tylko przyjąć to, jaką była teraz. I uważać. Nigdy więcej nie powoływać do życia niczego, co nie jest naturalną częścią świata. Historie były dobre. Dzięki nim życie stawało się lepsze, szczęśliwsze. Lecz opowieści mają pozostać między okładkami książki.

## ***Kapitan i jego albatros***

Pax stał, patrząc na liczby zmieniające się na liczniku czasu i na dwie szpule, obracające się, gdy taśma przechodziła przez wałki prowadzące. Nie słuchał Kapitana tak uważnie jak Murphy i Nancy, bo słyszał go już w samochodzie i nie zapomni tego do końca życia. W miarę, jak magnetyczny pasek z włókna octanowego przewijał się z rolki na rolkę, odtwarzając przeszłość, Pax czuł, jak ciągnie go w stronę przyszłości. Zastanawiał się z nabożną czcią, ale i z domieszką obawy, jakie będą czekające go lata z Bibi, tą niezwykłą kobietą, o ile przeżyje i spędzi z nim resztę życia.

W czasie relacji Kapitana zdawało się, że sala 456 wyłania się z budynku szpitala jak bańka z dmuchawy, stając się samodzielnym, unoszącym się w powietrzu światem, tak że gdyby ktoś otworzył drzwi, nie czekałby za nimi korytarz, tylko nieznośna pustka. Głos mężczyzny hipnotyzował jak lek, który dodał do coca-coli małej Bibi. Mimo niesamowitości opowiadania żadne z czworga słuchaczy nie okazało niedowierzania, bo znali inne przykłady tego, jak wyobraźnia Bibi odmienia jej życie na lepsze (Jasper, nazwany potem Olafem) albo gorsze (zadanie od doktor Solange St. Croix). W pewnym momencie Nancy potrzebowała usiąść i Murphy postawił jej przy łóżku krzesło. Dziewczyna cały czas leżała, nie wiedząc o otaczającym ją świecie, żyjąc w innym, pełnym barwnych wyobrażeń. Po przypomnieniu incydentu w pokoju

Bibi Kapitan opowiedział, jak znowu wywołała stwora z książki, tym razem w kuchni jego mieszkania nad garażem, by dowieść, że mówiła prawdę. Przeżycie to przeraziło oboje, choć Bibi mniej, bo już pokonała tę istotę i wiedziała, że ma nad nią władzę. Przemawiając z kasyty jak z grobu, Kapitan powiedział: *Bibi, wobec tego, że żyłaś z tą tajemnicą przez osiem miesięcy, nim mi ją powierzyłaś, że to zdarzenie nawiedzało cię i że bałaś się, co mogłabyś wyczarować następnym razem, nadal uważam, że najlepszym rozwiązaniem była sztuczka z pamięcią. Nie ma zbiegów okoliczności. Zjawiłem się z twoim życiu z wiedzą potrzebną do uzdrowienia cię, obronienia, i wierzę, że taka właśnie była moja rola. Wstając z krzesła, jak gdyby ojciec znalazł się tu i można było stanąć z nim twarzą w twarz, Nancy zaczęła:*

– Narkotyki, hipnoza, pranie mózgu?! – Ale potem jakby pogodziła się z sytuacją i usiadła z powrotem, bo nogi znowu się pod nią ugięły.

Tymczasem Kapitan ciągnął: *Masz taką potężną wyobraźnię, barwną, szczegółową i... głęboką. Z czasem zrozumiałem, że to dar. Moim zdaniem jesteś urodzoną opowiadaczką, Bibi. To cudowne. Znalazłem więcej prawdy w fikcji niż w literaturze faktu, po części dlatego, że fikcja może dotyczyć świętości, a literatura faktu rzadko się tym zajmuje. Ludzkie serce i dusza. To, co nieznanne. Niepoznawalne. Opowiadanie może leczyć złamane serca i chore dusze. Jako pisarka, Bibi, możesz zostać lekarzem duszy. Zacząłem się martwić, że za pomocą sztuczki z pamięcią ukradłem ci część cennego talentu, odebrałem szansę na zapanowanie nad nim, a tym samym zostanie kimś. Dlatego zacząłem zbierać cytaty sławnych pisarzy, ich przemyślenia na temat wielkiej wartości wyobraźni. Głupawe przedsięwzięcie? Mój Boże, mam nadzieję, że nie. Jestem pewien, że pamiętasz, jak dużo o nich rozmawialiśmy, a na swój niezgrabny sposób starałem się zadbać o to, byś rozwinęła swój talent, żeby stracona wiedza na temat całej skali tego daru,*

*wiedza spalona przez sztuczkę z pamięcią, nie przeszkodziła ci  
w zostaniu tym, kim możesz zostać.*

## ***W świecie, który sama stworzyła***

*...na swój niezgrabny sposób starałem się zadbać o to, byś rozwinęła swój talent, żeby stracona wiedza na temat całej skali tego daru (...), nie przeszkodziła ci w zostaniu tym, kim możesz zostać.*

Bibi wyczołgała się spod biurka. Stała w holu. Mała postać na połaci białego kwarcu wpatrzona w krąg z czerwonego kamienia i dwie stylizowane błyskawice w jego środku.

Przez lata dręczył ją nawracający koszmar, w którym dwie postacie w długich szatach i kapturach, wysokie i powłóczące nogami, o pokrzywionych kończynach i kręgosłupach, niosły trupa w całunie. W poświęcie księżycy z Cheshire przenosiły zwłoki przez brukowane kostką podwórko za bungalowem, a ona obserwowała je z okna, przerażona, nie wiedząc, co zamierzają. Rzecz jasna odnosiły Kapitana do mieszkania ponad garażem, gdzie umarł.

„Jaki dziwny jest umysł” – myślała teraz. – „Jak skrywa przed samym sobą swoje najtajniejsze zdolności”.

We śnie jeden z niosących dostrzegł ją i odwrócił głowę w kapturze w stronę okna pokoju. Akurat wtedy noc stała się jasna i Bibi przez chwilę widziała oblicze Śmierci, nim ta się odwróciła. Widok przeraził ją do tego stopnia, że po obudzeniu się nie pamiętała go – nie mogła, nie chciała pamiętać. Ale teraz przypominała sobie: w kapturze była nie czaszka z nagich kości, nie gnijąca twarz, po której roiły się żuki i glisty, tylko jej

własna twarz, blada i zacięta. Śmierć w kapturze nie przyniosła Kapitana z grobu. Dziesięcioletnia Bibi, jego kochająca wnuczka, to *ona* tak bardzo chciała go wskrzesić. W sennych marzeniach intuicyjnie przeczuwała moc własnej wyobraźni, o której nie pamiętała na jawie, ponieważ wiedza została spalona.

Niezależnie od wszystkich wątpliwości, Kapitan postąpił słusznie, stosując sztuczkę. Mimo obrzydliwego spotkania z piernikowym stworem nie byłaby w stanie oprzeć się pokusie przywrócenia Kapitana do życia. Teraz już rozumiała, że w tygodniach po jego śmierci, w czasie odwiedzin w jego mieszkaniu, nic o tym nie wiedząc, wiele razy wywołała go z grobu jako ożywionego trupa i odsyłała go z powrotem, nie mając świadomie pojęcia o tym, co robi. Kroki w innych pokojach. Mokra krew skapująca z klamki. Złowroga obecność na strychu, która wyszła z mroku na światło. Krótkie, nie do końca uświadamiane wskrzeszenia. Gdyby wiedziała, że przy użyciu wyobraźni może doprowadzić do jego powrotu, przywołałaby go kompletnie i zniszczyłaby ją groza tego, czego dokonała.

Po śmierci golden retrievera Olafa, sześć lat po odejściu dziadka, sztuczka z pamięcią musiała zacząć już zawodzić. Przekonanie Kapitana, że wstrząsające przeżycia spalają się na zawsze, było błędne. One tylko spływały do głębokiej dziury w pamięci, gdzie jątrzyły się w oczekiwaniu na jakieś ciężkie okoliczności, które wydobędą je na powierzchnię. Bibi chciała być przy kremacji psa, upewnić się, że zamienił się w popiół, i nie zachowała kosmyka jego sierści, tak jak zatrzymała kędziór włosów i skrawek skalpu Kapitana. Świadomie bądź nie, bała się, że go przywoła, że wróci do niej mocą wyobraźni. Na pewno byłaby to jakaś dziwna i groźna wersja psa, którego kochała. Mimo tego, że Olaf był tylko urną z popiołami, tęskniła za ożywieniem go. Po trzech samotnych dniach w swoim pokoju, walce z lekkomyślną miłością, która doprowadziłaby do

zmartwychwstania, w desperacji raz jeszcze użyła sztuczki z pamięcią.



Gdy Pax wyłączył magnetofon i zabrał go z łóżka, Bibi otworzyła oczy.

Wyszeptał jej imię, ale nie spojrzała bezpośrednio na niego.

Jej wzrok przewędrował z prawa na lewo, z lewa na prawo, na nikim nie spoczywając, ogarniając wszystkich i wszystko – albo nic. Zamknęła oczy i pozostała bez czucia.



Gdy Bibi odwróciła się od czerwonego koła i czarnych błyskawic, olbrzymi hol wejściowy na chwilę zlał się z innym białym pomieszczeniem. Dziesięć stóp od niej stało szpitalne łóżko i rząd ekranów, kroplówka. Nancy, Murphy, Pogo i piękny Paxton zebrali się wokół łóżka, skupieni na pacjencie, którym była sama Bibi.

Natychmiast zrozumiała, co oznacza ta wizja, że w gruncie rzeczy to nie jest wizja w sensie paranormalnym, tylko prawda o jej stanie, którą sama sobie objawia pod wpływem głosu Kapitana z za grobu. Nie zdziwiło jej, że istnieje w dwóch światach jednocześnie i w dwóch stanach. W największej głębi serca i duszy wiedziała o tym od początku, ale potrzebowała drugiej opowieści, by uratować się w pierwszej. Musiała przezwyciężyć skutki sztuczki z pamięcią, ponownie odkryć nadzwyczajną potęgę swej wyobraźni i za jej pomocą przywrócić się do zdrowia.

Jedynym lekarstwem, które zawsze łagodziło ból i smutek, były opowieści, ich lektura i pisanie. Nie znała żadnej innej skutecznej terapii.

Widok ze szpitala odpłynął do innego świata, innego życia.



Przypomniał jej się przelotny obraz: ma sześć lat, jest z Kapitanem w kuchni bungalowu, trzyma w stalowych szczypcach fiszkę, biały papier nagle zapala się, motyl płomienia wygina skrzydła, w oczach Kapitana widzi jasne i piękne motyle...

Jeżeli przeszłość w ogóle mogła być naprawdę przeszłością, ona nareszcie miała ją za sobą. Teraz wszystkie niebezpieczeństwa czekały w przyszłości i nie było innego wyjścia, jak tylko napotkać je w świecie, w którym leżała na szpitalnym łóżku, obserwowana i diagnozowana, a jednocześnie w świecie, który sama stworzyła.

Tak jak domyśliła się wcześniej w ciągu nocy, gdy pragnęła, by Pax ją odnalazł, nic jej się nie śniło. Kształtny świat jej nadzwyczajnej wyobraźni był tak twardy jak kwarc pod nogami, rzeczywisty jak piekący ból, który przeszywał małżowinę ucha i pulsował w poobijanej twarzy.

To miejsce leżało między niebem a ziemią i nie umiała sobie wyobrazić, gdzie wyląduje na końcu swojej misji. Jednak trzeba tam było dotrzeć.

Mimo całej swej mocy tutaj, w świecie stworzonym przez siebie, nie była nieśmiertelna – tak samo jak w tamtym, pierwszym. Nie była bogiem, tylko kimś z darem wyobraźni. Strzał w głowę położyłby kres i jej, i wszystkiemu, co sobie wyobraziła. Jeżeli umrze tutaj, umrze też w świecie, w którym się urodziła. A nie mogła mieć pewności co do swoich szans.

Wyjęła pistolet z kabury na szelce. Przez chwilę mu się przyglądała. Potem położyła na kontuarze z czarnego granitu.

Pozostał jeden nieprzyjaciel. W tym świecie, tak jak i w świecie swych narodzin, największego wroga nie można było pozbyć się przemocą.

W ścianie za recepcją znajdowało się troje drzwi nieodróżniających się niczym od białego kwarcu dookoła. Wybrała środkowe, pod czarno-czerwonym symbolem totalitarnej władzy. Za drzwiami biegł korytarz, którym przeszła

do wind. Gdy je wezwała, rozsunęły się jedne z sześciorga drzwi i weszła do kabiny. Z tablicy wynikało, że nad ziemią są cztery piętra. Czwórka zaświeciła się sama, bez jej udziału, drzwi zasunęły się i została powieszona w górę.

W tym świecie własnego wynalazku wyobraziła sobie innych ludzi obdarzonych mocą. Wśród nich największą posiadał ten, do którego jaskini teraz wkraczała. Myślała o Kelsey Faulknerze, jubilerze i ojcu tego człowieka, z połową twarzy przystojną i drugą zniekształconą. Myślała o żonie Kelsey, Beth, matce człowieka, który na nią czekał, zgwałconej przez własnego syna, uderzonej dwadzieścia trzy razy nożem, z twarzą oblaną kwasem. Zabrał im pieniądze, nieokreślone przedmioty wartościowe i zaczął nowe życie, ten nastolatek opętany Hitlerem i okultyzmem.

W końcu, po czterech seriach z paralizatora, gdy Bibi zrozumiała, że posiada wystarczającą moc, Chubb Coy został z łatwością usunięty, a jego rola ograniczona do pięciu scen. Ale był poboczną postacią, dość słabo zarysowaną, z przeszłością sprowadzającą się do wzmianki, że pracował w policji. Za to Robert Warren Faulkner, alias Birkenau Terezin, miał barwną i pokręconą przeszłość, brutalną, patologiczną, dzięki której zapadał w pamięć. Poza tym od początku wszyscy, którzy stawali jej na drodze, okazywali się albo członkami sekty Terezina, albo jego sprzymierzeńcami, wskutek czego stawał się pajakiem w środku sieci, głównym antagonistą. Nie mogła go usunąć bez zniszczenia całego tego świata wyobrażeń. Tylko najbardziej stereotypowi autorzy zawsze wiedzieli na początku opowieści, jaki będzie los ich głównej postaci. W pisarstwie organicznym, dopuszczającym wolną wolę postaci, pisarz mógł się mocno zdziwić, kto umiera, a kto przeżywa w ostatnim akcie.

Winda dojechała na trzecie piętro. Bibi wyszła i znalazła się na szerokim, słabo oświetlonym korytarzu z zamkniętymi drzwiami po obu stronach. Tylko jakieś drzwi na końcu stały

otworem. Światło za nimi było nieco jaśniejsze. Skierowała się w tamtą stronę.

Bała się, ale strach nie paraliżował. Ostrożna, uważna i przezorna, bo dzielne dziewczyny były zawsze ostrożne, uważne i przezorne. Przyszła tutaj uratować życie Ashley Bell. Zdała sobie teraz sprawę, że jakimś cudem, jeśli tego dokona, uratuje też siebie przed śmiercią na raka, która groziła jej w świecie niebędącym dziełem jej wyobraźni – chociaż nie rozumiała, dlaczego tak jest. Jeśli zawiedzie Ashley Bell, zawiedzie samą siebie.

Za otwartymi drzwiami ciągnęło się bardzo długie pomieszczenie z wysokim na trzydzieści stóp sklepieniem kolebkowym i ścianami, które opadały łukami ku posadzce. Olimpijskie. Na nieludzką skalę. Przypominające projekty ulubionego architekta Hitlera, Alberta Speera. Sufit i ściany wyłożono płytami z jasnego drzewa wiśni, pomalowanymi wieloma warstwami lakieru, błyszczącego, o głębi barwnego kryształu, łagodnie, lecz spektakularnie oświetlonymi kinkietami z płatków złota, które rzucały w dół i w górę wąskie wachlarze światła. Tu mieściły się okna, które Bibi uznała wcześniej za lśniące kule tajemniczo unoszące się we mgle, iluminatory o średnicy siedmiu stóp, z tej strony wklęsłe, o szybach ujętych w szczebliny z brązu. Posadzka z czarnego granitu, biegnąca przez środek sali, nie odbijała światła na ścianach i Bibi czuła się prawie tak, jakby stąpała po przepastnej przestrzeni, międzyplanetarnej próżni, po której przemieszcza się bez oporu siły grawitacji.

W głębi pomieszczenia, przed ścianą z obiciem powtarzającym motyw czerwonego koła i czarnych błyskawic z holu, znajdował się ogromny blat z nierdzewnej stali i czarnego granitu, mogący służyć tylko jakiejś mitycznej postaci. Gdyby stał za nim Minotaur o ludzkim ciele i głowie byka lub rogaty mieszaniec kozła i człowieka, czy stworzenie ze złożonymi skrzydłami i lśniącymi, zielonymi ślepiami, stół okazałby się godny

właściciela.

Tymczasem czekał na nią wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w doskonale skrojonym, czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie, z czerwoną chusteczką w butonierce. Po siedemnastu latach można w nim było poznać szesnastolatka, który zamordował matkę i porzucił okaleczonego i konającego ojca. Ciągłe miał czarne jak węgiel włosy ze stanowczym przedziałkiem i grzywką zaczesywaną na lewo, choć ktoś nieświadomy jego obsesji na punkcie Trzeciej Rzeszy nie odczytałby tego stylu jako wyrazu czci dla Hitlera.

Uroda do pewnego stopnia chroniła go przed podejrzeniami, bo w tym stuleciu wizerunek ważył więcej od treści, a pozory znaczyły często więcej niż prawda. Kiedyś przystojny chłopiec, teraz wyrósł na mężczyznę o urodzie gwiazdora. Hitler i wierchuszka partii nazistowskiej byli niezbyt atrakcyjnymi mężczyznami, ziemistymi i nalanymi jak Himmler lub zezwierzęconymi jak Hess i Bormann, w niektórych przypadkach wręcz makabrycznymi, mimo to zgotowali wielkiemu narodowi piekło na ziemi, a światu chaos i zniszczenie. Gdyby wyglądali jak ten tu Terezin, być może porwaliby jeszcze więcej prawdziwych wiernych i odnieśliby zwycięstwo.

Na widok Bibi elegancki morderca wyszedł zza biurka i stanął przy biurowym fotelu, na którym tyłem do Bibi siedziała jakaś dziewczyna. Lśniące blond włosy w odcieniu szampana były włosami Ashley Bell na zdjęciu znalezionym w domu Calidy.

Bibi zwróciła się do Terezina:

– Dlaczego wyznawcy totalitaryzmu – komuniści tak samo jak faszyci – lubią czerwień i czerni?

Tembr jego głosu, męski rezonans pomiędzy basem i tenorem, był bronią równie przydatną jak uroda.

– Czerni to śmierć, potęga życia i śmierci. Czerwień to krew tych, którzy nie chcą szanować tej potęgi. A może dlatego, że to kolory ruletki, barwy losu. Nasz los to rządzenie, twój los to

bycie rządzoną. Jesteśmy przedstawicielami losu, egzekwujemy jego nakazy.

– Co za stek bzdur – oświadczyła Bibi, zatrzymując się dziesięć stóp od niego.

– Nieprawdaż? Ale, moja śliczna Bibi, bzdura to ulubiony język naszych czasów.

Obrócił fotel, ukazując więźnia. Ashley Bell była przykuta do ramienia fotela za prawy nadgarstek.

– Dziewczyna, której imię wywróżyłaś za pomocą płytek do scrabbli – stwierdził Terezin.

– Teraz ci ją odbiorę – zapewniła go Bibi.

Długie ostrze wyskoczyło z rękojeści noża, którego wcześniej nie zauważyła. Przyłożył ostry jak brzytwa metal do gardła Ashley.

Za tą wyprawą stały dwie autorki: Bibi Blair, która pisała książki i uważała, że rozumie samą siebie, i inna Bibi Blair, cień Bibi z paranormalnym talentem, zasłonięty przed swą bliźniaczką przy użyciu sztuczki z pamięcią. Ból i smutek obydwu zawsze łagodziły historie. Tworząc poszukiwanie Ashley Bell, Bibi szukała całej prawdy o sobie, bo częścią tej prawdy była moc korygowania pewnych rzeczy w świecie realnym tak samo, jak mogła redagować je tutaj – moc usunięcia raka. Ale cieniowi Bibi zależało na utrzymaniu wiedzy o tej zdolności w dziurze pamięci, w której ją schował Kapitan, gdyż była przyczyną największych wstrząsów w jej życiu. Chcąc przeszkodzić Bibi w uświadomieniu sobie, że jej największym przeciwnikiem jest własne alter ego, cień Bibi musiał wymyślić antagonistę, Terezina, który wyglądał na jej jedyne wroga. Ale teraz Bibi i cień Bibi złączyli się w jedno dzięki odkryciu sztuczki Kapitana i odzyskaniu pamięci. Antagonista przestał być potrzebny.

Lekko piłując tępą stroną ostrza po gardle dziecka, Terezin oznajmił:

– Jeśli zabiję ją, zabiję także ciebie.

Przez chwilę do Bibi nie docierał sens tego zdania, nie wiedziała, co to oznacza, że Terezin wie o czymś takim. Skupiła się na konieczności usunięcia go z tego stworzonego przez siebie świata jak gdyby przy użyciu gumki, którą wytarła Chubba Coya.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nic z tego, śliczna Bibi. A jak się nad tym zastanowisz, zrozumiesz dlaczego.

## ***Niebezpieczna sztuka***

Widząc, że opowieść wymyka się spod kontroli, Bibi poczuła klaustrofobiczny lęk. Architektura sprzyjała takiej reakcji. Długi walec pomieszczenia i okna jak bulaje kojarzyły się z okrętem, łodzią podwodną. Mgła niczym mętne morze kłębiła się przy klinach szkła w brązowych ramach. Biorąc pod uwagę wielkość tej sali i megalomanię widoczną w każdym szczególe, mógł to być tylko Nautilus Juliusza Verne'a, gdzie Terezin występował w roli kapitana Nemo z domieszką Ahaba.

Powiedział: „Jeśli zabiję ją, zabiję także ciebie”.

Znaczenie tych słów nagle wybuchło z całą jasnością i Bibi zatrzymała się pod wrażeniem psychicznej fali uderzeniowej. Znał prawdziwy cel jej poszukiwań: ocalić siebie, uwolnić się od raka dzięki nie do końca jeszcze zrozumiałemu kontaktowi z Ashley Bell. Ale jeśli był tylko stworzoną przez nią postacią, wymyśloną na potrzeby narracji, nie mógł wiedzieć o niej nic ponad to, co zdarzyło się w scenach, w których wspólnie występowali. Nie mógł wiedzieć, że zabicie dziecka będzie równoznaczne z zabiciem jej.

– Rak zżera ci mózg – mówił Terezin. – Dzień za dniem, może nawet godzina za godziną, twoje twórcze moce pisarskie będą maleć i wkrótce nie będziesz w stanie zbudować nawet superkrótkiej opowiadki, nie mówiąc o długiej historii. Jeżeli zabiję tę dziewczynę, twoja wyczerpująca podróż okaże się bezsensowna. Będziesz musiała zacząć wszystko od nowa –

nowe postacie, nowe zdarzenia, montaż nowej historii, aby ocalić siebie. A na to nie ma czasu.

Być może przerwany już zaszkodziły dawnej jasności myślenia. Wiedziała, że to, co mówi, jest po części prawdą, lecz nie umiała domyśleć się reszty. Poczowała się mniej pewna siebie, do serca zakradał się lęk.

Piękne dziecko w fotelu zachowało wyraz twarzy znany z fotografii: z trudem zdobytej pogody ducha, maski odmawiającej porywaczowi rozkoszy ujżenia swych prawdziwych uczuć.

– Powiedz no mi – odezwał się Terezin – czy w gorączce pisania nie zdarzało ci się tworzyć postaci, które zdawały się tak samo rzeczywiste, jak ludzie znani z codziennego życia?

– Oczywiście. Ale ty się do nich nie zaliczasz.

– A czy kiedykolwiek dziwiłaś się, że postać zdobywa tyle wolności, że ciągle robi rzeczy, których nie przewidziałaś, nie zaplanowałaś, ale które wydają się do niej pasować?

– Każdy pisarz, który ufa własnej intuicji, przeżywa coś takiego. Właśnie wtedy wiadomo, że postać się sprawdza, jest autentyczna i trafiona.

Na jego ujmującej twarzy nawet grymas wyższości mógł uchodzić za uśmiech rozbawienia.

– A czy w trakcie pisania zdarzało ci się czuć nieswojo, bo jakaś postać zachowuje się tak, jakby zdawała sobie sprawę z tego, że przykładasz rękę do jej życia, że jest wyobrażana i kształtowana, i buntuje się, przez co masz kłopoty z poprowadzeniem jej tak, jak chcesz?

– Nie – skłamała. – To się nie zdarza.

– Literatura to niebezpieczna sztuka, Bibi Blair: stwarzanie nowych światów zamieszkałych przez ludzi, których starasz się uczynić prawdziwymi. Wiesz, jak naukowcy wyjaśniają wszechświat?

Znów spróbowała go usunąć, tym razem przy użyciu tętniaka. Potem wyobraziła sobie, jak umiera na atak serca.



Patrzył na nią z irytującą pobłażliwością, z uśmiechem aż kwaśnym od litości. Gdy upłynęło tyle czasu, że stało się oczywiste, iż nie można go zredagować, powtórzył pytanie:

– Wiesz, jak naukowcy wyjaśniają wszechświat?

– O co ci chodzi?

– O to, że *nie* wyjaśniają. To znaczy po Wielkim Wybuchu umieją wytłumaczyć, jak i dlaczego rozszerzał się w ten, a nie inny sposób. Ale skąd się wziął – to przekracza ich możliwości. Jedni mówią, że powstał z nicości. Zmyślają groteskowe, niemożliwe do udowodnienia teorie, które mają pokazać nie tylko, że coś może powstać z niczego, ale że dzieje się tak cały czas. Zdarza się bez powodu, jest skutkiem bez przyczyny.

Ashley Bell zamknęła oczy w geście rezygnacji, jak gdyby w kadencjach jego mowy wyczuwała nuty, po których poznawała, że niebawem dotrze do crescendo, które będzie chciał uwypuklić, podrzynając jej gardło.

– Całkiem sporo filozofów – ciągnął Terezin – między innymi najbardziej szanowani i wpływowi, twierdzi, że istnienie świata zostało *wyobrażone*. Naukowcy upierający się, że coś może powstać z niczego, najczęściej wyśmiewają tych filozofów. Ale wyobrażnia przynajmniej sugeruje przyczynę i jakąś stojącą za nią moc. Biorąc pod uwagę to, że istnieję dzięki historii, którą sobie opowiadasz, jestem po stronie filozofów.

– Do czego zmierzasz?

Odsunął nóż od gardła Ashley, aż światło zabłysło na ostrzu.

– Literatura to niebezpieczna sztuka – powtórzył. – Stwarzanie światów niesie ze sobą ryzyko. Nie tylko dla czytelników, których można przeciągnąć na stronę mroku zamiast światła, zła, a nie dobra, rozpacz, nie nadziei, ale też dla autora.

Dopóki nóż nie naciskał gardła Ashley, Bibi mogła natrzeć na Terezina, zwalić go z nóg. Mógłby uderzyć się głową o granitowy blat, wypuścić nóż. Widziała, jak dałoby się to zrobić. Zaskoczyć go, rzucając się na fotel, w którym siedzi dziewczyna. Z rozpędu i z całej siły pchnąć fotel na mężczyznę. Nieostroźnie,

bez zważania na konsekwencje. Przemyślane działanie było zawsze lepsze od przemyślanej bezczynności. A jednak się wahała.

– Gdy autorka tworzy postacie – mówił Terezin – może jej się zdawać, że wie, jakie cierpienia powinny spaść i spadną na tych, którzy, jak ja, przenoszą ponad wszystko władzę. Lecz mocą swojej wyobraźni, połączonej ze zdolnościami paranormalnymi, dałaś mi możliwości, których nie mogłaś przewidzieć.

Lewą ręką schwycił Ashley za czoło, odchylił jej głowę i przystawił ostrze noża do skóry pod brodą. Okazja do zaatakowania go przepadła.

– Można by ją też załatwić, wbijając nóż prosto w usta, przez miękką część podniebienia do mózgu. To by dopiero było, no nie?

Oczy dziewczyny poruszyły się pod zamkniętymi powiekami.

Oczy Terezina, wbite w Bibi, były lśniące, acz pozbawione ciepła, jak czarny lód.

Hitler wymyślił politykę, która doprowadziła do systematycznej eksterminacji milionów osób, ale nigdy nie był w obozie zagłady, by oglądać, jak strzela się do całych rodzin, prowadzi się je do gazu, a czasem przewozi jeszcze żywe do krematoriów. Nigdy nie odwiedził obozu pracy niewolniczej, gdzie więźniów politycznych, jeńców wojennych i działaczy chrześcijańskich głodziło się na śmierć i zamęczało niehumanitarną pracą. W czasie bombardowania miast niemieckich ani razu nie wyszedł w ruiny, by dodawać obywatelom ducha i wspierać ich morale. Potrafił nakazywać stosowanie zwierzęcej przemocy, ale był zbyt delikatny, żeby na nią patrzeć.

Gdyby Terezin i jego sekta kiedykolwiek zyskali władzę, wódz bez mrugnięcia okiem nakazałby masowe mordy, w których następnie z przyjemnością by uczestniczył.

– Gdybyś naprawdę chciał zabić tę dziewczynę – stwierdziła Bibi – już byś to zrobił. Czegoś ode mnie chcesz. Czego?

– Uratujesz ją i siebie. W zamian chcę tylko tyle, żebyś po opuszczeniu tej twojej opowieści pozostawiła ten świat nienaruszonym. Zostaw mi go do zabawy.

– Ale to wszystko jest... wyobrażone. – Miała wrażenie, że się z nią bawi.

– Gdzieś w swoim świecie żyje Huck i przeżywa przygody, o jakich nie śniło się Twainowi. Sherlock Holmes cały czas rozwiązuje nowe zagadki.

Bibi się zawahała, nie chcąc powiedzieć czegoś niewłaściwego.

Bez wątpienia był szaleńcem i megalomanem, choć zdolnym do funkcjonowania – z powodzeniem – w społeczeństwie, podobnie jak Hitler. Jeśli naprawdę wierzył, że zmyślony świat istnieje po zakończeniu książki, że w jakimś mistycznym wymiarze jest rzeczywisty i wiecznie obraca się wokół własnej osi, otwiera się droga wyjścia z tego impasu.

– Pozostawić ten świat nienaruszonym? – odezwała się w końcu, przyjmując jego reguły gry, wskazując wielką salę i mgłę za oknami. – Jak?

– Dokończ opowieść. Wydaj ją drukiem.

– Chcesz, żebym siadła i napisała...

– Nie. Większość już sobie wyobraziłaś. Tkwi w twojej głowie. Tylko wyobraź sobie, że jest też na komputerze w mieszkaniu, w świecie, w którym się urodziłaś.

Już miała zaprotestować, powiedzieć, że przecież zabrał jej komputer z mieszkania, a laptop sama wrzuciła na plandekę ciężarówki architekta krajobrazu, gdy szukali jej jego ludzie w helikopterze. Wtedy uświadomiła sobie, że to wszystko zdarzyło się w *tym* świecie, w *tej* opowieści, nie w świecie rzeczywistym, gdzie umiera na glejakaowatość mózgu.

Dezorientacja, nawet chwilowa, była dowodem, że rak naruszył jej możliwości intelektualne.

– Mógłbym wbić jej tę kosę w oko – powiedział. – Najpierw odciąć jej usta i nos. I nic byś na to nie poradziła.

– Możesz sobie zabrać ten świat – oświadczyła Bibi, pewna, że

nie da się tak łatwo oszukać, że do przemocy dojdzie niezależnie od tego, co powie albo zrobi.

Patrzył lodowatym wzrokiem, ale w jego głosie zabrzmiała nutka dziecinnego zachwytu.

– Wydasz całą historię jako powieść?

– Tak.

– I cały ten świat będzie mój?

– Jeśli działa to tak, jak myślisz.

– Pewnie, że tak. Zdziwiasz mnie, moja śliczna Bibi. Powinnaś mocniej wierzyć w literaturę. Dzięki niej można zejść prawdę z boku, co jest jedynym sposobem na zbliżenie się do niej.

Zamknął nóż i cisnął go na blat. Broń ślizgała się po czarnym granicie, by w końcu się zatrzymać, obracając leniwie jak wskaźnik w jakiejś losowej grze.

Gdy ruszył ku niej, szykowała się do uniknięcia ciosu pięścią albo innym nożem. Ale tylko uśmiechnął się i przeszedł dalej, w stronę otwartych drzwi na końcu sali.

Wyobraziła sobie, że skrzep zatyka wnętrze naczynia, które doprowadza krew do mózgu Terezina, i mężczyzna umiera na udar. Śmiertelne zatkanie tętnicy serca. Z wielką intensywnością wyobraziła sobie samospalenie – Terezina w ogniu, zataczającą się postać, z której strzelają biało-niebieskie płomienie, rozżarzoną jak jądro słońca, ciało rozpadające się na pełgające węgle i popiół.

Obrócił się na pięcie, wyjął spod marynarki pistolet. Podszedł do niej.

– Czasami postać rozumie autora równie dobrze, jak pisarz rozumie ją. – Lufa pistoletu, pusty oczodół w czaszce bez ciała, wieczność w stalowej obwódce. Czekał, gdy ona zastanawiała się nad tym i w końcu popatrzyła mu w oczy. – Nie wiem, jak to się dzieje, ale za każdym razem, gdy do mnie celujesz i nie trafiasz, staję się silniejszy. Czujesz to, moja śliczna Bibi? Bo ja tak. Wyraźnie. – Gdy nic nie odpowiedziała, uznał to za

potwierdzenie. Włożył broń do kabury, odwrócił się do niej plecami i znów zaczął odchodzić.

Wciąż nie wierzyła, że nic już do niej nie ma. Może nie powinna była nic mówić. Na pewno jednak spodziewał się od niej jednego pytania i jeśli go nie zada, uzna jej obietnicę za nieszczerą.

– Skąd wiesz, że na pewno tak zrobię?! – zawołała za nim. – Skąd wiesz, że zostawię ci ten świat takim, jaki jest?!

Zatrzymał się w połowie drogi przez salę i odwrócił.

– Jesteś dziewczyną, która się stara, która ceni prawdę i dotrzymuje słowa. W końcu mnie stworzyłaś, no nie? No... jak nie możemy ufać bogom, to komu można tu zaufać?

Przypomniał jej się tekst Henry'ego Millera *Życie twórcze*, w którym napisał, że wariaci *nie przestają śnić, że im się śni*. Zdziwiła się, że te siedem słów przychodzi jej na myśl akurat teraz, w odniesieniu do Terezina. Ale uznała, że zbyt mocno dotykają prawdy, i wołała się nad nimi nie pochylać.

Patrzyła, jak Terezin wychodzi z pomieszczenia i zmierza korytarzem do windy.

## ***Bibi do Bell***

Niewyobrażalna mgła znad Mojave, duch morza, które istniało tu przed milionami lat, obmywała bulaje. W głębi tej bieli prześlizgiwały się duchy, dziwne i olbrzymie, jakby niestrudzona wyobraźnia Bibi nie mogła oprzeć się wymyślaniu wspomnień Behemotów pływających w prehistorycznych oceanach.

Podchodząc do ślicznej dziewczyny, która siedziała z nieludzkim spokojem, Bibi wprowadziła drobną korektę kajdanek, którymi tamta była przypięta do fotela. Z brzękiem spadły na podłogę.

Ashley Bell wstała i zrobiła krok do przodu. Miała na sobie buty z czarnej lakierowanej skóry, białe pończochy, białą plisowaną spódnicę i świeżo wyprasowaną, białą bluzkę z haftami bladoniebieskich motyli na mankietach i kołnierzyku.

Stały naprzeciwko siebie, dzieliła je nie więcej niż stopa odległości. Jej skóra była nieskazitelna, tak jak na zdjęciu, rysy idealnie proporcjonalne. Szeroko rozstawione oczy o wyjątkowym fiołkowym odcieniu, jaki mają niektóre hiacynyty, wyróżniały się nie tylko kolorem, lecz także przezroczyością. Patrzyła prosto i przenikliwie, jakby nie tylko widziała Bibi, ale i czytała w jej duszy.

– Ty masz trzynaście lat, ja dwadzieścia dwa, a jesteśmy tego samego wzrostu. Jak to możliwe?

– No właśnie? – zapytała Ashley Bell z uśmiechem.

Bibi zdziwiła się, słysząc własne słowa:

– Znam cię. Już się kiedyś spotkałyśmy.

– Tak. Osiem lat temu.

– Gdzie?

– W książce – oznajmiła Ashley Bell.

W Bibi narastało zdumienie.

– Przeżyłaś Dachau.

– Tak. I wylądowałam w Ameryce.

– Te ubrania miałaś na sobie, gdy SS przyjechało po twoją rodzinę.

– Matka i ojciec opierali się. Zostali zamordowani, a mnie wywleczono z domu.

Zadziwienie emocji. Zdumienie intelektu. I coraz większy podziw.

– To tam widziałam wcześniej dom. W pierwszej książce Toby – stwierdziła Bibi. – Toba Ringelbaum. Był to dom w niemieckim mieście, a nie na odludnej pustyni Mojave. Jak mogłam zapomnieć ciebie, cudowną książkę Toby, samą Tobę?

Wykorzystała tylko fakty potrzebne do zbudowania fikcji i usunęła z pamięci wszystko, co mogłoby jej uświadomić, że znajduje się w sennym stanie tworzenia, pozwolić na zrozumienie, że cały czas cierpi na raka i nie jest w stanie ruszyć w żadne prawdziwe poszukiwanie leku.

– Zostałaś chirurgiem onkologiem – przypomniała sobie Bibi. – Ze specjalizacją z nowotworów mózgu.

– Nie potrzebujesz onkologa, Biibs. Już mnie nie potrzebujesz – mówiła Ashley. – Tak naprawdę nigdy mi nic nie groziło. Jak mogło, skoro moja historia została dawno temu opowiedziana i zakończona, w książce, której nie ma już w druku? To ciebie trzeba było uratować. – Jej głos uległ zmianie. – Musiałaś przezwyciężyć sztuczkę Kapitana i w ten sposób odkryć, że możesz wyleczyć się sama.

– Naprawdę? Mam taką moc?

– Skoro umiesz wyobrazić sobie Jaspera tak intensywnie, że

pewnego dnia do ciebie przychodzi... na pewno możesz wyobrazić sobie, że nie masz raka.

Mówiąc te słowa, Ashley Bell przechodziła metamorfozę, blond włosy pociemniały i stały się niemal czarne. Hiacyntowe oczy też pociemniały, a twarz zmieniła się w zwierciadlane odbicie rysów Bibi.

Bibi, która była Ashley, położyła dłoń na czole Bibi i włożyła ją do głowy, jakby ciało i kość nie stanowiły żadnej przeszkody. Koniuszki jej palców po omacku muskały powierzchnię mózgu, zakręty i bruzdy, fałdy i szczeliny. Bibi nigdy nie doświadczyła takiej bliskości i stała bez tchu, bo mózg był tronem duszy. Niektórzy twierdzą, że dusza nie istnieje, i zastanawialiśmy się, czy sceptycy nie mają aby racji, czy nie jesteśmy tylko zwierzętami. Ale Bibi, która była Ashley, nie tylko wyczuwała zarysy zakrętów i bruzd, zrywając sieć raka, ale widziała to, co czują palce, widziała mózg w jego całej złożoności. I Bibi także go widziała: arcydzieło szarej materii, a w nim łagodne światło, które nie było zwykłym układem fal, ale lśniącą i wieczną istotą dziewczyny, którą kochał Paxton.

Gdy druga Bibi wyciągnęła rękę, palce miała oplecione czarną tkanką, obcą i obrzydliwą, która nie mogła być niczym innym, jak tylko nićmi glejaka. Palcami zgmiotła pajęcze włókna w bryłkę wielkości piłki golfowej i wyrzuciła je. Pochyliła się, objęła Bibi i szepnęła:

– Dokończmy, Biibs. Zamknij oczy. Kończmy i chodźmy do domu.

Gdy po chwili Bibi otworzyła oczy, była już tylko jedna – tak jak należy.

Powoli przemierzała kolosalne pomieszczenie w stanie czystego zdumienia, tak jakby urodziła się i wychowała w głębokiej pieczarze, po kilkudziesięciu latach znalazła się na powierzchni i pierwszy raz w życiu zobaczyła gwiazdzone niebo.

Zrobiła tak, jak obiecała Terezinowi – siłą wyobraźni przeniosła całą wyprawę na domowy komputer i laptop, choć



nie dla niego, tylko dla siebie, by nigdy nie zapomnieć tego, co się zdarzyło. Nie miała zamiaru publikować tej opowieści. I nie zostawi wyobrażonego świata do zabawy temu potwornemu matkobójcy. Niech zginie razem z nim. Nie był bogiem, tylko śmiertelnym kłamcą.

Nie ma po co iść korytarzem ani wsiadać do windy, skoro rozumie już prawdziwy charakter tego miejsca. Wyobraziła sobie, że jak duch przepływa przez wyższe kondygnacje budynku, w dół aż do holu, gdzie się po chwili znalazła.

Gdy uniosła wzrok, aby spojrzeć na wielkie czerwone koło z dwoma stylizowanymi błyskawicami, kamień roztopił się jak wosk i spłynął na ziemię. Ściany z białego kwarcu zaczynały tracić materialność, aż stały się przezroczyste jak szyby, a za nimi – jak rozżarzony miraż – pokazała się sala 456, która zaczęła szybko krzepnąć, chociaż nie było w niej pacjentów ani odwiedzających.

Nie przeszła, tylko przeleciała przez rozstępującą się podłogę holu wejściowego w kierunku łóżka, a przezroczyste mury budowli nie były już w stanie wstrzymać mgły. Jej białe fale zalały wszystko, na zawsze zakrywając przyszłą siedzibę Terezin Inc. wraz z całą resztą świata powołanego do istnienia w ciągu ostatnich czterech dni, które z jej punktu widzenia były dwoma. W końcu przestanie istnieć nawet mgła.

Rama była opuszczona. Weszła na materac. Położyła się na poduszce. Zamknęła oczy.

A gdy je otworzyła, ujrzała czworo ludzi, których kochała najbardziej na świecie.

## ***Niech cię Bóg błogostawi, Erichu Segalu***

*Co można powiedzieć o dwudziestopięciolatce, która zmarła?*

Że miała trzy lata więcej niż Bibi Blair. Że była nieszczęśliwą bohaterką *Love Story* Ericha Segala. Że nie miała szansy, a jej śmierć złamała miliony serc.

Gdy Bibi otworzyła oczy, ujrzała cztery serca czekające na złamanie. Natychmiast im ulżyła, mówiąc:

– No nie, ja się na to nie piszę. Rak mózgu jest do dupy.

Gdy zdejmowała czepek z elektrodami, Nancy zawołała:

– Skarbie, zaczekaj! Nie! Co ty wyprawiasz?!

– Mam brudne włosy – odparła, gdy EEG przeszedł w tryb alarmowy – i cuchnę potem. W ogóle cała śmierdzę. Fuj! Muszę koniecznie pod prysznic.

Gdy usiadła i obejrzała cewnik przyklejony taśmą pod lewą pachą, zastanawiając się, czy mogłaby go sama zdjąć, Murphy'emu trochę odbiło od mieszanki niepewnej radości i lęku. Ręce zaczęły mu się trząść, a wargi drzeć, gdy bełkotał:

– Obudziłaś się, mówisz, mała. Nie wstawaj, wyluzuj, Biibs. Nie możesz wstać. Ty mówisz, popatrz no tylko, ale mnie nastraszyłaś.

Paxowi Bibi powiedziała:

– Cześć, niedźwiedziu. Kocham cię bardziej od tlenu.

Potem zróciła się do Pogo:

– Pomogłeś mi w potrzebie, stary, pożyczyłeś samochód. Nie, zaraz. Sama to wszystko wymyśliłam. Ale gdyby to była

prawda, pożyczylbyś, no nie, słodziaku?

– *Mi złom es su złom* – oświadczył Pogo.

Zdaje się, że Pax i Pogo przyjmowali jej raptowne ozdrowienie lepiej niż mama i tata, całkiem jakby zrozumieli i przyswoili sobie coś z tego, co się stało, choć nie miała pojęcia, czy była taka możliwość.

W reakcji na alarm EEG pojawiła się pielęgniarka. Błyskawicznie otrząsając się z szoku na widok tak ożywionej, jeszcze niedawno pogrążonej w śpiączce pacjentki, usiłowała wszystkich uspokoić i wyjaśnić, że cewnika nie można usunąć, dopóki nie zdecyduje o tym lekarz.

– Potrzebujesz stałego nawadniania, Bibi.

– Potrzebuję raczej – odpaliła dziewczyna – dwóch cheeseburgerów i pizzy. Umieram z głodu. Życie na glukozie jest do niczego. Przepraszam, że tak śmierdzę.

– Nic podobnego – zapewniła ją siostra.

– Wie pani co, ja ciągle mam nos, tak więc miło, że pani tak twierdzi, ale ja naprawdę śmierdzę. Nawiasem mówiąc, nie mam już raka mózgu. Trzeba będzie zrobić znowu te wszystkie badania, żebyście mogli wypuścić mnie do domu. – Mrugnęła do Paxa ze słowami: – Wyglądasz przepysznie. Co się tak śmiejesz?

Wtedy pojawił się praktykant na nocnym dyżurze i jeszcze jedna pielęgniarka. Wywiązała się dyskusja na temat tego, czy Bibi ma jeszcze raka, kto ma prawo do zlecenia badań i czy będzie z tym trzeba poczekać do rana. W szpitalu o tej porze byli technicy, którzy mogli zrobić wszystko, od rentgena do rezonansu, bo musieli obsługiwać izbę przyjęć czynną dwadzieścia cztery godziny na dobę. Murphy i Nancy nie wiedzieć czemu wymyślili sobie, że problem wynika z niechęci ubezpieczyciela do pokrycia kosztów badań robionych po godzinach, i zadeklarowali, że zapłacą za nie gotówką, nie bacząc na ubezpieczenie. Pax też powiedział, że zapłaci. Pogo, że sprzeda swoją brykę i również zapłaci. Jednak w końcu do

wszystkich dotarło, że kłopot z ubezpieczalnią wziął się z nieporozumienia i nie ma mowy o płaceniu gotówką.

Przełożona pielęgniarek dodzwoniła się do doktora Sanjaya Chandry. Wyraził wątpliwość, czy Bibi może wiedzieć, że nie ma już raka, i czy glejakowatość mózgu może się cofnąć, ale gdy porozmawiał z dziewczyną, która oznajmiła, że wszystkie objawy ustąpiły, nakazał zdjęcie cewnika i wykonanie badań.

Gdy Bibi wstała z łóżka, matka objęła ją z łapczywością agenta nieruchomości, który nigdy nie wypuszcza z rąk klienta. Nancy płakała i śmiała się, jej pocałunki były wilgotne, i pytała:

– Jak to możliwe? Jak to się stało?

Na co Bibi stwierdziła:

– W końcu *nie* będzie to, co ma być. – I patrząc na zdezorientowaną matkę, dodała: – Tak bardzo cię kocham, mamó, zawsze cię kochałam i zawsze będę kochać.

Dołączył się Murphy i uścisk stał się grupowy. Ojciec był w gorszym stanie od Nancy. Mimo całego młócenia fał, nieustraszonego miażdżenia, siekania i ujeżdżania Behemotów, Wielki Kahuna swojej generacji był mimo wszystko mięczakiem, jednym wielkim sercem, czułym jak kotek. Umiał tylko powtarzać bez przerwy jej imię, jakby już myślał, że nigdy więcej nie wypowie go za jej życia.

Pogo patrzył na nią tymi swoimi błękitnymi oczami, na których widok pod innymi kobietami uginały się nogi, ale z najczystszą w świecie miłością, jej brat po innej matce, uwielbiający ją, i to z wzajemnością.

– Biibs – powiedział.

Na co odparła:

– Stary.

I tulił ją długo, by się przekonać, że jest tak samo jak zawsze rzeczywista.

W przepoconej i zmiętej pidżamie, z włosami potarganymi i zgniecionymi od czepka, pewna, że od jej oddechu mogłoby zardzewieć polerowane żelazo, Bibi mimo wszystko padła

w objęcia Paxtona, który przytulił ją tak, że szpitalna sala niemal zniknęła. Mówiła, że jest w fatalnym stanie, na co on odpowiedział, że nigdy nie widział nikogo piękniejszego. Ona na to, że cuchnie, a on, że pachnie jak wiosna. A jak ten facet umiał całować.

Gdy zjawił się sanitariusz z łóżkiem na kółkach i Bibi została na nie przeniesiona wraz z kroplówką, odezwała się przepaszająco:

– Sorki, że tak śmierdzą.

Na co ten odrzekł:

– E tam, bywało gorzej.

Pax, Pogo, Nancy i Murph złamali szpitalny regulamin, towarzysząc Bibi przy każdym badaniu, choć nie mieścili się do jednej windy z łóżkiem i pracownikami. Nie pytając o pozwolenie, wszyscy czworo zebrali się razem z technikiem od rezonansu i patrzyli zza wielkiej szyby, jak Bibi wjeżdża od głowy do złowieszczonego tunelu i jak macha do nich, kajaczek w środku.

Wszystko działo się mniej więcej tak jak wtedy, gdy wyobraziła sobie wyleczenie przez nocnego gościa z golden retrieverem i powtórzenie badań ze zdumiewającymi wynikami. Gdy po północy na salę przyszedł doktor Chandra ze świtą osłupiałych lekarzy, powiedział w zasadzie to samo, co podczas wymyślnego spotkania: że jego całe doświadczenie lekarza nie przygotowało go na nic takiego, że nie jest w stanie tego wyjaśnić, że to niemożliwe, ale że jest kompletnie zdrowa.

Objęła go tak jak wcześniej, chociaż tym razem przeprosiła, że śmierdzi jak świnia. Zapowiedział, że wobec nieprawdopodobnych wykresów fal i w dodatku cudownego wyzdrowienia będą ją chcieli badać najrozmaitsi specjaliści. Mimo że znała powód wyleczenia i nie zamierzała wyjawiać go poza wąskim kręgiem rodzinnym, obiecała, że w najbliższych tygodniach będzie do dyspozycji. Z góry przepaszając, przytuliła go znowu.

Doktor Chandra wyglądał na szczęśliwego i zdumionego, mówiąc:

– Gdy w środę powiedziałem, że masz najwyżej rok życia, odpowiedziałaś „zobaczymy”. Pamiętasz?

– Tak, pamiętam.

– Jakbyś już wtedy wiedziała, że niedługo wyjdiesz do domu.

Niewiele było precedensów dla wypisywania ze szpitala w środku nocy. Mimo wszystko o 2:25 Bibi stała pod prysznicem w domu rodziców w Corona del Mar, pod strumieniem wody tak gorącej, jak tylko dało się wytrzymać. Rozkosz.

Nikommu nie chciało się spać, a już najmniej Bibi, która miała za sobą całe dni czegoś w rodzaju snu. Pax i Pogo zajechali po drodze do sklepu całodobowego i kupili mieloną wołowinę, hamburgerowe bułki, pomidory, sałatę i słodkie cebule. Ze względu na cztery dni bez stałego jedzenia Bibi miała zacząć od czegoś lekkiego, ale nie mieściło jej się w głowie, że mogą pokonać ją zaburzenia żołądkowe, skoro właśnie rozprawiła się z rakiem. Gdy zeszła do kuchni, rodzice, chłopak i najlepszy przyjaciel śpiewali z Beach Boys, pili coronę i zapiekali ogromne hamburgery ze wszystkimi dodatkami.

Pax pierwszy zauważył, że z twarzy Bibi zniknęły siniaki, a zmiążdżone i otarte ucho jest jak nowe, że najwyraźniej sama się wykurowała.

Gdy tak patrzyli na nią z czymś na podobieństwo czci, oznajmiła:

– Tak, mam kilka wielkich nowin i sama nie wiem, jak to się dalej potoczy. W każdym razie, *compadres*, jeżeli któreś z was spojrzy na mnie kiedyś tak jak w tej chwili, jak na nietykalny skarb, wepchnę wam jaja za prostaty. Tobie też, mamó.

Jedli na tarasie na dachu, na zachodzie widząc czarne morze, i gadali, aż niebo na wschodzie zaróżowiło się, i jeszcze dłużej, a ona większość czasu siedziała na kolanach Paxa, od czasu do czasu dotykała jego twarzy i nie mogła się nadziwić.

## ***Co będzie z nią dalej***

Bungalow z łupkowym dachem został zburzony przez ludzi, którzy kupili go od rodziców Bibi. Wyobraziła sobie jego zniszczenie dla uproszczenia fabuły, wątków i atmosfery swojej wyprawy po życie albo śmierć. Dom stał i wyglądał mniej więcej tak samo jak w jej dzieciństwie. W słoneczne wtorkowe popołudnie, niecałe dwie doby po wypuszczeniu ze szpitala, Bibi zadzwoniła do drzwi, ale nikt nie otwierał.

Nowi właściciele byli miłymi ludźmi, a nie podejrzanymi Gillenhockami, którzy w alternatywnym, wymyślonym przez Bibi świecie podawali się za bankierów inwestycyjnych na emeryturze. Nie będzie im przeszkadzało, jeśli posiedzi sobie trochę na ganku. Nie było foteli bujanych, ale usiadła na jednym z krzeseł z patio, patrząc na ulicę, gdzie warkocze palm szeleściły w zmiennej bryzie, a fikusy zdawały się mienić różnymi kolorami – ciemnozielonym z jednej, jasnozielonym z drugiej strony – poruszane zmiennymi prądami powietrza.

Po śmierci Kapitana siadała tu i pisała o Jasperze i w pewien deszczowy dzień przyszedł do niej jakiś pies. Bardzo kochała rodziców, ale nie potrafili zrozumieć jej tak jak Kapitan, i gdyby w końcu nie wyobraziła sobie miłego Jaspera, być może ożywiłaby Kapitana. Strasznie potrzebowała psa, odpowiednio tajemniczego. Dla niej przyroda nie była po prostu pięknym motorem napędowym losu. Nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Tak samo jak Kapitan. I psy. Dzięki nieustannej radości

i nieograniczonej zdolności do kochania psy rozumiały prawdę bardziej złożoną.

To miejsce zawsze będzie jej domem i może któregoś dnia staną się z Paxem jego właścicielami. *Dom jest tam, gdzie serce.* Nie, to nie jest takie proste. W domu staramy się, pośrodku nieustannej walki, zrealizować wszystkie swoje możliwości i staje się on domem w sercu, gdy kiedyś można spojrzeć wstecz i powiedzieć, że – mimo wszystkich wad i niepowodzeń – właśnie w tym szczególnym miejscu zaczęło się dostrzegać, co prawda niewyraźne, kształty swej duszy.



W środę siedziała z Paxem na ławce na Inspiration Point, patrząc na morze, które przynosiło na brzeg miliony okruchów słońca i rzucało je, ostygłe i spienione, na piasek.

Trzy miesiące, które zostały mu do końca obecnego kontraktu, zorganizował sobie w kraju, gdzie miał pomagać przy szkoleniu nowych rekrutów. Oddał służbom specjalnym dziesięć dobrych lat, a pozostałe chciał poświęcić Bibi.

Nisko nad brzegiem przelatywało stado pelikanów, brodźce szukały na mokrej plaży czegoś na obiad, kilkaset jardów od plaży delfiny wyskakiwały z wody i zakreślały łuki, a ona rozmawiała z Paxem o ostrożności, jaką musi zachować przy używaniu swojej wyobraźni. Nie do niej należało zmienianie tego świata, nawet jeśli zdawało jej się, że może zmienić go na lepsze. Wobec możliwości, że niezamierzone konsekwencje jej działań okażą się katastrofalne, najśmielsze porywy wyobraźni lepiej zachować dla książek. Jeżeli będą mieli dzieci – a będą – i któregoś straszego dnia rak albo inna ohydna choroba zagrozi przerwaniem cennego życia, będzie musiała odważyć się na te niezamierzone konsekwencje. Jednak dzielne dziewczyny były zawsze roztropne i przezorne.

Pax zastanawiał się, czy jest jedyna na całym świecie, czy też



każdy posiada podobne do jej, ukryte moce wyobraźni. Opowiadała się za drugą możliwością, bo nie uważała się za nikogo specjalnego.

– Jeżeli zostaliśmy stworzeni do życia w świecie cudów, możliwość tworzenia przyszłości za pomocą wyobraźni musi być nam dana – mówiła, a delfiny płażały w skrzącym się słońcem morzu.

vW sobotę Bibi umówiła się z Pogo na obiad w Pięciu Koronach w Corona del Mar. Przyjechała pół godziny wcześniej i zostawiła auto na restauracyjnym parkingu.

Stała na rogu autostrady Pacific Coast Highway i Poppy Avenue i wspominała dwie nastolatki, Hermionę i Hermionę, blondynkę i brunetkę. Widziała, jak dochodziły do rogu, a potem skręcały na zachód, jeszcze nie całkiem pełne wdzięku, wsparte na sobie, być może zanoszące się śmiechem, tryskające życiem. Bibi znała je tylko krótką chwilę, lecz poczuła do nich szczególną sympatię z powodu ich odwagi i bezbronności, połączenia wiedzy i niewinności. Owego dnia, gdy rozplywały się we mgle, pomyślała „Oto dwie nieżywe dziewczyny” i ta dziwna myśl ją zasmuciła.

Teraz już w pełni rozumiała te słowa. Hermiona i Hermiona, córki maniaczek oszalałych na punkcie Harry’ego Pottera, nie szły na spotkanie mordercy ani niczego równie dramatycznego. Były martwe, bo nigdy nie żyły. Były obywatelkami krainy wyobraźni Bibi – nigdy nie wydały z siebie westchnienia ani śmiechu, które ktoś by usłyszał.

Szła teraz Poppy w cieniu drzew ku morzu i z powrotem, mijając widziane setki razy domy. Każdemu przyglądała się z większym niż wcześniej zainteresowaniem, jakby w nadziei, że dostrzeże te dziewczęta, jak przechodzą za oknem, wylegują się na tarasie, wychodzą. Te poszukiwania mimochodem mogły skończyć się tylko tak, jak wyprawa po Ashley Bell: spotkaniem z nikim innym, tylko z samą sobą. Mimo wszystko w sercu tliła się jakaś nadzieja, antidotum smutku, w jakim pogrążone jest

serce każdego pisarza. Mimo wysiłku tworzenia, wszystkich godzin przy klawiaturze, zachodów intelektualnych i zaangażowania, wszystkie twory pisarza są ledwie cieniami prawdy, efemerydami – jak wszystkie dzieła ludzkości na tym świecie zamkniętym w czasie.

Gdy przy obiedzie opowiedziała o tych myślach Pogo, odrzekł:  
– Pewnie, ale – tak jak ja – masz dzisiaj. Masz dzisiaj i w nim jest cały czas i cały świat. Balansuj na desce, mała.

## ***Słyszysz pieśń w jajku ptaka***

O zachodzie słońca przyjechał do sklepu na półwyspie Balboa, koło drugiego molo. Nie był to sklep jubilerski o nazwie Srebrne Fantazje; rzecz jasna nigdy tak nie było. W Newport Beach nigdy nie mieszkał jubiler o nazwisku Kelsey Faulkner, a mały Robert Warren Faulkner nigdy nie zabił tu matki. Znajdował się tutaj sklep z pamiątkami, gdzie sprzedawano rzeczy z muszli i wyrzucanych przez morze kawałków drewna i szkła, polerowanych w zmysłowe kształty przez nieustające działanie wody.

Miał tylko przeszłość, jaką dla niego wymyśliła, ale ją lubił, a w dodatku zapowiadaną przyszłość, która go podniecała. Z łatwością mógł sobie udokumentować przeszłość bez skazy, która wytrzymałaby każde śledztwo. Mógł nawet zacząć w pewnym sensie od zera. Miał tylko czarny garnitur na grzbiecie i gotówkę, którą nosił przy sobie, gdy widział się z nią ostatni raz. Posiadał jednak pewne umiejętności i talenty i z pewnością zrobi z nich użytek i poczyni szybkie postępy.

Gdy niebo płonęło na zachodzie i czerwieniło się na wschodzie, wrócił do auta, które ukradł po południu. Przejechał na koniec półwyspu, potem nieco autostradą Coast Highway na południe, wreszcie skręcił w głąb lądu i porzucił samochód na bocznej uliczce, którą wcześniej wypatrzył.

Był to świat tak bogaty w perspektywy dla człowieka z jego wyglądem, urokiem, żywym umysłem i determinacją. Z całym

szacunkiem dla niezwyklej mocy wyobraźni tej kobiety, jej świat był cienką polewką w porównaniu z gęstym gulaszem tej rzeczywistości. Jej błąd polegał na skonstruowaniu narracji, w której ramach poznał prawdziwą naturę autorki w wyobrażonym świecie: wtedy zdał sobie sprawę z egzystencjalnego zagrożenia, przed którym stoi – i z szansy.

Gdy w rubinowo-szafirowym zmierzchu szedł do pobliskiego ekskluzywnego klubu nocnego, który wcześniej sobie obejrzał, upominał się, że nie wolno nie doceniać energicznej pani Blair. Wyobraźnia pozwalała jej na usłyszenie świergotu ptaka, gdy ten był jeszcze ledwie żółtkiem w jajku. Prędzej czy później pomyśli, czy nie zostawiła mu otwartych drzwi, przenosząc całe poszukiwania Ashley Bell na komputery tego świata. Gdy ta myśl się w niej wykluje, będzie go stale wypatrywać, a jeśli go rozpozna, puści się w nieustępliwą pogoń. Będzie musiał zmienić wygląd, poczynając od fryzury – hołd dla Adolfa był tak naprawdę dzieciennym akcentem.

Kiedy zdobędzie wpływy – kiedy, a nie jeżeli – i gdy nadejdzie pora otwartego, publicznego natarcia na wrogów, takich samych w tym, jak i w tamtym świecie, zacznie od palenia książek. Na pierwszym stosie wylądują dzieła ślicznej Bibi. Na pewno doceni ironię. Obdarzyła go nienawiścią do książek i moli książkowych i zbierze żniwo tej nienawiści. Tak samo jak jej książki znajdą się w pierwszym rzucie do spalenia, tak samo ona wsiądzie do pierwszego pociągu do pierwszego obozu zagłady.

Klub z widokiem na Newport Harbor był niezmiernie elegancki, luksusowy, zmysłowy, utrzymany w odcieniach błękitu i szarości z czarnymi i srebrnymi akcentami. Przez duże okna widać było zakotwiczone lub pływające w zmroku jachty, a na ciemniejące wody wylewała się romantyczna poświata lamp nabrzeża i świateł w domach.

Bar był szeroki i tłoczny, widocznie zbierali się tu ludzie zamożni, szczególnie single różnej maści – rozwiedzeni,

owdowiali, bez małżonków albo samotni tylko na ten wieczór – mający nadzieję na znajomość z kimś nieco niżej lub odrobinę wyżej w społecznej hierarchii. Zamówił martini, udając, że nie zauważa zainteresowanych nim kobiet, jednocześnie dyskretnie katalogując i oceniając zalety każdej z nich.

Najszybszym sposobem zdobycia majątku, ważnych znajomości i szanowanej pozycji w społeczeństwie byłby ślub z kobietą, która już posiadała te rzeczy. W drugim świecie Bibi wyobraziła go sobie jako przywódcę sekty, a potem młodego miliardera od nowoczesnych technologii. Ale z pieniędzmi i statusem szybciej osiągałby swe cele za pośrednictwem polityki – czy to jako kandydat o wyglądzie złotego chłopca czy manipulator kogoś takiego. Wszystko jedno.

Kobieta musiałaby być piękna, ale niezbyt seksowna. Nie krzykliwa. Elegancka. Mająca styl. Kulturalna. Najlepiej kilka lat starsza od niego i mniej atrakcyjna, przez co jego zainteresowanie pochlebi jej – i będzie za nie wdzięczna. Dostrzegł ją po drugiej stronie baru w kształcie podkowy. Chłodna blondynka, czterdzieści lat, może czterdzieści dwa. Jeden wytworny diamentowy wisiołek i pierścionek najwyższej klasy na palcu wskazującym wystarczyły do zaznaczenia statusu niezamężnej o głębokich kieszeniach.

Ich spojrzenia spotkały się kilka razy. Gdy zwolnił się stołek obok, popatrzyła na niego śmiało i kokieteryjnym skinięciem wskazała wolne miejsce. Niosąc martini, podszedł pewnym krokiem. Nazywała się Elizabeth Barret Radcliffe, dla znajomych Beth.

Jeśli nie chciał w najbliższym czasie zwrócić uwagi Bibi Blair, w miarę jak będzie się stawał osobą coraz znacniejszą, naturalnie nie może nazywać się Robert Faulkner ani Birk Terezin. Potrzebował prostego, ale solidnego nazwiska, budzącego szacunek, i coś takiego przyszło mu już wcześniej do głowy. Dopiero po dłuższym czasie uświadomił sobie, że to nazwisko jest literacką aluzją z pierwszej powieści Bibi, którą

czytał po tym, jak zwrócił na nią uwagę w tamtym drugim, zmyślonym przez nią świecie. Przedstawił się Beth, ale jeszcze wtedy, we wstępnej fazie, gdy dało się uniknąć błędu, nie odkrył pułapki, w którą dawał się złapać. Beth nie była mołem książkowym, a ponieważ kręgi wysokiego towarzystwa, w których się obracała, też nie składały się z miłośników lektury, były Birk Terezin potwierdził swą tożsamość nienagannie podrobionymi papierami.

Kilka lat później, gdy pod nowym nazwiskiem piął się szybko w górę, odkrył, że jest to też nazwisko socjopaty i mordercy w pięciu powieściach Patricii Highsmith: Thomas Ripley. Jego zdjęcie zdążyło się już pojawić w wielu pełnych podziwu artykułach prasowych, w nagłówkach, i mógł się domyślać, że mimo nowego wyglądu poznała go, co nie byłoby takie łatwe, gdyby się nazywał Bob Smith. Nie wiedział, jak bardzo powinien się przejmować, dopóki tej samej nocy nie zbudził się przerażony z koszmaru z udziałem płatnych zabójców. Pobiegł do domowego gabinetu i szukał w Internecie zdjęcia męża Bibi Blair, który służył kiedyś w służbach specjalnych marynarki wojennej. Ripley nie mógł się nie wystraszyć, gdy okazało się, że nie istnieją żadne fotografie małżonka tak sławnej pisarki. Zdjęcie Paxtona Thorpe'a nie figurowało też w publicznym archiwum byłych członków SEAL. A co z żołnierzami, z którymi służył, weteranami operacji specjalnych? Jak wyglądali oni?

Nie bardzo wiedząc, jak się tam znalazł, Thomas Ripley stał przy oknie i wyglądał na Newport Harbor, na swą prywatną przystań i imponujący jacht, wpatrzony w drżące odbicie księżyca na czarnej wodzie. Tylko blask księżyca i fale. Nic więcej. Wszystko tak, jak być powinno. I będzie, dopóki... Stał i czekał w udręce wyobraźni.

# ***Spis treści***

## **I. Kobieta, która chciała wyjść za bohatera**

1. Dziewczynka, w której głowie kłębią się myśli
2. Kolejny doskonały dzień w raju
3. Salon
4. Szukanie dobrej strony
5. Pogłaskaj Kota
6. Przeróżające tempo badań
7. Moc ciastek
8. Pod młotem i w ogniu nagonki
9. W tunelu losu
10. Co z niej za dziewczyna
11. Wierzyła jeszcze w czary
12. Kroki niewidocznego człowieka
13. Na nowo odmłodzeni żalem
14. Usiadła, usiadła, usiadła na łożku
15. Jedna z wielu chwil prawdy
16. Wspomnienie niewytłumaczalne w tych okolicznościach
17. Godziny przed kryzysem
18. Coś złego i coś gorszego
19. Gdyby to był tylko duch
20. Stan całkowitej prostoty
21. Na drugim końcu świata

- 22. Co się, do diabła, stało?
- 23. Po prostu nie umie dać sobie z tym spokoju
- 24. Ale byłoby miło, gdyby mogło tak być naprawdę
- 25. Kapitanie? Jest pan tam, Kapitanie?
- 26. Ludzie o złych zamiarach
- 27. Co zrobiła, kiedy nie oszalała
- 28. Wizyta lekarza
- 29. Niezdrowy świąd intuicji
- 30. Dumny zdobywca dziesięciu tysięcy głów
- 31. Odbija w najmniej spodziewanym momencie

## **II. Dziewczyna z misją, dziewczyna uciekająca**

- 32. Solange St. Croix i efekt motyla
- 33. Czekanie na Niewłaściwych Ludzi
- 34. Ucho igielne
- 35. Na drugim końcu świata
- 36. Scrabblemancja
- 37. Każde dziecko kiedyś sika
- 38. Ucałuj śmierć
- 39. Miłosny telefon i okrzyk wojenny
- 40. Wymyka się spod kontroli i spada w przepaść, w chaos
- 41. Wojownik Olaf i jego Walkiria
- 42. Księga skoku pantery i gazeli
- 43. Trzy dni w zamkniętym pokoju
- 44. Przyzwyczajanie się do paranoi
- 45. Nie ma ucieczki przed wrogami

## **III. Od czasu do czasu świat popada w obłąd**

- 46. Dokąd poszła, gdy nie mogła już wrócić do domu
- 47. Nocni goście
- 48. Odbiór
- 49. Człowiek, który pożyczył nazwisko od Śmierci



- [50. Mgła i mgła czasu](#)
- [51. Wodogrzmot](#)
- [52. Do domu z umarłymi](#)
- [53. Balansuj na desce, mała](#)
- [54. Kawalek grzyba od gąsienicy?](#)
- [55. Zdjęcie](#)
- [56. Z chaosu rodzi się pewność](#)

#### **IV. Składanie wszystkiego do kupy pod groźbą rozsypania się na kawałki**

- [57. Śniadanie z niespodzianką na przystawkę](#)
- [58. Znikając z radaru](#)
- [59. Pierwsza poznała się na jej talencie](#)
- [60. Pantera straconego czasu](#)
- [61. Kiedy umierałem](#)
- [62. Uśmiech z przeszłości](#)
- [63. Sen na wzburzonym morzu](#)
- [64. W jaskini lwa literatury](#)
- [65. Cisza rozrasta się jak rak](#)
- [66. Ten, który wolałby umrzeć, niż coś powiedzieć](#)
- [67. Trochę czasu na chillout](#)
- [68. Człowiek, pies, chwila](#)
- [69. Gotówka, klucz i namiar](#)
- [70. Ciastka, herbata i mroki historii](#)
- [71. Kobieta o pamięci jak sklep ze starzyzną](#)
- [72. Pytania niezadane](#)
- [73. Tuż przed rojem](#)
- [74. Hermiona, Hermiona i faceci w czerni](#)
- [75. Dziewczyny, osiłki i odświeżona kobieta](#)
- [76. Dwie nieżywe dziewczyny](#)
- [77. Obroża, która ją krępuje](#)
- [78. Ukrywając się przed nieistniejącym mężem](#)

79. Rozmyślania Paxtona

80. Prawda, której woli nie patrzeć w oczy

81. Najgorszy zdrajca

## **V. Z popiołów pamięci**

82. Powrót do miejsca, które nazwała złym

83. Czego potrzebujesz najbardziej?

84. Czekać na Eskimo Pie

85. Biblioteka Babel

86. Złamać ją na duchu

87. Żadnych smoków, czaszek i serc

## **VI. Dziewczyna, która była i której nie było**

88. Nieistniejący motel Best Western

89. Pani swojego losu, kapitan swojej duszy

90. Pierwszy z trzech wstrząsów

91. Drugi z trzech wstrząsów

92. Trzeci z trzech wstrząsów

93. Rozmowa od serca w godzinie próby

## **VII. Trzeba odnaleźć dwie dziewczyny**

94. Tylko nam się zdaje, że ją znamy

95. Znany, a nigdy wcześniej niewidziany dom

96. Pudełko ze zwyczajną zawartością

97. Ich cień żyje tam, gdzie mieszkają cienie

98. Trauma w zapasie

99. Dziewczyna, która kocha konie

100. Zegar, zegarek i kuchenki

101. Przebiegli i liczni

102. Wiedźma rozpuszcza włosy

103. Dzielne dziewczyny nie wariują

104. Pijaczka, kucharka i stwórczyni gwiazd

105. Pasażer

[106. Ojcowska intuicja](#)

[107. O włos](#)

[108. Nieustający dreszcz](#)

### **VIII. Bibi do Bell**

[109. Ośmiopalca kelnerka i ewentualność śmierci](#)

[110. Dziewczyna potrzebująca dyscypliny](#)

[111. Jak list w butelce](#)

[112. Nagroda dla nauczyciela roku](#)

[113. Czego słowa nie mogą opisać](#)

[114. Okropna baba i straszny cios](#)

[115. Fakty i fikcja w życiu Toby](#)

[116. Następny ruch w nieruchomościach](#)

[117. Fale nocy](#)

[118. Umie naprawić wszystko, prawie wszystko](#)

[119. Człowiek nie na miejscu](#)

[120. Wyboista droga](#)

[121. Żal Kapitana](#)

[122. Bibi na krawędzi](#)

[123. Moment z życia z książkami](#)

[124. Kapitan i jego albatros](#)

[125. W świecie, który sama stworzyła](#)

[126. Niebezpieczna sztuka](#)

[127. Bibi do Bell](#)

[128. Niech cię Bóg błogosławi, Erichu Segalu](#)

[129. Co będzie z nią dalej](#)

[130. Słyszy pieśń w jajku ptaka](#)